

# Czarodziejska góra

Tomasz Mann

Książka I z Czarodziejska Góra



calibre 0.9.27

Tomasz Mann - Czarodziejska Góra.

Czytelnik, Warszawa 1972.

Wydanie IV.

Skanował, opracował i błędy poprawił Roman Walisiak.

Tom Pierwszy.

Słowo wstępne.

Historia Hansa Castorpa, którą zamierzamy opowiedzieć - nie ze względu na niego (albowiem czytelnik przekona się, że jest to zwyczajny sobie, choć sympatyczny młodzieniec), lecz gwoli samej tej historii, która wydaje się nam w wysokim stopniu godną opowiedzenia (przy czym na korzyść Hansa Castorpa należałoby wspomnieć, że jest to właśnie jego historia i że nie każdemu może się każda historia przytrafić) historia Hansa Castorpa jest już bardzo dawna, jest już, można powiedzieć, pokryta szlachetną patyną czasu, a przeto niewątpliwie powinna być ujęta w formę czasową zamierzchłej przeszłości.

Nie wyrządzi to szkody niniejszemu opowiadaniu, wręcz przeciwnie, przyniesie mu korzyść, bo każda historia musi być miniona i im bardziej jest miniona, tym lepiej, rzec można, dla samej historii jako takiej i dla opowiadającego, którego tajemny szept wyczarowuje to, co przeminęło.

Dzieje się z nią przecież to samo co i z ludźmi dzisiejszymi - a spomiędzy nich w stopniu na pewno nie najmniejszym z pisarzami: jest mianowicie dużo starsza niż jej wiek; wieku, który na niej ciąży, nie należy obliczać według dni ani według obrotów słońca; słowem: stopień jej dawności nie jest właściwie zależny od czasu - co ustalając, pragniemy mimochodem napomknąć i wskazać na problematyczny charakter i na osobliwą dwoistość tego tajemniczego pierwiastka.

Aby jednak sztucznie nie zaciemniać jasnego stanu rzeczy: szczególna dawność naszej historii pochodzi stąd, że rozgrywa się ona przed pewną granicą, przed pewnym punktem zwrotnym, który głęboko rozszczepił życie i świadomość...

Rozgrywa się ona, a raczej, żeby celowo unikać wszelkiego czasu teraźniejszego, rozgrywała się i rozegrała niegdyś, dawniej, w minionych czasach, w świecie, jaki był przed wielką wojną, z której początkiem zaczęło się tyle z tego, co dotychczas jeszcze nie przestało się zaczynać.

Rozgrywa się zatem przed wojną, jakkolwiek nie na długo przedtem.

Ale czy cecha dawności takiej historii nie jest tym głębsza, tym doskonalsza, tym bardziej baśniowa, im bliżej wojny jest owo "przedtem"?

Ponadto może się okazać, że nasza historia także skądinąd, dzięki wewnętrznym swym cechom, pod tym czy owym względem nie bardzo odbiega od baśni.

Opowiemy ją szczegółowo, dokładnie i gruntownie - bo czyż kiedy zajmujący lub nudny charakter opowiadania zależał od przestrzeni i czasu, których ono wymaga?

Nie lękając się ściągnąć na siebie zarzutu pedanterii, skłaniamy się raczej ku pogładowi, że prawdziwie zajmujące jest tylko to, co gruntowne.

Nie załatwimy się zatem szybko z historią Hansa Castorpa.

Nie starczy na nią ani siedmiu dni tygodnia, ani nawet siedmiu miesięcy.

Najlepiej nie zakreślać sobie z góry, przez jak długi okres czasu ziemskiego ma nas ona trzymać w swych więzach.

Chyba, na miłość Boską, nie potrwa to aż siedem lat!

Tak więc zaczynamy.

Rozdział pierwszy. Przyjazd.

Było to w środku lata.

Pewien zwyczajny sobie młody człowiek jechał z Hamburga, swego rodzinnego miasta, do

uzdrowiska

Davos w kantonie Graubiinden.

Jechał w odwiedzin na przeciąg trzech tygodni.

Z Hamburga aż tam, na górę, daleka to podróż; właściwie zbyt daleka na tak krótki pobyt.

Jedzie się przez wiele różnych krajów, to pod górę, to na dół, z Wyżyny Bawarskiej do brzegów Jeziora Bodeńskiego, potem statkiem po jego skocznych falach, nad otchłaniami, które dawniej uchodziły za niezgłębione.

Stąd już komplikuje się droga, która tak długo wiodła wielkimi, prostymi szlakami.

Zdarzają się postoje, trzeba załatwiać formalności.

W miejscowości Rorschach, na ziemi szwajcarskiej, powierza się swój los znowu kolei żelaznej, ale dojeżdża

się na razie tylko do alpejskiej stacyjki Landquart, gdzie trzeba się przesiąść.

Po długim wyczekiwaniu, w miejscu niezbyt malowniczym i wystawionym na wiatr, wsiada się do kolejki wąskotorowej i z chwilą kiedy rusza niepozorna, ale niewątpliwie bardzo mocna lokomotywa, rozpoczyna się prawdziwie karkołomna część drogi, nagle i uporczywe wspinanie się pod górę, nie mające, zdawałoby się, końca.

Bo stacja Landquart leży stosunkowo jeszcze nie bardzo wysoko, ale od niej jedzie się już dziką, uciążliwą drogą skalną, naprawdę w góry.

Hans Castorp - tak się ów młody człowiek nazywał - siedział sam w ciasnym przedziale, którego wyściełane ławki pokryte były szarym materiałem: miał z sobą ręczną walizkę ze skóry krokodylowej,

podarunek wuja i opiekuna, konsula Tienappla - by wymienić tu od razu i to nazwisko - palto zimowe,

które bujało na haku, i pled zwinięty w rulon; siedział przy spuszczonej oknie, a ponieważ popołudnie

stawało się coraz chłodniejsze, rozpieszczony jedynak podniósł kołnierz swojego skrojonego według ostatniej mody, szerokiego letniego płaszcza na jedwabnej podszewce.

Obok niego na ławce leżała nieoprawna książka, zatytułowana Ocean steamships, do której na początku

podróży zaglądał od czasu do czasu; ale teraz leżała porzucona, a wpadający do przedziału oddech ciężko

sapiącej lokomotywy posypywał jej okładkę czarnym pyłem węglowym.

(Ocean steamships (angielskie) - parowce oceaniczne).

Dwa dni podróży oddalają człowieka - a szczególnie człowieka młodego, który jeszcze nie tak mocno tkwi

w życiu - od jego zwykłego otoczenia, od tego wszystkiego, co nazywał swoimi obowiązkami, interesami,

kłopotami i widokami, o wiele bardziej, niż mogło mu się to wydawać podczas jazdy dorożką na dworzec.

Przestrzeń, która wijąc się i pędząc wdziera się pomiędzy niego a ojczystą glebę, wykazuje moc, przypisywaną na ogół wyłącznie czasowi; z godziny na godzinę wywołuje ona wewnętrzne zmiany, bardzo

podobne do zmian wywoływanych przez czas, ale poniekąd jeszcze je przewyższające.

Przestrzeń, podobnie jak czas, przynosi zapomnienie, ale czyni to przerywając dotychczasowe stosunki

człowieka z jego otoczeniem, przenosząc go w stan pierwotnej wolności i czyniąc w mgnieniu oka nawet z

pedanta i osiadłego mieszczucha coś w rodzaju włóczęgi.

Mówi się, że czas to lata, ale i błękit oddalenia jest takim napojem zapomnienia, a jeżeli działa mniej gruntownie, to za to o wiele szybciej.

Doświadczył tego także Hans Castorp.

Nie miał zamiaru przywiązywać szczególnej wagi do swojej podróży, oddać się jej wewnętrzzną swą istotą.

Raczej pragnął szybko odbyć tę podróż, bo odbyć ją musiał, chciał powrócić zupełnie takim samym, jakim

był wyjeżdżając, i na nowo rozpocząć życie dokładnie w tym samym miejscu, w którym musiał je na chwilę

porzucić.

Jeszcze wczoraj obracał się w swoim zwykłym kręgu myślowym, zajmował się tylko tym, co właśnie opuścił, swoim egzaminem i tym, co go czekało w najbliższej przyszłości: rozpoczęciem praktyki w firmie

"Tunder & Wilms" (stocznia okrętowa, fabryka maszyn i odlewnia), toteż wybiegał myślą poza najbliższe

trzy tygodnie z tak wielką niecierpliwością, na jaką tylko pozwalało jego usposobienie.

Teraz jednak wydawało mu się, że okoliczności wymagają całej jego uwagi i że nie należy ich lekceważyć.

To wznoszenie się do regionów, w których nigdy jeszcze nie oddychał i gdzie, jak wiedział, panowały cackiem obce mu, szczególnie ciasne i skąpe warunki bytowania, zaczęło go podniecać i budzić w nim pewną skłonność do lęku.

Ojczyzna i ład były nie tylko daleko, ale leżały, w dosłownym znaczeniu, głęboko pod nim, a on wciąż się jeszcze ponad nie wznosił.

Unosząc się między nimi a nieznanym, zapytywał sam siebie, jak mu będzie tam w górze.

Może to było niemądre i niewskazane, że, urodzony i przyzwyczajony do oddychania na wysokości zaledwie kilku metrów nad poziomem morza, kazał się wieźć nagle do tych podniebnych okolic, nie przepędziwszy chociażby paru dni w miejscu położonym na średniej wysokości?

Chciał być już u celu, bo sądził, że gdy się znajdzie w górze, będzie żył jak gdzie indziej i nie będzie musiał, jak teraz podczas wdrapywania się, wciąż myśleć o tym, w jak niezwykłych przebywa sferach.

Wyjrzał przez okno: pociąg zataczał łuk ku wąskiej przełęczy; widać było przednie wagony, widać było maszynę, która wyrzucała wśród znoonej swej pracy rozwiewające się brunatne, zielone i czarne masy dymu.

W głębi po prawej stronie szumiała woda; na lewo ciemne świerki pięły się pomiędzy skalnymi zwałami ku kamiennej szarości nieba.

Pociąg wpadał w mroczne tunele, a kiedy się znowu rozjaśniało, otwierały się rozległe przepaści, w których głębi widniały wioski.

Potem zamykały się znowu, znowu jechało się przez wąskie przesmyki skalne, a w ich rozpadlinach i szczelinach bieleły resztki śniegu.

Trafiały się przystanki u nędznych domków dworcowych, stacje czołowe, które pociąg opuszczał w odwrotnym kierunku, tak że Hans Castorp nie wiedział, dokąd jedzie, i nie odróżniał już stron świata. Otwierały się wspaniałe, rozległe widoki na święte fantasmagorie spiętrzonych szczytów górskich,

ku którym pociąg piał się, w których łono się wdzierał, a potem, za jakimś zakrętem drogi, znikają znowu sprzed kornie patrzących oczu.

W pewnej chwili pomyślał, że strefa drzew liściastych została już pod nim, a zapewne i strefa śpiewających ptaków, i myśl, że oto coś dobiega kresu, że coś ubożeje, przyprawiła go o lekki zawrót głowy; czując się niedobrze, na dwie sekundy zakrył ręką oczy.

Ale to przeszło.

Spostrzegł, że pociąg przestał się wznosić, że znalazł się na wysokości przełęczy.

Po równym dnie doliny posuwał się już bez trudu.

Było koło godziny ósmej i jeszcze jasno.

W oddali ukazało się jezioro szarą powierzchnią wody, czarne lasy świerkowe wstępowały znad jego brzegów na otaczające wyniosłości, rzedniejąc w miarę wznoszenia się, i niknąc odsłaniały nagie skały o mglistych zarysach.

Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce.

Hans Castorp usłyszał, jak wywoływano na peronie nazwę Davos Wieś; a więc już niezadługo będzie u celu.

Wtem usłyszał obok siebie głos Joachima Ziemssena, swego kuzyna, mówiącego spokojnym hamburskim akcentem: - Jak się masz?

No, ty, wysiadaj już, wysiadaj.

A kiedy wyrzał, zobaczył stojącego pod oknem Joachima we własnej osobie, w brązowym palcie, z gołą głową i wyglądającego tak zdrowo jak jeszcze nigdy w życiu.

Joachim śmiał się i powtórzył: - Wysiadajże, nie krępuj się!

- Ale przecie jeszcze nie zajechałem - odpowiedział zdziwiony Hans Castorp, nie ruszając się z miejsca.

- Owszem, już zajechałeś.

Tutaj jest Davos Wieś i stąd jest bliżej do sanatorium.

Mój powóz czeka.

Daj no mi swoje rzeczy.

Śmiejąc się, oszołomiony i podniecony kresem podróży i spotkaniem z kuzynem, Hans Castorp podał mu

przez okno walizkę, zimowe palto, pled zwinięty wraz z laską i parasolem, a wreszcie i Ocean steamships.

Potem pobiegł przez ciasny korytarz i wyskoczył na peron, aby się teraz dopiero naprawdę i, że tak powiemy, osobiście przywitać z kuzynem.

Przywitanie to odbyło się bez zbytnich uniesień, jak przystało na ludzi chłodnych i powściągliwych.

Chociaż może się to wydawać dziwnym, ale obaj kuzyni od dawna unikali mówienia sobie po imieniu,

wyłącznie i jedynie z obawy przed zbyt wielką serdecznością.

A że trudno przecież im było zwracać się do siebie po nazwisku, więc ograniczali się do słówka "ty". Zwyczaj ten przyjął się między nimi od dawna.

Człowiek w liberii i w czapce z galonem patrzył przez chwilę, jak, trochę zażenowani, podali sobie szybko

ręce - młody Ziemssen w wojskowej postawie - a potem zbliżył się do nich i poprosił o kwit bagażowy

Hansa Castorpa.

Był to portier Międzynarodowego Sanatorium "Berghof"; zaofiarował się sprowadzić kufer nowo

przybyłego gościa z dworca "Davos Uzdrowisko", podczas gdy panowie mieli pojechać powozem prosto na kolację.

Człowiek ten silnie utykał, pierwszą więc rzeczą, z jaką Hans Castorp zwrócił się do Joachima Ziemssena,

było pytanie: - Czy to inwalida wojenny?

Dlaczego on tak kuleje?

- Rzeczywiście - odparł Joachim z pewną goryczą w głosie.

- Inwalida wojenny!

On to ma w kolanie - albo przynajmniej miał, bo później wyjęto mu rzepkę kolanową.

Hans Castorp domyślił się dość szybko.

- Ach, tak!

- powiedział i szedł dalej, podniósłszy głowę i rozglądając się przelotnie wokół siebie.

- Ale nie zechcesz chyba we mnie wmawiać, że i ty masz jeszcze coś takiego?

Wyglądasz przecie, jak gdybyś już miał swoją szablę u boku i właśnie wracał z manewrów.

- I spojrzał na kuzyna.

Joachim, wyższy od niego i szerszy w ramionach, był uosobieniem siły młodzieńczej i jakby stworzony do munduru.

Był typem bruneta, zdarzającym się nierzadko w ich blond ojczyźnie, a jego i tak ciemna cera przybrała

wskutek opalenizny barwę brązu.

Byłby wprost ładny, ze swoimi czarnymi oczami, ciemnym wąsikiem i pełnymi, dobrze zarysowanymi

wargami, gdyby nie szpeciły go odstające uszy.

One to były do niedawna jego jedynym zmartwieniem i jedyną zgrzyotą.

Teraz miał już inne troski.

Hans Castorp mówił dalej: - Zjedziesz chyba od razu ze mną na dół?

Naprawdę nie widzę żadnej przeszkody.

- Od razu z tobą?

- zapytał kuzyn i zwrócił na niego swoje wielkie oczy, które zawsze patrzyły łagodnie, ale w ciągu ostatnich

pięciu miesięcy przybrały nieco znużony, a nawet smutny wyraz.

- To znaczy kiedy?

- No, za trzy tygodnie.

- Ach, tak, ty już w myśli wracasz do domu - odrzekł Joachim.

- Zaczekaj, dopiero wysiadłeś z wagonu.

Trzy tygodnie to oczywiście nic prawie dla nas tutaj w górze, ale dla ciebie to duży kawał czasu, bo przecie

przyjechałeś tylko z wizytą i w ogóle nie chcesz dłużej tu zostać.

Przede wszystkim jednak musisz się zaaklimatyzować; to wcale nie jest takie proste, przekonasz się. Zresztą, nie tylko klimat jest u nas czymś niezwykłym.

Zobaczysz tu niejedną nową rzecz, uważaj tylko.

A ze mną to nie taka prosta sprawa, jak ci się wydaje; "za trzy tygodnie do domu" - to są pomysły z dołu.



Prawda, że jestem opalony, ale to jest prawie wyłącznie działanie śniegu i nie ma wielkiego znaczenia, jak utrzymuje Behrens, a przy ostatnim generalnym badaniu powiedział, że prawie na pewno potrwa to jeszcze z pół roku.

- Pół roku?

Czyś ty oszalał?

- zawołał Hans Castorp.

Właśnie zajęli miejsce w żółtym kabriolecie, zaprzężonym w dwa kasztanki, który ich oczekiwał na wybrukowanym placu przed budynkiem stacyjnym, niewiele lepszym od jakiejś szopy; pojazd był już w ruchu, ale Hans Castorp, oburzony, nie mógł sobie jeszcze znaleźć miejsca na twardym siedzeniu.

- Pół roku?

Przecież już prawie pół roku tu jesteś!

Przecież nie ma się aż tyle czasu!...

- Tak...

czasu - powiedział Joachim i pokiwał głową, nie zwracając bynajmniej uwagi na szczere oburzenie kuzyna.

- Nie masz wyobrażenia, jak oni obchodzą się tu z ludzkim czasem. Dla nich trzy tygodnie to jeden dzień najwyżej.

Przekonasz się sam, sam wszystko zobaczysz - rzekł, a potem dodał: - Tutaj pojęcia ulegają zmianie.

Hans Castorp bezustannie przyglądał mu się z boku.

- Ty jednak rzeczywiście bardzo przyszedłeś do siebie - powiedział potrząsając głową.

- Tak uważasz?

- odparł Joachim.

- Ja jestem również tego zdania - powiedział i oparł się wyżej na poduszkach, zaraz jednak wrócił do swojej pochylonej pozycji.

- Czuję się o wiele lepiej, ale zupełnie zdrowy jeszcze nie jestem; w lewym szczycie, gdzie przedtem słychać było rżenie, jest już tylko szorstki ton, to jeszcze nie najgorsze, ale na dole jest jeszcze bardzo szorstki ton, a ponadto słychać szmery także w drugiej przestrzeni międzyżebrowej.

- Widzę, że zdobyłeś tu niemałe wykształcenie - zauważył Hans Castorp.

- Ach, Boże, ładne wykształcenie!

Cieszyłbym się, gdyby ze mnie w służbie znowu wyparowało - odparł Joachim.

- Poza tym odpluwam wciąż jeszcze - dodał, wzruszając ramionami na wpół leniwie, na wpół gwałtownie, z czym mu było nie do twarzy.

Mówiąc to, z kieszeni palta, znajdującej się od strony Castorpa, wyciągnął do połowy i zaraz na powrót wsunął płaską, łukowato wygiętą flaszeczkę z niebieskiego szkła, opatrzoną metalową przykrywką.

- Większość nas tutaj w górze nosi przy sobie ten przedmiot - objaśniał.

- Ma on tu nawet pewne żartobliwe przezwisko, bardzo zabawne.

Oglądasz okolicę?

Hans Castorp rozglądał się rzeczywiście.

- Cudowna!

- rzekł.

- Sądźysz?

- spytał Joachim.

Z początku jechali równolegle do szyn kolejowych, wzdłuż doliny, nieregularnie zabudowaną drogą, potem skręcili na lewo, przecięli wąski tor, przejechali ponad strumieniem i zaczęli wspinać się stępą po

łagodnej pochyłości ku zboczom gór, porośniętych lasem.

Przed nimi, na małym zielonym płaskowzgórzu, widać było podłużny budynek, zwrócony frontem ku południowemu zachodowi; jego wieżyczka zakończona była kopułą, a fasada tak podziurawiona licznymi

wnękami balkonów, że z daleka robił wrażenie porowatej gąbki; w oknach zapalano właśnie pierwsze światła.

Zapadał szybki zmrok.

Błada zorza wieczorna, która na krótką chwilę ożywiła niebo, jednostajnie zaciągnięte chmurami, już zgasła i w naturze zapanował ów bezbarwny, bezduszny i smutny stan przejściowy, bezpośrednio poprzedzający ostateczne nadejście nocy.

W długiej, lekko wygiętej dolinie rozbłysły teraz wszędzie światła, zarówno w głębi, jak tu i ówdzie na stokach - zwłaszcza na prawym stoku, na którym tarasowo wznosiły się zabudowania.

Z lewej strony na zboczach gór rozciągały się łąki poprzerzynane ścieżkami, które wyżej ginęły w matowej czerni szpilkowego lasu.

U ujścia zwięzającej się doliny niebieszczały wyraźne zarysy dalekich gór.

Zerwał się wiatr i chłód wieczorny dawał się już we znaki.

- Nie, prawdę powiedziawszy, nie widzę, żeby to było takie porywające - odezwał się Hans Castorp.

- Gdzie są lodowce i wieczne śniegi, i potężne olbrzymy skalne?

Zdaje mi się, że to tu przed nami nie jest chyba bardzo wysokie.

- Owszem, te góry są wysokie - odpowiedział Joachim.

- Prawie wszędzie widać granicę drzew, niezwykle ostro zarysowaną: kończą się świerki, a z nimi kończy się wszystko; nie ma już nic, tylko skały, jak widzisz.

A tam masz nawet lodowiec - na prawo od Schwarzhornu, tego ostrego szczytu - tam, gdzie jest tak niebiesko.

Nie jest zbyt rozległy, ale to jednak prawdziwy lodowiec, nazywa się Scaletta.

Piz Michel i Tinzenhorn - w tym wcięciu - stąd ich nie widać - są zawsze pokryte śniegiem, przez cały rok.

- Wiecznym śniegiem - rzekł Hans Castorp.

- Wiecznym, jeżeli chcesz.

O tak, to wszystko wokół jest naprawdę wysokie.

Ale przecież my sami jesteśmy straszliwie wysoko, pomyśl, tysiąc sześćset metrów nad poziomem morza.

Dlatego te wzniesienia wydają się stąd dość niskie.

- Tak, tak, mówię ci, że lęk mnie ogarniał, kiedyśmy się tutaj wspinali.

Tysiąc sześćset metrów!

To mniej więcej pięć tysięcy stóp, jeżeli dobrze liczę.



Nigdy w życiu nie byłem jeszcze tak wysoko.

I zaciekawiony Hans Castorp wciągnął głęboko, na próbę, obce powietrze.

Było świeże - nic więcej; nie było w nim aromatu, treści, wilgoci, łatwo wchodziło do płuc i nie przemawiało do duszy.

- Świetne!

- rzekł uprzejmie.

- Tak, to powietrze jest słynne.

Zresztą okolica prezentuje się dzisiaj jakoś nieszczególnie; niekiedy, zwłaszcza w śniegu, wygląda ładniej.

Ale z czasem ma się jej dosyć; wierzaj mi, że nam wszystkim tutaj w górze już się straszliwie znudziła mówił Joachim; jego usta wykrzywiły się z wyrazem jakby przesadnego i nieopanowanego wstrętu, z którym znowu było mu nie do twarzy.

- Wyrażasz się tak dziwnie - powiedział Hans Castorp.

- Dziwnie się wyrażam?

- spytał Joachim z odcieniem niepokoju w głosie i odwrócił się do kuzyna...

- Nie, nie, przepraszam cię, tak mi się tylko przez chwilę wydawało!

- odparł Hans Castorp pośpiesznie.

Miał na myśli zwrot "nam tutaj w górze", którego Joachim użył już po raz trzeci lub czwarty, a który go jakoś dziwnie przykro uderzał.

- Nasze sanatorium, jak widzisz, leży jeszcze wyżej niż ta miejscowość - ciągnął Joachim.

- Wyżej o pięćdziesiąt metrów.

W prospekcie podane jest "sto", ale naprawdę jest tylko pięćdziesiąt.

Najwyżej położone jest sanatorium Schatzalp, tam, po tamtej stronie, stąd go nie widać.

Ci muszą w zimie ekspediować swoje zwłoki na bobslejach, bo drogi są zasypane.

- Swoje zwłoki?

Ach, tak!

No wiesz!

- zawołał Hans Castorp.

I nagle wybuchnął śmiechem, gwałtownym i niepowstrzymanym śmiechem, który wstrząsał całą jego pierś i bolesnym grymasem wykrzywił twarz, nieco zeszywniałą od chłodnego wiatru.

- Na bobslejach!

I opowiadasz mi to tak z całym spokojem?

Ależ ty stałeś się straszliwie cyniczny w ciągu tych pięciu miesięcy!

- Bynajmniej nie cyniczny - odpowiedział Joachim wzruszając ramionami.

- Dlaczegoż by?

Zwłokom przecie wszystko jedno...

A zresztą, możliwe, że tu u nas człowiek staje się cynikiem.

Sam Behrens jest także takim starym cynikiem, poza tym to wspaniały chłop, były korporant i świetny operator, zapewne ci się spodoba.

Ponadto jest tu jeszcze Krokowski, jego asystent - nadzwyczajnie sprytna sztuka.

W prospekcie jest specjalna wzmianka o jego działalności: uprawia mianowicie z pacjentami analizę duszy.

- Co uprawia?

Analizę duszy?

Przecież to wstrętne - zawołał Hans Castorp i znowu owładnęła nim wesołość.

Nie umiał już nad nią zapanować, do reszty rozbawiła go owa analiza duszy; śmiał się na całe gardło, tak że łzy spływały mu spod ręki, którą, pochyliwszy się, przysłonił sobie oczy.

Joachim śmiał się również serdecznie - widocznie dobrze mu to robiło.

Tak więc obaj młodzi ludzie w świetnych humorach wysiedli z powozu, który, od pewnego czasu jadąc stępą po stromej, wijącej się drodze, zatrzymał się wreszcie przed bramą Międzynarodowego Sanatorium "Berghof".

Numer 34.

Zaraz po prawej stronie między bramą, a drzwiami wahadłowymi znajdowała się dyżurka portiera, a w niej, przy telefonie, siedział czytając gazetę wyglądający na Francuza służący w szarej liberii, takiej samej, jaką miał na sobie ów kaleka na dworcu; na widok wchodzących odłożył gazety i poprowadził ich przez jasno oświetlony hall, z którego na lewo wchodziło się do sal ogólnych.

Przez uchylone drzwi zauważył Hans Castorp, że sale te były puste.

Zapytał Joachima, gdzie teraz znajdują się goście.

- Werandują - odpowiedział kuzyn.

- Ja miałem dzisiaj wychodne, bo chciałem iść po ciebie na kolej, ale zwykle także leżę po kolacji na balkonie.

Niewiele brakowało, a Hans Castorp byłby się znowu roześmiał.

- Co, nocą we mgle leżycie jeszcze na balkonie?

- spytał niepewnym głosem.

- Tak, takie są tutaj przepisy; od ósmej do dziesiątej.

Ale teraz chodź, obejrzyj swój pokój i umyj ręce.

Weszli do windy.

Francuz uruchomił elektryczny mechanizm.

Podczas wznoszenia się w górę Hans Castorp wycierał sobie oczy chustką.

- Jestem zupełnie rozbity i wyczerpany śmiechem - powiedział i wciągnął powietrze ustami.

- Naopowiadałeś mi tyle dziwnych rzeczy...

Analiza duszy to dla mnie za wiele, mógłbyś być mi tego oszczędzić.

Poza tym jestem pewnie trochę zmęczony podróżą.

Czy tobie także tak marzną nogi?

A jednocześnie tak pali twarz, to jest bardzo przykre.

Pewnie zaraz coś zjemy?

Wydaje mi się, że jestem głodny.

A czy jada się dobrze tu u was w górze?

Kokosowy chodnik, którym wyłożony był wąski korytarz, tłumił odgłos ich kroków.

Klosze z mlecznego szkła rzucały blade światło spod sufitu.

Ściany powleczone olejną farbą błyszcząły biało i twardo, jak wylakierowane.

Gdzieś w przejściu mignęła postać pielęgniarki w białym czepku i z binoklami na nosie, których sznurek przeciągnęła sobie za ucho.

Z pewnością była protestantką, pozbawioną prawdziwego umiłowania swojego zawodu - ciekawską, którą

dręczy i niepokoi nuda.

W dwóch miejscach korytarza przed wylakierowanymi na biało, numerowanymi drzwiami stały na podłodze jakieś balony, wielkie, pękate naczynia o krótkich szyjkach.

Hans Castorp zapomniał na razie zapytać o ich przeznaczenie.

- Mieszkaś tutaj - odezwał się Joachim.

- Numer trzydziesty czwarty.

Na prawo jest mój pokój, a na lewo mieszka pewne małżeństwo rosyjskie, trzeba powiedzieć, niezbyt

czyste i trochę zanadto głośnie, ale inaczej nie dało się zrobić.

No, cóż?

Na ścianie między podwójnymi drzwiami przybite były haki na ubrania.

Joachim zapalił górną lampę.

W jej drżącej poświacie ukazał się pokój miły i zaciszny, z białymi, praktycznymi meblami, z również

białymi, grubymi tapetami do zmywania, z czystym linoleum na podłodze i płóciennymi firankami, haftowanymi w modne, proste i wesołe desenie.

Drzwi od balkonu były otwarte; widać było światła rozsiane w dolinie i z daleka dochodziły dźwięki muzyki tanecznej.

Pocziwy Joachim postawił na komodzie trochę kwiatów w wazoniku - jakie udało mu się znaleźć w trawie

zieleniejącej po raz drugi tego lata: parę krwawników, dzwonek przez niego samego zebranych na zboczu.

Ach, jak to ślicznie z twojej strony - powiedział Hans Castorp.

- Co za miły pokój!

Z przyjemnością można tu spędzić kilka tygodni.

- Przedwczoraj umarła tu jedna Amerykanka - rzekł Joachim.

- Behrens od razu powiedział, że będzie z nią koniec, zanim przyjedziesz, i że będziesz nogą dostać jej

pokój.

Był przy niej jej narzeczony, oficer marynarki angielskiej, ale się bynajmniej mężnie nie zachowywał. Co chwila wychodził na korytarz, żeby płakać - zupełnie jak mały chłopak.

A potem smarował sobie twarz cold creamem, bo był wygolony i łyzy paliły mu skórę.

Przedwczoraj wieczorem Amerykanka dostała jeszcze dwóch krwotoków pierwszej klasy, to był koniec.

Ale wyniesiono ją już wczoraj rano, a potem zrobiono tu naturalnie gruntowną dezynfekcję formaliną, to

ma być nadzwyczaj pewne.

Hans Castorp wysłuchał tego opowiadania z pewnego rodzaju niespokojnym roztargnieniem.

Stał z zakasnymi rękawami przed dużą umywalnią, której niklowane krany błyszcząły w elektrycznym

świecie, zaledwie przelotne spojrzenie rzucił na czysto zasłane łóżko z białego metalu.

- Dezynfekcję?

To doskonale - powiedział uprzejmie i trochę nieskładnie, myjąc i wycierając sobie ręce.

- Aldehyd metylowy...

tego nawet najsilniejsza bakteria nie wytrzyma, H<sub>2</sub>CO...

ale to kręci w nosie, prawda?

Ma się rozumieć, że największa czystość jest pierwszym warunkiem...

Hans Castorp mówił północnym akcentem, podczas gdy kuzyn jego za czasów studenckich przyswoił sobie rozpowszechniony w południowych Niemczech sposób wymawiania.

Rozgadawszy się prawił dalej: - Co to jeszcze chciałem powiedzieć...

Prawdopodobnie ten oficer marynarki golił się maszynką; tak przypuszczam, bo w ten sposób można się łatwiej zaciąć niż dobrze wyostrzoną brzytwą - takie jest przynajmniej moje osobiste doświadczenie - ja używam na zmianę raz jednego, raz drugiego...

A podrażniona skóra nie znosi słonej wody; pewnie w służbie przyzwyczyił się używać cold creamu, nie widzę w tym nic nadzwyczajnego...

- Tak gadał dalej, opowiedział, że ma w kufrze dwieście sztuk cygar marki "Maria Mancini", które wyłącznie pali, że rewizja na granicy była bardzo łagodna, i przekazał Joachimowi ukłony od różnych osób z ich rodzinnego miasta.

- Czy tu wcale nie palą?

- zawołał nagle i podbiegł do radiatora, chcąc położyć na nim ręce...

- Nie, nas trzymają w stosunkowo niskiej temperaturze - odpowiedział Joachim.

- Musiałaby być zupełnie inna pogoda, żeby zaczęli palić w sierpniu.

- Sierpień, sierpień - powtórzył Hans Castorp.

- Ależ ja marznę!

Okropnie marznę na całym ciele, tylko twarz mnie jakoś dziwnie pali.

O, dotknij, zobacz, jaka gorąca!...

Propozycja, żeby ktoś dotykał jego twarzy, nie licowała z charakterem Hansa Castorpa i sam ją przykro odczuł.

Joachim nie zgodził się też na nią, tylko powiedział krótko: - Nic nie szkodzi, to skutek tutejszego powietrza.

Sam Behrens ma zawsze sine policzki.

Nie wszyscy mogą się tu zaaklimatyzować.

No, chodź, bo inaczej nie dostaniemy już nic do jedzenia.

Na korytarzu ukazała się znowu pielęgniarka i z daleka ciekawie im się przyglądała.

Na pierwszym piętrze Hans Castorp zatrzymał się nagle, uderzony jakimś niezwykle przykrym odgłosem, który rozlegał się gdzieś blisko, za zakrętem korytarza; odgłos ten nie był intensywny, ale tak wyjątkowo ohydny, że Hans Castorp skrzywił się i szeroko otwartymi oczami spojrzał na swego kuzyna. Był to wyraźny kaszel - kaszel mężczyzny, ale nie przypominał żadnego z kaszłów, które Hans Castorp dotychczas słyszał; każdy inny znany mu kaszel był raczej wspaniałym i zdrowym wyrazem żywotności w porównaniu z tym beznadziejnym kaszlem, który nie składał się z poszczególnych wybuchów, ale brzmiał jak straszliwie bezsilne gmeranie w papce organicznego rozkładu.

- Tak - powiedział Joachim - z nim jest niedobrze.

Jakiś austriacki arystokrata, wiesz, bardzo elegancki mężczyzna, wygląda jak urodzony sportsmen.

A teraz tak źle jest z nim.

Ale pokazuje się jeszcze.

Idąc dalej, Hans Castorp z przejściem mówił o kaszlu sportsmena.

- Pomyśl tylko, że ja nigdy nic podobnego nie słyszałem, to jest dla mnie zupełnie nowe, więc musi na mnie robić wrażenie.

Są różne rodzaje kaszlu, suche i flegmiste, a te flegmiste są podobno lepsze i mniej szkodliwe od takiego szczekania.

Kiedy w młodości (Hans Castorp powiedział: "w młodości") byłem chory na krup, szczekałem jak wilk i wszyscy się ucieszyli, kiedy ten kaszel się zaflegmił - pamiętam to doskonale.

Ale takiego kaszlu jak ten nie było jeszcze nigdy na świecie, tak mi się przynajmniej wydaje, to już jest żywy kaszel.

Nie jest suchy, ale nie można go też nazwać flegmistym, jest jakiś zupełnie inny.

To jest tak, jak gdyby zaglądało się do środka człowieka, a tam już nic więcej nie było, tylko papka i szlam.

- No, no - powiedział Joachim - ja to słyszę przecież codziennie, nie potrzebujesz mi tego opisywać. Ale Hans Castorp długo jeszcze nie mógł się uspokoić i raz po raz powtarzał, że słuchając tego kaszlu zagląda się po prostu do wnętrza chorego sportsmena; kiedy weszli do restauracji, jego oczy, zmęczone podróżą, błyszczały niezdrowo.

W restauracji.

W restauracji było jasno, elegancko i przytulnie.

Znajdowała się zaraz na prawo od hallu, naprzeciwko pokoiów ogólnych.

Joachim opowiadał, że w sali tej jadają przeważnie nowo przybyli, zamawiający posiłek poza zwykłymi godzinami, a także ci, którzy podejmują gości.

Święcono tu również uroczyste rocznice urodzin, wigilie odjazdów, a nawet pomyślne wyniki generalnego badania lekarskiego.

- Czasami w restauracji odchodzi zabawa; podają nawet szampana - dodał Joachim.

Teraz siedziała tam tylko jedna pani, mniej więcej trzydziestoletnia, czytała książkę, ale przy tym nuciła jakąś melodię, środkowym palcem lewej ręki wybijając lekko takt na obrusie.

Kiedy młodzieńcy usiedli, zmieniła miejsce, aby odwrócić się do nich plecami.

Joachim objaśnił szeptem, że chora ta unika ludzi i w restauracji jada zawsze z książką przed sobą; powiadają, że już jako młodziutka dziewczyna przebywała w sanatoriach i od tego czasu nie powróciła do świata.

- No, to w porównaniu z nią jesteś dopiero początkujący, nawet gdyby się twoja kuracja nie skończyła jeszcze po tych pierwszych pięciu miesiącach i gdybyś cały rok tu przesiedział - powiedział Hans Castorp.

Joachim wykonał znowu ów niezwykle dawniej u niego ruch ramion i sięgnął po menu.

Siedzieli naprzeciwko siebie w najładniejszym kącie sali, przy stoliku, który stał na podwyższeniu pod oknem, zasłoniętym kremową firanką; na twarze ich padało czerwone światło stojącej elektrycznej lampki z czerwonym abażurem.

Hans Castorp zacierał świeżo umyte ręce gestem wyrażającym zadowolenie i oczekiwanie; robił tak zawsze, siadając do stołu - może dlatego, że jego przodkowie modlili się przed podaniem zupy.

Usługiwała im uprzejma dziewczyna w czarnej sukni i białym fartuszk, z szeroką twarzą o niezwykle zdrowej cerze, i z gardłową wymową.

Zamówili u niej butelkę Gruaud Larose, ale Hans Castorp odesłał flaszkę z powrotem, by jej nadano właściwą temperaturę.

Jedzenie było doskonałe.

Podano zupę szparagową, faszerowane pomidory, pieczeń suto garniowaną, wyjątkowo smaczną leguminę, sery i owoce.

Hans Castorp jadł bardzo wiele, chociaż apetyt nie dopisał mu w tym stopniu, jak się tego spodziewał; ale ponieważ dbał o swoje zdrowie, przeto jadał dużo nawet wtedy, kiedy nie był głodny.

Joachim ledwie tknął potraw.

Mówił, że mu się tutejsza kuchnia przejadła, że oni wszyscy tutaj mają jej dosyć i że się już przyjęło wymyślać na jedzenie, bo przecież siedzą tu wieczność całą z okładem...

Ale wino pił z przyjemnością, nawet z pewną pasją, i kilkakrotnie - jednakże starannie unikając zbytnej uczuciowości - dawał wyraz swojemu zadowoleniu, że wreszcie znalazł się ktoś, z kim można rozsądnie porozmawiać.

- Ach, jak to świetnie, żeś przyjechał!

- powiedział i jego spokojny głos zadrżał wzruszeniem.

- Mogę śmiało powiedzieć, że jest to dla mnie prawdziwy ewenement.

Jest to wreszcie jakaś odmiana, że tak powiem: wyłom, pauza w tej wiecznej, bezgranicznej monotonii...

- Ale zapewne czas upływa wam tu szybko - zauważył Hans Castorp.

- I prędko, i powoli, jak kto chce - odrzekł Joachim.

- Właściwie, powiem ci, nie upływa wcale, to w ogóle nie jest czas i w ogóle to nie jest życie - o nie, na

pewno nie - mówił potrząsając głową i znowu sięgnął po kieliszek.

Hans Castorp pił także, chociaż twarz paliła go teraz jak ogień.

Ale poza tym w całym ciele czuł ciągle jeszcze zimno i ogarnął go jakiś dziwnie radosny, a jednak męczący

niepokój.

Słowa goniły jedno drugie, raz po raz się mylił, ale, machnąwszy na to ręką, mówił dalej.

Zresztą i Joachim był bardzo ożywiony, a ich rozmowa toczyła się tym swobodniej i weselej, że nucała i

stukająca pani nagle wstała i opuściła salę.

Wymachiwali widelcami, mając pełne usta jedzenia, przybierali ważne miny, śmiali się, przytakiwali sobie,

podnosili ramiona i zanim zdążyli przełknąć, już mówili dalej.

Joachim chciał się dowiedzieć, co słyhać w Hamburgu, i naprowadził rozmowę na projektowaną regulację

Łaby.

- To będzie rzecz epokowa!

- powiedział Hans Castorp.

- Epokowa dla rozwoju naszej żeglugi - rezultaty będą olbrzymie.

Wstawiamy do budżetu pozycję pięćdziesięciu milionów jako jednorazowy wydatek i możesz być przekonany, że dobrze wiemy, co robimy.

Zresztą, pomimo wielkiej wagi, którą przywiązywał do regulacji Łaby, zmienił zaraz temat i prosił Joachima, żeby opowiedział mu coś jeszcze o życiu "tutaj w górze" i o kuracjuszach, na co ten chętnie się

zgodził, bo przyjemnie mu było, że może sobie ulżyć i wypowiedzieć się.

Musiał więc powtórzyć historię o zwłokach zwożonych w dół po torze bobslejowym i raz jeszcze wyraźnie

potwierdzić, że to szczerza prawda.

Ponieważ Hansa Castorpa znowu śmiech ogarnął, śmiał się i Joachim i widać było, że się rozkoszuje swym

własnym rozbawieniem; toteż ażeby podsycić wesoły nastrój, opowiadał i o różnych innych zabawnych

rzeczach.

Jest tu pewna dama, żona jakiegoś muzyka z Cannstatt, nazywa się pani Stohr, zresztą dość poważnie chora, siedzi z nim przy stole; jest to osoba najmniej kulturalna, jaką kiedykolwiek widział; mówi

"dezynfeskować" - i to zupełnie poważnie.

A asystenta Krokowskiego nazywa "fomulusem".

I trzeba tego wszystkiego słuchać poważnie, bez najłżejszego grymasu.  
Poza tym plotkuje straszliwie, jak zresztą prawie wszyscy tutaj w górze, a o pewnej innej damie, pani Iltis,  
opowiada, że nosi "sterylet"!  
- Wyobraź sobie, nazywa to "sterylet" - to przecież nieocenione!  
- I na pół leżąc, rozparci na krzesłach, śmiali się tak serdecznie, że trzęsły im się brzuchy i prawie jednocześnie obaj dostali czkawki.  
Wkrótce jednak Joachim zasepił się i zaczął mówić o swoim smutnym losie.  
- Tak, tak, siedzimy tu i śmiejemy się - rzekł z bolesnym wyrazem twarzy i przerywając raz po raz wskutek wstrząsów przepony - a zupełnie nie da się przewidzieć, kiedy się stąd wydostanę, bo jeśli Behrens mówi:  
jeszcze pół roku, to jest to liczone skąpo i trzeba być przygotowanym na dłużej.  
Ale to nie jest łatwe, pomyśl tylko, jakie to dla mnie smutne.  
Już miałem zdawać egzamin oficerski, a tu muszę sterczeć z termometrem w ustach, liczyć błędy tej niekulturalnej pani Stohr i tylko czas tracę.  
Rok znaczy bardzo wiele w naszym wieku, tyle zmian przynosi w życiu tam na dole, jest krokiem naprzód.  
A ja gniję tutaj jak woda w brudnej kałuży, w butwiejącym bajorze - to nie jest bynajmniej przesadne porównanie...  
Zupełnie nieoczekiwanie Hans Castorp odpowiedział na to tylko pytaniem, czy tu właściwie można dostać portera; a kiedy Joachim spojrział na niego ze zdziwieniem, zauważył, że już zasypia - właściwie już spał.  
- Ale ty śpisz przecie!  
- powiedział Joachim.  
- Chodź, już czas, byśmy się obaj położyli.  
- To w ogóle nie jest czas - rzekł Hans Castorp sennym głosem.  
Ruszył się jednak z miejsca i odprowadził kuzyna do pokoju numer 30 gdzie leżały już rzeczy przywiezione przez utykającego służącego.  
Gawędzili jeszcze przez piętnaście minut, podczas gdy Hans Castorp wypakowywał swoje przybory do mycia i wszystko potrzebne do spania, pałac przy tym grubego i lekkiego papierosa.  
Cygara jakoś dzisiaj już nie zapalił, co jemu samemu wydawało się dziwne i niezwykle.  
- Wiesz, on wygląda na wybitnego człowieka - odezwał się wypuszczając z płuc kłęby dymu.  
- Jest woskowo blady.  
Ale jego obuwie jest wstrętne.  
Szare wełniane skarpetki i do tego te sandały!  
Czy jednak pod koniec rozmowy nie był obrażony?  
- On jest trochę wrażliwy - odrzekł Joachim.  
- Nie powinieś był tak ostro odrzucić opieki lekarskiej, przynajmniej tej psychicznej.  
On nie lubi, kiedy jej ktoś unika.  
Do mnie także ma pewną niechęć, bo nie dość mu się zwierzam.  
Ale od czasu do czasu opowiadam mu jednak jakiś sen, żeby miał coś do analizowania.  
- No, to musiałem go urazić - rzekł Hans Castorp, trochę rozdrażniony, bo był zawsze niezadowolony z siebie, kiedy komuś sprawił przykrość; ogarnęło go jeszcze silniejsze znużenie.



- Dobranoc - powiedział.

- Ja już upadam.

- O ósmej wstąpię po ciebie na śniadanie - powiedział Joachim i wyszedł.

Hans Castorp szybko zrobił pobieżną toaletę nocną.

Ledwie zgasił lampę stojącą na nocnym stoliku, już zawładnął nim sen, ale ocknął się raz jeszcze, bo przypomniał sobie, że onegdaj umarł ktoś w tym łóżku.

- Pewnie nie pierwszy raz - powiedział sobie, jak gdyby mogło go to uspokoić.

- To jest śmiertelne łóżko, zwykle śmiertelne łóżko.

- I zasnął.

Ale natychmiast zaczął śnić, i śnił bez przerwy aż do rana.

Przeważnie widział Joachima Ziemssena w jakiejś dziwnie powykręcanej pozycji, zjeżdżającego na bobsleju po stromej drodze.

Był tak fosforyzująco blady jak doktor Krokowski, a na przodzie siedział ów sportsmen i kierował saneczkami; wyglądał przy tym tak niewyraźnie, jak ktoś, kogo się zna jedynie z jego kaszlu.

- Nam to wszystko jedno, nam tutaj w górze - odezwał się pokręcony Joachim, i teraz on, a nie ów sportsmen, wybuchnął straszliwym, papkowatym kaszlem.

Hans Castorp z żalu gorzko się rozpląkał i przyszło mu na myśl, że musi pójść do apteki, ażeby kupić sobie cold creamu.

Ale na drodze siedziała pani Iltis ze ściągniętymi wargami i trzymała w ręku coś, co było widocznie jej "steryletem", a okazało się zwykłą maszynką do golenia.

To pobudziło Hansa Castorpa do śmiechu, i tak przechodził z jednego nastroju w drugi, aż zbudził go szary ranek, zaglądając przez uchylone drzwi balkonowe.

Rozdział drugi.

O chrzcielnicy i o dziadku w dwojakiej postaci.

Hans Castorp zachował zaledwie niejasne wspomnienie o swym właściwym domu rodzicielskim; ojca i matki nie znał prawie wcale.

Odumarli go szybko jedno po drugim, pomiędzy piątym a siódmym rokiem jego życia. Najpierw, zupełnie nagle, umarła matka, która oczekiwała właśnie rozwiązania; przyczyną śmierci był skrzep, w następstwie zapalenia żył - embolia, jak to określił doktor Heidekind, która stała się powodem paraliżu serca; właśnie siedząc w łóżku zanosila się od śmiechu, i wyglądało tak, jak gdyby to śmiech ją

przewrócił, ale upadła tylko dlatego, że była martwa.

Niełatwo mógł się z tym pogodzić Hans Hermann Castorpojciec, a ponieważ bardzo był przywiązany do swojej żony i sam nie należał przy tym do najodporniejszych, nie umiał się już z tego podźwignąć.

Upośledzony na umyśle, popełniał w stanie depresji i zamroczenia błędy w interesach, i firma "Castorp i

Syn" poniosła poważne straty.

Wiosną następnego roku przeziębził się na inspekcji spichrzów w porcie, wystawionym na wiatry, i dostał

zapalenia płuc.

Jego osłabione serce nie wytrzymało wysokiej gorączki, więc umarł, pomimo całej troskliwości doktora

Hejdekinda, w piątym dniu choroby.

Odprawiony tłumnie przez ludność miasta, spoczął obok swej żony w rodzinnym grobowcu

Castorpów,  
położonym bardzo pięknie na cmentarzu Świętej Katarzyny, naprzeciwko ogrodu botanicznego. Ojciec jego, senator, przeżył go, choć nie o wiele. Zmarł również na zapalenie płuc, i to po wielkich zmaganiach i cierpieniach, bo Hans Lorenz Castorp był,  
w przeciwieństwie do swojego syna, mocno przywiązany do życia i niełatwy do ostatecznego złamania.  
Krótki przeciąg czasu pomiędzy tymi dwoma zgonami - trwało to nie więcej niż półtora roku - przeżył osierocony Hans Castorp w domu swojego dziadka, zbudowanym w stylu północnego klasycyzmu z początkiem ubiegłego stulecia na wąskiej parceli, a położonym przy Esplanadzie i pomalowanym ponurą farbą.  
Drzwi wejściowe umieszczone były pośrodku parteru, wzniesionego nad powierzchnię ziemi o pięć schodków, i ozdobione po obu stronach pilastrami.  
Dom miał trzy piętra, a okna pierwszego sięgały aż do podłogi i zaopatrzone były w kraty z lanego żelaza.  
Tutaj znajdowały się wyłącznie pokoje recepcyjne, wraz z jasną jadalnią zdobną w sztukaterię; trzy okna tego pokoju, osłonięte ciemnoczerwonymi frankami, wychodziły na ogródek położony za domem; w jadalni tej dziadek i wnuk, co dzień o godzinie czwartej w ciągu osiemnastu miesięcy, we dwóch spożywali obiad; usługiwał im stary Fiete, z kolczykami w uszach i srebrnymi guzikami u fraka; nosił do tego fraka zupełnie taki sam batystowy halsztuk, jak gospodarz domu, tak samo ukrywał w nim wygolony podbródek.  
Dziadek mówił mu "ty" i rozmawiał z nim narzeczem dolnoniemieckim, platt - nie żartem (bo nie był obdarzony zmysłem humoru), ale zupełnie poważnie i naturalnie, bo przywykł tak zwracać się do robotników w spichrzach, listonoszów, furmanów i służących.  
Hansowi Castorpowi podobało się to bardzo i lubił też słuchać, jak Fiete odpowiadał również w tym narzeczcu i, stojąc za swym panem z lewej strony, nachylał się do jego prawego ucha, na które senator znacznie lepiej słyszał niż na lewe.  
Stary rozumiał, kiwał głową i jadł dalej, siedząc prosto, ledwie pochylony nad talerzem, pomiędzy stołem a mahoniowym oparciem krzesła.  
Z drugiej strony stołu wnuk patrzył milcząco w głębokim i nieświadomym skupieniu na krótkie, wytworne ruchy, którymi chude starcze ręce, z zastrzonymi, wypukłymi paznokciami i zielonym sygnetem na wskazującym palcu prawej ręki, kształtowały na końcu widelca kęs, złożony z mięsa, jarzyny i kartofli, i wkładały go do ust, podczas gdy głowa z lekka pochylała się na jego spotkanie.  
Hans Castorp patrzył na swoje własne, niezgrabne jeszcze ręce i przeczuwał drzemiące w nich zdolności, które mu pozwolą kiedyś władać widelcem i nożem tak samo, jak to czynił dziadek.  
O wiele ważniejsze było pytanie, czy uda mu się kiedyś chować podbródek w halsztuku, który suto

wypełniał otwór dziwnego kołnierza z ostrymi końcami, przylegającymi do policzków dziadka. Bo do tego trzeba być tak starym jak on, a dzisiaj już nikt, w szerokim promieniu, nie nosił oprócz niego i  
starego Fietego takich halsztuków i takich kołnierzy.  
To wielka szkoda, bo Hans Castorp szczególnie lubił, gdy dziadek chował podbródek w szeroki, biały jak śnieg halsztuk.  
I później, kiedy już dorósł, lubił o tym myśleć: było w tym coś, co z głębi duszy uważał za odpowiednie.  
Po obiedzie składali i zwijali swoje serwety i wsuwali je do srebrnych kółek; Hansowi Castorpowi trudno było się z tą czynnością uporać, bo serwety były wielkości małych obrusów.  
Senator wstawał z krzesła, które Fiete za nim odsuwał, i drobnymi krokami przechodził do "gabinetu", by wziąć sobie cygaro.  
Wnuczek czasem przyłączał się do niego.  
"Gabinet" ten powstał dzięki temu, że jadalnia w tym domu była trzyokienna i zajmowała całą jego szerokość, wskutek czego zostało miejsce tylko na dwa pokoje, a nie na trzy, jak zwykle w takich budynkach.  
Jeden z tych pokoiów, prostopadły do jadalni i z jednym tylko oknem od ulicy, musiałyby być zbyt długi w stosunku do swojej szerokości, oddzielono więc odeń mniej więcej czwartą część - pomieszczenie ciasne, mroczne, z górnym tylko światłem i wyposażone w niewielką ilość mebli; stała tam etażerka, a na niej szafeczka na cygara, stolik do kart z szufladą, w której leżały pociągające przedmioty: karty do wista, żetony, deszczułki do markowania z ruchomymi ząbkami, tabliczka łupkowa z kredą do zapisywania, papierowe ustniki do cygar i wiele innych rzeczy.  
Wreszcie stała w kącie oszklona szafa z drzewa palisandrowego, w stylu rokoko, z żółtymi jedwabnymi firaneczkami.  
- Dziadziu - mówił czasem mały Hans Castorp, stając na palcach, ażeby dosięgnąć ucha starca - proszę, pokaż mi chrzcielnicę!  
I dziadek, który już przedtem uniósł poły długiego, miękkiego surduta i wyjął z kieszeni pęk kluczy, otwierał oszkloną szafę, z której wiało na chłopca jakąś osobliwą i dziwnie miłą wonią.  
Były tam najrozmaitsze rzeczy, dawno już nie używane i dlatego właśnie tak pociągające: dwa srebrne lichtarze, połamany barometr z figurkami rzeźbionymi w drzewie, album z dagerotypami, cedrowa skrzynka na butelki likieru, małe Turek w pstrokatym jedwabnym ubranku, kryjący w swym twardej ciele zegarowy mechanizm, który umożliwiał mu niegdyś bieganie po stole, obecnie jednak od dawna już odmawiał posłuszeństwa; staroświecki model okrętu, a na samym dole nawet łapka na szczury. Ale starzec zdejmował ze środkowej półki okrągłe, silnie już pożółkłe srebrne naczynie, stojące na

srebrnym

również talerzu, i pokazywał chłopcu oba przedmioty, dodając dobrze już Hansowi znane wyjaśnienia.

Miseczka i podstawka nie zawsze tworzyły jedną całość, ale jak prawił dziadek, od stu lat już były łącznie używane.

Naczynie było piękne, miało kształt prosty i szlachetny, utrzymany w surowym smaku początków ubiegłego stulecia; gładkie i solidne, spoczywało na okrągłej nóżce i wewnątrz miało złocone, ale ze złota

pozostał już tylko żółtawy nalot; jedyną ozdobę stanowił wypukły wieniec z róż i ząbkowanych liści, okalający jego górny brzeg.

Co się tyczy talerza, to jego szanowny wiek można było zeń odczytać, bo na jego wewnętrznej stronie ozdobnymi cyframi było wypisane "tysiąc sześćset pięćdziesiąt"; liczba ta otoczona była zgodnie z ówczesną

modą zmanierowanymi, przeładowanymi rysunkami, wśród których odróżnić można było herby i arabeski

- na wpół gwiazdy, na wpół kwiaty.

Na odwrotnej stronie talerza były wyryte nazwiska jego kolejnych właścicieli, a każde z nich innym charakterem pisma.

Było ich już siedem, wszystkie opatrzone datą odziedziczenia srebrnego talerza.

Dziadek pokazywał wnukowi wskazującym palcem każdy napis z osobna.

Było tam imię i nazwisko ojca, dziadka samego, pradziadka, a potem przedrostek "pra" podwajał się, potrajał, i mnożył dalej w ustach senatora; malec wsłuchiwał się z głową na bok przechyloną, z zapatrzonymi, rozmarzonymi oczami i z jakby sennie, na pół otwartymi ustami, w to prapraprapra...

w ten tajemniczy głos dalekiej przeszłości i zapomnienia, który zarazem wyrażał związek, z pietyzmem

pielęgnowany, pomiędzy terażniejszością, jego własnym życiem, a tym, co już dawno minęło. Dźwięk ten działał na niego jakoś dziwnie - tak właśnie, jak to się odbijało na jego twarzy.

Zdawało mu się, że wdycha zatęchłe i chłodne powietrze, jakie znał z kościoła Świętej Katarzyny albo z

krypty Świętego Michała, że czuje tchnienie miejsc, w których trzyma się kapelusz w rękę i stąpa na palcach

jakimś szczególnym, pełnym trwożnej czci, podanym naprzód i kołyszącym się krokiem; zdawało mu się

także, że słyszy wielką, poważną ciszę tych miejsc, w których czai się echo.

Owa tajemnicza zgłoska budziła w nim prócz uczuć religijnych również przeczucie śmierci i uchylała zasłony dziejów; wszystko to oddziaływało na chłopca jakoś dziwnie kojąco.

Może właśnie po to, aby słyszeć ten dźwięk i powtarzać go z cicha za dziadkiem, prosił, by mu znowu pokazano chrzcielnicę.

Potem dziadek odstawił baptysterium z powrotem na talerz, a malec zaglądał do jego głębokiego, złocistego wnętrza błyszczącego w padającym z góry świetle.

- Już niezadługo minie osiem lat od chwili - prawił senior - kiedyśmy cię nad tym naczyniem trzymali, a woda, którą cię chrzczono, ściekała tutaj...

Zakrystian Lassen od Świętego Jakuba lał ją do ręki naszemu kochanemu pastorowi Bugenhagenowi, a stamtąd poprzez twoją głowę spływała do tej czary.

Woda była ogrzana, żebyś się nie przestraszył i żebyś nie płakał.

Byłeś też bardzo grzeczny - bo przedtem krzyczałeś i pastorowi Bugenhagenowi niełatwo było wygłosić przemówienie, ale kiedy tylko poczułeś wodę, uspokoiłeś się natychmiast - spodziewam się, że z szacunku dla świętego Sakramentu.

A w tych dniach przypada czterdziesta czwarta rocznica chrztu twojego nieboszczyka ojca, i z jego głowy woda spływała do tego naczynia.

Działo się to w tym samym domu, domu jego rodziców, w sąsiedniej sali pod środkowym oknem; obrzędu dokonywał jeszcze stary pastor Hesekiel, ten sam, którego w młodości Francuzi chcieli rozstrzelać za kazania, jakie wygłaszał przeciwko ich rabunkom i grabieżom; od dawna jest on już w niebie.

A przed siedemdziesięciu pięciu laty mnie samego chrzczono w tej sali, i moją głowę trzymano nad tą chrzcielnicą, którą tu widzisz na srebrnym talerzu, a pastor mówił te same słowa, co przy chrzcie twoim i twojego ojca, i mnie także letnia, czysta woda spływała po włosach (nie miałem ich wtedy wiele więcej na głowie niż teraz).

Chłopiec spojrzał w górę na wąską, starczą głowę dziadka, która teraz znowu pochylała się nad chrzcielnicą, jak w tej minionej godzinie, o której mu opowiadał, i o władnęło nim znajome uczucie, którego doświadczał już dawniej w podobnych okolicznościach - na pół marzycielskie, na pół niepokojące uczucie czegoś płynącego i zarazem stojącego, jakiegoś zmiennego trwania, które miało w sobie rytm i powrotu, i zawrotnej jednostajności; Hans Castorp lubił to uczucie, i po części w jego oczekiwaniu kazał sobie pokazywać ten przedmiot, przechodzący stale z ojca na syna.

Kiedy młodzieniec analizował później swe doznania, stwierdzał, że obraz dziadka wrył mu się w pamięć o wiele głębiej, wyraźniej i trwalej niż obraz rodziców.

Było to prawdopodobnie skutkiem sympatii i szczególnego pokrewieństwa fizycznego, bo wnuk był bardzo podobny do dziadka, o ile różowy młokos w ogóle może być podobny do wyblakłego i sztywnego siedemdziesięcioletniego starca.

Ale pochodziło to przede wszystkim stąd, że dziadek był bez wątpienia najbardziej charakterystyczną postacią, najwybitniejszą indywidualnością w rodzinie.

Jeśli rozważać sprawy z punktu widzenia społecznego, czas wyprzedził przekonania i upodobania Hansa Lorenza Castorpa na długo przed jego śmiercią.

Był to człowiek surowych zasad chrześcijańskich, obrządku reformowanego.

Nie lubił nowinek i wyznawał pogląd wybitnie arystokratyczny, że tylko szczupła klasa społeczna godna jest dzierżyć ster rządów - o tym był przekonany tak mocno, jak gdyby żył w czternastym stuleciu, kiedy rzemieślnicy zaczynali dopiero mimo gwałtownego sprzeciwu patrycjuszów zdobywać sobie miejsca w radach miejskich.

Działalność jego przypadła na lata bujnego rozwoju i wielostronnych reform, lata zwycięskiego pochodu postępu, wymagającego od społeczeństwa ciągłych ofiar i wielkiej odwagi.

Ale nie jego, nie starego Castorpa było to zasługą, jeżeli geniusz nowoczesny święcił wiadome wszystkim wspaniałe triumfy.

Stokroć bardziej zależało mu na zachowaniu ojcowskich obyczajów i dawnych urządzeń niż na ryzykownej rozbudowie portu i bezbożnych wielkomiejskich błazeństwach, toteż hamował i przeciwdziałał gdzie mógł i, gdyby się działo po jego myśli, dzisiaj jeszcze w administracji publicznej panowałaby taka sama starofrankońska idylliczność, jak swego czasu w jego własnym kantorze.

Tak się przedstawiał z punktu widzenia społecznego stary senator - za życia i potem.

Mały Hans Castorp, patrzący na dziadka zamyślonymi oczami dziecka, nie rozumiał się jeszcze na

sprawach ogólnych, ale i na nim robił dziadek podobne wrażenie, wrażenie niezupełnie uświadomione, raczej ogólne, bo nie umiał jeszcze krytykować ani formułować sądów.

I później, we wspomnieniu, kiedy myślał o dziadku, miał przed sobą obraz czegoś mocnego, czegoś z jednej bryły i nie dającego się zanalizować.

Jak już było powiedziane, odgrywała tu rolę sympatia, pokrewieństwo duchowe i wewnętrzna bliskość, które, jak to się często zdarza, przeskakują jeden stopień pokrewieństwa krwi.

Dzieci i wnuki przypatrują się, ażeby podziwiać, a podziwiają, aby się uczyć i kształcić w sobie to, co drzemie w nich jako odziedziczone cechy.

Senator Castorp był chudy i wysoki.

Wiek pochylił mu plecy i kark, ale starał się przeciwdziałać temu skrzywieniu przez napinanie mięśni, wargi jego, nie podtrzymywane już przez zęby i spoczywające bezpośrednio na pustych dziąsłach (sztuczne szczęki zakładał tylko do jedzenia), z wyrazem godności wyginały się przy tym ku dołowi, a cała postawa nabierała surowej powagi i sztywności.

Aby zapanować nad poczynającą się chwiejnością głowy, wpierał podbródek w wysoki kołnierz, co tak bardzo podobało się małemu Hansowi.

Senator Castorp chętnie zaglądał do swojej szylkretowej, podłużnej, wykładanej złotem tabakiery i używał dlatego czerwonej chustki do nosa, której rozek zwieszał się zawsze z tylnej kieszeni surduta. Stanowiło to bez wątpienia defekt w jego wyglądzie - defekt nadający mu odrobinę komizmu, ale było zarazem licencją, na którą może sobie pozwolić starość - niestarannością albo świadomą, i przez to mającą w sobie coś jowialnego, albo nieświadomą, a więc wynikającą z poważnego nastawienia senatora, w każdym bądź razie jedyną, jaką dziecięco spostrzegawcze oko Hansa Castorpa zauważyło kiedykolwiek w wyglądzie dziadka.

Siedmioletni chłopiec widział jednak staruszką nie w jego właściwej, zwykłej postawie, a i potem, we wspomnieniu, zjawiał się mu nie ten dziadek z codziennego życia.

Dla niego senator wyglądał inaczej, o wiele piękniej i prawdziwiej niż w rzeczywistości - mianowicie tak, jak go ukazywał portret naturalnej wielkości, który dawniej wisiał w bawialni w domu jego rodziców, a potem powędrował razem z małym Hansem Castorpem na Esplanadę, gdzie otrzymał miejsce w salonie nad wielką kanapą, krytą czerwonym jedwabiem.

Na portrecie tym wymalowany był Hans Lorenz Castorp w urzędowym stroju radnego miasta - owym poważnym, a nawet świątobliwym stroju z ubiegłego stulecia, w którym odbijał się majestat i jednocześnie zdobywczą odwagą mieszczaństwa; stroju tego używano jeszcze przy szczególnie uroczystych okazjach, aby przeszłość czynił terażniejszością, a terażniejszość przeszłością, aby świadczył wymownie o ich nieprzerwanym związku i o niewzruszonej pewności ich wzajemnej gwarancji.

Senator Castorp sportretowany był w całej swej okazałości.

Stał na podłodze, wyłożonej czerwonymi kamykami, na tle perspektywy kolumn i ostrołuków.

Głowę miał z lekka pochyloną, usta ściągnięte w dół, niebieskie myślące oczy, podkrążone workami, patrzyły w dal; miał na sobie czarny, poza kolana sięgający surdut, krojem przypominający szatę duchowną, otwarty szeroko z przodu, bramowany futrem po brzegach.

Spod szerokich, bufiastych, lamowanych wierzchnich rękawów wyglądały węższe rękawki ze zwyczajnego sukna, a koronkowe mankiety przykrywały dłonie aż po palce.

Cienkie starcze nogi obciążone były czarnymi jedwabnymi pończochami, a stopy tkwiły w bucikach ze srebrnymi sprzączkami.

Szyja otoczona była szeroką, nakrochmaloną, suto marszczoną kryzą w kształcie talerza, opadającą z przodu, a z boków podniesioną do góry; spod tej kryzy zwieszał się jeszcze na kamizelkę, również

marszczony, batystowy żabot.

Pod pachą senator trzymał staroświecki kapelusz z szerokim rondem, zwężający się ku górze.

Portret był piękny, wykonany przez nie byle jakiego artystę, utrzymany w najlepszym smaku i w stylu dawnych mistrzów, tak bardzo odpowiednim dla tematu, i wywoływał najróżniejsze hiszpańskoflamandzko-późnośredniowieczne skojarzenia w patrzącym.

Mały Hans Castorp często oglądał ten obraz, ma się rozumieć bez zrozumienia artystycznego, ale jednak z pewnym ogólniejszym nawet i wnikliwym zrozumieniem.

Chociaż dziadka takiego, jakim był na płótnie, widział w rzeczywistości raz jeden tylko, i to bardzo przelotnie, przy okazji jakiegoś uroczystego wjazdu na ratusz, jednakże, jak już wspomnieliśmy, ten właśnie jego wygląd uważał za właściwy i istotny, a dziadek z życia codziennego był dla niego pewnego rodzaju dziadkiem tymczasowym, jakby zastępczym, i to niezbyt dobrze dostosowanym do okoliczności.

Bo to, co w jego codziennej prezencji było odrębne i dziwaczne, polegało właśnie na niedoskonałym i może trochę niezgrabnym przystosowaniu; to były pozostałości i aluzje do jego czystej i prawdziwej postaci.

Tak na przykład jego "vatermordery" i wysoko związany biały halsztuk były stanowczo staromodne; ale nie można tego było bynajmniej powiedzieć o owym godnym podziwu szczególe toalety, do którego tamte były jedynie tymczasową aluzją - mianowicie o kryzie hiszpańskiej.

Tak samo miała się rzecz z niezwyklej fasonem jego cylindra, który nosił na ulicy i którego odpowiednikiem na wyższym stopniu rzeczywistości był kapelusz z portretu, filcowy kapelusz o szerokim rondzie; tak samo - z długim i fałdzistym surdudem, którego pierwowzorem i właściwą istotą była dla Hansa Castorpa owa szeroko futrem bramowana szata.

Tak więc Hans Castorp głęboko uznawał istotny i rzeczywisty splendor dziadka, gdy nagle nastąpiła chwila pożegnania.

Pośrodku sali, tej samej, w której tak często siedzieli przy stole naprzeciwko siebie, leżał Hans Lorenz Castorp w srebrnym obijanej trumnie, na katafalku otoczonym wieńcami.

Chorował na zapalenie płuc, walczył długo i zawzięcie, chociaż, jak się zdawało, tylko dzięki zdolności przystosowywania się przebywał w tym życiu.

Leżał teraz na swoim uroczystym łożu, nie wiadomo, czy jako zwycięzca, czy jako zwyciężony, w każdym bądź razie z zupełnie spokojną twarzą, ale wskutek stoczonej walki z mocno zmienionymi rysami i zaostrzonym nosem; dolna połowa ciała okryta była kapą, na której położono gałązkę palmową, głowa spoczywała wysoko na jedwabnych poduszkach, tak że podbródek z gracją tkwił w wycięciu śnieżnej kryzy.

Dłonie do połowy przysłonięte były koronkowymi mankietami, a palce, które, z rozmysłem splecione w sposób naturalny, zdradzały jednak sztywność i martwość, trzymały krzyżyk z kości słoniowej - i wydawało się, że oczy senatora są wciąż spod spuszczonej powiek na ten krzyżyk skierowane.

Na początku tej ostatniej choroby Hans Castorp często widywał dziadka, ale pod koniec już go do niego nie dopuszczano.

Oszczędzono mu widoku zmagania się ze śmiercią, które zresztą najgorsze formy przybierało nocami: z tym, co się działo w pokoju chorego, stykał się tylko pośrednio, przez zaczerwienione oczy starego Fiete, przez przyjazdy i odjazdy doktorów i całą przygnębiającą atmosferę domu.

Wynik tego wszystkiego, jaki chłopcu ukazał się teraz w sali jadalnej, można było określić w ten sposób, że dziadek porzucił wreszcie swój byt tymczasowy i zastępczy i uroczyście powrócił do właściwej i jedynie godnej go postaci.

Wynik ten był bezsprzecznie pomyślny, chociaż stary Fiete płakał i wciąż kiwał głową i chociaż



plakał sam Hans Castorp, jak czynił to niegdyś na widok swojej niespodziewanie zmarłej matki, a również na widok ojca, którego wkrótce potem ujrzał również leżącego bez ruchu i jakby obcego.

Bo już po raz trzeci w ciągu krótkiego czasu i w tak dziecięcym wieku mały Hans duszą i zmysłami szczególnie także zmysłami - zetknął się ze śmiercią.

Widok jej i wrażenie, które przeżywał, nie były dlań nowe, przeciwnie, był już do nich przyzwyczajony; w dwóch pierwszych wypadkach, chociaż ogarnięty zupełnie naturalnym smutkiem, zachowywał się spokojnie i rozważnie, tak samo było i teraz, a nawet w wyższym jeszcze stopniu.

Sam był wstrząśnięty i udzielał mu się smutek innych, więc raz po raz stawały mu łzy w oczach, ale pomijając ten zupełnie zrozumiały objaw, zachowywał, patrząc na trumny, pewien dziecięcy chłód, odwagę i rzeczowość; płynęły one bądź z nieuświadomienia sobie praktycznego znaczenia tych faktów dla jego życia, bądź też z dziecinnej obojętności, mającej swe źródło w pełnym zaufaniu, że - tak czy inaczej - świat przecie go nie opuści.

A kiedy po raz trzeci stał przed trumną, dołączył się do tego jeszcze pewien specjalny odcień znawstwa, jako skutek wielokrotnego doświadczenia.

Po upływie trzech czy czterech miesięcy od zgonu ojca zapomniał już o śmierci; teraz nagle stanęła znów

przed nim i te same wrażenia, które przeżywał wtedy, wszystkie naraz znowu się zjawily, przejmujące do

samego szpiku, w swej z niczym nie dającej się porównać odrębności.

Wrażenia te, poddane analizie i ujęte w słowa, przedstawiałyby się mniej więcej w ten sposób: śmierć miała

właściwie dwie strony, jedną - religijną, pełną znaczenia i melancholijnie piękną, to znaczy duchowną, a

zarazem drugą, wręcz przeciwną - bardzo cielesną, bardzo materialną, której nie można było nazwać ani

piękną, ani pełną znaczenia, ani religijną.

Strona duchowna znajdowała wyraz w uroczystym ustawieniu zwłok, w mnóstwie kwiatów i w liściach

palmowych, oznaczających, jak to było wiadomo, spokój niebiański; a wyraźniej jeszcze w krzyżyku, włożonym w martwe palce dawnego dziadka, w błogosławiącym Zbawicielu Thorwaldsena, stojącym u

wezgłowia trumny, i w ustawionych po obu stronach kandelabrach, które przy tej okazji nabrały również

jakiegoś kościelnego charakteru.

Wszystko to stawało się jasne i słuszne na myśl, że dziadek powrócił już na zawsze do swojej właściwej i

rzeczywistej postaci.

Poza tym - mały Hans Castorp zauważył to, chociaż nie potrafił tego wyrazić słowami - miało wszystko

jeszcze jeden dalszy sens i trzeźwy cel, szczególnie kwiaty, a przede wszystkim licznie między nimi reprezentowane tuberozy.

Miały one służyć do udekorowania owej drugiej strony śmierci, ani pięknej, ani właściwie smutnej, ale

raczej prawie nieprzyzwoitej, przyziemnej i cielesnej, miały sprawić, że się o niej zapominało albo myśli o

niej nie dopuszczało do świadomości.

Z tej to drugiej strony wynikało, że zmarły dziadek wydawał się tak obcy; właściwie nie przypominał wcale

dziadka, ale lalkę woskową naturalnej wielkości, którą śmierć podsunęła zamiast niego i która była przedmiotem tych wszystkich religijnych i uroczystych poczynań.

Ten, co tam leżał, albo słuszniej: to, co tam leżało, nie było już samym dziadkiem, tylko osłonką, która, jak

wiedział Hans Castorp, nie była z wosku, ale z właściwej sobie materii; wyłącznie z materii; i to właśnie

było nieprzyzwoite i nieco tylko smutne - nie więcej smutne, niż są nimi rzeczy związane z ciałem i jedynie

z nim.

Mały Hans Castorp przyglądał się woskowo żółtej, gładkiej, serowatej materii, z której zrobiona była

naturalnej wielkości figura zmarłego - twarz i ręce byłego dziadka.

W tej chwili właśnie na nieruchomym czole usiadła mucha i zaczęła żywo poruszać ssawką. Stary Fiete spędził ją ostrożnie, starając się przy tym nie dotknąć czoła i robiąc minę poważną i mroczną, jak

gdyby nie chciał i nie powinien nic wiedzieć o tym, co czyni, minę skromną i obyczajną, która najwidoczniej

była w związku z faktem, że dziadek był już tylko ciałem i niczym więcej.

Polatawszy w powietrzu, mucha usiadła na krótką chwilę znów na dłoni dziadka, w pobliżu krzyżyka z

kości słoniowej.

Obserwując to, Hans miał wrażenie, że wyraźniej niż kiedykolwiek czuje znajomy z dawniejszych czasów,

delikatny, ale jakoś dziwnie trwały zapach, przypominający mu, pomimo zawstydzenia, które przy tym

odczuwał, pewnego kolegę szkolnego, dotkniętego przykrą właściwością i dlatego przez wszystkich unikanego; zapach ten miał być zagłuszony wonią tuberoz, ale nie udawało się to pomimo całej jej

ostrości i

intensywności.

Raz po raz przystawał przy zwłokach: albo sam ze starym Fiete, albo z bratem swej babki

Tienapplem, handlarzem wina, i obydwoma wujami, Jamesem i Piotrem, albo wreszcie z grupą odświętnie

ubranych robotników portowych, którzy przyszli na chwilę do trumny, ażeby pożegnać się z byłym szefem firmy "Castorp i Syn".

Potem był pogrzeb.

Pokój napełnił się ludźmi, pastor Bugenhagen z kościoła Świętego Michała, ten sam, który chrzczył Hansa

Castorpa, odziany w kryzę hiszpańską, miał mowę pogrzebową, a później rozmawiał serdecznie z małym

Castorpem, jadąc za karawanem w pierwszej dorożce, za którą ciągnął się długi, długi sznur innych.

A później skończył się i ten rozdział życia, i Hans Castorp zmienił zaraz potem dom i otoczenie;

czynił to

już po raz drugi w ciągu swojego krótkiego życia.

o pobycie u Tienapplów i obliczu duchowym Hansa Castorpa.

Nie stracił na tym, bo dostał się do domu konsula Tienappla, swego urzędowego opiekuna, i nie zbywało mu tam na niczym ani pod względem osobistym, ani pod względem spraw majątkowych, o których nie miał jeszcze pojęcia.

Konsul Tienappel bowiem, wuj nieboszczki matki Hansa, zarządzał schedą Castorpa, posprzedawał nieruchomości, zajął się również likwidacją firmy "Castorp i Syn, Import i Eksport", i suma, jaką z tych operacji osiągnął, wynosiła około czterystu tysięcy marek.

Majątek ten, własność Hansa Castorpa, ulokował konsul Tienappel w papierach pupilarnych i na początku każdego kwartału z przypadającego dochodu odliczał dla siebie dwa procent w charakterze prowizji, czemu bynajmniej nie stały na przeszkodzie jego uczucia rodzinne.

Dom Tienapplów położony był w głębi ogrodu przy ulicy Harvestehuder Weg, okna wychodziły na trawnik, na którym nie tolerowano najmniejszego nawet chwastu, dalej, na miejskie plantacje róż i na rzekę.

Co rano konsul udawał się pieszo, chociaż miał piękny powóz, do swojego biura na Starym Mieście, chciał bowiem zażywać trochę ruchu, jako że miewał od czasu do czasu uderzenia krwi do głowy; o godzinie piątej wracał również pieszo do domu, po czym wszyscy zasiadali do elegancko zastawionego stołu.

Konsul był człowiekiem wielce poważnym, ubranym zawsze w najlepsze angielskie materiały; jego wodnisto niebieskie, wylupiające oczy patrzyły spod złotych okularów, nos miał ciemnoczerwony, siwą żeglarską brodę, a na pulchnym małym palcu lewej ręki nosił wielki, pięknie błyszczący brylant.

Żona jego nie żyła już dawno.

Miał dwóch synów, Piotra i Jamesa, z których pierwszy służył w marynarce i rzadko bywał w domu, a drugi pracował w firmie ojca i upatrzony był na przyszłego jej szefa.

Gospodarstwem od wielu lat zajmowała się panna Schalleen, córka jubilera z Altony, z nakrochmalonymi mankiecikami, obejmującymi jej grube w kostce ręce.

Jej to było zasługą, że na śniadanie i na kolację podawano zawsze w wielkiej ilości zimne mięsa, kraby i łososie, węgorki, gęsinę i tomato catsup do rostbefu; baczne swe oko zwracała na służących podczas proszonych obiadów i ona też w miarę swych możliwości zastępowała matkę Hansowi Castorpowi.

Hans Castorp wzrastał przy paskudnej pogodzie, w wietrze i we mgle, wzrastał w żółtym płaszczu gumowym, jeżeli się wolno tak wyrazić, i na ogół czuł się z tym dobrze.

Co prawda, od samego początku był trochę anemiczny; stwierdził to również doktor Heidekind i kazał mu co dzień na trzecie śniadanie po szkole dawać dużą szklankę portera, napoju, jak wiadomo, odżywczego, któremu doktor Heidekind przypisywał krwiotwórcze własności; w każdym bądź razie trunk ten mile oddziaływał na umysł chłopca i sprzyjał jego skłonności do "zagapiania się", jak to nazywał wuj Tienappel; Hans Castorp zwykł był mianowicie, z ustami na wpół otwartymi i nie trzymając się żadnego określonego wątku, zamyślać się o niebieskich migdałach.

Poza tym jednak był zdrow i do rzeczy, niezłe grał w tenisa i wiosłował, chociaż wolał, zamiast naprężyć mięśnie, siadywać w letnie wieczory na tarasie przystani u Uhlenhorsta, przy muzyce i jakimś dobrym napoju, i spoglądać na oświetlone łodzie i na łabędzie, sunące pomiędzy nimi po lśniącej różnymi kolorami wodzie.

A kiedy mówił, z umiarem i rozsądnie, trochę bezdźwięcznie i monotannie, z lekkim odcieniem

narzeczca dolnoniemieckiego, nawet kiedy się nań tylko patrzyło, na poprawność jego jasnego typu, na dobrze zarysowany, troszeczkę jakby staroświecki kształt głowy i na wyraz suchej ospałości, która była u niego odpowiednikiem odziedziczonej i nieświadomionej dumy - nikt nie mógł wątpić, że ten Hans Castorp jest rzetelnym i niefałszowanym wytworem tutejszej gleby i że jest tu idealnie na swoim miejscu: on sam nie wątpiłby o tym ani na chwilę, gdyby sobie zadał takie pytanie.

Atmosfera wielkiego miasta portowego, ta wilgotna atmosfera wszechświatowego handlu i dostatniego życia, która była właściwym żywiołem jego ojców, i dla niego była czymś zupełnie normalnym, co przyjmował bez zastrzeżeń i w czym czuł się dobrze.

Wdychając zmieszane wyziewy wody, węgla i smoły, ostre zapachy nagromadzonych towarów kolonialnych, widział wzdłuż portowego wybrzeża olbrzymie parowe dźwigi obrotowe, które naśladowały spokój, rozum i potężną siłę tresowanych słoni, z brzuchów nieruchomych okrętów przenosząc do wagonów i składów całe tony worów, pak, skrzyń, beczek i balonów.

Widział kupców, ubranych, jak i on sam, w żółte płaszcze gumowe, tłumnie śpieszących w południe na giełdę, gdzie, jak słyszał, gra bywała ostra i gdzie łatwo mogło się zdarzyć, że ktoś jął pośpiesznie rozsyłać zaproszenia na uroczysty obiad, aby w ten sposób przedłużyć swój kredyt.

Widział (i w tę stronę zwróciło się później jego specjalne zainteresowanie) ruch i wir pracy w dokach, widział mamutowe cielska zadokowanych okrętów, przybyłych z Azji i Afryki; wypiętrzone wysoko, ukazujące spód i śruby, spoczywały na grubych jak pień drągach, potwornie bezradne na lądzie, pokryte karłowatą armią szorujących, bijących młotami i tynkujących robotników, widział, jak na pokrytej dachem stoczni zza dymu i mgły wynurzają się szkielety powstających okrętów i jak inżynierowie, zbrojni w plany i tablice do pomiarów zanurzenia, udzielają wskazówek rzemieślnikom.

To były widoki, do których Hans Castorp przywykł od najwcześniejszej młodości i które budziły w nim miłe uczucie własnej przynależności; uczucie to dochodziło do szczytu, kiedy na przykład w niedzielę przed południem siedział z Jamesem Tienapplem albo ze swym kuzynem Ziemssenem - Joachimem Ziemssenem - w restauracji nad rzeką Alster, jadł ciepłe grzanki z wędliną, pił stare porto i, rozparty wygodnie w krześle, z lubością puszczał dym z cygara.

Bo w tym właśnie był najbardziej sobą, że lubił żyć wygodnie, a nawet pomimo, swego anemicznego i wydelikaczonego wyglądu, był mocno i z całej duszy przywiązany do prostych rozkoszy życiowych, jak łakome niemowlę do piersi matczynej.

Swobodnie i nie bez godności dźwigał na barkach ciężar wysokiej cywilizacji, którą panująca klasa uprawiającej handel demokracji miejskiej przekazywała swym dzieciom.

Był zawsze czysto wymyty jak niemowlę i ubierał się u krawca, który zdobył sobie zaufanie młodzieży z jego sfery.

Niezbyt bogatym, starannie poznaczonym zapasem jego bielizny, ukrytym w angielskiej szafie, opiekowała się troskliwie panna Schalleen; nawet wtedy, kiedy Hans Castorp wyjechał na studia, przysyłał regularnie bieliznę do domu do prania i reperacji (bo jego maksymą było, że poza Hamburgiem w całym państwie nie umieją prasować), a zmarszczka na mankiecie eleganckiej kolorowej koszuli wywołałaby w nim głębokie niezadowolenie.

Ręce jego, chociaż nie specjalnie arystokratycznego kształtu, lecz wypiełgnowane i gładkie, były ozdobione łańcuszkowym pierścionkiem z platyny i sygnetem odziedziczonym po dziadku, a zęby, trochę za miękkie i w wielu miejscach uszkodzone, uzupełnione złotem.

Stojąc i chodząc, wysuwał brzuch nieco naprzód, co nie nadawało jego postawie dzielności; ale przy stole trzymał się doskonale.

Siedział wyprostowany, grzecznie zwrócony do sąsiada, z którym rozmawiał (rozsądnie i nie bez

naleciałości dolnoniemieckich); łokcie miał z lekka oparte, podczas gdy tranżerował kawałek drobiu albo przeznaczonymi do tego celu narzędziami zręcznie wyciągał różowe mięso z kleszczów homara. Jego pierwszą potrzebą po jedzeniu była miseczka z perfumowaną wodą do opłukania palców, a drugą nie ocłony rosyjski papieros, który dochodził do jego rąk pokątnie, drogą niewinnej kontrabandy. Potem następowało nadzwyczajnie smaczne bremeńskie cygaro marki "Maria Mancini", o którym będzie jeszcze mowa i którego esencjonalna trucizna tak dobrze dopełniała treści czarnej kawy.

Hans Castorp chronił swoje zapasy tytoniu od szkodliwego wpływu centralnego ogrzewania, przechowując je w piwnicy, dokąd co rano schodził, żeby napełnić cygarnicę ilością wystarczającą na dzień.

Niechętnie jadłby masło podane na stół w kawałku, a nie w postaci karbowanych kuleczek.

Jak widać, pragniemy opowiedzieć wszystko, co może mu zjednać przychyłność, ale osądzamy go bez żadnej przesady i nie przedstawiamy go ani lepszym, ani gorszym, niż był w rzeczywistości. Hans Castorp nie był ani geniuszem, ani głupcem, a jeżeli dla jego określenia unikamy słowa "przeciętny", to czynimy to z przyczyn, które nic nie mają wspólnego z jego inteligencją i niewiele chyba z jego skromną osobą w ogóle, ale z szacunku dla jego losu, któremu skłonni jesteśmy przypisać pewne ponadosobowe znaczenie.

Zdolności jego mogły sprostać wymaganiom gimnazjum realnego - bez zbytniego wysiłku, do którego zresztą nie dałby się nakłonić w żadnym razie i w imię niczego: nie tyle z obawy przed zaszkodzeniem sobie, ile dlatego, że absolutnie nie widział do tego żadnego powodu, albo powiedziawszy wyraźniej: żadnego absolutnego powodu; i może dlatego nie chcemy go nazwać przeciętnym, że w pewien sposób odczuwał brak takich powodów.

Człowiek nie żyje wyłącznie swoim życiem osobistym, jako jednostka, ale świadomie lub nieświadomie, również życiem swojej epoki i swojego pokolenia.

A gdyby nawet i nieosobiste ogólne podstawy swej egzystencji uważał za bezpośrednio dane i oczywiste i gdyby nawet był tak daleki od ich krytykowania, jak był nim poczciwy Hans Castorp, to jednak jest rzeczą zupełnie możliwą, by w sposób nie-

jasny odczuwał szkodliwy wpływ ich braków na swoje zdrowie moralne.

Poszczególni ludzie mogą mieć swoje subiektywne cele, dążenia, nadzieje i widoki, z których czerpią impuls do intensywnych wysiłków i działalności.

Jeżeli jednak otaczający ich świat obiektywny, jeżeli epoka, w której żyją, pomimo zewnętrznego rozpędu nie daje w gruncie rzeczy żadnych widoków ani nadziei; jeżeli pozwala im dostrzec, że jest bezradna, beznadziejna i pozbawiona widoków na przyszłość; jeżeli wreszcie tępym milczeniem odpowiada na świadome lub nieświadome pytanie, jaki ostateczny, ponadosobowy, absolutny sens mają wszystkie wysiłki i wszelka działalność - to właśnie u ludzi prawych taki stan rzeczy wywołuje prawie zawsze skutek poniekąd paraliżujący, który poprzez sferę intelektualną i etyczną może objąć też fizyczną, organiczną stronę jednostki.

Ażeby mimo to, że epoka i otoczenie nie dają zadowalającej odpowiedzi na pytanie: po co?

mieć chęć dokonania dzieła wielkiego, przerastającego miarę bezpośrednich nakazów - na to trzeba albo być wybitną i niezależną indywidualnością etyczną, co zdarza się rzadko i wymaga podłoża bohaterskiego, albo być obdarzonym potężną żywotnością.

Ani jedno, ani drugie nie było udziałem Hansa Castorpa; tak więc był on chyba jednak przeciętny, choć w dodatnim i nie przynoszącym mu ujemny znaczeniu.

Mówiliśmy tu nie tylko o wewnętrznej postawie naszego młodzieńca w okresie jego pobytu w szkole, ale i o latach późniejszych, kiedy już wybrał sobie zawód.

Co się tyczy szkoły, to musiał nawet czasem powtarzać tę czy ową klasę. Ale jakoś przepychał się naprzód, a pomagało mu w tym jego pochodzenie, jego wytworne obyczaje, a wreszcie wcale duże zdolności do matematyki, z którymi jednak nie łączyła się żadna namiętność. Kiedy już otrzymał świadectwo, uprawniające go do odbycia jednorocznej służby wojskowej, postanowił ukończyć jednak szkołę, prawdę powiedziawszy głównie dlatego, że w ten sposób przedłużał stan tymczasowości i braku decyzji i zyskiwał czas dla zastanowienia się nad pytaniem, czym by najbardziej chciał zostać.

Hans Castorp nie miał o tym żadnego pojęcia, nie wiedział tego nawet w najwyższej klasie, a kiedy wreszcie decyzja zapadła (twierdzić, że to on sam się zdecydował, byłoby może już za wiele), czuł dobrze, że mogłaby była doskonale wypaść zupełnie inaczej.

Trzeba jednakże przyznać, że okręty zawsze bardzo go interesowały.

Już jako mały chłopiec pokrywał kartki swoich notesów rysunkami kutrów rybackich, jedno i wielomaszowców.

Raz, gdy miał lat piętnaście, pozwolono mu przyglądać się z zarezerwowanego miejsca, jak w firmie "Blohm & Voss" spuszczano na wodę nowy dwuśrubowy parowiec pocztowy "Hansa"; namalował potem wodnymi farbami nowy wysmukły okręt z najdrobniejszymi szczegółami, a podobieństwo było tak uchwycone, że konsul Tienappel powiesił ten ładny obrazek w swoim Prywatnym gabinecie; szklista zieleń falującego przezrocza morskiego oddana była tak zręcznie i z takim wdziękiem, że ktoś dopatrzył się w tym nawet talentu i powiedział konsulowi, iż chłopiec może wyrosnąć na doskonałego marynistę.

Konsul Tienappel mógł spokojnie o tej pochwalie opowiedzieć swojemu Wychowankowi, bo Hans Castorp uśmiechnął się tylko dobrodusznie i ani na chwilę nie zastanowił się nad możliwością podobnego wybryku i związanego z nim przymierania głodem.

- Wiele nie posiadasz - mawiał mu nieraz wuj Tienappel.

- Majątek mój odziedziczą kiedyś James i Piotr, to znaczy pieniądze zostaną w przedsiębiorstwie, a Piotr będzie pobierał rentę.

Twoja scheda jest dobrze umieszczona i przynosi ci pewny dochód.

Ale żyć z procentów dzisiaj niełatwo, jeżeli nie ma się przynajmniej pięć razy tyle co ty, a jeżeli chcesz coś

znaczyć w tym mieście i żyć tak, jak jesteś przyzwyczajony, musisz porządnie dorabiać, pamiętaj o tym, syneczku.

Hans Castorp pamiętał o tym i rozglądał się za jakimś fachem, którego ani przed sobą, ani przed ludźmi nie musiałby się wstydić.

Wreszcie wybrał sobie przyszłe zajęcie, a stało się to za namową starego Wilmsa z firmy "Tunder & Wilms",

który odezwał się raz przy wście do konsula Tienappla, że Hans Castorp powinien studiować budowę

okrętów, że to jest myśl wyśmienita, bo weźmie go potem do siebie i będzie już miał oko na chłopca. Hans Castorp z dumą myślał o czekającym go zawodzie i był zdania, że chociaż wściekle skomplikowany i

wyczerpujący, jest to jednak doskonały, ważny i wspaniały zawód, a dla jego spokojnego usposobienia w

każdym razie o wiele odpowiedniejszy niż zawód jego kuzyna Ziemssena, syna przyrodniej siostry jego zmarłej matki, który koniecznie chciał zostać oficerem.

Joachim Ziemssen miał przy tym niezupełnie zdrowe płuca, ale właśnie dlatego najlepsze było dla niego myślał nie bez lekceważenia Hans Castorp - zajęcie związane z przebywaniem na powietrzu, nie wymagające, w gruncie rzeczy, nużącej pracy umysłowej.

Dla pracy bowiem miał Hans Castorp najwyższy szacunek, chociaż jego osobiście praca trochę męczyła.

Wracamy tutaj do naszej poprzedniej uwagi, do przypuszczenia, że ujemny wpływ, jaki duch czasu wywiera na osobiste życie człowieka, może rozciągnąć się na jego stronę fizyczną.

Jakżeż mógłby Hans Castorp nie szanować pracy?

Byłoby to czymś zupełnie nienaturalnym.

Tak jak się rzeczy miały, praca musiała wydawać mu się czymś bezwzględnie najbardziej godnym szacunku; właściwie nic poza nią nie zasługiwało na szacunek, ona była kierującą zasadą i naczelnym probierzem, absolutną wartością epoki, wartością samą w sobie.

Szacunek jego dla pracy miał więc odcień religijny i nie ulegał, jak mu się zdawało, żadnym wątpliwościom.

Ale zupełnie innym pytaniem było, czy lubił pracę; bez względu na cały szacunek, nie był do tego zdolny, a to z tego prostego powodu, że mu szkodziła.

Wyteżona praca denerwowała go i prędko nużyła; przyznawał się też zupełnie otwarcie, że właściwie woli wolny czas, niczym nie zapełniony, nie obciążony pudowym ciężarem wysiłku, otwarty i rozległy, nie posiekany na części przeszkodami, które ze zgrzytaniem zębów trzeba pokonywać.

Ta sprzeczność w jego stosunku do pracy wymaga właściwie rozwiązania.

Płynęła ona stąd może, że zarówno jego umysł, jak i ciało (przede wszystkim umysł, a pośrednio ciało) byłyby bardziej skłonne do pracy i większą w niej znajdowały radość, gdyby na dnie swojej duszy, tam gdzie już się niezupełnie dobrze orientował, umiał wierzyć w pracę jako wartość bezwzględną i samą w sobie i uzyskać w ten sposób spokój wewnętrzny.

I tutaj znowu wyłania się pytanie co do jego przeciętności czy ponadprzeciętności, ale nie chcemy go rozstrzygać.

Bo nie mamy zamiaru wychwalać tu Hansa Castorpa i pozwalamy przypuszczać, że praca stanowiła w jego życiu po prostu pewną przeszkodę w beztroskim paleniu cygar marki "Maria Mancini". Powołania do służby wojskowej zdołał w swoim czasie uniknąć.

Cała jego istota była jej przeciwna i potrafiła zapobiec powołaniu.

A może też doktor Eberding, lekarz sztabowy, który bywał przy Harvestehuder Weg, dowiedział się kiedyś w rozmowie od konsula Tienappla, że nałożenie zbroi stanowiłoby dla młodego Castorpa przykrą przerwę w studiach, które dopiero co rozpoczął poza rodzinnym miastem.



Jego mózg, pracujący powoli i z umiarem, jako że Hans Castorp i w nowym otoczeniu zachował uspokajający zwyczaj używania do śniadania porteru, wypełnił się geometrią analityczną, rachunkiem różniczkowym, mechaniką, geometrią wykreślną, grafostatyką, i chociaż czasami miał już tego po uszy, obliczał odchylenia z obciążeniem i bez obciążenia, stałość równowagi, przesuwanie ładunku i metacentrum.

Jego rysunki techniczne, te wszystkie szkice szpąg, poziomu zanurzenia i przekroje podłużne, nie były równie udane jak ów obrazek przedstawiający "Hansę" na pełnym morzu, ale gdy chodziło o unaocznienie tworów abstrakcji, o cieniowanie tuszem i przedstawienie przekrojów poprzecznych za pomocą żywych, naturalnych barw - Hans Castorp prześcigał większość swoich kolegów.

Kiedy podczas wakacji przyjeżdżał do domu, bardzo elegancki i świetnie ubrany, z krótkim rudobłond wąsikiem, ożywiającym jego senny, patrycjuszowski wyraz twarzy, i niewątpliwie w przededniu świetnej kariery życiowej, wtedy współobywatele, którzy zajmowali się sprawami komunalnymi i byli dobrze poinformowani o stosunkach rodzinnych i osobistych (a w wolnych miastach posiadających autonomię większość mieszkańców orientuje się w tych kwestiach), przyglądali mu się uważnie i zadawali sobie pytanie, jaką też rolę odegra kiedyś młody Castorp w życiu publicznym.

Miał przecie za sobą tradycje, nazwisko jego było stare i dobre, wiadano, że niechybnie nadejdzie taki dzień, kiedy z jego osobą trzeba będzie się liczyć jako z czynnikiem politycznym.

Będzie wtedy zasiadał w radzie lub w jej zarządzie, będzie wydawał ustawy, będzie obleczony w jakąś honorową godność, brał udział w troskach związanych z suwerennością miasta, będzie członkiem jakiegoś wydziału administracyjnego, może delegacji finansowej, a może komisji budowlanej, ludzie będą go słuchali i liczyli się z jego zdaniem.

Można się było zastanawiać, do jakiej partii przyłączy się ten młody Castorp.

Pozory mogły mylić, ale prawdę mówiąc, wyglądał całkiem tak, jak nie wygląda nikt, na kogo mogą liczyć demokraci, i podobieństwo do dziadka było niezaprzeczalne.

Może będzie się na nim wzorował, może będzie elementem konserwatywnym, hamującym?

Było to zupełnie możliwe, ale równie dobrze mogło stać się wręcz przeciwnie, bo przecie był inżynierem, przyszłym budowniczym okrętów, człowiekiem związanym z zagadnieniami techniki i światowej komunikacji.

Więc może się zdarzyć, że Hans Castorp przyłączy się do radykałów, że będzie bezwzględnie zrównywał z ziemią stare budowle i niszczył romantyczne piękno krajobrazu, pozbawiony wszelkiego pietyzmu, jak Amerykanin; może będzie wolał raz na zawsze zerwać z szacownymi tradycjami niż dbać o powolny rozwój naturalnych warunków życiowych, może będzie skłonny do narażania państwa na ryzykowne eksperymenty - tak, to też było możliwe.

Czy będzie miał we krwi poszanowanie dla przedstawicieli Jego Mości Rozsądku, przed którymi podwójna straż u wejścia do ratusza prezentuje broń, czy też raczej zbliży się do opozycyjnego odłamu obywatelstwa?

Z jego niebieskich oczu pod rudawo blond brwiami nie można było wyczytać żadnej odpowiedzi na te pytania, budzące ciekawość współobywateli, a i on sam, Hans Castorp, ta niezapisana kartka, nie umiałby ich rozstrzygnąć.

- Kiedy puścił się w podróż, podczas której poznaliśmy go, miał rok dwudziesty trzeci.

Miał już poza sobą cztery półroczna studiów na politechnice gdańskiej i cztery następne, które spędził w wyższych szkołach politechnicznych w Brunświku i Karlsruhe, a niedawno zdał pierwszy z egzaminów ostatecznych, nie nadzwyczajnie i bez tuszu orkiestry, ale z zupełnie przyzwoitym rezultatem.

Teraz miał zamiar wstąpić na praktykę do firmy "Tunder & Wilms", jako inżynier wolontariusz, aby w stoczni zdobyć wiedzę praktyczną.

W tym miejscu w życiu Hansa Castorpa dokonał się zwrot następujący.

Do egzaminu uczył się intensywnie i wytrwale, więc kiedy wrócił do domu, wyglądał gorzej, niż przystało jego typowi.

Doktor Heidekind robił mu wyrzuty, ilekroć go spotykał, i zalecał mu zmianę klimatu, ale gruntowną.

Tym razem Norderney ani Wyk na wyspie Fohr nie mogą wystarczyć, a jeżeli go się już radzą, to jego zdaniem Hans Castorp przed rozpoczęciem pracy w warsztatach powinien na kilka tygodni pojechać

w góry.

Konsul Tienappel nie miał nic przeciwko temu, powiedział tylko siostrzeńcowi, że drogi ich tego lata muszą się rozejść, ponieważ on nawet czterema końmi nie da się wciągnąć tak wysoko; jego organizm nie znosi gór, wymaga przyzwoitego ciśnienia.

Więc niech Hans Castorp będzie łaskaw sam jechać.

I niech odwiedzi przy tym Joachima Ziemssena.

Propozycja ta była zupełnie na miejscu.

Joachim Ziemssen był mianowicie chory, nie tak jak Hans Castorp, tylko naprawdę, i to bardzo poważnie; stan jego zdrowia budził nawet wielkie obawy.

Zawsze miał skłonność do katarów i gorączki, a kiedy pewnego dnia pokazała się krew w płwocinie, musiał na łeb, na szyję jechać do Davos, ku swojemu wielkiemu zmartwieniu, bo właśnie był u celu swych dążeń.

Przez kilka semestrów, zgodnie z wolą rodziny, studiował prawo, ale potem nie mógł już dłużej opierać się swoim najgorętszym pragnieniom; rzucił uniwersytet i wstąpił do szkoły podchorążych. A teraz od przeszło pięciu miesięcy siedział w Międzynarodowym Sanatorium "Berghof" (lekarz naczelny: radca dworu doktor Behrens) i nudził się śmiertelnie, jak donosił w kartkach pocztowych. Jeżeli więc Hans Castorp przed wstąpieniem do firmy "Tunder & Wilms" chciał już zrobić coś niecoś dla swego zdrowia, to było najrozsądniej, żeby również pojechał do Davos i Pobył trochę ze swym biednym kuzynem, dla obu stron było tak najlepiej.

Lato dobiegało już zenitu, kiedy Hans Castorp zdecydował się w ostatnich dniach lipca na tę podróż, pojechał na trzy tygodnie.

Rozdział trzeci.

Godne zasępienie się.

Hans Castorp bał się, że się obudzi za późno, bo był przecież tak straszliwie zmęczony. Wstał jednak wcześniej, niż było potrzeba, i miał dosyć czasu, aby spokojnie i dokładnie wykonać swoje poranne zabiegi toaletowe, zabiegi niezmiernie kulturalne, w których odgrywały główną rolę gumowa wanianka, zielone mydło lawendowe w drewnianej miseczce i pędzel do golenia.

Myjąc się i ubierając rozpakowywał jednocześnie i porządkował swoje rzeczy.

Kiedy przesuwał srebrzoną brzytwą po policzkach, okrytych pachnącą pianą mydlaną, przypomniał sobie swoje pogmatwane sny i, uśmiechając się z politowaniem, z uczuciem wyższości człowieka, który goli się w dziennym świetle rozsądku, potrząsał głową nad tym stekiem nonsensów.

Nie czuł się zanadto Wypoczęty, ale rano nappełniał go jednak świeżością.

Wycierając sobie ręce ręcznikiem, z upudrowanymi Policzkami, w fildekosowych kalesonach i czerwonych safianowych pantoflach wyszedł na balkon, który przebiegał wzdłuż całej ściany domu; ścianki z matowego szkła, nie dochodzące do samej bariery, dzieliły go na szereg odcinków, z których każdy należał do innego

pokoju.

Ranek był chłodny i chmurny.

Długie ławice mgły leżały nieruchomo z obu stron przed górami, a dalej leżące szczyty pokrywała skłębiona masa białych i szarych chmur.

Tu i ówdzie wyglądały plamy lub pasma błękitnego nieba, a w promieniach przedzierającego się słońca domy położone w dolinie połyskiwały bielą na tle ciemnych lasów świerkowych, porastających zbocza.

Skądś dolatywały dźwięki porannej muzyki, prawdopodobnie z tego samego hotelu, w którym i wczoraj wieczór odbywał się koncert.

Po przytłumionych akordach chorału nastąpiła pauza, po czym zagrano marsza i Hans Castorp, który bardzo lubił muzykę, bo działała na niego podobnie jak porter do śniadania: uspokajała go, oszołamiała i skłaniała do zagapienia się - słuchał zadowolony, z głową pochyloną na bok, z otwartymi ustami i trochę zaczerwienionymi oczami.

W dole wiła się serpentyna drogi, którą wczoraj jechał do sanatorium.

W wilgotnej trawie zbocza kwitły gwiazdziste gencjany na krótkich łodygach.

Część terenu, zamieniona w ogród, była otoczona parkanem; widać było ścieżki wysypane żwirem, klomby kwiatów i sztuczną grootę u stóp okazałej jodły.

Wielka, blachą kryta weranda, na której stały leżaki, otwierała się na południe, a obok niej sterczał brązowo pomalowany słup, z którego zwisała niekiedy chorągiew - fantazyjna chorągiew zielona i biała, z laską Eskulapa, emblematem medycyny, pośrodku.

Po ogrodzie spacerowała jakaś starsza pani o wyglądzie ponurym, a nawet tragicznym.

Była ubrana całkiem czarno, czarne szpakowate włosy owinięte miała czarnym woalem i bezustannie przemierzała równym i szybkim krokiem ścieżki, zginając przy tym kolana i sztywnie zwieszając ku dołowi ręce.

Spod czoła, poprzecinanego poprzecznymi bruzdami, nieruchomo patrzyły czarne jak węgiel oczy, pod którymi zwisały worki pomarszczonej skóry.

Jej starzejąca się, blada twarz, o typie południowym, z dużymi zgorzkniałymi ustami, których jeden kąt opuszczony był w dół, przypominała Hansowi Castorpowi widzianą gdzieś podobiznę pewnej sławnej tragiczki; widok tej czarnej i bladej kobiety, która zapewne bezwiednie stawiała swe długie, stroskane kroki w takt dolatującego marsza, był zaiste niesamowity.

Hans Castorp spoglądał na nią z zadumą i współczuciem; miał wrażenie, że smutek tej postaci rzuca cień na poranne słońce.

Równocześnie jednak doszło do jego świadomości coś innego, coś wyraźnie dosłyszalnego, jakiegoś odgłosy pochodzące z sąsiedniego pokoju po lewej stronie, zajmowanego, jak mu powiedział Joachim, przez rosyjskie małżeństwo.

Odgłosy te stanowiły również kontrast z wesołym, świeżym porankiem i sprawiały wrażenie czegoś lepkiego i brudnego.

Hans Castorp przypomniał sobie, że je słyszał już wczoraj wieczorem, ale skutek zmęczenia nie zwrócił na nie uwagi.

Było to jakby zmaganie się, chichotanie i sapanie, i nieprzyzwoite znaczenie tych dźwięków nie mogło długo pozostawać dla niego niejasne, chociaż z początku, z wrodzonej dobroduszości, starał się wytłumaczyć je sobie niewinnie.

Można by dobroduszości dać jeszcze jedno miano, można by ją na przykład nieco banalnie nazwać wewnętrzną czystością albo, poważnie i pięknie: wstydlivością, albo, niepochlebnie: niechęcią do prawdy i świętoszkowatością, albo nawet pewnego rodzaju mistycznym lękiem i religijnością.

W reakcji Hansa Castorpa na te odgłosy było po trosze z tego wszystkiego, a fizjonomicznym jej

wyrazem było godne zasepienie się jego oblicza, jak gdyby nie powinien był i nie chciał nic wiedzieć o tym, co słyszał

- mina wielce obyczajna, która nie była zupełnie oryginalna, którą jednak przybierał zwykle w pewnych okolicznościach.

- Z taką więc miną cofnął się do pokoju, żeby nie Podłuchiwać dłużej czynności, które, chociaż towarzyszyły im chichoty, wydawały mu się poważne, a nawet wstrząsające.

Ale w pokoju było słycać jeszcze wyraźniej, co się działo za ścianą.

Było to jakby uganianie się dokoła mebli, przewróciło się jakieś krzesło, potem ktoś kogoś schwycił, rozległo się klepanie i pocałunki, a do tego wszystkiego dołączyły się teraz dźwięki walca, ograne melodie znanego szlagiera, i stworzyły muzyczne tło dla niewidocznej sceny.

Hans Castorp stał w miejscu, z ręcznikiem w ręku, i słuchał wbrew swej woli.

Nagle zaczerwienił się pod warstwą pudru, bo nastąpiło to, czego oczekiwał, i zabawa z całą pewnością przeszła w akt zwierzęcy.

Psiakrew, do diabła!

- pomyślał i odwrócił się, aby umyślnie hałaśliwie dokończyć swej toalety.

No, to mąż i żona, na szczęście, pod tym względem wszystko jest w porządku.

Ale w jasny dzień, to trochę za wiele, i zdaje mi się, że wczoraj wieczorem także nie zachowywali się spokojnie.

Przecie skoro są tutaj, muszą być chorzy, w każdym razie jedno z nich, więc powinni by się trochę szanować.

Ale najgorsze z tego wszystkiego, myślał ze złością, jest to, że ściany są takie cienkie i że wszystko dokładnie słycać.

Tego nie będzie przecież można wytrzymać!

Oszczędny sposób budowania, haniebnie oszczędny!

Czy też zetknę się z tymi ludźmi lub nawet będę im przedstawiony?

To byłoby w najwyższym stopniu nieprzyjemne.

W tej chwili Hans Castorp zdziwił się, zauważył bowiem, że zaczerwienienie jego policzków, które wystąpiło po goleniu, nie znika - zaczerwienienie czy też tylko towarzyszące mu uczucie palenia twarzy; były to takie same wypieki jak te, które mu dokuczały już wczoraj wieczorem; opuściły go tylko chwilowo na czas snu i przy tej sposobności znowu się pojawiły.

To go bynajmniej nie nastroiło bardziej przyjaźnie względem rosyjskich sąsiadów; wydawszy wargi rzucił w ich stronę jakieś brzydkie wyzwisko, po czym popełnił poważny błąd, bo próbował zimną wodą chłodzić sobie twarz, co jeszcze pogorszyło jego przykry stan.

Dla tego też odpowiedział głosem zdradzającym rozdrażnienie Joachimowi, który zawołał pukając przy tym w ścianę, a kiedy kuzyn wszedł do jego pokoju, Hans Castorp nie zupełnie wyglądał na człowieka tchnącego poranną świeżością.

Śniadanie.

Dzień dobry - powiedział Joachim.

- To więc była twoja pierwsza noc tutaj w górze.

Czy jesteś zadowolony?

Joachim był gotów do zejścia, ubrany po sportowemu, w grubych, mocnych butach, a przez ramię przewieszona miał angielskie palto, w którego kieszeni zarysowywała się wyraźnie płaska flaszcza.

Również i dzisiaj był bez kapelusza.

- Dziękuję - odrzekł Hans Castorp - jako tako.

Nie chcę przesądzać sprawy, ale miałem trochę przykre sny, a poza tym dom ma tę wadę, że jest zanadto akustyczny, to trochę przeszkadza.

Kto to jest ta czarna dama tam w ogrodzie?

Joachim domyślił się natychmiast, o kogo chodzi.

- A, to jest Touslesdeux - odpowiedział.

- Tak ją tu wszyscy nazywamy, bo tylko te słowa można od niej usłyszeć.

Jest Meksykanką, nie umie ani słowa po niemiecku, a po francusku także prawie nic.

Jest tu od pięciu tygodni u swego starszego syna, beznadziejnie chorego, który już wkrótce skończy; ma to już wszędzie; można powiedzieć, że jest na wskroś zatruty, a Behrens mówi, że to przy końcu wygląda prawie tak jak tyfus, w każdym razie dla otoczenia zupełnie nieznośnie.

Przed dwoma tygodniami przyjechał tu drugi syn, bo chciał jeszcze zobaczyć się z bratem - prześliczny chłopak, jak i tamten zresztą - obaj są prześlichni, mają tak ogniste spojrzenie, że kobiety szalały za nimi.

Otóż ten młodszy kaszlał trochę już na dole, ale poza tym był zupełnie zdrowy.

I wyobraź sobie, zaledwie się tutaj znalazł, dostał gorączki, i to od razu 39,5, najwyższa gorączka, rozumiesz - położył się do łóżka i, jak mówi Behrens, jeżeli się jeszcze w ogóle podniesie, to będzie sobie mógł powinszować.

W każdym razie, mówi Behrens, był już najwyższy czas, żeby tu przyjechał.

Tak, a ich matka, o ile nie siedzi przy nich, chodzi ciągle tam i z powrotem i gdy do niej przemówić, odpowiada tylko: Tous les deux!

, bo nic więcej nie umie powiedzieć, a chwilowo nie ma tu nikogo, kto by mówił po hiszpańsku.

- Ach, więc to tak się rzeczy mają - powiedział Hans Castorp.

- Czy też ona i mnie powie to samo, kiedy ją poznam?

To byłoby dziwne - zabawne i niesamowite zarazem.

- I znowu poczuł, jak wczoraj, że oczy mu ciążyą i palą go, jak po długim płaczu, i znowu nabrały owego blasku, który rozniecił w nich wczoraj niezwykle kaszel sportsmena.

Teraz dopiero odnalazł kontakt z dniem wczorajszym, poczuł się na płaszczyźnie aktualnej rzeczywistości, bo od przebudzenia się aż do tej chwili jakoś nie bardzo tak było.

- Zresztą, jestem gotów - oznajmił, skropił chustkę wodą lawendową i zwilżył sobie czoło i policzki pod oczyma.

- Jeżeli chcesz, możemy tous les deux zejść na śniadanie - żartował swawolnie.

Joachim spojrzał na niego łagodnie i uśmiechnął się zagadkowo, melancholijnie i jakby trochę drwiąco dlaczego, to była już jego rzecz.

Hans Castorp, sprawdzwszy, że ma pełną papierośnicę w kieszeni, wziął laskę, palto, a na przekór i kapelusz - był bowiem zanadto pewny swoich form i swego ułożenia, żeby tak łatwo i na przeciąg trzech krótkich tygodni poddać się nowym i obcym zwyczajom, i wyszedł razem z kuzynem.

Schodząc na dół Joachim wskazywał na niektóre drzwi i wymieniał nazwiska mieszkańców, niemieckie i cudzoziemskie, o najróżniejszym brzmieniu, dodając przy tym uwagi o charakterach tych osób i stopniu choroby.

Spotykali gości wracających już ze śniadania; Hans Castorp grzecznie zdejmował kapelusz, kiedy Joachim mówił komuś dzień dobry.

Był lekko niespokojny i nerwowy, jak młody człowiek, który ma się właśnie przedstawić licznemu towarzystwu, a czuje przy tym wyraźnie, że ma mętne spojrzenie i wypieki na twarzy, co zresztą słuszne było tylko częściowo, bo był raczej blady.

- Ach tak, póki nie zapomnę!

- powiedział nagle z pewną gwałtownością w głosie.

- Możesz mnie przedstawić tej pani w ogrodzie, jeśli tak się złoży, nie mam nic przeciwko temu.

Może nawet wciąż powtarzać swoje tous les deux, niech tam, jestem przecież na to przygotowany, rozumiem znaczenie tych słów i potrafię zrobić właściwą minę.

Ale z tym rosyjskim małżeństwem nie chcę zawierać znajomości, słyszysz?

Kategorycznie nie chcę.

To są ludzie bardzo źle wychowani, a jeżeli już muszę przez te trzy tygodnie mieszkać w ich sąsiedztwie i inaczej tego nie można urządzić, to przynajmniej nie chcę znać się z nimi.

Wypraszam to sobie z całą stanowczością i uważam, że mam do tego zupełne prawo...

- Dobrze - odparł Joachim.

- Czy aż tak bardzo ci przeszkadzali?

Tak, to są poniekąd barbarzyńcy, jednym słowem ludzie niecywilizowani, uprzedzałem cię przecie.

On schodzi do jadalni w jakiejś skórzanej kurtce, okropnie wytartej, mówię ci - zawsze mnie dziwi, że Behrens na to pozwala.

A ona też nie jest z tych najschludniejszych, pomimo swego kapelusza z piórem.

Ale możesz być zupełnie spokojny, oni siedzą daleko od nas, przy gorszym rosyjskim stole - bo jest także lepszy stół rosyjski, przy którym siedzą bardziej nobliwi Rosjanie.

Nie ma żadnej możliwości, żebyś się do nich zbliżył, nawet gdybyś tego chciał.

Tutaj w ogóle niełatwo jest zawierać znajomości, chociażby dlatego, że między gośćmi jest tylu cudzoziemców; ja sam, chociaż już tu siedzę tak dawno, osobiście znam bardzo niewiele osób.

- Kto z nich dwojga jest chory?

- zapytał Hans Castorp.

- On czy ona?

- Zdaje mi się, że on.

Tak, tylko on - odpowiedział Joachim z widocznym roztargnieniem, podczas gdy się rozbierali w garderobie przed jadalnią.

A potem weszli do jasnej, łagodnie sklepionej sali, w której rozlegało się mnóstwo głosów, dźwięczały talerze, a kelnerki uwijały się z dymiącymi dzbankami.

W jadalni stało siedem stołów, pięć wzdłuż, a dwa w poprzek sali.

Były to stoły duże, obliczone każdy na dziesięć osób, chociaż gdzieniegdzie brakowało nakryć. Hans Castorp przeszedł tylko kilka kroków, na ukos przez salę, i był już na swoim miejscu; wyznaczono mu je po wąskiej stronie stołu, który stał wzdłuż pokoju, z przodu, pomiędzy dwoma stołami poprzecznymi.

Stanąwszy za swoim krzesłem, Hans Castorp uklonił się sztywno, ale grzecznie swoim współbiednikom, zaledwie na nich patrząc, a Joachim wymienił ceremonialnie nazwiska, które nie doszły jednak do świadomości nowo przybyłego.

Zauważył jedynie panią Stohr, zarówno jej osobę, jak i nazwisko, i spostrzegł, że miała czerwone policzki i

tłuste, szaro blond włosy.

Twarz jej wyrażała tak tępą ignorancję, że z łatwością uwierzyć było można w braki jej wykształcenia. Hans Castorp usiadł i z przyjemnością stwierdził, że pierwsze śniadanie traktowano tu jako ważny posiłek.

Roznoszono ryż na mleku i owsiankę, półmiski z jajecznicą i zimnym mięsem, na stole rozstawione były

czarki z marmoladą i miodem oraz masło w ogromnych ilościach; ktoś uniósł szklany klosz, aby

ukroić  
sobie kawałek wilgotnego sera szwajcarskiego, a środek stołu zajmował talerz ze świeżymi i suszonymi owocami.

Jedna z usługujących panienek, ubrana biało i czarno, spytała Hansa Castorpa, co będzie pił: kakao, kawę czy herbatę?

Była niziutka, miała wzrost dziecka, ale twarz starą i wydłużoną - karlica, jak z przerażeniem stwierdził Hans Castorp.

Spojrzał na kuzyna, ale ponieważ ten wzruszył tylko obojętnie ramionami i ściągnął brwi, jakby chciał powiedzieć: "No, więc cóż z tego"?

- musiał pogodzić się z faktami i poprosił o herbatę, z wyszukaną grzecznością - ponieważ mówił z karlicą. Potem zabrał się do ryżu na mleku, z cynamonem i cukrem, podczas gdy jego spojrzenie błędziło po innych potrawach, na które miał ochotę, a również po gościach, kolegach i towarzyszach niedoli Joachima, z których każdy trawiony był chorobą, a wszyscy jedli śniadanie wśród spokojnej pogawędki.

Sala jadalna była utrzymana w tym nowoczesnym stylu, w którym prostota i rzeczowość łączą się z pewną domieszką fantazji.

W stosunku do swej długości była niezbyt szeroka; otaczał ją rodzaj krużganku, w którym stały pomocnicze stoliki i który wielkimi łukami oddzielony był od wnętrza sali, zastawionego siedmiu długimi stołami.

Słupy do połowy wysokości obłożone były drzewem, politurowanym na drzewo sandałowe, a wyżej, podobnie jak i górna część ścian i sufitu, pobielane; na ich białym tle widniały różnokolorowe pasy, niewyszukane i wesołe szablony, które zachodziły aż na zebra płaskiego sklepienia.

Kilka świeczników elektrycznych z błyszczącego mosiądzu zdobiło salę; każdy z nich składał się z trzech pierścieni, umieszczonych jeden pod drugim i połączonych misterną plecionką a z ostatniego pierścienia zwisały, jak małe księżycy, kłosze z mlecznego szkła.

W pokoju było czworo drzwi.

Dwoje w jednej ze ścian dłuższych prowadziło na wysuniętą poza dom werandę, jedno po lewej stronie do hallu, czwarte wreszcie, którymi wszedł Hans Castorp - wprost do sieni - bo Joachim poprowadził go dzisiaj innymi schodami niż wczoraj wieczorem.

Po jego prawej ręce siedziała jakaś niepozorna osóbka, czarno ubrana, z puszką na pałającej gorączką twarzy; wydała mu się szwaczką lub domową krawcową, może także dlatego, że śniadanie jej składało się wyłącznie z kawy i bułek z masłem, a od niepamiętnych czasów wyobrażenie domowej krawcowej

łączyło się u niego z wyobrażeniem kawy i bułek z masłem.

Z lewej strony siedzieli: jakaś niemłoda już panna, Angielka, bardzo brzydka, z chudymi, odmrożonymi palcami - czytała listy z domu, pisane okrągłymi literami, i popijała mocną herbatę koloru krwi, dalej Joachim, a obok niego pani Stohr, ubrana w szkocką wełnianą bluzkę.

Podczas jedzenia trzymała przy twarzy lewą dłoń zwiniętą w kułak i kiedy z kimś rozmawiała, wyraźnie starała się robić inteligentną minę, podnosząc górną wargę i obnażając przy tym wąskie i długie, zajęcze zęby.

Obok niej zajął miejsce i jadł w milczeniu jakiś młodzieniec z małym wąsikiem i wyrazem twarzy człowieka, który ma w ustach coś niesmacznego.

Wszedł do sali, kiedy Hans Castorp był już przy stole; w przejściu, nie patrząc na nikogo, uklonił się krótkim ruchem głowy i usiadł, dając swoim zachowaniem się wyraźnie do zrozumienia, że nie chce, aby mu przedstawiono nowego gościa.

Może był zbyt ciężko chory, by interesować się jeszcze otoczeniem i przywiązywać wagę do zewnętrznych form.

Przez chwilę siedziała naprzeciwko niego wyjątkowo chuda młoda panienka z jasnymi włosami, która wylała sobie na talerz butelkę jogurtu, prędko go zjadła łyżką i natychmiast odeszła.

Towarzystwo przy stole nie było zbyt ożywione.

Joachim prowadził konwencjonalną rozmowę z panią Stohr, pytał ją, jak się czuje, i okazał uprzejmie Współczucie, słysząc, że niedobrze.

Skarżyła się na "okłapnięcie".

"Jestem taka kłapnięta"!

- powiedziała ciągnąc sylaby i krygując się bardzo niekulturalnie.

Miała rano już 37,3, więc co dopiero będzie przy obiedzie.

Szwaczka oznajmiła, że ma zupełnie taką samą temperaturę, ale że, przeciwnie, czuje się podniecona, że jest w ciągłym naprężeniu i niepokoju, jak gdyby oczekiwała czegoś ważnego i rozstrzygającego, jest to jednak niepokój czysto fizyczny, bez żadnych przyczyn psychicznych.

Mówiła zupełnie poprawnie, prawie uczenie, więc chyba nie była szwaczką.

Jej podniecenie, a więcej jeszcze opowiadanie o nim, nie podobało się Hansowi Castorpowi, wydało mu się nie na miejscu, a nawet bardzo niewłaściwe u tak niepozornego i nic nie znaczącego stworzenia.

Zapytał po kolei szwaczkę i panią Stohr, jak długo są już tutaj w górze (pierwsza mieszkała w sanatorium od pięciu, a druga od siedmiu miesięcy), pogrzebał w swej angielszczyźnie, żeby się poinformować u sąsiadki na prawo, jaką to ona pije herbatę (był to odwar z głogu), i czy jest smaczna, co znów ona z zapałem potwierdziła, i rozglądał się wokół; jedni goście wchodzili do sali, inni z niej wychodzili:



pora  
pierwszego śniadania nie była ściśle określona.  
Przed zejściem na dół Hans Castorp obawiał się przykrych wrażeń, ale teraz był mile rozczarowany:  
nastrój  
w jadalni był zupełnie wesoły i nie miało się uczucia, że się jest w jakimś przybytku udręki. Brązowa  
od słońca młodzież obojga płci wchodziła tu podśpiewując, wdawała się w rozmowy z  
kelnerkami i z niesłychanym apetytem zabierała się do śniadania.  
Obok chłopców dopiero dorastających nie brakło też osób starszych, małżeństw; pewna rodzina,  
wraz z  
dziećmi, mówiła po rosyjsku.  
Prawie wszystkie panie miały na sobie obcisłe wełniane lub jedwabne kaftaniki, wchodzące  
wówczas w  
modę swetry, białe i kolorowe, z wykładanymi kołnierzami i z kieszeniami po bokach; wyglądały  
ładnie,  
kiedy stały i gawędziły z sobą, trzymając obie ręce w tych kieszeniach.  
Przy niektórych stołach pokazywano sobie fotografie, z pewnością nowe zdjęcia własnej roboty; przy  
jednym ze stołów wymieniano między sobą znaczki pocztowe.  
Rozmawiano o pogodzie, o tym, jak kto spał dzisiaj w nocy i jaką miał rano temperaturę w ustach.  
Goście byli przeważnie w dobrym humorze, prawdopodobnie bez specjalnego powodu i tylko  
dlatego, że  
nie mieli żadnych bezpośrednich kłopotów i że towarzystwo było tu licznie zebrane.  
Niektórzy siedzieli jednak odosobnieni, z głowami wspartymi na dłoniach, i nieruchomo patrzyli  
przed  
siebie.  
Nie przeszkadzano im w tym i nie zwracano na nich uwagi.  
Nagle Hans Castorp wstrząsnął się, rozzłoszczony i zarazem obrażony.  
Jakieś drzwi trzasnęły - były to drzwi prowadzące wprost do hallu - ktoś trzasnął nimi mimo woli  
albo  
nawet zatrasnął je za sobą; był to rodzaj hałasu, którego Hans Castorp nie znosił, którego przez całe  
życie  
nienawidził.  
Ta nienawiść mogła być owocem dobrego wychowania albo też jakiejś wrodzonej idiosynkrazji -  
dość że  
miał wstręt do trzaskania drzwiami i gotów był bić każdego, kto się go dopuścił w jego obecności.  
Na domiar złego, drzwi, o których mowa, były oszklone wielką ilością małych szybek, co jeszcze  
bardziej  
przyczyniło się do wzmożenia hałasu: był to trzask i brzęk jednocześnie.  
Pfe, pomyślał Hans Castorp z wściekłością, cóż to za wstrętne niedbalstwo!  
Ale nie miał czasu na stwierdzenie, kto był tym winowajcą, bo w tej samej chwili szwaczka o coś go  
zagadnęła.  
Kiedy jej odpowiadał, pionowe zmarszczki między jasnymi brwiami przecinały jeszcze jego czoło, a  
twarz  
wykrzywiona była grymasem złości.  
Joachim zapytał, czy lekarze odbyli już wizytę.  
Tak, pierwszy raz już tu byli, odpowiedział mu ktoś; opuścili salę nieomal w chwili, w której obaj

kuzyni  
weszli.

- W takim razie możemy już wstać i odejść - powiedział Joachim.

Okazja do przedstawienia Hansa nadarzy się w ciągu dnia.

Ale we drzwiach o mało nie zderzyli się z radcą dworu Behrensem, który szybko wchodził w towarzystwie

doktora Krokowskiego.

- Hopla, ostrożnie, panowie!

- rzekł Behrens.

- To mogłoby się smutno skończyć dla naszych odcisków.

- Mówił akcentem wyraźnie dolnosaskim, szeroko i jakby żując.

- A, to pan!

- zwrócił się do Hansa Castorpa, którego mu Joachim, stuknąwszy obcasami, właśnie prezentował -  
bardzo

mi przyjemnie.

- I podał młodemu człowiekowi rękę, wielką jak łopata.

Był to człowiek kościsty, o dobre trzy głowy wyższy od doktora Krokowskiego, już zupełnie siwy, z grubym karkiem, wypukłymi, niebieskimi, zażawionymi i przekrwionymi oczami, zadartym nosem i krótko przystrzyżonym wąsikiem, tworzącym krzywą linię wskutek jednostronnego uniesienia górnej wargi.

To, co Joachim powiedział o jego policzkach, było zupełną prawdą: były sine; tak więc jego głowa odcinała

się barwnie od białego chirurgicznego fartucha, sięgającego poza kolana; poniżej widać było szare spodnie

w paski i nogi olbrzymiej wielkości, tkwiące w żółtych, podniszczonych sznurowanych butach.

doktor Krokowski był również w stroju lekarskim, ale jego chałat był czarny, z błyszczącego materiału

miał krój jakby koszuli i gumki u przegubów rąk - i silnie uwydatniał bladość asystenta.

doktor Krokowski zachowywał się tak właśnie, jak asystentowi przystało, nie brał bynajmniej udziału w

powitaniu, ale krytyczne skrzywienie jego ust świadczyło, że swoje podrzędne stanowisko odczuwał jako

coś dziwnego.

- Kuzyni?

- spytał radca dworu, wskazując palcem to na jednego, to na drugiego i spoglądając od dołu swymi przekrwionymi niebieskimi oczami...

- Czy i ten chce także?

- zwrócił się do Joachima, dając znak głową w kierunku Hansa Castorpa...

- Ale gdzie tam!

Co, prawda?

Od razu spostrzegłem - zaczął mówić już wprost do Hansa Castorpa - że pan ma w sobie coś z cywila, coś

wytworzonego, nie chciałby pan pobrzękiwać szabelką, jak ten oto syn Marsa.

Lepszy byłby z pana pacjent niż z tamtego, na pewno, mogę się założyć.

Mam już takie oko, że od razu poznaję, czy ktoś jest materiałem na przyzwoitego pacjenta, bo do tego

trzeba mieć talent, jak do wszystkiego, a ten Myrmidon nie ma go ani troszeczkę.

Może do musztry, tego nie wiem, ale na pewno nie do chorowania.

Czy pan da wiarę, że on ciągle chce stąd uciekać?

Wiecznie mnie zanudza i zamęcza i już nie może doczekać się chwili, kiedy go tam na dole znowu wezmą

w obroty.

Co za nadmiar gorliwości!

Nawet pół roku nie chce nam poświęcić.

A przecie tu u nas wcale nie jest źle.

No, Ziemssen, niech pan sam powie, czy u nas jest źle?

Pański kuzyn na pewno zdoła nas lepiej ocenić i potrafi tutaj przyjemnie czas spędzić!

Pań nie brak tu także, i to najmilszych, jakie w ogóle istnieją.

Przynajmniej z zewnątrz przedstawiają się niektóre bardzo malowniczo.

Ale pan musi koniecznie nabrać trochę kolorów, bo inaczej nie będzie pan miał powodzenia.

Wprawdzie złote drzewo życia jest wiecznie zielone, jak powiedział Goethe, ale zielona cera nie jest bynajmniej na miejscu.

Najwyraźniejsza anemia - rzekł, obcesowo podchodząc do Hansa Castorpa i ściągając mu

środkowym i

wskazującym palcem dolną powiekę.

- Naturalnie, najwyraźniejsza anemia, jak mówiłem.

Wie pan co?

To wcale nie było takie głupie z pana strony, że pan na pewien czas rozstał się ze swoim

Hamburgiem. Ten Hamburg to wcale niezła instytucja: jego wilgotna meteorologia dostarcza nam

stale dość liczne

kontyngentu pacjentów.

Ale jeżeli mi wolno przy tej sposobności udzielić panu skromnej porady - tak zupełnie sine pecunia,

rozumie pan - to niech pan tu przez czas swego pobytu robi to wszystko, co robi pana kuzyn. Na pana

miejscu nie można uczynić nic rozsądniejszego niż żyć przez pewien czas tak jak przy lekkiej

tuberculosis pulmonum i trochę wzbogacić się w białko.

To jest mianowicie rzecz zadziwiająca z tą przemianą białkową tutaj na górze...

Chociaż ogólne spalanie jest wzmożone, organizm jednak odkłada białko...

No, Ziemssen, spał pan dobrze, wyspał się pan, co?

A więc marsz na spacer!

Ale nie dłużej niż pół godziny!

A potem wsadzić sobie w twarz rtęciowe cygaro!

I zawsze skrupulatnie zapisywać.

Ziemssen!

Jak na służbie, sumiennieść przede wszystkim!

W sobotę obejrzę pański wykres!

A pana kuzyn niech sobie także pomierzy.

Mierzenie nigdy nie zaszkodzi.

Do widzenia panom!

Wesołej zabawy!

Do widzenia...

do widzenia...

- I doktor Krokowski powędrował za radcą dworu, który popłynął dalej, wymachując rękami, z dłońmi zwróconymi ku tyłowi, i pytając się na prawo i na lewo, czy się dobrze spało, na co wszyscy odpowiadali potakująco.  
Przekomarzanie się.  
Wiatyk.  
Zmacona wesołość.

Bardzo miły człowiek - odezwał się Hans Castorp, kiedy główną bramą wyszli na powietrze, grzecznie pozdrowieni po drodze przez kulawego portiera, który w swojej loży porządkował listy. Główna brama położona była w południowowschodnim skrzydle białego otynkowanego budynku, którego część środkowa przewyższała o jedno piętro oba skrzydła boczne i zakończona była niską wieżyczką z zegarem, krytą szarą blachą żelazną. Wychodząc tędy, obaj kuzyni znaleźli się nie w ogrodzie, ale od razu na drodze, z której otwierał się widok na pochyłe łąki górskie przetykane niskimi świerkami i płożącą się kosodrzewiną. Droga, którą poszli - właściwie jedyna oprócz tej, która obniżała się ku dolinie, wprowadziła ich, lekko się wznosząc na lewo, na tyły sanatorium, obok kuchni i pomieszczeń gospodarskich, gdzie u krat zamykających piwnice stały blaszane beczki na odpadki; potem szła jeszcze spory kawałek w tym samym kierunku, tworzyła nagły zakręt i pięła się już stromiej w prawo na stok, porośły rzadkim lasem. Droga ta miała kolor czerwony, była twardo ubita i jeszcze wilgotna; na skraju jej leżały z rzadka rozrzucone wielkie głazy.

Dwaj młodzi ludzie nie byli tu sami.

Goście, którzy zaraz po nich wstali od śniadania, szli za nimi; spotykali też całe grupy powracających, którzy schodzili z góry drobnymi krokami, zginając nogi w kolanach.

- Bardzo miły człowiek - powtórzył Hans Castorp.

- Nadzwyczajnie żywy i wymowny, aż przyjemnie go słuchać.

Termometr nazywać "rtęciowym cygarem" to doskonały pomysł, natychmiast zrozumiałem... Ale teraz zapalę sobie prawdziwe cygaro - rzekł przystając - już dłużej nie wytrzymam! Od wczoraj w południe nie paliłem nic porządnego.

Przepraszam cię na chwilę.

- Otworzył cygarnicę, wykonaną ze skóry automobilowej i ozdobioną srebrnym monogramem, i wyjął z

niej piękną sztukę "Maria Mancini", z jednej strony - co lubił specjalnie - przypłaszczoną; następnie sięgnął

po skośnie krającą maszynkę, którą nosił przy łańcuszku od zegarka, obciął koniec dość długiego cygara,

nacisnął guzik kieszonkowej zapalniczki i kilkoma rozkosznymi pociągnięciami rozżarzył swą stępioną

"Marię Mancini".

- Tak!

- odezwał się.

- Teraz możemy spokojnie kontynuować nasz spacer.

Ty, naturalnie, nie palisz, z nadmiaru gorliwości?

- Ja przecież w ogóle nie palę - odparł Joachim.

- Dlaczego miałbym właśnie tutaj palić.

- Tego nie pojmuję!

- rzekł Hans Castorp.

- Nie pojmuję, jak można nie palić; kto nie pali, dobrowolnie pozbawia się, że tak powiem, najlepszej

cząstki życia, w każdym razie wielkiej przyjemności!

Budząc się już się cieszę, że w ciągu dnia będę mógł palić, a przy jedzeniu znów się na to cieszę, a nawet

mogę powiedzieć, oczywiście z pewną przesadą - że jem tylko po to, aby później zapalić.

Ale dzień bez tytoniu byłby dla mnie szczytem szarzyzny, byłby dniem zupełnie pustym i bez żadnego powabu, a gdybym musiał sobie rano powiedzieć: dzisiaj nie ma nic do palenia - sędzę, że nie znalazłbym

wcale odwagi, żeby wstać, słowo daję, że zostałbym w łóżku.

Bo widzisz: jeżeli się ma dobrze palące się cygaro - naturalnie, nie powinno mieć dodatkowego dopływu

powietrza ani źle ciągnąć, bo to jest nad wyraz przyjemne - jeżeli się więc ma przy sobie dobre cygaro, to

jest się właściwie kompletnie bezpiecznym i literalnie nic się nie może przytrafić.

Zupełnie tak samo, jak kiedy się leży nad morzem - leży się wtedy właśnie nad morzem i nie pragnie się

niczego więcej, ani pracy, ani rozrywki...

Chwała Bogu, że pali się na całym świecie; o ile wiem, wszędzie, dokąd los może człowieka zapędzić,

palenie jest znane.

Nawet odkrywcy bieguna zaopatrują się obficie w tytoń na czas swoich wypraw, i to mi zawsze sprawiało

przyjemność, kiedy o tym czytałem.

Bo przecie może się zdarzyć, że kogoś spotyka wielkie niepowodzenie, przypuśćmy na przykład, że mnie

powodzi się fatalnie; otóż dopóki miałbym swoje cygaro, mógłbym to przetrzymać - cygaro pomogłoby mi

znieść wszystko.

- Jednakowoż to niedobrze - odezwał się Joachim - że ty do tego przywiązujesz taką wagę.

Behrens ma rację: ty jesteś cywil - on powiedział to raczej jako pochwałę, ale ty jesteś nieuleczalny cywil, w

tym cała rzecz.

Zresztą, jesteś przecież zdrowy i możesz robić, co ci się podoba - dodał, i oczy jego przybrały wyraz zmęczenia.

- Tak, zdrowy, pomijając anemię - powiedział Hans Castorp.

- Ujęło mnie to, kiedy mi powiedział, że wyglądam zielono.

Bo to prawda, że w porównaniu z wami tutaj na górze jestem zupełnie zielony, sam już to zauważyłem. W domu jakoś nie przychodziło mi to na myśl.

Bardzo mi się też podobało, że z własnej inicjatywy udziela rad, zupełnie sine Pecunia, jak się

wyraził.  
Chętnie zastosuję się do jego wskazówek i będę żył tak jak ty - zresztą, nic lepszego nie mam tutaj na górze do roboty, a zaszkodzić nie może, jeżeli odłożę trochę białka, chociaż musisz przyznać, że to brzmi paskudnie.  
Joachim zakaszał parę razy - wspinanie się widocznie go męczyło.  
Za trzecim razem przystanął ze zmarszczonymi brwiami.  
- Idź naprzód - rzekł.  
Hans Castorp pośpieszył naprzód i nie oglądał się za siebie.  
Potem zwolnił kroku, a w końcu zatrzymał się prawie, bo zdawało mu się, że już znacznie przegonił Joachima.  
Ale nie oglądał się za siebie.  
Grupka kuracjuszków obojga płci szła na jego spotkanie - widział ich już przedtem na równej drodze w połowie wysokości zbocza, a teraz schodzili ku niemu i dolatywały go ich zmieszane głosy. Było ich siedmioro w różnym wieku, od bardzo młodych do ludzi w sile wieku.  
Przyglądał się im, przechyliwszy w bok głowę i myśląc o Joachimie.  
Wszyscy byli opaleni i bez kapeluszy, panie ubrane były w swetry, panowie nie mieli palt ani nawet lasek jak ludzie, którzy ot tak sobie, z rękami w kieszeniach, wychodzą tylko przed dom.  
Ponieważ schodzili w dół, co nie wymaga żadnego wysiłku, tylko trochę hamowania i wpierania nóg w ziemię, żeby się nie rozpędzić i przypadkiem nie potknąć - właściwie jest to nie więcej niż ostrożne spadanie - więc chód ich miał w sobie coś z beztroski lotu, która udzielała się ich minom i całemu wyglądowi, tak że miało się ochotę należeć do tego towarzystwa.  
Właśnie mijali go i Hans Castorp mógł się przyjrzeć ich twarzom.  
Nie wszyscy jednak byli opaleni, dwie panie uderzały swą bladością; jedna z nich była chuda jak tyka i miała cerę koloru kości słoniowej, druga - niższa i tęga, oszpecona wątrobianymi plamami. Całe towarzystwo patrzyło na niego, nie ukrywając trochę bezczelnego uśmiechu.  
Młoda wysoka dziewczyna w zielonym swetrze, źle uczesana i z głupekowatymi, na wpół tylko otwartymi oczami, przeszła tuż obok Hansa Castorpa, dotykając go prawie ramieniem.  
Przy tym gwizdała...  
Nie, to było coś niesłychanego!  
Gwizdała wyraźnie na niego, ale nie ustami, bo wargi miała zaciśnięte, bynajmniej nie wysunięte. Coś z niej gwizdało, podczas gdy patrzyła na niego głupekowato z na wpół opuszczonymi powiekami. Był to gwizd wybitnie niemiły - chropowaty i ostry, chociaż pusty i przeciągły, obniżający się przy końcu; robił wrażenie pisku owych jarmarcznych świnek gumowych, które, padając, wraz z wydmuchniętym powietrzem wydają z siebie żałosny jęk.  
Gwizd ten wydobywał się jakimś niezrozumiałym sposobem z jej płuc, gdy mijała Hansa Castorpa. On stał osłupiały i spoglądał w dal.

Potem odwrócił się szybko i tyle przynajmniej zrozumiał, że musiał to być z góry ukartowany żart, wstrętne kpiny, bo po ramionach oddalających się ludzi widział, że się śmiali; jeden z nich, krępy młodzieniec z wywiniętymi wargami, trzymając ręce w kieszeniach spodni podnosił dość nieprzystojnie

swoją kurtkę i obejrzał się nawet na niego zupełnie wyraźnie, śmiejąc się przy tym...

Joachim uklonił się całemu towarzystwu, swoim rycerskim zwyczajem stając nieomal na baczność i pochylając się ze zsuniętymi obcasami, po czym łagodnie spoglądając zrównał się z kuzynem.

- Dlaczego masz taką minę?

- zapytał.

- Ona gwizdała!

- odrzekł Hans Castorp.

- Ten gwizd wychodził z jej brzucha, kiedy przechodziła koło mnie.

Czy możesz mi to wytłumaczyć?

- Ach - powiedział Joachim i roześmiał się pogardliwie.

- Nie z brzucha, to nonsens.

To była Hermina Kleefeld, gwizdże sztuczną odma.

- Czym?

- zapytał Hans Castorp.

Odczuwał silne wzburzenie, sam dobrze nie wiedząc, na czym ono polega; wahając się między płaczem a śmiechem, dodał: - Nie możesz wymagać, żebym rozumiał wasz żargon!

- Chodźmy dalej!

- powiedział Joachim.

- Mogę ci to przecie wyjaśnić idąc.

Stoisz jak wryty.

To jest coś z dziedziny chirurgii, jak się pewnie domyślasz, operacja, którą tutaj w górze często się stosuje. Behrens ma w tym wielką wprawę.

Jeżeli jedno płuco jest poważnie chore, drugie natomiast zdrowe albo przynajmniej stosunkowo zdrowe, wtedy pozwala się i choremu płucy odpocząć przez jakiś czas, ażeby oszczędzać...

A więc tutaj rozcina się, gdzieś tutaj z boku - nie znam dokładnie miejsca, ale Behrens robi to na pewniaka. A potem wpuszcza się do środka gaz, azot, i w ten sposób wyłącza się chore płuco z oddychania. Ma się rozumieć, gaz nie trzyma się długo, co dwa tygodnie mniej więcej musi być odnowiony - rozumiesz, napęlnia się człowieka gazem.

A po upływie roku albo dłuższego czasu, jeżeli wszystko dobrze się składa, chore płuco może dzięki spoczynkowi być wyleczone.

Naturalnie nie zawsze, bo jest to sprawa nawet ryzykowna.

Ale podobno za pomocą odmy sztucznej osiągnięto już bardzo piękne rezultaty.

Wszyscy, których tu widziałeś, mają odnę.

Pani Iltis też była z nimi - ta z tymi wątrobianymi plamami - i panna Levi, ta chuda, przypominasz sobie musiała bardzo długo leżeć w łóżku.

Oni trzymają się razem, bo taka rzecz jak sztuczna odma zbliża przecie ludzi do siebie, i przezwali się "Stowarzyszeniem Jednego Płuca"; pod tą nazwą są znani.

Ale chlubą stowarzyszenia jest Hermina Kleefeld, bo ona umie gwizdać odną - to jest jej swoisty talent, nie każdy to potrafi.

Nie mogę ci wytłumaczyć, jak ona to robi, ona sama nie umie tego dokładnie opisać, ale po odbyciu jakiegoś szybkiego marszu może potem wydobywać z siebie gwizd; i naturalnie posługuje się tym,

żeby straszyć ludzi, a szczególnie nowo przybyłych chorych.

Przypuszczam, że marnuje przy tym azot, bo co tydzień muszą ją na nowo napełniać.

Teraz Hans Castorp śmiał się słuchając słów Joachima; wzburzenie jego przeszło ostatecznie w wesołość, więc gdy szedł, raz po raz nachylając się i zasłaniając sobie oczy ręką, ramionami jego wstrząsał szybki i cichy chichot.

- Czy może są zarejestrowani?

- wyrzucił z trudem, a głos jego był płaczący od powstrzymanego śmiechu i trochę zawodzący.

- Czy mają swoje statuty?

Szkoda, że nie należysz do nich, bo może wybraliby mnie na członka honorowego albo dopuścili jako... kompana...

Powinieneś poprosić Behrensa, żeby cię częściowo unieruchomił.

Może gdyby ci na tym zależało, potrafiłbyś także gwizdać, ostatecznie można się tego pewnie nauczyć. Nic równie zabawnego w życiu swoim nie słyszałem!

- rzekł westchnąwszy głęboko.

- Nie gniewaj się, że tak o tym mówię, ale przecie oni sami, ci twoi pneumatyczni przyjaciele, są w najlepszych humorach!

Jak oni pędzili z góry...

I pomyśleć, że to było "Stowarzyszenie Jednego Płuca"!...

Fiu!...

tak na mnie gwizdnęła - narwana kobieta!

- Ale to przecie jest wyraźne zuchwalstwo!

Słuchaj, dlaczego właśnie oni są tacy rozwyrzeni?

Joachim namyślał się nad odpowiedzią.

- Mój Boże!

- rzekł wreszcie.

- Oni mają przecie tyle swobody...

Są młodzi, czas nie odgrywa dla nich żadnej roli, a przy tym mogą nawet umrzeć.

Dlaczegoż by mieli stroić poważne miny?

Wydaje mi się nieraz, że choroba i śmierć nie są właściwie niczym poważnym, że są raczej rodzajem próżniactwa, a poważne naprawdę jest tylko życie na dole.

Mam nadzieję, że z czasem zrozumiesz to, kiedy tu trochę dłużej pobędziesz.

- Z pewnością - odparł Hans Castorp.

- Z pewnością tak będzie.

Bardzo mnie interesujecie wy tutaj w górze, a kiedy się ktoś czym interesuje, to zrozumienie przychodzi już samo...

nieprawdaż?

Ale co to takiego - ono mi nie smakuje!

- rzekł i zaczął oglądać swoje cygaro.

- Zastanawiam się cały czas, co mi dolega, a teraz dopiero uświadomiłem sobie, że mi moja "Maria" nie smakuje.

Ma smak papierocha; zapewniam cię, doznaję takiego wrażenia, jak gdybym miał zupełnie zepsuty żołądek.

To jest nie do pojęcia!

Wprawdzie bardzo dużo jadłem na śniadanie, ale to nie może być powodem, bo po zbyt obfitym posiłku cygaro z początku smakuje jeszcze bardziej.



Może to dlatego, że tak źle spałem w nocy - jak myślisz?

Może to mnie wytrąciło z równowagi.

Nie, muszę je po prostu odrzucić!

- powiedział po jeszcze jednej próbie.

- Każde pociągnięcie jest rozczarowaniem, nie ma sensu, żebym starał się to przezwyciężyć.

- I po chwili wahania cisnął cygaro w dół, pomiędzy wilgotne igliwie.

- Czy wiesz z czym to, moim zdaniem, pozostaje w związku?...

- zapytał.

- Przekonany jestem, że to ma związek z wypiekami na twarzy, które znowu dręczą mnie od samego rana.

Do diabła!

Ciągle mam wrażenie, jakbym się rumienił ze wstydu...

Czy z tobą było po przyjeździe tak samo?

- Tak - odpowiedział Joachim.

- Ja także z początku czułem się jakoś dziwnie.

Nie rób sobie nic z tego!

Mówiłem ci przecie, że nie jest tak łatwo zaaklimatyzować się tutaj!

Ale to minie.

Widzisz, z tej ławki jest śliczny widok.

Usiądźmy na chwilę, a potem pójdziemy do domu, muszę werandować.

Droga szła tutaj równo i zmierzała w kierunku uzdrowiska Davos mniej więcej na jednej trzeciej wysokości zbocza.

Spomiędzy wysokich, cienkich i pokrzywionych sosen widać było całą miejscowość, bielejącą w jasnym poranku.

Z gruba ciosana ławka, na której usiedli, opierała się o stromą ścianę skalną.

Tuż obok, otwartą drewnianą rynną, bulgocąc i pluszcząc, spływała woda w dolinę.

Joachim chciał kuzynowi wymienić nazwy zamglonych szczytów alpejskich, które zdawały się od południowej strony zamykać dolinę, i wskazywał je końcem swojej szwajcarskiej laski.

Ale Hans Castorp zaledwie przelotnie spojrział w tamtą stronę, siedział pochylony, rysując na piasku różne figury skuwką swojej miejskiej, srebrem okutej laski, i inne zajmowały go myśli.

- Chciałem się ciebie zapytać...

- zaczął.

- ten wypadek w moim pokoju zdarzył się bezpośrednio przed moim przybyciem.

Czy podczas twojego pobytu zaszło tutaj dużo wypadków śmierci?

- Na pewno sporo - odpowiedział Joachim.

- Ale załatwiają się tutaj z tym bardzo dyskretnie, rozumiesz, nie słyszy się o tym wcale albo najwyżej przypadkiem, już po wszystkim.

Jeżeli ktoś umiera, trzymają to w najściślejszej tajemnicy ze względu na pacjentów, a szczególnie na panie, które łatwo dostają różnych ataków.

Nawet jeżeli umiera ktoś w twoim sąsiedztwie, nie zauważasz tego.

Trumnę przynoszą z samego rana, kiedy jeszcze śpisz, a wynoszą zmarłego także tylko w takich godzinach, na przykład podczas jedzenia.

- Hm - rzekł Hans Castorp rysując dalej.

- A więc to wszystko dzieje się za kulisami.

- Tak, można to tak nazwać.

Ale niedawno...

zaraz...

przed jakimś dwoma miesiącami...

- W takim razie to nie było bardzo niedawno - zauważył Hans Castorp cicho i czujnie.

- Co mówisz?

A więc nie niedawno.

Ależ ty jesteś dokładny!

Ja tylko tak powiedziałem, w przybliżeniu.

Otóż przed jakimś czasem udało mi się zajrzeć za kulisy, przez czysty przypadek, pamiętam to doskonale.

To było wtedy, kiedy przyniesiono tej małej Hujus, katoliczce, Barbarze Hujus, wiatyk, sakrament umierających, wiesz, ostatnie namaszczenie.

Kiedy tu przyjechałem, jeszcze chodziła i nieraz tak była wesoła, tak dokazywała jak podłotek.

Ale potem pogorszyło się jej gwałtownie, przestała już podnosić się z łóżka; leżała w trzecim pokoju, licząc od Mojego.

Przyjechali jej rodzice, zjawił się wreszcie i ksiądz.

Przyszedł podczas podwieczorku, kiedy wszyscy byli zebrani w jadalni i nie było nikogo na korytarzach.

Ale wyobraź sobie, że akurat wtedy zasnąłem podczas werandowania i nie słyszałem uderzeń gongu, zszedłem o jakieś piętnaście minut za Późno.

W decydującej więc chwili nie byłem razem ze wszystkimi, lecz znalazłem się za kulisami, jak to nazywasz, i właśnie kiedy szedłem korytarzem, spotkałem cały pochód; mieli na sobie koronkowe komże, a jeden z nich niósł na przodzie złoty krzyż, jakby janczarskie dzwoneczki przed orkiestrą.

- Cóż to za porównanie - przerwał Hans Castorp nie bez pewnej surowości w głosie.

- Tak mi się wydało.

Mimo woli przyszło mi to na myśl.

Ale posłuchaj dalej.

Zbliżają się do mnie szybkim krokiem, raz - dwa, raz - dwa, zdaje się że we trzech: na przedzie ten z krzyżem, za nim ksiądz w okularach na nosie, a z tyłu młody chłopak z kadzielnicą.

Ksiądz trzymał przykryty wiatyk przy piersi i kornie pochylał głowę, bo to przecie ich największa świętość.

- Właśnie dlatego - odezwał się Hans Castorp.

-I Właśnie dlatego dziwię się, żeś mógł mówić o "dzwoneczkach janczarskich".

- Tak, tak, ale gdybyś ty był świadkiem tej sceny, to także nie wiedziałbyś, jak się do niej ustosunkować, chociażby we wspomnieniu.

To było coś, co może się potem przyśnić!

- Dlaczego?

- Zaczekaj.

Zastanawiałem się, jak mam się zachować w tej sytuacji.

Kapelusza zdjąć nie mogłem, bo go nie miałem na głowie.

- A widzisz!

- przerwał mu znowu Hans Castorp.

- Widzisz, że należy używać kapelusza!

Od razu uderzyło mnie to, że chodzą z odkrytymi głowami.

A kapelusz trzeba wkładać na głowę, żeby go można było zdjąć, kiedy zajdzie potrzeba.

Ale co było dalej?

- Stałem pod ścianą w przyzwoitej pozycji i pochyliłem się trochę, kiedy przechodzili koło mnie - było to właśnie przed drzwiami pokoju tej małej Hujus, numer dwadzieścia osiem.

Wydaje mi się, że ukłon mój sprawił przyjemność księdzu; podziękował bardzo grzecznie i odkrył głowę.

W tej chwili właśnie zatrzymali się, ministrant, niosący kadzielnicę, zastukał, nacisnął klamkę, wpuścił swego przełożonego do pokoju i wszedł za nim.

A teraz wyobraź sobie moje przerażenie i moje uczucia!

W chwili kiedy ksiądz przestępował próg, usłyszałem z pokoju taki krzyk, taki wrzask, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałem; krzyk ten powtórzył się trzy, cztery razy, a potem przemienił się w jeden nieprzerwany ryk, dobywając się widocznie z szeroko otwartych ust.

Słysząc w nim było rozpacz i przerażenie, i protest, a jednocześnie tak straszliwe błaganie, że nie można tego opisać; potem nagle głos ten stał się pusty i bezdźwięczny, jak gdyby zapadł się w ziemię i wydobywał się z piwnicy.

Hans Castorp gwałtownie zwrócił się do kuzyna.

- Czy to była ta Hujus?

- zapytał niespokojnie.

- I jak to: z piwnicy?

- Schowała się pod kołdrę - powiedział Joachim.

- Wyobraź sobie, co się ze mną działo!

Ksiądz stał tuż za progiem i starał się załagodzić sytuację, widzę go jeszcze: głowę już to wyciągał naprzód, już to znowu ją cofał.

Człowiek z krzyżem i ministrant ciągle jeszcze nie śmieli wejść do pokoju, a ja spoza ich pleców widziałem, co się dzieje wewnątrz.

Pokój był taki jak mój i twój, z łóżkiem pod ścianą na lewo od drzwi; w głowie łóżka stali ludzie, naturalnie rodzina, ojciec i matka, kierowali jakieś uspokajające słowa w dół, w stronę łóżka.

Widać w nim było tylko jakąś bezkształtną masę, która o coś żebrała, namiętnie protestowała i wierzgała nogami.

- Mówisz, że wierzgała?

- Z całej siły!

Ale to nic nie pomogło, ostatnie sakramenty musiała przyjąć.

Ksiądz zbliżył się do niej, jego dwaj pomocnicy weszli do pokoju i zamknięto drzwi.

Ale zdążyłem jeszcze na krótką chwilę dostrzec głowę umierającej z rozrzuconymi jasnymi włosami; wpatrzyła się w księdza szeroko otwartymi, bladymi, zupełnie bezbarwnymi oczami i nagle z ponownym krzykiem schowała się pod kołdrę.

- I teraz dopiero mi to mówisz?

- rzekł Hans Castorp po chwili milczenia.

- Nie pojmuję, dlaczegoś mi wczoraj o tym wszystkim nie opowiedział.

Ale, mój Boże, musiała mieć jeszcze dużo siły, żeby się tak bronić.

Do tego przecie trzeba mieć siłę.

Nie Powinno się sprowadzać księdza, dopóki chory jeszcze zupełnie nie osłabł.

- Ona już była słaba...

- odpowiedział Joachim.

- Ach, tyle byłoby do opowiedzenia, że nie wiadomo od czego zacząć...

Była już bardzo słaba, tylko strach dodał jej nowych sił.

Bała się tak straszliwie, bo zrozumiała, że musi umrzeć.  
Była to przecież bardzo młoda dziewczyna, więc trzeba jej wybaczyć.  
Ale i mężczyźni nieraz zachowują się tak samo, a to już jest niewybaczalny brak hartu. Behrens umie zresztą z takimi postępować, umie trafić we właściwy ton w tych wypadkach.

- Jakiż to ton?  
- spytał Hans Castorp ścignawszy brwi.  
- "Niech pan się tak nie stawia!"  
mówi - odparł Joachim.  
- Przynajmniej do kogoś tak powiedział - wiemy to od starszej siostry, która była przy tym obecna i pomagała trzymać konającego.  
Ten człowiek w ostatniej chwili urządził okropną scenę i w żaden sposób nie chciał umrzeć. Wtedy Behrens wrzasnął na niego: "Niech się pan z łaski swojej tak nie stawia!"  
- i chory w tej chwili ucichł i umarł zupełnie spokojnie.  
Hans Castorp uderzył się ręką po udzie, odrzucił głowę w tył i spojrzał w niebo.  
- No, wiesz, to jest okropne!  
- rzekł.  
- Wrzeszczy po prostu: "Niech się pan tak nie stawia!"  
Do konającego!  
To jest straszne.  
Umierającemu należy się pewnego rodzaju szacunek.  
Nie można go przecie tak ni stąd, ni zowąd...  
Umierający jest pewnego rodzaju świętością, tak przynajmniej sędzę!  
- Nie przeczę temu - powiedział Joachim.  
- Ale jeżeli się tak tchórzliwie zachowuje...  
- Nie!  
- zawołał Hans Castorp z gwałtownością, zgoła niewspółmierną ze stawianym mu oporem.  
- Tego nie dam sobie wyperswadować, że umierający nie jest dostojniejszy od byle jakiego nicponia, który lata po świecie, pęka ze śmiechu, zarabia pieniądze i napycha sobie brzuch!  
Nie wolno!  
- głos jego drżał jakoś dziwnie.  
- Nie wolno go tak ni stąd, ni zowąd - i jego słowa zdusił nagle śmiech, który go porwał i nad nim zapanował, ów śmiech wczorajszy, wrywający się gdzieś z głębi, wstrząsający, niepohamowany, który mu zamknął oczy i wycisnął łzy spod powiek.  
- Pst!  
- syknął nagle Joachim.  
- Bądź cicho!  
- szepnął i trącił kuzyna nieznacznie w bok.  
Hans Castorp spojrzał przez łzy.  
Drogą z lewej strony zbliżał się do nich jakiś obcy pan, niewysoki, z czarnymi włosami, z pięknie podkreconymi czarnymi wąsami, w spodniach w jasną kratę.  
Zrównawszy się z młodymi ludźmi, przywitał się z Joachimem - głos jego był opanowany i dźwięczny; skrzyżowawszy nogi oparł się na lasce i stanął przed Joachimem w pełnej wdzięku pozycji.  
Satana.  
Wiek jego trudno było określić, musiał mieć ponad trzydzieści, a mniej niż czterdzieści lat, bo

choć cała postać była młodzieńcza, to jednak włosy na skroniach były już przetykane srebrnymi nićmi i wyraźnie przerzedzone, a czoło podwyższały dwie wyłysiałe zatoki, wcinające się w skąpe włosy. ; Ubranie jego dalekie było od elegancji: miał na sobie szerokie, jasnożółtawe spodnie w kratę i zbyt długą, włochatą marynarkę z dwoma rzędami guzików i z bardzo szerokimi klapami; sztywny kołnierzyk, z przodu okrągło wygięty, miał brzeży wystrzępione od częstego prania, krawat był wyświecony, a mankietów w ogóle nie nosił - Hans Castorp zauważył to po rękawach, obejmujących miękko przeguby dłoni.

Pomimo to zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą wytwornego pana; inteligentny wyraz twarzy, swobodna i piękna postawa nie pozostawiały żadnej wątpliwości.

Ale ta mieszanina wdzięku i zaniedbania, czarne oczy i podkreśnione wąsy przypominały Hansowi Castorpowi cudzoziemskich muzykantów, którzy w czasie Bożego Narodzenia obchodzili podwórza jego rodzinnego miasta i, wznosząc w górę aksamitne oczy, wyciągali miękkie kapelusze, ażeby z okien wrzucano do nich dziesięciofenigówki.

"Kataryniarz"!

- pomyślał.

Toteż nie zdziwił się wcale, kiedy usłyszał nazwisko, które wymówił Joachim, powstając z ławki i z lekkim zakłopotaniem przedstawiając: - Mój kuzyn Castorp - pan Settembrini.

Hans Castorp podniósł się również, a w twarzy miał jeszcze ślady poprzedniej wesołości.

Włoch w grzecznych słowach poprosił, aby sobie nie przeszkadzali, zmusił ich, aby usiedli z powrotem, a sam w miłej pozie stał nadal przed nimi.

Uśmiechał się patrząc na kuzynów, a szczególnie na Hansa Castorpa; z lekka ironiczne opuszczenie jednego kącika ust, tam gdzie bujny wąs pięknym łukiem wyginał się ku górze, miało jakieś specjalne działanie, w pewnym stopniu zmuszało do trzymania uwagi w napięciu i do jasności myśli i natychmiast wytrzeźwiło roześmianego Hansa Castorpa, tak że zaczął wstydzić się swego nastroju.

- Panowie są w dobrych humorach - słusznie, całkiem słusznie.

Śliczny poranek!

Niebo jest niebieskie, słońce się śmieje - i lekkim, zręcznym ruchem wzniosł małą, żółtawą dłoń ku niebu, rzucając tam jednocześnie skośne, wesołe spojrzenie.

- Można by rzeczywiście zapomnieć, gdzie się znajdujemy.

Mówił bez obcego akcentu i tylko po starannym kształtowaniu dźwięków można było poznać w nim cudzoziemca.

Wargi jego wymawiały słowa z pewnym zadowoleniem.

Przyjemnie było go słuchać.

- Czy miał pan dobrą podróż?

- zwrócił się do Hansa Castorpa...

- Czy już panu ogłoszono wyrok?

To znaczy: czy odbyła się już ponura ceremonia Pierwszego badania lekarskiego?

- Tutaj powinien był przerwać i zaczekać, jeśli mu zależało na odpowiedzi, bo Hans Castorp właśnie chciał się odezwać.

Ale obcy ciągnął dalej: - Czy przeszła łagodnie?

Z Pana wesołości - urwał na chwilę, a grymas jego ust stał się wyraźniejszy - można by wysnuć najrozmaitsze wnioski.

Ile miesięcy naznaczyli panu nasi mrukliwi sędziowie, Minos i Radamantys?

Słowa te zabrzmiały jakoś szczególnie zabawnie w jego ustach.

- Czy mam zgadywać?

Sześć?

Czy może 9 razy dziewięć?

Skąpi tutaj nie są.

Hans Castorp śmiał się zdziwiony, starając się sobie szybko przypomnieć, kto to byli Minos i Radamantys.

- Ależ nie, pan jest w błędzie, panie Septembr - Settembrini - poprawił Włoch, wymawiając nazwisko wyraźnie i z wdziękiem i przy tym z humorem kłaniając się.

- Panie Settembrini - przepraszam.

Nie, pan się myli, bynajmniej nie jestem chory.

Przyjechałem tylko z wizytą do mojego kuzyna Ziemssena na przeciąg kilku tygodni, a przy tej sposobności chciałbym trochę odpocząć.

- Masz tobie, to pan do nas nie należy?

Pan jest zdrow, pan jest tutaj tylko hospitantem, jak Odyseusz w państwie cieni?

Jakaż to śmiałość schodzi w te głębie, gdzie tylko umarli błądzą bez celu.

- W głębie, proszę pana?

Tutaj muszę zaoponować!

Wniosłem się przecież do was na wysokość 5000 stóp.

- Tak się panu tylko zdawało!

Daję słowo, że to było złudzenie - rzekł Włoch wykonując stanowczy ruch ręką.

- Jesteśmy istotami, które pograżyły się bardzo głęboko, czy nieprawda, poruczniku?

- zwrócił się do Joachima, któremu ten tytuł niemałą sprawił przyjemność; ale Ziemssen starał się to ukryć i odpowiedział w zamyśleniu: - Myśmy tu rzeczywiście trochę zgłupieli.

Ale nadejdzie czas, że przyjdziemy znowu do siebie.

- Tak, pan na pewno; pan jest przyzwoitym człowiekiem - powiedział Settembrini.

- Tak, tak, tak - powtarzał, miękko wymawiając ten wyraz i mlaskając językiem o podniebienie.

- No, no, no - mówił dalej zwracając się do Hansa Castorpa i przyglądając mu się tak uważnie, że oczy jego przybrały jakiś błędny i nieruchomy wyraz.

Otrząsnąwszy się, prawil po chwili dalej: -A więc zupełnie dobrowolnie wdrapuje się pan tutaj do nas biedaków i chce pan przez pewien czas łaskawie nam towarzyszyć.

To bardzo pięknie z pana strony.

A jaki termin wyznaczył pan sobie?

Przepraszam za moją ciekawość, ale chciałbym bardzo usłyszeć, ileż to człowiek wyznacza sobie czasu, jeżeli los jego zależy od niego samego, a nie od Radamantysa.

- Trzy tygodnie - odpowiedział Hans Castorp niedbale, z odcieniem pewnej próżności, bo widział, że mu zazdroszczą.

- O Dio, trzy tygodnie!

Słyszał pan, poruczniku?

Czy to nie jest poniekąd impertynencją powiedzieć: przyjeżdżam na trzy tygodnie i potem wracam? My tutaj, mój panie, czasu nie mierzymy na tygodnie, jeżeli mi wolno pana pouczyć.

Najmniejszą jednostką czasu jest dla nas miesiąc.

Szafujemy tu hojnie czasem - to jest przywilej cieni; mamy jeszcze i inne przywileje, a wszystkie tego samego gatunku.

Czy mogę zapytać, jaki zawód ma pan tam na dole, albo raczej: do jakiego pan się przygotowuje? Widzi pan, że dajemy folgę naszej ciekawości, bo ciekawość jest także jednym z naszych przywilejów.

- Proszę bardzo - odparł Hans Castorp i krótko opowiedział o sobie.

- Konstruktor okrętów!

Ależ to wspaniałe!

- zawołał Settembrini.

- Niech pan będzie przekonany, że uważam to za wspaniałe, chociaż moje własne upodobania idą w innym kierunku.

Pan Settembrini jest literatem - objaśnił Joachim trochę zażenowany.

- Napisał do pism niemieckich wspomnienie o Carduccim, wiesz, Carducci - i zmieszał się jeszcze bardziej, bo kuzyn patrzył na niego zdziwiony, jak gdyby chciał powiedzieć: Cóż ty Wiesz o Carduccim?

Przypuszczam, że nie więcej ode mnie.

To prawda - rzekł Włoch skinąwszy głową.

- Miałem zaszczyt poinformować ziomków pana o życiu tego wielkiego poety i wolnomysliciela, z chwilą gdy się ono skończyło.

Znałem go osobiście.

Mogę się nazwać jego uczniem.

W Bolonii siedziałem u jego stóp i jemu zawdzięczam swoje wykształcenie i swój zmysł humoru.

Ale mówiliśmy przed chwilą o panu!

Konstruktor okrętów!

Czy pan wie, że pan rośnie w moich oczach?

Stał się pan nagle przedstawicielem całego świata pracy i praktycznego geniuszu!

- Ależ, proszę pana, właściwie jestem studentem i rozpoczynam dopiero.

- Tak, każdy początek jest trudny.

I w ogóle każda praca, która na to miano zasługuje, jest trudna - prawda?

- Ależ tak, do diabła - powiedział Hans Castorp i widać było, że mówi to z serca.

- Nawet diabła przyzywa pan na świadka - rzekł Settembrini wznosząc brwi do góry - wielkiego szatana.

A wie pan, że mój mistrz napisał hymn do niego?

- Przepraszam - odezwał się Hans Castorp - hymn na cześć diabła?

- Tak, na jego cześć.

W mojej ojczyźnie przy różnych uroczystościach śpiewają go czasami.

O saluto, o Satana, o Ribellione, o forza vindice delia Ragiwne...

(włoskie - O zbawienie, o Szatanie, o Rutecie, o potęgu mścicielska Rozumu).

Cudowna pieśń.

Ale to nie jest diabeł, którego pan miał na myśli, przeciwnie, ten żyje z pracy w najlepszej przyjaźni.

Tamten, którego pan przyzywał i który nienawidzi pracy, bo jej się boi, jest zapewne tym innym, o którym mówią, że nie należy mu podawać nawet małego palca...

To wszystko robiło na poczciwym Hansie Castorpie jakieś dziwne wrażenie.

Po włosku nie rozumiał, a reszta także była trochę niesamowita.

Cała przemowa przypominała kazanie niedzielne, chociaż była wypowiedziana lekkim, żartobliwym i gawędziarskim tonem.

Spojrzał na kuzyna, który wbił oczy w ziemię, a potem rzekł: - Pan mnie zrozumiał za bardzo dosłownie, proszę pana.

Ten diabeł miał być tylko figurą retoryczną, zapewniam pana!

- Ktoś przecież musi być inteligentnym - powiedział Settembrini patrząc melancholijnie gdzieś w

przestrzeń.

Po chwili ożywił się znowu i zrećnie wracając do poprzedniego tematu ciągnął dalej: - Bądź co bądź mogę z pana słów wnosić, że pan wybrał sobie zawód zarówno trudny, jak godny szacunku.

Mój Boże, jestem przecież humanistą, homo humanus, i nie rozumiem się na tych pomysłowych wynalazkach, chociaż jestem dla pana z całym respektem.

Ale rozumiem doskonale, że teoretyczna strona pana pracy wymaga jasnej i przenikliwej myśli, a praktyka

- wiele dzielności, czyż nie tak?

- Owszem, ma pan najzupełniejszą rację - odpowiedział Hans Castorp, nieświadomie starając się być bardziej wymownym.

- Wymagania dnia dzisiejszego są olbrzymie, lepiej sobie wcale nie uprzytamniać, jak są wielkie, bo można by stracić odwagę.

Tak, to nie żarty.

A jeżeli nie należy się do najsilniejszych...

Przyjechałem tu tylko z wizytą, ale nie jestem wyjątkowo silnej konstytucji i skłamałbym utrzymując, że

ciężka praca bardzo mi służy.

Przeciwnie, muszę przyznać, że mnie wyczerpuje.

Najlepiej czuję się wtedy, kiedy nic nie robię.

- Na przykład teraz?

- Teraz?

Ach, teraz czuję się tutaj w górze jeszcze obco - jestem trochę oszołomiony, pan to rozumie?

- Ach...

oszołomiony.

- Tak, źle spałem tej nocy, a na dobitkę pierwsze śniadanie było zanadto obfite...

Jestem przyzwyczajony do porządnych śniadań, ale dzisiejsze było dla mnie, zdaje się, zbyt sute, too rich,

jak mówią Anglicy.

Jednym słowem, czuję się jakoś niewyraźnie i naWet, niech pan sobie wyobrazi, nie smakowało mi cygaro!

To mi się prawie nigdy nie zdarza, chyba że jestem poważnie chory - a dzisiaj rano miało zupełnie smak

skóry.

Musiałem je odrzucić.

Nie było sensu, żebym się zmuszał.

Czy pan pali, jeżeli wolno zapytać?

Nie?

W takim razie nie może pan sobie wyobrazić, co to za przykrość i rozczarowanie dla kogoś, kto od wczesnej

młodości palił tak chętnie jak ja...

- Nie mam w tej dziedzinie żadnego doświadczenia - odparł Settembrini.

- Jestem jednak pod tym względem w dobrym towarzystwie.

Wiele szlachetnych i trzeźwych osobistości unikało tytoniu.

Carl ducci także go nie używał.

Ale nasz Radamantys zrozumie pana dobrze.



On także hołduje pańskiemu nałogowi.

- Ależ - nałogowi, proszę pana...

- Dlaczego nie?

Rzeczy należy bez obawy nazywać po imieniu, to dodaje życiu mocy i polotu.

Ja także mam swoje nałogi.

- A więc radca Behrens jest znawcą cygar?

Nadzwyczajnie miły człowiek.

- Tak pan sądzi?

A więc już go pan poznał?

- Tak, zanim wyszliśmy z domu.

To było coś w rodzaju konsultacji.

Ale, wie pan, sine pecunia!

Od razu zauważył, że jestem trochę anemiczny, i radził mi, żebym prowadził tutaj ten sam tryb życia co

mój kuzyn, a i mierzył sobie temperaturę tak jak on i dużo leżał na balkonie.

- Czyżby?

- zawołał Settembrini...

- Wspaniale - wołał odrzucając głowę w tył i śmiejąc się głośno.

- Jak to jest w operze waszego mistrza?

"Jam ptasznik biedny, dopiero z lasa przychodzę wesoły!

hopsa sasa"!

(- cytata z libretta do opery Mozarta "Zaczarowany flet", w przekładzie z roku 1792).

To bardzo zabawne - a czy pan zastosuje się do jego rad?

Ma się rozumieć, jakżeby inaczej.

To wcielony diabeł, ten Radamantys!

I rzeczywiście, zawsze jest wesoły, chociaż czasami ta wesołość jest nieco wymuszona. On jest skłonny do melancholii.

Jego nałóg nie wychodzi mu na dobre.

Zresztą inaczej nie byłby nałogiem - tytoń przyprawia go o melancholię, toteż nasza zacna siostra przełożona trzyma jego zapasy w zamknięciu i wydaje mu codziennie niewielką porcję.

Zdarza się podobno, że Behrens okrada ją czasem, i to przyprawia go o melancholię.

Jednym słowem to człowiek niezrównoważony...

Zna pan już także naszą siostrę przełożoną?

Nie?

A to szkoda!

Bardzo źle pan robi, jeśli się pan nie stara jej poznać.

Pochodzi ze słynnego rodu von Mylendonk, i różni się tym od medycejskiej Wenery, że w miejscu, gdzie bogini ma piersi, ona nosi krzyż...

- Cha, cha, to doskonałe!

- śmiał się Hans Castorp.

- A na imię ma Adriatica.

- Jeszcze i to?

- zawołał Hans Castorp...

- No wie pan - to jest szczególne!

Von Mylendonk, a do tego Adriatica.

To brzmi tak, jak gdyby już dawno nie żyła.

To przypomina wprost średniowiecze.

- Tutaj, szanowny panie - odparł Settembrini - spotka pan wiele rzeczy, które robią wrażenie czegoś średniowiecznego, jak to pan raczył nazwać.

Jestem przekonany, że jedynie i wyłącznie artystyczne poczucie stylu kazało Radamantysowi uczynić to wykopalisko zarządczynią tego przybytku grozy.

O, on jest artystą, nie wie pan?

Maluje techniką olejną - cóż, to przecie wolno każdemu...

Pani Adriatica opowiada to każdemu, kto tylko chce jej słuchać, a i innym nadto, że w połowie XIII stulecia jedna z pań Mylendonk była księżką klasztoru w Bonn nad Renem.

Ona sama musiała niedługo potem ujrzeć światło dzienne...

- Cha, cha, cha!

Ale z pana kpiarz.

- Kpiarz?

Pan chce powiedzieć: złośliwiec.

Tak, Jestem trochę złośliwy, ale na nieszczęście muszę swoją złośliwość marnować na takie błahostki.

Przypuszczam, że pan nie jest wrogiem złośliwości, inżynierze?

Według mnie jest to najskuteczniejsza broń rozsądku przeciwko mocom mroków i brzydoty.

Złośliwość to duch krytyki, a krytyka rodzi postęp i uświadomienie.

- I bez przejścia zaczął mówić o Petrarce, którego nazwał "ojcem czasów nowożytnych".

- No, ale musimy iść werandować - powiedział Joachim rozsądnie.

Przez cały czas swojej przemowy Settembrini nie przestawał gestykulować; teraz wskazał na Joachima i rzekł: - Nasz oficer spieszy się na służbę.

Chodźmy!

idziemy tą samą drogą - "w prawo niech idzie, kto dąży do państwa cienia mrocznego".

O, Wergiliuszu, Wergiliuszu!

Panowie, on jest niedościgniony.

Wierzę w postęp, to prawda, ale Wergiliusz miewa określenia, na jakie nie stać żadnego z poetów współczesnych.

Ruszyli w kierunku domu; Settembrini deklamował po drodze łacińskie wiersze wymawiając je z włoską, ale kiedy mijali jakąś młodą panią, widocznie autochtonkę i bynajmniej nie ładną, przerywał - i z uśmiechami godnymi lowelasa zaczął nucić: - Tss, tss, aj, aj, aj - la, la, la!

Ach, mój śliczny robaczku; czy chcesz być moją?

"Patrzcie, jak namiętym blaskiem płonie jej spojrzenie" - cytował Bóg wie kogo i co i posłał ręką całusa zakłopotanym plecami dziewczyny.

Cóż to za lekkoduch, pomyślał Hans Castorp i pozostał przy swoim zdaniu, kiedy Settembrini, po swej frywolnej zaczepce, znowu zaczął obmawiać bliźnich.

Przyczepił się szczególnie do radcy Behrensa, wyśmiewał jego olbrzymie nogi i ironizował na temat tytułu, który Behrens otrzymał podobno od jakiegoś księcia, chorego na gruźlicę mózgu.

Jeszcze dzisiaj opowiadają sobie w okolicy o skandalicznym trybie życia tego księcia, ale Radamantys umiał przymrużyć jedno oko, nawet oboje oczu, jak przystało na prawdziwego radcę dworu.

A czy panowie wiedzą, że to on właśnie wynalazł letni sezon?

Tak, tak, on, a nie kto inny, tę zasługę trzeba mu przyznać.

Dawniej tylko najwierniejsi z wiernych wytrzymywali tu latem, ale "nasz humorysta", dzięki niezależności i bystrości swego umysłu, doszedł do wniosku, że ten fatalny stan rzeczy jest jedynie wynikiem przesądu.

Wystąpił więc z teorią, że letnia kuracja, przynajmniej jeśli chodzi o jego zakład, nie tylko nie jest mniej wskazana, ale przeciwnie, bardzo skuteczna, a nawet niezbędna.

Twierdzenie to potrafił rozpowszechnić, pisał na ten temat popularne artykuły i umieszczał je w prasie.

Od tego czasu zakład prosperuje latem tak samo jak zimą.

- Geniusz!

- zawołał Settembrini.

- Intuicja!

- I zaczął nicować po kolei wszystkie inne miejscowe zakłady, wychwalając zjadliwie praktyczny zmysł ich właścicieli.

- Jest tu taki pan profesor Kafka.

Co roku, kiedy nadchodzi krytyczny okres topnienia śniegu i wielu pacjentów pragnie wyjechać, pan profesor musi w pilnych sprawach szybko wyjechać na tydzień i zawsze obiecuje po powrocie zwolnić swoich kuracjuszków, ale przebywa w podróży sześć tygodni, a ci nieszczęśni czekają, przy czym, nawiasem mówiąc, rachunki ich rosną.

Nawet do Fiume wzywają Kafkę, ale on nie jedzie, póki mu nie zapewnią pięciu tysięcy dobrych szwajcarskich franków, na czym schodzą jakieś dwa tygodnie, a na drugi dzień po przyjeździe naszego celebrissimo chory umiera.

Co się tyczy doktora Salzmanna, to utrzymuje on, że profesor Kafka używa brudnych strzykawek i przyprawia chorych o infekcję mieszaną.

Mówią również, że Kafka jeździ na guniach, żeby go jego zmarli nie słyszeli, a Kafka znowu twierdzi, że u Salzmanna zmuszają pacjentów do "rozkosznych darów winogrodu" w takich ilościach - naturalnie również w celu zaokrąglenia rachunków - że ci giną jak muchy, i bynajmniej nie na suchoty, ale na wątrobę, z powodu opilstwa...

Tak szli dalej, a Hans Castorp śmiał się serdecznie i dobrodusznie z tego nawału gotowych insynuacji.

Sposób mówienia Settembriniego, wolny od naleciałości jakiegokolwiek narzecza, robił szczególnie miłe wrażenie dzięki swej czystości i poprawności.

Słowa brzmiały u niego lapidarnie, czysto i świeżo, lubował się w inteligentnych i zjadliwie dobranych zwrotach, a nawet w gramatycznych odstępstwach i językowych wariantach.

To jego upodobanie udzielało się słuchaczom i wywoływało nastrój wesołości.

Włoch zaś miał dar tak jasnego myślenia i tyle przytomności umysłu, że ani razu nie zawiodła jego swada.

- Pan tak uciesznie opowiada, proszę pana - rzekł Hans Castorp - tak żywo, nie wiem doprawdy jak by to określić.

- Plastycznie, co?

- odpowiedział Włoch wachlując się chusteczką, aczkolwiek było dość chłodno.

- O ten wyraz chodzi panu, prawda?

Mam plastyczny sposób opowiadania, to pan chciał powiedzieć.

Ach uwaga, panowie!

- zawołał nagle.

- Co widzę!

Tam oto kroczą nasi sędziowie piekielni!

Co za widok!

Minęli już zakręt.

Nie wiadomo, czy to dzięki wymowie Settembriniego, czy wskutek spadzistości terenu, czy też może dlatego, że oddalili się od zakładu o wiele mniej, niż to się wydawało Hansowi Castorpowi - droga bowiem wydaje się znacznie dłuższa gdy się ją raz pierwszy przebywa - dość że wrócili zdumiewająco prędko. Settembrini nie mylił się, na tyłach sanatorium, wzdłuż budynku, szybkim krokiem szli obaj lekarze - na przodzie, wiosłując rękami, spieszył radca w białym chałacie i z grubym karkiem, a w ślad za nim, w czarnym fartuchu, doktor Krokowski, tym bardziej nadęty, że zwyczaj kliniczny nakazywał mu przy takich służbowych okazjach chodzić za szefem.

- A, Krokowski!

- zawołał Settembrini.

- Chodzi tu sobie, a zna wszystkie tajemnice naszych pań.

Proszę tylko zwrócić uwagę na symbolikę jego ubrania: odziewa się czarno, żeby zaznaczyć, że noc jest właściwą dziedziną jego studiów.

Człowiek ten ma w głowie tylko jedną jedyną myśl, a ta jest sprośna.

Inżynierze, to dziwne, żeśmy jeszcze o nim nie rozmawiali!

Pan go już przecież zna?

Hans Castorp potwierdził.

- No i co?

Zaczynam przypuszczać, że i on się panu spodobał.

- Sam dobrze nie wiem, proszę pana.

Zetknąłem się z nim tylko przelotnie, a przy tym nie jestem zbyt pochopny do wydawania sądów o ludziach.

Patrzę na nich i myślę: "A więc taki jesteś?"

No, dobrze".

- To nie ma sensu - odrzekł Settembrini - należy sądzić.

Po to natura dała panu oczy i rozum.

Powiedział pan przedtem, że mówię o złośliwości, ale jeżeli tak jest, to czynię to nie bez pewnych zamiarów pedagogicznych.

My, humaniści, wszyscy mamy żyłkę pedagogiczną.

Tak, moi panowie, historyczna łączność humanizmu z pedagogiką dowodzi ich związku psychologicznego. Nie należy odbierać humaniście prawa wychowywania - nie można mu tego odebrać, bo w nim tylko żyje tradycja o godności i piękności człowieka.

On to zajął ongi miejsce duchownego, który w czasach ciemnoty i nienawiści ośmielał się być przywódcą młodzieży.

Historia nie stworzyła dotąd innego typu wychowawcy: może pan mnie nazwać wstecznikiem, ale w zasadzie, in abstracto, proszę mnie dobrze rozumieć, jestem stanowczo zwolennikiem gimnazjum humanistycznego.

Jeszcze w windzie rozwijał swoje poglądy i zamilkł dopiero wtedy, kiedy kuzyni na drugim piętrze wyszli na korytarz.

On sam jechał na trzecie, gdzie, jak poinformował Castorpa Joachim, zajmował mały pokoik od podwórza.

- Widocznie nie ma pieniędzy?

- zapytał Hans Castorp, idąc za Joachimem.

Pokój kuzyna urządzony był zupełnie jak jego własny.

- Tak - powiedział Joachim - pieniędzy nie ma albo najwyżej tyle, ile potrzeba tutaj na pokrycie najkonieczniejszych wydatków.

Jego ojciec był także literatem, a zdaje mi się, że i dziadek również.

- No, więc to rozumiałe - rzekł Hans Castorp - a czy on jest poważnie chory?

- O ile wiem, nie jest to choroba niebezpieczna, ale uporczywa.

On to ma już od lat, raz nawet wyjechał, ale szybko musiał powrócić.

- Biedak!

Zwłaszcza że tak bardzo chce pracować.

Jest przy tym nadzwyczajnie rozmowny i tak łatwo przechodzi z tematu na temat.

Z tą panią był zresztą trochę bezczelny, czułem się nawet przez chwilę zażenowany. Ale to, co mówił potem o godności ludzkiej, brzmiało doskonale, zupełnie jak przemówienie na jakiejś uroczystości.

Czy często z nim się spotykasz?

Ale Joachim z trudnością już tylko i niewyraźnie mógł odpowiedzieć.

Z czerwonego, skózanego futerału, wyłożonego wewnątrz aksamitem, wyjął był krótki termometr i włożył do ust jego dolny koniec, napełniony rtęcią.

Wsunął go z lewej strony pod język, tak że szklany instrument sterczał mu z ust ukośnie w górę. Mierząc temperaturę zmienił obuwie i włożył kurtkę, skrojoną na wzór bluzy wojskowej dawnego typu, wziął ze stołu drukowaną tabelkę wraz z ołówkiem oraz książkę: rosyjską gramatykę, bo uczył się tu rosyjskiego, ażeby, jak utrzymywał, mieć z tego korzyść na służbie.

Bystrość umysłu.

Tak uzbrojony wszedł na balkon i położył się na leżaku, narzuciwszy sobie na nogi koc z wielbłądziej sierści.

Właściwie było to prawie zbyteczne.

W ciągu ostatniego kwadransa chmury przerzedziły się i spoza nich wyjrzało słońce, tak gorące i jasne, że chroniąc się przed nim Joachim rozpiął nad głową biały płócienny parasol, przymocowany do poręczy

leżaka i za pomocą pomysłowego mechanizmu nastawiany zależnie od położenia słońca. Hans Castorp pochwalił to Urządzenie.

Czekał na wynik mierzenia rozglądając się Wokoło, obejrzał też worek na futrze, leżący w kącie loggii (Joachim używał go, kiedy było zimno) i, wsparty łokciami o barierę, spoglądał w dół, gdzie we wspólnej leżalni w ogrodzie spoczywało wielu pacjentów, rozmawiając, czytając i pisząc.

Widziało się stąd zresztą tylko jej część, pięć czy sześć leżaków.

- Jak długo to trwa właściwie?

- zapytał Hans Castorp i zwrócił się do kuzyna.

Joachim podniósł w górę siedem palców.

- Ależ siedem minut już chyba minęło!

Joachim potrząsnął głową.

Po chwili wyjął z ust termometr, obejrzał go i rzekł: - Tak, jeżeli się zwraca nań uwagę, czas płynie bardzo powoli.

Mierzę sobie temperaturę cztery razy dziennie i bardzo lubię to zajęcie, bo spostrzega się przy tym, czym właściwie jest minuta, a tym bardziej całych siedem minut; cóż dziwnego, że siedem dni tygodnia wydają się tutaj wiecznością.

- Mówisz "właściwie".

"Właściwie" powiedzieć nie można - odparł Hans Castorp.

Siedział bokiem na barierze, a białka jego oczu pokryte były siecią czerwonych żyłek.

- Czasu w ogóle nie ma "właściwie".

Jeżeli się komuś dłuży, płynie wtedy powoli, jeżeli przeciwnie, to upływa prędko, ale przecież nikt nie wie, z jaką szybkością biegnie w rzeczywistości.

- Hans Castorp nie zwykł był filozofować, a jednak pociągało go to.

Joachim zaprzeczył: - Jak to!

Czas przecież mierzymy.

Mamy zegary!

i kalendarz, i miesiąc, który upłynął, upłynął tak samo dla ciebie, jak i dla nas wszystkich.

- A więc uważaj - powiedział Hans Castorp i nawet podniósł do góry palec wskazujący.

- Minuta trwa według ciebie tak długo, jak ci się to wydaje, kiedy sobie mierzysz temperaturę?

- Minuta trwa tak długo...

jest czasem, którego potrzebuje wskazówka sekundnika, żeby dokonać całego swego obrotu.

- Ależ ona potrzebuje właśnie raz krótszego, a kiedy indziej dłuższego czasu - z naszego punktu widzenia! I rzeczywiście...

to znaczy, w rzeczywistości - powtórzył Hans Castorp i tak mocno przycisnął palec wskazujący do nosa, że go zupełnie przekrzywił - jest to ruch, ruch przestrzenny, prawda?

Zaraz, czekaj!

Czas mierzymy zatem przestrzenią, ale to jest tak samo, jak gdybyśmy przestrzeń chcieli mierzyć czasem, co robią przecież tylko ludzie zupełnie niewykształceni.

Z Hamburga do Davos jest dwadzieścia osiem godzin - no tak, kolejną; ale ile będzie na piechotę?

A w myśli?

mniej niż sekunda!

- Słuchaj no - rzekł Joachim - co ci jest właściwie?

Zdaje mi się, że pobyt tu u nas ci nie służy.

- Cicho bądź!

Czuję, że myślę dziś szczególnie bystro.

Czym jest właściwie czas?

- zapytał Hans Castorp i przegiął tak silnie swój nos, że koniec zbiegł i cała krew zeń uciekła.

- Czy możesz mi na to odpowiedzieć?

Przestrzeń spostrzegamy przecież za pomocą naszych organów zmysłowych, za pomocą wzroku i dotyku.

No, dobrze.

Ale co właściwie jest naszym organem czasu?

Czy możesz mi go wymienić?

Widzisz, tu zapędziłem cię w kozi róg.

Ale jakżeż możemy chcieć mierzyć coś, o czym, ściśle mówiąc, nic nie wiemy, czego żadnej, absolutnie żadnej cechy nie znamy!

Mówimy: czas upływa.

Pięknie, niech sobie upływa, ale żeby móc go mierzyć...

Zaraz!

A żeby być wymierzalnym, musiałby przecie płynąć jednostajnie, a gdzie jest napisane, że tak właśnie się dzieje?

Dla naszej świadomości na pewno tak nie jest, a przyjmujemy to tylko gwoli ładui nasze miary to

przecież tylko konwencja...

Pozwól mi...

Dobrze - rzekł Joachim - w takim razie jest też tylko konwencją, że mam tu na termometrze o cztery kreski za dużo!

Ale przez te pięć kresek muszę się tutaj mordować i nie mogę pełnić służby.

To jest obrzydliwe!

Masz 37,5?...

- Teraz już znowu spada.

- I Joachim wpisał cyfrę do swojej tabelki.

- Wczoraj, wskutek twojego przyjazdu, miałem prawie 38.

Wszyscy, do których przyjeżdżają goście, mają podwyższoną temperaturę.

A jednak to jest dobrodziejstwo.

- Pójdę sobie już - rzekł Hans Castorp.

- Mnóstwo myśli o czasie chodzi mi jeszcze po głowie - cały kompleks, mogę powiedzieć.

Nie chcę cie jednak teraz tym męczyć, i tak masz za wiele kresek.

Zapamiętam wszystko i później będziemy mogli powrócić do tego, może po drugim śniadaniu.

Zawołaj mnie, kiedy będzie czas na śniadanie, a teraz także pójdę się położyć, to przecież, chwała Bogu, nie boli.

- Tak mówiąc, przeszedł między barierą a szklaną przegrodą do swojej loggii, gdzie również stał leżak i stolik; z pokoju, w którym zrobiono już wzorowy porządek, wziął sobie Ocean steamships oraz swój ładny

miękki pled w ciemnoczerwonej i zielonej kostce i wyciągnął się.

Wkrótce i on musiał rozpiąć parasol, bo w czasie leżenia słońce stawało się nieznośne.

Hans Castorp z przyjemnością zauważył od razu, że leżało się nadzwyczaj wygodnie, nigdy w życiu nie

widział jeszcze tak doskonałego leżaka.

Szkielet jego o trochę staromodnym kształcie - co jednak było zamierzone, a nie przypadkowe, bo mebel

wyglądał na nowy - wykonany był z politurowanego drzewa barwy czerwono brunatnej, a materac, pokryty miękkim kretonem, składał się z trzech wysokich poduszek i sięgał od nóg aż powyżej pleców.

Poza tym pod głową przymocowany był za pomocą sznura wałek w haftowanej płócienną poszewce, który

nie był ani za twardy, ani za miękki i miał jakieś wyjątkowo kojące działanie.

Hans Castorp oparł jedną rękę o szeroką, gładką poręcz i leżał z przymrużonymi oczami, nie zajmując się

wcale swoim Ocean steamships.

Surowy i nagi, ale jasno oświetlony krajobraz widziany przez łuki loggii, wyglądał jak obraz w ramie. Hans Castorp przyglądał mu się w zamyśleniu.

Nagle coś sobie przypomniał i odezwał się głośno: -To była karlica, ta, co nam rano podawała.

-Psst!

- syknął Joachim.

- Ciszej.

Tak, karlica, więc cóż z tego?

-Nic, tylko jeszcze nie mówiliśmy o tym.

I marzył dalej.

Kiedy się położył, była dziesiąta.

Od tego czasu przeszła godzina.

Była to zwykła godzina niedługa i niekrótka.

Nagle w ogrodzie i w domu rozległy się dźwięki gongu, najpierw daleko, potem bliżej, potem znowu dalej.

- Śniadanie - rzekł Joachim i słysząc było, że wstaje.

Hans Castorp podniósł się także i wszedł do pokoju, żeby się trochę ogarnąć.

Kuzyni spotkali się na korytarzu i razem zeszli na dół.

Hans Castorp odezwał się: - Wiesz, odpocząłem znakomicie.

Co to są za leżaki?

Jeżeli można je tutaj dostać, to zabiorę sobie jeden do Hamburga; czułem się na nim jak w niebie. A może Behrens kazał je zrobić według własnych swych wskazówek?

Joachim nie umiał na to odpowiedzieć.

Zdjęli palta i weszli razem po raz drugi do jadalni, gdzie całe towarzystwo posilało się już na dobre.

W sali było białe od mleka: przy każdym nakryciu stała pełna, prawie półlitrowa szklanka.

- Nie - rzekł Hans Castorp siadając na swoim miejscu między szwaczką a Angielką i rozkładając z rezygnacją na kolanach serwetę, chociaż czuł się jeszcze bardzo syty po pierwszym śniadaniu.

- Nie, na Boga, mleka w ogóle pić nie mogę, a już wcale nie teraz.

Czy nie ma przypadkiem portera?

- zaPytał grzecznie karlicy.

Niestety, portera nie było.

Ale obiecała podać mu piwo kulmbacheńskie i rzeczywiście natychmiast je przyniosła. Było gęste, czarne z brązową pianą i doskonale zastępowało portera.

Hans Castorp pił chciwie z wysokiej półlitrowej szklanki.

Jadł do tego zimne mięso na grzankach.

Znowu podawano kaszę owsianą, a na stole stało dużo masła i owoców.

Hans Castorp spojrzał tylko na to Wszystko, bo nie był w stanie jeść.

Przyglądał się również kuracjom; nie byli już dla niego zwykłym tłumem i odróżniał poszczególne osoby.

Stół jego był szczelnie obsadzony, z wyjątkiem jednego miejsca naprzeciw niego, po wąskiej stronie stołu; powiedziano mu, że jest to miejsce doktora.

Bo o ile im czas pozwalał, doktorzy brali udział w ogólnych posiłkach, siadając przy coraz to innym stole:

przy każdym było jedno takie miejsce dla nich zarezerwowane.

Teraz nie było żadnego z nich obu; mówiono, że są zajęci przy operacji.

Znowu ukazał się ów młody człowiek z wąsami, opuścił głowę na piersi i usiadł na swym miejscu, z zatroskaną i zamyśloną miną.

Znowu była tu owa jasna, szczupła blondynka i jadła łyżką jogurt, jak gdyby nic innego jeść nie mogła.

Obok niej siedziała tym razem jakaś mała i ruchliwa starsza pani; mówiła coś po rosyjsku do milczącego

młodzieńca, który smutno na nią spoglądał i odpowiadał tylko skinieniem głowy, przybierając wyraz twarzy człowieka, który ma w ustach coś niesmacznego.

Naprzeciwko Hansa Castorpa po drugiej stronie starszej pani siedziała młoda ładna dziewczyna z



kwitnącą  
cerą i wysokimi pierściami, z kasztanowatymi, ładnie sfalowanymi włosami, okrągłymi, piwnymi, dziecinnymi oczami i z niewielkim rubinem na palcu.  
Dużo się śmiała i mówiła również tylko po rosyjsku.  
Hans Castorp usłyszał, że na imię było jej Marusia.  
Zauważył też, że Joachim miał poważny wyraz twarzy i spuszczał oczy, kiedy się śmiała i mówiła.  
Przez boczne drzwi wszedł Settembrini i podkręcając wąsa zmierzał ku swojemu miejscu przy stole stojącym pod kątem do stołu Hansa Castorpa.  
Gdy usiadł, sąsiedzi jego wybuchnęli głośnym śmiechem, prawdopodobnie powiedział coś złośliwego. Hans Castorp rozpoznał również członków "Stowarzyszenie Jednego Płuca".  
Hermina Kleefeld ze swymi głupimi oczami zdążyła do stołu umieszczonego przed drzwiami na werandę i  
ukłoniła się młodzieńcowi z wywiniętymi wargami, który przedtem tak nieprzystojnie podniósł swoją kurtkę.  
Błąda jak z kości słoniowej panna Levi siedziała obok tłustej pani Iltis z wątrobianymi plamami na twarzy,  
w gronie obcych osób przy stole, który stał w poprzek pokoju, na prawo od Hansa Castorpa.  
- Widzisz, to są twoi sąsiedzi - szepnął Joachim nachylając się do swego kuzyna...  
Rosyjskie małżeństwo przechodziło właśnie tuż koło Hansa Castorpa w kierunku ostatniego stołu na prawo, "gorszego stołu rosyjskiego", przy którym już jakaś rodzina z brzydkim chłopcem pochłaniała całe  
góry kaszy.  
Mąż był szczupły, jego policzki były ziemiste i zapadłe.  
Miał na sobie brązową skórzaną kurtkę, a na nogach niezgrabne filcowe buciki zapinane na klamry.  
Małżonka jego, również niska i drobna, w kapeluszu z powiewającymi piórami, szła obok niego drobnymi  
kroczkami w juchtowych bucikach na wysokich obcasach.  
Brudne boa z ptasich piór owijało jej szyję.  
Hans Castorp przyglądał im się z obcą sobie bezwzględnością, która jemu samemu wydała się brutalna; ale  
właśnie ta brutalność sprawiała mu pewną nieoczekiwaną przyjemność.  
Patrzył na nich tępym i jednocześnie zaczepnym spojrzeniem.  
W tej samej chwili z trzaskiem i brzękiem zamknęły się za kimś drzwi; ale Hans Castorp nie wstrząsnął się,  
jak przy pierwszym śniadaniu, tylko lekko się skrzywił, a kiedy chciał zwrócić głowę w tę stronę, stwierdził,  
że przychodzi mu to z trudem i że nie warto się męczyć.  
Tak więc i tym razem nie dowiedział się, kto tak niedbale obchodzi się z drzwiami.  
Pochodziło to stąd, że piwo, które zwykle z lekka 80 tylko otumaniało, dzisiaj zupełnie go oszołomiło i  
sparaliżowało - tak jak gdyby go kto silnie uderzył po głowie.  
Powieki ciążyły mu jak ołów, a język nie mógł sprostać myślom, kiedy młody Castorp chciał być grzecznym i rozmową zabawiać siedzącą obok niego Angielkę.  
Trudno mu nawet było odwrócić spojrzenie, a na domiar złego wypieki na twarzy Palily go również mocno

jak wczoraj; wydawało mu się, że ma spuchnięte policzki, oddychał z trudem, serce biło mu głucho, niby owinięty w jakąś tkaninę młotek, a jeżeli skutkiem tego wszystkiego nie bardzo cierpiał, to tylko dlatego, że czuł się jak gdyby po lekkiej dawce chloroformu.

Zaledwie jak przez sen spostrzegł, że doktor Krokowski przecież jeszcze zdążył przyjść na śniadanie i usiadł przy jego stole, chociaż doktor raz po raz uważnie mu się przyglądał, rozmawiając jednocześnie po rosyjsku z paniami po swojej prawej ręce - przy czym młode panienki, mianowicie kwitnąca Marusia, jak

również wychudzona amatorka jogurtu, pokornie i wstydliwie spuszczały oczy.

Zresztą Hans Castorp zachowywał się - rzecz jasna - zupełnie przyzwoicie, milczał, ponieważ język odmawiał mu posłuszeństwa, a nożem i widelcem manipulował z pewną nawet elegancją. Skoro zaś kuzyn skinął na niego i podniósł się z miejsca, wstał również, nie patrząc ukłonił się współbiedniakom i pewnym krokiem wyszedł za Joachimem.

- Kiedy znowu idziemy werandować?

- zapytał gdy wyszli z domu.

- Widzę, że nie ma tutaj nic przyjemniejszego.

Chciałbym się już znowu wyciągnąć na swoim świetnym leżaku.

Czy idziemy na daleką przechadzkę?

Nie - odrzekł Joachim - nie wolno mi chodzić daleko.

O tej porze, o ile mam czas, schodzę trochę na dół przez Davos Wieś do Uzdrowiska.

Oglądam sklepy, ludzi, kupuję, czego mi potrzeba.

Przed obiadem leżymy tu jeszcze godzinę, a potem znowu do czwartej - bądź o to spokojny.

O jedno słowo za wiele.

Szli w blasku słońca w dół drogą wjazdową, przeszli ponad strumieniem, przecięli wąski tor kolejowy, mając przed oczami kolosy gór, z prawej strony zamykające dolinę: "Schiahorn", "Zielone Wieże" i "Dorfberg", jak objaśniał Joachim.

Na pewnej wyniosłości widać stąd było cmentarz należący do Davos Wsi, który Joachim wskazał mu końcem laski.

Wkrótce znaleźli się na głównej drodze, biegnącej na wysokości jednego piętra ponad dnem doliny, Wzdłuż zbiega opadającego tarasami.

Chociaż miejscowość nazywała się Davos Wieś, o wsi właściwie nie mogło być mowy, pozostała z niej tylko nazwa.

Uzdrowisko pochłonięło ją całkowicie, rozbudowując się stale w kierunku doliny - tak że ta część całego osiedla, która się nazywała Wsią, Przechodziła niepostrzeżenie w Davos Uzdrowisko.

Po obu stronach drogi stały hotele i pensjonaty, wszystkie z licznymi krytymi werandami, balkonami i leżalniami, a również małe domki prywatne, w których można było wynajmować pokoje.

Tu i ówdzie widać było nowe budowle, w niektórych miejscach droga była nie zabudowana i otwierał się widok na zielone łąki doliny...

Hans Castorp zatęsknił za tym, co stanowiło dlań jeden z uroków życia, i znowu zapalił cygaro; tym razem, prawdopodobnie dzięki działaniu wypitego przed chwilą piwa, ku swemu wielkiemu zadowoleniu zdołał pochwycić coś niecoś z upragnionego aromatu; co prawda, udawało mu się to w słabym stopniu i nie za każdym pociągnięciem - trzeba było pewnego wysiłku nerwów, aby zdobyć jakie takie zadowolenie, bo ohydny smak skóry nadal wybijał się na pierwszy plan.

Nie chcąc złożyć broni walczył przez chwilę o przyjemność, która bądź mu się wymykała, bądź też z daleka ukazywała szyderczą i w sposób mglisty; wreszcie, zmęczony swą niemocą, z obrzydzeniem odrzucił cygaro.

Pomimo fatalnego samopoczucia uważał za swój obowiązek bawić kuzyna rozmową i w tym celu starał się przypomnieć sobie doskonale uwagi, które miał zamiar poprzednio wygłosić o czasie.

Ale okazało się, że cały "kompleks" bez reszty wypadł mu z pamięci i nie mógł znaleźć w głowie ani jednej myśli dotyczącej czasu.

Zaczął za to mówić o rzeczach cielesnych i to jakoś dziwnie.

- Kiedy sobie drugi raz mierzysz?

- zapytał.

- Po obiedzie?

Tak, to jest słuszne, bo organizm pracuje wtedy najintensywniej, więc to musi wystąpić na jaw. Mówiąc, że i ja mam sobie mierzyć temperaturę, Behrens chyba żartował - przecież Settembrini śmiał się z tego do rozpuku, bo to zupełnie nie miałyby sensu.

Zresztą nie mam nawet termometrU z sobą.

- To jest najmniejsza przeszkoda - powiedział Joachim.

- Mógłbyś tu sobie kupić.

Tutaj prawie w każdym sklepie można dostać termometr.

- Ależ po co?

Werandować to co innego, to mogę przy sposobności, ale mierzyć temperaturę byłoby dla hospitaanta za wiele.

To już pozostawiam wam tutaj w górze.

Gdybym tylko mógł wiedzieć - ciągnął Hans Castorp, ruchem zakochanego przyciskając obie ręce do serca

- dlaczego mam ciągle bicie serca; to mnie tak niepokoi, muszę wciąż o tym myśleć.

Serce gwałtownie bije zawsze wtedy, kiedy czeka kogoś jakaś wielka radość albo kiedy człowiek się lęka, słowem, przy jakichś wzruszeniach.

Ale jeżeli serce bije komuś samo z siebie, bez żadnego powodu i sensu i, że tak powiem, na własną rękę, jest wtedy w tym coś niesamowitego; staraj się mnie zrozumieć - to tak jak gdyby ciało kroczyło swoimi własnymi drogami, zupełnie niezależnie od duszy, podobnie jak ciało umarłego; i ono przecież nie jest naprawdę martwe - nic podobnego nie istnieje - ale żyje nadal bardzo intensywnie, i to na własną rękę: rosną mu jeszcze włosy i paznokcie, a i poza tym pod względem fizycznym i chemicznym panuje w nim, jak słyszałem, bardzo żywy ruch.

- Cóż to za wyrażenie - rzekł Joachim, strofując go, to poniekąd może zemsta za napomnienie, które otrzymał dzisiaj rano z powodu "dzwoneczków janczarskich".

- Ale tak przecie jest naprawdę!

To jest bardzo żywy ruch!

Dlaczego cię to razi?

- spytał Hans Castorp.

- Zresztą wspomniałem o tym mimochodem.

Chciałem tylko powiedzieć, że jest w tym coś niesamowitego i męczącego, kiedy ciało żyje na własną rękę niezależnie od duszy, i robi się ważne, jak Przy takim nieumotywowanym biciu serca.

Po prostu szuka się jakiegoś powodu, jakiegoś wzruszenia, które mogłoby to wywołać, jakiegoś uczucia radości czy lęku, które mogłoby, że tak powiem, usprawiedliwić ten stan - tak przynajmniej ja to odczuwam, mówię tylko o sobie.

- Tak, tak - rzekł Joachim z westchnieniem - Podobnie jest przy gorączce, wtedy w ciele również Panuje bardzo żywy ruch, by użyć twojego wyrażenia, i może być, że mimo woli doszukujemy się wtedy jakiegoś wzruszenia, które by nadało choć odrobinę sensu temu żywemu ruchowi...

Ale mówimy o takich przykrych rzeczach - rzekł drżącym głosem i nagle urwał.

Hans Castorp wzruszył tylko ramionami, i to zupełnie tak samo, jak to czynił wczoraj wieczór Joachim. Szli przez chwilę w milczeniu.

Po chwili Joachim zapytał: - Jak ci się podobają tutejsi goście, ci przy naszym stole?

- Mój Boże - odparł Hans Castorp, robiąc przy tym badawczą i obojętną minę - nie są chyba bardzo zajmujący.

Wydaje mi się, że przy innych stołach są bardziej interesujący.

Ale może to tylko złudzenia.

Pani Stohr powinna sobie umyć włosy, ma takie tłuste.

A ta Mazurka, czy jak jej tam, wydaje mi się trochę głupia.

Ciągle chichoce i przy tym zatyka sobie usta chustką do nosa.

Joachima rozśmieszyło to przekręcenie imienia.

- Mazurka - to doskonałe!

- zawołał.

- Nazywa się Marusia, jeśli nie masz nic przeciwko temu - to jest tyle co Maria.

Tak, ona jest naprawdę za mało opanowana, a ma wszelkie powody po temu, żeby zachowywać się z umiarem, bo jest poważnie chora.

- Nie widać tego po niej - powiedział Hans Castorp.

- Wygląda świetnie, a szczególnie trudno uwierzyć, że jest piersiowo chora.

- To mówiąc, spojrział porozumiewawczo na kuzyna, ale spostrzegł, że opalona twarz Joachima miała jakiś wygląd plamisty, jak zwykle opalone twarze, kiedy krew z nich odpływa; usta jego wykrzywił przy tym żalony grymas, który przeraził Hansa Castorpa i skłonił do natychmiastowej zmiany tematu; zaczął więc dopytywać się o inne osoby, starając się wymazać z pamięci Marusię i wyraz twarzy Joachima, co mu się zresztą w zupełności udało.

Anielka, która piła odwar z głogu, nazywała się Miss Robinson.

"Szwaczka" nie była wcale szwaczką, lecz nauczycielką państwowej szkoły średniej dla dziewcząt w Królewcu, i to było powodem jej poprawnego sposobu wysławiania się.

Nazywała się panna Engelhart.

Co do ruchliwej starszej pani, to Joachim, chociaż od dawna mieszkał tutaj na górze, nie znał jej nazwiska.

W każdym razie była cioteczną babką amatorki jogurtu, której stale towarzyszyła w sanatorium.

Ale najciężej chorym przy ich stole był doktor Blumenkohl, Leon Blumenkohl z Odessy - ów młodzieniec z wąsami, zatroskany i zamknięty w sobie.

Przebywał już tu od lat...

Szli teraz miejskim chodnikiem - była to główna ulica miejscowości, do której zjeżdżało się towarzystwo o charakterze niewątpliwie międzynarodowym.

Spotykali przechadzających się kuracjuszków, przeważnie młodych ludzi, eleganckich panów w sportowych ubraniach i bez kapeluszy, panie w białych spódniczkach i również z odkrytymi głowami. Słyszało się język rosyjski i angielski.

Po obu stronach ciągnęły się rzędem ładne wystawy sklepowe i Hans Castorp, którego ciekawość walczyła ze znużeniem, zmuszał się do patrzenia, zatrzymał się nawet dłuższą chwilę przed magazynem mód męskich i stwierdził, że wystawa jest na wysokim poziomie.

Potem doszli do rotundy z krytą galerią, w której grała orkiestra.

Był to Kurhauz.

Na kilku kortach grano w tenisa.

Długonodzy, wygoleni młodzieńcy w doskonale zaprasowanych flanelowych spodniach, na gumowych podszewkach i z odwiniętymi rękawami, grali z opalonymi i biało ubranymi pannami, które Prężyły się w biegu, ażeby wysoko w powietrzu odbić białą jak kreda piłkę.

Nad dobrze utrzymanymi Placami unosił się tuman drobnutkiemu kurzu.

Kuzyni usiedli na jednej z wolnych ławek, ażeby przyglądać się grze i krytykować.

- Nie grywasz tu zupełnie?

- spytał Hans Castorp.

Nie wolno mi - odparł Joachim.

- My musimy leżeć, wiecznie leżeć...

Settembrini powiada, że żyjemy w pozycji poziomej, że uprawiamy poziome rzemiosło - to jeden z jego kiepskich dowcipów!

(poziome rzemiosło - chodzi tu o prostytutkę).

Ci, którzy tu grają, są zdrowi albo też czynią to wbrew zakazowi.

Zresztą nie grają przecież poważnie, raczej dla włożenia kostiumu...

A co się tyczy zakazów, to jest więcej rzeczy zabronionych, które się tutaj uprawia, na przykład poker, a w niektórych hotelach nawet petits chevaux - u nas za to wyrzucają, bo to ma być najszkodliwsze, ale niektórzy wymykają się po wieczornej kontroli i grają.

(Petits chevaux (francuskie) - koniki, gra hazardowa).

Ów książę, od którego Behrens otrzymał swój tytuł, podobno robił to zawsze.

Hans Castorp ledwie mógł słuchać.

Usta miał otwarte, bo trudno mu było oddychać przez nos, chociaż nie miał kataru.

Doznawał niejasnego uczucia przykrości, że rytm jego serca, wałącego jak młotem nie zgadzał się z rytmem muzyki.

I wśród tego poczucia wewnętrznego nieładu i sprzeczności zmorzyła go senność, ale Joachim wstał i przypomniał, że trzeba wracać.

W milczeniu zmierzali ku domowi.

Hans Castorp potknął się kilka razy na równej drodze i uśmiechał się żałośnie z tego powodu.

Kulawy służący zawiózł ich windą na górę.

Z krótkim "do widzenia" rozstał się przed numerem trzydziestym czwartym.

Hans Castorp przeszedł przez pokój na werandę i, tak jak stał, runął na leżak.

Nie zmieniając nawet przypadkowo obranej pozycji pograżył się w półsen, czując wciąż przy tym przykre i niespokojne bicie serca.

Naturalnie, kobieta!

Jak długo spał, nie wiedział.

Kiedy nadszedł właściwy czas, zadźwięczał gong, ale nie wzywał jeszcze do jedzenia, napominał tylko, żeby się przygotować; a ponieważ Hans Castorp o tym wiedział, więc leżał dalej, póki dźwięk metaliczny

nie zabrzmiał po raz wtóry i nie ucichł.

Kiedy Joachim przyszedł po niego, Hans Castorp chciał się przebrać, ale Joachim już na to nie pozwolił. Nienawidził niepunktualności i gardził nią.

Czy można dojść do czegoś w życiu i wyzdrowieć, ażeby móc służyć w wojsku - tak mówił - jeżeli nie ma się nawet dość siły woli, aby nie spóźnić się na obiad.

Naturalnie, miał rację, i Hans Castorp mógł tylko zauważyć, że nie jest Przecie chory, natomiast w najwyższym stopniu śpiący.

Umył prędko tylko ręce i po raz trzeci tego dnia weszli do sali jadalnej.

Goście wchodzili przez oba wejścia, a nawet z drugiej strony, przez drzwi od werandy, które teraz były otwarte; wkrótce zajęli wszystkie miejsca przy siedmiu stołach, tak jak gdyby wcale nie byli wstawali; takie przynajmniej wrażenie odniósł Hans Castorp - wrażenie, ma się rozumieć, całkiem bezpodstawne i niedorzeczne, któremu jednak w swym odurzeniu nie umiał się przez chwilę oprzeć, a które sprawiało mu nawet pewną przyjemność; w każdym razie kilkakrotnie w ciągu obiadu starał się je przywołać z powrotem i za każdym razem złudzenie było zupełne.

Ruchliwa starsza pani wygadywała coś nadal, niewyraźnie jak zwykle, do siedzącego po drugiej stronie stołu doktora Blumenkohla, który słuchał z miną zatroskaną.

Jej szczupła siostrzenica jadła wreszcie coś innego niż jogurt, mianowicie gęstą zupę creme dorge, roznoszoną na talerzach przez kelnerki; ale po kilku łyżkach odsunęła talerz, nie tykając reszty. (Crime dorge (francuskie) - kleik jęczmienny.

Ładna Marusia tłumiała swój chichot, wtykając do ust chusteczkę, z której rozchodził się pomarańczowy zapach.

Miss Robinson czytała te same, okrągłym pismem skreślone listy, które czytała już dzisiaj rano. Widocznie nie umiała ani słowa po niemiecku i nie chciała się nauczyć.

Joachim, jako grzeczny kawaler, powiedział jej po angielsku coś o pogodzie, ale ona, żując, coś tylko odburknęła i znowu pogłężyła się w milczeniu.

Co się tyczy pani Stohr w szkockiej bluzce wełnianej, to była dzisiaj przed południem badana i opowiadała

o tym, niekulturalnie się krygując i wyszczerzając zajęcze zęby.

Z prawej strony u góry, skarżyła się, ma jeszcze szmery, a po za tym pod lewą łopatką dźwięk jest jeszcze

bardzo skrócony, więc "stary" powiedział, że jeszcze pięć miesięcy musi tu zostać.

Tak była nieogładzona, że radcę dworu Behrensa nazywała "starym".

Poza tym oburzała się, że "stary" nie siedzi dzisiaj przy jej stole.

Z "tournee" wynikałoby (miała na myśli prawdopodobnie "turnus"), że dzisiaj jest kolej na jej stół, a tymczasem "stary" znowu usiadł przy sąsiednim stole z lewej strony (radca Behrens siedział tam rzeczywiście, splótnszy przed talerzem swoje wielkie dłonie).

Ale to jest zupełnie zrozumiałe, mówiła, bo tam jest miejsce tej grubej pani Salomon z Brukseli, która nawet w Powszedni dzień dekoltuje się do obiadu, a "staremu" widocznie to się podoba, chociaż ona, pani Stohr, nie pojmuje tego, bo przecie przy każdym badaniu "stary" widzi tyle z pani Salomon, ile tylko chce.

Potem, z wielkim podnieceniem, opowiadała szeptem, że wczoraj wieczorem na ogólnej leżalni, mianowicie tej, która się znajduje na dachu, nagle zgaszono światło, i naturalnie w celach, które nazywała "zupełnie przejrzystymi", "Stary" miał to zauważyć i krzyczał tak, że słychać było w całym zakładzie.

Sprawcy znowu, naturalnie, nie znaleziono, chociaż nie potrzeba przecież skończyć uniwersytetu, żeby odgadnąć, iż zrobił to kapitan Miklosich z Bukaresztu, któremu w ogóle w towarzystwie pań nigdy nie jest dosyć ciemno; jest to człowiek bez żadnego wykształcenia i nic mu nie pomaga, że

chodzi w gorsecie, bo jest to po prostu dzikie zwierzę, tak, prawdziwe dzikie zwierzę - powtórzyła pani Stohr stłumionym głosem, a na jej czole i górnej wardze wystąpiły kropelki potu.

Całe Davos wie przecie, jaki stosunek łączy z nim panią konsulową Wurmbrand z Wiednia - tutaj nie można już mówić o jakimś sekretnym stosunku.

Bo nie dość, że codziennie ten kapitan przychodzi do pokoju pani konsulowej, kiedy ta jeszcze leży w łóżku, i jest obecny przy calutkiej jej porannej toalecie, ale w zeszły wtorek opuścił pokój Wurmbrand dopiero o świcie, o godzinie czwartej rano - złapała go na tym pielęgniarka młodego z numeru dziewiętnastego, któremu przed kilkoma dniami nie zdołano zrobić sztucznej odmy, i tak się zawstydzila, że omyliła się w numerze drzwi i znalazła się nagle w pokoju prokuratora Paravanta z Dortmundu...

Wreszcie pani Stohr wygłosiła dłuższą Przemowę o "kosmicznym zakładzie", w którym na dole, w Davos Wsi, kupuje wodę do ust.

Joachim nieruchomo wpatrywał się w swój talerz.

Obiad był równie obfity, jak świetnie przyrządzony.

Wliczając weń pożywną zupę, składał się z nie mniej niż sześciu dań.

Po rybie było garniowane coś, potem bukiet jarzyn, pieczony drób, legumina, smakiem swym nie ustępująca tej, którą Hans Castorp jadł wczoraj na kolację, wreszcie ser i owoce.

Każdy półmisek obnoszono dwa razy i nie na próżno!

Nakładano sobie na talerze i pochłaniano olbrzymie ilości - wilczy apetyt panował w tej sali, dziki głód którego widok byłby może przyjemny, gdyby jednocześnie nie sprawiał jakiegoś niesamowitego, a nawet odpychającego wrażenia.

Nie tylko ci weselsi, ci, co beztrósco gawędzili i obrzucali się nawzajem kulkami z chleba, wykazywali zdolności w tym kierunku, ale i tamci, spokojni i smutni, którzy w przerwach między daniami opierali głowę na rękę i patrzyli ponuro przed siebie.

Jakiś niedorostek, siedzący przy stole po lewej stronie, sądząc z wieku uczeń gimnazjalny, ze zbyt krótkimi rękawami i w grubych okrągłych okularach, wszystko, co nakładał sobie na talerz, przede wszystkim drobniutko krajał i mieszał w jedną papkę; potem pochylał się nad nią i pochłaniał ją, sięgając od czasu do czasu serwetką pod okulary, ażeby otrzeć sobie oczy - nie wiadomo, co tam było do otarcia: pot czy łzy.

Podczas obiadu zdarzyły się dwa wypadki, które: zwróciły na siebie uwagę Hansa Castorpa, o ile pozwalało mu na to jego samopoczucie.

Przede wszystkim - było to przy rybie - znowu trzasnęły oszklone drzwi.

Hans Castorp drgnął i w przystępie złości powiedział sobie, że tym razem musi koniecznie przyłapać sprawcę.

Nie tylko pomyślał to, ale nawet powiedział to sobie nieznacznymi ruchami warg - tak, ważna była dla niego ta sprawa.

"Muszę się dowiedzieć"!

- szepnął z przesadną pasją, tak że nawet miss Robinson i nauczycielka spojrzały na niego zdziwione. Odwrócił się przy tym całym ciałem na lewo i wytrzeszczył przekrwione oczy.

Przez jadalnię szła jakaś pani, raczej młoda dziewczyna, średniego wzrostu, w białym swetrze i kolorowej

spódnicy, z rudawo blond warkoczami, zakrywającymi po prostu głowę.

Hans Castorp nie dojrzał w jej profilu, prawie nic.

Szła cicho, bez szmeru - co dziwnie się nie zgadzało z jej hałaśliwym wejściem - szła jakby skradając się, z

lekka wyciągnawszy głowę, i zmierzała do ostatniego stołu, na lewo, ustawionego pod kątem prostym do drzwi, które prowadziły na werandę; był to tak zwany "lepszy stół rosyjski"; trzymała przy tym jedną rękę w kieszeni obcisłego swetra, drugą podniosła do góry, ażeby poprawić sobie włosy.

Hans Castorp spojrział na tę rękę - specjalne znaczenie przywiązywał zawsze do rąk i ilekroć poznawał kogoś nowego, szczególną uwagę zwracał przede wszystkim na tę część ciała.

Ręka, która poprawiała włosy, nie była tak wypielęgnowana i delikatna jak ręce pań należących do sfery towarzyskiej młodego Hansa Castorpa.

Dość szeroka, o zbyt krótkich palcach, miała w sobie coś prymitywnego i dziecinnego, coś z ręki uczennicy; paznokcie jej na pewno nie znały manicure, były, również jak u uczennicy, byle jak obcięte nożyczkami, a skórka na bokach, jakby trochę postrzępiona, świadczyła prawie o małym nałogu obgryzania paznokci.

Hans Castorp domyślił się raczej tego wszystkiego, niż dojrzał wyraźnie - odległość była przecież zbyt wielka.

Skinieniem głowy przywitała towarzystwo przy stole i usiadłszy po jego wewnętrznej stronie tyłem do sali, obok doktora Krokowskiego, który tam rezydował, odwróciła głowę i przez ramię przelotnie obejrzała publiczność, wciąż jeszcze trzymając rękę Przy włosach.

Hans Castorp zdołał wtedy zauważyć, że miała szerokie kości policzkowe i wąskie oczy... Niejasne wspomnienie czegoś i kogoś odezwało się w nim na krótką chwilę...

..."Naturalnie, kobieta"!

- pomyślał Hans Castorp i znowu wyszeptał te słowa tak głośno, że nauczycielka, panna Engelhart, zrozumiała je.

Chuda starsza Panna uśmiechnęła się, wzruszona.

- To jest Madame Chauchat - rzekła.

- Jest tak nonszalancka.

Zachwycająca kobieta.

- Wypieki na twarzy panny Engelhart wzmocniły się o jeden ton, Co zresztą zdarzało się, ilekroć zaczynała coś mówić.

- Francuzka?

- zapytał surowo Hans Castorp.

- Nie, Rosjanka - odpowiedziała panna Engelhart.

- Może mąż jej jest Francuzem lub francuskiego pochodzenia.

Nie wiem tego na pewno.

- Czy to ten tam?

- spytał Hans Castorp, ciągle jeszcze rozdrażniony, i wskazał na pana z obwisłymi ramionami, siedzącego



przy lepszym stole rosyjskim.

- O nie, jej męża tu nie ma - odpowiedziała nauczycielka.

- Nie było go tu jeszcze i nikt go tu nie zna.

- Mogłaby przyzwoicie drzwi zamykać!

- powiedział Hans Castorp.

- Zawsze tak nimi trzaska.

To przecie nie jest sposób.

A ponieważ nauczycielka przyjęła tę naganę z pokornym uśmiechem, jakby sama była tu winna, nie było

więcej mowy o Madame Chauchat.

Drugie zdarzenie polegało na tym, że doktor Blumenkohl na chwilę opuścił salę - nic więcej.

Nagle twarz jego sposepniała jeszcze bardziej, spojrzenie przybrało wyraz bardziej zatroskany niż zwykle,

po chwili skromnym ruchem odsunął krzesło i wyszedł.

Przy tej sposobności w pełnym świetle ukazał się brak kultury pani Stohr, bo prawdopodobnie jedynie ordynarne zadowolenie, że jest mniej chora niż Blumenkohl, podyktowało jej na wpół współczujący, na wpół szyderczy komentarz: "Biedak, patrzy już na księżą oborę.

Już znowu musi się naradzać z niebieskim Henrykiem".

(z niebieskim Henrykiem - aluzja do powieści Frieda Kellera "Zielony Henryk".

Przekreślonym tytułem tej powieści nazywa pani StOhr kieszonkową spluwaczkę, używaną przez chorych w sanatorium).

Bez najmniejszego wysiłku z tępą ignorancją wypowiedziała to groteskowe określenie "niebieski Henryk"; Hans Castorp zdrętwiał z przerażenia, a zarazem miał ochotę śmiać się, kiedy to usłyszał.

doktor Blumenkohl powrócił zresztą po kilku minutach i, równie skromnie jak wyszedł, zajął z powrotem swoje miejsce przy stole i zaczął jeść dalej.

Podobnie jak inni, jadł bardzo wiele, nakładając sobie zawsze dwa razy na talerz, w milczeniu i z zatroskanym obliczem.

Obiad się skończył.

Dzięki zręcznej usłudze - karlica uwijała się przy tym najszybciej - trwał tylko dobrą godzinę.

Hans Castorp, ciężko dysząc i sam dobrze nie wiedząc, jak się znalazł na górze, leżał znowu na swoim doskonałym leżaku, bo werandowanie po obiedzie, aż do podwieczorku, było nawet najważniejsze i należało go ściśle przestrzegać.

Drzemał z bijącym sercem, oddychając przez usta; leżał pomiędzy ściankami z matowego szkła, które go oddzielały z jednej strony od Joachima, a z drugiej - od rosyjskiego małżeństwa.

Kiedy użył swej chusteczki, zaczerwieniła się od krwi, ale nie miał dosyć siły, żeby się nad tym zastanowić, chociaż z natury lękał się o siebie i był skłonny do lekkiej hipochondrii.

Zapalił sobie znowu "Marię Mancini", i tym razem wypalił ją do końca, nie zwracając uwagi na to, jaki ma smak.

Czując zawrót głowy, nieswój i senny, rozmyślał, co za dziwne rzeczy dzieją się z nim tutaj w górze.

Dwa lub trzy razy wstrząsnął nim wewnętrzny śmiech, kiedy sobie przypomniał okropne określenie, jakiego użyła przy stole niewykształcona pani Stohr.

Pan Albin.

Na dole w ogrodzie powiewała fantazyjna chorągiew z laską Eskulapa.

Niebo zaciągnęło się znowu równomiernie chmurami, promienie słoneczne skryły się i nagle powiało niegościnnym chłodem.

Ogólna leżalnia była pełna ludzi; dolatywały z niej rozmowy i chichoty.

- Błagam pana, panie Albinie, niech pan odłoży nóż albo niech go pan schowa do kieszeni, bo może się zdarzyć nieszczęście - skarżył się jakiś wysoki, drżący głos kobiety.

A potem: - Ależ na miłość Boga, drogi panie Albinie, niech pan oszczędza nasze nerwy i usunie sprzed

naszych oczu to mordercze narzędzie!

- wtrąciła się inna pani.

Na co młody blondyn, który z papierosem w ustach siedział na pierwszym leżaku z brzegu, odpowiedział

zuchwałym tonem: - Ani mi się śni.

Panie pozwolą mi chyba pobawić się trochę moim nożem!

Tak, ten nóż jest wyjątkowo ostry, kupiłem go w Kalkucie od pewnego ślepego czarownika...

Czarownik połykał ten nóż, a jego pomocnik wykopywał go natychmiast z ziemi w odległości

pięćdziesięciu kroków...

Czy chce pani zobaczyć?

Jest o wiele ostrzejszy niż brzytwa.

Wystarczy lekko dotknąć ostrza, a wchodzi w ciało jak w masło.

Zaraz pani pokażę i Pan Albin wstał z krzesła.

Podniósł się krzyk i pisk.

- Nie, pokażę państwu lepiej mój rewolwer!

- rzekł pan Albin.

- To będzie bardziej interesujące.

Przeklęte narzędzie.

Wali z taką siłą.

Zaraz go przyniosę z mego pokoju.

- Panie Albinie, drogi panie Albinie, niech pan tego nie robi!

- podniósł się krzyk, ale pan Albin opuszczał już leżalnię, aby się udać do swojego pokoju.

Był to człowiek bardzo jeszcze młody, niedbały, z różową twarzą dziecka i niedużymi baczkami przy uszach.

- Panie Albinie - wołała za nim jakaś pani - niech pan lepiej przyniesie swoje palto i włoży je, niech pan to zrobi dla mnie.

Sześć tygodni leżał pan na zapalenie płuc, a siedzi pan tutaj bez palta i nawet bez pledu i pali pan papierosy.

To jest kuszenie Pana Boga, słowo honoru daję!

Ale on zaśmiał się szyderczo i już po kilku minutach powrócił z rewolwerem.

Pisk, jeszcze głębszy niż poprzednio, podniósł się na leżalni i słychać było, jak ludzie, chcąc zeskoczyć z leżaków, płaczą się w swoich derkach i upadają.

- Proszę tylko zobaczyć, jakie to małe i błyszczące - powiedział pan Albin - ale jeżeli tutaj nacisnę, to chwyci...

- Nowy pisk.

- Jest naturalnie nabity ostrymi nabojami - ciągnął pan Albin.

- W tym bębnie, który za każdym strzałem robi część obrotu, siedzi sześć nabojów.

Zresztą przechowuję go nie dla żartów - rzekł, spostrzegłszy, że wrażenie Powoli słabnie; schował rewolwer do wewnętrznej kieszeni marynarki, usiadł znowu na leżaku, założywszy nogę na nogę, i zapalił nowego papierosa.

- Stanowczo nie dla żartów - powtórzył i zacisnął Wargi.

- A po co, w jakim celu?

- spytało kilka głosów, w których zabrzmiała obawa i niepokój.

- To straszne!

- zawołał ktoś nagle.

Pan Albin skinął głową.

- Widzę, że państwo zaczynają rozumieć - i rzekł: - Rzeczywiście mam go w tym celu - ciągnął dalej jakby nigdy nic, pomimo przebytego zapalenia płuc wdychając i wypuszczając wielkie kłęby dymu.

- Trzymam go w pogotowiu, aż do dnia, w którym będę miał dosyć tego całego bałaganu i kiedy będę miał honor najuniższej się pożegnać.

To wcale nietrudno...

Przestudiowałem tę sprawę i wiem już doskonale, w co należy wypalić.

(Przy słowie "wypalić" ktoś głośno krzyknął).

Serce nie wchodzi tu w grę...

Niewygodnie jest w nie mierzyć...

wolę też od razu stracić przytomność, a osiągnę to aplikując sobie tak piękną i malutką rzecz, to obce ciało, o tutaj, w ten interesujący organ...

- I pan Albin wskazał palcem na swoją krótko ostrzyżoną blond głowę.

- Należy przyłożyć w ten sposób - pan Albin wyjął znowu z kieszeni swój niklowany rewolwer i parę razy stuknął sobie lufą w skroń.

- Tutaj, powyżej tętnicy...

Nawet bez lustra jest to prosta sprawa...

Teraz wybuchnął zbiorowy błagalny protest, w który wmieszało się czyjeś głośne łkanie.

- Panie Albinie, panie Albinie, niech pan odejmie rewolwer od skroni, na to nie można patrzeć!

Pan jest jeszcze młody, pan wyzdrowieje, pan powróci do życia i będzie się pan cieszył powszechną życzliwością.

Słowo honoru daję!

Ale niech pan włoży palto, niech pan się położy i przykryje, niech pan nie zaniedbuje kuracji!

Niech pan nie odpędza masażysty, kiedy przychodzi pana natrzeć spirytusem.

Niech pan przestanie palić, panie Albinie - błagamy pana o pana życie, o pańskie młode, cenne życie!

Ale pan Albin był nieubłagany.

- Nie, nie, zostawcie mnie w spokoju, już dobrze!

I bardzo dziękuję.

Jeszcze nigdy żadnej kobiecie niczego nie odmówiłem, ale przecież to nonsens przeciwstawiać się losowi.

Jestem już tutaj trzeci rok...

Mam dosyć i przestaję brać udział w tej zabawie - czy można brać mi to za złe?

Jestem nieuleczalnie chory, tak jak panie mnie tu widzą, nieuleczalnie chory!

Tylko ze względu na honor zakładu i ze wstydu, radca dworu ukrywa to jeszcze trochę przede mną.

Dajcież mi więc trochę swobody - bo cóż mi więcej pozostaje!

To jest tak, jak w gimnazjum, kiedy uczeń dowiaduje się, że zostaje na drugi rok: nie jest już pytany i nie ma nic do roboty.

Doszedłem wreszcie do błogiego stanu, nic już nie potrzebuję robić, machnięto na mnie ręką i śmieję się z tego wszystkiego.

Czy mogę służyć czekoladą?

Proszę, niech państwo biorą!

O nie, nie zabraknie mi, mam mnóstwo czekolady w pokoju: osiem bombonierek, pięć tabliczek GalaPeter i cztery funty Lindta - wszystko to dostałem od tutejszych pań, kiedy miałem zapalenie płuc...

Nagle odezwał się jakiś gruby głos, nakazujący ciszę.

Pan Albin zaśmiał się krótko - śmiechem niespokojnym i urywanym.

W leżarni zrobiło się cicho, tak cicho, jak gdyby nagle wszystkich sen ogarnął albo duch jakiś przeleciał nad głowami; dziwnie pobrzmiwało jeszcze w milczeniu echo wypowiedzianych uprzednio słów.

Hans Castorp nasłuchiwał jeszcze, aż ostatnie głosy umilkły, i chociaż zdawało mu się, że pan Albin zapewne jest zwyczajnym durniem, nie potrafił jednak obronić się przed lekkim uczuciem zazdrości.

Szczególnie uderzyło go porównanie zaczerpnięte z życia szkolnego, bo sam musiał powtarzać piątą klasę i pamiętał dobrze ówczesny, trochę przykry, ale jednocześnie zabawny stan beztroskiego zaniedbania, w jakim znajdował się podczas ostatniego kwartału, kiedy wycofał się z wyścigu i mógł się do woli śmiać "z tego wszystkiego".

Trudno jest sprecyzować jego uczucia w tej chwili, bo były niejasne i poplątane.

Wydawało mu się, że honor ma wprawdzie swoje dobre strony, ale że ma je także hańba, a nawet, że dobre strony hańby są nieograniczone.

I kiedy próbował wczuć się w stan pana Albina i dokładnie wyobrazić sobie, jak to jest, gdy ostatecznie przestają człowieka krępować wszelkie wymagania honoru i można bez reszty korzystać z nie ograniczonych niczym dodatnich stron hańby, odczuł nagle tak nieokiełznaną rozkosz, że ogarnęło go przerażenie, a serce jego przez pewien czas biło jeszcze gwałtowniej.

Później stracił przytomność.

Szatan robi niegodne propozycje.

Kiedy obudziła go rozmowa tocząca się za lewą przegrodą, na jego zegarku było wpół do czwartej. doktor Krokowski, który o tej porze bez radcy Behrensa obchodził chorych, rozmawiał po rosyjsku ze źle wychowanym rosyjskim małżeństwem, pytał, jak się zdawało, o zdrowie męża i kazał sobie podać jego

tabelkę temperatury.

Potem jednak kontynuował swoje wizyty wzdłuż balkonu, lecz okrążył korytarzem pokój Hansa Castorpa i wszedł przez drzwi do pokoju, w którym mieszkał Joachim.

Hansa Castorpa dotknął nieco fakt, że w ten sposób zatoczono łuk dokoła niego, Pozostawiając go po swej lewej ręce; co prawda, nie miał bynajmniej ochoty do rozmowy w cztery oczy z doktorem Krokowskim. No tak, on był właśnie zdrowy i nie liczył się tu wcale, bo tutaj w górze, myślał sobie, ten, kto ma honor być zdrowym, nie wchodzi wcale w rachubę i nikt się o niego nie troszczy, ale ten zwyczaj gniewał trochę młodego Castorpa.

Doktor Krokowski zabawił u Joachima dwie lub trzy minuty, po czym poszedł dalej, już wzdłuż balkonu. Joachim zawołał na Hansa Castorpa, że można już wstawać i przygotowywać się do podwieczorku. Dobrze - odrzekł i podniósł się z leżaka.

Ale na skutek długiego leżenia czuł zawrót głowy, a półsen nie pokrzepił go bynajmniej i wywołał znowu nieprzyjemne wypieki na policzkach, chociaż jednocześnie czuł lekkie dreszcze - może leżąc był niedostatecznie przykryty.

Umył sobie oczy i ręce, przyczesał włosy, doprowadził do porządku ubranie i jednocześnie z Joachimem wyszedł na korytarz.

- Czyś słyszał, co mówił ten pan Albin?

- zapytał, kiedy schodzili ze schodów...

- Ma się rozumieć - odpowiedział Joachim.

Należałoby go wziąć w karby.

Przeszkadza tu w poobiednim odpoczynku i tak denerwuje panie, że o całe tygodnie cofa je w kuracji. To jest poważny brak subordynacji, ale nie znajdzie się nikt, kto by go zadenuncjował. A zresztą, dla większości takie gadanie stanowi przecież pożądaną rozrywkę.

- Czy uważasz za możliwe - zapytał Hans Castorp - aby on brał na serio tę swoją, jak ją nazywa, "prostą sprawę" i aby chciał zaaplikować sobie to "obce ciało"?

- Ach, owszem - odpowiedział Joachim.

- Całkiem niemożliwe to nie jest.

Tutaj w górze zdają się takie rzeczy.

Na dwa miesiące przed moim przyjazdem pewien student powiesił się tutaj po generalnym badaniu. Podczas pierwszych dni jego pobytu dużo jeszcze o tym mówiono.

Hans Castorp ziewnął, wzburzony, i oświadczył: - Wiesz, dobrze się tutaj u was nie czuję; tego nie mogę powiedzieć.

Zdaje mi się, że nie będę mógł pozostać, że będę musiał wyjechać, czy wzięłbyś mi to za złe?

- Wyjechać!

Co ci na myśl przychodzi!

- Powiedział Joachim.

- To nonsens - przecież dopiero przyjechałeś.

Pierwszy dzień nie jest miarodajny!

- Ach, Boże, czy to ciągle jeszcze pierwszy dzień!

Mam wrażenie, że jestem tu w górze od bardzo dawna.

Tylko nie zaczynaj znowu mędrkować na temat czasu!

- powiedział Joachim.

- Dzisiaj rano zupełnie zawróciłeś mi w głowie.

- Bądź spokojny - odparł Hans Castorp - już nie pamiętam tego całego kompleksu, a poza tym nie mogę już tak jasno myśleć jak poprzednio...

A więc teraz będzie herbata.

- Tak, a potem pójdziemy na spacer jak dziś rano, znowu do tej samej ławki.

- Dobrze, ale mam nadzieję, że nie spotkamy już Settembriniego.

Uprzedzam cię z góry, że nie mogę już dzisiaj brać udziału w żadnej uczonej rozmowie.

W jadalni podawano wszelkie napoje, jakie tylko mogły wchodzić w grę o tej porze.

Miss Robinson piła znowu krwistoczerwony odwar z głogu, a amatorka jogurtu jadła go łyżką. Poza tym było mleko, herbata, kawa, czekolada, a nawet rosół, i wszyscy goście, choć po sutym obiedzie spędzili dwie godziny w pozycji leżącej, z zapałem smarowali sobie masłem wielkie kawałki ciasta z

rodzynkami.

Hans Castorp kazał sobie podać herbatę i maczał w niej sucharki.

Spróbował również marmolady.

Dokładnie obejrzał ciasto z rodzynekami, ale dosłownie wzdrygnął się cały na myśl o zjedzeniu choćby

małego kawałka.

I znowu, już po raz czwarty, siedział na swoim miejscu w jadalni ze sklepionym sufitem, malowanym w

naiwne desenie.

Trochę później, o godzinie siódmej, znalazł się tam po raz piąty, podczas kolacji.

W czasie pomiędzy tymi posiłkami był na krótkiej przechadzce i doszedł do ławki pod skałą, przy rynnicy z wodą.

O tej porze spacerowało po drodze wielu pacjentów, tak że kuzyni często musieli się kłaniać. Potem znowu weradowali przez Półtorej godziny; czas ten minął szybko i pozbawiony był wszelkiej treści.

Podczas leżenia Hans Castorp miał silne dreszcze.

Do kolacji przebrał się starannie; siedząc pomiędzy miss Robinson i nauczycielką, jadł zupełną jarzynową, pieczone i smażone mięso z garniturem, dwa kawałki tortu, który zawierał wszystko: ciasto makaronikowe, krem maślany, czekoladę, marmoladę i marcepan, wreszcie zakończył doskonałym serem i pumperniklem.

Znowu kazał sobie podać butelkę kulbachera, ale wypiwszy pół szklanki, poczuł, że powinien położyć się do łóżka.

W głowie szumiało mu, powieki ciążyły jak ołów, serce biło jak młotem, a na domiar złego wmówił w

siebie, że śliczna Marusia, która pochylona do przodu, kryła twarz w ręce ozdobionej małym rubinem,

śmieje się właśnie z niego, chociaż tak usilnie starał się nie dać do tego najmniejszego powodu.

Jakby z wielkiej odległości słyszał, jak pani Stohr opowiadała czy twierdziła coś takiego, co mu się wydawało zupełną bzdurą i budziło w nim niepewność i wątpliwość, czy aby dobrze słyszy, czy też może

wynurzenia pani Stohr przekształcają się w jego głowie w niedorzeczności.

Twierdziła mianowicie, że umie przyrządzać dwadzieścia osiem rodzajów różnych sosów do ryb; ma odwagę zaręczyć, że tak jest, chociaż jej własny mąż ostrzegał ją by o tym nie mówiła.

"Nie gadaj o tym!

- miał jej powiedzieć - bo nikt ci nie uwierzy, a jeżeli nawet uwierzy, to cię na pewno wyśmieje".

A jednak pragnie dzisiaj raz wreszcie powiedzieć i otwarcie oznajmić, że w istocie umie robić dwadzieścia

osiem różnych sosów do ryb.

Biednemu Hansowi Castorpowi wydawało się to czymś tak straszliwym, że przeląkł się, potarł ręką czoło i

zupełnie zapomniał dogryść do końca i połknąć kawałek pumpernika z chesterem, który właśnie miał w ustach.

Żuł go jeszcze kiedy już wstawano od stołu.

Wyszli wprost do hallu przez oszklone drzwi po lewej stronie, te fatalne drzwi, które zawsze trzaskały.

Prawie wszyscy goście obrali tę drogę, bo okazało się, że o tej godzinie, po kolacji odbywa się w hallu i

przyległych salonach coś w rodzaju towarzyskiego zebrania.

Goście podzielili się na małe grupy i stojąc rozmawiali.

Niektórzy zasiedli do gry przy dwóch obitych zielonym sukniem rozkładanych stolikach; przy jednym grano w domino, przy drugim w bridża; byli tu wyłącznie młodzi ludzie, między innymi pan Albin i Hermina Kleefeld.

W pierwszym salonie znajdowało się też kilka interesujących zabawek optycznych: stereoskop, przez którego soczewki widać było ustawione wewnątrz fotografie, na przykład weneckiego gondoliera, w sztywnej i martwej postawie; następnie kalejdoskop w kształcie małej lunety; kiedy się przykładano oko do

jego soczewek i lekko obracało ręką pierścień umieszczony na końcu, ukazywały się coraz to inne cudowne arabeski i gwiazdy.

Wreszcie stroboskop, do którego wstawiało się wstęgę kinematograficznego filmu, a potem, obracając go i patrząc przez szpary, oglądało się młynarza walczącego wręcz z kominiarzem, nauczyciela wymierzającego karę chłosty uczniowi, fikającego linoskoczka i parkę wieśniaków, wykonujących jakiś wiejski taniec. Hans Castorp, z rękami zziębniętymi, wspartymi na kolanach, przez dłuższy czas zabawiał się każdym z tych przyrządów.

Postać również przez chwilę przy bridżu, gdzie nieuleczalnie chory pan Albin z obwisłymi kącikami ust i z niedbałymi ruchami światowca manewrował kartami.

W rogu pokoju siedział doktor Krokowski, żywo i serdecznie rozmawiając z półkolem pań, wśród których

była pani Stohr, pani Iltis i panna Levi.

Goście należący do lepszego stołu rosyjskiego zebrali się w sąsiednim saloniku, odgrodzonym tylko Portierami od pokoju, gdzie grano.

Oprócz Madame Chauchat siedzieli tam: jakiś chuderławy blondyn z brodą, z wklęsłą klatką piersiową i

wytrzeszczonymi oczami; młoda, ciemna brunetka, o oryginalnym i humorystycznym typie, ze złotymi kolczykami i rozwichrzonymi włosami; następnie doktor Blumenkohl, który dołączył się do tego towarzystwa, i jeszcze dwóch młodych ludzi o obwisłych ramionach.

Madame Chauchat miała na sobie niebieską suknię z białym koronkowym kołnierzem.

Siedziała w centralnym punkcie całej grupy, na kanapie, przy okrągłym stoliku pod tylną ścianą pokoju, z

twarzą zwróconą ku pokojowi gry.

Hans Castorp, patrząc krytycznie na tą źle wychowaną kobietę, myślał sobie w duchu: jest coś takiego, co

ona mi przypomina, ale nie wiem co by to być mogło...

Jakiś wysoki, mniej więcej trzydziestoletni pan, z przerzedzonymi włosami na głowie, trzy razy z rzędu

przegrał na krótkim bridżowym fortepianie marsz weselny ze "Snu nocy letniej"; a kiedy panie go o to poprosiły, zaczął grać ten melodyjny utwór po raz czwarty, każdej z nich po kolei zaglądając głęboko w

oczy.

- Czy wolno zapytać pana o zdrowie, inżynierze?

- zapytał Settembrini, który z rękami w kieszeniach spodni kręcił się wśród gości, i podszedł do Hansa

Castorpa...

Wciąż jeszcze miał na sobie szarą, włochatą marynarkę oraz jasne spodnie w kratę. Uśmiechał się, znowu widok delikatnie ironicznego wyrazu ust pod czarnymi łukami wąsów podzielał jakby otrzeźwiająco na Hansa Castorpa.

Zresztą patrzył na Włocha z miną dosyć głupią, ze zwiotczalymi wargami i przekrwionymi oczyma.

- A, to pan - rzekł.

- Od razu poznałem, to pana spotkaliśmy dzisiaj rano na górze przy ławce, przy rynnicy z wodą. Czy pan da wiarę - ciągnął, choć zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego mówić - że w pierwszej chwili zrobił pan na mnie wrażenie kataryniarza?...

Naturalnie, to było zupełnie od rzeczy - dodał, widząc, że spojrzenie Settembriniego przybrało wyraz chłodny i badawczy - straszliwy nonsens jednym słowem!

Nie mogę teraz pojąć nawet, w jaki sposób...

- Niech pan się uspokoi, to nic nie szkodzi - odparł po chwili Settembrini, który czas jakiś milcząco obserwował Hansa Castorpa.

- A jak pan spędził dzień, swój pierwszy dzień w tym miejscu rozrywkowym?

- Dziękuję bardzo.

Zupełnie przepisowo - odparł Hans Castorp.

- Przeważnie w pozycji poziomej, jak to pan podobno lubi nazywać.

Settembrini uśmiechnął się.

- Być może, że kiedyś tak powiedziałem - rzekł.

Czy czas się panu nie dłużył?

- I dłużył, i zarazem mknął szybko, jak się komu podoba - odpowiedział Hans Castorp.

- To czasem trudno odróżnić, wie pan.

Nie nudziłem się bynajmniej - przecież tu u was panuje bardzo żywy ruch.

Widzi się i słyszy tu tyle nowych i dziwnych rzeczy...

Ale z drugiej strony wydaje mi się, że jestem tutaj nie jeden tylko dzień, ale już od dłuższego czasu - tak jak gdybym stał się tutaj już mądrzejszy i starszy.

- Mądrzejszy także?

- zapytał Settembrini i podniósł brwi w górę.

- Za pozwoleniem: ile lat ma pan właściwie?

Ale cóż to znowu?

Hans Castorp nie wiedział?

Nie wiedział w owej chwili, ile ma lat, chociaż czynił gwałtowne, a nawet rozpaczliwe wysiłki, żeby sobie przypomnieć.

Dla zyskania na czasie kazał sobie powtórzyć pytanie, a potem rzekł: - ...

Ja...

ile mam lat?

Naturalnie, mam dwadzieścia trzy, niezadługo skończę dwadzieścia cztery.

Przepraszam pana, jestem zmęczony!

Choć zmęczenie zupełnie jeszcze nie jest właściwym określeniem tego, co czuję.

Czy zna pan ten stan, kiedy ktoś ma jakiś sen i wie, że to jest sen, i chce się obudzić, a nie może?

Zupełnie tak samo czuję się teraz.

Na pewno mam gorączkę, inaczej w ogóle nie mogę sobie tego wytłumaczyć.

Czy pan da wiarę, że aż po kolana marzną mi stopy!



Jeżeli wolno tak się wyrazić, bo kolana nie należą już przecie do stóp - przepraszam pana, zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje, i nic dziwnego, bo jeśli z samego rana gwizdnięto na kogoś tą... tą sztuczną odumą, a potem musi słuchać, i to w pozycji poziomej gadania pana Albina. Niech Pan sobie wyobrazi: ciągle mi się wydaje, że nie mogę dowierzać swoim pięciu zmysłom, i muszę powiedzieć, że mi się to daje we znaki jeszcze bardziej niż wypieki na twarzy i zimne nogi. Niech pan mi powie otwarcie: czy pan to uważa za możliwe, że pani Stohr umie przyrządzać dwadzieścia osiem sosów do ryb?

Nie chodzi mi o to, czy naprawdę umie je robić - uważam to za wykluczone - chciałbym tylko wiedzieć, czy ona rzeczywiście twierdziła tak przy stole, czy też mi się tylko tak wydawało.

Settembrini spojrzał na niego.

Wydawało się, że nie słucha.

Jego oczy znowu zapatrzyły się, przybrały tępy i nieruchomy wyraz.

- Tak, tak.

tak, no, no, no - powiedział szyderczo i w zamyśleniu, miękko wymawiając wyrazy, jak dzisiaj rano.

- Powiedział pan: dwadzieścia cztery?

- zapytał po chwili...

- Nie, dwadzieścia osiem!

- odparł Hans Castorp.

- Dwadzieścia osiem sosów do ryb!

Nie sosów w ogóle, ale specjalnych sosów do ryb.

To jest właśnie niesłychane.

- Inżynierze!

- rzekł Settembrini tonem gniewnym i mentorskim.

- Niechże się pan opanuje i nie opowiada mi tych bezwstydných nonsensów!

Nic o tym nie wiem i nic nie chcę wiedzieć.

Dwudziesty czwarty rok?

Hm...

niech pan mi pozwoli na jeszcze jedno pytanie albo lepiej niech mi wolno będzie zrobić panu pewną niewiążącą propozycję, jeśli pan woli.

Zdaje się, że pobyt tutaj panu nie służy; jeżeli się nie mylę, czuje się pan u nas źle zarówno na ciele, jak i na duszy - jakby to więc było, gdyby pan zrezygnował ze starzenia się tutaj, jednym słowem, gdyby pan jeszcze dzisiaj w nocy spakował swoje manatki i jutro rano wyjechał stąd pośpiesznym pociągiem?

- Pan sądzi, że powinienem wyjechać?

- zapytał Hans Castorp.

- Przecież dopiero co przyjechałem!

No nie, przecież pierwsze dni nie są miarodajne!

Mówiąc to spojrzał przypadkiem do sąsiedniego pokoju i zobaczył panią Chauchat, jej wąskie oczy i szerokie kości policzkowe.

Na miłość boską, pomyślał, co i kogo ona mi przypomina?

Ale pomimo pewnego wysiłku nie znalazł w swej zmęczonej głowie odpowiedzi.

- Ma się rozumieć, nie jest mi tak całkiem łatwo zaaklimatyzować się tutaj u was w górze - ciągnął dalej - to było do przewidzenia; ale tak zaraz dać za wygraną tylko dlatego, że przez pierwszych kilka dni będę może miał wypieki i będzie mi nieswojo, nie, musiałbym się wstydzić i samemu sobie wydałbym się wprost tchórzem.

Poza tym byłoby to wbrew wszelkiemu rozsądkowi - no, niech pan sam powie...

Mówił teraz bardzo dobitnie, wzruszając w podnieceniu ramionami; zdawało się, że chce nakłonić Włocha, by całkiem formalnie cofnął swą propozycję.

- Schylam głowę przed rozsądkiem - odparł Settembrini.
- Schylam ją również przed odwagą.

Pan ma poniekąd słuszość i trudno byłoby przeciwstawić jego zdaniu jakieś słuszne argumenty. Rzeczywiście, sam widziałem interesujące wypadki aklimatyzacji.

Była tu w zeszłym roku panna Kneifer.

Otylia Kneifer, z bardzo dobrej rodziny, córka wyższego urzędnika państwowego.

Była tu chyba przez półtora roku i tak przywykła do tutejszego życia, że kiedy wyzdrowiała - bo i to się zdarza czasami, że ludzie wracają u nas do zdrowia - za żadną cenę nie chciała stąd wyjechać. Błagała radcę Behrensa, żeby pozwolił jej jeszcze pozostać; mówiła, że nie może i nie chce wracać do domu, że dom jej jest tutaj, że tutaj jest szczęśliwa.

Ale był wówczas taki napływ gości, że pokój jej był niezbędnie potrzebny, więc błagania na nic się nie przydały i nastawano na to, ażeby, jako zdrowa, opuściła zakład.

Otylia dostała wtedy wysokiej gorączki i wykres jej wciąż wzrastał; udało się ją jednak zdemaskować, kazać jej zmierzyć temperaturę nie zwykłym termometrem, ale tak zwaną "niemową". Jest to, proszę pana, termometr bez cyfr, a lekarz odczytuje zeń stan rtęci Przykładając skalę i sam potem rysuje krzywą temperatury.

Okazało się, że Otylia ma 36,9.

Wykąpała się wtedy w jeziorze; było to na początku maja, nocami bywały jeszcze przymrozki, ale woda w jeziorze była zamrznięta, miała kilka stopni powyżej zera.

Siedziała w wodzie dosyć długo, bo koniecznie chciała nabawić się czegoś - a skutek?

Jak była, tak też pozostała zdrowa.

Wyjechała więc pełna rozpacz, słuchając perswazyj rodziców.

"Cóż ja tam na dole będę robiła"?

- pytała raz po raz.
- "Tu jest moja ojczyzna"!
- Nie wiem, co się z nią później stało.

Ale zdaje mi się, że pan mnie nie słucha, inżynierze?

Jeżeli się nie mylę, z trudem trzyma się pan na nogach.

Poruczniku - zwrócił się do wchodzącego Joachima - niech pan zabierze kuzyna i zaprowadzi go do łóżka!

Ma wprawdzie wiele rozsądku i odwagi ale dzisiaj wieczorem jest bardzo osłabiony.

- Nie, doprawdy wszystko zrozumiałem!
- zapewniał Hans Castorp.
- "Niemowa" jest to więc tylko słupek rtęci, bez cyfr - widzi pan, że wszystko doskonale pojąłem!
- Udał się jednak na górę w towarzystwie Joachima i wielu innych pacjentów, bo zebranie towarzyskie na dzisiaj było skończone i rozchodzono się na balkony i do leżalni, aby odbyć jeszcze wieczorne werandowanie.

Hans Castorp udał się wraz z Joachimem do jego pokoju.

Podłoga korytarza, pokryta kokosowym chodnikiem, falowała mu z lekka pod nogami, ale nie sprawiało mu to zbytnej przykrości.

Rozparł się w wielkim fotelu Joachima, pokrytym materiałem w kwiatki - podobny fotel stał i w jego

pokoju - i zapalił sobie cygaro "Maria Mancini".

Miało smak kleju, węgla i jeszcze różnych innych rzeczy, nie miało tylko swego właściwego smaku; nie

przestał jednak palić, przyglądając się jednocześnie, jak Joachim wybierał się na werandowanie: włożył

swoją domową kurtkę, skrojoną na wzór dawnego typu bluzy wojskowej, na nią jakieś stare palto, po czym

z lampką ze stolika nocnego i czytanką rosyjską wyszedł na balkon; załączył lampę, z termometrem w ustach położył się na leżaku i ze zdumiewającą zręcznością zaczął owijać się dwoma wielkimi kocami

wielbłądzimi, które były na nim rozpostarte.

Z prawdziwym podziwem przyglądał się Hans Castorp, jak zgrabnie kuzyn to robił.

Zawinał się najpierw z lewej strony, aż po same pachy, potem przykrył sobie nogi, a wreszcie zarzucił na

siebie z prawej strony oba koce; przemienił się w ten sposób w równy i gładki pakiet, z którego wystawały

tylko głowa, ramiona i ręce.

- Robisz to naprawdę świetnie - powiedział Hans Castorp.

- To rzecz wprawy - odparł Joachim, przytrzymując zębami termometr.

- I ty się tego nauczysz.

Jutro musimy koniecznie kupić dla ciebie parę koców.

Tam na dole przydadzą ci się na pewno, a tu u nas są nieodzowne, tym bardziej że nie masz worka na futrze.

- Ale przecie nocą nie będę leżał na balkonie - powiedział Hans Castorp.

- Z góry ci mówię, że tego robić nie będę, wydawałoby mi się to już zbyt dziwne.

Wszystko ma swoje granice.

A w jakiś sposób muszę ostatecznie przecież także zaakcentować, że przyjechałem do was na górę tylko w

odwiedziny.

Posiedzę tu jeszcze trochę i wypalę swoje cygaro.

Ma okropny smak, ale wiem, że jest dobre, i muszę się tym na dziś zadowolić.

Jest teraz dziewiąta - a nawet nie ma jeszcze dziewiątej.

Ale o wpół do dziesiątej będzie można mniej więcej normalnie położyć się do łóżka.

Wstrząsnął nim dreszcz - najpierw jeden, a potem dalsze w małych odstępach czasu.

Hans Castorp zerwał się i podbiegł do wiszącego na ścianie termometru, jak gdyby chciał schwycić go in

flagranti.

W Pokoju było dziewięć stopni Reaumura.

Dotknął kaloryfera - były martwe i zimne.

Zamruczał nieskładnie w tym sensie, że wprawdzie jest sierpień, ale że to jednak hańba, iż tutaj nie palą, bo

rozstrzygnąć o tym powinna nie nazwa bieżącego miesiąca, lecz temperatura, a ta jest tak niska, że marznie

się tu jak pies.

Ale twarz mu pałała.

Usiadł, wstał jeszcze raz i poprosił, by wolno mu było użyć kołdry Joachima; siedząc w fotelu, rozpostarł ją sobie na kolanach i w tej pozycji, rozgorączkowany i wstrząsany dreszczami, męczył się nad wstrętnym cygarem.

Ogarnęło go poczucie wielkiej niedoli; wydawało mu się, że jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak źle.

- To przecież nieszczęście!

- wymamrotał.

Ale nagle opanowało go na chwilę uczucie przeciwne: szczególnie intensywnej radości i nadziei, więc

czekał, czy jeszcze powróci.

Nie powróciło jednak, zostało tylko nieszczęście.

Wstał więc, rzucił kołdrę Joachima na łóżko, przez zaciśnięte usta mruknął coś jakby "Dobranoc" i "Tylko

nie zamarznij", i "zejdziesz chyba po mnie na śniadanie", po czym chwiejnym krokiem udał się przez korytarz do swojego pokoju.

Podczas rozbierania się nucił jakąś piosenkę, nie było mu wesoło.

Automatycznie wykonywał wszystkie drobne zabiegi i kulturalne obowiązki nocnej toalety, nalał trochę

różowego eliksiru do zębów z podróżnej flaszki do szklanki i dyskretnie wypłukał gardło, umył ręce delikatnym mydłem o fiołkowym zapachu i włożył długą batystową koszulę nocną z wyhaftowanymi na

kieszonce nad piersią literami H.C.

Potem położył się, zgasił światło i złożył swą pałającą, pełną zamętu głowę na śmiertelnej poduszce zmarłej

Amerykanki.

Oczekiwał na pewno, że zaśnie natychmiast, a okazało się, że było to tylko złudzenie.

Powieki, które poprzednio kleiły mu się do snu, teraz same podnosiły się, drgając niespokojnie, ilekroć

zamykał je.

Nie była to jego zwykła godzina spania - powiedział sobie - poza tym w ciągu dnia za dużo leżał. W dodatku trzepano gdzieś dywan - co było mało prawdopodobne i istotnie niezgodne z prawdą;

rozumiał, że jest to bicie jego serca, które słyszy poza sobą gdzieś daleko na łące, całkiem tak, jak gdyby

trzepano na dworze dywan trzciniową trzepaczką.

W pokoju nie było jeszcze zupełnie ciemno, przez otwarte drzwi balkonowe wpadał blask nocnych lampek,

palących się w loggiach Joachima i małżeństwa, które należało do gorszego stołu rosyjskiego.

Leżąc na wznak i walcząc z drgającymi powiekami, Hans Castorp przypomniał sobie pewne wrażenie z

ubiegłego dnia, a raczej spostrzeżenie, o którym wówczas lęk i poczucie delikatności kazały mu natychmiast

zapomnieć.

Był to wyraz twarzy Joachima, kiedy mówił o Marusi i o cechach jej powierzchowności - ów

dziwnie  
żałosny grymas ust, bladość i plamy, jakie wystąpiły na jego opalone policzki.  
Hans Castorp zrozumiał i pojął, co to miało znaczyć, zrozumiał i pojął w sposób dla siebie nowy i  
wnikliwy, i tak intymny, że trzciniowa trzepaczka na dworze podwoiła nagle szybkość i siłę uderzeń,  
zagłuszając prawie dźwięki serenady z uzdrowiska Davos - bo znowu był tam koncert w hotelu; tony  
symetrycznie zbudowanej, trywialnej melodii operetkowej dochodziły przez mrok i Hans Castorp  
zaczął ją  
szeptem gwizdać (bo można szeptem gwizdać), rytmicznie poruszając pod pierzyną zziębniętymi  
stopami. To był, naturalnie, najlepszy sposób na to, żeby nie zasnąć.  
Hans Castorp nie miał też zresztą żadnej ochoty do snu.  
Od chwili kiedy zmieszanie Joachima ukazało mu się tak wyraziście w tym nowym świetle, świat  
wydawał  
mu się inny niż dotychczas i odezwało się w nim znowu owo uczucie intensywnej radości i nadziei.  
Poza tym czekał jeszcze na coś, sam obrze nie wiedząc, na co.  
Kiedy jednak usłyszał, że sąsiedzi z prawej i lewej strony skończyli werandowanie, aby poziomą  
pozycję z  
balkonu zamienić na taką samą w pokoju, pomyślał, że tym razem barbarzyńskie małżeństwo będzie  
się  
zachowywało przyzwoicie.  
"Mogę zasnąć spokojnie - powiedział sobie.  
Tym razem będą się na pewno zachowywali Przyzwoicie!"  
Ale stało się inaczej, a Hans Castorp był właściwie na to przygotowany i, prawdę powiedziawszy,  
zdziwiłby się nawet, gdyby zachowywali się przyzwoicie.  
To, co usłyszał, sprawiło jednak, że zdumiony, raz po raz wołał do siebie w myślach: -  
"Niesłychane! Okropność!  
Kto by mógł coś podobnego uważać za możliwe?"  
- Jednocześnie nie przestał gwizdać do taktu trywialnej melodii operetkowej, której dźwięki  
uporczywie  
docierały do niego.  
Nareszcie zapadł w drzemkę.  
Ale jednocześnie nawiedziły go dziwaczne sny, jeszcze dziwaczniejsze niż nocy poprzedniej, więc  
często  
budził się z lękiem jakby ścigając jakiś niezwykle obraz.  
Śniło mu się, że radca Behrens, z krzywymi nogami i sztywno zwisającymi rękami, spaceruje po  
ścieżkach  
ogrodu, dostrajając swoje długie i monotonne kroki do dźwięków marsza dolatujących z daleka.  
W pewnej chwili radca dworu zatrzymał się przed Castorpem, który spostrzegł, że Behrens ma na  
nosie  
okulary o grubych, okrągłych szklach, i usłyszał jakieś nedorzeczne słowa.  
"Naturalnie, cywil" - mówił Behrens.  
Nie prosząc o pozwolenie, odchylił młodemu Castorpowi dolną powiekę środkowym i wskazującym  
palcem swojej wielkiej ręki.  
- "Szanowny cywil, zauważyłem to od razu, ale nie bez pewnego talentu do wzmożonego spalania  
ogólnego!  
Nie skąpiłbym mu latek, tych szybko mijających latek służby u nas na górze.

No, hopla, panowie, jazda na przechadzkę"!

- zawołał - po czym włożył sobie do ust oba olbrzymie wskazujące palce i gwizdnął tak przejmująco, że z

różnych stron przyfrunęły przez powietrze zmniejszone postacie nauczycielki i panny Robinson i usiadły

mu na prawym i lewym ramieniu tak, jak siedziały przy stole po prawej i lewej ręce Hansa Castorpa. Potem radca dworu zaczął się oddalać skaczącymi krokami, sięgając serwetką pod okulary, aby sobie

wytrzeć oczy - nie wiadomo, co tam było do otarcia: pot czy łzy.

Nagle sen przeniósł go na podwórze szkolne, na którym przez tyle lat spędzał przerwy między lekcjami. Madame Chauchat była tam również i poprosił ją o pożyczenie ołówka.

Podawała mu do połowy i już, czerwono polakierowany ołówek w srebrnej skuwce, a kiedy powiedziała

miłym i trochę zachrypniętym głosem, aby po lekcji koniecznie go zwrócił, kiedy spojrzała nań swoimi

wąskimi, szaro niebiesko zielonymi oczami znad szerokich kości policzkowych - gwałtownie ocknął się ze

snu, bo nareszcie uświadomił sobie i koniecznie chciał utrwalić w pamięci, co i kogo mu Madame Chauchat

właściwie przypomina.

Pospiesznie zabezpieczył sobie to odkrycie na jutro, bo poczuł, że sen i senne marzenia opanowują go

znowu.

Po chwili musiał szukać schronienia przed doktorem Krokowskim, który go ścigał, ażeby zająć się analizą

jego duszy, a Hans Castorp czuł przed tym straszliwy, niczym nie uzasadniony lęk.

Uciekał przed doktorem, z trudem przeciskając się pomiędzy barierą balkonu a szklanymi przegrodami, z

narażeniem życia skoczył do ogrodu, w panicznym strachu starał się wdrapać nawet na czerwono-brunatne drzewce chorągwi - i nagle zbudził się obłany potem w chwili, kiedy prześladowca złapał go za

nogawkę spodni.

Kiedy po pewnej chwili uspokoił się nieco i sen zmorzył go znowu, okoliczności, w których się znajdował,

ukształtowały się w sposób następujący.

Napierał ramieniem na Settembriniego i starał się zePchnąć go z miejsca - a Włoch stał i uśmiechał się

subtelnie, sucho i szyderczo pod pięknym łukiem czarnych wąsów; ten właśnie uśmiech obrażał Hansa

Castorpa.

"Pan przeszkadza!

- zawołał głośno.

- Niech pan się stąd wynosi!

Pan jest tylko kataryniarzem i przeszkadza pan tutaj"!

- Ale Settembrini nie ustępował, a Hans Castorp namyślał się, co by należało zrobić, kiedy zupełnie

niespodzianie wpadła mu na myśl odpowiedź na pytanie, czym jest czas: niczym innym jak tylko "niemową", rtęci bez skali - dla tych, którzy chcą oszukiwać.

Zbudziwszy się postanowił podzielić się nazajutrz tym odkryciem z kuzynem.

Cała noc przeszła mu na podobnych przygodach odkryciach, a występowali w nich również w sposób niejasny Hermina Kleefeld, pan Albin i kapo Miklosich, który unosił w paszczy panią Stohr, stał przebity

włócznią przez prokuratora Paravana, a jeden sen przyśnił się Hansowi Castorpowi tej nocy dwa razy, i to

za każdym razem zupełnie jednakowo - po raz drugi już nad ranem.

Siedział w jadalni zastawionej siedmioma stołami, gdy nagle oszklone drzwi zatrzęsły się z wielkim

hałasem i do pokoju weszła Madame Chauchat w białym swetrze, jedną rękę trzymając w kieszeni, a drugą

poprawiając włosy.

Zamiast jednak skierować się do lepszego stołu rosyjskiego, ta źle wychowana kobieta podeszła do Hansa

Castorpa i podała mu rękę do pocałowania - ale nie grzbiet dłoni, tylko jej wewnętrzną stronę; Hans Castorp

ucałował tę rękę, tę niewypielęgowaną, zbyt szeroką rękę o krótkich palcach i postrzępionej skórcie dokoła

paznokci.

Przeszło go znowu od stóp do głów uczucie nieokiełznanej rozkoszy, jak wtedy, kiedy próbował wczuć się

w postać człowieka, którego przestały krępować wymagania honoru i który może bez reszty korzystać z

niczym nie ograniczonych stron dodatnich hańby.

Odczuł to teraz we śnie po raz wtóry, ale bez porównania silniej.

Rozdział czwarty.

Niezbędne zakupy.

Czy wasze lato już się skończyło?

- zapytał cynicznie Hans Castorp Joachima trzeciego dnia swego pobytu.

Pogoda była okropna.

Drugi dzień spędzony tutaj na górze przez Hansa był piękny i zupełnie letni.

Ponad ostrymi wierzchołkami świerków widniała ciemnoniebieska kopuła nieba, cała miejscowość na dnie doliny kąpała się w gorącym blasku słońca, a dzwonki krów, szczypiących na zboczach gór ciepłą trawkę, napełniały powietrze wesołym dźwiękiem.

Już do pierwszego śniadania panie zeszły w lekkich bluzkach, niektóre nawet z ażurowymi rękawami, w czym zresztą nie wszystkie korzystnie wyglądały - pani Stohr na przykład było z tym bardzo nieładnie, bo miała zwiotczałe ramiona; powiewne szaty nie dla niej były stworzone.

Także panowie z sanatorium na różne sposoby starali się przystosować do pięknej Pogody. Pojawiły się kurtki alpakowe i płócienne ubrania, a Joachim Ziemssen włożył granatową marynarkę i białe flanelowe spodnie, co nadawało Jego postaci zupełnie wojskowy wygląd.

Settembrini oświadczył kilkakrotnie, że ma zamiar zmienić ubranie.

- Do diabła!

- rzekł, gdy po obiedzie udał się z kuzynami na przechadzkę do Davos Wsi - ależ słońce pali dzisiaj!

Widzę, że będę musiał włożyć coś lżejszego.

- Ale pomimo tych wynurzeń przez cały dzień widziano go we włochatej marynarce z szerokimi klapami i w spodniach w kratę - prawdopodobnie była to cała jego garderoba.

Na trzeci dzień jednak pogoda zmieniła się tak dalece, jak gdyby cały porządek natury wywrócony został na nice.

Hans Castorp nie wierzył własnym oczom.

Po obiedzie, kiedy już wszyscy około dwudziestu minut leżeli na balkonach, słońce nagle się skryło, ohydne ciemnobrunatne chmury wypełzły spoza południowoschodniego grzbietu, i przez dolinę wionął wiatr zimny, ścinający krew w żyłach, jak gdyby przybywał z jakichś nieznanych, odległych i mroźnych okolic; temperatura spadła raptownie i cały wygląd przyrody zmienił się nie do poznania.

- Śnieg - odezwał się głos Joachima za szklanym przepierzeniem.

- Co to ma znaczyć "śnieg"?

- spytał Hans Castorp.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że będzie sypał śnieg?

Na pewno - odparł Joachim.

- My dobrze znamy ten wiatr; kiedy się zrywa, zawsze sprowadza Nonsens!

- zawołał Hans Castorp.

- Jeżeli się nie mylę, mamy teraz początek sierpnia.

Ale Joachim miał rację, znał widać tutejsze stosunki.

rozległy się grzmoty, sypnął gęsty śnieg; powstała taka zadymka, że wszystko zdawało się ginąć w kłębach białej pary, zabudowań w dolinie prawie zupełnie nie można było dostrzec.

Przez całe popołudnie padał śnieg.

Uruchomiono centralne ogrzewanie.

Joachim położył się na balkonie.

w swoim worku na futrze, nie przerywając współobowiązków kuracjusza, Hans Castorp natomiast schronił się do pokoju, przysunął krzesło do ciepłych rur radiatora i, kiwając głową, spoglądał na owo szaleństwo za szybami.

Nazajutrz rano śnieg nie padał, ale chociaż termometr zewnętrzny wskazywał kilka stopni ciepła, ziemię pokrywała gruba na stopę powłoka śniegu - tak że Hans Castorp, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, znalazł

się nagle pośród zimowego krajobrazu.

Sanatorium już nie ogrzewano i w pokojach było sześć stopni powyżej zera.

- Czy wasze lato już się skończyło?...

- z gorącą ironią zapytał Hans Castorp kuzyna.

- Tego nie można powiedzieć - odparł rzeczowo Joachim.

- Przy boskiej pomocy będziemy mieli jeszcze piękne letnie dni, nawet we wrześniu jest to jeszcze możliwe.

Ale rzecz w tym, że pory roku różnią się tutaj tak bardzo między sobą, mieszają się i niezupełnie trzymają

się kalendarza.

Zimą słońce piecze czasami tak silnie, że człowiek się poci i trzeba podczas spaceru zdejmować marynarkę,

a latem, no, sam widzisz najlepiej, jak tu nieraz bywa latem.

Najgorzej jest ze śniegiem, śnieg nie trzyma się żadnego porządku.

Sypie w styczniu, ale nie o wiele mniej w maju, a i w sierpniu, jak się sam przekonałeś, mamy także



śnieżyce.

Można powiedzieć ogólnie, że nie ma tu miesiąca bez śniegu; jest to twierdzenie, które można podtrzymywać.

Słowem, bywają tutaj dni zimowe, letnie, wiosenne i jesienne, a prawdziwych pór roku właściwie nie ma u nas na górze.

- Ładnie tu wszystko jest pomieszane - powiedział Hans Castorp.

W kaloszach i palcie zimowym udał się z kuzynem do Davos, aby kupić sobie koce do werandowania, bo jasne było, że przy tej pogodzie jego pled nie może mu wystarczyć.

Namyślał się nawet przez chwilkę, czy nie powinien nabyć worka na futrze, ale na to się nie zdecydował, a

nawet przeraziła go ta myśl.

- Nie, nie - rzekł.

- wystarczą koce!

Mogą one się przydać później na dole.

Zresztą, koce można mieć wszędzie, nie ma w tym nic dziwnego ani niepokojącego, ale taki worek na futrze jest czymś zupełnie specjalnym - postaraj się mnie zrozumieć; gdybym go kupił, mnie samemu wydawałoby się, że mam już tutaj osiąść na dobre, że jestem jednym z was...

Słowem, chcę po prostu powiedzieć, że absolutnie nie opłaca się kupować worka futzanego na przeciąg kilku tygodni.

Joachim był tego samego zdania.

Weszli więc do eleganckiego i bogato zaopatrzonego sklepu w angielskiej dzielnicy i kupili dwa koce z

sierści wielbłądziej, takie same, jakie miał Joachim: bardzo szerokie i długie, barwy naturalnej, niezmiernie

miłe w dotknięciu.

Kazali natychmiast odesłać je do Międzynarodowego Sanatorium "Berghof", pokój 34.

Hans Castorp chciał zaraz po obiedzie zrobić z nich użytek.

Działo się to, rzecz jasna, po drugim śniadaniu, bo porządek dnia nie pozwalał o innej porze schodzić na dół.

Mżył teraz deszcz, i śnieg na ulicach przemienił się w lodową papkę, pryskającą pod krokami.

W powrotnej drodze dogonili Settembriniego, który Pod parasolem, ale z gołą głową, zmierzał również do sanatorium.

Włoch miał dzisiaj żółtą cerę i był w wyraźnie elegijnym nastroju.

W dźwięcznych Pięknie brzmiących słowach skarżył się na mróz, na wilgoć, które dawały mu się bardzo

we znaki, gdyby chociaż palili, ale ci nikczemni władcy tutejsi Przestają palić, gdy tylko nie ma już śniegu

tępa reguła, urągająca wszelkiemu rozsądkowi!

Na uwagę Hansa Castorpa, że niska temperatura w Pokojach należy zapewne do zasad kuracji - idzie

o

hartowanie pacjentów, Settembrini odpowiedział gwałtownym szyderstwem.  
Ach tak, zasady kuracji, wniosłe i niewzruszalne zasady kuracji!  
Ton, którym Hans Castorp o nich mówi, jest rzeczywiście ważny, jest nabożny i wiernopoddańczy.  
Ale rzecz ta - dziwna zresztą w sensie bardzo dodatnim, że największym poszanowaniem cieszą się tutaj te  
właśnie zasady, które idą w parze z ekonomicznymi interesami miejscowych władców, inne natomiast, nie  
posiadające tej cechy, traktuje się mniej rygorystycznie.  
Kuzyni roześmiali się głośno, na Settembriniego wspomnienie ciepła, do którego tęsknica naprowadziła na  
opowiadanie o zmarłym ojcu.  
- Ojciec mój - powiedział zatopiony we wspomnieniach - był człowiekiem bardzo subtelnym, o wielkiej  
wrażliwości cielesnej i duchowej.  
Ach, jak lubił zimą swój mały, ciepły pokoik, w którym pracował: kochał go z całego serca; palił się w nim  
mały, do czerwoności rozgrzewający się piecyk, i temperatura musiała wynosić co najmniej  
dwadzieścia  
stopni Reaumura.  
Kiedy podczas dni dżdżystych lub ostrego wiatru północnego wchodziło się z sieni do tej pracowni,  
ciepło  
jak miękki płaszcz otulało członki i łzy napływały do oczu.  
Gabinet był zapchany książkami i rękopisami, wśród których znajdowały się rzeczy bardzo cenne.  
Wśród tych skarbów ojciec mój, w szlafroku z granatowej flaneli, stał przed wąskim pulpitem i  
pracował  
nad literaturą.  
Był mały i drobny, o głowę niższy jeszcze ode mnie - proszę sobie tylko wyobrazić!  
Ale na skronie spadały mu wielkie pukle siwych włosów, a nos miał długi i wąski...  
cóż za romanista był z niego, panowie!  
Jeden z najwybitniejszych swojego czasu, wspaniały znawca naszego języka, najlepszy stylista  
łaciński... uomo letterato według wymagań Boccacciego.  
Ze wszystkich stron zjeżdżali się do niego uczeni z Happarandy, inni z Krakowa; przyjeżdżali do  
Padwy,  
naszego rodzinnego miasta, aby mu złożyć swe uszanowanie, a on przyjmował ich przyjaźnie lecz z  
godnością.  
Był również wybitnym poetą, w wolnych chwilach piszącym opowiadania wytworną prozą  
toskańską, był  
mistrzem idioma gentile - rzekł Settembrini, z największą rozkoszą wymawiając słowa ojczystego  
Języka i  
podkreślając je ruchami głowy.  
- Ogródek swój urządził na wzór Wergiliusza ciągnął dalej - a wszystko, co mówił, było zdrowe i  
piękne.  
Ale w pokoiku jego musiało być ciepło, bardzo ciepło, bo inaczej drżał z zimna, a nawet płakał ze  
złości, że  
każe mu się marznąć.

Teraz wyobraźcie sobie, panowie - panie inżynierze i panie poruczniku - jak ja, nieodrodny syn swego ojca,  
muszę cierpieć w tej przeklętej i barbarzyńskiej miejscowości, gdzie ciało latem drży z zimna, a poniżające  
wrażenia torturują wciąż duszę.  
Ach, jakżeż to ciężko!  
Co za typy nas otaczają!  
Radca dworu, błazen i szatan w jednej osobie...  
A Krokowski - Settembrini udawał, że z trudem wymawia to obce nazwisko - Krokowski, ten  
bezwstydnny  
spowiednik, który mnie nienawidzi, bo moja ludzka godność zabrania mi poddawać się jego kleszym  
zapędom...  
A przy moim stole...  
W jakim to towarzystwie zmuszony jestem jadać!  
Z prawej strony siedzi jakiś piwowar z Halle - nazywa się Magnus, z wąsami jak dwie wiązki siana.  
"Niech mi pan nie zawraca głowy literaturą!  
- odezwał się do mnie.  
- Cóż ona nam daje?  
Piękne charaktery!  
Na co mi się zdadzą piękne charaktery?  
Pięknych charakterów prawie nigdy nie spotyka się w życiu, a ja jestem człowiekiem praktycznym".  
Oto pojęcie, jakie ten człowiek wytworzył sobie o literaturze.  
Piękne charaktery...  
O Matko Przenajświętsza!  
Naprzeciw niego siedzi jego żona i traci białko, popadając w coraz większe otępienie.  
To żałosne brudy...  
Nie porozumiewając się między sobą, Joachim i Hans Castorp byli jednego zdania o tym sposobie  
mówienia.  
Wydawał im się zgorzkniały i niemile Podburzający, ale zarazem bardzo ciekawy, a nawet  
Pouczający,  
dzięki swej śmiałej i ostrej agresywności.  
Hans Castorp śmiał się dobrodusznie z owych "wiązek siana" i z "pięknych charakterów", a raczej z  
zabawnej rozpaczki, którą słyszeć było w słowach Settembriniego.  
Po chwili powiedział: - Ach, Boże, w takim zakładzie towarzystwo jest niewątpliwie trochę  
mieszane. Sąsiadów przy stole nie można sobie wybierać, do czego by to doszło.  
Przy naszym stole też siedzi taka dama...  
Pani Stohr - pan ją pewnie zna.  
Trzeba powiedzieć że jest straszliwie niewykształcona, i czasem, kiedy gada nie wiadomo zupełnie,  
gdzie  
podziąć oczy.  
Skarży się przy tym bardzo na swoją temperaturę i na "oklapnięcie" - a rzeczywiście nie jest to  
prawdopodobnie lekki przypadek.  
Jakież to dziwne - chora i głupia - nie wiem, czy się dobrze wyrażam, ale wydaje mi się to bardzo  
dziwnym,  
jeżeli ktoś jest głupi, a przy tym chory; gdy się te dwie cechy spotykają to jest to chyba najsmutniejsza

rzecz  
w świecie.

Zupełnie nie wiadomo, jak się do tego ustosunkować, a wobec chorego chciałoby się przecież zachować

powagę i okazywać mu szacunek; czyż nie?

Choroba jest przecież poniekąd czymś godnym szacunku, jeżeli można tak powiedzieć.

Ale jeżeli dołącza się do niej głupota wraz z tym "fomulusem", "kosmicznym zakładem" i tym podobnymi

powiedzonkami, to rzeczywiście nie wiadomo, czy należy się śmiać, czy płakać; jest to dylemat dla uczucia

ludzkiego, tym bardziej żałosny, że nie umiem tego wypowiedzieć.

Wydaje mi się, że to się nie zgadza, że nie licuje jedno z drugim - nie jest się przyzwyczajonym wyobrażać

sobie te dwie rzeczy naraz.

Sądzi się na ogół, że człowiek głupi musi być zdrowy i normalny i że choroba musi czynić człowieka mądrym, subtelnym i niezwykłym.

Tak nam się zwykle wydaje.

Może powiedziałem więcej, niż potrafiłbym uzasadnić - zakończył.

- Mówiłem o tym tylko dlatego, że tak się przypadkiem zgadało...

- I zmieszał się zupełnie.

Joachim był także trochę zażenowany, a Settembrini milczał, podniósłszy brwi do góry, grzecznie na pozór

wyczekując końca wynurzeń Hansa Castorpa, ale w rzeczywistości czyhał tylko na chwilę, kiedy ten do

reszty stracił koncept, po czym zabrał głos: - Zaprawdę, inżynierze, zdradza pan talenty filozoficzne, jakich

się po nim bynajmniej nie spodziewałem!

Zgodnie ze swą teorią musiałby pan być mniej zdrowy, niż pan udaje, bo na pewno jest pan bardzo inteligentny.

Niech pan mi jednak pozwoli zaznaczyć, że nie zgadzam się z jego wywodami, że nawet zajmuję wobec

nich wręcz wrogie stanowisko.

W kwestiach teoretycznych jestem nieubłagany i wolę żeby mnie nazwano pedantem, niż żebym miał nie

zakwestionować poglądów, które, jak wygłoszone przed chwilą przez pana, koniecznie powinny spotkać

się z opozycją...

- Ależ, proszę pana...

- Pan pozwoli...

Wiem, co pan chce powiedzieć, chce pan powiedzieć, że nie myślał tego tak serio, że poglądów, które pan wypowiedział, nie podziela pan bez zastrzeżeń, lecz je skądś podchwycił, jako jedne z możliwych, unoszących się niejako w powietrzu, aby spróbować ich bronić w sposób nieobowiązujący. To odpowiada pańskiemu wiekowi, jest pan jeszcze daleki od męskiej stanowczości, a tymczasem próbuje pan swych sił, obierając coraz to inne punkty widzenia.

Placet experiri - powiedział, literę "c" słowa "placet" wymawiając miękko, z włoska, jak s". (Placet experiri (łacińskie) - miło jest próbować).

- To słuszna zasada.

Dziwi mnie tylko to, że pana eksperyment poszedł w tym właśnie kierunku, nie przypuszczam, żeby to był

przypadek.

Obawiam się, że ma pan pewne skłonności, które się mogą ustalić jako składowa część jego charakteru,

jeżeli się ich w zarodku nie stłumi.

Dlatego też poczuwam się do obowiązku skorygowania pańskich poglądów.

Twierdzi pan, że choroba połączona z głupotą jest zjawiskiem najżałośniejszym na ziemi. Owszem, zgadzam się z tym, ja także wolę inteligentnego chorego niż głupca, który ma suchoty.

Muszę jednak zaprotestować, jeżeli pan uważa połączenie choroby z głupotą za pewien błąd w stylu, za

jakąś aberrację niegodnego smaku natury i za dylemat dla uczucia ludzkiego, jak to pan określił.

Nie mogę się zgodzić, że choroba jest czymś tak wytwornym i - jak pan powiedział - godnym szacunku, że

nie powinna iść w parze z głupotą.

To jest również pana wyrażenie...

A ja twierdę, że nie!

Choroba nie jest bynajmniej wytworna ani godna szacunku - takie zapatrywanie jest już samo chorobą albo

do niej prowadzi.

Może najpewniej obrzydę je panu, jeśli powiem, że jest ono stare i bardzo brzydkie.

Pochodzi z tych wieków przesądnej skruchy, kiedy idea człowieczeństwa odartego z godności wyrodziła

się w karykaturę, z tych wieków lęku, kiedy harmonia i zdrowie uważane były za wytwór diabła, a ułomność starczyła za glejt prosto do nieba.

Rozsądek i uświadomienie odeгнаły jednak cienie spowijające duszę ludzkości - ale jeszcze niezupełnie, i

dzisiaj jeszcze trwa walka pomiędzy nimi; a walce tej na imię praca, praca na ziemi i dla ziemi, dla honoru i

dobrobytu ludzkości Codziennie na nowo hartowane w walce, te dwie potęgi wyzwolą wreszcie człowieka i

poprowadzą go drogą postępu i cywilizacji ku coraz jaśniejszemu i czystszyemu światłu. "Masz tobie - pomyślał Hans Castorp, zbity z tropu i zawstydzony - przecież to istna aria operowa. Czymże ją wywołałem?

Zresztą wydaje mi się nieco zbyt sucha.

I dlaczego on ciągle mówi o pracy...

Ciągle do niej powraca, chociaż praca jest tutaj nie na miejscu".

- Bardzo pięknie - rzekł.

- Słucha się pana z wielką przyjemnością.

Zdaje mi się, że nie można, że nie można tego plastyczniej wyrazić.

- Chęć powrotu - zaczął znowu Settembrini, unosząc parasol nad głową jakiegoś przechodnia - powrotu do

poglądów owych mrocznych wieków cierpienia - jest chorobą - niech pan mi wierzy, inżynierze, jest dokładnie zbadaną chorobą, dla której wiedza stworzyła różne nazwy: jedna pochodzi z nauki o pięknie i o duszy, a druga z polityki - są to terminy szkolne, które nie zawierają nic nowego i bez których może się pan z łatwością obejść.

W sferze ducha wszystko łączy się z sobą i jedno z drugiego wypływa, nie wolno podać diabłu małego

palca, by nie pochwycił całej ręki, a nawet całego człowieka...

Z drugiej zaś strony zdrowe zasady są zawsze źródłem zdrowia, i tylko zdrowia, niezależnie od tego, którą

z nich postawimy na czele.

Tak więc choroba, niech pan to sobie zapamięta, bynajmniej nie jest niczym wytwornym ani tak godnym

szacunku, żeby nie mogła iść w parze z głupotą, jest raczej poniżeniem - bolesnym i wrogim wszelkiej idei poniżeniem człowieka; można ją tu i ówdzie otaczać opieką i troszczyć się o nią, ale żywić dla niej cześć w duchu jest zboczeniem - niech pan to zapamięta!

- jest zboczeniem i początkiem wszelkich dalszych zboczeń duchowych.

Pan wspomniał o tamtej kobiecie - nie pamiętam jej nazwiska i rezygnuję z niego - ach, tak, pani Stohr, dziękuję - otóż nie ona, nie ta śmieszna kobieta stawia, jak mi się wydaje, uczucia ludzkie przed dylematem.

Chora i głupia - mój Boże, to dno nędzy; sprawa jest prosta, można tylko litować się i wzruszyć ramionami.

Dylemat i tragizm zaczyna się tam, gdzie natura jest dosyć okrutna, aby zmącić harmonię osobowości - albo zgoła od początku ją uniemożliwić - łącząc ducha szlachetnego i spragnionego życia z ciałem niezdolnym do życia.

Czy pan zna Leopardiego?

A pan, poruczniku?

Był to nieszczęśliwy poeta włoski, garbaty, chorowity człowiek z duszą wielką i piękną, złamaną jednak przez nędzne ciało i ściągniętą na niziny ironii.

Posłuchajcie, jak straszliwie ta dusza się skarży!

I Settembrini zaczął deklamować po włosku, pieszcząc każdą zgłoskę, poruszając głową, od czasu do czasu przymykając oczy i nie troszcząc się o to, że jego towarzysze nic a nic nie rozumieją.

Widocznie Sam doznawał przyjemności przypominając sobie przepiękne słowa i zaznajamiając z ich dźwiękiem słuchaczy.

Skończył wreszcie i rzekł: - Ale panowie nie rozumieją, słuchają mnie, nie pojmując bolesnego znaczenia tych wierszy.

Kaleka, moi panowie, proszę się w to w całej pełni wczuć, musiał przede wszystkim wyrzec się miłości do kobiety i skutkiem tego niezdolny był do walki z tym, że marnieje jego dusza.

Zbladł mu blask miłości i cnoty, natura wydała mu się złą - zresztą jest zła, głupia i zła, przyznaję mu zupełną rację i zwątpił - strach powiedzieć - zwątpił o postępie i o nauce!

Tutaj ma pan tragizm, inżynierze, tutaj ma pan swój dylemat dla uczucia ludzkiego - a u tamtej kobiety nie chcę obciążać swej pamięci jej nazwiskiem...

Niech mi pan nie wspomina o "uduchowieniu" wywołanym przez chorobę - na miłość Boga, niech pan tego nie czyni!

Dusza bez ciała jest czymś tak nieludzkim i strasznym, jak ciało bez duszy.

Pierwsza z tych rzeczy jest zresztą rzadkim wyjątkiem, a druga - regułą.

Z reguły ciało jest tym pierwiastkiem, który przerasta drugi, zagarnia dla siebie wszystko, co ważne, całą żywotność i emancypuje się w najohydniejszy sposób.

Człowiek, który żyje życiem chorego, jest tylko ciałem, które jest właśnie przeciwne naturze ludzkiej i poniżające - w większości przypadków jest nie lepszy od trupa...

- To zabawne - odezwał się nagle Joachim, pochylając się, aby spojrzeć na Hansa Castorpa, Settembrini szedł pomiędzy kuzynami.

- Powiedziałeś przecież także niedawno coś zupełnie podobnego - Tak?

- spytał Hans Castorp.

- Być może, iż coś podobnego także już przemknęło mi przez głowę.

Settembrini milczał przez dłuższą chwilę, potem odezwał się: - Tym lepiej, moi panowie.

Tym lepiej, jeżeli tak jest.

Nie miałem zamiaru wykładania tu jakiejś oryginalnej filozofii - to nie jest mój fach.

Jeżeli pan inżynier zrobił już ze swej strony jakąś uwagę zgodną z moimi wywodami, jeszcze bardziej utwierdza mnie to w przypuszczeniu, że jest dyletantem, który, jak często zdolna młodzież, próbuje na razie różnych możliwych punktów widzenia.

Zdolny młodzieniec nie jest bynajmniej niezapisaną kartą, jest kartą, na której sympatycznym atramentem wypisane są już wszystkie dobre i złe rzeczy.

Zadaniem wychowawcy jest właśnie stanowczo rozwinać rzeczy dobre, a dzięki umiejętności wywieranemu wpływowi usunąć wszelkie błędy, które chcą się ujawnić.

Panowie robili zakupy?

- zapytał już innym, lżejszym tonem...

- Nic wielkiego - odparł Hans Castorp - tylko...

- Kupiliśmy koce dla kuzyna - oświadczył obojętnie Joachim.

- Do werandowania...

Przy tym nielitościwym zimnie.

Mam przecież kilka tygodni żyć tutaj jak inni - zaśmiał się Hans Castorp spoglądając w ziemię.

- Ach, koce, werandowanie - rzekł Settembrini.

- Tak, tak, tak.

No, no, no...

Rzeczywiście.

Placet experiri!

- powtórzył wymawiając z włoska i pożegnał się, bo właśnie, witani przez kulawego szwajcara, weszli do sanatorium.

Settembrini skręcił do sal ogólnych, ażeby, jak powiedział, przed jedzeniem przeczytać jeszcze gazety.

Chciał widocznie darować sobie drugie werandowanie.

- Niech Pan Bóg broni!

- powiedział Hans Castorp w windzie do Joachima.

- On jest naprawdę pedagogiem - sam przecie powiedział niedawno, że ma taką żyłkę.

Trzeba bardzo uważać, żeby nie powiedzieć przy nim ani o jedno słowo za wiele, bo zaraz zaczyna szczegółowo wyklądać swoje teorie; ale, co prawda, warto go posłuchać, gdy mówi; każde słowo wychodzi z jego ust tak okrągłe i apetyczne, że kiedy go słucham, przychodzą mi wciąż na myśl świeże bułeczki.

Joachim roześmiał się.

- Tego mu lepiej nie mów, bo byłby rozczarowany, gdyby się dowiedział, że jego teorie przywodzą Ci na myśl bułeczki.

Tak myślisz?

Wcale nie jestem tego pewny, wydaje mi się, że nie zależy mu tylko na treści teorii, które głosi, może stawia ją na drugim miejscu, a przede wszystkim chodzi mu o sam fakt mówienia, tworzenia słów, które skaczą i toczą się tak elastycznie jak piłki gumowe.

Nie miałby za pewne nic przeciwko temu, że właśnie na to zwraca się uwagę.

Oczywiście, ten piwowar Magnus gadał głupstwa o tych "pięknych charakterach", ale Settembrini powinien był przecież wyjaśnić, o co właściwie chodzi w literaturze.

Nie chciałem go o to pytać, ażeby się nie skompromitować, przecież nie znam się na tym i nigdy w życiu nie widziałem jeszcze żadnego pisarza.

Skoro jednak nie chodzi o piękne charaktery, w takim razie najważniejsze są tu, widać, piękne słowa - takie przynajmniej odniosłem wrażenie z rozmowy z Settembrinim.

Ale jakich on wyrażen używa...

bez żadnej żenady mówi o cnocie - coś podobnego!

Jeszcze nigdy w życiu nie wymówiłem tego słowa, a nawet w szkole virtus tłumaczyliśmy jako "dzielność".

Cały się wzdrynąłem, gdy to usłyszałem.

Poza tym denerwuje mnie trochę jego wymyślanie na mróz i na Behrensa, i na panią Magnus, że traci swoje białko, i krótko mówiąc - na wszystko.

To urodzony opozycjonista, od razu zdałem sobie z tego sprawę.

Drażni go wszystko, co istnieje, a muszę powiedzieć, że jest w tym coś niekulturalnego.

- Tak sądzisz - odparł po namyśle Joachim.

- Ale jest w tym też pewna duma, która wcale nie sprawia wrażenia braku kultury, lecz wręcz przeciwnie; on jest przecież człowiekiem, który dba o siebie a nawet o człowieka w ogóle.

To właśnie podoba mi się u niego, to ma w sobie coś przyzwoitego.

- Masz rację - powiedział Hans Castorp.

- Ma nawet w sobie coś surowego - nawet czasami aż przykro go słuchać, bo wydaje się, że się jest przez niego kontrolowanym - tak, to jest właściwe wyrażenie.

Czy uwierzysz, miałem wrażenie, że nie podoba mu się to, że kupiłem koce do werandowania, że ma coś przeciwko temu, że potępia to.

- Ależ nie - rzekł Joachim zdziwiony.

- To by nie miało sensu.

Nie mógłbym tego zrozumieć - włożył termometr do ust i ze wszystkimi udał się na balkon, podczas gdy

Hans zaczął natychmiast przebierać się do stołu.

Do obiadu została jeszcze niecała godzina.

Dygresja o zmyśle czasu.

Gdy po obiedzie powrócili do siebie, paczka z kocami leżała już na krześle w pokoju Hansa Castorpa, który dzisiaj po raz pierwszy zrobił z nich użytek.

Doświadczony Joachim uczył go sztuki zawijania, którą posiadali wszyscy tutaj w górze, a której każdy nowo przybyły musiał się zaraz nauczyć.

Układało się koce na leżaku jeden na drugim w ten sposób żeby spory ich kawał zwisał od strony nóg na podłogę.



Potem kładło się samemu i zawijało, najpierw kocem wewnętrznym; naprzód z jednego boku wzdłuż aż po same pachy, potem od dołu na nogi, przy czym należało pochylić się w pozycji siedzącej i schwycić podwójnie złożony koniec koca; następnie zarzucało się koc z drugiego boku, przy czym trzeba było podwójny koniec koca, już przerzucony przez nogi, dokładnie dopasować, aby całość wypadła możliwie gładko i równo.

Później wykonywało się zupełnie ten sam proceder z drugim kocem.

- Manipulowanie nim było już trochę trudniejsze, i Hans Castorp, jako partacz i początkujący, to pochyłony, to znów wyprostowany, stękał niemało, próbując chwytów, których go uczono.

Tylko nieliczni weterani - mówił Joachim - umieją za pomocą trzech pewnych ruchów zarzucić na siebie oba koce jednocześnie, ale jest to sztuką rzadką, która jest przedmiotem powszechnej zazdrości i wymaga nie tylko długoletnich ćwiczeń, ale także wrodzonego talentu.

Hans Castorp śmiał się z tej uwagi, leżąc już wyciągnięty z obolałymi plecami, a Joachim nie rozumiał zrazu, co w tym śmiesznego, i spojrzał na niego niepewnym wzrokiem, ale później również się roześmiał.

- Tak - odezwał się, podczas gdy Hans Castorp, na kształt nierozczłonkowanego walca, mając pod głową elastyczny wałek i wyczerpany tą całą gimnastyką, leżał na leżaku - gdyby było nawet dwadzieścia stopni zimna, nic by ci się teraz nie stało.

- Potem poszedł za oszklone przepierzenie, ażeby samemu się owinać.

Co do tych dwudziestu stopni zimna Hans Castorp miał pewne wątpliwości, bo marzył wyraźnie i dreszcze wstrząsały nim raz po raz, podczas gdy przez drewniane łuki patrzył w kapiącą, mżącą wilgoć na dworze, która w każdej chwili mogła przejść na nowo w śnieżycę.

Swoją drogą to dziwne, że pomimo całą tę wilgoć miał policzki ciągle jeszcze tak rozpalone, jak gdyby siedział w nazbyt ogrzonym pokoju.

Czuł się przy tym śmiesznie wyczerpany gimnastyką kocami - rzeczywiście, podręcznik Ocean steamchips drżał mu w ręku, ilekroć zabierał się do czytania.

Tak nadzwyczajnie zdrów nie był przecież znowu - najwyraźniejsza anemia, powiedział radca Behrens - i zapewne dlatego marzył tak łatwo.

Przyczym uczucie było jednak zrównoważone niezmiernie Wygodną pozycją, w jakiej się znajdował, przez usuwające się z analizy i prawie tajemnicze właściwości leżaka, które Hans Castorp już przy pierwszej próbie odczuł z najwyższym zadowoleniem i które się po raz kolejny w najpomyślniejszy sposób potwierdzały, to leżało w jakości poduszek materaców, czy we właściwym nachyleniu oparcia, czy w odpowiedniej wysokości i szerokości poręczy, czy może tylko w całej konsystencji wałka pod głowę - dość że spoczywającym członkom nie można było w ogóle zaofiarować nic bardziej dobroczynnego niż ten właśnie znakomity leżak.

Tak więc zadowolenie wstąpiło w serce Hansa Castorpa, że ma przed sobą dwie puste i bezpieczne, zaciszne godziny, te najważniejsze godziny werandowania, uświęcone przez regulamin sanatorium; chociaż był tu gościem tylko, urządzenie to dogadzało mu najzupełniej.

Bo był z natury ciepłoty, umiał długo czuć się dobrze bez żadnego zajęcia i, jak sobie przypominamy, lubił wolny czas, czas, którego żadna oszłamiająca praca nie wypiera ze świadomości, nie pochłania i nie płoszy.

O czwartej był podwieczorek z ciastem i konfiturami, później trochę ruchu na świeżym powietrzu, następnie znów odpoczynek na leżaku, o siódmej kolacja; łączyły się z nią, jak w ogóle z każdym posiłkiem, pewne oczekiwania i pewne rzeczy godne widzenia, na które już z góry można się było cieszyć; potem rzut oka do stereoskopu, kalejdoskop i stroboskop...

Hans Castorp miał już zupełnie uregulowany rozkład dnia, chociaż nie można było twierdzić, że się

już jak się to mówi - "wzyl".

W gruncie rzeczy jest coś dziwnego w tym "wzywaniu się" w nowym miejscu pobytu, w tym - choćby nawet mozolnym - przystosowaniu się i nabywaniu nowych przyzwyczajzeń, któremu człowiek poddaje się prawie wyłącznie dla samego procesu ich nabywania i z zupełnie określonym zamiarem zarzucenia ich i powrotu do poprzedniego stanu, skoro tylko zostaną osiągnięte lub przynajmniej niedługo potem.

Wprowadza się to we właściwy bieg życia jako pauzę i interludium, a czyni się to dla "wypoczynku", to znaczy: aby poddać gruntownej i regenerującej odmianie organizm, który był już o krok od rozpieszczenia, zgnuśnienia i ośpienia w jednostajności niczym się od siebie nie różniących przeżyć. Ale na czym polega to zgnuśnienie i ośpienie, których źródłem jest zbyt długo trwająca monotonia powracających dni?

To, co je wywołuje, nie jest właściwie fizycznym i Umysłowym zużyciem i zmęczeniem na skutek wymagań życia, na to bowiem najlepszym lekarstwem byłby po prostu spokój; jest raczej czymś duchowym, jest przeżywaniem czasu - przeżywaniem, któremu przy stałej równomierności grozi zamarcie i które jest tak bliskie samemu poczuciu życia i tak z nim związane, że kiedy jedno z nich ulega osłabieniu, musi się to żałośnie odbić na drugim.

o istocie nudy rozpowszechnione są różne błędne poglądy.

Na ogół mniema się, że nowa i interesująca treść "zabija" czas, to znaczy skraca go, że monotonia natomiast i pustka opóźniają i powstrzymują jego bieg.

Nie jest to bez zastrzeżeń słuszne.

Pustka i monotonia mogą wprawdzie sprawić, że chwila i godzina rozciąga się i "dłuży", ale sprawiają też, że długie i najdłuższe okresy czasu skracają się, a nawet ulatniają aż do zupełnej nicości.

Na odwrót, treść interesująca i bogata jest wprawdzie w stanie godzinę, a nawet i dzień cały skrócić i uskrzydlić, ale jeśli idzie o większe okresy, nadaje biegowi czasu szerokość, wagę i solidność, tak że lata bogate w zdarzenia upływają znacznie wolniej niż owe ubogie, lekkie, które ulatują z wiatrem. To, co nazywa się nudą, dłużeniem się czasu, jest więc właściwie raczej chorobliwie prędkim "schodzeniem" czasu wskutek Monotonii: przy nieprzerwanej jednostajności wielkie okresy czasu kurczą się w sposób, który napełnia serce śmiertelnym przerażeniem; jeżeli każdy dzień jest taki sam jak wszystkie, to wszystkie one są jak jeden dzień, i przy zupełnej jednostajności najdłuższe życie wydałoby się całkiem krótkie i uleciałoby niepostrzeżenie.

Przyzwyczajenie jest jakby uspieniem albo Przynajmniej osłabieniem zmysłu czasu i jeżeli lata młodości upływają wolno, a życie późniejsze coraz szybciej przebiega i pędzi, to z pewnością polega to również na przyzwyczajeniu.

Dobrze wiemy, że odzwyczajanie się i przyzwyczajanie do czegoś nowego jest jedynym środkiem, który utrzymuje nasze życie, odświeża nasz zmysł czasu - jedynym, dzięki któremu możemy odmłodzić, wzmocnić, zwolnić przeżywanie czasu i tym samym odnowić nasze czucie życia w ogóle. To właśnie jest celem zmiany miejsca i klimatu, podróży do miejscowości kąpieliskowych: odprężenie, które daje odmiana i epizod.

Pierwsze dni na nowym miejscu pobytu mają rozmach młodości, to znaczy bieg szeroki i mocny, trwa to jakieś sześć do ośmiu dni.

Potem, w miarę "wzywania się", daje się zauważyć stopniowe skracanie się biegu czasu: kto jest przywiązany do życia albo, dokładniej powiedziawszy, kto chciałby nim być, może ze zgrozą zauważyć, jak dni znowu stają się lekkie i zaczynają się przemykać, a ostatni dzień, mniej więcej czwarty, jest niesamowicie chyży i lotny.

Zapewne, to odświeżenie zmysłu czasu działa jeszcze, kiedy interludium się skończyło, i daje się na nowo odczuwać po powrocie do reguły: pierwsze dni po odmianie spędzone w domu wydają się znowu nowe, szerokie i młodzieńcze, ale nieliczne tylko; każdy wżywa się ponownie w regułę prędej niż w jej zawieszenie, i jeżeli zmysł czasu jest już przez wiek osłabiony albo - co jest oznaką wrodzonego braku żywotności - nigdy nie był silnie rozwinięty to bardzo szybko znowu omdlewa i już po dwudziestu czterech godzinach jest tak, jak gdyby się nigdy nie wyjeżdżało i jak gdyby podróż przyśniła się tylko człowiekowi.

Te uwagi wplecione są tu tylko dlatego, że młody Hans Castorp miał coś podobnego na myśli, kiedy po kilku dniach odezwał się do kuzyna (patrzając na niego przy tym przekrwionymi oczami): - Jakie to swoją drogą zabawne, że na nowym miejscu czas tak się dłuży z początku.

To znaczy...

Ma się rozumieć, nie ma mowy o tym, żebym się nudził, przeciwnie, mogę powiedzieć, że bawię się po królewsku.

Ale kiedy spojrzę wstecz, a więc retrospektywnie, zrozum mnie dobrze, wydaje mi się, że jestem tu już Bóg wie jak długo; jak gdyby cała wieczność minęła od czasu, kiedy przyjechałem i nie od razu zrozumiałem, że

jestem na miejscu, a tyś jeszcze powiedział: "No, wysiadaj już"!

- pamiętasz?

To nie ma absolutnie nic wspólnego z mierzaniem i w ogóle z rozumem, to jest sprawa czysto uczuciowa.

Naturalnie, byłoby niemądrze, gdybym powiedział: Wydaje mi się, że jestem tu już od dwóch miesięcy - to

byłby przecież nonsens.

Ale mogę właśnie tylko powiedzieć: Od dawna!

- Tak - odpowiedział Joachim z termometrem w ustach - ja także z tego korzystam, mam, odkąd tu jesteś,

pewne oparcie w tobie.

- Ha, ha, Hans Castorp roześmiał się, że Joachim powiedział to tak po prostu, bez bliższego wyjaśnienia.

Hans Castorp też próbuje swych sił we francuskiej konwersacji.

Nie, nie wżył się tu jeszcze bynajmniej.

Nie zna całej osobowości tutejszego życia, bo wiedzy nie mógł przecie zdobyć w ciągu tych kilku dni i, jak sobie mówił (i powiedział to także Joachimowi), nawet trzy tygodnie będą pod tym względem niewystarczające.

Organizm jego również nie dostosował się do specjalnych warunków atmosferycznych, które "tutaj u tych w górze" panują, bo i dostosowywanie się przychodziło mu z trudem, z bardzo wielkim trudem, a nawet wydawało mu się, iż nie robi żadnych pod tym względem postępów.

Normalny dzień był wyraźnie podzielony na części i starannie zorganizowany; człowiek szybko włączał się w jego bieg i nabywał wprawę, skoro tylko poddał się jego trybowi; ale w ramach tygodni i większych jednostek czasu, bieg ten ulegał pewnym regularnym odchyleniom, które tylko stopniowo się objawiały, i czasem jedno z nich jeszcze nie nastąpiło, gdy inne zdążyło już powrócić.

Hans Castorp spotykał też jeszcze na każdym kroku nowe dla siebie szczegóły dnia powszedniego i nowe twarze, uczył się dostrzegać szczegóły przelotnie przedtem poznanych rzeczy i z młodzieńczą chłonnością starał się przyswoić je sobie.

Na przykład te pękate naczynia o krótkich szyjkach, które stały na korytarzu przed niektórymi drzwiami i które Hans Castorp zauważył zaraz pierwszego wieczora, zawierały tlen - tak mu objaśnił Joachim na jego zapytanie.

Zawierały czysty tlen, po sześć franków balon, i ten ożywiający gaz podawano konającym jako ostatnią podniechęć dla podtrzymania ich sił; wdychali go przez rurkę.

Bo za drzwiami, przed którymi ustawione były takie balony, leżeli konający albo skazani na śmierć, moribundi, jak się wyraził radca Behrens, kiedy Hans Castorp spotkał go raz na pierwszym piętrze; radca, w białym kitlu z sinymi policzkami, wiosłował przez korytarz i razem udali się schodami na górę.

- No, a pan, bezinteresowny obserwatorze - rzekł Behrens - co pan porabia?

Czy zasłużyliśmy na łaskę w pańskich badawczych oczach?

Zaszczyt to dla nas, zaszczyt.

Tak, nasz letni sezon ma coś w sobie, nie jest do pogardzenia.

Dużo trudu mnie kosztowało, żeby go nieco popchnąć.

Szkoda jednak, że nie chce pan z nami spędzić zimy - słyszałem, że pan przyjechał tylko na osiem tygodni? Ach, tylko na trzy?

Ależ to jak po ogień, nie warto się nawet rozpakowywać; ale jak pan uważa.

Szkoda jednak, że nie chce pan z nami spędzić zimy, bo hotwoley - rzekł, w żartobliwy sposób niemożliwie wymawiając to słowo - międzynarodowa hotwoley zjeżdża się do uzdrowiska Davos właśnie dopiero na zimę; powinien pan ich zobaczyć, nauczyłby się pan czegoś.

(Hotwoley (z francuskiego - haute volée) - wyższe sfery).

Można się tarzać ze śmiechu, patrząc, jak te chłopcy skaczą na swoich deskach.

No a damy, Boże co za damy!

Barwne jak rajskie ptaki, mówię panu, i przeraźliwie szykowne...

ale muszę do mego moribunda pod numer dwudziesty siódmy.

Ostatnie stadium.

Opuszcza scenę, środkowymi drzwiami.

Pięć tuzinów butli tlenu dostał ten łakomczuch wczoraj i dzisiaj, ale do południa i Pójdzie pewnie ad penates.

No, drogi panie Reuter - powiedział wchodząc do pokoju - jakby to było, gdybyśmy jeszcze jednej ukrećili szyję...

- Słowa jego umilkły za drzwiami, które zamknął za sobą; ale przez chwilę Hans Castorp widział w pokoju na poduszce woskowo blady profil jakiegoś młodzieńca z rzadką bródką, który powoli zwrócił swoje wielkie źrenice w kierunku drzwi.

Był to pierwszy umierający, jakiego Hans Castorp widział w swoim życiu, bo nie był przy śmierci swych rodziców ani swego dziadka.

Jak dostojnie leżała na poduszce ta młodzieńcza głowa, z brodą sterczącą do góry!

Jak wymowne było spojrzenie jego rozszerzonych oczu, gdy je powoli zwrócił w kierunku drzwi!

Hans Castorp, cały jeszcze przejęty tym przelotnym widokiem, szedł dalej w kierunku schodów i niechętnie spróbował zrobić tak wielkie, wymowne i powolne oczy, jak konający młodzieniec.

Tymi właśnie oczami spojrzął na panią, która wyszła za nim z jakichś drzwi i minęła go na podeście schodów.

Nie od razu poznał, że to była Madame Chauchat.

Uśmiechnęła się lekko na widok miny, którą zrobił, poprawiła ręką warkocze w tyle głowy i bez szmeru, płynąc elastycznie z głową lekko w przód pochyloną, szła przed nim schodami na dół.

Podczas tych pierwszych kilku dni, a i dość długo potem, nie zawierał prawie żadnych znajomości.

Porządek dnia na ogół nie sprzyjał temu, a Hans Castorp lubił przecież trzymać się w rezerwie; uważał się zresztą za gościa tu w górze i za "bezinteresownego obserwatora", jak się wyraził radca Behrens, i wystarczało mu zupełnie towarzystwo Joachima.

Pielęgniarka jednak, spotkana na korytarzu, tak wyraźnie wyciągała za nimi szyję, że Joachim, który już wcześniej czasami z nią rozmawiał, zapoznał ją ze swym kuzynem.

Miała wciąż sznureczek od binokli za uchem i mówiła tonem nie tylko afektowanym, ale wprost zgnębionym; przy bliższym poznaniu czy miała wrażenie, jak gdyby tortura nudy zmaciała jej umysł.

Niezwykle trudno było uwolnić się od niej - okazywała chorobliwy lęk przed zakończeniem rozmowy, i gdy tylko młodzieńcy zabierali się do odejścia, przytrzymywała ich spiesznymi słowami, spojrzeniem i tak rozpaczliwym uśmiechem, że z litości jeszcze przy niej zostawali.

Długo i szeroko opowiadała o swym ojczulku, który był prawnikiem, i o kuzynie lekarzu - widocznie, ażeby się w korzystnym świetle przedstawić i zaakcentować, że pochodzi z inteligencji.

Co się tyczy jej chorego, który leży tam za drzwiami, jest on synem fabrykanta lalek z Koburga i nazywa się Fritz Rotbein; od niedawna rzuciło mu się na kiszki.

Panowie mogą sobie wyobrazić, jak przykre to jest dla całego otoczenia; jest to przykre, zwłaszcza jeżeli się już pochodzi z rodziny z wykształceniem akademickim i posiada wrażliwość właściwą wyższym klasom społecznym.

A najgorsze, że nie można go na chwilę zostawić samego...

Niedawno, co panowie na to powiedzą, wyszła tylko, aby kupić sobie proszku do zębów, wraca i co widzi: chory siedzi w łóżku, zajada salami, kawał grubego razowego chleba i ogórek, a przed nim stoi kufel ciężkiego ciemnego piwa!

Wszystkie te domowe smakołyki przysłała mu rodzina, żeby się pokrzepił.

Nazajutrz był naturalnie bardziej podobny do trupa niż do żywego człowieka; sam przyśpiesza swój koniec.

Będzie to jednak wyzwoleniem dla niego tylko, bo ona - nazywa się, nawiasem mówiąc, siostra Berta, a właściwie Alfreda Schildknecht - pójdzie wtedy do innego chorego, w mniej lub więcej posuniętym stadium, do tego lub innego sanatorium.

To jest perspektywa, która się jej w życiu otwiera - innej nie widzi przed sobą.

Hans Castorp rzekł na to, że jej zawód jest rzeczywiście ciężki, ale powinien, jego zdaniem, dawać zadowolenie wewnętrzne.

Zapewne - odpowiedziała - daje zadowolenie Wewnętrzne, ale niemniej jest bardzo ciężki.

No, więc życzymy panu Rotbeinowi wszystkiego najlepszego - i kuzyni chcieli się oddalić, ale wówczas uczepiła się ich niemal słowami i spojrzeniem i wysiłki jej, by młodych ludzi jeszcze trochę zatrzymać, były tak żalosne, że okrucieństwem byłoby nie zostać jeszcze przez chwilę.

- Śpi teraz!

- rzekła.

- Nie jestem mu potrzebna, więc na kilka krótkich chwil wyszłam na korytarz...

- I zaczęła skarżyć się na radcę Behrensa i na ton, w jakim się do niej zwraca i który jest zanadto bezceremonialny, zważywszy jej dobre pochodzenie.

O wiele wolała doktora Krokowskiego, o którym mówiła, że jest uduchowiony.

Potem powróciła znowu do ojczulka i kuzyna.

Nic więcej nie mogła wycisnąć ze swego mózgu i na próżno starała się czymś jeszcze zatrzymać kuzynów, podniósłszy nagle głos niemal do krzyku, gdy chcieli odejść; wreszcie udało im się wymknąć i poszli.

Przez chwilę, pochylona naprzód, pochłaniała ich spojrzeniem, jak gdyby oczami chciała ich przyciągnąć z powrotem.

Potem westchnienie wyrwało się jej z piersi i powróciła do swego chorego.

Poza tym w tych dniach Hans Castorp zawarł znajomość tylko jeszcze z ową czarno ubraną, bladą Meksykanką, którą widział poprzednio w ogrodzie i którą nazywano Touslesdeux.

Zdarzyło się bowiem, że i on usłyszał z jej ust ponurą formułę, która stała się jej przezwiskiem, ale ponieważ był na to przygotowany, więc zachował się najzupełniej poprawnie i mógł być później z siebie zadowolony.

Po pierwszym śniadaniu, wybierając się na przepisany spacer poranny, kuzyni spotkali ją przed głównym wejściem.

Owinięta czarnym kaszmirowym szalem chodziła tam i z powrotem długimi, niespokojnymi krokami, uginając się w kolanach: jej starzejąca się twarz o dużych, zgorzkniałych ustach odbijała szarą bladością od czarnego woalu, osłaniającego siwiejące włosy i związanego pod brodą.

Joachim, jak zwykle bez kapelusza, skłonił się na powitanie, a ona odpowiedziała powolnym skinieniem głowy; kiedy Podniosła oczy, bruzdy, przerzynające jej niskie czoło, pogłębiły się jeszcze bardziej.

Spostrzegłszy nieznanego, zatrzymała się i poruszając lekko głową czekała aż młodzieńcy się zbliżą, bo widocznie chciała się dowiedzieć, czy nowo przybyły słyszał już o jej losie, i usłyszeć jego zdanie o tym.

Joachim przedstawił jej kuzyna.

Podążyła mu spod mantyli chudą, żółtawą, pokrytą siecią żyłek rękę, z pierścionkami na palcach. Nie spuszczała z niego oczu.

Potem stało się, powiedziała: - Tous les de, monsieur - tous les de, vous savez...

- Je le sais, madame - odrzekł Hans Castorp przytłumionym głosem.

- Et je le regrette beaucoup.

(Tous les de vous savez...

Je le sais...

(francuskie) - wie pan...

Wiem, proszę pani...

I bardzo mi żal).

Obwisłe worki pod jej czarnymi jak z dżetu oczami uderzały swą wielkością; Hans Castorp u nikogo jeszcze podobnych nie widział.

Tchnęła jakąś delikatną, zwiędłą wonią.

Spotkanie to wzbudziło w Hansie Castorpie nastrój łagodny i poważny.

- Merci - powiedziała charczącą wymową, która dziwnie nie harmonizowała z jej depresją; jeden kąt jej wielkich ust był tragicznie opuszczony w dół.

Schowała rękę pod mantylę, skinęła głową i znowu rozpoczęła swą wędrówkę.

Idąc dalej, Hans Castorp odezwał się: - Widzisz, nie zrobiło mi to żadnej różnicy, świetnie dałem

sobie z nią radę.

W ogóle umiem sobie całkiem dobrze dawać radę z takimi ludźmi.

Zdaje mi się, że mam przyrodzony dar obchodzenia się z nimi - czyż nie?

Sądzę nawet, że na ogół łatwiej dochodzę do ładu z ludźmi smutnymi niż z wesołymi. I wiem na czym to polega, może na tym, że przecież jestem sierotą i że moi rodzice tak wcześnie mnie odumarli, ale jeżeli ktoś jest poważny i smutny i Jeżeli śmierć wchodzi w grę, nie czuję się tym właśnie przytłoczony ani zakłopotany - przeciwnie, jestem wtedy w swoim żywiole, o wiele bardziej niż w atmosferze radości i ożywienia.

Myślałem niedawno, że głupotą jest ze strony tutejszych bać się śmierci i wszystkiego, co ma z nią związek do tego stopnia, by musiano to ukrywać przed nimi i przynosić wiatyk w porze posiłków.

Nie, pfe, to jest niedorzeczne!

Powiedz, czy widok trumny jest przykry?

Ja patrzę na nią chętnie.

Według mnie nawet pusta trumna jest wprost ładnym sprzętem, i jeżeli ktoś w niej leży, robi na mnie po prostu czyste wrażenie.

Pogrzeby mają w sobie coś budującego i nieraz przychodziło mi na myśl, że jeżeli ktoś pragnie się podnieść na duchu, powinien iść na pogrzeb, a nie do kościoła.

Ludzie są odświętnie i czarno ubrani, zdejmują kapelusze, patrzą na trumnę, pełni powagi i nabożeństwa i nikt nie śmie robić głupich dowcipów, jak w życiu codziennym.

Bardzo lubię, kiedy raz wreszcie widzę ludzi tak nastrojonych.

Zadawałem sobie czasem pytanie, czy nie powinienem być zostać pastorem - myślę, że odpowiadałoby to poniekąd mojemu usposobieniu...

Mam nadzieję, że mówiąc z tą panią, nie zrobiłem żadnego błędu we francuskim?

- Nie - odpowiedział Joachim.

- Je le regret beaucoup było zupełnie poprawne.

Politycznie podejrzany!

Nadeszły regularne odmiany dnia normalnego: najpierw niedziela - i to niedziela z orkiestrą uzdrowską na tarasie.

Niedziela taka przypadała co czternaście dni, zaznaczając w ten sposób koniec okresu dwutygodniowego. Przyjazd Hansa Castorpa Przypadł na drugą połowę takiego okresu.

Przyjechał we wtorek, był więc teraz piąty dzień jego pobytu, po owej straszliwej pogodzie i nawrocie zimy dzień był wiosenny, łagodny; białe chmurki błyszczały na jasnoblękitnym niebie, a światło słoneczne kładło się Po dolinę i zbocza gór, które przybrały znowu zwykłą barwę letniej zieleni, bo świeży śnieg skazany był z góry na szybkie zniknięcie.

Jasne było, że wszyscy starali się uczcić niedzielę i wyróżnić ją spośród innych dni; zarząd i goście pomagali sobie w tym usiłowaniu.

Już do porannej herbaty Podano placek posypany cukrem i przed każdym nakryciem stał flakonik z kilkoma kwiatami - tymi gwoździkami górskimi, a nawet różami alpejskimi, które panowie wkładali sobie do butonierek.

(Prokurator Paravant z Dortmundu włożył nawet żakiet i wzorzystą kamizelkę).

Toalety pań były świąteczne i powiewne.

Madame Chauchat zjawiała się w koronkowym porannym stroju domowym z rozciętymi rękawami; trzasnąwszy za sobą oszklonymi drzwiami, zwróciła się do sali i z wdziękiem zaprezentowała całemu towarzystwu, zanim skradającym się krokiem podeszła do swojego stołu.

Wyglądała tak ślicznie, że siedząca obok Hansa Castorpa nauczycielka z Królewca nie posiadała się

z zachwytu.

Nawet małżeństwo rosyjskie, siedzące przy gorszym stole rosyjskim, złożyło hołd świętu; on włożył dziś zamiast zwykłej kurtki rodzaj krótkiego surduta, a filcowe buciki zamienił na skórzane obuwie; ona miała wprawdzie na sobie swoje brudne boa z piór, ale pod nim jedwabną zieloną bluzkę z kryzą...

Hans Castorp na ich widok zmarszczył brwi i zaczerwienił się, co mu się tu dziwnie często zdarzało. Zaraz po drugim śniadaniu na tarasie zabrzmiały dźwięki orkiestry, składającej się z najrozmaitszych instrumentów dętych, blaszanych i drewnianych, które, to żywo, to melancholijnie, grały prawie do samego obiadu.

Werandowania podczas koncertu przestrzegano ściśle.

Niektórzy z pacjentów rozkoszowali się wprawdzie muzyką leżąc na swych balkonach, a i w leżalni ogrodowej kilka leżaków było zajętych - większość jednak zajęła miejsca przy małych, białych stolikach na krytej platformie, a weselsi z towarzystwa, uważając zapewne siedzenie na krzesłach za zbyt dostojne, ugrupowali się na kamiennych schodach, prowadzących do ogrodu; nastrój ich był bardzo ożywiony.

Znajdowali się tam młodociani pacjenci obojga płci, znani już Hansowi Castorpowi z nazwiska albo z widzenia.

Spostrzegł wśród nich Herminę Kleefeld, a również pana Albina, który częstował wszystkich czekoladą z wielkiego Pudła w kwiaty, ale sam nie jadł, tylko z ojcowskim wyrazem twarzy palił papierosy ze złotym ustnikiem, był tam także ów młodzieniec z wywiniętymi wargami ze "Stowarzyszenia Jednego Płuca", była szczupła i blada jak z kości słoniowej panna Levi; młodzieniec o szaro blond włosach, który nazywał się RasmuSS, ręce, luźno zwisające na kształt rybich płetw, trzymał na wysokości piersi; dalej pani Salomon z Amsterdamu; na jej opalonym karku bezustannie spoczywało zasepione spojrzenie jakiegoś wysokiego i łysawego pana - tego, co umiał grać wyjątki ze "Snu nocy letniej", a teraz siedział za nią, obejmując rękami spiczaste kolana; była tam również pewna ruda Greczynka i jakaś inna panna, nie wiadomo skąd przybyła, z twarzą tapira; żarłoczny młodzian w okularach o grubych szklach i jeszcze jakiś piętnasto lub szesnastoletni chłopiec z monoklem w oku, najwidoczniej skończony osioł, który kaszląc podnosił do ust swój długi, szufelkę przypominający paznokieć małego palca, i jeszcze wiele innych osób.

Joachim opowiadał szeptem, że ten chłopiec z długim paznokciem był prawie zupełnie zdrowy, kiedy przyjechał; nie miał temperatury i tylko z ostrożności został wysłany do sanatorium przez swego ojca, lekarza.

Radca dworu utrzymywał, że wystarczy mu trzymiesięczny pobyt, a teraz po trzech miesiącach ma 37,8 do 38 i jest dość poważnie chory.

Ale też żyje tak nierozsądnie, że zasługuje na porządne lanie.

Kuzyni usiedli przy oddzielnym stoliku, w pewnym oddaleniu od reszty towarzystwa, bo Hans Castorp palił, popijając ciemne piwo, które sobie wyniósł z sali jadalnej.

Od czasu do czasu cygaro sprawiało mu pewną przyjemność.

Lekko oszołomiony piwem i muzyką, która jak zwykle tak i teraz sprawiała że miał wpółotwarte usta i na bok pochyloną głowę.

Siedział i zaczerwienionymi oczami przyglądał się beztroskiemu życiu dokoła.

Świadomość tego, że w organizmie każdego z tych ludzi odbywa się trudny do Powstrzymania rozkład i że większość z nich ma stale lekką gorączkę, nie przeszkadzała mu bynajmniej, wręcz przeciwnie, nadawała wszystkiemu tym wyraźniejsze piętno czegoś niezwykłego i w pewnej mierze podniecającego...



Przy stoliczkach pito musującą sztuczną lemoniadę, a na schodach prowadzących do ogrodu fotografowano.

Niektórzy wymieniali między sobą znaczki pocztowe, a ruda Greczynka rysowała pana Rasmussena, ale nie chciała mu poten pokazać podobizny; odsłaniając wśród głośnego śmiechu duże, szeroko rozstawione zęby, wymykała mu się to w jedną, to w drugą stronę, tak że długo nie mógł wyrwać jej bloku. Hermina Kleefeld siedziała na stopniu z na wpół otwartymi oczami i zwiniętą w rolkę gazetą wybijała takt muzyki, a pan Albin przypinał jej do bluzki bukietek polnych kwiatów.

Młodzieniec z wywiniętymi wargami siedział u stóp pani Salomon i rozmawiał z nią, wykręcając szyję, a łysawy pianista nie odrywał oczu od jej karku.

Zjawili się lekarze, radca Behrens w białym, a doktor Krokowski w czarnym kitlu, i zmieszali się z towarzystwem.

Szli wzdłuż szeregu stoliczków, a radca prawie przy każdym umiał powiedzieć coś dowcipnego, toteż, jak spieniony nurt wody za statkiem, ciągnął się za nim ślad wesołego śmiechu.

Potem zeszli do młodzieży; płeć piękna, krygując się i rzucając spojrzenia z ukosa, zebrała się natychmiast dokoła doktora Krokowskiego, a radca, gwoli uczczenia niedzieli stojąc na schodach, pokazywał panom pewną sztukę - oparł olbrzymią stopę na wyższym stopniu, rozwiązał sznurowadło, specjalnym chwytem złapał je jedną ręką i bez pomocy drugiej tak zręcznie potrafił skrzyżować je na haczykach, że wzbudził tym ogólny podziw i niejednen na próżno starał się go naśladować.

Później zjawił się na tarasie Settembrini; podpierając się laską, wyszedł ze stołowego pokoju, również dzisiaj w swej włochatej marynarce i żółtawych spodniach, z subtelnym, ożywionym i krytycznym wyrazem twarzy.

Rozejrzał się wokoło i ze słowami "A, brawo"!

zbliżył się do stolika kuzynów, pytając grzecznie, czy wolno mu będzie się przysiąść.

- Piwo, tytoń i muzyka!

- rzekł.

- Jesteśmy więc w pańskiej ojczyźnie!

Widzę, że ma pan zmysł dla ojczyzstego nastroju, inżynierze.

Ciesz się, że jest pan w swoim żywiole.

Niech i mnie będzie wolno uczestniczyć w tej pańskiej harmonii ducha!

Gdy tylko ukazał się Settembrini, Hans Castorp przybrał poważny wyraz twarzy, a teraz odezwał się:

- Ale, proszę pana, pan się spóźnił na koncert, pewnie się zaraz skończy.

Czy pan nie lubi słuchać muzyki?

- Nie lubię jej słuchać na zawołanie!

- odparł Settembrini.

- I nie według kalendarza.

Nie lubię muzyki pachnącej apteką i przydzielanej mi łaskawie ze względów zdrowotnych.

Cenię wolność, a raczej tę resztę wolności i godności ludzkiej, jaka nam tu pozostała.

Przy takich imprezach jestem tylko hospitantem, podobnie jak pan u nas w ogóle jest tylko hospitantem przychodzę na kwadrans i idę dalej własną drogą.

Daje mi to złudzenie niezależności...

Nie twierdzą bynajmniej, że jest to czymś więcej iż złudzeniem, ale ostatecznie, skoro znajduję w tym pewną satysfakcję...!

Pański kuzyn odnosi się do tych rzeczy inaczej.

Dla niego jest to służba.

Prawda, poruczniku, że pan uważa te rzeczy za obowiązki służbowe?

O tak, wiem, pan umie i w niewoli zachować dumę.

To olśniewająca umiejętność, nie każdy w Europie posiada ją w tym stopniu.

Muzyka?

Pytał pan, czy uważam się za miłośnika muzyki?

Otóż jeżeli pan mówi "miłośnik" (Hans Castorp nie przypominał sobie właściwie, żeby był użył tego słowa), to wyrażenie takie nie jest źle wybrane, ma w sobie odcień pieszczotliwej lekkomyślności.

Więc dobrze, zgadzam się z tym.

Tak, jestem miłośnikiem muzyki, przez to jednak bynajmniej nie chcę powiedzieć, że żywię do niej szczególny szacunek - szacunek i umiłowanie jakie mam dla słowa, które jest wyrazem myśli, narzędziem i lśniącym lemieszem postępu...

Muzyka...

jest czymś na pół artykułowanym, wątpliwym, nieodpowiedzialnym i obojętnym.

Zarzuci mi pan pewnie, że i muzyka może być jasna.

Ale i natura może nią przecież być; jasny może być strumyk - ale cóż nam z tego?

To nie jest prawdziwa jasność, to jest jasność marzenia, nic nie mówiąca i do niczego nie zobowiązująca, jasność bez konsekwencji i niebezpieczna dla tego, że kusi nas, byśmy się nią zadowolili...

Muzyka, jeżeli przybierze gest wielkoduszności, potrafi rozplómić nasze uczucia.

Ale przecież chodzi o to, żeby rozum rozplómić.

Wydaje się na pozór, że ruch jest istotą muzyki, jednakże ja podejrzewam ją o kwietyzm.

Niechaj mi wolno będzie wyrazić się krańcowo: mam polityczną niechęć do muzyki.

Hans Castorp nie mógł już dłużej wytrzymać.

Uderzył się po kolanie i zawołał, że nic podobnego nie słyszał jeszcze w życiu!

- Niech się pan jednak nad tym zastanowi!

- powiedział Settembrini z uśmiechem.

- Muzyka jest nieoceniona jako środek budzenia zachwyty, jako moc porywająca wzwyż i naprzód, jeżeli umysł jest na jej działanie odpowiednio przygotowany.

Ale musi poprzedzać ją literatura.

Sama muzyka nie pchnie świata naprzód.

Sama muzyka jest niebezpieczna, a dla pana, inżynierze, jest na pewno niebezpieczna.

Wyczytałem to natychmiast z jego oblicza, gdy tutaj przyszedłem.

Hans Castorp śmiał się.

- Ach, nie powinien pan przyglądać się mojej twarzy.

Nie uwierzy pan, jak bardzo dokucza mi tutejszy klimat.

Przystosowanie się doń przychodzi mi trudniej, niż przypuszczałem.

- Obawiam się, że pan się łudzi.

- Nie, gdzież tam!

To niewiarygodne, jak straszliwie jestem zmęczony i jak bardzo mnie twarz pali.

- Zdaje mi się jednak, że należy być wdzięcznym dyrekcji za koncerty - rzekł Joachim w zamyśleniu.

- Pan Settembrini patrzy na nie z wyższego punktu widzenia, że tak powiem: jako literat, i nie chcę mu oponować.

Jestem jednak zdania, że za trochę muzyki należy się tutaj wdzięczność.

Nie jestem bynajmniej szczególnie muzykalny, a utwory, które tu grają, nie są wyjątkowo piękne - ani klasyczne, ani współczesne - mamy tu tylko zwykłą dętą orkiestrę.

Ale jest to dla nas bardzo miła odmiana.

Zapełnia nam całkowicie kilka godzin, to znaczy: najpierw je dzieli, a potem wypełnia każdą z osobna, tak że mają przecież jakąś treść, podczas gdy zwykle godziny, dni i tygodnie dłużą się tu w nieskończoność...

Widzi pan, taki jeden skromny numer koncertu trwa może siedem minut, nieprawdaż, i te minuty stanowią całość dla siebie, mają początek i koniec, wyodrębniają się i do pewnego stopnia nie giną niepostrzeżone w ogólnej monotonii.

Poza tym są podzielone na elementy jeszcze drobniejsze, na poszczególne części utworu, te zaś znowu na takty; tak więc ciągle coś się dzieje i każda chwila ma swój własny, uchwytny sens, podczas gdy zwykle... Nie wiem, czy się trafnie wyrażam...

- Brawo!

- zawołał Settembrini.

- Brawo, poruczniku!

Pan doskonale podkreślił niewątpliwy moment etyczny w istocie muzyki, to mianowicie, że czas nabiera życia, sensu i wartości dzięki szczególnym sposobom mierzenia go, które muzyka umożliwia. Muzyka budzi czas, budzi nas do najdoskonalszego odczuwania czasu, budzi...

Na tym polega jej etyczne znaczenie.

Sztuka jest etyczna, o ile umie budzić.

Ale co wtedy, jeżeli czyni odwrotnie?

Jeśli ogłusza, usypia, tłumi aktywność i postęp?

Muzyka i to potrafi, miewa czasem działanie podobne jak opium i jego pochodne.

Piekielne to działanie, moi Panowie!

Opium jest rodem z piekła, bo stwarza otępienie, bezwładność, zastój i niewolniczy bezruch. W muzyce jest coś, co nasuwa poważne obawy; obstaJę przy tym, że ma dwuznaczny charakter. Nie posuwam się za daleko, twierdząc, że jest politycznie Podejrzana.

Mówił jeszcze długo w ten sam sposób, a Hans CastorP słuchał, ale niezupełnie udawało mu się śledzić ciąg myśli Włocha, po pierwsze wskutek zmęczenia, a także dlatego, że uwagę jego odwracała beztroska młodzież bawiąca się na schodach.

Czy mu się tylko zdaWało, czy było tak rzeczywiście?

Panna z twarzą tapira przyszywała młodzieńcowi z monoklem gumkę u dołu jego sportowych spodni, sięgających do kolan.

Oddech jej był przy tym ciężki i astmatyczny, a młodzieniec pokaszliwał, przysłaniając usta palcem, którego paznokieć przypominał szufelkę.

To prawda, byli chorzy oboje, ale ich zachowanie świadczyło jednak o dziwnych obyczajach panujących między młodzieżą tu w górze.

Orkiestra grała polkę...

Hippe.

W ten sposób niedziela różniła się od innych dni.

A popołudnie odznaczało się jeszcze tym, że goście udawali się grupami na przejażdżki: po podwieczorku kilka dwukonnych powozów wspięło się z trudem po serpentynie drogi aż na samą górę i zatrzymało się

przed główną bramą, aby zabrać tych, co je zamówili, przeważnie Rosjan, a mianowicie rosyjskie panie.

- Rosjanie zawsze jeżdżą na spacer - odezwał się Joachim do Hansa Castorpa; stali razem przed portalem i dla rozrywki przyglądali się odjeżdżającym.

- Pojadą teraz do Clavadell albo nad jezioro, albo do Flielatal, albo do klasztoru, to mniej

więcej Są cele ich wycieczek.

Jeżeli masz ochotę, możemy także kiedyś pojechać.

Ale sądzę, że na razie dosyć masz roboty z tym, żeby się wżyć tutaj, i nie potrzeba ci żadnych eskapad. Hans Castorp zgodził się z tym.

Z papierosem w Ustach i rękami w kieszeniach spodni, przyglądał się jak niska, żywa staruszka, Rosjanka, sadowiła się w jednym z powozów, ze swoją szczupłą siostrzenicą i Jeszcze dwiema paniami; były to: Marusia i MaChauchat, która miała na sobie lekki prochownik z patką z tyłu, ale była bez kapelusza.

Usiadła obok staruszki w głębi powozu, podczas gdy młode panny usiadły naprzeciwko. Wszystkie panie były w dobrych humorach i nie przestawały mówić swą miękką, jak gdyby bezkoszną mową.

Śmiały się i żartowały z powodu pledu, którym się z trudem okryły, z powodu rosyjskich cukierków w drewnianej skrzynce wyłożonej watą i papierowymi koronkami, stara ciotka wzięła je z sobą na drogę i już teraz nimi częstowała...

Hans Castorp specjalną uwagę zwracał na dochodzący go, trochę zachrypnięty głos pani Chauchat. Jak zwykle, kiedy spotykał tę niedbałą kobietę, narzuciło mu się znowu owo podobieństwo którego musiał się przez pewien czas doszukiwać i które objawiło mu się we śnie...

A śmiech Marusi, jej okrągłe, brązowe oczy, spoglądające dziecinnie spod chusteczki, którą zakrywała sobie usta, i Jej wysokie piersi, wewnątrz podobno poważnie chore, przypomniały mu coś innego, wstrząsającego, co zauważył niedawno - więc ostrożnie i nie poruszając głową spojrzął z boku na Joachima.

Nie, chwała Bogu, Joachim nie miał - jak wówczas - takich plam na twarzy, również wargi jego nie były teraz tak żałośnie wykrzywione.

Ale patrzył na Marusię w pozycji i z wyrazem oczu, których żadną miarą nie można było nazwać wojskowymi; wyrażały raczej taki smutek i takie zapamiętanie, że musiało się uważać za niewątpliwie cywilne.

Wkrótce zresztą otrząsnął się i spojrzął szybko na Hansa Castorpa tak, że ten zaledwie zdążył odwrócić od

niego oczy i skierować je gdzieś przed siebie.

Czuł przy tym, że serce mu bije bez powodu i na własną rękę, jak zwykle tutaj.

Reszta niedzieli nie przyniosła nic nadzwyczajnego z wyjątkiem może posiłków, które, nie mogąc być obfitsze niż zwykle, odznaczały się przynajmniej większym wyrafinowaniem potraw.

(Na obiad chateaufroid z drobiu, przybrane rakami i połówkami wisien, do lodów podano patisserie w koszyczkach plecionych z karmelu, a potem świeże ananasy).

Wieczorem, po wypiciu swego piwa, Hans Castorp czuł się bardziej znużony, zziębnięty i ociężały niż dni

poprzednich; już koło dziewiątej powiedział kuzynowi dobranoc, spieszenie naciągnął pierzynę aż po sam

podbródek i zasnął jak zabity.

Ale już dzień następny, a więc pierwszy poniedziałek, jaki nasz hospitant tu spędził, dostarczył nowej,

regularnie co pewien czas powracającej odmiany w rozkładzie dnia; mianowicie jednego z odczytów,

wyglaszanych przez doktora Krokowskiego raz na dwa tygodnie w jadalni przed zgromadzonymi w komplecie mieszkańcami "Berghofu", którzy byli pełnoletni, znali język niemiecki i nie patrzyli na

księżą  
oborę.

Była to, jak Hansowi mówił kuzyn, seria związanych z sobą prelekcji, kurs popularno naukowy pod ogólnym tytułem: "Miłość jako potęga chorobotwórcza".

Pouczająca pogadanka odbywała się po drugim śniadaniu i, jak również powiedział Joachim, było niedopuszczalne, a w każdym razie bardzo niemile widziane, jeżeli nie brało się w tym udziału; dlatego też

uchodziło za zdumiewającą zuchwałość, że Settembrini, chociaż lepiej niż ktokolwiek władał językiem niemieckim, nie tylko nie przychodził nigdy na odczyty, ale ponadto wypowiadał się o nich w najbardziej pogardliwej formie.

Co do Hansa Castorpa, to na tychmiast zdecydował się iść na odczyt, przede wszystkim przez uprzejmość,

lecz także z nie ukrywanej ciekawości.

Przedtem jednak przyszło mu na myśl coś zupełnie niewłaściwego i fałszywego: żeby na własną rękę zrobić dłuższy spacer, co mu wcale a wcale nie posłużyło.

- Posłuchaj no!

- były to jego pierwsze słowa, kiedy Joachim wszedł rano do jego pokoju.

- Widzę, że tak dłużej ze mną być nie może.

Mam już dosyć pozycji poziomej - przecie z tego krew ścina się w żyłach.

Z tobą rzecz ma się, naturalnie, inaczej, jesteś pacjentem, ciebie nie chcę bynajmniej sprowadzić na manowce.

Ale ja chcę zaraz po śniadaniu, jeżeli nie weźmiesz mi tego za złe, wybrać się na porządną przechadzkę, tak

na parę godzin, w stronę, gdzie oczy poniosą.

Wsunę do kieszeni coś do zakąszenia na drugie śniadanie, to mi zapewni niezależność. Zobaczymy, czy nie będę zupełnie innym człowiekiem po powrocie do domu.

- Dobrze - odparł Joachim, widząc, że tamten poważnie traktuje swoje pragnienie i swój zamiar, Ale radzę

ci, nie przeholuj.

Tutaj jest inaczej niż w domu.

A poza tym wróć punktualnie na odczyt.

W rzeczywistości były jeszcze inne powody, poza fizycznymi, które wpłynęły na postanowienie młodego

Hansa Castorpa.

Zdawało mu się, że przyczyną jego rozpalonej głowy, niesmaku, który prawie ciągle czuł w ustach, i nieobliczalnego bicia serca były nie tyle trudności związane z zaaklimatyzowaniem tutaj, ile takie rzeczy, jak

zachowywanie się rosyjskiego małżeństwa w sąsiednim pokoju, gadanina starej i głupiej pani Stohr, miękki

kaszel sportsmena, który co dzień słyszał na korytarzach, wynurzenia pana Albina, wrażenie, które wywarły na nim obyczaj chorej młodzieży, wyraz twarzy Joachima, przyglądającego się Marusi, i

wiele

innych podobnych spostrzeżeń.

Sądził, że dobrze będzie wyrwać się wreszcie z zaczarowanego koła sanatorium "Berghof", głęboko odetchnąć świeżym powietrzem i zażyć do syta ruchu, ażeby później, kiedy będzie wieczorem zmęczony, wiedzieć przynajmniej, dlaczego.

Tak więc kiedy Joachim po śniadaniu wybrał się na swój przepisowy spacer do ławki nad rynną z wodą, odłączył się od niego, pełen przedsiębiorczości, i wywijając laską, puścił się w dół po szosie, szukając własnych dróg.

Był chłodny, pochmurny ranek - około wpół do dziewiątej.

Zgodnie z powziętym postanowieniem, Hans Castorp wdychał głęboko czyste ranne powietrze, tę świeżą i lekką atmosferę, którą wchłania się bez trudu, która była bez zapachu, bez wilgoci, bez treści, bez wspomnień...

Przeszedł nad strumieniem i przeciął wąski tor kolejki, dostał się na szeroką, bezplanowo zabudowaną drogę, zбочzył z niej wkrótce i wybrał polną ścieżkę, która tylko na krótkiej przestrzeni biegła równo, a potem skośnie i dosyć stromo wznosiła się w górę po prawym zboczu.

Wspinanie się cieszyło Hansa Castorpa, pierś jego oddychała szeroko; rączką laski zsunął kapelusz z czoła, a kiedy, już z pewnej wysokości, obejrzał się i ujrzał w dali taflę jeziora, obok którego przejeżdżał w dniu swego przybycia, zaczął śpiewać.

Śpiewał melodie, które były mu znane, różne popularne i sentymentalne piosenki ze śpiewników korporantów i zrzeszeń gimnastycznych, między innymi jedną, zawierającą następujące słowa: Miłość i wino w pieśni chwał, Lecz przede wszystkim cnotę.

Z początku nucił ją cicho, a potem śpiewał głośno i ze wszystkich sił.

Jego głos barytonowy był nikły, ale dzisiaj podobał mu się, i młody Castorp znajdował w śpiewaniu coraz większą przyjemność.

Jeżeli zaczął za wysoko, przechodził w falset, ale i to podobało mu się.

Jeżeli go pamięć zawodziła, dopomagał sobie, podkładając pod melodię bezsensowne zgłoski i słowa, które - zwyczajem artystów śpiewaków - emitował w powietrze, modulując usta i ze wspaniałym podniebiennym "r", w końcu zaś zarówno słowa, jak i melodie były już tylko wytworami jego własnej fantazji, a produkcje swe podkreślał nawet operowymi gestami.

Ponieważ jednoczesne chodzenie pod górę i śpiewanie jest rzeczą bardzo wyczerpującą, przeto zabrakło mu wkrótce tchu i stan ten Pogarszał się coraz bardziej.

Ale z pobudek idealnych, dla samego wzruszenia estetycznego starał się zwalczyć tę trudność i wśród częstych westchnień dał z siebie wszystko co mógł, aż wreszcie, z największym wysiłkiem łapiąc

oddech,  
oślepiły, mając w oczach tylko różnokolorowe migotliwe ogniki, z rozdygotanym pulsem padł na ziemię  
pod grubą sosną - po tak podniosłym nastroju nagle wydany na pastwę głębokiego niezadowolenia i przygnębienia, graniczącego z rozpaczą.  
Gdy, jako tako przyszedłszy do siebie nerwowo podniósł się znowu, żeby kontynuować wycieczkę, czuł  
tak gwałtowne drżenie karku, że - już w młodym wieku - potrzasał głową zupełnie w ten sam sposób, jak to  
czyinił niegdyś sędziwy Hans Lorenz Castorp.

Wspomnienie zmarłego dziadka, wywołane tym nowym zjawiskiem, serdecznie go wzruszyło i, nie odczuwając żadnej przykrości z tego powodu, z upodobaniem starał się naśladować dostojny sposób, w jaki starzec usiłował opanować drżenie głowy, wpierając podbródek w kołnierz - sposób który tak bardzo podobał się niegdyś chłopcu.

Piął się serpentynami coraz wyżej.

Wabiły go dźwięki krowich dzwonek i udało mu się natrafić na stado; pasło się w pobliżu szałas, którego dach obciążony był kamieniami.

Dwóch brodatych mężczyzn z siekierami na ramionach szło naprzeciw niego, a kiedy byli już blisko, rozstali się.

- A więc żegnaj.

I dzięki ci!

- powiedział jeden z nich do drugiego głębokim, gardłowym głosem, przełożył siekiere na drugie ramię i na przelaj, po trzeszczących gałązkach, zaczął schodzić pomiędzy świerkami w dolinę.

Dziwnie zabrzmiało tutaj w samotności to: "A więc żegnaj.

I dzięki ci!"

I rozmarzyło Hansa Castorpa, odurzonego już wspinaniem się i śpiewaniem.

Po cichu powtórzył te słowa, starając się przy tym naśladować gardłową, uroczyście nieporadną mowę górala, i poszedł jeszcze trochę ponad szałas, bo pragnął osiągnąć granicę drzew; ale spojrzawszy na zegarek, porzucił ten zamiar.

Skręcił teraz w lewo, w kierunku domu, idąc ścieżką, z początku równą, a potem biegnącą w dół, Ogarnął go wysokopienny las szpilkowy i, krocząc pomiędzy drzewami, zaczął nawet znowu trochę, co prawda ostrożnie, pośpiewywać, mimo że przy schodzeniu kolana drżały mu jeszcze bardziej niepokojąco niż przedtem.

Ale kiedy wyszedł z lasu, przystanął zaskoczony przepiękną scenerią, która otworzyła się przed nim zacisznie zamkniętym krajobrazem i o kojących, a zarazem wspaniałych zarysach.

Po prawej stronie płytkim kamienistym łożyskiem spadał w dół górski potok, spieniony wylewał się na tarasowato układające się bloki skalne i płynął dalej, może spokojniej, w stronę doliny, malowniczo spięty kładką o prymitywnie skleconych poręczach.

Ziemia była niebieska od dzwonek, którymi obsypane były rosnące tu w wielkiej obfitości krzewy. Poważne świerki, równe i olbrzymiego wzrostu, stały samotnie lub w grupach na dnach wąwozu i na jego zboczach, a jeden z nich, ukośnie rosnący na pochyłym brzegu dzikiego strumienia, krzywo i dziwnie wrzynał się w obraz.

Zaciszny szum wody wypełniał to piękne pustkowie.

Hans Castorp spostrzegł ławkę na drugim brzegu strumienia.

Przeszedł przez kładkę i usiadł, aby rozkoszować się widokiem wodospadu, bryzgającej piany i

przysłuchiwać się sielankowo gwarzącemu, monotonnemu, a jednak w treści swej zmiennemu szumowi; bo Hans Castorp lubił szumiące wody tak bardzo jak muzykę, może nawet więcej.

Ale zaledwie rozsiadł się wygodnie, nagle krew tak gwałtownie rzuciła mu się z nosa, że niezupełnie udało mu się uchronić ubranie od zaplamienia.

Krwotok był raptowny, uporczywy, Hans Castorp miał z nim chyba z pół godziny do czynienia, bo musiał ciągle biegać od ławki do potoku i z powrotem, aby przepłukiwać chusteczkę do nosa, wciągać wodę nozdrzami i znowu kłaść się na ławce na wznak, z wilgotną chustką na nosie.

Tak leżał, aż wreszcie krew przestała uchodzić - leżał bez ruchu, ręce miał skrzyżowane pod głową, kolana podniesione, oczy zamknięte, uszy pełne szumu, i nie czuł się źle, raczej ukołysany był obfitym upływem krwi i w stanie dziwnie osłabionej żywotności; bo po wydechu długo nie czuł potrzeby wciągania na nowo powietrza, ale zmartwiały, spokojnie pozwalał sercu uderzyć wiele razy, zanim - po upływie pewnego czasu i leniwie, znowu płytko odetchnął.

I nagle poczuł się przeniesiony w tę dawno minioną sytuację, która była kanwą pewnego snu, osnuł go na najświeższych wrażeniach, snu, który miał kilka dni temu...

Ale tak silnie, tak bez reszty, tak aż do zupełnego zaniku czasu i przestrzeni został porwany tam i wtedy, że można by powiedzieć, iż na górze, na ławce nad wartkim potokiem spoczywa martwe ciało, podczas gdy właściwy Hans Castorp znajduje się daleko, w odległym czasie i miejscu w położeniu, przy całej swej prostocie, ryzykownym i oszałamiającym.

Miał lat trzynaście, był uczniem czwartej klasy chłopcem w krótkich spodenkach, i stał na dziedzińcu szkolnym rozmawiając z kolegą z innej klasy, mniej więcej swoim rówieśnikiem - a rozmowa, którą Hans Castorp rozpoczął dosyć samowolnie i która, mając specjalny i ściśle określony przedmiot, mogła trwać długo, mimo to cieszyła go w najwyższym stopniu.

Było to na dziedzińcu, podczas pauzy pomiędzy przedostatnią a ostatnią godziną, pomiędzy lekcją historii a lekcją rysunków w klasie Hansa Castorpa.

Dziedziniec, wyłożony czerwonym klinkrem, odgradzony był od ulicy murem, pokrytym gąkami i zaopatrzonym w dwie bramy; uczniowie przechadzali się w szeregach tam i z powrotem, w grupkach, na wpół siedząc opierali się o szklane występy murów budynku.

W powietrzu unosił się gwar głosów.

Nauczyciel, w miękkim kapeluszu, Jadł bułkę z szynką, dozorując uczniów.

Chłopiec, z którym rozmawiał Hans Castorp, nazywał się Hippe, a na imię miał Przybysław.

Było rzeczą godną uwagi, że imię to pisało się Prybysław, a "r" w tym słowie należało wymawiać jak "rz", Przybysław.

To dziwaczne imię harmonizowało z jego powierzchownością, niezupełnie przeciętną, wyrażającą w sobie coś obcego.

Hippe, syn historyka nauczyciela gimnazjalnego, a więc notoryczny prymus, rówieśnik niemal Hansa Castorpa, był już od niego o klasę wyżej; pochodził z Meklemburga i był najwidoczniej produktem dawnego skrzyżowania ras, domieszki krwi wendyjsko słowiańskiej do krwi niemieckiej czy też odwrotnie.

Był wprawdzie blondynem - włosy dokoła okrągłej czaszki miał krótko ostrzyżone, ale jego oczy, szaro niebieskie czy niebiesko szare - kolor ich był trochę nieokreślony i składał się z różnych odcieni, niby kolor dalekich gór - miały szczególny, wąski i właściwie trochę nawet skośny wykrój, a tuż pod nimi wystawały mocno rozwinięte kości policzkowe; ten kształt twarzy bynajmniej go nie szpecił, robił raczej miłe wrażenie, ale wystarczał, by koledzy nadali mu przydomek "Kirgiza".

Poza tym Hippe nosił już długie spodnie, a do nich niebieską bluzę, wysoko zapinaną, marszczoną na plecach; jej kołnierz nosił zwykle lekkie ślady łupieżu.



Otóż sprawa miała się tak, że Hans Castorp dawno już zwrócił uwagę na tego Przybysława - jego właśnie wybrał z całego rojowiska znajomych i nieznanym na dziedzińcu szkolnym, nim się interesował, za nim wodził oczami; czyżby podziwiał go?

W każdym razie przypatrywał mu się z wyjątkowym zainteresowaniem i już w drodze do szkoły cieszył się, że będzie go obserwował w gronie jego kolegów, że będzie widział, jak mówi, śmieje się, że z daleka będzie odróżniał jego głos, który był przyjemnie matowy, przytłumiony i trochę zachrypnięty.

Można przyjąć, że to zainteresowanie nie miało dostatecznej podstawy, o ile nie zechciało się uważać za nią pogańskiego imienia, wzorowych postępów w nauce (które jednak na pewno nie mogły zaważyć) albo wreszcie kirgiskich oczu, umiających niekiedy, przy pewnych spojrzeniach z ukosa, których celem nie było widzenie, topnieć jakoś, mętnieć aż do mrocznych tonów nocy.

W każdym razie Hans Castorp niewiele się troszczył o rozumowe uzasadnienie swych uczuć, a już wcale o to, czy należałoby je nazwać, gdyby się to okazało koniecznym.

O przyjaźni wszak nie mogło być mowy, przecież "nie znał" zupełnie Hippego.

Ale po pierwsze nie zachodziła żadna konieczność znalezienia nazwy, bo niemożliwością zgoła było, by rzecz ta stała się kiedykolwiek przedmiotem rozmowy - nie nadawała się do tego i nie potrzebowała tego.

A po wtóre, nazwa jest o ile nie krytyką, to w każdym razie określeniem, to znaczy umieszczeniem w czymś innym i zwyczajnym, a Hans Castorp żywił przecie nieświadome przekonanie, że dobro wewnętrzne, takie jak to, raz na zawsze powinno być zabezpieczone od podobnych określeń i sposobów umieszczenia.

Ale niezależnie od tego, jak były uzasadnione, dobrze czy źle, te uczucia, tak trudne do nazwania i ujęcia w słowa, posiadały taką żywotność, że Hans Castorp nosił się z nimi w cichości już od roku, mniej więcej od roku, bo trudno było dokładnie ustalić ich początek; świadczyło to co najmniej o wierności i stałości jego charakteru, zważywszy jak ogromnym przeciągiem czasu jest rok w jego wieku.

Niestety, wszystkie nazwy cech charakteru kryją w sobie stale jakąś ocenę moralną, bądź w sensie dodatnim, bądź w ujemnym, chociaż każda z tych cech ma zawsze dwie strony.

"Wierność" Hansa Castorpa, którą zresztą bynajmniej się nie chełpił, polegała, mówiąc bez wartościowania,

na pewnej ociężałości, powolności i bezwładności jego usposobienia, na pewnym wrodzonym konserwatyzmie, dzięki któremu uczucia przywiązania i stałości i oparte na nich stosunki z ludźmi wydawały mu się tym godniejsze im dłużej trwały.

Był nawet skłonny do w wieczne trwanie stanów i nastrojów, które zażywał; cenił je dlatego właśnie i nie

zależało mu na odmianie.

Toteż żył się w głębi serca ze swoim cichym i dalekim stosunkiem do Przybysława Hippego i to uważał za

coś w swoim życiu niezmiennego.

Lubił wzruszenia, które się z tym wiązały, pytania, czy go dziś spotka, czy Hippe przejdzie koło niego, czy

może spojrzeć na niego; lubił cichy, delikatny sposób, w jaki spełniały się jego pragnienia, lubił nawet rozczarowania, które przynosiła mu jego tajemnica, z których największe było, gdy Przybysław był "nieobecny" - wtedy dziedzińiec szkolny był pusty, dzień odarty z wszelkiego wdzięku, ale pozostawała

nieustępliwa nadzieja.

Tak było przez rok, do chwili kiedy nadszedł ów awanturniczy punkt kulminacyjny; potem, dzięki stałości

i wierności Hansa Castorpa, trwało to jeszcze jeden rok, aż wreszcie się skończyło; a skończyło się tak, że jak

przedtem nie spostrzegał wciąż zacieśniających się więzów, które go łączyły z Przybysławem Hippe, tak

teraz nie zdawał sobie sprawy z ich rozluźniania się i wreszcie ostatecznego zerwania.

Zresztą Przybysław opuścił szkołę i miasto, ponieważ ojciec jego został przeniesiony, ale na to Hans Castorp prawie nie zwrócił uwagi; zapomniał o nim już przedtem.

Można powiedzieć, że postać "Kirgiza" niepostrzeżenie wypłynęła z mgły i weszła w jego życie, nabierała

coraz większej wyrazistości i uchwytności, iż nadeszła owa chwila największej bliskości i ucieleśnienia,

wtedy na szkolnym dziedzińcu; że przez czas pewien stała na pierwszym planie, a potem stopniowo znów

zaczęła się oddalać i wreszcie rozplynęła się we mgle, bez bólu pożegnania.

A ów śmiały i awanturniczy incydent, owa sytuacja w którą Hans Castorp teraz znowu został przeniesiony,

owa rozmowa, rzeczywista rozmowa z Przybysławem Hippe, miała następujący przebieg. Była to na lekcję rysunków, gdy Hans Castorp spostrzegł nagle, że nie ma ołówka.

Koledzy jego sami potrzebowali swoich ołówków, ale miał przecie w innych klasach znajomych, do których

mógłby się zwrócić o ołówek.

Najlepiej jednak znał Przybysława; Przybysław był mu - jak sądził - najbliższy, bo w przeszłości tak wiele

miał już z nim do czynienia; i w radosnym porywie całej swojej istoty postanowił skorzystać z tej okazji

nazwał to okazją - poprosić Przybysława o ołówek.

Zaślepiiony niezwykłą jakąś beztroską, nie zdawał sobie sprawy ale po prostu nie kłopotał się o to, że będzie to właściwie niecodzienny kawał, bo przecież w rzeczywistości nie znał Hippego.

Chwilę później stał naprawdę przed Przybysławem Hippe, wśród tłoku, na dziedzińcu wyłożonym klinkierem i odezwał się do niego: - Przepraszam, czy możesz pożyczyć mi ołówek?

A Przybysław spojrział na niego swoimi kirgiskimi oczami znad wystających kości policzkowych i powiedział swym miłym, lekko zachrypniętym głosem, nie dziwiąc się wcale, a w każdym razie nie okazując zdziwienia: - Chętnie.

Ale po lekcji musisz mi go koniecznie oddać.

I wyjął z kieszeni swój posrebrzany crayon z obrączką, którą trzeba było pociągnąć w górę, aby z metalowej

osłony wyrósł czerwono polakierowany ołówek.

Objasniał koledze prosty mechanizm ołówka, a ich pochylone głowy zbliżyły się do siebie.

- Ale go nie złam!

- dodał jeszcze.

Jakże on mógł tak myśleć?

Jak gdyby Hans Castorp miał zamiar może nie zwrócić ołówka a nawet z nim się niedbale obchodzić.

Potem spojrzeli na siebie z uśmiechem, a ponieważ wszystko było już powiedziane, odwrócili się najpierw

bokiem do siebie, potem plecami i rozeszli.

To było wszystko.

Ale nigdy w życiu Hans Castorp nie był szczęśliwszy niż podczas tej godziny rysunków, kiedy rysował

ołówkiem Przybysława Hippe, ciesząc się w dodatku myślą, że później wręczy go znowu właścicielowi, co

w sposób niewymuszony i naturalny wynikało ze wszystkiego poprzedzającego.

Odważył się nawet zaostrzyć trochę ołówek, posypały się czerwone ostrużyny, a trzy czy cztery z nich przechowywał później przez cały rok w wewnętrznej szufladzie swego pulpitu.

Nikt z tych, którzy by je znaleźli, nie domyśliłby się, jak doniosłe jest ich znaczenie!

Zwrócenie ołówka odbyło się zupełnie po prostu, co zresztą było po myśli Hansa Castorpa i z czego nawet

był szczególnie dumny - bo przecież przez swoje wewnętrzne obcowanie z Przybysławem był rozpieszczony i mniej wrażliwy.

- Masz - rzekł.

- Bardzo dziękuję.

Przybysław nie odezwał się wcale, tylko sprawdził pobieżnie mechanizm i schował swój crayon do kieszeni.

Potem już nigdy z sobą nie rozmawiali, ale ten jeden raz, dzięki przedsiębiorczości Hansa Castorpa, jednak

się to stało...

Otworzył nagle oczy, oszołomiony głębią swego zapamiętania.

"Zdaje mi się, że coś mi się śniło!

- pomyślał.

- Ach, tak, to był Przybysław.

Już dawno o nim nie myślałem.

Gdzie się podziały te strużyny?

Pulpit jest w domu wuja Tienappla, na strychu.

Muszą być jeszcze w wewnętrznej szufladce z tyłu z lewej strony.

Nigdy ich stamtąd nie wyjmowałem.

Nawet tyle uwagi im nie poświęciłem, żeby je wyrzucić...

To był zupełny Przybysław, jak żywy.

Nigdy bym nie przypuszczał, że go jeszcze kiedyś tak wyraźnie zobaczę.

Jaki on był dziwnie podobny do niej - do tej tu, z sanatorium!

A więc dlatego tak się nią interesuję?

A może też dlatego właśnie tak się nim interesowałem?

Nonsens, zupełny nonsens!

Zresztą, muszę już iść, a nawet jak najprędzej".

Ale nie ruszał się, tylko leżał dalej, rozmyślając i współgrając.

Potem wstał.

"A więc żegnaj.

I dzięki ci"!

- powiedział, uśmiechnął się i łzy napłynęły mu do oczu.

Teraz już chciał puścić się w drogę, ale znów szybko usiadł, mając laskę i kapelusz w rękę, bo widocznie

zauważył, że kolana odmawiają mu posłuszeństwa.

"Hola - pomyślał - wydaje mi się, że to nie Pójdzie tak gładko!

A mam być punktualnie o jedenastej w jadalni na odczycie.

Tutejsze spacerują mają jak widzę, swoje piękne strony, ale i swoje niebezpieczeństwa; tak, tak, ale nie mogę

przecież tutaj stać.

To tylko dlatego, że mnie leżenie trochę obezwładniło, ale się na pewno rozruszam".

I znów spróbował wstać, a że się mocno natężył, więc jakoś się udało.

Bądź co bądź był to żalostny powrót po tak dumnym wymarszu.

Musiał często odpoczywać po drodze bo czuł, jak mu nagle krew odpływa od głowy, zimny pot występuje

mu na czoło i jak nierówne bicie serca zapiera mu oddech.

Z trudem schodził w ten sposób serpentynami ku dolinie; ale kiedy wreszcie znalazł się na dole, w pobliżu

Kurhauzu, doszedł do przekonania, że w żaden sposób nie uda mu się przebyć o własnych siłach drogi

dzielącej go jeszcze od sanatorium; a ponieważ nie było tramwaji a i żadna dorożka jakoś się nie ukazywała, poprosił woźnicę, który z pustymi skrzyniami zjeżdżał na dół w stronę Davos Wsi, ażeby pozwolił mu się przysiąść na wóz.

Jechał tak, oparty o furmana, zwiesiwszy nogi z wozu, kołysząc się i kiwając w półśnie za każdym wstrząśnieniem pojazdu, budząc zdziwienie i współczucie u przechodniów; koło przejazdu kolejowego zszedł na ziemię, zapłacił, nie patrząc za wiele czy też za mało - i na złamanie karku popędził drogą w dół.

- Depechezvous, monsieur!

- powiedział francuski portier.

- La conference de monsieur Krokowski vient de commencer.

(Depechezvous...

- francuskie - Proszę się pośpieszyć, odczyt pana Krokowskiego właśnie się zaczął).

- Hans Castorp rzucił w sieni laskę i kapelusz i pośpiesznie, ale ostrożnie, z językiem między zębami, przecisnął się przez nieco otwarte oszklone drzwi do jadalni, gdzie kuracjusze siedzieli na krzesłach ustawionych rzędami; pod prawą ścianą stał doktor Krokowski, w tużurku, przed nakrytym stolikiem z karafką wody, i przemawiał.

Analiza.

Szczęściem w pobliżu drzwi znalazło się wolne miejsce narożne.

Hans Castorp wśliznął się bokiem i zrobił minę, jak gdyby od początku tam siedział.

Publiczność, z napiętą, świeżą jeszcze uwagą słuchająca doktora Krokowskiego, prawie go nie zauważyła, dobrze, że tak się stało, bo wyglądał okropnie.

Był błąd jak ściana, a ubranie miał zbroczone krwią.

Mógł więc uchodzić za mordercę, który dopiero co dokonał zbrodni.

Oczywiście pani, siedząca przed nim, odwróciła głowę, gdy zajmował miejsce, i obrzuciła go badawczym spojrzeniem wąskich oczu.

Z pewnego rodzaju wzburzeniem poznał, że była to madame Chauchat.

Cóż u licha, czy nie zazna dziś spokoju?

Sądził, że odpocznie tu wreszcie i będzie mógł przyjść trochę do siebie, a tu nagle ta kobieta tuż pod nosem;

może kiedy indziej ucieszyłby go ten przypadek, ale teraz tak był zmęczony i wyczerpany, cóż mogło mu z tego przyjść?

Było to nowe zadanie dla jego serca i, Bóg raczy wiedzieć, może całego odczytu nie da mu spokoju.

Spojrzała na niego zupełnie oczami Przybysława.

Widziała jego twarz i plamy krwi na ubraniu - przyglądała mu się nawet dość bezwzględnie i natarczywie, co zresztą zgodne było z manierami kobiety, która trzaska drzwiami.

Jakże źle się trzymała!

Zupełnie inaczej niż kobiety, z którymi Hans Castorp stykał się w swojej sferze, a które siedziały wyprostowane i, zwracając głowę do sąsiada przy stole, rozmawiały z nim, zaledwie poruszając wargami.

Chauchat siedziała niedbale skulona, plecy miała okrągłe, ramiona zwisające ku przodowi, a głowę przechylała w ten sposób, że w wycięciu jej białej bluzki wyraźnie odznaczały się kręgi karku.

Przybysław także trzymał głowę w ten sposób, ale był wzorowym uczniem, żył zgodnie z nakazami honoru (choć nie to było powodem, dla którego Hans Castorp prosił go o pożyczenie ołówka) - podczas gdy nie ulegało wątpliwości, że niedbala postawa pani Chauchat, trzaskanie drzwiami, nietaktowne przyglądanie mu się - wszystko to było ściśle związane z jej chorobą, a nawet było wyrazem tego braku dyscypliny wewnętrznej i wprost bezgranicznych, chociaż niezbyt godnych szacunku korzyści, jakie nie dawno chwalał pan Albin...

Gdy Hans Castorp patrzył tak na przygarbione plecy pani Chauchat, myśli jego zaczęły się mącić, a wreszcie przestały już być myślami i przedzierzgnęły się w jakieś marzenia, w które jakby z daleka wpadał monotony baryton doktora Krokowskiego z jego charakterystycznym miękkim "r".

Ale wkrótce zaczęła nań oddziaływać cisza panująca na sali i skupienie słuchaczy; ocknął się i rozejrzał wokoło.

Obok niego siedział łysawy pianista; głowę odrzucił w tył i słuchał z otwartymi ustami i skrzyżowanymi na piersiach rękami.

Nieco dalej siedziała nauczycielka, panna Engelhart, z pożądaniem w oczach i ciemnoczerwonymi wypiekami na obu policzkach.

Inne panie, na które spojrzał Hans Castorp, miały również rozpalone twarze: pani Salomon, sąsiadująca z panem Albinem, i pani Magnus, żona piwowara, która traciła biało.

Wyraz twarzy pani Stohr, Siedzącej bardziej w tyle, pełen był tak niekulturalnego rozmarzenia, że rozpacz ogarniała, kiedy się na nią patrzyło, a blada jak z kości słoniowej panna Levi, z przymkniętymi oczami i złożonymi na kolanach rękami, oparta wygodnie o poręcz krzesła, wyglądałaby zupełnie jak martwa, gdyby jej piersi nie falowały tak mocno i równo, że Hansowi Castorpowi przypominała się figura woskowa z ukrytym wewnątrz mechanizmem, którą widział kiedyś w panopticum.

Niektórzy z gości wzniesli do uszu dłonie zwinięte w trąbkę albo przynajmniej markowali ten gest, trzymając ręce trochę poniżej, jak gdyby ich nie donieśli do uszu i w pół ruchu nagle zastygli w skupieniu.

Prokurator Paravant, silnie opalony i pozornie atletycznej budowy, nastawił nawet ucha, ażeby lepiej słyszeć, po czym dał się zawładnąć wymowie doktora Krokowskiego.

O czymże mówił doktor Krokowski?

Jakie zagadnienia poruszał?

Hans Castorp skupił uwagę, aby się zorientować, co mu się nie od razu udało, bo nie słyszał

początku, a potem, zajęty patrzeniem na zgarbione plecy pani Chauchat, stracił wątek.

Chodziło o jakąś potęgę...

o ową potęgę, słowem: o potęgę miłości.

Ma się rozumieć!

Ogólny tytuł cyklu odczytów wymieniał ten temat, a zresztą o czym by miał mówić doktor Krokowski, skoro to właśnie było dziedziną jego badań.

Dla kogoś, kto dotychczas słuchał tylko wykładów związanych z budową okrętów, na przykład o przekładniach i tym podobnych przedmiotach, dziwną było rzeczą słuchać nagle wykładu o miłości. Jakimi drogami dojść można było do tego, żeby w biały dzień omawiać z paniami i panami tak wstydlivy i dyskretny temat?

doktor Krokowski łączył dwa różne sposoby wykładania, styl poetycki ze ściśle naukowym, mówił jednak tonem śpiewnym i wibrującym, co raziło trochę młodego Hansa Castorpa, choć to właśnie zapewne sprawiało, że panie miały rozpalone policzki, a panowie nastawiali uszu.

Słowa "miłość" używał prelegent w sposób nieco chwiejny i nigdy nie było się pewnym jego właściwego sensu, czy ma ona oznaczać coś wzniosłego, czy też namiętność cielesną - przyprawiało to o wrażenie choroby morskiej.

Nigdy w życiu nie słyszał jeszcze Hans Castorp tego słowa tak raz po raz wymawianego jak tu i dzisiaj, a kiedy się zastanowił, zdawało mu się, że on sam dotychczas jeszcze go nie wymawiał ani nie słyszał od innych.

Może się mylił, ale bądź co bądź był zdania, że tak częste powtarzanie nie wychodzi temu słowu na dobre.

odwrotnie, sam jego dźwięk zaczął mu sprawiać przykrość i budzić skojarzenie jakby z rozwodnionym mlekiem, z czymś niebieskawo białym i lepkiem; wrażenie to jeszcze wzrastało przez porównanie z mocnymi określeniami miłości, którymi posługiwał się doktor Krokowski.

Jasne było bowiem, że zacząwszy jak on, można było sobie na wiele pozwolić, nie wyplaszając słuchaczy z audytorium.

Prelegent nie zadowalał się wypowiedzianiem w pewnego rodzaju oszłamiającym rytmie rzeczy powszechnie wiadomych ale zwykle pokrywanych milczeniem; burzył iluzję składając hołd nieubłaganej prawdzie, nie pozostawiał nic z sentymentalnej wiary w godność starości i w anielską czystość dzieciństwa.

Nawet do tużurka nosił zresztą koszulę z miękkim wykładanym kołnierzem, sandały i szare wełniane skarpetki, co nadawało mu wygląd bezkompromisowego idealisty, co wciąż przejmowało poniekąd lękiem Hansa Castorpa. doktor Krokowski wykladał o przerażających formach jakie czasami przybiera miłość, o osobliwych bolesnych i niesamowitych sposobach jej przejawiania, o jej wszechmocy; od czasu do czasu czerpał Przykłady i anegdoty, a nawet czytał wiersze z książek i papierów, rozłożonych przed nim na stole.

Miłość, tak mówił, jest najchwiejniejszym i najbardziej na odchylenia narażonym ze wszystkich naturalnych Popędów człowieka i ma nieprzepartą skłonność do zboczeń i fatalnych perwersji.

Nic w tym dziwnego, że ten potężny bodziec nie jest niczym prostym, i czymś z natury swej bardzo skomplikowanym i co jako całość jest zupełnie normalne, to jednak składa się z samych perwersji.

Ponieważ jednak, ciągnął dalej doktor Krokowski, ponieważ z perwersyjnego charakteru składników słusznie nie chcemy wnosić o nieprawidłowym charakterze całości, jesteśmy więc nieuchronnie zmuszeni całą jej prawidłowość lub przynajmniej część tej prawidłowości przypisać również owym perwersyjnym składnikom.

Jest to postulatem logiki i prelegent prosi słuchaczy, by o tym nie zapominali.

Perwersyjne składniki łączą się często w prawidłową i pożyteczną całość pod wpływem wewnętrznych hamulców i drzemiących w człowieku korygujących czynników, zgodnie z instynktownymi nakazami przyzwoitości i ładu wewnętrznego, które - można by niemal powiedzieć - są poniekąd mieszczańskiej natury.

Ale wyniki tego wyrównawczego i ograniczającego działania, tego nierzadkiego i bądź co bądź bardzo szczęśliwego procesu, nie są przedmiotem (doktor Krokowski dodał to z odcieniem pogardy) zainteresowania lekarza ani myśliciela.

Zdarza się natomiast, że proces ten nie daje zadowalających wyników, nie może i nie powinien ich dać; a któż by śmiał twierdzić - pytał doktor Krokowski - że nie jest to właśnie przypadek szlachetniejszy i bardziej wartościowy pod względem duchowym?

W tym właśnie przypadku oba wspomniane rodzaje sił, zarówno pragnienie miłości, jak i owe przeciwne impulsy, a Przede wszystkim wstyd i odraza, dochodzą do niezwykłego napięcia i roznamiętnienia, przerastającego znacznie zwykłą miarę mieszczańską.

Ta walka, która się toczy w mrokach duszy, sprawia, że zbłąkane popędy nie mogą doznać uciszenia, ubezpieczenia i uobyczajnienia, które zapewniają życiu miłosnemu harmonię i zgodność z obowiązującymi przepisami.

Jakiż jest wynik zmagania się potęgi czystości z potęgą miłości - bo o takie właśnie zmaganie chodzi? Na pozór kończy się zwycięstwem czyli bojaźń, dobre wychowanie, cnotliwy wstręt, ważna potrzeba czystości tłumią miłość i trzymają w mroku, dopuszczając do świadomości i otwartego działania najwyżej drobne ułamki jej niejasnych dążeń, z pominięciem głównego nurtu jej potęgi i różnorodności.

To zwycięstwo czystości jest jednak pozornym tylko i pyrrusowym zwycięstwem, bo oznaki miłości nie dają się spętać ni zgwałcić, a stłumiona miłość nie umiera, lecz żyje, w ciemności i w głębokim ukryciu dąży nadal do spełnienia się, kruszy więzy czystości i zjawia się znowu, choć zmieniona nie do poznania...

Jakaż więc jest ta nowa postać i maska, pod którą powraca odepchnięta i stłumiona miłość? doktor Krokowski rzucił to pytanie i rozejrzał się po szeregach słuchaczy, jak gdyby naprawdę oczekiwał od nich odpowiedzi.

Ale choć tyle już powiedział, musiał jeszcze i to sam powiedzieć.

Nikt prócz niego nie znał odpowiedzi, ale widać było, że on zna ją na pewno.

Ze swymi błyszczącymi oczami woskowo blade i z czarną brodą, w mniszach sandałach na szarych wełnianych skarpetkach, zdawał się sam być ucieleśnieniem zaciętej walki pomiędzy czystością a namiętnością.

Tak przynajmniej zdawało się Hansowi Castorpowi, który jak wszyscy inni, z największym napięciem oczekiwał wyjaśnienia, jaką postać przybiera odepchnięta miłość.

Panie wstrzymywały oddech.

Prokurator Paravant jeszcze raz nastawił ucha, przygotowując się w ten sposób do rozstrzygającego momentu, a doktor Krokowski powiedział: - postać choroby!

Symptomy choroby są zamaskowanymi przejawami miłości, a każda choroba jest przekształconą miłością.

A więc słuchacze znali już odpowiedź, chociaż, co prawda, nie wszyscy umieli ją w całości ocenić.

Westchnienie przeszło przez salę.

Prokurator Paravant przytakiwał głową z uznaniem, a doktor Krokowski rozwijał dalej swoją tezę. Hans Castorp przechylił głowę na bok, aby namyślić się nad tym, co usłyszał i stwierdzić, czy dobrze rozumiał.

Brak mu było wprawy w śledzeniu tego rodzaju wywodów, a Poza tym bystrość jego myśli przytępiona była wskutek przykrego wypadku na spacerze, trudno mu więc było się skupić. Toteż rychło uwagę jego ściągnęły na siebie plecy, które miał przed oczami, i ręka, która podniosła się w górę i sięgnęła w tył, aby podtrzymać warkocze. Było to trochę żenujące, mieć tę rękę tak blisko swoich oczu - chcąc nie chcąc trzeba się było jej przypatrywać, badać jej braki i ludzkie przywary, jak gdyby oglądało się ją przez szkło powiększające. Nie, nic nie było arystokratycznego w tej szerokiej ręce uczennicy, z byle jak obciętymi paznokciami, nie miało się nawet pewności, czy końce palców są zupełnie czyste, a skórka koło paznokci miała na sobie niewątpliwe ślady obgryzania. Hans Castorp skrzywił się, ale nie odwrócił wzroku od ręki Madame Chauchat; mętnie i niewyraźnie przeszło mu przez myśl to, co doktor Krokowski mówił o mieszczańskim oporze, na jaki natrafia miłość...

Ramię było ładniejsze, to miękko ku tyłowi głowy wygięte ramię, prawie nie osłonięte, bo rękawy były z cieńszego materiału niż bluzka - z najłżejszej gazy, która zdawała się tylko opromieniać ramię i czyniła je zapewne piękniejszym, niż byłoby bez żadnej osłony. Było jednocześnie delikatne i pełne - i chłodne, tak przynajmniej można było domyślać się. W stosunku do tego ramienia nie mogło być mowy o żadnym mieszczańskim oporze. Hans Castorp marzył, wpatrzony w ramię pani Chauchat. Jakżeż się te kobiety ubierają! Pokazują to i owo ze swego karku, ze swych piersi, okrywają ramiona przezroczystą gazą... Tak czynią na tym świecie, aby budzić naszą tęsknotę, nasze pragnienie. Mój Boże, jak piękne jest życie! Piękne właśnie dzięki takim codziennym i prostym drobiazgom. Piękne, że kobiety ubierają się kusząco; bo przecież to zupełnie proste i tak ogólnie przyjęte i uznane że człowiek, nie zdając sobie z tego sprawy, akceptuje to nieświadomie i bez protestu. Ale, mówił Hans Castorp, należy zwracać na to uwagę, aby cieszyć się życiem, i uprzytomnić sobie, że ta w gruncie rzeczy niemal bajeczna instytucja darzy człowieka szczęściem. Rozumie się samo przez się, że jest w tym jakiś głębszy cel, dla którego wolno kobietom ubierać się bajecznie i w sposób uszczęśliwiający, wykraczając przeciwko przyzwoitości; chodzi o przyszłe pokolenie, o utrzymanie gatunku ludzkiego, naturalnie. Ale jeżeli kobietę toczy jakaś wewnętrzna choroba, tak że się wcale na matkę nie nadaje - co wtedy? Czy i wtedy ma sens, że nosi rękawy z przezroczystej gazy i chce zaciekawiać mężczyzn swym ciałem swym chorym ciałem? przecież nie ma żadnego sensu i powinno właściwie być uważane za nieprzystojne i zostać zabronione, Bo interesowanie się chorą kobietą jest ze strony mężczyzny na pewno nie mniej nierozsądne niż dawne skryte uczucie Hansa Castorpa dla Przybysława Hippego. Głupie porównanie, przykre wspomnienie, ale wypłynęło samo, nie przywoływane przez niego. W tym miejscu zresztą przestał snuć wątek swych rozmyślań i marzeń, głównie dlatego, iż znowu zaczął przysłuchiwać się doktorowi Krokowskiemu, który wyraźnie podniósł głos. Stał za stolikiem, z rozpostartymi ramionami i przechyloną na ramię głową, i naprawdę pomimo swego tużurka wyglądał prawie jak Pan Jezus na krzyżu! Okazało się, że doktor Krokowski kończył swój odczyt wielką propagandą metody analizy duszy i z otwartymi ramionami przywoływał wszystkich ku sobie. Pójdźcie do mnie wszyscy - mówił innymi słowami - którzyście utrudzeni i obciążeni.



- I nie Pozwalał wątpić nikomu, że uważa wszystkich za uwiedzonych i obciążonych. Mówił o ukrytym cierpieniu, o wstydzie i smutku, o wyzwalających skutkach analizy; unosił się nad prześwietlaniem sfery nieświadomości, tłumaczył, jak choroba może się znowu przekształcić w uczucie, które sobie uświadomiliśmy!

Zachęcał do ufności, obiecywał powrót do zdrowia.

Potem opuścił ręce, wznosił głowę, zebrał druki, które mu służyły podczas wykładu, i przyciskając lewą ręką, całkiem jak nauczyciel, do ramienia, dumnym krokiem opuścił salę.

Wszyscy powstali z miejsc, szurając krzesłami, i poczęli wychodzić przez te same drzwi, którymi wyszedł doktor.

Wyglądało to tak, jak gdyby dążyli za nim koncentrycznie, ze wszystkich stron, z wahaniem, ale bezwolnie i w tępej jednomyślności, jak gromada szczerów za swym łowcą.

Hans Castorp stał wśród odchodzących, z ręką opartą na poręczy krzesła.

"Jestem tutaj tylko z wizytą - pomyślał - jestem zdrowy i, dzięki Bogu, mnie to wszystko wcale nie dotyczy, a do następnego odczytu już mnie tu nie będzie".

Widział, jak wychodziła pani Chauchat, skradającym się krokiem, z pochyloną ku przodowi głową.

Czy i ona poddaje się analizie?

- myślał i serce zabiło mu żywiej...

Nie spostrzegł przy tym, że Joachim szedł doń pomiędzy krzesłami, i wzdrygnął się nerwowo, gdy usłyszał głos kuzyna: - Przeszedłeś w ostatniej chwili - rzekł Joachim.

- Czy byłeś daleko?

Jak ci się spacer udał?

- O, było bardzo przyjemnie - odparł Hans Castorp.

- Owszem, byłem dosyć daleko.

Ale muszę przyznać, że ta przechadzka nie posłużyła mi tak, jak się spodziewałem.

Może za wcześnie ją zaryzykowałem, albo może w ogóle nie powinienem był tyle chodzić.

Na razie tego nie powtórzę.

Joachim nie pytał, czy mu się podobał odczyt, Hans Castorp również nie objawiał swego zdania w tej sprawie.

I później, jak gdyby się umówili, ani słowem nie wspomnieli o tym odczycie.

Wątpliwości i rozwiązania.

We wtorek minął tydzień, odkąd nasz bohater zamieszkał tutaj, u tych w górze.

Kiedy wrócił z porannego spaceru, zastał w swoim pokoju rachunek, pierwszy tygodniowy rachunek, precyzyjnie sporządzony dokument kupiecki, zamknięty w zielonkawej kopercie. Koperta ozdobiona była rysunkiem (widniała na niej niezmiernie zachęcająca podobizna sanatorium), a po lewej stronie, w wąskiej kolumnie figurowały wyjątki z prospektu, między innymi rozstawnym drukiem wspomniane były tam również "zabiegi psychiczne według najnowszych metod".

Kaligraficznie wypisane pozycje wynosiły prawie dokładnie 180 franków: utrzymanie wraz z opieką lekarską kosztowało 12 franków dziennie; pokój - 8 franków; 10 franków wynosiło "wpisowe", 10 franków dezynfekcja pokoju, a drobne dodatki, za pościel, piwo i wino podane do pierwszej kolacji, zaokrąglają sumę.

Hans Castorp, przeglądając w obecności Joachima rachunek, nie miał nic do zarzucenia.

- Tak, z opieki lekarskiej właściwie nie korzystam, ale to już moja prywatna sprawa; opieka jest wliczona do cen pensjonatu i nie mogę wymagać, ażeby ją odliczano; zresztą nie dałoby się to zrobić. Na dezynfekcji zarabiają nieźle, bo nie mogli przecież zużyć H<sub>2</sub>CO aż za dziesięć franków, aby wykurzyć stąd Amerykankę, ale na ogół muszę przyznać, że wobec tego, co tu człowiekowi dają,

wszystko razem wydaje mi się raczej tanie niż drogie.

- Tak więc udali się przed drugim śniadaniem do Zarządu, aby uregulować należność.

Zarząd znajdował się na parterze.

Idąc sienią obok hallu, toalet i pokojów kredensowych, nie można było nie znaleźć drzwi, tym bardziej że widniała na nich porcelanowa tabliczka z odpowiednim napisem.

Hans Castorp z zaciekawieniem uzyskał tam pewien wgląd w agendy handlowego centrum zakładu. Było to prawdziwie małe biuro: typistka pisała na maszynie, trzech urzędników siedziało pochylonych nad pulpitemi, a w przyległym pokoju za biurkiem, stojącym pośrodku, siedział poważny pan o wyglądzie szefa lub dyrektora i spoza okularów rzucał na klientów zimne i badawcze spojrzenia.

Przy okienku przyjęto od nich pieniądze, wydano resztę i pokwitowano, oni zachowywali się przy tym poważnie i skromnie, nieomal pokornie.

Tak zwykle postępują nłodzi Niemcy, wnosząc do każdego biura szacunek dla władzy i urzędu.

Ale za drzwiami, w drodze na śniadanie, a i później w ciągu dnia rozmawiali trochę o administracyjnej stronie "Berghofu", a Joachim jako tutejszy i obznajomiony z panującymi stosunkami, odpowiadał na pytania kuzyna.

Radca Behrens nie był bynajmniej właścicielem zakładu, chociaż mogło się tak wydawać.

Ponad nim i Poza nim kryły się niewidoczne potęgi, manifestuje się właśnie do pewnego stopnia tylko za pośrednictwem biura: była tam rada nadzorcza i spółka akcyjna, do której pewno warto było należeć, bo jak zapewniał Joachim, pomimo wysokiego wynagrodzenia lekarzy i najliberalniejszych zasad gospodarczych, corocznie mogła rozdzielać soczystą dywidendę między swych członków.

Radca nie był więc człowiekiem Należnym, lecz tylko urzędnikiem, funkcjonariuszem, stojącym blisko kierujących potęg, oczywiście pierwszym i najwyższym; był duszą wszystkiego, wywierał decydujący wpływ na całą organizację, nie wyłączając intendenty, chociaż jako lekarz naczelny nie był obowiązany zajmować się handlową częścią instytucji.

Pochodził z północno zachodnich Niemiec i, jak było wiadomo, wbrew swoim pierwotnym zamiarom i planom życiowym objął przed laty stanowisko.

Przyjechał tutaj towarzysząc swojej żonie, której prochy od dawna spoczywały na cmentarzu w Davos Wsi

- tym malowniczym cmentarzu na zboczu gór po prawej stronie, blisko początku doliny.

Była to pełna wdzięku kobieta, chociaż asteniczna i z nazbyt wielkimi oczami, jak można było wnosić z fotografii, rozrzuconych po całym służbowym mieszkaniu radcy Behrensa, a również z portretów olejnych, zdobiących tam ściany a malowanych jego ręką amatora.

Po urodzeniu dwojga dzieci, córki i syna, jej wychudzone i wycieńczone gorączką ciało wciągnięto tutaj na górę, gdzie po upływie kilku miesięcy zmarła.

Opowiadają, że Behrensa, który ubóstwiał swoją żonę, niezwykle boleśnie dotknął ten cios: popadł na pewien czas w melancholię, zdziwaczał i na ulicy zwracał na siebie uwagę gestykulacją, śmiechem i gadaniem do siebie.

Nie wrócił już potem do swojego poprzedniego miejsca pobytu, ale pozostał tu w górze: z pewnością także dlatego, że nie chciał oddalić się od grobu żony; decydującym był jednak ten mniej sentymentalny powód, że i jemu samemu coś niecoś się udzieliło i że, według jego własnego naukowego poglądu, Davos było dla niego wskazane.

Osiadł więc tutaj jako jeden z lekarzy, a za razem towarzyszy niedoli swych pacjentów; lecz chorobę, na którą sami cierpią, nie zwalczają lekarze ze swobodną obiektywnością człowieka dotkniętego tym samym złem.

Jest to szczególny i bynajmniej nie odosobniony wypadek, który na pewno ma swoje dobre strony, choć nasuwa też pewne wątpliwości.

Koleżeństwo lekarza z pacjentem jest pożądanym zjawiskiem i trzeba się z tym zgodzić, że człowiek cierpiący może być przewodnikiem wybawcą cierpiących.

Czy jednak jest możliwe, że ktoś panował duchowo nad potęgą, do której niewolników sam należy?

Czy może wyswobadzać spod tej władzy ktoś, kto sam jej ulega?

Chory lekarz będzie zawsze paradoksem dla prostego sposobu odczuwania, będzie zjawiskiem problematycznym.

Bo Oświadczenie raczej chyba mąci i przyćmiewa jego teoretyczną znajomość choroby, aniżeli ją wzbogaca i moralnie umacnia.

Chory lekarz nie spogląda cierpieniu w oczy jako śmiały i bezstronny przeciwnik, i jego stanowisko nie jest całkiem jednoznaczne; i należy zapytać, naturalnie z zachowaniem wszelkiej wskazanej ostrożności, czy człowiekowi, który sam jest chory, może na uzdrowieniu lub chociażby na uchronieniu innych od choroby zależeć w ten sposób, w jaki zależy na tym zdrowemu...

Takim i podobnym wątpliwościom i rozważaniom dawał wyraz Hans Castorp gawędząc z Joachimem o

"Berghofie" i jego naczelnym lekarzu, ale Joachim zauważył, że bynajmniej nie wiadomo, czy radca Behrens

jest jeszcze do dziś dnia pacjentem, że prawdopodobnie jest już od dawna wyleczony.

Dużo już czasu minęło, od kiedy zaczął tu praktykować, przez pewien czas na własną rękę, i szybko dał się

poznać jako doskonały auskultator i specjalista od pneumologii.

Później został zaangażowany do "Berghofu", zakładu, w którym pozostaje od blisko dziesięciu lat.

Mieszkanie jego znajduje się tam, z tyłu przy końcu północnozachodniego skrzydła (w pobliżu

mieSzka doktor Krokowski), a niewielkie gospodarstwo prowadzi mu owa starsza siostra, szlachta z

pochozenia, o której Settembrini wyrażał się tak szyderczo, a z którą Hans Castorp jak dotąd tylko przelotnie się zetknął.

Poza tym radca dworu jest bardzo osamotniony, bo syn jego studiuje na uniwersytetach niemieckich, a

córka jest już zamężna.

Jej mąż jest adwokatem, mieszkają we francuskiej Szwajcarii.

Młody Behrens odwiedza czasami ojca w ciągu wakacji; tak się już raz zdarzyło podczas pobytu Joachima.

I Joachim dodał, że panie w sanatorium żyją wtedy w stanie wielkiego podniecenia, temperatury skaczą w

góre, drobne zazdrostki wywołują kłótnie i spory na leżalniach, a w ambulatorium doktora Krokowskiego

panuje wielki natłok.

Asystent przyjmował w specjalnym pokoju, położonym w jasnych suterrenach zakładu, obok wielkiego

pokoju przyjęć, laboratorium, sali operacyjnej i binetu do prześwietlań.

Mówi się tu "sutereny", kamienne schody, którymi schodziło się do nich z parteru, rzeczywiście budziły

przekonanie, że prowadzą do piwnicy - co jednak polegało całkowicie niemal na złudzeniu, bo po pierwsze, parter położony był dość wysoko, a, po drugie, sanatorium jest w całości zbudowane na pochyłym terenie, na zboczu góry, tak więc okna "suterren" wychodzą na ogród i dolinę; okoliczności te krzyżowały poniekąd działanie schodów i pozbawiały je właściwego im znaczenia; człowiek bowiem sądził, że po ich stopniach schodzi niżej powierzchni ziemi, ale, będąc już na dole, ciągle jeszcze znajdował się na równi z jej powierzchnią lub tylko o kilka stóp poniżej.

Hans Castorp doznał tego zabawnego wrażenia, schodząc pewnego popołudnia w te dolne regiony z Joachimem, który szedł się zważyć u kąpielowego.

Panowała tu kliniczna czystość i jasność, wszystko było wymalowane na biało, nie wyłączając drzwi,

między innymi drzwi prowadzących do pokoju przyjęć doktora Krokowskiego.

Na drzwiach tych, do których schodziło się z korytarza po dwóch stopniach, widniał bilet wizytowy uczonego, przymocowany za pomocą Pluskiewki.

Wejście to położone było na prawo od schodów i Hans Castorp, gdy spacerując po korytarzu czekał na

Joachima, miał je na oku.

Zobaczył jak wyszła stamtąd pewna pani, drobna, z loczkami na czole i ze złotymi kolczykami w uszach,

nie znał jeszcze nazwiska tej niedawno przybyłej kuracjuszki.

Wchodząc na schody, pochylała się silnie ku przodowi, jedną ręką ujęła suknię, a drugą, zdobną w pierścionki, przyciskała do ust chusteczkę, błędnie spoglądała sponad niej wielkimi, wyblakłymi i przestraszonymi oczami.

Spieszyła drobnymi kroczkami, szeleszcząc przy tym halką, ku schodom, potem nagle zatrzymała się w

miejscu, jak gdyby namyślając się nad czymś, i znów pobiegła drobnymi kroczkami, by zniknąć w klatce

schodowej, ciągle schylona i nie odejmując chusteczki od ust.

Kiedy wychodząc z pokoju doktora Krokowskiego otworzyła drzwi, Hans Castorp zauważył, że poza nimi

było znacznie ciemniej niż na białym korytarzu: widocznie tylko do tego progu sięgała kliniczna jasność

tych dolnych pomieszczeń.

W analitycznym gabinecie doktora Krokowskiego panowało przyciemnione półświatło, głęboki mrok.

Rozmowy przy stole.

Hans Castorp czuł się w barwnej sali jadalnej trochę zażenowany z powodu lekkiego trzęsienia się głowy, które pozostało mu od czasu owego samowolnego spaceru.

Zwłaszcza przy stole podczas jedzenia głowa prawie zawsze zaczynała mu drżeć, jak niegdyś jego dziadkowi, i nie potrafił opanować i ukryć tego.

Walcząc z tym niedomaganiem, opierał podbródek o kołnierzyk, ale to nie na długo się udawało; starał się

więc utrzymywać głowę w ciągłym ruchu, zwracając się do sąsiada to z prawej, to z lewej strony, albo też, podnosząc łyżkę do ust, przyciskał mocno lewą rękę do stołu, albo wreszcie w przerwach pomiędzy poszczególnymi potrawami opierał łokieć o stół, a głowę na dłoni, choć dobrze zdawał sobie sprawę, że takie zachowanie się jest prostackie i że można pozwolić sobie na nie od biedy jedynie w towarzystwie złożonym z ludzi chorych.

To wszystko razem było niezmiernie przykre i obrzydliło mu nieomal posiłki, które poza tym cenił bardzo wysoko, ponieważ łączyły się z pewnym napięciem i dostarczały widoku pewnych osobliwości. Rzecz jednak miała się tak - i Hans Castorp wiedział o tym również dobrze - że przyczyny tego krępującego zjawiska, z którym musiał walczyć, nie były natury wyłącznie cielesnej - że nie można go było wytłumaczyć jedynie działaniem tutejszego powietrza i trudnością zaaklimatyzowania się; zjawisko było wyrazem jego wewnętrznego niepokoju, związanym bezpośrednio z owym napięciem i z owymi osobliwościami. Madame Chauchat spóźniała się prawie zawsze do stołu.

Dopóki nie nadeszła, Hans Castorp siedząc nie mógł utrzymać nóg w spokoju, bo wciąż czekał na trzaśnięcie oszklonych drzwi, które nieodmiennie towarzyszyło jej wejściu, i wiedział, że przejdzie go przy tym dreszcz i że krew odpłynie mu z twarzy, co się też zawsze zdarzało.

Z początku odwracał gniewnie głowę, odprowadzał oczami źle wychowaną maruderkę, aż do jej miejsca przy "lepszym stole rosyjskim" - i rzucał na nią półgłosem przez zęby jakieś wyzwisko, jako wyraz oburzenia i potępienia, obecnie zaniechał już tego, ale pochylał głowę nisko nad talerzem i zagryzał wargi albo z rozmysłem i afektacją odwracał ją w przeciwną stronę.

Miał bowiem uczucie, że nie wypada mu się już teraz gniewać, że nie ma do tego prawa, że nawet jest współwinny temu uchybieniu i poniekąd odpowiedzialny za nie przed innymi - słowem, wstydził się, że byłoby nieścistością twierdzić, że wstydził się za panią Chauchat; wstydził się sam, osobiście przed towarzystwem, czego mógł sobie zresztą śmiało oszczędzić, bo nikt na sali nie troszczył się ani o brzydki zwyczaj pani Chauchat, ani o wstyd, jaki z tego powodu odczuwał Hans Castorp - nikt, z wyjątkiem może jednej panny Engelhart, nauczycielki, siedzącej po Jego prawej ręce.

I niepozorna istota pojęła, że wrażliwość jej młodego sąsiada na trzaskanie drzwiami zrodziła pewien nowy stosunek jego do Rosjanki, skoro taki stosunek w ogóle istniał, nie było rzeczą Ważną, jakiego był właściwie rodzaju, i wreszcie Jego udana - a w braku wszelkiej wprawy i wszelkiego talentu aktorskiego źle udana

obojętność nie jest osłabieniem, lecz przeciwnie, wzmocnieniem, wyższą fazą napięcia uczuciowego. Bez pretensji i nadziei w odniesieniu do swej własnej osoby, panna Engelhart, pełna abnegacji, nie przestanie zachwycać się panią Chauchat i wychwalać jej przed Hansem Castorpem, a najdziwniejsze było przede wszystkim, że Hans Castorp, choć nie od razu, ale po pewnym czasie zrozumiał jednak i dostrzegł, że gadanina ta zmierza do rozpalenia jego namiętności; budziło to w nim obrzydzenie, ale pomimo to chętnie pozwalał wpływać na siebie i uwodzić się.

- Trach!

- mówiła starsza panna.

- Oto ona.

Nie potrzeba podnosić głowy, żeby się domyślić, kto też wszedł teraz.

Naturalnie, już tam przechodzi, a z jaką gracją - zupełnie jak kotka skradająca się do miski z mlekiem. Chciałabym zamienić się z panem na miejsce, żeby pan mógł tak wygodnie jak ja przyglądać się tej pani.

Pojmuję doskonale, że pan nie może ciągle odwracać się za nią - Bóg wie, co by w końcu mogła sobie wyobrazić, gdyby to zauważyła...

Teraz wita się ze swoimi rodakami...

Niech pan jednak spojrzy, to tak rozkosznie przyglądać się Jej Kiedy się uśmiecha i rozmawia, jak w tej chwili, ma dołeczek w jednym policzku, ale nie zawsze, tylko wtedy, kiedy chce.

To cudo, nie kobieta; rozpieszczone stworzenie i stąd płynie jej nonszalancja.

Takich ludzi musi się kochać, czy się chce, czy nie chce, jeśli nawet drażni kogoś ich nonszalancja, to jest tylko jeden powód więcej, żeby ich lubić.

To jest przyjemnie złościć się, a jednak musieć kochać...

Tak szeptała nauczycielka, zakrywając sobie usta lewą ręką, żeby nie być słyszaną przez innych, a wypieki na jej staropanieńskich policzkach świadczyły, że ma podwyższoną temperaturę; jej lubieżna paplanina przejmowała do szpiku kości biednego Hansa Castorpa.

Pewien brak samodzielności w sądach stworzył w nim potrzebę usłyszenia od kogoś trzeciego, że Madame Chauchat jest zachwycającą kobietą, a potem młodzieniec pragnął, żeby ktoś z zewnątrz ośmielił go do żywienia uczuć, przeciwko którym protestował energicznie jego rozsądek i jego sumienie.

Rozmowy te nie dawały zresztą żadnego rzeczowego wyniku, bo pomimo najlepszych chęci panna Engelhart nie umiała o pani Chauchat powiedzieć nic lepszego, nic więcej niż ktokolwiek inny w sanatorium.

Nie знаła jej osobiście, nie mogła się nawet pochwalić wspólnymi znajomymi, a jedyną rzeczą, którą mogła zaimponować Hansowi Castorpowi, był fakt, że ona sama, panna Engelhart, pochodzi z Królewca, więc z miasta leżącego niedaleko granicy rosyjskiej, i że umie kilka słów po rosyjsku.

Były to niezbyt wielkie wartości, ale Hans Castorp gotów był dostrzegać w nich coś w rodzaju dalekiej osobistej łączności z panią Chauchat.

- Nie nosi żadnych pierścionków - rzekł - nawet obrączki, jak widzę.

Jakżesz to, przecie pani mówiła, że ma męża?

- Nauczycielka zmieszała się, jak gdyby została na czymś przyłapana i musiała się tłumaczyć, bo tak bardzo odpowiedzialna za panią Chauchat czuła się przed Hansem Castorpem.

Nie należy do tego przywiązywać takiej wagi - argumentowała.

Na pewno jest mężatką, to nie ulega żadnej wątpliwości.

Nie dlatego nazywa się Madame, by nadać sobie powagi, jak to czynią zagraniczne kobiety, kiedy posuną się trochę w latach, bo my wszyscy tutaj wiemy, że rzeczywiście ma gdzieś w Rosji męża i to jest tu powszechnie wiadome.

Jej panięskie nazwisko brzmi inaczej, jest to nazwisko rosyjskie nie francuskie, kończy się na -anow czy -ukow, Kiedyś wiedziałam, ale znowu zapomniałam; jeśli Pan chce mogę się dowiedzieć; na pewno znajdą tutaj się tacy, którzy znają to nazwisko.

Pierścionek?

nie nosi żadnego pierścionka, ja także to zauważyłam.

Mój Boże, może jej ręka wyglądałaby przy tym Niekorzystnie, może zbyt szeroko, a może uważa noszenie obrączki - takiego gładkiego pierścienia - za zwyczaj drobnomieszczański...

Brakowało jeszcze koszyczka na klucze...

nie, na takie rzeczy ma chyba zbyt szeroką naturę.

Znam te rosyjskie kobiety, one wszystkie mają w charakterze coś swobodnego i szerokiego. A poza tym taki pierścionek działa wprost odstrasza i otrzeźwiająco, jest przecie symbolem podległości, powiedziałabym nadaje kobiecie jakichś cech mniszki, czyni z niej prawdziwy kwiatek noli tangere. (Noli tangere - łacińskie - "nie dotykaj" roślina z rodziny balsaminowatych).

Nie dziwi mnie wcale, że to nie jest po myśli pani Chauchat... urocza kobieta, w rozkwicie młodości...

Prawdopodobnie nie ma ochoty i nie widzi potrzeby, żeby każdemu panu, któremu podaje rękę, dać zaraz odczuć, że jest związana małżeństwem.

Wielki Boże, jak się ta nauczycielka zabierała do rzeczy!

Hans Castorp patrzył na nią przerażony, odparowywała jego spojrzenie z jakimś dzikim zmieszaniem.

Potem oboje milczeli przez chwilę, aby trochę odpocząć.

Hans Castorp jadł i starał się ukryć drżenie głowy.

Wreszcie odezwał się: - A jej mąż?

Czy wcale nie troszczy się o nią, Czy nigdy nie odwiedza jej tutaj w górze?

Kim on jest właściwie?

- Jest urzędnikiem, rosyjskim urzędnikiem administracyjnym w jakiejś bardzo odległej guberni w Dagestanie; wie pan, to leży daleko na wschód od Kaukazu, tam jest odkomenderowany. Nie powiedziałam panu przecież, że nikt go tu jeszcze nie oglądał, ona siedzi tu znowu już trzeci miesiąc.

- Więc nie jest tutaj po raz pierwszy?

- O nie, już po raz trzeci.

A w przerwach bawi znowu gdzie indziej, w podobnych zakładach.

I ma się odwrotnie, bo to ona jego odwiedza czasami, ale nieczęsto, raz do roku na pewien przeciąg czasu. Można powiedzieć, że oni żyją każde z osobna, a ona odwiedza go czasami.

- No tak, skoro jest chora...

- Na pewno jest chora.

Ale jednak nie tak.

Jeszcze nie tak bardzo chora, żeby musiała wprost mieszkać stale w sanatorium i być rozłączona z mężem.

To musi mieć jeszcze inne, głębsze powody - tak tutaj wszyscy przypuszczają.

Może nie podoba jej się w Dagestanie, za Kaukazem, w tej odległej i dzikiej krainie, nie można by się temu dziwić.

Ale trochę musi przecież być w tym i winy męża, że jej się u niego tak bardzo nie podoba. Nosi on wprawdzie nazwisko francuskie, ale jednak jest rosyjskim urzędnikiem, i to są bardzo nieokrzesani ludzie, może mi pan wierzyć.

Widziałam kiedyś jednego z nich, miał takie czarniawe baczki i taki czerwony był na twarzy...

Wszyscy biorą łąpówki i bardzo lubią wódkę...

Tylko dla przyzwoitości każą sobie podać coś do jedzenia, parę grzybków w marynacie albo kawałek jesiotra, piją przy tym wprost niemiłosiernie.

I to nazywają przekąską...

- Pani wszystko spycha na niego - powiedział Hans Castorp.

- Nie wiemy jednak, czy to może nie jest jej wina, że źle żyją z sobą.

Należy być sprawiedliwym.

Kiedy się jej przyglądam i temu jej brzydkiemu zwyczajowi trzaskania drzwiami...

nie uważam jej za anioła; proszę mi tego nie brać za złe, nie mam do niej najmniejszego zaufania.

Ale pani nie jest bezstronna, pani jest w najwyższym stopniu zaślepiona...

Hans Castorp grał czasem taką komedię.

Z przezornością, która właściwie nie leżała w jego charakterze, udawał, że zachwyty panny Engelhart nad panią Chauchat nie miały na względzie celu, który, jak - wiedział, właśnie miały, ale że były zjawiskiem zupełnie samoistnym i zabawnym, dzięki czemu Castorp mógł z wyżyny swego obiektywnego stanowiska traktować rzecz z humorem i przekomarzał się trochę ze starszą panną.

Nic przy tym nie ryzykował, bo miał pewność, że jego partnerka pozwoli na to zuchwałe odwrócenie i nie ośmieli się protestować.

- Dzień dobry!

- mówił.

- Jak pani spała?

Mam nadzieję, że śniła pani o swej pięknej Madame.

Ach, jak się pani zaraz czerwieni, kiedy tylko o niej wspomnieć!

Pani jest w niej zakochana po uszy; niech już pani lepiej nie przeczy!

Nauczycielka, która się rzeczywiście zarumieniła i pochyliła niżej nad swoją filiżanką, szepnęła ledwie kącikiem ust: - Ależ nie, gdzie tam!

To brzydko z pana strony, że pan mnie wprowadza w takie zakłopotanie swoimi aluzjami. Już wszyscy zauważyli, że my się nią specjalnie interesujemy i że pan mówi rzeczy, od których muszę się rumienić...



Dziwną grę prowadzili ci dwoje.

Oboje wiedzieli, że kłamią podwójnie, a nawet potrójnie, że Castorp drażni nauczycielkę panią Chauchat tylko po to, żeby móc o niej mówić, ale jednocześnie znajdował jakieś niezdrowe i pośrednie zadowolenie w żartowaniu z tą podstarzałą panną, która ze swej strony zgadzała się na to: po pierwsze dlatego, że upodobała sobie rolę stręczycielki; po drugie dlatego, iż chcąc się przypodobać młodemu człowiekowi, rzeczywiście zadurzyła się trochę w pani Chauchat; miała wreszcie swoją mizerną przyjemność w tym, że się z nią przekomarzał i wywoływał rumieńce na twarzy.

Oboje wiedzieli to o sobie i o swoim partnerze i wiedzieli także, że każde z nich wiedziało o sobie i o drugiej stronie, i wszystko to razem było bardzo powikłane i nieczyste.

Ale chociaż Castorp na ogół czuł wstręt do powikłanych i nieczystych sytuacji, a także w tym wypadku odczuwał wstręt, to jednak w dalszym ciągu nurzał się w tym mętnym żywiole, mówiąc sobie dla uspokojenia, że przyjechał przecież tutaj na górę tylko z wizytą, wkrótce już stąd odjedzie.

Ze sztuczną rzeczowością rozwodził się, przybierając minę znawcy, nad powierzchownością tej "nonszalanckiej" kobiety, opowiadał, że z przodu wygląda znacznie młodziej i ładniej niż z profilu, że ma za szeroko rozstawione oczy i źle się trzyma, ale że za to ma śliczne, jakby toczono ramiona.

Mówiąc to starał się opanować drżenie głowy, ale dobrze wiedział, że nauczycielka spostrzegła jego daremne wysiłki, a w dodatku zauważył z obrzydzeniem, że i jej również trzęsie się głowa.

Panią Chauchat nazwał "piękną Minką" z czystego wyrachowania i przez niezwykłą u niego chytryść, bo dzięki temu mógł teraz dalej zadawać pytania.

- Mówię "Minka", ale jak jej rzeczywiście na imię?

Pani, będąc w niej zakochana, musi niewątpliwie znać jej imię.

Nauczycielka myślała przez chwilę.

- Zaraz, zaraz, wiem - odpowiedziała.

- Na pewno je znałam.

Czy nie nazywa się Tatiana?

Nie, nie tak, i również nie Natasza.

Natasza Chauchat?

Nie, to brzmiało inaczej.

Aha, już wiem!

Nazywa się Awdotia.

W każdym razie coś w tym rodzaju.

Bo nie nazywa się na pewno ani Katieńka, ani Ninoczka.

Naprawdę, zupełnie wypadło mi z pamięci, ale z łatwością mogę się dowiedzieć, jeżeli panu na tym zależy. I rzeczywiście nazajutrz znała to imię.

Powiedziała Hansowi Castorpowi podczas obiadu, kiedy znowu trzasnęły oszklone drzwi.

Pani Chauchat nazywała się Kławdia.

Hans Castorp nie od razu zrozumiał.

Kazał sobie Powtórzyć to imię i przesyłabizować, zanim je zapamiętał- Potem wymówił je kilka razy, spoglądając jednocześnie przekrwionymi oczami na panią Chauchat jak gdyby je do niej przymierzał.

- Kławdia - rzekł - tak jest, tak może się nazywać, to się zupełnie zgadza.

- Nie ukrywał swojej radości z powodu tej intymnej wiadomości i teraz panią Chauchat nazywał tylko Kławdia.

- Pani Kławdia kręci kulki z chleba; w tej chwili widziano, że nie jest to bardzo elegancko.

To zależy od tego, kto to robi - odpowiedziała nauczycielka.

- Kławdia może sobie na to pozwolić.

Tak, posiłki w sali jadalnej o siedmiu stołach były dla Hansa Castorpa wysoce interesujące.

Żałował kiedy któryś z nich dobiegał końca, ale pocieszał się tym, że już niedługo, za dwie lub dwie i pół godziny znowu tu będzie siedział, a kiedy już siedział, wydawało mu się, że wcale nie wstawał.

Co było w przerwach?

Nic.

Niedaleki spacer do strumienia albo dzielnicy angielskiej, krótki wypoczynek na leżaku.

Nie były to istotne przerwy ani poważne przeszkody.

Co innego, gdyby czekała go praca, jakieś kłopoty i troski, trudne do przewidzenia czy do zwalczenia.

W dobrze i mądrze uregulowanym życiu zakładu "Berghof" nic podobnego jednak nie groziło.

Wstając od wspólnego stołu, Hans Castorp mógł się już cieszyć na następny posiłek - jeżeli w ogóle słowo

"cieszyć się" odpowiadało temu stanowi psychicznemu, w jakim Hans Castorp oczekiwał następnego spotkania z chorą panią Kławdią Chauchat, jeżeli nie było ono zbyt lekkie, radosne, proste i powszednie.

A może, że czytelnik jest skłonny właśnie takie określenia, radosne i powszednie, uważać za stosowne i

jedynie dopuszczalne w stosunku do Hansa Castorpa i jego życia wewnętrznego; zwracamy jednak uwagę

na to, że jako młodzieniec, któremu nie brakło rozsądku ani sumienia, nie mógł po prostu "cieszyć się" na

myśl, że zobaczy panią Chauchat i znajdzie się w jej bliskości, ponieważ wiemy to niewątpliwie i stwierdzamy, że gdyby mu to słowo podsunęto, odrzuciłby je ze wzruszeniem ramion.

Tak, do niektórych sposobów wyrażania się odnosić się pogardliwie - jest to szczególnie zasługujący na podkreślenie.

Chodził z rozpalonymi policzkami i nucił sobie, nucił w myśli, bo odczuwał teraz potrzebę muzyki i odznaczał się dużą wrażliwością.

Nucił melodię, którą usłyszał Bóg wie gdzie i kiedy, na jakimś zebraniu towarzyskim albo na koncercie

dobroczynnym, śpiewaną niedużym sopranem; przypomniał sobie tę blahą piosenkę, zaczynającą się od

słów: Jak mnie dziwnie czasem wzrusza jedno słowo twoje i właśnie chciał dodać następne wiersze:  
I jak

prędko wtedy bije Biedne serce moje!

ale nagle wzruszył ramionami i powiedział sobie: "śmieszne"; czuła piosenka wydała mu się niesmaczną i

niedorzeczną i odepchnął ją od siebie - odepchnął z pewną dozą melancholii i surowości.

Taka sentymentalna piosenka może podobać się i wystarczać jakiemuś młodzieńcowi, który tam na dole,

legalnie, spokojnie i z widokami na przyszłość, "oddał swoje serce", jak to się mówi, jakiejś zdrowej gąsce i

teraz pławi się w swoich legalnych, rozsądnych uczuciach, mających widoki na przyszłość.

Ale jemu, jego stosunkowi do Madame Chauchat - wyrazu "stosunek" używamy tu w jego własnym

imieniu, uchylając się od wszelkiej odpowiedzialności - czuł, że nie odpowiadał ten wierszyk. Leżąc na swoim leżaku, pozwolił sobie na jego estetyczną ocenę, która streszczała się w słowie "niedorzeczność", i urwał w połowie, kręcąc nosem, chociaż nie potrafił niczym właściwym zastąpić tego wierszyka.

Jedna rzecz sprawiała mu tu przyjemność: leżeć na balkonie i przysłuchiwać się swojemu sercu, własnemu sercu, które szybko i głośno biło w otaczającej go ciszy - przepisowej ciszy, panującej w całym sanatorium w porze głównego werandowania - snu poobiedniego.

To bicie serca wysuwało się na pierwszy plan, jak prawie zawsze, odkąd znajdował się tutaj w górze; ale ostatnio Hans Castorp mniej się tym przejmował niż w pierwszych dniach Pobytu. Nie można było już teraz powiedzieć, że biło na własną rękę, bez powodu i bez związku z jego duszą. Związek taki istniał i nietrudno było stwierdzić; wzruszenie psychiczne łatwo tłumaczyć wzmożoną czynnością fizyczną.

Ilekcio Hans Castorp pomyślał o pani Chauchat - a myślał o niej często - porywało go uczucie, jakie towarzyszy biciu serca.

Rosnący lęk.

O obu dziadkach oraz o przejażdżce łódką na przełomie dnia i nocy.

Pogoda była, jak na złość, obrzydliwa - pod tym względem Hansowi Castorpowi nie udał się jego przelotny pobyt w tych stronach.

Śniegu wprawdzie nie było, ale całymi dniami padał deszcz, ciężki i szkaradny, gęste mgły zalegały dolinę i co pewien czas przeciągały burze z ciężko przewalającymi się grzmotami, burze śmiesznie niepotrzebne, bo i bez nich było tak zimno, że nawet w jadalni napalono.

- Szkoda - powiedział Joachim.

- Myślałem, że uda się nam pojechać kiedyś ze śniadaniem w kieszeni na Schatzalp albo zrobić jakąś inną wycieczkę, ale zdaje się, że nic z tego nie będzie.

Mam nadzieję, że twój ostatni tydzień będzie pogodniejszy.

Hans Castorp odpowiedział: spokojnie, nie palę się do żadnych tego rodzaju rzeczy, już raz mi się nie poszczęściło.

Najlepiej wypoczywam, kiedy właśnie żyję tak bez żadnych projektów i bez jakiegokolwiek odmiany. Odmiany potrzebują ci, którzy tu pozostają przez lata, ale ja mogę tu przeżyć swoje trzy tygodnie bez zmian.

Nie ruszając się z miejsca, miał czas dostatecznie wypełniony.

Jeżeli żywił jakieś nadzieje, to tutaj, a nie na jakimś Schatzalp czekało zarówno ich spełnienie, jak i rozczarowanie.

Nie pogoda gnębiła go; przeciwnie, zaczynał obawiać się, że szybko nadejdzie termin jego wyjazdu. Upływał już drugi tydzień, niedługo miał się skończyć czas jego pobytu, a wiedział, że z początkiem trzeciego tygodnia pozostanie już tylko myśl o pakowaniu.

Owo odświeżenie się zmysłu czasu, które Hans Castorp na początku odczuwał, już dawno minęło, dni pędziły teraz jeden za drugim, pomimo że każdy oddzielnie ciągnął się w bezustannym i wciąż nowym oczekiwaniu i po brzegi wypełniony był cichymi tajnymi przeżyciami.

Tak, czas jest rzeczą przedziwną, trudno go zrozumieć do głębi!

Czyż trzeba bliżej określać te przeżycia wewnętrzne, które zarazem obciążały i uskrzydlały dni Hansa

Castorpa?

Każdy zna je dobrze, były to przeżycia w swej uczuciowej błahości aż nazbyt powszednie i nie miałyby innego przebiegu, nawet gdyby były rozsądniejsze i miały więcej widoków na przyszłość i gdyby można do nich stosować banalną piosenkę "Jak mnie dziwnie czasem wzrusza"...

Niemożliwością było, żeby Madame Chauchat spostrzegła coś z tych nici, które przędły się od jednego ze stołów ku jej stolowi; a niepohamowanym pragnieniem Hansa Castorpa było, żeby je właśnie, a nawet możliwie wyraźnie spostrzegła.

Wyrażenia "niepohamowane" używamy dlatego, że Hans Castorp zdawał sobie doskonale sprawę z bezsensowności sytuacji.

Ale z kim dzieje się to, co działo się albo się dziać zaczynało z nim, ten chce, żeby druga osoba wiedziała o jego stanie, nawet gdy nie ma w tym żadnego sensu i ładu.

Taki jest człowiek.

Pani Chauchat odwróciła się podczas jedzenia dwa albo trzy razy, czy to przypadkowo, czy też pod wpływem magnetycznego oddziaływania, i za każdym razem spotykała skierowany na siebie wzrok Hansa Castorpa.

Po raz czwarty obejrzała się już rozmyślnie i tym razem również ujrzała te oczy; gdy odwróciła się po raz piąty, nie przyłapała wprawdzie Hansa Castorpa na gorącym uczynku, bo w tej chwili nie był na posterunku ale natychmiast odczuł na sobie spojrzenie i odpowiedział tak skwapliwie, że odchyliła się z uśmiechem.

Uśmiech ten wzbudził w nim zachwyt i nieufność.

Myli się, jeżeli uważa go za dziecko.

Jego pragnienie subtelności było tak wielkie, że gdy za szóstym razem domyślił się, poczuł, miał wewnętrzną pewność, że pani Chauchat znów patrzy w jego stronę, udał, że z wielkim niesmakiem przygląda się pewnej damie o silnie krostowatym obliczu, która podeszła do jego stołu, aby porozmawiać ze starą ciotką; przez dwie lub trzy minuty żelazną wolą wytrzymał jej spojrzenie i nie poddał się, póki nie miał zupełnej pewności, że kirgiskie oczy odwróciły się już od niego.

Zagrał tę niezwykłą komedię, którą pani Chauchat nie tylko mogła, ale wyraźnie powinna była zrozumieć, aby jego wielka subtelność i opanowanie zastanowiły ją...

A potem było tak.

W przerwie między daniami pani Chauchat odwróciła się jakby od niechcienia i zaczęła rozglądać się po sali.

Hans Castorp był właśnie na stanowisku i oczy ich się spotkały.

Podczas gdy tak patrzą na siebie, chora - niepewnie, badawczo i ironicznie, Hans Castorp - ze wzrastającym napięciem (zaciśnął nawet zęby, żeby wytrzymać jej spojrzenie) - nagle zsuwa się jej z kolan serwetka i już, już ma upaść na podłogę.

Ona chwytą ją szybkim ruhem, ale i on podrywa się nagle i chce biec jej na ślepo z pomocą, z odległości

ośmiu metrów, poprzez dzielący ich stół, jak gdyby to była katastrofa, że serwetka spadnie na podłogę...

Jednakże pani Chauchat udało się pochwycić ją jeszcze ponad kamienną podłogą.

Ale pochyłona, trzymając serwetkę za róg, z chmurną miną i widocznie zła z powodu tej głupiej paniki,

której właśnie uległa i za którą, jak się zdaje, winiła Hansa Castorpa - jeszcze raz spojrzała na niego, widzi,

że gotuje się do skoku, widzi jego wysoko wzniesione brwi i odwraca się z uśmiechem. Zdarzenie to

napełniło Hansa Castorpa niezwykłą radością.

Nie pozostało ono jednak bez następstw.

Przez następne dwa dni, a więc podczas dziesięciu posiłków, pani Chauchat w ogóle nie oglądała się poza

siebie, a nawet wchodząc do sali jadalnej "prezentowała" się publiczności, jak to przecież było jej zwyczajem. Był to ciężki cios.

Ponieważ jednak pani Chauchat powstrzymywała się od tych ruchów niewątpliwie ze względu na Hansa

Castorpa, więc bądź co bądź pewien stosunek, chociażby negatywny, został nawiązany, i to powinno było

wystarczyć.

Przekonał się, że Joachim miał zupełną rację: bynajmniej niełatwo tu było zawrzeć znajomość, chyba tylko z

sąsiadami przy stole.

W ciągu tej jednej krótkiej godziny po kolacji, kiedy odbywało się coś w rodzaju zebrania towarzyskiego,

która kurczyła się jednak często do dwudziestu minut, Madame Chauchat siedziała wyłącznie w swoim

towarzystwie; należał do niego ów pan z zapadłą klatką piersiową, owa zabawna pani z włosami jak z

wełny, milczący doktor Blumenkohl i młodzi ludzie z obwisłymi ramionami.

Zbierali się oni w głębi małego salonu i zdawało się, że to miejsce jest stale zarezerwowane dla lepszego

stołu rosyjskiego.

Joachim śpieszył się wtedy zwykle na górę, aby, jak mówił, nie uronić nic z wieczornego werandowania;

miał może i inne powody ku temu, również dietetycznej natury, ale nie wspominał o nich, a Hans Castorp

tylko się ich domyślał i umiał je uszanować.

Zarzuciliśmy Hansowi Castorpowi brak opanowania, ale dokądkolwiek zmierzały jego pragnienia, nie

towarzyska znajomość z panią Chauchat była celem jego dążeń i w gruncie rzeczy akceptował przeszkody

utrudniające zawarcie tej znajomości.

To nieokreślone napięcie, które wytworzyło się pomiędzy nim a Rosjanką wskutek jego zachowania się i

ciągłego patrzenia, było natury pozatowarzyskiej, do niczego nie zobowiązywało i nie powinno do niczego

zobowiązywać.

Nie przeszkadzało to bowiem Hansowi Castorpowi w zajmowaniu wyniosłej, negatywnej postawy towarzyskiej; fakt, iż wzmożone bicie serca tłumaczył myślami o "Kławdi" nie wystarczał

bynajmniej, aby

wnuka Hansa enza Castorpa zachwiać w przekonaniu, że w rzeczywistości, to znaczy poza owym tajemnym kontaktem, może cośkolwiek mieć do czynienia z tą cudzoziemką, która pędziła życie w najrozmaitszych sanatoriach z dala od męża i bez obrączki na palcu, nie umiała się prosto trzymać,

trzaskała  
drzwiami, kręciła kulki z chleba i na pewno obgryzała paznokcie.  
Czuł, że głęboka przepaść rozdziela ich egzystencje i że stosunków z tą kobietą nie potrafiłby obronić przed  
żadną kompetentną, jego zdaniem, krytyką.  
Hans Castorp był wprawdzie dość rozumny, by nie grzeszyć pychą osobistą, ale pycha innego rodzaju,  
ogólniejszej natury i skądinąd się wywodząca, malowała się przecież na jego czole i dokoła sennie  
spoglądających oczu i ona to była źródłem poczucia wyższości, którego ani nie mógł, ani nie chciał się  
wyzbyć w odniesieniu do całego sposobu bycia pani Chauchat.  
I, rzecz szczególna, to poczucie bezspornej wyższości wystąpiło w nim specjalnie wyraźnie, a może  
w ogóle  
po raz pierwszy, kiedy pewnego dnia usłyszał panią Chauchat mówiącą po niemiecku.  
Wychodząc z jadalni ujrzał przelotnie, jak trzymając ręce w kieszeniach swetra stała w sali z jakąś  
inną  
pacjentką, zapewne towarzyszką z werandy, i z trudem, ale i z wielkim wdziękiem rozmawiała po  
niemiecku.  
Hans Castorp odczuł nagle nie znaną mu dotychczas dumę, że to jego mowa ojczysta, ale zarazem  
skłonność, ażeby dumę tę poświęcić uczuciu zachwytu, które go ogarnęło na dźwięk jej łamanej,  
cudzoziemskiej wymowy.  
Słowem, Hans Castorp uważał swój cichy stosunek do niedbałej członkini zespołu "tych tu w górze"  
za przelotną przygodę wakacyjną, nie mogła liczyć na pobłażanie przed trybunałem rozumu, i to jego  
własnego rozumnego nie: głównie dlatego, że pani Chauchat była przecież chora, wycieńczona, miała  
gorączkę i robak zżerał jej wnętrze.  
Była to okoliczność, która miała związek z całokształtem jej podejrzanej egzystencji i niemało się  
przyczyniała do jego ostrożności i poczucia dystansu...  
Nie, nie przychodziło mu nawet na myśl zawarcie rzeczywistej znajomości z panią Chauchat, a ta  
cała reszta, tak lub inaczej, na pewno przecież pójdzie w zapomnienie w ciągu pierwszych dziesięciu  
dni praktyki w firmie "Tunder & Wilms".  
Na razie jednak rzeczy stały tak, że wzruszenia oczekiwania, spełnienia i rozczarowania, wynikające  
z jego nikłych stosunków z chorą, zaczął uważać za istotną treść i prawdziwy sens swojego pobytu  
wypoczynkowego, żył tylko dla nich i od ich pomyślnego przebiegu zależał jego humor.  
Warunki, w których się tutaj żyło, nadzwyczajnie sprzyjały rozwojowi tych stanów psychicznych, bo  
porządek dnia kuracjuszy skupionych na tej ograniczonej przestrzeni był raz na zawsze ustalony i  
obowiązywał wszystkich.  
Chociaż pani Chauchat mieszkała na innym piętrze, mianowicie na pierwszym (a jak Hans Castorp  
słyszał od nauczycielki, werandowała w jednej ze wspólnych leżalni, a mianowicie w tej, która była  
na dachu i na której kapitan Miklosich zgasił niedawno światło), to jednak już dzięki pięciu  
wspólnym posiłkom dziennie, ale i poza tym na każdym kroku od rana do samego wieczora nadarzała,  
a nawet narzucała się sposobność spotkania.  
Wszystko to razem, a również i okoliczność, że żadne troski ani kłopoty nie zaciemniały horyzontu,  
budziło żywe zadowolenie w Hansie Castorpie, chociaż takie zamknięcie w ciasnej przestrzeni z  
owym pożądanym niedociągnięciem kryło w sobie zarazem coś przygniatającego.  
Jednakże starał się nawet pomagać przypadkowi, obliczał i wysilał mózg, aby ułatwić drogę

szcześciu.

Ponieważ pani Chauchat z przyzwyczajenia spóźniała się zwykle do stołu, Hans Castorp również zaczął przychodzić za późno, licząc na to, że spotka ją po drodze.

Guzdrał się przy ubieraniu, a kiedy Joachim przychodził po niego, mówił, że jeszcze nie jest gotowy, żeby na niego nie czekał, że za chwilę sam zejdzie.

Wiedziony instynktem swego stanu psychicznego czekał w pokoju aż do pewnej chwili, która wydała mu się właściwą, a potem zbiegał na pierwsze piętro; tam jednak opuszczał klatkę schodową, którą dotychczas schodził, i przechodził korytarzem na drugie schody, znajdujące się w pobliżu drzwi i które dobrze znał już od dawna.

Na korytarzu każdy krok - rzecz można - oznaczał szansę spotkania, bo w każdej chwili, jak to już nieraz bywało, mogły otworzyć się wiadome drzwi i z hałasem zamknąć za panią Chauchat; ona sama bezszelestnie wymykała się z pokoju i bezszelestnie sunęła ku schodom...

Potem szła przed nim, poprawiając sobie fryzurę, albo Hans Castorp szedł przed nią, czuł jej wzrok na swoich plecach; doznawał wtedy rwania we wszystkich członkach i mrówki chodziły mu po plecach, ale zgrywając się udawał, że jej nie zauważył i że żyje swym własnym, zupełnie niezależnym życiem.

Trzymał więc ręce niedbale wsunięte w kieszenie marynarki i zupełnie bez powodu wzruszał ramionami albo gwałtownie chrząkał uderzając przy tym pięścią w klatkę piersiową - a wszystko to dla okazania, że zachowuje się zupełnie swobodnie.

Dwa razy posunął to wyrafinowanie jeszcze dalej.

siadłszy już przy stole, zaczął się nagle obmacywać obiema rękami, po czym, pozornie zdziwiony, rzekł głośno: - Masz tobie, zapomniałem chustki do nosa!

Muszę znowu wracać na górę.

- I poszedł, on i "Kławdia" spotkali się, co było wszak czymś niezwykłym i czymś bardziej niebezpiecznym i podniecającym niż iść tylko za nią lub przed nią.

Kiedy po raz pierwszy wykonał ten manewr, zmierzyła go wprawdzie oczami z pewnej odległości od stóp do głów, i to bezwzględnie i bez żenady, ale zrównawszy się z nim, odwróciła się i przeszła z obojętną twarzą, że rezultatu tego spotkania nie należało przeceniać.

Jednak za drugim razem patrzyła na niego, i to tylko z daleka; przez cały czas patrzyła na niego, ale w ciągu całego spotkania mocno, a nawet trochę nachmurzona, spoglądała mu prosto w oczy, a przechodząc odwróciła nawet za nim głowę, co wstrząsnęło biednego Hansa Castorpa do szpiku kości.

Nie należy go zresztą żałować, bo sam chciał tego i Sam to wszystko zaaranżował.

Wywarło to jednak na nim bardzo silne wrażenie, zarówno w czasie samego spotkania, jak zwłaszcza później; bo później dopiero uprzytomnił sobie wyraźnie, jak to wszystko było.

Nigdy jeszcze nie widział z tak bliska i ze wszystkimi szczegółami twarzy pani Chauchat; mógł dokładnie rozróżnić krótkie włoski, które wysunęły się ze splotów jasnego, wpadającego w metaliczno czerwony odcień warkocza, owiniętego po prostu dokoła głowy, i tylko niewielka przestrzeń oddzielała jego twarz od jej twarzy, o dziwnej, ale dobrze już mu znanej budowie, która podobała mu się jak nic w świecie; była to budowa niezwykła i pełna charakteru (bo tylko temu, co nam obce, przypisujemy charakter), napiętnowana północną egzotycznością, tajemnicza i zniewalająca do jej zgłębienia, jako że jej znaki szczególne i proporcje niełatwe były do uchwycenia. Zasadniczą cechą tej twarzy były chyba wysoko umiejscowione kości policzkowe: one to sprawiały, że oczy, niezwykle płytko osadzone i niezwykle szeroko rozstawione, były nieco skośne, a jednocześnie pociągały za sobą miękką wklęsłość policzków; w stosunku do nich pełne wargi

wydawały się lekko wywinięte.

Ale najważniejsze były oczy, te wąskie i (zdaniem Hansa Castorpa) wprost czarodziejsko wykrojone, kirgiskie oczy o szaroniebieskiej czy niebieskoszarej barwie dalekich gór, oczy umięjące niekiedy, przy pewnych spojrzaniach z ukosa, których celem nie było widzenie, topnieć jakoś i ciemnieć aż do mrocznych tonów nocy, oczy Kławdii Chauchat, które spojrzały na niego zupełnie z bliska, bezwzględnie i trochę ponuro, oczy, ustawieniem swym, kolorem i wyrazem tak dziwnie przerażająco podobne do oczu Przybysława Hippe( Podobne" nie było trafnym określeniem - to były te same oczy), a także szerokość górnej części twarzy, wklęsnięty nos, wszystko aż do różowawej, ściągniętej cery, do zdrowej barwy policzków, która u pani Chauchat tylko pozornie świadczyła o zdrowiu i, Jak u wszystkich tu w górze, była tylko powierzchownym skutkiem werandowania na powietrzu.

- to wszystko razem było zupełnie takie samo jak u Przybysława; a i spojrzenie tamtego, kiedy mijali się na dziedzińcu szkolnym, było zupełnie takie samo jak jej spojrzenie.

To było wprost wstrząsające; Hans Castorp był zachwycony spotkaniem, ale jednocześnie doznawał jakby wzrastającej trwogi, uczucia tego samego rodzaju co przygnębienie, którym go napełniało zamknięcie w ciasnej przestrzeni z owym pożądanym niedociągnięciem sytuacji; z czymś koniecznym, nieuchronnym nieuchronnym w sensie, który go uszczęśliwiał a zarazem przejmował lękiem.

Także ta okoliczność, że od dawna zapomniany Przybysław zjawił się tutaj na górze w postaci pani Chauchat i że znowu spogląda na niego swymi kirgiskimi oczami.

Było to budzące nadzieję, ale zarazem niesamowite, nawet groźne.

I młody Hans Castorp poczuł coś, konieczność pomocy z zewnątrz.

W jego duszy poczęły się odbywać jakieś nieokreślone i instynktowne odruchy, które można by uważać za oglądanie się za siebie, za szukanie i przywoływanie pomocy, jakiegoś oparcia; myślał po kolei o różnych osobach, które ewentualnie wchodziły w rachubę, przede wszystkim o Joachimie, poczciwym, nieskazitelnym Joachimie, którego oczy nabrały w ostatnich miesiącach tak smutnego wyrazu i który teraz od czasu do czasu wstrząsał ramionami tak pogardliwie i gwałtownie, jak nigdy dawniej - o Joachimie z "niebieskim Henrykiem" w kieszeni, jak pani Stohr zwykła nazywać tę flaszeczkę (miała przy tym tak uparcie bezwstydną wyraz twarzy, że Hansa Castorpa za każdym razem ogarniało przerażenie) Był więc zacny Joachim, który zanudzał i zamęczał radcę Behrensa, żeby mu wolno było stąd wyjechać bo chciał pełnić swoją utęsknioną służbę wojskową tam "na równinie" albo na "nizinie", jak nazywają tutaj świat zdrowych, wymawiając te słowa z lekkim, ale wyraźnym odcieniem pogardy.

Aby szybciej móc dojść do tego i nie tracić czasu, który tutaj tak rozrzutnie trwoniono, na razie odbywał z niezwykłą sumiennością "służbę kuracyjną"; czynił to bez wątpienia w celu jak najszybszego powrotu do zdrowia ale również, jak się nieraz wydawało Hansowi Castorpowi, dla samej służby kuracyjnej, która ostatecznie była przecież także służbą, jak każda inna, a spełnianie obowiązku było zawsze spełnianiem obowiązku.

Tak więc, kiedy się wieczorami towarzystwo łączyło, już po upływie kwadransa Joachim przynaglał swego kuzyna i śpieszył na leżak.

Ta wojskowa punktualność wychodziła poniekąd na dobre cywilnie usposobionemu Hansowi Castorpowi,

który chciałby był nieraz dłużej zabawić na dole ze względu na zajęty przez Rosjan salonik, co nie miałoby

przecież żadnego sensu i pozbawione było wszelkich widoków.

Ale pośpiech, z jakim Joachim chciał opuścić towarzystwo, miał jeszcze jeden, ukryty powód,



dobrze znany

Hansowi Castorpowi, odkąd zrozumiał dlaczego opalona twarz Joachima, nagle blednąc, pokrywa się

czasem dziwnymi plamami i dlaczego w pewnych chwilach bolesny grymas wykrzywia mu usta.

Bo i Marusia, ta zawsze skłonna do śmiechu, Marusia z małym rubinem na pięknym palcu, z pomarańczowym zapachem i z wysokimi piersiami, które toczył robak choroby, bywała też zwykle wieczorami na dole i Hans Castorp pojął, że okoliczność ta wyganiała Joachima, bo go zanadto, w straszliwy sposób przyciągała.

Czy i Joachim doznawał uczucia "ciasnej przestrzeni", może "ciaśniejszej jeszcze" i bardziej przygniatającej

niż Hansa Castorpa, bo przecież Marusia, ze swoją pachnącą pomadami chusteczką, na domiar złego jeszcze

pięć razy dziennie zasiadała z nimi do tego samego stołu?

i bądź co bądź Joachim za wiele miał do roboty z samym sobą, aby jego istnienie mogło przynieść Hansowi

Castorpowi jakąkolwiek pomoc wewnętrzną.

Jego senna ucieczka od towarzystwa robiła wprawdzie na Hansie Castorpie wrażenie czegoś podyktowanego honorem, ale zarazem mocno niepokojącego, a chwilami wydawało mu się, że dobry przykład sumiennego przeprowadzania kuracji, który dawał mu cenne wskazówki, których Joachim mu nie

szczędził, kryją w sobie pewne niebezpieczeństwo.

Hans Castorp był tu dopiero niecałe dwa tygodnie, wydawało mu się, że upłynęło już znacznie więcej

czasu od chwili jego przyjazdu, a tutejszy porządek dnia, z taką skrupulatnością przestrzegany przez Joachima, zaczynał nabierać w jego oczach cech czegoś oczywiście i święcie niezłomnego, tak że sposób

życia na nizinie, oglądany stąd z góry, wyglądał niemal dziwnie i opacznie.

Potrafił już zręcznie manipulować dwoma kocami, za pomocą których w chłodne dni robił z siebie na leżaku równiuteńki pakiet, prawdziwą mumię, niewiele brakowało, żeby dorównywał Joachimowi w niezawodnej sprawności w sztuce przepisowego owijania się tymi kocami, i dziwił się prawie na myśl, że na

dole, na równinie, nikt o takiej umiejętności i o tych sposobach nie słyszał.

Tak, to było rzeczywiście dziwne - ale jednocześnie dziwił się Hans Castorp, że znajduje w tym coś potwornego, i ogarniał go znowu ów niepokój, zmuszający do wewnętrznego oglądania się za radą i pomocą.

Nasuwał mu się na myśl Behrens i rada, udzielona przez niego sine pecunia, aby żył tutaj całkiem jak Pacjenci i nawet mierzył sobie temperaturę, także Settembrini, który odrzucając głowę w tył, tak głośno

śmiał się z tej rady, a potem cytował jakiś ustęp z "Zaczarowanego fletu", również o tych dwu pomyślał na

próbę, ażeby przekonać się, czy mu to sprawi jakąś ulgę.

Radca Behrens był przecież już siwy, mógłby być ojcem Hansa Castorpa, a poza tym był dyrektorem sanatorium i najwyższym autorytetem, a Hans Castorp odczuwał właśnie gwałtowną potrzebę ojcowskiego autorytetu.

Jednakże nie udawało mu się, pomimo starań, myśleć o radcy dworu z ufnością dziecka. Behrens pochował tutaj swoją żonę, rozpacz sprawiła, że na pewien czas zdziwaczał, a potem pozostał tutaj, bo trzymał go grób zmarłej, a także dlatego, że i jemu udzieliła się choroba żony. Czy już mu to przeszło? Czy był już zdrowy i czy bez zastrzeżeń pragnął leczyć ludzi, aby prędko mogli powrócić na nizinę i pełnić służbę? Policzki jego były zawsze sine i właściwie wyglądał tak, jak gdyby miał podwyższoną temperaturę. Ale mogło się tak tylko wydawać, a przyczyną tego koloru cery mogło być tutejsze powietrze: Hans Castorp przecież także odczuwał tu ciągle suchy żar, nie mając przy tym gorączki, o ile mógł sądzić bez pomocy termometru. Chociaż kiedy się słuchało radcy Behrensa, można było czasami myśleć, że ma podwyższoną temperaturę; jego sposób mówienia nie był zupełnie normalny: był rubaszny, wesoły i miły, koleżeński, ale miał w sobie coś dziwnego, jakąś egzaltację, szczególnie jeżeli brało się pod uwagę jego sine policzki i łzawiące oczy, które wyglądały tak, jak gdyby ciągle jeszcze opłakiwał swoją żonę. Hans Castorp przypomniał sobie, co Settembrini mówił o "skłonności do melancholii" i o "nałogu" radcy i że nazwał go "człowiekiem niezrównoważonym". Mogło to być złośliwością i błagą, ale Hans Castorp mimo to dochodził do wniosku, że myśl o radcy Behrensie bynajmniej go nie krzepi na duchu. Więc pozostawał jeszcze sam Settembrini, wieczny opozycjonista, fanfaron i homo humanus, jak sam siebie nazywał, który namiętnymi słowami zabronił dopatrywać się w połączeniu choroby z głupotą - okoliczności i dylematu dla uczucia ludzkiego. Jak to się z nim miała rzecz? I czy warto było myśleć o nim? Hans Castorp przypominał sobie, jak często subtelny suchy uśmieszek Włocha, który ukazywał się pod pięknym łukiem wąsów, budzi jego niechęć w niezwykle żywych snach, wypełniających mu noce, tu na górze, jak go przeżywał kataryniarzem i próbował pędzić, bo przeszkadza. Ale to było we śnie, a na jawie Hans Castorp był inny, mniej nieopanowany, na jawie mogło być inaczej może trzeba, by spróbować zbliżyć się wewnętrznie do tego tak dziwnego Włocha, z jego agresywnością i wieczną krytyką, chociaż była smętna i gadatliwa. On sam nazywał się przecież pedagogiem; widocznie chciał wywierać wpływ, a młody Hans Castorp odczuwał silną potrzebę poddania się czyjemuś wpływowi - z czego jednak nie wynikało, żeby miał spakować swój kufer i wyjechać przed określonym terminem, jak mu niedawno tamten zupełnie poważnie proponował.

Placet experiri - myślał, uśmiechając się do siebie, bo tyle umiał jeszcze łaciny, chociaż nie mógł nazwać

siebie homo humanus.

Tak więc zwrócił baczniejszą uwagę na Settembriniego i z zainteresowaniem, aczkolwiek nie bez krytycyzmu, przysłuchiwał się występom Włocha, kiedy go spotykał przypadkiem podczas przepisowych

spacerów do ławki pod skałą albo do Uzdrowiska, a także i przy innych okolicznościach, kiedy na przykład

Settembrini po skończonym posiłku pierwszy wstawał od stołu, w swoich spodniach w kratę i z wykałaczką

w ustach szedł wolnym krokiem przez salę z siedmioma stołami, ażeby wbrew wszelkim przepisom i zwyczajom, pobyć jeszcze chwilę przy stole obu kuzynów.

Stał przy stole skrzyżowawszy nogi, w pełnej wdzięku pozycji, rozmawiał gestykulując wykałaczką.

Czasami przysuwał sobie nawet krzesło, siadał na rogu pomiędzy Hansem Castorpem i nauczycielką albo

pomiędzy nim a Miss Robinson i przyglądał się, jak dziewięcioro współbiesiadników spożywa deser, z

którego on Sam zdaje się, zrezygnował.

- Proszę o prawo wstępu do tego szlachetnego grona - mówił potrząsając ręce obu kuzynom i kłaniając się

reszcie towarzystwa.

- Ten piwowar, który tam siedzi...

że już nie wspomnę o zaiste straszliwym widoku pani piWowarowej, otóż ten pan Magnus wygłosił właśnie odczyt z dziedziny psychologii ludów.

Czy chcecie państwo posłuchać?

"Nasze ukochane Niemcy są wprawdzie tylko wielkimi koszarami, ale poza tym kryje się wiele dzielności i

nie zamieniłbym naszej tężyzny na uprzejmość innych narodów.

Na co zda mi się cała uprzejmość, jeżeli na każdym kroku spotykam się z oszustwem"? I tak dalej w tym stylu.

Jestem u kresu sił.

A naprzeciwno mnie siedzi jakieś nieszczęsne stworzenie z cmentarnymi różami na policzkach, jakaś starsza panna z Siedmiogrodu, i bez przerwy opowiada o swoim "szwagrze", o którym nikt nic nie wie i

wiedzieć nie chce.

Słowem, nie mogłem już dłużej wytrzymać i uciekłem.

- Z proporcem w dłoni rzucił się pan do ucieczki - rzekła pani Stohr - to do pana podobne.

- Świetnie!

- zawołał Settembrini.

- Z proporcem!

Widzę, że tutaj inny wiatr wieje - bez wątpienia dobrze trafiłem.

A więc rzuciłem się do ucieczki...

Ach, żeby to umieć równie pięknie się wyrażać!

Czy mogę zapytać panią o postępy w stanie jej zdrowia?

Okropne było, jak ta pani Stohr się mizdrzyła.

-Wielki Boże!

- odparła - zawsze jedno i to samo, pan sam wie to przecież.

Dwa kroki naprzód, trzy kroki w tył, a po pięciu miesiącach przychodzi stary i dokłada jeszcze pół roku. Ach, to są męki Tantaluskie.

Pcha się, pcha się, już się człowiekowi zdaje, że jest na górze...

- O, to pięknie, że używa pani trochę odmian biednemu Tantalowi!

Każę mu pani toczyć ów słynny gład!

To znaczy mieć naprawdę dobre serce!

A podobno dziwne rzeczy dzieją się tu z panią, słyszałem o rozdwojeniach jaźni, o ciałach astralnych... Wówczas nie wierzyłem w te zjawiska, ale to, co się z panią dzieje, dezorientuje mnie...

Zdaje się, że pan chce bawić się moim kosztem?

Bynajmniej!

Nic podobnego!

Niech pani uspokoi mnie przede wszystkim co do pewnych ciemnych stron swojej egzystencji, a później dopiero będziemy mogli mówić o bawieniu się.

Wczoraj wieczorem pomiędzy wpół do dziesiątej a dziesiątą spaceruję trochę po ogrodzie, przebiegam przy tym wzrokiem balkony i spostrzegam, że na pani balkonie żarzy się w mroku lampka elektryczna. A więc pani werandowała jeszcze, zgodnie z obowiązkiem, przepisami i nakazami rozsądku. "Tam oto leży nasza piękna pacjentka - pomyślałem sobie - i skrupulatnie stosuje się do zaleceń, aby rychło mogła wrócić do domu w objęcia pana Stohra".

- A przed niewielu minutami dowiedziałem się, że o tej samej godzinie widziano panią w cinematografo (pan Settembrini wymówił to słowo po włosku z akcentem na czwartej zgłosce), w cinematografo pod arkadami Kurhauzu, a potem jeszcze w cukierni, przy słodkim winie i jakichś baisers, a mianowicie... (Baiseri -francuskie - całunki, nazwa ciastek - bezy).

Pani Stohr kręciła się na krześle, chichotała w garstkę, trącała łokciami Joachima i cichego doktora Blumenkohla, mrugała zalotnie i porozumiewawczo na wszelkie możliwe sposoby okazywała bezdennie głupie zadowolenie z siebie.

Miała zwyczaj zostawiać, dla zmylenia nadzoru, zapaloną lampkę na swym balkonie i po kryjomu udawać się na zabawę do tamtej dzielnicy.

Mąż tymczasem oczekiwał jej w Cannstatt.

Inni pacjenci, zresztą, uprawiali podobne Praktyki.

- A mianowicie - ciągnął dalej Settembrini - w jakim to towarzystwie kosztowała pani tych baisers. Wtowarzystwie kapitana Miklosicha z Bukaresztu.

Zapewniają mnie, że on nosi gorset, ale mój Boże, nie ma to tutaj żadnego znaczenia!

Zaklinam panią, niech mi pani powie, gdzie pani była, czy uległa pani rozdwojeniu jaźni? Widocznie pani zasnęła i, podczas gdy ziemską część pani istoty samotnie werandowała, jej część duchowa raczyła się towarzystwem kapitana Miklosicha i jego baisers...

Pani Stohr wiła się i krygowała, jak gdyby ją łechtano.

- Nie wiadomo, czy nie lepiej by było, gdyby było odwrotnie: mianowicie, gdyby pani sama rozkoszowała się tymi baisers, a leżakowała na balkonie z kapitanem Miklosichem...

- Hi hi hi...

- Czy słyszeli państwo o onegdajszej historii?

- spytał nagle Włoch.

- Ktoś został stąd zabrany, porwał go diabeł czy właściwie jego własna matka, dama nadzwyczajnie energiczna - bardzo mi się spodobała.

To był ten młody Schneermann, Antoni Schneermann, który siedział tam u góry stołu obok Mademoiselle

Kleefeld - widzą państwo, jego miejsce jest puste.

Jego miejsce zostanie niebawem zajęte, nie mam żadnych obaw co do tego, ale Antoniego uniosła na skrzydłach swych burza, i to tak nagle, że ani się obejrzał.

Półtora roku siedział już tutaj ten szesnastolatek, i właśnie dołożono mu jeszcze pół roku. I co się dzieje?

Nie wiem, kto Madame Schneermann szepnął słówko do ucha, bądź co bądź doszły ją wieści o hołdach,

jakie jej synalek składa Bachusowi et ceteris.

Bez meldowania zjawia się na widowni okazała matrona, o trzy głowy wyższa ode mnie, siwa i sroga, nic

nie mówiąc wymierza panu Antoniemu kilka zamasztych policzków, chwyta go za kołnierz i sadza do

wagonu.

"Jeśli ma się zniszczyć - powiada - to może to zrobić i na dole!

jazda do domu".

Wszyscy, którzy to opowiadanie słyszeli, śmiali się głośno, bo pan Settembrini mówił bardzo zabawnie.

Okazało się, że znane mu są wszystkie najnowsze plotki, chociaż tak krytycznie i pogardliwie odnosi się do

towarzyskiego współżycia gości tu w górze.

Wiedział o wszystkim.

Znał nazwiska, a nawet dosyć dokładnie sprawy życiowe nowo przybyłych; oznajmiał, że temu a temu lub

tej a tej zrobiono wczoraj korekcję żebra, i słyszał z najlepszego źródła, że od niedzieli nie będzie się tu już

przyjmowało chorych z temperaturą powyżej 38,5.

Ostatniej nocy, jak opowiadał, piesek pani Capatsoulis z Mityleny usiadł na stoliku nocnym swej pani

akurat na guziku elektrycznego sygnału świetlnego, co wywołało bieganinę i wielkie zamieszanie,

zwłaszcza że zastano panią Capatsoulis nie samą, lecz w towarzystwie asesora Etmunda z

Friedrichshagen.

Nawet doktor Blumenohl musiał uśmiechnąć się słuchając tej historii, a śliczna Marusia po prostu dusiła

się, ze swą pachnącą pomarańczami chusteczką przy ustach, a pani Stohr krzyczała przeraźliwie,

przyciskając sobie przy tym lewą pierś obiema rękami.

Ale Joachimowi i Hansowi Castorpowi opowiadał Lodovico Settembrini również o sobie, o swym pochodzeniu.

Zdarzało się to na spacerach albo w czasie wieczornego zebrania towarzyskiego, albo po skończonym

obiedzie, kiedy większość pacjentów już opuściła jadalnię, ale trzech panowie pozostawali jeszcze chwilę na

swoich miejscach, podczas gdy kelnerki sprzątały ze stołów, a Hans Castorp palił swoją "Marię Mancini",

której pikantny smak w trzecim tygodniu pobytu zaczął znowu sprawiać mu pewną przyjemność. Uważnie, ale z pewną dozą krytycyzmu, trochę zdziwiony, ale przejęty pragnieniem ulegania jakiemuś wpływowi, słuchał Hans Castorp opowiadania, które odkrywały przed nim niezwykły i dotąd zupełnie nie znany mu świat.

Settembrini opowiadał o swoim dziadku; był on adwokatem w Mediolanie, a jednocześnie i przede wszystkim wielkim patriotą i czymś w rodzaju politycznego agitatora, mówcy i współpracownika pism; należał do opozycji, podobnie jak wnuk, ale uprawiał ją śmieiej i w większym stylu. Bo podczas gdy Lodovico musiał, jak sam zaznaczał z goryczą, spędzać swój żywot w Międzynarodowym Sanatorium "Berghof", szydzić z niego i zakładać protest w imieniu pięknej i pełnej energii ludzkości, dziadek jego przyczyniał wiele kłopotu rządów państw, spiskował przeciwko Austrii i Świętemu Przymierzu, które wówczas trzymały jego rozdrobnioną ojczyznę w ponurej niewoli, i był czynnym członkiem pewnych rozpowszechnionych we Włoszech tajnych stowarzyszeń - był karbonariuszem, oświadczył Settembrini przyciszonym głosem, jak gdyby jeszcze teraz niebezpiecznie było o tym wspominać.

Dzięki tym opowiadaniom obaj słuchacze mieli o Giuseppe Settembrinim wyobrażenie jako o mrocznym, namiętym i niepokój siejącym osobniku, jako o przywódcy buntowników i spiskowcu, i pomimo całego szacunku, jaki przez uprzejmość okazywali, niezupełnie udawało im się zamaskować pewną nieufność, niechęć, a nawet obrzydzenie, które odzwierciedlały się w wyrazie ich twarzy. Pewnie, że był to wyjątkowy stan rzeczy: to, o czym słyszeli, działo się dawno, przed stu prawie laty, to była już historia, a z historii, specjalnie starożytnej, teoretycznie znane im były wypadki rozpaczliwego dążenia do wolności i nieubłaganej nienawiści do tyranów, chociaż nigdy nie przypuszczali, że mogliby z nią zetknąć się tak blisko i prawie bezpośrednio.

Z buntowniczą i konspiracyjną naturą tego protoplasty szła również, jak słyszeli, w parze gorąca miłość do ojczyzny, którą pragnął widzieć wolną i zjednoczoną - co więcej, jego burzycielska działalność była owocem i godnym najwyższego uznania wynikiem obu tych jego cech i chociaż ta mieszanina rewolucyjności i patriotyzmu wydawała się dziwna obu kuzynom - bo zarówno jeden jak i drugi zwykli łączyć pojęcie miłości ojczyzny z zachowawczym zmysłem porządku - to jednak przyznać musieli w duchu, że w ówczesnym stanie rzeczy bunt mógł być jednoznaczny z cnotą obywatelską, a lojalność z zupełną obojętnością dla spraw publicznych.

Dziadek Settembrini był nie tylko włoskim Wotą, lecz napewno współobywatелеm i współbojownikiem wszystkich ludów pragnących wolności.

Bo po tym nieudanym zamachu stanu w Turynie, w którym uczestniczył słowem i czynem, wtedy z wielkim trudem udało mu się umknąć rąk siepaczy nasłanych przez księcia Metternicha, lata swego

wygnania poświęcił krwawej walce w Hiszpanii o konstytucję i w Grecji o niepodległość helleńskiego narodu.

W Grecji właśnie przyszedł na świat ojciec Settembriniego i dlatego zapewne stał się tak wielkim humanistą i zamiłowanym badaczem klasycznej starożytności.

Giuseppe Settembrini był żonaty z Niemką, którą poznał w Szwajcarii i która dzieliła z nim później wszystkie perypetie jego niespokojnego żywota.

Po dziesięciu latach tułaczki pozwolono mu wrócić do kraju.

Osiadł więc jako adwokat w Mediolanie, ale nie zaniechał nigdy działalności patriotycznej: słowem żywym i pisaniem, wierszem i prozą wzywał swych ziomków do walki o wolność i do stworzenia powszechnej republiki, z zacięciem dyktatora redagował namiętnie antypaństwowe programy, pięknym stylem proklamował zbrotanie wyzwolonych ludów w celu ugruntowania ogólnej szczęśliwości.

Pewien szczegół, o którym wspominał wnuk Settembrini, wywarł silne wrażenie na młodym Hansie Castorpie: dziadek Giuseppe ukazywał się zawsze publiczności w czarnym ubraniu, bo, jak mawiał, nosi żałobę po swej włoskiej ojczyźnie, ginącej w potępieniu i niewoli.

Słyszając to Hans Castorp przypomniał sobie - jak mu się to już i przedtem parę razy nasunęło przez porównanie podczas opowiadań Settembriniego - swojego własnego dziadka, który, odkąd go wnuk pamiętał, zawsze ubierał się na czarno, ale z innych zasadniczo powodów; przydał mu się ów staromodny strój, za pomocą którego Hans Lorenz Castorp starał się podkreślić swą właściwą naturę, przynależną do dawnych czasów, podkreślając zawsze jej odrębność, przystosować do teraźniejszości, aż wreszcie przez wrota śmierci uroczyście powrócił do swej prawdziwej i jedynie odpowiedniej postaci (z kryzą w kształcie talerza).

Jakże niepodobni byli do siebie ci dwaj dziadkowie.

Hans Castorp zamyślił się nad tym, z oczyma nieruchomo przed siebie patrzącymi i ostrożnie kiwając głową, co mogło być równie dobrze oznaką podziwu dla Giuseppe Settembriniego, jak zdziwienia i sprzeciwu.

Powstrzymywał się od potępienia tego, co było dlań obce, i ograniczył się do porównywania i stwierdzania faktów.

Znów widział wąską głowę starego Hansa Lorenza, pochylającą się w zamyśleniu nad okrągłą chrzcielnicą ze złotawym wnętrzem, która stojąc na jednym miejscu, przechodziła z rąk do rąk; znów słyszał wielokrotnie powtarzany przedrostek "pra", ten dźwięk krótki i poważny, przypominający mu miejsca, w których stąpa się pełnym trwożnej czci, podanym naprzód i kołyszącym się krokiem.

I widział Giuseppe Settembriniego, jak z trójbarwną chorągwią w ręku, z wyciągniętą szablą i z

czarnymi,  
przysięgłymi oczami, utkwionymi w niebo, kroczy na czele garstki bojowników za wolność,  
przeciwko  
falangom broniącym despotyzmu.  
Tak, obie strony mają swoje piękno i są godne poważania, myślał w duchu, zmuszając się tym  
bardziej do  
zajęcia godziwego stanowiska, że zdawał sobie sprawę ze swojego stronnego lub na pół stronnego  
stanowiska.  
Bo dziadek Settembrini walczył przecież o prawa polityczne, podczas gdy jego dziadkowi lub w  
każdym  
razie tegoż dziadka przodkom przysługiwały wszystkie prawa i dopiero w ciągu czterech wieków  
mołoch  
wydzierał im je gwałtem lub potęgą wymowy...  
I to obaj ubierali się czarno, ten dziadek z Północy i tamten z Południa, i obaj w tym celu, aby  
stworzyć  
wyraźny dystans pomiędzy sobą a złą terażniejszością.  
Pierwszy czynił to jednak z pietyzmu dla przeszłości, składając w ten sposób hołd czasom czynnym i  
śmierci, do których wewnętrznie należał, u drUgiego, przeciwnie, było to wyrazem buntu ruchom  
złożonym postępowi, który był wrogiem wszelkiego pietyzmu.  
Dumał Hans Castorp, to były dwa różne światy albo strony świata; i kiedy słuchając opowieści  
Settembriniego, jak gdyby stał między nimi i spoglądał badawczo raz w jeden, raz w drugi, zdawało  
mu się,  
że już przeżywał kiedyś coś podobnego.  
Przypomniał sobie pewną samotną przejażdżkę łódką, którą przedsięwziął przed laty na jakimś  
holsztyńskim jeziorze, późnym latem, o zmroku.  
Była siódma godzina, słońce już zaszło, a księżyc, niemal w pełni, ukazał się na wschodzie, ponad  
brzegiem  
zarośniętym łożami.  
Podczas gdy Hans Castorp wiosłował po powierzchni wody, wytworzyła się na przeciąg dziesięciu  
minut  
konstelacja, która go dziwnie niepokoiła i usposabiała do marzeń.  
Na zachodzie Jeszcze jasny dzień, szkliste, trzeźwe, zdecydowanie dzienne światło, ale kiedy  
odwrócił  
głowę, to patrzył w równie niewątpliwą, czarowną, wilgotnymi nićmi przetykaną noc księżycową.  
Niezwykłe to skojarzenie minęło po upływie mniej więcej kwadransa, dopóki natura ostatecznie nie  
przechyliła się na rzecz księżyca i nocy, olśniony i oczarowany blaskiem wzrok Hansa Castorpa  
wędrował  
raz po raz od jednego oświetlenia i krajobrazu do drugiego, od dnia do nocy i z powrotem - od nocy  
do  
dnia.  
To wszystko przypominało mu się teraz.  
Adwokat Settembrini, tak rozmyślał Hans Castorp, skutkiem swojego trybu życia i rozległej  
działalności  
mógł być bardzo uczonym prawnikiem.  
Ale, jak wnuk jego, od lat dzieciennych aż do zgonu kierował się zawsze ogólną zasadą prawa.



Hans Castorp, chociaż w tych czasach miał niezbyt sprawny umysł i czuł wielką ociążałość po kilku daniach sanatoryjnego obiadu, starał się pojąć co miał na myśli Settembrini, nazywając tę zasady źródłem

wolności i postępu".

Przez postępowanie Hans Castorp rozumiał dotychczas coś w rodzaju rozwoju techniki dźwigarów w ciągu dziewiętnastego stulecia, przekonał się też, że Settembrini był mniej, podobnie jak i Hans Lorenz Castorp,

zdecydowany, nie lekceważył tych rzeczy.

Włoch wyrażał się z głębokim szacunkiem o ojczyźnie swych obu słuchaczy, " przecież wynaleziono

proch, który zbroję feudalistów przemienił w bezużyteczne rupiecie, a także prasę drukarską: ona to umożliwiła demokratyczne rozpowszechnienie idei - to znaczy: rozpowszechnienie idei demokratycznych.

Pod tym względem chwalił więc Niemcy, o ile chodziło o przeszłość, chociaż palmę pierwszeństwa przyznawał własnemu krajowi który, jak twierdził, pierwszy rozpostarł sztandar oświecenia, nauki, wolności, kiedy inne narody pogrążone były jeszcze w mroku przesądów i niewoli.

Jeżeli jednak wysoko cenił - jak to zaznaczył w czasie pierwszego spotkania z kuzynami koło ławki na

stoku góry - technikę i komunikację, właściwą dziedzinę pracy Hansa Castorpa, to czynił to, jak się zdawało, nie z powodu wartości tych potęg samych przez się, ale ze względu na ich znaczenie dla moralnego rozwoju ludzkości, bo takie właśnie znaczenie skłonny był im przypisywać.

Technika, mówił, coraz bardziej podporządkowuje sobie naturę, ujarzmia ją dzięki łączności, którą stwarza,

budując sieć dróg i telegrafów, przewycięża różnice klimatów i jest najpewniejszym środkiem wzajemnego

zbliżania ludów, pomaga im we wzajemnym poznawaniu się, wyrównuje dzielące je przepaści, burzy przesady i prowadzi do ogólnego zbratania.

Ród ludzki wyszedł z mroku, lęku i nienawiści, ale kroczy promienną drogą naprzód i wzwyż do ostatecznego celu jakim jest przyjaźń wewnętrzna, światłość, dobro i szczęście; a na tej drodze, powiedział Settembrini technika jest najlepszym wehikułem.

Ale tak perrorując, jednym tchem łączył z sobą kategorie, o których Hans Castorp zwykł był dotychczas myśleć tylko jako o rzeczach bardzo od siebie odległych.

Technika i moralność!

- powiedział.

Z kolei Włoch zaczął mówić o Zbawicielu chrześcijaństwa, który pierwszy objawił zasadę równości i zbratania, rozpowszechnioną w znakomity sposób przez prasę drukarską podniesioną w końcu do godności najwyższego prawa - wielki przewrót państwowy we Francji.

Nie wiadomo dlaczego, ale, bez wątpienia, wywody te wydały się Hansowi Castorpowi mętne, chociaż ujęte były w tak jasne i dobitne słowa.

Raz tylko, mówił Settembrini, raz jeden w życiu, w samym rozkwicie czuł się jego dziadek zupełnie szczęśliwy: było to w czasie paryskiej rewolucji lipcowej.

Głośno i butnie wypowiedział wtedy zdanie, że ludzkość umieści kiedyś te trzy dni paryskie obok sześciu dni stworzenia świata.

Słyszając to Hans Castorp uderzył pięścią w stół, tak bardzo zdumiała go te słowa.

Nie mogło pomieścić mu się w głowie, jak można te trzy ostatnie dni 1830 roku, które mieszkańcom

Paryża dały nową konstytucję, porównywać z tamtymi sześcioma dniami, w których Pan Bóg oddzielił wodę od łądu i stworzył wieczne światła niebieskie, kwiaty, drzewa, ptaki, ryby i wszelkie życie, i jeszcze później, w rozmowie w cztery oczy z Joachimem, dał dobitny wyraz swemu zdumieniu, a nawet oburzeniu.

Ale Hans Castorp pragnął przecież ulec czyjemuś wpływowi, w tym sensie, że jest rzeczą przyjemną negowanie tego i owego; tak więc starał się podciągnąć protest przeciwko poglądom Settembriniego, wywołany w nim przez pietyzm i poczucie dobrego smaku, sądził bowiem, że to, co mu się wydaje grzechem, może być nazwane śmiałością, a to, co robiło na nim wrażenie złego smaku, mogło być wielkodusznością i szlachetnym uniesieniem, przynajmniej w owym czasie: na przykład fakt, że dziadek Settembrini barykady nazwał "tronem ludu" i oświadczył, że "pikę obywatela należy poświęcić na ołtarzu ludzkości".

Hans Castorp wiedział, dlaczego przysłuchuje się Settembriniemu, niedokładnie wprawdzie, ale zdawał sobie z tego sprawę.

Poza tym, że był tu na wakacjach i czuł się beztroskim turystą i hospitantem, który nie powinien bronić do siebie dostępu żadnym zewnętrznym wrażeniom, ale poddawać im się z pełną świadomością, że jutro albo po jutrze puści się znowu w drogę i powróci do normalnego łądu - poza tym zrodziło się w nim coś w rodzaju poczucia obowiązku, jakby jakiś nakaz sumienia, i to, aby już być zupełnie ścisłym, nakaz sumienia w pewnej mierze nieczystego; on to sprawiał że Hans Castorp słuchał wywodów Włocha z nogą założoną na nogę i paląc swoje cygaro marki "Maria Mancini" albo też kiedy wracali w trójkę z angielskiej dzielnicy do sanatorium "Berghof".

Według poglądów głoszonych przez Settembriniego dwie zasady walczą o świat: siła i prawo, tyrania i wolność, przesąd i wiedza, konserwatyzm i wieczny ferment postępu.

Można by pierwszą z nich nazwać zasadą azjatycką, a drugą - europejską, bo Europa jest ojczyzną buntu, krytyki i burzycielstwa, wschodnia zaś część świata uosabia bezruch i beczynny spoczynek.

Nie ma żadnych wątpliwości, która z tych dwóch zasad odniesie wreszcie zwycięstwo: zasad oświecenia i doskonalenia się zgodnie z nakazami rozumu.

Bo człowieczeństwo w swym triumfalnym pochodzie porywa za sobą coraz więcej narodów, coraz więcej miejsc zdobywa w samej Europie i zaczyna przedzierać się do Azji.

Ale daleko jeszcze do jego ostatecznego zwycięstwa i wiele szlachetnych wysiłków oczekuje tych, którzy są już oświeceni i przepojeni ideą, zanim wreszcie nadejdzie dzień, kiedy w gruzy rozpadną się monarchie i religie także w tych krajach europejskich, które w gruncie rzeczy nie przeżyły osiemnastego stulecia ani roku 1789.

Ale dzień ten nadejdzie, twierdził Settembrini i uśmiechał się nieznacznie pod wąsem, jeśli nie przyjdzie na gołębich nóżkach, to przyleci w poszumie orlich skrzydeł i zajaśnieje jako jutrzienka ogólnego zbratania ludów, pod znakiem rozumu, nauki i prawa.

Przyniesie z sobą święte przymierze pańskiej demokracji, świetlane przeciwieństwo po trzykroć haniebnego przymierza książąt i gabinetów, którego osobistym i śmiertelnym wrogiem był dziadek Giuseppe - jednym słowem, cały świat objęty zostanie powszechną republiką.

Dla osiągnięcia tego ostatecznego celu należy jednak tę azjatycką niewolniczą zasadę zachowawczości ugodzić w sam środek i rdzeń jej oporu, mianowicie Wiedeń.

Trzeba pobić na głowę i zniszczyć Austrię, przede wszystkim, aby pomścić przeszłość, a następnie, aby utorować drogę panowaniu prawa i ogólnemu szczęściu na ziemi.

Ten ostatni zwrot i konkluzja pięknie brzmiących wywodów Settembriniego zupełnie już nie interesowały Hansa Castorpa, wyraźnie nie podobały mu się, a nawet wywierały na nim niemiłe wrażenie, jako osobiste i narodowe zacietrzewienie - nie mówiąc już o Joachimie Ziemssenie: ten

bowiem chmurzył się i odwracał głowę, przestając słuchać, ilekroć Włoch zaczynał z tej beczki, i przypominał, że czas na Werandowanie, albo starał się zmienić temat rozmowy.

Hans Castorp również wolał nie słuchać tych dygresji - widocznie leżały one poza granicą idei, którymi na próbę pragnął się przejąć, zgodnie z nakazem swojego sumienia; a nakaz ten był tak wyraźny, że on sam, Castorp, wzywał Settembriniego, by przed nimi snuł wątek swych myśli, kiedy Włoch przysiadł się do nich albo przyłączał na spacerach.

Poglądy te, ideały i dążenia były, jak twierdził Settembrini, tradycją rodzinną w jego domu.

Bo dziad, ojciec i wnuk, wszyscy trzej, poświęcali im życie i wszystkie swoje siły, każdy z nich na swój sposób: ojciec nie mniej niż dziadek Giuseppe, chociaż nie był, jak tamten, agitator politycznym i bojownikiem o wolność, ale cichym i subtelnym humanistą spędzającym życie za swoim pulpitem.

Ale czym właściwie jest humanizm?

Humanizm to umiłowanie człowieka, nic więcej, ale tym samym jest to zarazem polityka i bunt przeciwko wszystkiemu, co kała i bezcześci ideę człowieczeństwa.

Zarzucono humanizmowi, że zbyt wielką wagę przywiązuje do formy; ale pielęgnuje on piękną formę jedynie ze względu na ludzką godność, w wyraźnym przeciwieństwie do średniowiecza, które było pogrążone nie tylko w nienawiści do człowieka i w zabobonach, ale również w sromotnym braku formy.

Humanizm od samego początku walczył o dobro ludzkości, o sprawy ziemskie, o wolność myślenia i radość szczęścia i sądził słusznie, że niebo należy pozostawić wróblom.

Prometeusz!

On był pierwszym humanistą, był identyczny z owym szatanem, którego opiewa w swym hymnie Carducci...

Ach, szkoda, że Joachim i Hans Castorp nie słyszeli, jak ten boloński wróg Kościoła grzmiał zjadliwie przeciwko chrześcijańskiej czułości romantyków!

Przeciwko świętym pieśniom Manzoni!

Przeciwko romanticzno i jego poezji cieniów i światła księżycowego, którą przyrównywał do "Luny, bladej mniszki niebios"!

Per Bacco, jakaż to była rozkosz!

I szkoda, że nie słyszeli, jak on, Carducci, wykladał Danta, jak ccił w nim obywatela wielkiego miasta, powstawał przeciw ascezie i zaprzeczeniu życia i przeciwstawiał im twórczą siłę, wstrząsającą posadami świata i otwierającą nowe horyzonty.

Bo mianem Donna gentile e pietosa ochrzcił poeta nie chorowity i mistagogiczny cień Beatryczy, ale nazwał tak swoją żonę, która uosabia w poemacie zasadę ziemskiego poznania i praktyczną działalność życiową...

(Donna gentile e pietosa, z włoskiego - pani szlachetna i miłosierna).

Hans Castorp usłyszał więc także i to i owo o Dantem, i to z najlepszego źródła; ze względu jednak na pewną skłonność do fanfaronady u interlokutora był ostrożny w przyjmowaniu wiadomości.

W każdym bądź razie było rzeczą interesującą usłyszeć, że Dante był uświadomionym obywatelem wielkiego miasta.

A dalej Settembrini opowiadał o sobie, że w nim złączyły się dążenia jego bezpośrednich przodków, że za

namową dziadka do polityki i humanistycznych tendencji został literatem, niezależnym pisarzem.

Bo literatura jest tylko połączeniem polityki z humanizmem, połączeniem, które tym łatwiej dochodzi do

skutku, że humanizm sam jest już polityką, a polityka humanizmem..

W tym miejscu Hans Castorp skupił uwagę i starał się dobrze zrozumieć, bo miał nadzieję, że pojmie jasno

całą ignorancję piwowara Matti, że dowie się, dlaczego literatura jest jednak czymś zupełnie innym niż

"pięknymi charakterami".

Settembrini zapytał, czy słuchacze jego słyszeli już kiedyś o panu Brunetto Latini, notariuszu miejskim

Florencji około 1250 roku, który napisał książkę o cnotach i występkach?

Mistrzowi temu zawdzięczają Florentyńczycy swą ogładę, nauczył ich mówić (pokazał, jak powinni rządzić

swą republiką zgodnie z wymaganiami polityki).

O to właśnie chodzi, panowie!

- zawołał Settembrini.

- O to właśnie chodzi!

- I mówił o "słowie", o kulcie słowa, o krasomówstwie, które nazywał sumieniem ludzkości. Bo słowem chlubi się rodzaj ludzki, i tylko ono czyni życie godnym człowieka.

Nie tylko humanizm - ale humanitaryzm w ogóle, wszelka godność ludzka, poszanowanie człowieka i jego

szacunek dla samego siebie są nierozdzielnie związane ze słowem, z literaturą - ("Widzisz więc - mówił

później Hans Castorp do kuzyna - widzisz, że " literaturze chodzi o piękne słowa?

Ja to od razu zauważyłem") - a więc i polityka z nią jest związana albo raczej: polityka wypływa ze związku, z jedności humanitaryzmu i literatury, bo piękne słowo to i piękny czyn.

- Przed dwustu laty mieliście w swoim kraju poetę, wspaniałego starego gawędziarza, który wielkie znaczenie przypisywał ładnemu charakterowi pisma, bo twierdził, że piękne pismo pociąga za sobą piękny

styl.

Powinien się był posunąć jeszcze trochę dalej i powiedzieć, że piękny styl prowadzi do pięknych czynów. Pięknie pisać znaczy też prawie to samo co pięknie myśleć, a stąd już jeden tylko krok do pięknych czynów.

Wszelka kultura duchowa i moralne doskonalenie się ma swój początek w duchu literatury, w duchu godności ludzkiej, który jest zarazem duchem humanitaryzmu i polityki.

Tak, wszystko to stanowi jedność, jest tą samą potęgą i tą samą ideą, i wszystko można objąć jedną nazwą.

Jak brzmi ta nazwa?

Składa się ona z dobrze znanych zgłosek, których znaczenia i majestatu obaj kuzyni zapewne nigdy jeszcze

dotychczas dokładnie nie pojęli - a mianowicie: cywilizacja!

I wymawiając to słowo Settembrini wyciągnął do góry swą drobną, żółtą rękę, jak gdyby wznosił toast.

Hansowi Castorpowi wydawało się to wszystko godnym uwagi, choć nie obowiązującym i raczej dla próby, ale w każdym razie godnym uwagi, i oświadczył to Joachimowi Ziemssenowi, który jednak miał

właśnie termometr w ustach, mógł więc tylko coś niewyraźnego bąknąć w odpowiedzi, a później tak

był  
zajęty odczytywaniem cyfry i zapisywaniem jej na tabliczce, że nie mógł zająć stanowiska wobec  
poglądów  
Settembriniego.  
Hans Castorp chętnie, jak powiedzieliśmy, wchłaniał je w siebie i dla próby chętnie dawał im  
przystęp do  
swej duszy; wynika stąd przede wszystkim wyraźna wyższość człowieka czuwającego nad  
niedorzecznie  
śniącym - we śnie bowiem Hans Castorp już nieraz wymyślał Settembriniemu od kataryniarzy i starał  
się go  
odpędzić, bo mu się wydawało, że Włoch "tutaj przeszkadza"; na jawie jednak słuchał go uważnie i  
grzecznie i starał się lojalnie powściągać i zwalczać sprzeciwy, rodzące się w nim przeciwko  
poglądom i  
wykładom mentora.

Bo nie można zaprzeczyć, że napotykały one w duszy Hansa Castorpa na pewne opory: były między  
nimi  
takie, które tkwiły w nim z dawien dawna, zawsze i od urodzenia niejako, jak również nowe,  
powstałe  
specjalnie na gruncie jego obecnej sytuacji, pod wpływem częściowo pośrednich, częściowo  
ukrywanych

przeżyć tu w górze, kim właściwie jest człowiek i jak łatwo daje oszukać się jego sumienie!

Jak dobrze potrafił nawet w słuszności obowiązku dosłuchać się zezwolenia na wartości.

Hans Castorp słuchał Settembriniego z poczucia obowiązku i słuszności i z chęci osiągnięcia powagi  
i poddawał przychylniej analizie jego postawy na rozum, na ustrój republikański i na piękno, był  
gotowy poddać się jego wpływowi.

Uważał to jednak później za dowód szczególnej stałości charakteru, kiedy pozwalał myślom swym i  
marzeniom ruszać się w odwrotnym kierunku, a nawet - już otwarcie wypowiedzieć nasze  
podejście, nawet nasze zdanie w tej sprawie - słuchał Settembriniego jedynie w tym celu, aby  
uzyskać od swojego myślenia dyspensę, której początkowo nie chciało udzielić.

Ale co takiego lub kto taki znajdował się po tej drugiej stronie, przeciwnej patriotyzmowi, godności  
ludzkiej i literaturze pięknej, po stronie, którą Hans Castorp znów ośmielał się wysyłać swojej myśli  
i chęci?

Znajdowała się tam...

Kławdia Chauchat z kirgiskimi oczami, w niedbałej postawie i toczona przez chorobę, i gdy Hans  
Castorp o niej myślał - (myśleć o kimś jest zresztą zbyt ściśle określonym wyrazem na oznaczenie  
sposobu jego wewnętrznego zwracania się ku niej), czuł się znowu jak Wówczas, gdy płynął łódką  
po owym holsztyńskim jeziorze i od szklistej jasności dnia, panującej na zachodnim brzegu, zwracał  
oczarowany i olśniony widokiem wzrok ku przetykanej mgłami księżycowej nocy we wschodniej  
stronie nieba.

Termometr.

Tydzień Hansa Castorpa trwał tutaj od wtorku do wtorku, bo przecież we wtorek przyjechał. Już  
przed kilku dniami uregulował swój drugi tygodniowy rachunek, skromny rachunek, wynoszący  
okrągło 160 franków, skromny, według jego opinii bynajmniej nie wygórowany, nie licząc nawet  
różnych nieocenionych stron jego pobytu, właśnie dlatego, że były nieocenione, i nie licząc również  
pewnych świadczeń, których wartość dałaby się obliczyć, jak na przykład orkiestry grającej w

sanatorium raz na dwa tygodnie albo odczytów doktora Krokowskiego; rachunek obejmował tylko utrzymanie, składające się z

pięciu niezwykle obfitych posiłków dziennie, hotelową usługę i wygodne pomieszczenie.

- Wiesz, to niewiele, nawet tanio; nie możesz narzekać, że cię obdzierają tu w górze - rzekł hospitant do stałego gościa.

- Wydajesz wobec tego okrągłe 650 franków miesięcznie na mieszkanie i życie, a i opieka lekarska jest już w to wliczona.

Dobrze.

Przypuśćmy, że wydajesz jeszcze trzydzieści franków miesięcznie na napiwki, jeżeli jesteś przyzwoitym

gościem i chcesz widzieć dokoła Siebie zadowolone twarze.

A więc razem 680 franków.

Dobrze.

Zapewne DOwiesz się, że dochodzą jeszcze inne koszty i opłaty.

Wydaje się pieniądze i na napoje, i na kosmetykę, na cygara, od czasu do czasu robi się wycieczkę, jakąś

przejażdżkę powozem, jeśli chcesz, a trzeba coś nie coś liczyć również na krawca i szewca. Dobrze, a więc licząc to wszystko, przy najlepszych chęciach, nie wydasz tu nawet tysiąca franków na miesiąc!

Nawet ośmiuset marek, to znaczy niecałe 10000 marek rocznie.

Więcej pobyt tutaj na pewno nie kosztuje.

za to żyjesz.

- Znakomicie liczysz w pamięci - rzekł Joahim.

- Zupełnie nie wiedziałem, że jesteś tak biegły w rachunkach.

A najbardziej podoba mi się to, że od razu robisz kalkulację roczną; to dowodzi wielkiego gestu, widzę, żeś

się już czegoś nauczył tu w górze.

Zresztą, liczysz za dużo.

Nie palę cygar, a poza tym mam nadzieję, że nie będę zmuszony do zamawiania sobie tutaj ubrań.

Dziękuję pięknie!

A więc nawet za dużo - odpowiedział Hans Castorp, trochę zmieszany.

Ale jak się to stało, że wstawił do rachunku kuzyna cygara i nowe ubrania - bo co się tyczy szybkiego liczenia w pamięci, to polegało tylko na złudzeniu i przecenianiu wrodzonych zdolności.

Jak we wszystkim bowiem, tak i w tym Hans Castorp był raczej powolny i flegmatyczny, a jego szybka orientacja w danym wypadku nie była spontaniczna, ale pochodziła stąd, że Hans Castorp był już przygotowany i rachunek miał już nawet zrobiony na piśmie.

Pewnego wieczora mianowicie, podczas werandowania (bo idąc za przykładem kuracjuszy Hans Castorp przecież kładł się przed kolacją na balkonie), pewna myśl poderwała go z doskonałego leżaka, wszedł do pokoju, przysunął sobie papier i ołówek i zajął się liczeniem.

Doszedł do wniosku, że jego kuzyn albo raczej że się tutaj w ogóle wydaje na wszystko razem około 12000 franków rocznie, i uprzytomnił sobie dla żartu, że to sytuacja gospodarcza pozwala mu aż nadto na życie tutaj, bo wolno mu liczyć na dochód 18-19000 franków rocznie.

A więc jego drugi tygodniowy rachunek został przed trzema dniami za pokwitowaniem i z

podziękowaniem uregulowany, innymi słowy, Hans Castorp rozpoczął trzeci, i zgodnie ze swym zamiarem, ostatni tydzień swego pobytu tu w górze.

W nadchodzącą niedzielę miał jeszcze wysłuchać koncertu, który odbywał się tu raz na dwa tygodnie, a w poniedziałek jeszcze jednego odczytu doktora Krokowskiego, który również przemawiał raz na czternaście dni.

Tak myślał sobie i powiedział to Joachimowi.

A we wtorek lub środę miał stąd wyjechać i znowu zostawić kuzyna samego, biednego Joachima, któremu Radamantys przepisał jeszcze Bóg wie ile miesięcy pobytu i którego czarne oczy o łagodnym spojrzeniu przesłaniała mgła melancholii, ilekroć była mowa o szybko zbliżającym się odjeździe Hansa Castorpa.

Wielki Boże, gdzież się podział ten czas wakacji!

Upłynął, wymknął się, uleciał - naprawdę, trudno było powiedzieć, jak.

Ostatecznie było to dwadzieścia jeden całych dni, które mieli spędzić z sobą, długi szereg, z początku trudny do objęcia myślą.

I nagle pozostało z tego wszystkiego tylko trzy czy cztery mizerne dni, nieduża resztką, dwukrotnie wprawdzie urozmaicona w sposób powyżej wspomniany, ale wypełniona już myślą o pakowaniu i rozłace.

Trzy tygodnie były prawie niczym tu w górze - wszyscy mu to od razu powiedzieli.

Settembrini mówił, że najmniejszą jednostką czasu jest tutaj miesiąc, a ponieważ pobyt Hansa Castorpa miał być jeszcze krótszy, więc nie można było właściwie mówić o jego pobycie tutaj, raczej wpadł jak po ogień, wedle wyrażenia radcy Behrensa.

Czy może wzmożone spalanie ogólne było przyczyną tego niezwykle szybkiego biegu czasu?

Takie tempo mogło być korzystne dla Joachima ze względu na czekający go jeszcze pięćmiesięczny Pobyt w "Berghofie", jeżeli naturalnie skończy się na pięciu miesiącach.

W ciągu tych trzech tygodni należało jednak zwracać baczniejszą uwagę na prąd tak jak się to czyni podczas mierzenia temperatury, kiedy przepisowe siedem minut urasta do rozmiarów niezmiernie długiego okresu.

Hans Castorp współczuł serdecznie swemu kuzynowi, w którego oczach malował się żal z powodu bliskiej utraty towarzysza, tym bardziej gdy pomyślał, że ten nieszczęśnik pozostanie tutaj sam na stałe, podczas gdy on, Hans Castorp, będzie znowu wiódł żywot na dole i podejmie swą pracę na polu łączącej techniki komunikacyjnej.

Współczuł z nim tak bardzo, że nieraz ścisnęło mu się serce, tak bardzo, że chwilami poważnie wątpił, czy zdobędzie się na to by wyjechać i porzucić kuzyna.

Tak silnie więc mu współczuł, i to sprawiło, że coraz rzadziej sam z własnej inicjatywy mówił o odjeździe: Joachim był tym, który zaczynał na ten temat rozmawiać; Hans Castorp natomiast, z wrodzonego taktu i delikatności, do ostatniej chwili starał się nie chcieć o tym myśleć.

(Miejmy przynajmniej nadzieję - odezwał się Joachim - że wypocząłeś u nas i że będziesz się lepiej czuł po powrocie do domu.

Tak, wszystkich pozdrowię od ciebie - odpowiedział Hans Castorp - i powiem, że przyjedziesz najpóźniej za pięć miesięcy.

Czy wypocząłem?

Pytasz, czy wypocząłem w ciągu tych kilku dni?

Zdaje się, a w każdym razie przypuszczam, że nawet w tak krótkim czasie można przyjść do siebie, chociaż

muszę powiedzieć, że doznałem tutaj tylu nowych wrażeń, pod każdym względem, bardzo

pobudzających,  
jednocześnie wyczerpujących zarówno fizycznie, jak duchowo, że nie wydaje mi się, jakobym się z nimi uporał i tutaj zupełnie zaaklimatyzował, a to jest przecież koniecznym warunkiem wszelkiego wypoczynku. "Maria Mancini" smakuje mi od paru dni, chwała Bogu, jak dawniej. Od czasu do czasu widzę jednak czerwone plamy na chusteczce i do końca już nie pozbędę się chyba tych przeklętych wypieków na twarzy i głupiego bicia serca.

Nie, o przystosowaniu się do klimatu nie może u mnie być mowy; co prawda, nie starczyło na to czasu.

Należałoby tu dłużej posiedzieć, żeby zaaklimatyzować się zupełnie i uporać z nowymi wrażeniami, i wtedy dopiero mogłoby się zacząć wypoczywanie i odkładanie w organizmie białka.

Szkoda, Mówię "szkoda", bo stanowczo źle się stało, że nie wyznaczyłem sobie więcej czasu na urlop - a ostatecznie mógłbym był to zrobić.

Przewiduję, że na dole przede wszystkim będę musiał odpocząć po tym odpoczynku i spać przez trzy tygodnie - tak czuję się czasami sfatygowany.

A do tego ten wstrętny katar, Bo wyglądało tak, jak gdyby Hans Castorp miał zjechać na dół z katarzem pierwszej klasy.

Przeziębził się prawdopodobnie podczas werandowania, a mianowicie, by raz jeszcze operować prawdopodobieństwem, podczas werandowania wieczornego; uprawiał je od tygodnia mniej więcej, nie zważając na zimno i wilgoć, a zdawało się, że pogoda nie poprawi się chyba do samego jego odjazdu. Dowiedział się jednak, że taka pogoda nie uchodziła tutaj za złą.

Pojęcie niepogody było w ogóle w tym środowisku nieznane, nie obawiano się złych warunków atmosferycznych i prawie nie liczono się z nimi; i Hans Castorp zaczął sobie tę obojętność przyswajać z młodzieńczą podatnością i gotowością przystosowywania się do poglądów i zwyczajów otoczenia. Jeżeli lało jak z cebra, to nie należało jeszcze wnosić, że skutkiem tego powietrze jest mniej suche. I chyba rzeczywiście tak było, bo twarz wciąż go paliła, jak to bywa czasami w zanadto opalonym pokoju albo po wypiciu dużej ilości wina.

Co zaś tyczyło się zimna, które silnie dawało się odczuwać, to znów nie miało zupełnie sensu chować się przed nim do pokoju, bo ponieważ nie było śniegu, kaloryfery były nieczynne i bynajmniej nie było przyjemniej siedzieć w pokoju niż leżeć na werandzie w zimowym palcie, owinięty według wszelkich prawideł sztuki dwoma kocami z sierści wielbłądziej.

Przeciwnie, to ostatnie było bez porównania przyjemniejsze, była to najmiłsza pozycja życiowa, jakiej kiedykolwiek doświadczył.

Przekonania tego nie mógł zachwiać fakt, że jakiś literat Carbonaro nazwał ją złośliwie, z pewnym krytycyzmem i ubocznym znaczeniem, "poziomą" pozycją bojową.

Najwięcej zadowolenia dawała mu ta pozycja właśnie wieczorami, kiedy obok na stoliku paliła się



mała  
lampka elektryczna, a on leżał, ciepło otulony w koce, paląc swoje ulubione cygaro marki "Maria Mancini",  
w którym znowu odnalazł smak.  
Marzył mu wprawdzie koniuszek nosa i sztywniały czerwone z zimna ręce, w których trzymał książkę, wciąż jeszcze Ocean steamships - ale rozkoszował się wszystkimi nieuchwytnymi zaletami sanatoryjnego  
leżaka i patrzył przez łuki loggii w dolinę, pełną już to rzadko rozrzuconych, już to gęściej skupionych światel, w której prawie co wieczór przynajmniej przez godzinę dolatywały dźwięki muzyki, mile przytłumione tony znanych melodii: fragmenty oper "Carmen", "Trubadur" albo "Wolny strzelec", harmonijne walce, marsze, w których takt Hans Castorp w podnieconym humorze poruszał głową, i wesołe mazurki.  
"Mazurka"?  
Przecież ona nazywała się właściwie Marusia, ta panna z małym rubinem na palcu.  
A w loggii obok, za przegrodą z grubego szkła mlecznego, leżał Joachim i Hans Castorp zamieniał z nim od czasu do czasu jakieś słówko, po cichu i bacząc, aby nie przeszkadzać innym werandującym. Joachimowi było na jego balkonie tak samo wygodnie, chociaż był niemuzykalny i nie znajdował przyjemności w wieczornych koncertach.  
A szkoda, bo zamiast słuchać muzyki czytał gramatykę rosyjską.  
Hans Castorp natomiast kładł Ocean steamships na kocu i z rozkoszą przysłuchiwał się muzyce, rozumiał przejrzystą głębię jej faktury, i jakaś specjalnie pomysłowa, charakterystyczna i nastrojowa melodia dawała mu tak silne zadowolenie wewnętrzne, że od czasu do czasu myślał o tym, jak Settembrini wyrażał się o muzyce, budziła w nim gwałtowną złość - na przykład powiedzenie, że muzyka jest politycznie podejrzana, które w gruncie rzeczy nie było lepsze od gadaniny dziadka Giuseppe o rewolucji lipcowej i o sześciu dniach stworzenia świata"...  
Rozkosze muzyczne były więc mniej dostępne dla Joachima, obca mu też była romantyczna przyjemność palenia; poza tym jednak leżał tak samo zacisznie w swojej loggii, jak Hans Castorp - w zaciszu i spokojnie.  
Dzień był już skończony, tym razem wszystko było skończone i można było być pewnym że dzisiaj nic się już nie stanie, że nie nastąpią żadne wstrząsy i że mięsień sercowy nie znajdzie się już wobec żadnych nowych zadań.

Ale zarazem miało się pewność, że jutro znowu to wszystko powróci i powtórzy się od początku z prawdopodobieństwem które wynikało z ciasnej przestrzeni i z regularnego rytmu sprzyjających okoliczności; ta podwójna pewność i poczucie bezpieczeństwa napawały Hansa Castorpa głębokim zadowoleniem i w połączeniu z muzyką, i z odzyskanym aromatem "Marii Mancini", sprawiały, że w

czasie

wieczornego werandowania czuł się prawdziwie szczęśliwy.

To wszystko razem jednak nie ochroniło naszego delikatnego nowicjusza i hospitantą od porządnego przeziębienia się podczas werandowania (lub może w jakichś innych okolicznościach).

Silny katar nadciągał i uciskał już czoło, języczek w gardle był czerwony i obolały, a powietrze

wydawało

się zimne i nie dostawało się do płuc przewidzianym w tym celu naturalnym kanałem, ale przeciskało się z

trudem jakąś inną drogą, wywołując ostry kaszel za każdym oddechem.

Któregoś dnia, obudzony rano, Hans Castorp zaczął mówić głuchym basem, jak po długim nadużywaniu alkoholu, i opowiadał, że tej nocy nie zmrużył oka, bo czuł tak dławiącą suchość w krtani, iż

raz po raz musiał siadać na łóżku.

- Wiesz, że to przykrość - powiedział Joachim, a nawet zmartwienie.

Trzeba ci wiedzieć, że przeziębienia nie są tu przyjęte, nie są recus, po prostu zaprzeczają się im; wobec tak

znacznej suchości powietrza oficjalnie nie występują one tutaj, i miałby się z pyszna, kto chciałby się zwrócić

do Behrensa z powodu przeziębienia.

Z tobą, co prawda, rzecz ma inaczej, ty masz ostatecznie prawo do przeziębienia.

Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli jakoś przeciwdziałać twojemu katarowi - na nizinie są na to sposoby, ale

wątpię, czy ktokolwiek w dostatecznej mierze zainteresuje się tutaj tym niedomaganiem. Lepiej tu nie chorować, bo nikogo to nic nie obchodzi.

To jest stare tutejsze przykazanie, przekonasz się sam o tym w końcu.

Kiedy tu przyjechałem, zastałem pewną panią, która przez cały tydzień trzymała się za ucho i jęczała z

bólu; wreszcie Behrens obejrzał ucho i powiedział: "Może pani być zupełnie spokojna, to nie jest na tle

gruźliczym"!

I na tym się skończyło.

Tak, trzeba się namyślić, co można zrobić!

Wspomne o tym jutro rano kąpielowemu, kiedy przyjdzie do mnie.

Taka jest droga służbowa: on powie o tym dalej, i może coś ci poradzą.

Tak postanowił Joachim i droga służbowa spełniła swoje zadanie.

Kiedy Hans Castorp wrócił w piątek z porannego spaceru, zastukano do jego pokoju i weszła panna von

Myllendonk, czyli "siostra przełożona", jak ją tutaj nazywano.

Hans Castorp mógł więc z nią naręczyć osobistą znajomość, bo dotychczas widywał ją tylko z

daleka, jak, widocznie bardzo zajęta pracą, opuszczała jeden pokój chorego, aby przeciąwszy korytarz,

wejść do drugiego; czasami zjawiała się na chwilę w jadalni i rozlegał się wtedy jej skrzeczący głos.

A teraz przysłała do niego samego, ściągnięta jego katarą; zastukała twardo i krótko do drzwi i weszła,

zanim zdążył wypowiedzieć "proszę", od progu cofnęła się jeszcze, żeby sprawdzić numer pokoju.

Trzydzieści cztery - zarzegotała głośno.

- Zgadza się moje dziecko, on me dit, que vous avez pris froid.

I hear, you have caught a cold.

Wy, każetsja, prostudilis, słyszę, że pan się przeziębił?

Po jakimu mam z panem rozmawiać?

Po niemiecku, już Wiem.

Ach, to przecież gość młodego Ziemssena, wiem już.

Spieszę się do sali operacyjnej.

Mamy tam takiego, który ma być zachloroformowany, a tymczasem objadł się sałatki z fasoli. Jak się tylko samej we wszystko nie wglądnie...

A pan, moje dziecko, mówi że się tutaj przeziębił?

Hans Castorp zdumiał się, słysząc tę paplaninę podstarzałej szlachcianki.

Mówiąc, jak gdyby przechodziła do porządku nad swoimi własnymi słowami okrągłymi, węzowymi ruchami zwracała niespokojnie głowę to tu, to tam, zadzierając nos do góry, jak to czynią drapieżne zwierzęta w klatce; jednocześnie poruszała rytmicznie w przegubie prawą ręką, pokrytą piegami, z lekka

stuloną i z podniesionym w górę kciukiem, jak gdyby chciała powiedzieć: "Prędko, prędko! niech pan nie słucha tego, co mówię, ale niech pan sam mówi, żebym mogła już odejść"! Była to osoba lat około czterdziestu, niziutkiego wzrostu, niekształtna, ubrana w biały, przewiązany paskiem kliniczny fartuch, a na piersi jej widniał krzyżyk z granatów.

Spod białego czepca wymykały się kosmyki rzadkich rudawych włosów; jasnoniebieskie oczy z zaczerwienionymi powiekami, z których jedno zeszpecone było w dodatku dojrzewającym jęczmieniem,

rzucały wkoło niespokojne spojrzenia; miała zadarty nos, żabie usta, a na domiar złego skrzywioną i wystającą dolną wargę, którą podczas mówienia poruszała jak szuflą.

Pomimo to wszystko Hans Castorp przyglądał się jej z wrodzoną uprzejmością, skromnie, cierpliwie i ufnie.

- Cóż to za przeziębienie, hę?

- spytała znowu starsza siostra, starając się przeszyć go na wylot oczami, co jej się jednak nie udało, bo

uciekały jej w bok.

- Nie lubimy takich przeziębień.

Czy Pan się często przeziębia?

A pański kuzyn, czyż także się często tak nie przeziębiał?

Ile pan ma lat?

Dwadzieścia cztery?

Ten wiek bywa skłonny.

Więc pan wjeżdża na górę i jest pan przeziębiony?

Nam tu nie wolno mówić o "przeziębieniach", moje drogie dziecko, to wszystko są bzdury z dołu.

- (Słowo "góry" zabrzmiało w jej ustach jakoś wstrętnie, rubasznie, wydostając się z jej dolnej wargi jakby za pomocą szuflki).

- Pan ma wspaniałą katar dróg oddechowych, przyznaję, widać to od razu po pańskich oczach.

- (I znowu spróbowała przeszyć go spojrzeniem, co jej się jednak niezupełnie powiodło).

- Ale katary nie pochodzą z zimna, lecz z infekcji, przeciwko której brak organizmowi odporności, i powstaje tylko pytanie, czy mamy tu do czynienia z infekcją niewinną, czy może mniej niewinną, wszystko inne to bzdury.

- (Znowu te straszne "bzdury").

- Być może, że to coś zupełnie niewinnego - rzekła i spojrzała na niego swoim dojrzewającym jęczmieniem, sam nie wiedział jak.

- Ma pan tutaj nieszkodliwy środek antyseptyczny. Może sprawi panu ulgę.

- I z czarnej torby skórzanej, wiszącej u jej paska, wyjęła pudełeczko i położyła na stole. Był to formamint.

- Zresztą wygląda pan na podnieconego, pewnie ma pan gorączkę.

- nie przestawała mu patrzeć prosto w oczy, chociaż wciąż nieco uciekającym w bok spojrzeniem. Czy mierzył pan sobie temperaturę?

Castorp zaprzeczył.

Dlaczego?

- zapytała wysunawszy pytająco skrzywioną i wystającą dolną wargę...

Milczał.

Pocziwiec był jeszcze tak młody, zachowywał się jak sztubak, który stoi w ławce, nic nie mówi i milczy. Czy pan nigdy nie mierzy sobie temperatury?

Owszem, proszę siostry.

Kiedy mam gorączkę.

Ależ, dziecko, trzeba wpierw zmierzyć, ażeby wiedzieć, czy się ma gorączkę.

A teraz sądzi pan, że pan nie ma?

Nie jestem pewien, proszę siostry; nie bardzo się w tym orientuję.

Właściwie od samego przyjazdu jest mi gorąco i zimno jednocześnie.

- Aha!

A gdzie jest pański termometr?

- Nie przywiozłem go, proszę siostry, bo przecież przyjechałem tu tylko z wizytą i jestem zdrowy.

- Bzdury!

Czy pan mnie wezwał dlatego, że jest zdrowy?

- Nie - uśmiechnął się grzecznie Hans Castorp, ale dlatego, że się trochę...

- ...przeziębłem; takie przeziębienia widywali już tu w górze!

- przerwała mu i zaczęła znowu grzebać w swojej torbie.

Wyciągnęła z niej dwa podłużne futerały, czarny i czerwony, i położyła je również na stole.

- Proszę!

Ten kosztuje trzy franki pięćdziesiąt, a ten pięć franków.

Ma się rozumieć, że lepszy jest ten za pięć.

Jeżeli pan będzie się z nim należycie obchodził, starczy na całe życie.

Z uśmiechem wziął ze stołu czerwony futerałik i otworzył go.

Ujrzał w nim termometr, lśniący jak klejnot; leżał w zagłębieniu z czerwonego aksamitu doskonale dopasowanym do kształtu przyrządu.

Całkowite stopnie były oznaczone czerwonymi, a dziesiątne czarnymi kreseczkami.

Cyfry były czerwone, a w dolnej zwężonej części błyszczała jak lustro rtęć.  
Słupek rtęci kończył się znacznie poniżej normalnego stopnia temperatury zwierzęcej.

Hans Castorp wiedział, co winien jest sobie i swojej reputacji.

- Biorę ten - rzekł nie otwierając nawet drugiego.

- Ten za pięć franków.

Czy mogę natychmiast...

- Zrobione!

- zaskrzeczała siostra.

- Nie należy oszczędzać na ważnych zakupach!

Nie ma żadnego pośpiechu, wstawię to panu do rachunku.

Niech mi pan da, spuścimy najpierw rtęć do samego końca, o tak.

- Wyjęła mu termometr z ręki, wstrząsnęła nim kilkakrotnie w powietrzu i w ten sposób zepchnęła słupek

rtęci poniżej 35 stopni.

- Już sam się podniesie, już pójdzie do góry merkuriusz!

- rzekła.

- Niech pan weźmie swój nowy nabytek.

Pan wie, jak się u nas z tym postępuje.

Kilka razy dziennie na siedem minut pod szacowny język, a szanowne wargi trzymać dobrze zamknięte. Tak, moje dziecko!

Życzę pomyślnych wyników!

- Wyszła z pokoju.

Hans Castorp, stojąc przy stole, uklonił się, a potem przez dłuższą chwilę patrzył na drzwi, za którymi

znikła, i na instrument przez nią pozostawiony.

Więc to była siostra von Mylendonk - pomyślał.

Settembrini nie lubi jej i rzeczywiście ma ona swoje złe strony.

Ten jęczmień jest paskudny, zresztą zapewne ma go przecież nie zawsze.

Ale dlaczego mówi do mnie "dziecko"?

To dziwna poufałość.

I ni stąd, ni z owąd sprzedała mi termometr.

Zauważyłem, że miała ich kilka w torbie.

Joachim powiedział mi, że tu wszędzie sprzedają termometry, we wszystkich sklepach, nawet tam, gdzie

się tego można najmniej spodziewać.

Ale nie musiałem się trudzić, sam "wpadł mi w ręce".

Wyjął drobny przyrząd z futerału, obejrzał go i zaniepokojony przeszedł z nim parę razy przez pokój.

Serce biło mu szybko i mocno.

Obejrzał się na otwarte drzwi od balkonu, potem zrobił krok w kierunku drzwi na korytarz, bo przysła

mu nagła chęć odwiedzenia Joachima, zatrzymał się jednak i znowu usiadł przy stole, odchrząknawszy, aby

wypróbować termometr.

Zauważył, że jest zachrypnięty, przez co wywołał kaszel.

"Tak, muszę zobaczyć, czy mam gorączkę z kataru" - rzekł i włożył termometr do ust, tak aby rtęć

znajdowała się pod językiem.

Termometr sterczał ukośnie w górę między wargami, które szczelnie zacisnął, aby zablokować dopływ

zewnątrznego powietrza.

Potem spojrzął na zegarek, który nosił na ręce: było sześć minut po wpół do dziesiątej. I zaczął czekać, aż upłynie siedem minut.

Ani jednej zbytecznej sekundy za dużo - myślał - i ani jednej za mało.

Na mnie można polegać, nie trzeba używać "niemowy", jak tej Otylii Kneifer, o której opowiadał Settembrini".

I chodził po pokoju, przyciskając językiem termometr.

Czas Upływał i dłużył się w nieskończoność.

Kiedy spojrzął na zegarek, już w obawie, że przekroczy termin, okazało się, iż mierzy dopiero dwie i pół

minuty.

Robił tysiące rzeczy, brał różne przedmioty do ręki i odkładał z powrotem, wyszedł na balkon nie ukazując

się jednak Joachimowi, i przyglądając krajobrazowi, tej górskiej dolinie, tak dobrze mu już znanej ze wszystkimi szczegółami: przed nim wznosiły się wierchy, granie i ściany skalne, z lewej strony grzbiet

Brembuhl z porastającymi jego stoki regłami opadał skośnie, niby kulisą, ku miasteczku; po prawej stronie

formacje górskie, których nazwy były mu już również znane, i ściana Alteinu, zamykająca z jego punktu

widzenia dolinę od południa; spoglądał w dół, na ścieżki i grządki w ogrodzie, na grotę skalną i jodłę;

nastawił ucha na jakieś szepty dolatujące z ogólnej leżalni, po czym wrócił do pokoju, starając się poprawić

termometr w ustach, wyciągnął rękę, aby w ten sposób zsunąć rękaw z zegarka, i przybliżył ją do twarzy. Z wysiłkiem, z trudem, mimo popychania i jakby przynaglania czasu, upłynęło zaledwie sześć minut. Ale ponieważ, stojąc teraz nieruchomo pośrodku pokoju, popadł w marzenia i puścił wodze

myślom, przeto ostatnia minuta przemknęła się jakby na palcach, i nowy ruch ręki przekonał go, że niepostrzeżenie

minęła; było nieco za późno, jedna trzecia ósmej minuty należała już do przeszłości.

Hans Castorp pomyślał, że to nic nie szkodzi, że nie ma wpływu na wynik, szybkim ruchem wyrwał z ust

termometr i spojrzął nań błędnym wzrokiem.

Nie od razu udało mu się odczytać temperaturę, bo blask rtęci łączył się z odbiciem światła od spłaszczonej

murki szklanej, i zdawało mu się już to, że słupek rtęci dochodzi do samej góry, już to znowu, że nie ma go

wcale.

Podnosił instrument do samych oczu, obracał na wszystkie strony i nic nie dostrzegał.

Wreszcie natrafił na właściwą pozycję, obraz stał się wyraźny i Hans Castorp starał się nie stracić go z oczu

i zgłębić znaczenie tego, co widzi.

Rzeczywiście merkuriusz wydłużył się znacznie; słupek rtęci wzniósł się dość wysoko i kończył się o kilka

kresek powyżej granicy normalnej ciepłoty krwi.

Hans Castorp miał 37,6.

Przed południem, pomiędzy dziesiątą a wpół do jedenastej, 37,6 - to było za dużo, to była "temperatura"

gorączka, jako skutek infekcji, na którą był nieodporny, i pozostawało pytanie, co to była za inna?

37,6 - więcej nie miał nawet Joachim, więcej nie miał tu nikt, kto nie był ciężko chory i nie leżał w łóżku jako

skazany na śmierć, ani panna Zenfeld ze sztuczną odmą, ani...

ani też Madame Chauchat.

Naturalnie, u niego było to coś innego - zwykła gorączka z kataru, jak mówiono na równinie. Trudno było jednak teraz to odróżnić; Hans Castorp stwierdził, że mógł mieć już gorączkę, zanim się przeziębiał, i musiał żałować, że nie zmierzył sobie temperatury zaraz po przyjeździe, jak to mu radził radny

Behrens.

Teraz okazało się, że rada ta była zupełnie rozsądna, a Settembrini niesłusznie śmiał się z niej tak ironicznie

- ten Settembrini ze swoją republiką i pięknym stylem.

Hans Castorp gardził republiką i pięknym stylem, wciąż badając termometr, by dobrze wiedzieć, co wskazuje; miał znowu trudności z odczytaniem temperatury i dopiero obracając termometr na wszystkie

strony, dostrzegł wyraźnie: Jak to wcześniej przed południem!

Hans Castorp był wzburzony.

Przeszedł się parę razy po pokoju, trzymając termometr poziomo w rękę, by przez przypadkowe pionowe

wstrząśnienia nie obniżyć rtęci, potem z wszelkimi ostrożnościami położył na umywalni, wziął palto i koce i

wyszedł na balkon.

Usiadłszy na leżaku, wprawną ręką owinął się od dołu i z boków kocami, naprzód jednym, potem drugim i

położył się nieruchomo, oczekując pory drugiego śniadania i przyjścia Joachima.

Czasami uśmiechał się, ale tak jakby do kogoś.

Czasami pierś jego wznosiło drżące westchnienie i wtedy kaszel wydobywał się z jego zakatarzonej piersi.

Joachim, który o jedenastej, z uderzeniem gongu, zaszedł po niego, aby zejść razem z nim na śniadanie,

zastał go jeszcze w pozycji leżącej.

- No więc?

- zapytał zdziwiony, stając przy leżaku...

Hans Castorp milczał jeszcze przez chwilę i Patrzył przed siebie; potem odezwał się: - Chcesz usłyszeć

nowinę?

Mam trochę podwyższoną temperaturę.

- Co to ma znaczyć?

- zapytał Joachim.

- Nie czujesz, że masz gorączkę?

Hans Castorp znowu nie od razu odpowiedział.

Po chwili rzekł z wolna: - Mój drogi, gorączkę czuję już od dawna, właściwie przez cały czas. Ale teraz nie chodzi o subiektywne odczuwanie, ale o obiektywne stwierdzenie.

Właśnie mierzyłem sobie temperaturę.

- Mierzyłeś?!

Czym?!

- zawołał Joachim z przestachem.

- Rozumie się, że termometrem - odparł Hans Castorp, ironicznie i trochę surowo.

- Kupiłem od starszej siostry.

Nie rozumiem, dlaczego ona ciągle mówi "moje dziecko", uważam, że to jest nie na miejscu.

Ale sprzedała mi w pośpiechu doskonały termometr, a jeżeli chcesz się przekonać, ile wskazuje, to zobacz,

leży tam na umywalni.

Bardzo nie znaczne podwyższenie.

Joachim odwrócił się na pięcie i wszedł do pokoju.

Kiedy wrócił, rzekł z pewnym wahaniem: - Tak, tu jest 37 i 5 dziesiątych.

- To znaczy, że trochę opadło - odpowiedział szybko Hans Castorp.

- Było trzydzieści siedem i sześć.

- W każdym razie nie można tego nazwać nieznacznym podwyższeniem, bo zważ, że mierzyłeś przed południem - mówił Joachim.

- To ładna historia - powiedział i stanął obok leżaka kuzyna w pozycji odpowiadającej tej "ładnej historii", z

rękami wspartymi na biodrach i z pochyloną głową.

Będziesz się musiał położyć.

Hans Castorp miał na to przygotowaną odpowiedź.

Nie widzę powodu, dla którego miałbym z temperaturą 37,6 leżeć w łóżku, podczas gdy ty i wielu innych

chodzicie z nią.

Z nami jest inna sprawa - odpowiedział Joachim.

- Twoja choroba jest prosta i niewinna.

Masz gorączkę z kataru.

- po pierwsze - odparł Hans Castorp, podzieliwszy swoją przemowę na "po pierwsze" i "po drugie"-  
nie

pojmuję, dlaczego z gorączką niewinną - założmy, że taka w ogóle istnieje - należy leżeć w łóżku, a z  
inną

można chodzić.

A po drugie, tłumaczę ci przecież, że już przed kataru czułem gorączkę.

Stoję na stanowisku - zakończył - że 37,6 równa się 37,6.

Jeżeli wy możecie chodzić z taką temperaturą, to i ja mogę.

Ależ ja po przyjeździe musiałem cztery tygodnie przeleżeć - powiedział Joachim - i pozwolono mi  
wstać

dopiero wtedy, kiedy się okazało, że pomimo leżenia w łóżku temperatura się utrzymuje. Hans



Castorp uśmiechnął się.

- No więc?

- zapytał.

- Myślałem, że u ciebie to było coś innego.

Widzę, że wikłasz się w sprzeczności.

Najpierw mówisz o różnicy, a potem znowu stawiasz na równi.

To wszystko są bzdury...

Joachim odwrócił się gwałtownie, a kiedy znów spojrział na kuzyna, jego opalona twarz była jeszcze o ton

ciemniejsza.

- Nie - rzekł - niczego nie stawiam na równi, ty bałamucisz.

Uważam tylko, że jesteś silnie przeziębiony, słyhać to w twoim głosie, i powinieneś się koniecznie położyć,

żebyś jak najszybciej wyzdrowiał, przecież na przyszły tydzień chcesz jechać!

Jeżeli jednak nie chcesz - to znaczy, jeżeli nie chcesz się położyć, to rób, co chcesz.

Nie myślę cię krępować.

Bądź co bądź teraz musimy iść na śniadanie.

Śpiesz bo już się spóźniliśmy.

I Dobrze, jazda!

- zawołał Hans Castorp i odwinął koce.

Wszedł do pokoju, aby przygładzić sobie włosy, a jednocześnie obserwował z boku Joachima, który znowu

wziął termometr do ręki.

Potem w milczeniu zeszli na dół i zajęli swe miejsca w jadalni gdzie, jak zwykle o tej porze, było białe od

mleka.

Kiedy karlica przyniosła piwo, Hans Castorp rzekł jej z pełną powagi rezygnacją, że dzisiaj woli nie pić

piwa, że w ogóle nic pić nie będzie, nie, dziękuje, najwyżej jeden łyk wody.

Wszyscy zwrócili na to uwagę.

Jak to?

Cóż to znaczy?

Dlaczego nie piwo?

- Hans Castorp oznajmił, że ma trochę podwyższoną temperaturę.

37,6.

Nic straszego.

Wtedy zaczęli wygrażać mu palcami - jakoś bardzo dziwnie.

Uśmiechali się szelmowsko, przechylali głowy, mrużyli jedno oko i wznosili wskazujące palce do wysokości ucha, jak gdyby ktoś, kto dotychczas udawał niewiniątko, dał nagle powód do wielce pikantnych posądzeń.

- Ale też z pana żartowniś!

- rzekła nauczycielka, grożąc mu palcem z uśmiechem, i puszek na jej policzkach zaróżowił się.

- Ładne historie słyszymy tutaj, nie ma co mówić.

No, no, no!

- Ho, ho - powiedziała nagle pani Stohr i pogroziła mu, przykładając do nosa swój krótki, czerwony

paluch.

- Nagle temperatura jest u pana jegomości.

Dobry z pana jegomość, zabawny pasażer.

- Nawet stara ciotka z drugiego końca stołu, kiedy wieść do niej dotarła, pogroziła mu żartobliwie i chytrze;

śliczna Marusia, która dotychczas prawie nie zwracała na niego uwagi, pochyliła się ku niemu, spojrzała

swymi okrągłymi brązowymi oczami i także pogroziła mu palcem, przyciskając do ust chusteczkę z pomarańczowym zapachem; doktor Blumenkohl, któremu pani Stohr opowiedziała, o co chodzi, również

nie mógł się powstrzymać od powszechnego gestu, nie patrząc jednak przy tym w stronę Hansa Castorpa, i

tylko miss Robinson pozostała zimna i nieczuła, jak zwykle.

Joachim siedział ze skromnie spuszczonej oczami.

Hansowi Castorpowi schlebiało to, że się tak z nim przekomarzano, sądził jednak, że powinien skromnie

przeczyć.

Nie, nie - powiedział - państwo się mylą, pRzypadek Jest najniewinniejszy w świecie, mam katar.

Przecież państwo widzą: oczy mi łzawią, krtani mam zaflegmioną, Pół nocy kaszlę bez przerwy, bardzo

niemiła choroba...

- Ale nie przyjęto jego usprawiedliwień, śmiano się nadal i wymachując rękami, wołano: Katar, Tak, tak,

gadanie, wymówki, gorączka z kataru, znamy się na tym!

- A potem wszyscy naraz zażądali, żeby Hans Castorp natychmiast dał się zbadać, wszystkich poruszyła ta

wiadomość; spomiędzy wszystkich siedmiu stołów, przy tym stole drugie śniadanie upływało w najbardziej

ożywionym nastroju, szczególnie pani Stohr z kryzą na szyi i z twarzą czerwoną i głupią, pocętkowaną

licznymi skazami, i wprost dziko rozmowna rozwodziła się nad przyjemnością kaszłania - tak, mówiła, jest

w tym coś wielce zabawnego i przyjemnego, kiedy w głębi krtani odczuwa się coraz silniejsze łechtanie i

kiedy skurcz sięgnąć musi tak głęboko, aby sprostać sile bodźca.

Podobnie ma się rzecz z kichaniem: chęć kichnięcia wzmagą się najpierw gwałtownie, staje się nie do

pokonania, z oszołomioną miną wykonuje się kilka wdechów i wydechów, po czym następuje rozkoszna

kapitulacja i błogosławiony wybuch każe chwilę zapomnieć o bożym świecie.

A czasami kilcha się po dwa lub trzy razy z rzędu.

To rozkosze dnia, które się ma za darmo; miło jest też na przykład na wiosnę drapać się w odmrożone

miejsca, które łechcą tak słodko - drapać się namiętnie jawnym okrucieństwem, aż do krwi, z wściekłością i

rozkoszą, a jeżeli się wówczas spojrzy w lustro, dostrzeże się w nim twarz diabelnie Wykrzywioną. Ikulturalna pani Stohr wdawała się w taktowny sposób w tego rodzaju szczegóły przez cały przeciąg krótkiego, ale obfitego posiłku.

Wstawszy od stołu, obaj kuzyni udali się na drugą przedobiednią przechadzkę w dół do Uzdrowiska. Joachim był zamyślony, a Hans Castorp, dręczony katarą, stękał, chrząkał i kaszłał z głębi chorej piersi. W powrotnej drodze odezwał się Joachim: - Chcę ci coś zaproponować.

Dzisiaj jest piątek -na jutro po obiedzie przypada moja miesięczna wizyta lekarska; ale nie będzie to generalne badanie, Behrens trochę mnie opuka i podyktuje Krokowskiemu kilka uwag. Mógłbyś pójść ze mną i poprosić żeby za jednym zamachem i ciebie szybko zbadano.

Przecież to nie ma sensu - gdybyś był w domu, wezwałbyś Heidekinda, a tutaj, gdzie mieszkasz pod jednym dachem z dwoma specjalistami, chodzisz po świecie, nie wiedząc, co ci właściwie jest, jak głęboko to w tobie tkwi i czy nie należałoby się położyć do łóżka.

- Dobrze - odpowiedział Hans Castorp.

- Zrobię, jak chcesz.

Naturalnie, mogę dać się zbadać.

A przy tym będzie dla mnie rzeczą interesującą asystować raz przy wizycie.

Tak więc umówili się; a kiedy doszli już do sanatorium, przypadek zrządził, że spotkali się z radcą Behrensem, mogli więc na miejscu przedstawić mu swoją prośbę.

Behrens wyszedł właśnie z bramy, długi, z grubym karkiem, w sztywnym kapeluszu zsuniętym na tył głowy i z cygarem w ustach.

Jak zwykle miał sine policzki i załzawione oczy.

Opuścił właśnie salę operacyjną i śpieszył na wizyty prywatne.

- Uszanowanie panom!

- zawołał.

- Ciągle w kieracie?

Musiało być pięknie na dole w eleganckim świecie!

Wracam właśnie z nierównego pojedynku na nóż i piłkę kostną.

Poważna operacja - reesekcja żeber.

Dawniej pięćdziesiąt procent operowanych zostawało przy tym na tutejszym stole.

Teraz udaje się nam lepiej; ale jeszcze często zdarza się że trzeba mortis causa przedwcześnie związać manatki, dzisiaj nie psuł zabawy...  
trzymał się bardzo dzielnie...

Zabawna rzecz taka klatka piersiowa, która nią właściwie już nie jest.

Miękkie i brzydkie - lekkie przesunięcie pojęcia, że się tak Wyrażę.

No, a panowie?

Jak szanowne zdróweczko?

Przyjemnie tak we dwóch, co, Ziemssen, stary spryciuło?

Ale dlaczego właściwie pan płacze, panie Hansie?

- zwrócił się nagle do Hansa Castorpa.

- Publicznie nie wolno u nas płakać.

Taka reguła.

Każdy mógłby przyjść i beczeć!

To katar, panie radco - odparł Hans Castorp.

- Nie wiem, jakim sposobem nabawiłem się potężnego kataru.

Kaszlę także i czuję ciężar na piersiach.

Tak?

- rzekł Behrens.

- Powinien pan się poradzić jakiegoś dobrego lekarza.

Obaj roześmiali się, a Joachim odpowiedział, stuknąwszy po żołniersku obcasami: - Właśnie mamy ten zamyślony zamiar.

Jutro przypada moje badanie i chciałem zapytać, czy pan radca nie byłby łaskaw obejrzeć równocześnie mojego kuzyna.

Chodzi o to, czy we wtorek będzie mógł wyjechać...

Zrobimy to!

- odpowiedział Behrens.

Zrobimy to z przyjemnością!

Już dawno należało to uczynić.

Jeżeli ktoś jest już tutaj, powinien i temu się poddać.

Ale, naturalnie, nie mogłem się narzucać.

A więc jutro o drugiej, prosto od żłobu...

- Mam także lekką gorączkę - dodał jeszcze Hans Castorp.

Co pan mówi!

- zawołał Behrens.

- Pan myśli, że to dla mnie coś nowego?

Nie mam oczu w głowie, czy co?

- I wskazał swoim olbrzymim palcem przekrwione, zażlawione oczy z siecią niebieskich żyłek.

- Ile pan ma?

Hans Castorp skromnie wymienił cyfrę.

Przed południem?

Hm, wcale nieźle.

Jak na początek wykazuje pan niezgorsze zdolności.

No, więc jutro o drugiej!

Będę nad wyraz szczęśliwy.

Nieprzyjemnego trawienia!

- Zginając nogi w kolanach i wiosłując rękami, puścił się drogą w dół; smuga dymu z cygara znaczyła ślad jego kroków.

- Widzisz, stało się według twego życzenia rzekł Hans Castorp.

- Lepiej nie mogło się zdarzyć, zapowiedziałem się już.

Nie będzie on mógł wiele pomóc, przepisze mi może jakiś syrop lukrecjo, albo ziółka na kaszel, ale przecież jest przyjemnie mieć trochę pomocy lekarskiej w stanie, w jakim się znajduję obecnie.

Ale dlaczego wszystko, co on mówi jest zawsze tak rubaszne!

Z początku bawiło mnie to ale teraz już mi się sprzykrzyło.

Na przykład, życzy nieprzyjemnego trawienia - cóż to za sposób wyrażania się!

Nie podoba mi się także, że on pali, niepokoi mnie to, bo wiem, że palenie nie służy mu i przyprawia go o melancholię.

Settembrini powiedział, że jego wesołość jest wymuszona, a Settembrini to krytyk, ma niezawodny sąd o rzeczy, to trzeba mu przyznać.

Powiniennem może także dbać o samodzielność sądu, a nie brać wszystkiego tak, jak jest - on ma pod tym względem rację.

Czasami jednak zaczyna się od osądzania, nagany i od słusznego gniewu, a potem nagle zjawia się coś zupełnie innego, nie mającego nic wspólnego z sądzeniem, i wtedy surowa ocena moralna pozostaje gdzieś w tyle, a republika i piękny styl budzą tylko niesmak...

Zaczął coś mruzczyć niewyraźnie i zdawało się, iż sam dobrze nie wie, o co mu chodzi.

Joachim spojrział nań tylko z boku i powiedział "do widzenia", po czym każdy z nich udał się do swego pokoju i na swój balkon.

- Ile?

- zapytał z cicha po chwili Joachim, chociaż nie widział, że Hans Castorp znowu mierzył sobie temperaturę.

A ten odpowiedział obojętnym tonem: - Nic nowego.

Rzeczywiście, zaraz po przyjsciu wziął z umywalni swój wytworny nowy nabytek, wstrząsając go na nowo strzepnął owe 37,6, których rola była już skończona, i udał się na balkon ze szklanym cygarem w ręce, jak stary bywalec.

Ale na przekór zbyt daleko idącym przewidywaniom i chociaż trzymał termometr przez całe osiem minut, merkuriusz nie wspiął się wyżej i wskazał znowu 37,6 - co było gorączką, choć nie większą, niż miał przed południem.

Po obiedzie błyszczący słupek podniósł się do 37,7, a wieczorem, kiedy pacjent czuł się już bardzo zmęczony wzruszeniami i niespodzianymi perypetiami dnia, pokazał 37,5.

Następnego ranka, tylko koło południa temperatura osiągnęła wczorajszą (37,6).

Tak nadszedł główny posiłek i wybiła godzina naznaczonego rendezvous.

Hans Castorp przypomniał sobie później, że podczas tego obiadu Madame Chauchat miała na sobie buro żółty sweter z wielkimi guzikami i oblamowanymi kieszeniami, który, przynajmniej dla Hansa Castorpa, był nowy i w którym, po spóźnionym jak zwykle wejściu do sali, swoim dobrze Hansowi Castorpowi znanym zwyczajem zaprezentowała się biesiadnikom.

Potem prześliznęła się, jak to robiła pięć razy dziennie, do swojego stołu, miękkim ruchem opuściła się na krzesło i gawędząc zabrała się do jedzenia.

Hans Castorp uważniej niż dotychczas przyglądał się ruchom jej głowy, towarzyszącym rozmowie i kierując wzrok na lepszy stół rosyjski, popatrzył na sylwetkę Settembriniego, który siedział przy skraju

jednego z poprzecznie ustawionych stołów, nawet zauważył okrągłość jej karku i pochylenie pleców. Pani Chauchat ani razu podczas jedzenia nie obejrzała się poza siebie.

Nastąpiło to jednak po deserze, gdy wielki zegar wahadłowy, stojący pod wąską ścianą jadalni, tam gdzie

znajdował się również stół rosyjski, wybił godzinę drugą.

Podczas gdy wydzwaniał tę godzinę - raz, dwa - ku niewymownemu wzruszeniu Hansa Castorpa urocza

pacjentka po woli odwróciła głowę, a nawet trochę i górną połowę ciała, i spojrzała przez ramię wyraźnie i

jawnie w stronę jego stołu - i to nie w ogóle w stronę stołu, ale niedwuznacznie i zupełnie osobiście na

niego.

Dokoła zamkniętych ust i w jej wąsko krojonych oczach Przybysława igrał uśmiech jakgdyby chciała zapytać: "A więc?"

Już czas.  
Czy idziesz?"  
(Bo gdy mówią tylko oczy, rozmowa toczy się przecież na "ty", nawet wtedy, kiedy usta nie powiedziały jeszcze nawet "pan").  
Hans Castorp zdumiony i zmieszany tym zdarzeniem, ledwie wierzył swoim zmysłom, i na wpół przytomnie spojrział prosto na panią Chauchat, a potem, wznosząc oczy, poprzez jej czoło i włosy w przestrzeń.  
Czyżby wiedziała, że na godzinę drugą miał zamówioną wizytę?  
Zupełnie tak wyglądało.  
A jednak było to prawie tak samo nieprawdopodobne, jak to, by wiedziała, że przed chwilą właśnie namyślał się, czyby nie dać znać Behrensowi przez Joachima, że jego przeziębienie już mija i że wizytę swoją uważa za zbyteczną.  
Pod wpływem pytającego uśmiechu pani Chauchat zalety tego pomysłu znikły nagle.  
W następnej sekundzie Joachim położył już na stole zwiniętą serwetkę, dał mu znak oczami, skłonił się sąsiadom i skierował się ku wyjściu - a za nim poszedł Hans Castorp, krokiem pozornie pewnym, ale pełen wewnętrznego wahania; miał przy tym uczucie, że tamto spojrzenie i tamten uśmiech odprowadzają go aż do drzwi.  
Od wczorajszego przedpołudnia rano nie rozmawiali już o tym, co ich dzisiaj czeka, i teraz też szli jakby w milczącym porozumieniu.  
Joachim śpieszył się.  
Było już po oznaczonej godzinie, a radca Behrens wymagał punktualności.  
Wyszędłszy z jadalni minęli parterowy korytarz z lokalem "Zarządu" i po lśniących schodach, wyłożonych woskowanym linoleum, zeszli do niższej kondygnacji.  
Joachim zastukał do drzwi, znajdujących się na wprost schodów, na których widniała tabliczka z napisem "Pokój ordynacyjny".  
- Proszę!  
- zawołał radca Behrens, silnie akcentując pierwszą zgłoskę.  
Stał w fartuchu pośrodku pokoju, w prawej ręce trzymał czarną słuchawkę i uderzał nią po udzie.  
"Tempo, tempo - rzekł i łzawiącymi oczami spojrział na zegar ścienny.  
- Un poco piu presto, Signiori!  
(włoskie - Trochę szybciej, panowie)!"  
Nie jesteśmy tutaj wyłącznie dla jaśnie wielmożnych panów".  
Przy podwójnym biurku pod oknem siedział doktor Krokowski, bladej w swym czarnym fartuchu, z łokciami opartymi o blat; w prawej ręce trzymał pióro, lewą zanurzył w brodzie, a przed nim leżały papiery, prawdopodobnie historia choroby.  
Na wchodzących spojrział tępym wzrokiem i miał przy tym wyraz twarzy człowieka, który jest obecny

jedynie w charakterze asystenta.

- No, jakaż tam konduita?

- zawołał radca Behrens w odpowiedzi na usprawiedliwianie się Joachima i wyjął mu z ręki wykres gorączki; podczas gdy przypatrywał się krzywej, pacjent pośpiesznie rozbierał się do połowy i wiesział

ubranie na wieszaku, stojącym obok drzwi.

O Hansa Castorpa nikt się nie troszczył.

Przez chwilę stał przypatrując się, a później usiadł w staromodnym foteliku z frędzelkami zwieszającymi

się z poręczy, obok małego stolika z karafką wody.

Dokoła ścian stały szafy z grubymi tomami dzieł medycznych i fascykułami aktów.

Z mebli był tu tylko obciążony białą ceratą szeszlony, który można było podśrubować w górę lub opuścić

w dół; poduszka tego szeszlony okryta była papierową serwetką.

- 7 dziesiątych, 9 dziesiątych, 8 dziesiątych - mówił Behrens, przerzucając karty tygodniowe, na których

Joachim skrupulatnie zapisywał rezultaty Pięciu codziennych pomiarów temperatury...

- Wciąż jeszcze to oszołomienie, mój drogi.

Nie widzę poprawy w stosunku do tego, co było tu kiedyś ("Tu kiedyś" - Było przed czterema tygodniami). Jeszcze tkwią w panu te jady, jeszcze ciągle.

No, to przecież nie da się zrobić z dnia na dzień; czarować nie umiemy.

Joachim przytakiwał i potrzasał gołymi ramionami, chociaż byłby mógł zauważyć, że przecież znajduje się

tutaj nie od wczoraj.

- Co słyhać z kluciem w okolicy prawej strony gdzie ton był zaostrozony?

Lepiej?

No, niech się pan zbliży, trzeba będzie grzecznie do pana zapukać i rozpoczęła się auskultacja. Radca Behrens rozstawił szeroko nogi, przechylił się w tył i trzymając słuchawkę pod pachą, pukając z początku u góry koło prawego barku Joachima pukał olbrzymim środkowym palcem prawej ręki poruszając ją w przegubie, podkładając lewą rękę pod ten naturalny młoteczek.

Następnie zszedł w dół poniżej łopatki, i opukiwał środkową i dolną partię pleców z boku, po czym Joachim, dobrze już wyszkolony, podniósł rękę, aby dać się opukać także pod pachą.

Z kolei powtórzyło się to wszystko po lewej stronie.

Skończywszy, Behrens zawołał: "Obrócić się"!

i zabrał się do opukiwania piersi.

Zaczął pod samą szyją obok obojczyków, opukał górną i dolną część piersi, najpierw z prawej, później z

lewej strony.

Kiedy napukał się do syta, przeszedł do wysłuchiwania, przykładając ucho do jednego końca słuchawki, a

drugi jej koniec przyciskając kolejno do wszystkich miejsc, które przedtem opukiwał.

Joachim musiał przy tym na przemian głęboko oddychać i sztucznie kaszleć, co go widocznie bardzo zmęczyło, bo się zadyszał i oczy zaszyły mu łzami.

Radca Behrens wszystko, co tam wewnątrz wysłuchał, dyktował siedzącemu za biurkiem asystentowi w

krótkich i umownie ustalonych słowach, tak że Hans Castorp mimo woli przypomniał sobie ów dobrze

znany proceder u krawca, kiedy to elegancko ubrany pan bierze klientowi miarę na ubranie, przykładając w tradycyjnej kolejności do tułowia i kończyn taśmę metrową, i pochylonemu nad stołem pomocnikowi dyktuje odczytane cyfry.

"Krótki", "skrócony" dyktował radca Behrens.

"Pęcherzykowy" - powieje powtórzył (to było widocznie pomyślne).

Krótki - powiedział i skrzywił się.

"Bardzo długi" "Szmer".

A doktor Krokowski wszystko zapisywał, jak pomocnik krawca zapisuje liczby.

Hans Castorp, zamyślony i z głową przechyloną w bok przyglądał się torsowi Joachima, którego żebra

jeszcze (na szczęście) podczas głębokiego klęchania wznosiły się pod naprężoną skórą wysoko nad jamę

wciągniętego brzucha - temu smukłemu, brązowemu, smagłemu, młodzieńczemu torsowi, pokrytemu ciemnymi włosami na mostku i obu zresztą rękach, z których jedna ozdobiona była łańcuszkową bransoletką.

To są ręce gimnastyka - myślał Hans Castorp.

On zawsze chętnie się gimnastykował, podczas gdy ja nie miałem do tego ochoty, u niego szło to w parze z

zamiłowaniem do służby wojskowej.

On zawsze przywiązywał znaczenie do ruchu fizycznego, o wiele większe niż ja, a w każdym razie innego

rodzaju; bo ja byłem zawsze cywiilem, mnie chodziło głównie o ciepłą kąpiel, smaczne jedzenie i picie, a

jemu o to, by sprostać wymaganiom i zadaniom męskości.

A teraz w taki zupełnie nieoczekiwany sposób ciało stało się u niego czymś najważniejszym, usamodzielniało się i ustąpiło poniekąd na dalszy plan, a mianowicie przez chorobę.

Ma stany gorączkowe i nie może wyzdrowieć, chociaż tak bardzo chciałby być już znowu żołnierzem tam

na nizinie.

Zbudowany jest według wszelkich prawideł, jak Apollo Belwederski - z wyjątkiem włosów. Wewnętrznie jest chory, a zewnętrznie zbyt słabym, choroba czyni człowieka czymś bardziej cielesnym,

czyni go samym tylko ciałem...

Pomyślawszy, Hans Castorp przeraził się; oderwał wzrok od nagiego torsu Joachima i spojrzał na jego

oczy, wielkie, błyszczące, łagodne oczy, które łzawiły od sztucznego oddychania i kaszlu i smutno patrzyły

teraz poprzez nich gdzieś w przestrzeń.

Tym czasem radca Behrens skończył badanie.

- No, jest dobrze, Ziemssen - powiedział, Wszystko, o ile to możliwe, w porządku.

Następnym razem (to znaczy za miesiąc) znowu pewno będzie wszędzie trochę lepiej.

- Jak długo, myśli pan radca, że...



- Pan mnie już znowu chce przynaglać?

Przecie nie może pan w stanie takiego podniecenia ćwiczyć swych żołnierzy!

Pół roku - powiedziałem ostatnim razem, więc ostatecznie niech pan się tego trzyma, ale proszę to uważać

za minimum.

Zresztą, nie jest panu tutaj źle, przecież pan nie będzie nieuprzejmy.

przecież to nie bagno ani syberyjska kopalnia.

A może pan myśli, że właśnie coś w tym rodzaju?

No dobrze Ziemssen!

Odejść!

Kto tam ma jeszcze ochotę?

- zawołał i spojrzał w górę.

Wyciągnąwszy rękę, podał przy tym słuchawkę doktorowi Krokowskiemu, który wstał i odebrał ją, aby

przeprowadzić u Joachima małe asystenckie badanie dodatkowe.

Hans Castorp również zerwał się z miejsca i utkwivszy wzrok w twarzy radcy Behrensa, który stał jakby

zamyślony, z szeroko rozstawionymi nogami i otwartymi ustami, zaczął się pośpiesznie rozbierać.

Gorączkował się i nie od razu udało mu się ściągnąć przez głowę kolorową koszulę z mankietami.

A potem stanął przed Behrensem - biały, jasnowłosy i wąski w ramionach; był zbudowany o wiele bardziej

po cywilnemu niż Joachim Ziemssen.

Ale radca dworu nie zważał na niego, wciąż jeszcze pogrążony w myślach.

Doktor Krokowski usiadł z powrotem i Joachim już się ubierał, kiedy Behrens zdecydował się wreszcie

zauważyć osobnika, który "miał jeszcze ochotę"...

- Ach tak, więc teraz kolej na pana!

- rzekł, olbrzymią ręką schwycił Hansa Castorpa za ramię, ustawił go przed sobą i bacznie mu się przyglądał.

Nie w twarz mu patrzył, jak zwykle patrzy siena człowieka, ale na ciało; odwrócił go, tak jak się odwraca

martwy przedmiot, i przypatrzył się jego plecom.

- Hm!

- powiedział.

- Zobaczymy, jak pan się przedstawia.

- I zaczął opukiwać jak poprzednio.

I Opukiwał te same miejsca co przedtem u Joachima, często powracał do raz już zbadanych punktów.

Przez czas dłuższy pukał na przemian, w celu porównania skóry z lewej strony koło obojczyka i nieco niżej.

- Słyszysz pan?

- zapytał doktora Krokowskiego...

I doktor Krokowski, siedząc przy biurku w odległości pięciu kroków, skinął głową na znak, że słyszy;

poważnie opuścił podbródek na piersi, aż końce przyciśniętej brody wygięły się ku górze.

- Oddychać głęboko!

Kaszeleć!  
- komenderował radca dworu, słuchając teraz za pomocą słuchawki; i Hans Castorp pracował ciężko przez osiem, a może dziesięć minut.  
Behrens badał go w milczeniu, to tu, to tam przykładając słuchawkę, specjalnie uważnie badając opukane poprzednio miejsca.  
Potem wsunął instrument pod pachę, skrzyżował ręce na plecach i utkwiał wzrok w podłogę, między siebie a Hansa Castorpa.  
Tak, Castorp - odezwał się, pierwszy raz nazywając młodzieńca po prostu nazwiskiem - praeter propter, rzecz ma się tak, jak to zawsze przewidywałem.  
Podejrzewałem pana, teraz mogę to panu powiedzieć, od samego początku, kiedy spotkał mnie niezasłużony zaszczyt poznania się z panem.  
Już wtedy wiedziałem prawie na pewno, że pan, Castorp, w cichości jest jednym z naszych i że pan jeszcze dojdzie do wniosku, jak już niejeden z tych, którzy przyjeżdżali tu dla przyjemności i zadzierali nosa, iż zrobiłby pan dobrze - i nie tylko "dobrze by pan zrobił", proszę mnie należycie rozumieć - gdyby się pan zatrzymał u nas dłużej nie dla samego zaspokojenia bezinteresownej ciekawości.  
Hans Castorp zbladł, a Joachim, który właśnie zapinał szelki, znieruchomiał i słuchał uważnie. Pan ma tu tak miłego, sympatycznego kuzyna - ciągnął radca dworu, wskazawszy ruchem głowy na Joachima i kołysząc się na końcach palców i obcasach - który prawdopodobnie już niezadługo będzie mógł powiedzieć, że był kiedyś chory; nawet kiedy to już nastąpi, zawsze będzie człowiekiem, który był jednak chory, ten pana kuzynek, a to a priori, jak powiada mędrzec - rzuca także na pana, mój drogi, pewne światło...

- On jest tylko moim przyrodnim kuzynem, panie radco.  
- No, no, pan chyba nie ma zamiaru wypierać się swego kuzyna.  
Rodzony czy przyrodni, zawsze jednak macie wspólną krew.  
Z jakiej strony kuzyn?  
- Ze strony matki.  
On jest synem przyrodniej...  
- A mamusia pańska ma się dobrze?  
- Nie żyje.  
Umarła, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.  
- O, a dlaczego?  
- Na skrzep, panie radco.  
- Skrzep?  
Ale to dawne dzieje.  
A ojciec pański?  
- Ojciec umarł na zapalenie płuc - odpowiedział Hans Castorp - a dziadek także - dodał.

- Tak, i dziadek także?

No, tyle o pańskich przodkach.

A co się pana tyczy, to zapewne zawsze był pan niedokrwesty?

Ale jest pan dość wytrzymały na fizyczne i umysłowe zmęczenie?

Nie bardzo?

I miewa pan bicia serca?

Dopiero od niedawna?

Dobrze.

A poza tym ma pan oczywiście silną skłonność do katarów dróg oddechowych.

Czy wie pan, że pan już przedtem był chory?

- Ja?

- Tak, mam na myśli pana we własnej jego osobie.

Czy słyszy pan różnicę?

- I radca Behrens zaczął pukać na przemian u góry z lewej strony koło obojczyka i nieco niżej.

- Tam dźwięk jest trochę bardziej przytłumiony niż tutaj - rzekł Hans Castorp.

- Doskonale.

Pan powinien by zostać specjalistą.

Mamy więc tutaj przytłumienie, a przytłumienia pochodzą z miejsc, gdzie już nastąpiło zwapnienie, z fenienie, jeżeli pan woli.

Pan jest już od dawna pacjentem, Castorp, ale nie chcemy nikomu brać za złe, że pan o tym nie wiedział. Wczesna diagnoza jest rzeczą trudną - szczególnie dla panów kolegów na równinie.

Nie chcę przez to powiedzieć, że mamy bardziej wyrobiony słuch, chociaż i to dzięki specjalności prawie jest możliwe.

Ale powietrze tutejsze, uważa pan, rozrzedzone i suche, pomaga nam w wysłuchiwaniu.

- Zapewne, naturalnie - rzekł Hans Castorp.

Pięknie, Castorp.

A teraz, mój chłopcze, niech pan słucha uważnie, bo wypowiem kilka złotych myśli.

Gdyby chodziło jedynie o te stłumienia i blizny pańskiego organu Eola, a także o te zwapnienia, oddałbym pana do jego larów i penatów i nie zawracałbym sobie panem głowy - rozumie pan?

Ale w tym stanie rzeczy i w połączeniu z ogólnym wynikiem badania, i ponieważ pan już tu jest - to nie warto panu wracać do domu, bo niedługo i tak by pan musiał do nas przyjechać.

Hans Castorp znowu poczuł, że krew mu napływa do serca, tak iż zaczęło walić jak młotem, a Joachim tkwił wciąż nieruchomo, z rękami przy tylnych guzikach i z oczami w dół spuszczoneymi.

- Bo oprócz przytłumionych dźwięków - rzekł radca Behrens - ma pan też szorstki ton tam z lewej strony u góry, który jest już prawie szmerem i pochodzi na pewno z nowego miejsca - nie chcę jeszcze mówić o ognisku rozmiękczenia, ale bądź co bądź jest to wilgotne miejsce, a jeżeli powróci pan, drogi panie, tam na dole do dawnego trybu życia, to straci pan jak nic cały płat płuca.

Hans Castorp nie ruszał się.

Kąty ust drgały mu dziwnie i wyraźnie było widać bicie jego serca o żebra.

Spojrzał na Joachima, ale nie spotkał jego wzroku, a potem na twarz radcy Behrensa, z sinymi powiekami, z sinawo niebieskimi łzawiącymi oczami, wąsikiem, niesymetrycznie z jednej strony podniesionym w górę.

- Jako dowód obiektywny - ciągnął Behrens dalej - mamy tu jeszcze pańską temperaturę: 37,6 o dziesiątej rano, to zgadza się mniej więcej z akustycznymi spostrzeżeniami.

- Myślałem - rzekł Hans Castorp - że ta gorączka pochodzi z kataru.

- A katar?

- zapytał radca...

- Skąd pochodzi katar?

Pozwoli pan, że panu coś opowiem, Castorp i niech pan dobrze uważa; o ile wiem, rozporządza pan dostateczną ilością zwojów mózgowych.

A więc myśli pan, że tutejsze powietrze jest skuteczne przeciwko chorobie?

Tak jest w rzeczywistości.

Jest ono jednak dobre i na chorobę, niech mnie pan zrozumie ono zrazu jej sprzyja, bo rewolucjonizując cały organizm, doprowadza do wybuchu ukrytą chorobę; a takim właśnie wybuchem, proszę mi tego nie brać za złe, jest pański katar.

Nie wiem, czy tam na równinie miał pan już gorączkę, ale tutaj na górze dostał pan jej z pewnością pierwszego dnia po przybyciu, a nie dopiero na skutek kataru - takie jest moje przekonanie.

- Tak - rzekł Hans Castorp - tak, i ja tak myślę.

- Pan zapewne od razu czuł się oszołomiony - ciągnął dalej radca Behrens.

- To są jady rozpuszczalne, wytwarzane przez bakterie, i one to działają oszałamiająco na centralny układ nerwowy, rozumie pan, od tego właśnie dostaje się wypieków na twarzy.

Przede wszystkim schowa się pan pod kołderkę, Castorp; musimy spróbować otrzeźwić pana przez kilkotygodniowe leżenie.

Potem zobaczymy, co dalej.

Sporządzimy piękne zdjęcie pańskiego wnętrza - na pewno pana ubawi spojrzenie w głąb własnej osoby.

Muszę jednak od razu panu powiedzieć, że takie wypadki jak pański nie mogą być wyleczone z dnia na

dzień; nie ma tu cudownych uzdrowień ani reklamowych wyników.

Już dawno pomyślałem sobie, że z pana będzie lepszy pacjent i że wykaże pan w chorowaniu więcej talentu

niż ten nasz brygadier, który wciąż chce uciekać, kiedy tylko ma o parę kresek mniej, jakgdyby słowo "leżeć" nie było tak samo dobrą komendą jak "stać".

Spoczywanie jest pierwszym obowiązkiem obywatela, a niecierpliwość przynosi jedynie szkodę. Niech mnie pan więc nie rozczaruje i nie zada kłamu mojej znajomości ludzi - wypraszam to sobie! A teraz marsz do remizy!

Tymi słowami radca Behrens zakończył rozmowę, usiadł przy biurku, ażeby jako człowiek niezmiernie

zajęty przerwę pomiędzy dwiema wizytami wypełnić pracą pisemną.

A doktor Krokowski podniósł się z miejsca, podszedł z przekrzywioną w bok głową do Hansa Castorpa i

pokazując wśród brody w jędrnym uśmiechu swoje żółtawe zęby, położył jedną rękę na ramieniu młodzieńca, a drugą ręką uściśnął mu serdecznie prawicę.

Rozdział piąty.

Zupa wieczności i nagła jasność.

W tym miejscu nastąpi pewne osobliwe zjawisko i autor dobrze zrobi wyrażając z jego powodu zdziwienie, aby czytelnik nie dziwił mu się zbyt na własną rękę.

Mianowicie, podczas gdy nasze sprawozdanie z pierwszych trzech tygodni pobytu Hansa Castorpa u tych tu w górze (z dwudziestu jeden dni w zenicie lata, do których, według wszelkich ludzkich przewidywań, miał się w ogóle ten pobyt ograniczyć) pochłonęło zgodnie z naszymi

własnymi na wpół uświadomionymi oczekiwaniami tak wiele czasu i miejsca - to uporanie się z następnymi trzema tygodniami jego pobytu wymagać będzie zaledwie tylu wierszy, a nawet słów i chwil, ile te pierwsze zajęły stronic, arkuszy, godzin i dni pracy: przeczuwamy, że owe trzy tygodnie załatwimy i pogrzebiemy jak z bicia trzask.

To więc mogłoby wydać się dziwnym; a jednak jest to w porządku i zgadza się całkowicie z prawami oPowiadania i słuchania.

Bo jest w porządku i zgadza się z tymi prawami fakt, że czas tak samo urasta lub kurczy się w naszej świadomości, schodzi szybko lub dłuży się nam w tej samej mierze co młodemu Hansowi Castorpowi, bohaterowi niniejszego opowiadania, w tak nieoczekiwany sposób przygwożdżonemu przez los; i należy może w związku z tajemnicą czasu przygotować czytelnika na całkiem inne jeszcze cuda i zjawiska, które czekają nas w towarzystwie naszego bohatera.

Na razie wystarczy jednak jeśli każdy przypomni sobie, jak szybko mija szereg, a nawet "długi" szereg dni, spędzonych podczas choroby, w łóżku: wciąż jest ten sam dzień, który się powtarza; ale ponieważ jest to ciągle ten sam dzień, więc właściwie wyraz "powtarzanie się" nie jest tu poprawnie użyty; należałoby raczej mówić o jednostajności, o wstrzymanym "teraz" lub o wieczności.

Przynoszą ci zupę na obiad, tak jak ci ją przyniesiono wczoraj i przyniesie się jutro.

I w tej chwili coś ci się przypomina - nie wiesz sam co i jak, dostajesz zawrotu głowy, gdy widzisz, jak przynoszą ci te zupę; formy czasu zacierają ci się, zlewają się z sobą, i to, co ci się objawia jako prawdziwa forma bytu, jest bezwymiarową terażniejszością, w której wiecznie podają ci zupę.

Ale z punktu widzenia wieczności byłoby rzeczą wysoce paradoksalną mówić o nudzie, a paradoksów chcemy się wystrzegać, szczególnie we współżyciu z naszym bohaterem.

A więc od sobotniego popołudnia Hans Castorp leżał w łóżku, ponieważ zarządził tak radca Behrens, najwyższy autorytet w świecie, w którym przebywamy.

Leżał w swoim czyściutkim, białym łóżku, śmiertelnym łożu Amerykanki i zapewne innych jeszcze osób;

miał na sobie nocną koszulę z monogramem wyhaftowanym na kieszonce, ręce skrzyżował pod głową i

patrzył pocziwymi, zamglonymi przez katar, niebieskimi oczami na sufit, myśląc o dziwnej sytuacji, w

jakiej się znalazł.

Nie należy przy tym przy puszczać, że oczy jego, gdyby nawet nie miał kataru, patrzyłyby prosto, jasno i

niedwuznacznie przed siebie, bo bynajmniej nie takie były jego przeżycia wewnętrzne, pomimo całej jego

prostolinijności: były one mętne, zawile, niewyraźne i połowicznie jeszcze chwiejne.

Gdy tak leżał, od czasu do czasu wydobywający się z głębi, triumfalny śmiech wewnętrzny wstrząsał jego

piersią, a serce ustawało, rozpierało go nie znaną mu dotychczas, potężną radością i nadzieją; to znów bladł

nagle z lęku i niepokoju; sumienie samo uderzało o jego żebra w szybkim, rozdygotanym rytmie serca. Pierwszego dnia Joachim pozostawił go w spokoju, unikał wszelkich wyjaśnień.

Po cichu wszedł parę razy do PokoJu chorego, skinął głową i z grzeczności zapytał, czy czego nie potrzebuje.

Zresztą tym łatwiej było mu zrozumieć i uszanować lęk Hansa Castorpa przed zasadniczymi rozmowami,

że i sam go doznawał, a nawet, według swego mniemania, znajdował się w gorszej sytuacji niż kuzyn.

Ale w niedzielę przed południem, po powrocie i porannej przechadzki, którą teraz znowu, jak dawniej,

musiał odbywać samotnie, postanowił nie zwlekać dłużej i omówić z kuzynem najkonieczniejsze nasuwające się obecnie sprawy.

Stanął przy jego łóżku i powiedział z westchnieniem: - Tak, nie ma rady, trzeba coś przedsięwziąć.

W domu oczekują cię przecież.

- Jeszcze nie - odrzekł Hans Castorp.

- No, ale już w najbliższych dniach, w środę albo czwartek.

- Ach - rzekł Hans Castorp - oni w ogóle nie oczekują mnie w jakimś określonym dniu. Mają co innego do roboty niż czekać na mnie i liczyć dni do mego powrotu.

Kiedy przyjadę, to będę, a wuj Tienappel powie: "A więc już wróciłeś"!

, a wuj James zapyta: "No, było przyjemnie"?

A jeżeli nie przyjadę, dużo czasu upłynie, zanim to spostrzegą; możesz być pewny.

Ma się rozumieć, że z biegiem czasu trzeba będzie ich zawiadomić...

- Możesz sobie wyobrazić - powiedział Joachim i westchnął znowu - jak przykra jest dla mnie ta sprawa! Co teraz będzie?

Oczywiście, czuję się przecież poniekąd odpowiedzialny.

Przyjeżdżasz tu na górę by mnie odwiedzić, ja cię wprowadzam w nasze życie, i nagle ugrzązłeś tutaj, i nikt

nie wie kiedy będziesz mógł się stąd wydostać i objąć swą posadę.

Musisz zrozumieć, jak przykra jest dla mnie ta sprawa.

- Pozwól no!

- odezwał się Hans Castorp, nie wysuwając rąk spod głowy.

- Niepotrzebnie łamiesz sobie głowę!

To wszystko nie ma sensu.

Czy przyjechałem tu po to, aby ci złożyć wizytę?

Także w tym celu; ale przecież ostatecznie przede wszystkim dla wypoczynku, zgodnie z zaleceniem Heidekinda.

No a teraz okazuje się właśnie, że bardziej potrzebuję kuracji, niż on i my wszyscy mogliśmy przypuszczać. Nie jestem przecież pierwszy, który przybył tutaj jak po ogień, a potem musiał zmienić plan.

Pomyśl na przykład o młodszym synu pani Touslesdeux, którego tu przecież jeszcze o wiele gorszy los

spotkał - nie wiem, czy jeszcze żyje, może go już wywieziono podczas któregoś z posiłków.

Choroba moja jest dla mnie pewną niespodzianką, muszę się dopiero przyzwyczaić do tego, że jestem tutaj

pacjentem i naprawdę jednym z was, a nie tylko gościem, jak dotychczas.

Chociaż właściwie mogłem się być tego spodziewać, bo tak szczególnie dobrze nigdy się przecież nie czułem, a kiedy pomyślę, jak młodo odumarli mnie rodzice, to skąd miałem właściwie wziąć to żelazne

zdrowie!

Dla nikogo z nas nie jest tajemnicą, że ty masz tam jakiś drobny feler, prawda, zresztą już prawie wyleczony, więc może też być, że jest to u nas rodzinne, przynajmniej Behrens wspomniał o tym.

Bądź co bądź leżę tu już od wczoraj i zastanawiam się, co o tym właściwie zawsze myślałem i jaki był mój stosunek do tego wszystkiego, do życia, wiesz, i do wymagań, które ono stawia.

Pewna powaga i pewna niechęć do mocnych i głośnych jego przejawów leżała zawsze w mojej naturze mówiliśmy o tym niedawno - i czasami nawet miałem niemal ochotę zostać duchownym.

"czułem pociąg do rzeczy smutnych i budujących; ten czarny całun, wiesz, ze srebrnym krzyżem albo Requiescat in pace...

te słowa są dla mnie o wiele piękniejsze i miłsze od hałaśliwego: "Niech żyje nam"!

To wszystko, sędzę, pochodzi stąd, że sam mam mały feler i że zawsze rozumiałem się na chorowaniu teraz się to okazało.

A jeżeli tak się mają rzeczy, powinienem być szczęśliwy, że przyjechałem tutaj na górę i kazałem się zbadać; nie powinieneś sobie robić z tego powodu najmniejszych wyrzutów.

Bo przecież słyszałeś: gdybym dłużej prowadził tam na dole swój dawny tryb życia, to mógłbym jak nic stracić cały płat płuca.

- Tego nie można wiedzieć - powiedział Joachim.

- W tym właśnie sęk, że tego zupełnie wiedzieć nie można!

Podobno już dawniej miałeś miejsca, o które nikt się nie troszczył i które zagoiły się same z siebie, tak że masz teraz po tym tylko parę nic nie znaczących przytłumień.

Może więc i z tą wilgotną plamką, którą podobno masz, stałoby się tak samo, gdybyś nie był przypadkiem do mnie przyjechał - tego nie można wiedzieć!

- Nie, wiedzieć nie można nic - odpowiedział Hans Castorp.

- I dlatego nie ma się prawa przypuszczać zaraz najgorszego, na przykład co się tyczy pytania, jak długo potrwa moja tutejsza kuracja.

Twierdzisz, że nie można przewidzieć, kiedy się stąd wydostanę i będę mógł zacząć pracę w dokach, ale ty oceniasz to pesymistycznie, a taka ocena jest przedwczesna, bo właśnie tego nie można wiedzieć.

Behrens nie wymienił żadnego terminu, bo jest człowiekiem rozważnym i nie bawi się w prorocstwa.

Przecież jeszcze nie prześwietlono mnie i nie sfotografowano, a to dopiero da nam jakieś obiektywne zdanie o istotnym stanie rzeczy i kto wie, czy się w ogóle okaże coś godnego uwagi; może już przedtem przestanę gorączkować!

i pożegnam was.

Jesteś za tym byśmy nie odkrywali kart przedwcześnie i w tym domu nie opowiadali od razu niestworzonych historii.

Na razie wystarczy, jeżeli wkrótce napiszemy - mogę sam napisać wiecznym piórem, jeżeli się trochę uniosę na poduszkach - że jestem trochę przeziębiony, że mam gorączkę i leżę w łóżku i na razie nie mogę jeszcze wyjechać.

Zobaczymy później, co dalej.

- Dobrze - rzekł Joachim - możemy tymczasem tak zrobić, a z resztą jeszcze trochę poczekać.

- Z jaką resztą?

- Ale pomyślże troszkę!

Przyjechałeś przecież tylko na trzy tygodnie z okrętową walizką.

Potrzeba bielizny, zimowych ubrań, więcej obuwia, i wreszcie musisz sobie też sprowadzić pieniądze Jeżeli - powiedział Hans Castorp - jeżeli mi tego wszystkiego będzie potrzeba.

- Dobrze, zaczekajmy.

Ale nie powinniśmy.

nie - rzekł Joachim i wzburzony przeszedł się po pokoju - nie powinniśmy oddawać się złudzeniom!

Jestem tutaj zbyt długo, żeby się w tym nie zorientować.

Jeżeli Behrens mówi, że masz szorstki ton, prawie szmer...

Ale naturalnie, możemy przecież czekać!

Na tym więc stanęło, a tymczasem nastąpiły powtarzające się regularnie co tydzień lub co dwa tygodnie odmiany normalnego dnia - nawet w obecnym swoim położeniu Hans Castorp mógł w nich brać udział, jeżeli nie bezpośrednio, to dzięki relacjom Joachima, który go odwiedzał i na kwadransik siadał na brzegu jego łóżka.

Na tacy, na której w niedzielę podano mu śniadanie, stał flakonik z kwiatami i nie omieszkało przynieść

mu świątecznego ciasta, które tego dnia podawano w jadalni.

Potem ogród i taras ożywił się, za grały trąbki i odezwały się nosowe dźwięki klarnetów, Joachim przyszedł do swego kuzyna słuchać koncertu, odbywającego się tutaj co drugą niedzielę; Położył się na jego

werandzie nie zamykając drzwi do pokoju.

Hans Castorp, na pół siedząc w łóżku z przechyloną w bok głową i z przymglonymi oczami w skupieniu

rozkoszował się dolatującymi go dźwiękami harfy, wzruszając w duchu ramionami przypominał sobie

gadanię Settembriniego o muzyce, jakoby "politycznie podejrzanej".

poza tym, jak powiedzieliśmy, kazał Joachimowi opowiadać sobie o wydarzeniach i imprezach ostatnich

dni i wypytywał go, czy przy niedzieli widać było świąteczne toalety, koronkowe stroje poranne (na koronkowe stroje było jednak za zimno); czy po obiedzie pojechał ktoś z kuracjuszy na spacer (istotnie

przedsięwzięto parę wycieczek; "Stowarzyszenie Jednego Płuca" pojechało in corpore do Clavadell); a w

poniedziałek, kiedy Joachim wysłuchawszy odczytu doktora Krokowskiego przed południowym werandowaniem zaszedł do pokoju Hansa Castorpa, chory ciekaw był, o czym tego dnia mówił asystent.

Joachim był małomówny, nie miał ochoty opowiadać o wykładzie - o poprzednim przecież kuzyni także

nie rozmawiali.

Ale Hans Castorp chciał koniecznie dowiedzieć się szczegółów.

- Leżę tutaj i płacę pełną cenę - powiedział - więc chcę również mieć coś z tego, co tutaj dla nas urządzają.

- Przypomniał mu się poniedziałek sprzed dwóch tygodni, jego spacer przedsięwzięty na własną rękę,

który tak źle dla niego się skończył, i wyraził nedorzeczne przypuszczenie, że to właśnie ten spacer zrewolucjonizował jego organizm i doprowadził do wybuchu ukrytą chorobę.

- Ale jakże tutaj lud mówi - zawołał - z taką godnością i tak uroczyście; brzmi to czasami jak poezja: "A więc

żegnaj.

I dzięki ci!"

- powtórzył, naśladowując wymowę drwala.

- To usłyszałem w lesie i póki życia tego nie zapomnę.



Takie słowa kojarzą się później z innymi wrażeniami lub wspomnieniami, wiesz, że do końca życia dźwięczą Potem w uchu.

Więc doktor Krokowski znowu mówił o "miłości"?

- spytał i skrzywił się wymawiając to Słowo.

- Naturalnie - odparł Joachim.

- O czymże miałby mówić?

To już jest jego zwykły temat.

- A co takiego mówił dzisiaj o tym?

- Ach, nic nadzwyczajnego.

Ostatnim razem Przekonałeś się przecież, jak on się wyraża.

- Ale chyba powiedział coś nowego?

- Nic specjalnie nowego...

To czym nas dziś uraczył, to czysta chemia - odpowiedział Joachim pokonując opór wewnętrzny.

- Krokowski mówił, że odgrywa "przy tym" rolę rodzaj zatrucia, samczego zatrucia organizmu: pewna nie

znana jeszcze, krążąca w ciele substancja ulega rozkładowi, a produkty tego rozkładu działają odurzająco

na niektóre ośrodki rdzenia pacierzowego zupełnie tak samo, jak przy nałogowym wprowadzaniu w organizm obcych substancji trujących, morfiny lub kokainy.

- I od tego dostaje się wypieków na twarzy!

- powiedział Hans Castorp.

- No, no, to ciekawe.

Czego też on nie wie, ten mądrala!

Czekaj, czekaj, któregoś dnia odkryje jeszcze tę nieznaną substancję, krążącą w całym ciele, i będzie sam

sporządzał rozpuszczalne jady, które działają oszłamiająco na ośrodki; tak więc będzie mógł odurzać ludzi

w szczególny sposób.

Może już kiedyś znano ten sposób.

Kiedy się słucha Krokowskiego, można by myśleć, że w opowiadaniach o napojach miłosnych i tym podobnych legendarnych sprawach jest jakieś ziarno prawdy...

Już odchodzisz?

- Tak - odparł Joachim - muszę jeszcze koniecznie trochę poleżeć.

Od wczoraj moja krzywa temperatury podnosi się.

Twoja sprawa zaszkodziła mi jednak trochę.

Tak przeszła niedziela i poniedziałek i przyszedł trzeci dzień pobytu Hansa Castorpa "w remizie", wtorek,

dzień, który się niczym nie odznaczał.

Ale właśnie we wtorek Hans Castorp przyjechał był na górę, skończyły się więc trzy tygodnie jego pobytu i

Hans Castorp postanowił jednak napisać list do domu i zawiadomić swoich wujów, na razie ogólnikowo, co

się z nim dzieje.

Podłożywszy sobie pierzynkę pod plecy, pisał na zakładowym papierze listowym, że wbrew pierwotnemu

planowi pobyt Jego w sanatorium musi się przeciągnąć.

Wyjaśnił, że w skutek przeziębienia i gorączki leży w łóżku i że radca Behrens, prawdopodobnie z przesadnej sumiennosci, nie uważa choroby za zupełnie niewinną i łączy ją z jego, Hansa Castorpa, ogólną konstytucją.

Skoro tylko się poznali, lekarz naczelny wyraził opinię, że Hans Castorp jest silnie anemiczny, i wszystko

razem wzięwszy zdaje się, iż trzy tygodnie, które Hans Castorp przeznaczył na swój odpoczynek, nie mogą wystarczyć.

Dalsze wiadomości nadeśle możliwie rychło.

"Tak będzie dobrze - pomyślał Hans Castorp - nic nie ma zbytecznego, a w każdym razie zyskało się nieco na czasie".

List został oddany służącemu, który, pomijając okreśną drogę poprzez skrzynię pocztową, zaniósł go wprost do najbliższego pociągu.

Nasz bohater był teraz przekonany, że wiele załatwił, i uspokojony, chociaż dręczony przez kaszel, odurzony katarem, żył z dnia na dzień w nastroju Oczekiwania.

Dni jego rozpadały się na krótkie odcinki, ale w swej zastygłej monotonii nie różniły się Wcale między sobą,

i właściwie był to ciągle jeden i ten sam dzień, ani zajmujący, ani nudny.

Co rano, mocno zapukawszy do drzwi, wchodził kąpielowy, miejscowy człowiek, nazwiskiem Turnherr, z

odwiniętymi Rękawami, żyłastymi rękami i gardłową, bardzo niewyraźną wymową.

Nazywał Hansa Castorpa, jak zresztą i innych pacjentów, numerem jego pokoju i nacierał go spirytusem.

Wkrótce po jego odejściu zjawiał się Joachim, już zupełnie ubrany, mówił dzień dobry, zapytywał kuzyna,

jaką miał temperaturę o siódmej rano, i oznajmiał, jaką miał sam.

Podczas gdy Joachim jadł śniadanie na dole, Hans Castorp, z pierzynką pod plecami, czynił to samo z wielkim apetytem, jaki wytwarza nowa sytuacja życiowa.

W czynności tej bynajmniej nie przeszkadzało mu obowiązkowe pośpieszne wtargnięcie obu lekarzy, którzy o tej porze, po przejściu przez jadalnię szybko obchodzili pokoje obłożnie chorych i skazanych na śmierć.

Z ustami pełnymi konfitury, Hans Castorp odpowiadał, że dobrze spał tej nocy i spoza filizanki widział, jak

radca Behrens, oparłszy dłonie o stół, pobieżnie przeglądał leżący tam wykres gorączki, i obojętnym tonem

żegnał odchodzących.

Później zapalał cygaro i znowu Joachim wchodził do jego pokoju, odbywszy poranną przechadzkę służbową, chociaż Hansowi Castorpowi wydawało się że dopiero co odszedł.

Rozmawiali o tym i o owyn, i czas do drugiego śniadania - Joachim wypełniał ten czas werandowaniem

był tak krótki, że nawet zupełnie pusta głowa lub człowiek ubogi duchem nie zdołałby się nudzić, a

Hans

Castorp mógł przecież żyć wrażeniami pierwszych trzech tygodni swego pobytu i zastanawiać się nad swoją obecną sytuacją i nad tym wszystkim, co mogło z niej wyniknąć.

Rzadko więc sięgał do dwóch grubych roczników jednego z pism ilustrowanych, które przyniesiono mu z

biblioteki sanatoryjnej i położono na nocnym stoliku.

Zupełnie to samo można powiedzieć o krótkiej godzince, którą Joachim spędzał na drugiej codziennej przechadzce do Davos Uzdrowiska.

Po powrocie zachodził znów do Hansa Castorpa i opowiadał o różnych rzeczach, które zauważył na spacerze, stał albo siadał na chwilę przy łóżku, a potem szedł na werandę, gdzie leżał do obiadu. A jak długo to trwało?

Znowu tylko godzinkę!

Zaledwie Hans Castorp, podłożywszy ręce pod głowę i patrząc w sufit, puścił wodze swym myślom, już

dźwięczał gong, wzywający tych, co nie leżeli w łóżkach ani nie byli skazani na śmierć, aby zeszli na główny posiłek.

Joachim oddalał się, a Hansowi Castorpowi przy noszono "zupę" - tak nazywano tu symboliczny obiad,

roznoszony chorym.

Hans Castorp bowiem nie był na diecie dla chorych, bo i dlaczegóż miano by mu ją przepisać? Dieta - skromny wikt - bynajmniej nie były dla niego wskazane.

Leżał tutaj i Płacił pełną cenę, i to, co mu przynoszono, zawsze o tej, jakby wiecznie trwającej godzinie, nie

było "zupą", ale kompletnym obiadem z sześciu dań, bez pominięcia któregokolwiek z nich i ze wszystkimi

dotatkami - obiadem obfitym w dni powszednie, całkowitym, wykwintnym i wystawnym w niedzielę,

wyrządzonym przez europejskiej miary kucharza i luksusowej kuchni "Berghofu".

Potrawy w apetycznych rondelkach z niklowanymi przykrywkami przynosiła mu jedna z usługujących, której zadaniem było roznoszenie posiłków do pokojów.

Przysuwała do jego łóżka specjalnie skonstruowany stolik, jednonogi cud równowagi, i Hans Castorp zmiatał z niego jedzenie, jak synek krawca ze znanej bajki "Stoliczku nakryj się".

Zaledwie uporał się z jedzeniem, wracał także Joachim, a gdy odchodził na balkon i nad całym sanatorium

zapadała cisza wielkiego werandowania, było wpół do trzeciej.

Może niezupełnie dokładnie, może dopiero kwadrans po drugiej.

Ale wszędzie tam, gdzie obficie szafuje się czasem, jak na przykład w podróży podczas długiej jazdy koleją

albo w ogóle stanie beztreściwego wyczekiwania, gdy całe dążenie i życie sprowadza się tylko do spędzania

i spychania czasu - takie nadliczbowe kwadransy, dołączające się do godzin, nie liczą się wcale, połyka się je

jako coś dodatkowego.

Piętnaście minut po drugiej, to już wpół do trzeciej, a nawet można powiedzieć, że - z pomocą bożą już

trzecia, bo przecież mówi się już o trzeciej.

Trzydzieści następnych minut uważa się z kolei za wstęp do pełnej godziny, trwającej od trzeciej do czwartej, a więc pomija się je w myśli: tak właśnie postępuje się w takich warunkach.

W ten sposób cały przeciąg poobiedniego leżakowania sprowadzał się właściwie znowu do jednej godziny,

która w dodatku była jak gdyby skrócona, przycięta i zakończona apostrofem.

A tym apostrofem był doktor Krokowski.

Doktor Krokowski nie obchodził już łukiem pomijając Hansa Castorpa podczas swych poobiednich wizyt,

które składał bez rady Behrensa.

Hans Castorp także liczył się teraz, nie był już interwałem i rozziewem, ale pacjentem; zadawano mu pytania i nie omijano go, jak to się tak długo działo, ku jego skrytej, niezbyt wielkiej, ale co dzień na nowo

powtarzającej się irytacji.

doktor Krokowski po raz pierwszy ukazał się w jego pokoju w poniedziałek - mówimy "ukazał się", bo jest

to najodpowiedniejsze słowo na określenie dziwnego, a poniekąd nawet straszego wrażenia, przed którym

Hans Castorp nie mógł się wówczas obronić.

Leżał właśnie pogrążony w półśnie czy ćwierćśnie, kiedy, ocknąwszy Się z przerażeniem spostrzegł, że

asystent jest w pokoju, chociaż nie wszedł przez drzwi, i zmierza ku niemu od strony balkonu.

Bo droga jego nie wiodła przez korytarz, ale przez zewnętrzne loggie, i wszedł do pokoju przez otwarte

drzwi balkonowe, jakby prosto z przestworza.

Bądź co bądź, stał teraz u łóżka Hansa Castorpa, czarny i blady, barczysty i krępy, jako apostrof godziny. Pomiędzy włosami rozdwojonej brody ukazywały się w szerokim uśmiechu jego żółtawe zęby.

- Zdaje się, że pana ogromnie zaskoczyło moje zjawienie się - odezwał się łagodnym barytonem, z pewną

afekcją przeciągając słowa; jego podniebienne "r" brzmiało z cudzoziemska, było to jednak "r" wibrujące

nie długo, lecz krótko, dzięki jednorazowemu uderzeniu języka o górną część przednich zębów.

- Spełniam jedynie miły obowiązek, zachodząc teraz także do pana.

Pański stosunek do nas wstąpił w nową fazę, przez noc z gościa stał się pan kolegą...

- (słowo "kolega" przestraszyło trochę Hansa Castorpa).

- Któż by to pomyślał!

- żartował po koleżeńsku doktor Krokowski...

- Któż by to pomyślał tego wieczora, kiedy po raz pierwszy miałem honor pana powitać i kiedy na mój

błędny pogląd - wtedy był błędny - odpowiedział pan zapewnieniem, że jest pan zupełnie zdrowy.

Zdaje mi się, że wyraziłem wówczas coś jakby powątpiewanie, ale zapewniam, że miałem coś innego na

myśli!

Nie chcę uchodzić za bardziej przenikliwego, niż jestem, nie myślałem wtedy o żadnym wilgotnym

miejscu, mówiłem w znaczeniu ogólniejszym, filozoficznym, dawałem wyraz wątpliwościom, czy ktokolwiek z ludzi może sobie przypisywać "zupełne zdrowie".

A nawet dziś nie inaczej, nawet po wyniku badania, nie mogę, taki już jestem, zgodzić się z moim szefem i

tej wilgotnej pogody - tu końcem palca dotknął lekko ramienia Castorpa - uważać za rzecz najważniejszą,

uwazam ją raczej za objaw wtórny...

Wszystko, co paniczne, jest zawsze wtórne...

Hans Castorp wzdrygnął się.

...Tak więc pański katar jest dla mnie zjawiskiem trzeciorzędnym - ciągnął dalej doktor Krokowski swoim

tonem.

- Jakiż jest jego przebieg?

Leżenie w łóżku z pewnością panu szybko pomoże.

Jaką miał dzisiaj temperaturę?

- I od tego czasu codzienne odwiedziny asystenta miały charakter niewinnych wizyt kontrolnych, który zachowały też w najbliższych dniach i tygodniach.

Przychodził kwadrans przed czwartą, albo i trochę wcześniej, przez drzwi balkonowe, wesoło, po męsku

witał chorego, zadawał najprostsze lekarskie pytania, czasami nawiązywał lekką, bardziej osobistą rozmowę, żartował po koleżeńsku - i jeżeli wszystko to było nawet trochę zastanawiające, to przecież

człowiek przyzwyczajają się w końcu do rzeczy zastanawiających, o ile tylko nie przekraczają pewnych

granic.

Toteż Hans Castorp wkrótce nic nie miał przeciwko regularnemu zjawianiu się doktora Krokowskiego,

które stanowiło już część składową normalnego dnia i kończyło apostrofem główne werandowanie.

Była tedy czwartą, kiedy asystent wyszedł znowu na balkon - a więc późne popołudnie!

Nagle, zanim Hans Castorp zdążył się obejrzeć, było już późne popołudnie, które zresztą przechodziło

bezwzględnie porę przedwieczorną; bo zanim na dole i w pokoju 34 wypito herbatę, dochodziła piąta, a

kiedy Joachim powracał ze swej trzeciej służbowej przechadzki i zachodził do kuzyna - prawie szósta

godzina, tak że czas werandowania przed kolacją, licząc na okrągło kurczył się znowu do jednej tylko godziny, a godzina to przeciwnik, którego bez trudności można było pokonać: pozostawały však myśli w

głowie i cały orbis pictus na nocnym stoliku.

(Orbis pictus, łacińskie - świat w obrazach).

Joachim pożegnał się idąc na kolację.

Przyniesiono jedzenie.

Dolinę dawno okrył zmierzch, i podczas gdy Hans Castorp jadł, coraz bardziej ściemniało się w białym pokoju.

Skończywszy siedział w łóżku oparty o pierzynkę, przy "stoliczku, nakryj się" z którego wszystko zmiotł, i

patrzył na wciąż pogłębiający się zmrok, dzisiejszy zmrok, który trudno było odróżnić od wczorajszego,

onegdajszego lub zmroku sprzed tygodnia.

Był wieczór - a dopiero co było jeszcze rano.

Rozkawałkowany i sztucznie skrócony dzień dosłownie prześliznął mu się pomiędzy palcami i rozplynął w nicość.

Hans Castorp był tym mile zdziwiony lub w każdym razie zastanawiało go to, bo lęku przed tym zjawiskiem wiek jego jeszcze nie znał.

Miał wrażenie, jak gdyby nie na nowo, ale wciąż jeszcze patrzył w ten zmrok.

Upłynęło dziesięć albo dwanaście dni, odkąd Hans Castorp położył się do łóżka, kiedy pewnego dnia ktoś zastukał do jego drzwi o tej porze, to znaczy, zanim Joachim wrócił z kolacji i z zebrania towarzyskiego.

Na pytające "proszę" Hansa Castorpa wszedł Lodovico Settembrini i jednocześnie oślepiająca jasność zalała pokój.

Bo gość, stojąc jeszcze w otwartych drzwiach, przekręcił wyłącznik górnego światła, które, odbite od białego sufitu i białych mebli, napełniło cały pokój drżącą poświatą.

Włoch był jedynym człowiekiem spomiędzy wszystkich kuracjuszy, o którego Hans Castorp wyraźnie i z wymienieniem nazwiska pytał Joachima.

Joachim, ilekroć na przeciąg dziesięciu minut siadał na skraju łóżka swego kuzyna lub zatrzymywał się przy nim - a działo się to dziesięć razy dziennie - z własnej woli opowiadał kuzynowi o drobnych zdarzeniach, odchyleniach od zwykłego trybu życia w sanatorium, a pytania Hansa Castorpa, o ile je w ogóle zadawał, były zwykle ogólnikowe i nieosobowe.

Ciekawość żyjącego w odosobnieniu chorego dotyczyła kwestii, czy może przyjechali jacyś nowi goście albo czy nie wyjechał ktoś, znany mu już z widzenia; zdawało się go cieszyć, że nikt dotychczas nie opuścił składu.

Przyjechał jeden "nowy" młody człowiek, z zielonkawą cerą i zapadniętymi policzkami, i wyznaczono mu miejsce przy bladej jak z kości słoniowej pannie Levi i pani Iltis, zaraz na prawo od obu kuzynów.

No, Hansowi Castorpowi nie śpieszyło się z ujrzeniem go na własne oczy.

A więc nikt nie wyjechał?

Joachim odrzekł krótko, że nie, i spuścił przy tym oczy.

Na pytanie to Joachim musiał często dawać odpowiedź, właściwie co drugi dzień, chociaż już kiedyś wreszcie, z pewnym zniecierpliwieniem w głosie starał się raz na zawsze poinformować kuzyna, o ile wie, nikt nie zamierza wyjechać; tak łatwo nie można się stąd wydostać.

Znowóż o Settembriniego Hans Castorp pytał wyraźniej i chciał wiedzieć, co on "o tym sądzi".

- o czym?

- No, o tym, że leżę w łóżku i podobno jestem chory.

- Settembrini rzeczywiście mówił o tym, ale bardzo krótko.

Tego samego dnia, kiedy Hans Castorp zniknął, podszedł do Joachima z zapytaniem, gdzie się podział jego gość, przy czym najwidoczniej spodziewał się odpowiedzi, że Hans Castorp wyjechał.

Na wyjaśnienia Joachima odparł dwoma i tylko włoskimi słowami: najpierw rzekł "ecco", Potem "poveretto", co znaczy "otóż to" i "biedaczek".

Nie trzeba było umieć po włosku więcej niż dwaj młodzieńcy, ażeby zrozumieć sens tych dwóch

słów.

- Dlaczego poveretto?

- spytał Hans CastorP- On przecież także siedzi tutaj razem ze swoją literaturą, składającą się z humanizmu i polityki, i mało może wpływać na bieg spraw ziemskich.

Nie powinien mi tak protekcyjnie współczuć, bo znajdę się na dole jeszcze zawsze wcześniej niż on.

Tak więc w jasno oświetlonym pokoju stał Settembrini; Hans Castorp, który wsparł się na łokciu i zwrócił głowę ku drzwiom, mrugając oczami, poznał go, a poznawszy, oblał się rumieńcem.

Settembrini miał na sobie, jak zwykle, grubą marynarkę z szerokimi wyłogami, trochę wystrzępiony, wykładany kołnierzyk i spodnie w kratę.

Ponieważ wracał od stołu, trzymał swoim zwyczajem w ustach drewnianą wykałaczkę.

W kąciu ust, pod pięknym łukiem wąsów, igrał dobrze Hansowi Castorpowi znany, subtelny, trzeźwy i krytyczny uśmiech.

- Dobry wieczór inżynierowi!

Czy wolno zajrzeć do pana?

Jeżeli tak, to potrzebne jest światło, przepraszam, że się rządzę - rzekł podnosząc energicznie swoją drobną

rękę ku lampie na suficie.

- Pan jest pogrążony w kontemplacji, naprawdę nie chciałbym przeszkadzać.

Słonność do rozmyślenia jest w jego sytuacji zupełnie zrozumiała, a do pogawędki ma pan ostatecznie

kuzyna.

Pan widzi, że rozumiem doskonale, iż mogę być zbytecznym.

Ale mieszka się tak blisko siebie, współczuje się drugiemu, jak człowiek człowiekowi, współczuje się

rozumowo, współczuje uczuciowo...

Już chyba od tygodnia nie widać pana.

Kiedy zobaczyłem, że jego miejsce w refektarzu jest puste, sądziłem, doprawdy, że pan nas opuścił.

Porucznik wyjaśnił mi, że jest inaczej, hm, może mniej dobrze...

A więc co słysząc?

Co pan porabia?

Jak się pan czuje?

Mam nadzieję, że nie jest pan bardzo przygnębiony!

- Ach, to pan Settembrini!

Jakże uprzejmie z pańskiej strony!

Cha, cha, "refektarz"!

Od razu powiedział pan coś dowcipnego.

Proszę, niech pan przysunie sobie krzesło.

Bynajmniej mi pan nie przeszkadza.

Leżałem i dumałem sobie - dumałem, to nawet trochę za wiele powiedziane.

Po prostu nie chciało mi się włączyć światła, byłem za leniwy.

Bardzo dziękuję; subiektywnie czuję się tak dobrze jak zazwyczaj; katar mi już prawie przeszedł dzięki

leżeniu w łóżku, ale wciąż słyszę, że ten katar jest zjawiskiem wtórnym.

Temperatura jest jeszcze ciągle wysoka, czasem 37,5, czasem 37,7, to się na razie jeszcze nie

zmieniło. Czy mierzy pan regularnie?

Tak, sześć razy na dzień, zupełnie tak samo jak państwo wszyscy tu w górze.

Cha, cha, przepraszam, jeszcze się śmieję z tego, że pan nazwał naszą jadalnię "refektarzem"! Tak się przecież mówi w klasztorze, prawda?

Rzeczywiście, jest tu coś z tego; wprawdzie nigdy jeszcze nie byłem w klasztorze, ale jakoś tak podobnie go sobie wyobrażam.

A "regulę" wiem już na pamięć i ściśle stosuję się do niej.

Jak pobożny braciszek.

Można powiedzieć, że pan Kończył nowicjat i złożył śluby zakonne.

Winszuję serdecznie.

Pan mówi już także "nasza jadalnia"!

Zresztą, nie obrażając jego męskiej godności, przypomina mi pan raczej młodą mniszkę niż mnicha - taką

dopiero co ostrzyżoną, niewinną oblubienicę Chrystusa, z wielkimi uduchowionymi oczami. Dawniej widywałem niekiedy takie owieczki i nigdy bez...

bez pewnego sentymentu.

Ach tak, tak, pański kuzyn opowiedział mi wszystko.

W ostatniej chwili zatem kazał się pan jeszcze zbadać?

Ponieważ miałem gorączkę.

Proszę pana, przecież gdybym miał taki katar na równinie, wezwałbym naszego lekarza.

A tutaj, gdzie się jest, że tak powiem, u źródła, gdzie się mieszka pod jednym dachem z dwoma specjalistami - byłoby przecież śmiesznie...

- Ależ naturalnie, naturalnie.

A więc mierzył pan temperaturę, zanim mu kazano.

Zresztą na samym wstępie radzono to panu.

A czy na termometr naciągnęła pana panna Mylendonk?

Naciągnęła?

Kupiłem go od niej, ponieważ był mi potrzebny.

- Rozumiem.

Nienaganna transakcja handlowa.

A ile miesięcy przepisał panu szef?...

Wielki Boże, przecież już raz pytałem pana o to!

Przypomina pan sobie?

Zaraz po jego przyjeździe.

Pan odpowiedział wtedy tak śmiało...

- Ma się rozumieć, że jeszcze pamiętam.

Wiele od tego czasu przeżyłem, ale to pamiętam jeszcze jak dzisiaj.

Zaraz później mówił pan takie zabawne rzeczy i nazwał pan radcę Behrensa sędzią piekielnym, Radames... Nie, zaraz, jakoś inaczej...

- Radamantys?

Być może, jakoś go tak nazwałem Nie mogę pamiętać wszystkiego, co mi się nasuwa na język.

- Radamantys, tak, tak.

Minos i Radamantys.

Także o Carduccim opowiadał nam pan wówczas zaraz...



- Za pozwoleniem, drogi przyjacielu, Carducciemu dajmy lepiej spokój.

To nazwisko brzmi teraz zbyt nieodpowiednio w pańskich ustach!

- No, dobrze - śmiał się Hans Castorp - ale dzięki panu wiele dowiedziałem się o nim.

Tak, wtedy nie miałem jeszcze pojęcia i odpowiedziałem panu, że przyjechałem na trzy tygodnie. Tak wtedy myślałem.

Właśnie na chwilę przedtem panna Kleefeld gwizdnęła do mnie na przywitanie swoją sztuczną odmą i to wytrąciło mnie trochę z równowagi.

Ale już wtedy czułem się tak, jak gdybym miał gorączkę, bo tutejsze powietrze jest dobre nie tylko przeciw chorobie, ale i na chorobę, czasami doprowadza ją dopiero do wybuchu, a to jest przecież potrzebne do późniejszego wyleczenia.

- Ponętna hipoteza.

Czy radca Behrens opowiedział panu o tej Niemce z Rosji, która mieszkała tutaj pięć miesięcy w zeszłym nie, w zaprzyszłym roku?

Nie opowiadał?

Powinien był to uczynić!

Niezmiernie miła pani.

Niemka, urodzona w Rosji, zamężna i młoda matka.

Przyjechała do nas ze Wschodu, była limfatyczna, anemiczna, zdaje się, że i poważniej chora. Była tu już miesiąc i wciąż się skarżyła, że czuje się źle.

Cierpliwości!

Upływa następny miesiąc, a ona wciąż utrzymuje, że nie ma się lepiej, a coraz gorzej.

Mówią jej, że tylko lekarz może wiedzieć, jak ona się ma, a jej samej wolno najwyżej mówić o tym, jak się czuje, a to nie jest ważne.

Z jej płuc lekarze byli zadowoleni.

A więc milcząc odbywa kurację i co tydzień traci na wadze.

Na czwarty miesiąc zemdląła przy badaniu.

Behrens powiedział, że to nic nie szkodzi i że z jej płuc jest zupełnie zadowolony.

Kiedy jednak w piątym miesiącu nie mogła już chodzić, napisała o tym do swego męża na Wschód, i Behrens otrzymał od niego list.

Na kopercie było wyraźnie napisane: "Osobiste" i "Pilne", widziałem na własne oczy.

Tak - rzekł Behrens przeczytawszy list i wzruszył ramionami - okazuje się, że ta pani najwidoczniej nie znosi tutejszego klimatu!

- Niewiasta nie miała dość słów oburzenia, że powinien jej był to wcześniej powiedzieć! krzyczała, że od początku to czuła, że doprowadził ją do ruiny!

- Miejmy nadzieję, że u boku męża na Wschodzie powróciła do zdrowia.

Cudowne!

Pan tak pięknie opowiada, panie Settembrini, każde z pańskich słów jest po prostu plastyczne. Kiedy przypominam sobie pańskie opowiadanie o tej młodej dziewczynie, która kąpała się w jeziorze i której dano później termometr bez podziałki, "niemowę", śmieję się sam do siebie.

Co też się zdarza!

Człowiek nie przestaje się uczyć.

Mój Własny przypadek jest zresztą jeszcze zupełnie niewyjaśniony.

Pan radca utrzymuje, że znajduje u mnie coś niecoś: przede wszystkim są stare blizny po dawniejszym schorzeniu, o którym nic nie wiedziałem - Sam je słyszałem przy opukiwaniu, a następnie mogłem wysłuchać również świeże miejsce - cha, cha, Wieże"!

- to zabawne określenie dla takiej rzeczy.

dotychczas mamy jedynie wrażenia słuchowe, prawdziwie pewną diagnozę będziemy mieli dopiero gdy wstanę, po prześwietleniu i sfotografowaniu, kiedy będziemy wszystko pozytywnie wiedzieli. Tak pan sądzi?

A czy pan wie, że klisza fotograficzna ma często plamy, które wyglądają jak jamy gruźlicze, podczas gdy są to tylko cienie, a tam, gdzie coś jest naprawdę, nie wykazuje niekiedy nic a nic.

Madonna!

Klisza fotograficzna!

Był tu kiedyś pewien młody numizmatyk, który gorączkował, a ponieważ gorączkował, widziano wyraźnie kawerny na płycie fotograficznej.

Utrzymywano nawet, że dają się wysłuchać!

Leczono go na suchoty i wskutek tego umarł.

Obdukcja wykazała, że płuca miał zupełnie zdrowe, a umarł na jakies koki.

- No wie pan, pan zaraz mówi o obdukcji!

Tak źle jeszcze chyba ze mną nie jest.

- Ależ z pana filut, inżynierze!

- A pan jest urodzonym krytykiem i sceptykiem, to trzeba panu przyznać.

Pan nie wierzy nawet w naukę ścisłą!

Czy pańska klisza wykazuje plamy?

- Tak, tu i ówdzie.

- Więc pan naprawdę nie jest zupełnie zdrowy?

- Niestety, jestem dość poważnie chory - odparł Settembrini i pochylił głowę.

Zakaszła i nastąpiła pauza.

Hans Castorp przyglądał się milczącemu gościowi.

Wydawało mu się, że te jego dwa bardzo proste pytania wszystko obaliły i zmusiły do milczenia nawet republikę i piękny styl.

Ze swojej strony nie starał się o nawiązanie przerwanej rozmowy.

Po chwili Settembrini wyprostował się i uśmiech zjawił się na jego twarzy.

- Niech pan mi teraz opowie, inżynierze - powiedział - jak jego rodzina przyjęła tę wiadomość?

- Jaką wiadomość?

O opóźnieniu mego powrotu?

Ach, moja rodzina, wie pan, moja rodzina składa się z trzech wujów; właściwie z jednego dziadka wujecznego i dwóch jego synów, których uważam raczej za kuzynów.

Poza nimi nie mam rodziny, bardzo wcześnie straciłem oboje rodziców.

Jak to przyjęli?

Niewiele dotychczas wiedzą, nie więcej niż ja sam. Z początku, kiedy kazano mi się położyć do łóżka napisałem im, że jestem silnie przeziębiony i że nie mogę wyjechać.

Ponieważ jednak ten stan się przeciąga skutkiem kataru, napisałem znowu wczoraj, że radca Behrens zwrócił uwagę na moje płuca i nalega, abym pozostał tutaj, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Z pewnością nie bardzo się tym przejęli.

A pańska posada?

Pan wspominał kiedyś o pracy, którą właśnie zamierzał podjąć.

- Tak, jako wolontariusz.

Prosiłem, żeby mnie na razie wytłumaczono w stoczni.

Niech pan nie myśli, że będzie tam rozpacz z tego powodu.

Mogą dowolnie długo obchodzić się bez wolontariusza.

- Doskonale!

Z tego punktu widzenia wszystko jest więc w najlepszym porządku.

Flegma na całej linii

Pańscy ziomkowie są w ogóle flegmatyczni, prawda?

Ale i energiczni!

O tak, energiczni także, bardzo energiczni - rzekł Hans Castorp.

Zastanowił się nad charakterem swego otoczenia w domu i doszedł do wniosku, że jego rozmówca ma rację.

- Tak, flegmatyczni i energiczni, tacy są rzeczywiście.

Jeżeli pan tu dłużej zostanie - ciągnął dalej Settembrini - to uda się nam pewnie poznać jego wuja, to jest tego dziadka wujecznego.

Bez wątpienia przyjedzie, aby zobaczyć, co się z panem dzieje.

O nie!

- zawołał Hans Castorp.

- W żadnym razie!

Nawet dziesięcioma końmi nie da się wciągnąć tutaj na górę!

Mój wuj ma silną skłonność do apopleksji, wie pan, prawie zupełnie nie ma szyi.

Nie, on potrzebuje przyzwoitego ciśnienia atmosferycznego, a gdyby tu przyjechał, mogłoby się gorzej z nim skończyć niż z tą damą ze Wschodu, o której pan opowiadał, mógłby tu dostać Bóg wie jakich przypadłości.

A to szkoda.

Skłonność do apopleksji?

Na cóż się tu zda flegma i energia?

Pański dziadek jest zapewne bogaty?

I pan jest bogaty?

Tam u was wszyscy są bogaci.

Hans Castorp uśmiechnął się, słysząc to literackie uogólnienie, a potem ze swej leżącej pozycji wylatywał znowu myślą w dal, ku ojczyźnie, z której został wyrwany.

Przypomniiał sobie i próbował być bezstronny; oddalenie zachęcało go i czyniło zdolnym do tego. Po chwili odpowiedział: - Są tam ludzie bogaci, ale są i biedni, a wtedy jest źle.

Nie jestem milionerem, ale mam być zapewniony, jestem nie zależny, mam z czego żyć. Ale nie mówmy o mnie.

Gdyby pan powiedział: tam trzeba być bogatym zgodziłbym się z panem.

Bo przypuścmy, że ktoś nie jest bogaty albo przestaje nim być.

O, wtedy biada!

Wtedy wszyscy pytają: "Ten?

czyż ten ma jeszcze pieniądze"?...

Dosłownie tak i z takim właśnie wyrazem twarzy; często to słyszałem i dobrze sobie to zapamiętałem. Widocznie zawsze wydawało mi się to dziwne, chociaż miałem czas do tego przywyknąć, bo inaczej nie pamiętałbym tego tak dobrze.

A jak pan sądzi?

Nie, nie wydaje mi się, żeby na przykład panu, takiemu homo humanus, mogło się u nas podobać; nawet mnie, który przecież stamtąd pochodzę, rażą tam różne rzeczy, jak teraz widzę, chociaż mnie osobiście one nie dotykają.

Kto nie podaje do stołu najlepszych, najdroższych gatunków wina, do tego nikt w ogóle nie chodzi, a jego córki zostają starymi pannami.  
Tacy już są ludzie.  
Kiedy tak tu leżę i z oddali na to patrzę, rażą mnie te rzeczy.  
Jak pan się wyraził, flegmatyczni i...?  
I energiczni!  
Dobrze, ale cóż to znaczy?  
Innymi słowy: twardzi, zimni.  
A co znaczy: twardzi i zimni?  
To znaczy okrutni.  
Tak, tam na dole panuje okrutna, nieprzejednana atmosfera.  
Kiedy się tak leży i patrzy z oddali na to wszystko, prawdziwy lęk może ogarnąć człowieka.  
Settembrini słuchał i potakiwał głową.  
Czynił to jeszcze, kiedy Hans Castorp na razie wyczerpał swoje uwagi krytyczne i przestał mówić.  
Potem westchnął i odezwał się: - Nie chcę bynajmniej upiększać tych specjalnych form, które naturalne okrucieństwo życia przybierają w pańskim społeczeństwie.  
Zarzut okrucieństwa jest jednak zarzutem dość sentymentalnym.  
Tam na dole nie podniósłby go pan wcale, z obawy, aby sobie samemu nie wydać się śmiesznym.  
Słusznie pozostawiłby go Pan dawniej tym, co uciekają przed życiem.  
to, że go Pan teraz sam podnosi, świadczy o tym, że się pan nieco odzwyczaił od swych normalnych "warunków"; nie chciałbym, by to odzwyczajanie się ustępowało.  
Bo kto przywyknie do stawiania tego zarzutu, łatwo może zostać stracony dla tych form życiowych, w których się urodził.  
Czy pan wie, inżynierze, co to znaczy zostać straconym dla życia?  
Ja wiem to dobrze, widzę to tutaj codziennie.  
Najpóźniej po upływie pół roku młodzieniec, który tutaj przyjeżdża (a przyjeżdżają tutaj przeważnie młodzieńcy), nie myśli o niczym innym, jak tylko o swojej temperaturze.  
A najdalej po roku jest tak, że już nigdy nie będzie w stanie myśleć o niczym innym, bo każdą inną myśl uważa za "okrutną", a w każdym razie, za błędną.  
Pan lubi opowiadania, więc mogę panu służyć.  
Mogę panu opowiedzieć o pewnym synu i małżonku, który był tu jedenaście miesięcy i którego znałem. Zdaje mi się, że był trochę starszy niż pan, może nawet dobrze starszy.  
Na próbę wypuszczono go stąd i powrócił do domu, w objęcia swoich ukochanych; nie byli to wujowie, ale matka i żona.  
Całymi dniami leżał z termometrem w ustach i nic więcej go nie obchodziło.  
- Wy tego nie rozumiecie - mówił - do tego trzeba mieć za sobą pobyt w sanatorium, ażeby wiedzieć, jak postępować należy.  
Tutaj na dole brak podstawowych pojęć!  
- Skończyło się na tym, że matka mu powiedziała: - Wracaj na górę.  
Nic już z ciebie nie da się zrobić.

- i wrócił do sanatorium, do "ojczyzny" - bo wie pan przecież, że kto tutaj był, nazywa ten zakład "ojczyzną".

Od swej młodej żony odsunął się całkowicie, bo brakowało jej "podstawowych pojęć", więc zrezygnowała. Cóż miała począć?

Zrozumiała, że mąż jej znajdzie sobie w "ojczyźnie" towarzyszkę, która będzie miała wspólne z nim "podstawowe pojęcia", i że z nią pozostanie.

Hans Castorp słuchał z roztargnieniem.

Wciąż jeszcze patrzył w blask rozlany po pokoju, jak zawsze Roześmiał się z pewnym opóźnieniem i powiedział - Mówił "ojczyzna"?

To brzmi naprawdę trochę sentymentalnie, jak się pan wyraził.

Tak, pan zna takich historii bez liku.

Właśnie myślałem jeszcze o tym, cośmy mówili o surowości i okrucieństwie, w ciągu ostatnich dni już nieraz nawiedzały mnie podobne myśli.

Widzi pan, trzeba być porządnie gruboskórnym, żeby bez reszty pogodzić się ze sposobem myślenia tych ludzi z nizin, z pytaniami w rodzaju: "Czyż ten ma jeszcze pieniądze"?

i z minami, jakie przy tym robią.

Chociaż nie jestem homo humanus, nigdy nie wydawało mi się to czymś zupełnie naturalnym - teraz widzę, że to mnie zawsze przykro uderzało.

Może dlatego, że miałem już dawniej nieświadomą skłonność do chorowania - może dlatego brzmiało to dla mnie jakoś nienaturalnie.

Przecież sam słyszałem te zabliznione miejsca, a teraz Behrens rzekomo odkrył u mnie jakąś nową drobnostkę.

Zaskoczyło to mnie, to prawda, ale jednak w gruncie rzeczy nie bardzo się zdziwiłem.

Nigdy właściwie nie byłem szczególnie mocny; a prócz tego moi rodzice umarli tak młodo - od dziecka, wie pan, jestem sierotą, bez ojca i matki...

Pan Settembrini wykonał głową, ramionami i rękami jednocześnie gest, który miał w wesoły i grzeczny sposób wyrażać pytanie: "No więc?

Co dalej"?

- Pan jest pisarzem - mówił Hans Castorp - literatem; pan powinien przecież znać się na tym i zrozumieć, że nie można w tych okolicznościach być tak brutalnym i uważać za całkiem naturalne okrucieństwa ludzi, zwykłych ludzi, wie pan, którzy chodzą, śmieją się, zarabiają pieniądze i napychają sobie brzuchy...

Nie wiem, czy się jasno wyraziłem...

Settembrini skłonił się.

- Pan chce powiedzieć - rzekł - że wczesne i niejednokrotne zetknięcie się ze śmiercią wyrabia postawę uczuciową, która czyni człowieka wrażliwym i czułym na bezwzględność i surowość życia światowego, powiedzmy: na jego szarzyznę.

Właśnie!

- zawołał Hans Castorp szczerze zachwycony.

- Pan to doskonale wyraził i postawił kropkę nad i.

Ze śmiercią!

Wiedziałem, że pan, jako literat...

- Settembrini wyciągnął ku niemu rękę, przechyliwszy na bok głowę i zamknawszy oczy - piękny i delikatny gest, który wyrażał prośbę, by mu Hans Castorp nie przerywał i słuchał dalej.

Przez kilka sekund trwał w tej pozycji, nawet kiedy Hans Castorp dawno zamilkł i nie bez pewnego

zakłopotania oczekiwał tego, co miało teraz nastąpić.

Wreszcie otworzył swoje czarne oczy - oczy kataryniarza - i odezwał się: Ale niech pan pozwoli, inżynierze, powiedzieć sobie i zechce to zapamiętać, że jedyny zdrowy, szlachetny i, chcę to wyraźnie zaznaczyć, jedyny religijny sposób patrzenia na śmierć każe uważać ją za niezbędną składową część i święty warunek życia, nie oddzielać jej myślowo od życia, nie widzieć w niej jego przeciwieństwa i nie wygrywać jej ohydy przeciwko niemu - bo to byłoby zaprzeczeniem zdrowego, szlachetnego, rozsądnego i religijnego poglądu.

Starożytni zdobili sarkofagi symbolami życia, płodzenia, często nawet sprośnymi - świętość w religijności antycznej kojarzyła się często ze sprośnością - ludzie umieli czcić śmierć.

Śmierć jest godna jako kolebka życia, jako macierzyńskie łono odradzania się.

Rozważana w oderwaniu od życia, staje się upiornym potworem - a nawet czymś jeszcze gorszym.

Bo śmierć jako samoistna potęga duchowa jest bezecną potęgą; siła jej nieczystej atrakcji jest wprawdzie bardzo wielka, ale sympatyzowanie z tą cęchą jest bez wątpienia najokropniejszym zboczeniem ducha ludzkiego.

Settembrini zamilkł.

Zatrzymał się na tych oznakach, stanowiących niewątpliwe zakończenie Wywodów.

Mówił poważnie, nie po to, aby bawić rozmową, nie chciał dać słuchaczowi sposobności do dyskusji, ale dobiegając do końca, zniżył głos i postawił kropkę.

Siedział z zamkniętymi ustami, ręce splótł na kolanach, jedną nogę w spodniach w kratę założył na drugą i

z lekka poruszał w powietrzu stopą, nie odrywając od niej oczu.

Hans Castorp milczał więc również; siedząc w swej pierzynie zwrócił głowę ku ścianie i końcami palców

bębnił lekko po pikowanej kołdrze.

Czuł, że udzielono mu pouczenia, upomnienia, a nawet nagany, w jego milczeniu było dużo dziecięcego

uporu.

Przerwa w rozmowie trwała dość długo.

Wreszcie pan Settembrini podniósł znowu głowę i rzekł z uśmiechem: - Przypomina pan sobie zapewne,

inżynierze, że już kiedyś prowadziliśmy podobną, a nawet tę samą rozmowę.

Mówiliśmy wtedy - zdaje mi się, że było to na przechadzce - o chorobie i o głupocie, których połączenie

uważał pan za paradoks, a to przez szacunek dla choroby.

Szacunek ten nazwałem wtedy ponurą chimera, która ubliża myśli ludzkiej, a pan zdawał się, ku memu

zadowoleniu, poświęcać nieco uwagi moim argumentom.

Mówiliśmy także o neutralnym nastawieniu i niezdecydowaniu młodzieńczego wieku, o jego swobodzie

wyboru i skłonności do czynienia różnych prób myślowych, i o tym, że nie należy i nie potrzeba uważać

takich prób za poważne i ostateczne akty wyboru.

Czy zechce mi pan - i pan Settembrini pochylił się z uśmiechem, trzymając obie nogi przy sobie na podłodze, ścisnął złożone dłonie pomiędzy kolanami i z lekka na bok przekrzywił głowę - czy zechce

mi

pan nadal -rzekł z pewnym wzruszeniem w głosie - pozwolić żebym go wspomagał w jego ćwiczeniach i eksperymentach i żebym mógł skorygować czasami jakieś grożące błędne skryształizowanie się pańskich poglądów?  
Poglądów?  
- Ależ ma się rozumieć!  
- Hans Castorp starał się szybko wyzbyć swego zakłopotania i przełamać upór, który mu kazał odwrócić głowę; przestał bębnić palcami po kołdrze i rzekł uprzejmie, choć nie bez zakłopotania, do gościa: -  
Bardzo pan łaskaw...  
Sam sobie zadaję pytanie...  
To znaczy, czy ja...  
Całkiem sine pecunia - zacytował pan Settembrini powstając.  
- Kto by się chciał okazać chciwym.  
- Obaj zaczęli się śmiać.  
Usłyszeli, jak otworzyły się zewnętrzne drzwi, i w tej samej chwili ktoś nacisnął kłamkę wewnętrznych. To Joachim wracał z zebrania wieczornego w salonie.  
Ujrzawszy Włocha zaczerwienił się i on, podobnie jak przedtem Hans Castorp; ciemna opalenizna jego twarzy pogłębiła się o jeden ton.  
O, masz gościa - powiedział.  
- Jak to miło!  
Zatrzymano mnie na dole.  
Zmuszono mnie do partii bridża - oficjalnie nazywają to bridżem - rzekł kiwając głową - a tymczasem to było zupełnie coś innego.  
Wygrałem pięć marek...  
Żeby tylko nie pociągnęła cię ta nieczysta siła - odezwał się Hans Castorp.  
- Hm, hm, dzięki panu Settembriniemu spędziłem tu tak mile czas...  
co zresztą jest złym określeniem.  
Można by je zastosować do waszego fałszywego bridża, ale pan Settembrini wypełnił swój czas tak bogatą treścią...  
Przyzwoity człowiek powinien dołożyć wszelkich starań, ażeby się stąd wydostać, skoro już fałszywy bridż odchodzi wśród was.  
Ażeby jednak częściej mógł słyszeć pana Settembriniego i korzystać z jego pomocy i rozmowy, chciałbym prawie mieć długo jeszcze gorączkę i siedzieć tu z wami...  
W końcu trzeba mi będzie dać "niemowę", abym nie oszukiwał.  
Powtarzam, inżynierze, że filut z pana - odezwał się Włoch, po czym pożegnał się w najuprzejmiejszy sposób.  
Pozostawszy sam z kuzynem, Hans Castorp westchnął.

- Ależ to jest pedagog!

- powiedział...

- Humanistyczny pedagog, to trzeba mu przyznać.

Wciąż człoWiek poprawia i koryguje, to w formie opowiadań, to w formie abstrakcyjnej.

A przy tym mówi się z nim na takie tematy - nigdy bym nie pomyślał, że potrafię o tym wszystkim rozmawiać, a chociażby nawet to rozumieć.

Gdybym go zresztą był spotkał na równinie, tobym go też rzeczywiście nie rozumiał - dodał.

O tej porze Joachim bawił u niego niedługo, poświęcał mu pół godziny lub trzy kwadransy ze swego wieczornego werandowania.

Czasem grywali w szachy na jednonogim stoliku - Joachim przynosił je z dołu.

Później brał wszystkie manatki i siedł z termometrem w ustach na balkon, a i Hans Castorp mierzył sobie po raz ostatni temperaturę, podczas gdy dźwięki lekkiej muzyki, z mniejszej lub większej odległości, wpadały ze spowitej ciemnością doliny do pokoju.

O godzinie dziesiątej kończyło się werandowanie; słysząc było, jak ruszał się Joachim; słysząc było małżeństwo, które należało do gorszego stołu rosyjskiego...

I Hans Castorp obracał się na bok w oczekiwaniu snu.

Noc była trudniejszą częścią doby, bo Hans Castorp budził się często i nieraz leżał tak całymi godzinami, ponieważ niewłaściwa temperatura krwi spędzała mu sen z powiek albo też dlatego, że jego obecny, całkowicie poziomy tryb życia wpływał ujemnie na chęć i zdolność do spania.

Godziny drzemania były za to wypełnione najrozmaitszymi, często zmieniającymi się i nader żywymi marzeniami, które mógł snuć dalej, nawet na jawie.

I jeżeli podział i rozbitcie dnia na krótkie okresy skracały ten dzień, to jednostajna monotonia nocy miała to samo działanie.

A gdy wstawał poranek, przyjemnie było śledzić stopniowe rozjaśnianie się i wyłanianie pokoju, wydobywanie się z mroku różnych przedmiotów i patrzeć, jak za oknem zapala się dzień nieznacznie tłącą lub wesołą światłością, i nagle nadchodziła znowu chwila, kiedy mocne stukanie kąpielowego oznajmiało, że wkroczył już w swe prawa.

Hans Castorp nie zabrał z sobą na wycieczkę kalendarza, toteż niekiedy nie orientował się w dacie.

Od czasu do czasu informował się u kuzyna, ale i on nie zawsze umiał mu dać dokładną odpowiedź.

Bądź co bądź, za drogowskazy mogły służyć niedziele, szczególnie te z koncertami, przypadające na dwa tygodnie; Hans Castorp przeżył tutaj już dwie takie niedziele, i to było przynajmniej pewne, że wrzesień był już dość znacznie, mniej więcej do połowy posunięty.

Na dworze zimno i niepogoda, panujące w pierwszych dniach choroby Hansa Castorpa, ustąpiły miejsca gorącym letnim dniom, niezliczonym takim dniom, długiemu ich szeregowi.

Joachim, ubrany w białe spodnie, zjawiał się co rano w pokoju kuzyna, który nie mógł pohamować szczerzego żalu swej duszy i swych młodych mięśni z powodu niemożności korzystania z tak pięknej pogody.

Raz nawet powiedział z cicha, że to "hańba", ale zaraz potem dodał dla własnego uspokojenia, że nawet gdyby był wolny, nie mógłby o wiele więcej korzystać z owej pogody, bo jak już stwierdził, zbytni ruch nie wychodzi mu tu na dobre.

A otwarte na oścież drzwi balkonowe pozwalały mu bądź co bądź rozkoszować się promieniami słońca.

Lecz kiedy jego uwięzienie w łóżku miało się już ku końcowi, pogoda znowu się zmieniła.

W ciągu jednej nocy dolina zasnęła się mokrą zadymką i suche tchnienie radiatora rozeszło się po pokoju.



Tak było też podczas rannej wizyty lekarzy tego dnia, kiedy Hans Castorp przypomniał radcy Behrensowi, że leży już trzy tygodnie, i prosił o pozwolenie wstania.

i Cóż u licha, już pan jest gotów?

- powiedział Behrens.

- Niech no pan pokaże, czy rzeczywiście zgadza się.

Boże, jak człowiek się starzeje.

Niewiele się zmieniło u pana w ciągu tego czasu.

Co, wczoraj było normalnie?

Aha, z wyjątkiem temperatury o szóstej po obiedzie.

No, Castorp, więc nie będę już dłużej taki nieubłagany i wrócę pana społeczności lepiej. Niech pan sobie wstanie i buja, człowieku!

pranie w miarę i w dozwolonych granicach.

W najbliższej przyszłości zrobimy portret pańskiego wnętrza.

Zapisać!

- rzekł do doktora Krokowskiego i Przez ramię wskazał swym wielkim kciukiem Hansa Castorpa, patrząc na bladego asystenta przekrwionymi, łzawiącymi, niebieskimi oczami...

Hans Castorp opuścił "remizę".

Z postawionym kołnierzem płaszcza i w kaloszach towarzyszył po raz pierwszy znowu kuzynowi podczas spaceru, znowu do ławki nad strumieniem i z powrotem.

Zapytał po drodze, jak też długo kazałby mu leżeć radca dworu, gdyby mu sam nie był zwrócił uwagi, żeznaczony czas już się skończył.

A Joachim, patrząc niepewnym wzrokiem i otworzywszy usta jakby do beznadziejnego "ach", ręką wykonał w powietrzu ruch oznaczający coś, co się nie daje przewidzieć.

"Mój Boże, Ja Widzę"!

Po tygodniu siostra von Mylendonk wezwała Hansa Castorpa do laboratorium rentgenowskiego. Nie upominał się o to.

W "Berghofie" dużo było roboty i zapewne lekarze i personel bardzo byli zajęci.

W ostatnich dniach przybyli nowi goście: dwóch rosyjskich studentów z bujnymi włosami i w zapiętych pod szyję czarnych bluzach, spoza których nie było widać ani rąbka koszuli; holenderskie małżeństwo, któremu wyznaczono miejsce przy stole Settembriniego; jakiś garbaty Meksykanin, przerażający towarzystwo przy stole nagłymi, straszliwymi atakami duszności - żelaznymi chwytami palców czepiał się przy tym swoich sąsiadów, wszystko jedno kobiet czy mężczyzn, obejmował ich żelaznym uściskiem swych długich rąk jak kleszczami; napastowani stawiali mu oPór i wzywali pomocy, wciągani w ten sposób w sferę jego lęku.

Jednym słowem, jadalnia była zapełniona prawie do ostatniego miejsca, chociaż sezon zimowy rozpoczynał się dopiero w październiku, stan zdrowia Hansa Castorpa, nasilenie jego choroby nie pozwalało mu rościć sobie pretensji do ogólnej uwagi sąsiadów.

Pani Stohr, pomimo całej głupoty i braku wykształcenia, była z pewnością o wiele bardziej chora niż on, nie mówiąc już o doktorze Blumenkohlu.

Jedynie człowiek zupełnie pozbawiony poczucia dystansu i hierarchii - a w sanatorium poczucie to było silnie rozwinięte - nie zachowywałby na miejscu Hansa Castorpa skromnej postawy.

Lekko chorzy nie mieli w "Berghofie" wielkiego znaczenia; przekonał się o tym nieraz, przySłuchując się

rozmowom.

W myśl obowiązujących tu kryteriów mówiono o nich z lekceważeniem, spoglądano na nich z góry, a

czynili to nie tylko ci, co byli poważnie i bardzo poważnie chorzy, ale również sami "lekko" chorzy: w ten sposób, choć sami siebie traktowali lekceważąco, ratowali jednak lepsze mniemanie o sobie dzięki temu, że i do siebie przykładali sanatoryjną miarę.

Tacy są ludzie.

"Ach, ten!

- mógł być ktoś z nich powiedzieć o innym chorym - temu właściwie nic nie jest, nie wiadomo, czy w ogóle ma prawo siedzieć tutaj.

Nie ma ani jednej kawerny"...

Taki duch panował w zakładzie, był to swoistego rodzaju duch arystokratyczny i Hans Castorp schylał przed nim głowę z wrodzonego poszanowania prawa i ładu wszelkiego rodzaju.

Mówi się: co kraj, to obyczaj...

Ludzie dowodzą wielkiego braku kultury wyśmiewając zwyczaje i wierzenia ludów, których kraje zwiedzają, a nie dostrzegając wielu cennych zalet.

Nawet Joachim cieszył się szacunkiem i względami Hansa Castorpa; nie dlatego, że Joachim bawił tu dłużej i był jego doradcą i przewodnikiem po tej krainie, ale właśnie dlatego, że należał do cięższych przypadków.

W tym stanie rzeczy łatwo zrozumieć, że każdy starał się przedstawiać swoją chorobę jako poważną, nawet ją wyolbrzymiać, aby móc należeć do arystokracji lub przynajmniej zbliżyć się do niej.

Także Hans Castorp, zapytany przy stole o temperaturę, podawał o kilka kresek więcej, niż miał w rzeczywistości, i schlebiało mu, gdy grożono mu palcem, jak komuś, kogo się uważa za cichą wodę.

Ale mimo to, że sobie dodawał, pozostawał właściwie zawsze na niskim szczeblu hierarchii sanatoryjnej. Rozpoczął, z wyjątkiem pierwszych tygodni pobytu, ten dobrze mu znany, jednostajny i dokładnie uregulowany żywot u boku Joachima, i od razu, od pierwszego dnia, poszło mu jak po maśle, jak gdyby tego trybu życia wcale nie był przerywał.

I rzeczywiście przerwa ta była bez znaczenia; uświadomił sobie to, skoro tylko po raz pierwszy zasiadł znowu przy ogólnym stole.

Wprawdzie Joachim, który przykładął szczególną wagę do podkreślania tego rodzaju momentów, postarał się o to, żeby kilka kwiatków zdobiło miejsce ozdowieńca, ale powitanie go przez współbiedniaków było nie bardzo uroczyste i niewiele różniło się od sposobu, w jaki go witano dawniej po trzygodzinnej, a nie trzytygodniowej rozłące.

Powodem tego była nie tyle obojętność dla jego prostolinijnej i miłej osoby i nie tyle okoliczność, że ci wszyscy ludzie zanadto przejęci byli sobą, to znaczy swymi wielce interesującymi organizmami, ile raczej fakt, że zupełnie nie uświadamiali sobie tej przerwy.

Hans Castorp z łatwością przejął się tym nastrojem, bo i on sam siedział na swoim miejscu przy końcu stołu pomiędzy nauczycielką a miss Robinson zupełnie tak, jak gdyby dopiero wczoraj siedział tu po raz ostatni.

Jeżeli nawet najbliżsi sąsiedzi przy stole nie przejmowali się zbytnio tym, że Hans Castorp znajduje się znowu w ich gronie, to czyż mogło to zrobić wrażenie w dalszych częściach sali?

Tam literalnie nikt nie zauważył tego, z wyjątkiem jednego tylko Settembriniego, który po jedzeniu podszedł do Hansa Castorpa z żartobliwym i przyjaznym powitaniem.

Hans Castorp zauważył jeszcze jeden wyjątek - mniejsza o to, czy słusznie.

Był pewien, że Kławdia Chauchat spostrzegła jego ponowne zjawienie się - skoro tylko weszła, jak

zwykle za późno, do sali jadalnej, trzasnęła drzwiami, skierowała na niego swe wąskie oczy, które napotkały jego spojrzenie, i usiadłszy, z uśmiechem obejrzała się raz jeszcze na niego; z uśmiechem, jak przed trzema tygodniami, kiedy miał udać się na badanie.

Zrobiła to tak jawnie i nie licząc się z niczym, ani z nim samym, ani z resztą gości, że Hans Castorp nie wiedział, czy go to ma uradować, czy też raczej gniewać, jako oznaka lekceważenia.

Bądź co bądź, serce jego ścisnęło się pod wpływem tych spojrzeń, które w tak potworny dla niego i oszałamiający sposób przechodziły do porządku dziennego nad okolicznością, że Kławdia Chauchat i on właściwie wcale się nie znają - ścisnęło się prawie boleśnie już wtedy, kiedy trzasnęły oszklone drzwi wejściowe, bo chwili tej wyczekiwał z zapartym tchem.

Należy dodać, że wewnętrzny stosunek Hansa Castorpa do pacjentki należącej do lepszego stołu rosyjskiego, zainteresowanie się jego zmysłów i skromnego ducha tą niewielką, miękko skradającą się postacią z kirgiskimi oczami, jednym słowem jego zakochanie (niech będzie użyte to słowo, chociaż jest właściwie słowem "z dołu", z równiny, i mogłoby wzbudzić przekonanie, że może tu znaleźć jakieś zastosowanie piosenka "Jak mnie dziwnie czasem wzrusza")...

- zrobiło znaczne postępy podczas jego odosobnienia w pokoju.

Jej obraz zjawiał mu się, kiedy obudziwszy się wcześniej, patrzył w stopniowo wyłaniający się pokój albo wieczorami w gęstniejący mrok (widział ją niezwykle wyraźnie w owej również chwili, kiedy Settembrini wchodząc do niego nagle zapalił lampę, i dlatego właśnie zaczerwienił się, ujrzawszy humanistę); myślał o jej ustach, kościach policzkowych, oczach, których kolor, kształt i osadzenie wryły mu się w duszę, o jej pochylonych plecach, sposobie trzymania głowy, o kręgu szyjnym, widocznym w wycięciu jej bluzki, o ramionach, opromienionych pajęczą cienką gazą - myślał o tym wszystkim w ciągu kolejnych godzin, na które rozpadał się dzień.

A jeżeli przemilczeliśmy dotychczas, że myśli te sprawiły iż godziny owe tak niepostrzeżenie i bezboleśnie

mijały, to stało się to dlatego, iż bierzemy żywy udział w spokoju sumienia, który mieszał się z przemijaniem i błogością tych obrazów i zjaw.

Łączyła się ona z obawą i wzburzeniem, z nadzieją, wybiegającą w nieokreśloność, bezkres i awanturniczość, z radością i bezimiennym lękiem, który niekiedy tak niespodziewanie -ściskał serce młodzieńca - serce we własnym i cielesnym znaczeniu - że jedną ręką przyciskał ten organ, a drugą podnosił

do czoła, osłaniał nią sobie oczy, i szeptał: O mój Boże!

Bo za tym czołem roily się myśli i półmyśli, które właściwie dopiero użyczały tym obrazom i zjawom

nazbyt wielkiej słodyczy i tyczyły się niedbałości pani Chauchat i jej neliczenia się z niczym, jej choroby,

która kładła nacisk na jej ciało i podkreślała osobę, ucieleśniała jej istotę, a która, według orzeczenia lekarza,

miała być odtąd jego, Hansa Castorpa, udziałem.

Pojmował w głębi swego mózgu tę awanturniczą swobodę, z jaką Madame Chauchat, uśmiechając się i

oglądając za siebie, przechodziła do porządku nad okolicznością, że się towarzysko nie znają, jak gdyby nie

byli w ogóle istotami towarzyskimi i jak gdyby nawet nie było potrzebne, żeby z sobą rozmawiali...

i to właśnie napełniało go strachem: takim samym, jaki odczuwał wtedy, gdy w pokoju przyjęć podniósł

szukający wzrok z obnażonego torsu Joachima do jego oczu - z tą różnicą, że wówczas współczucie i troska

były przyczyną jego lęku, a tutaj wchodziły w grę zupełnie inne sprawy.

i Tak więc życie "Berghofu", to miłe i dokładnie unormowane życie na wąskiej przestrzeni, szło znowu

swym utartym torem.

- Hans Castorp, czekając na podobiznę swego wnętrza, nadal dzielił je z poczciwym Joachimem, godzina za

godziną czyniąc to samo co tamten; i to sąsiedztwo było dla młodzieńca korzystne.

Bo chociaż było to tylko koleżeństwo w chorobie, to jednak było w nim wiele z żołnierskiej godności:

godności, która, nie zdając sobie z tego sprawy, już prawie zadowalała się służbą kuracyjną; i służba ta

stawała się surogatem spełniania obowiązków na nizinie i jakby podrzuconym zawodem.

Hans Castorp nie był tak głupi, żeby tego wyraźnie nie widzieć, zdawał sobie jednak dobrze sprawę, że

owo sąsiedztwo działa hamująco i powstrzymująco na jego usposobienie cywila - możliwe nawet, że to

sąsiedztwo, przykład Joachima i jego opieka nad Hansem Castorpem były tym, co wstrzymywało młodzieńca od pewnych poczynań i nieopatrznych przedsięwzięć.

Bo widział dobrze, ile cierpiał biedny Joachim z powodu pewnej co dzień ogarniającej go atmosfery pomarańczowego zapachu, za którą kryły się okrągłe, brązowe oczy, drobny rubin, niezupełnie usprawiedliwiona ochota do śmiechu i piersi na zewnątrz tak ładnie zarysowane.

Rozsądek i uczciwość, które kazały Joachimowi unikać tej atmosfery i uciekać od niej, silnie wzruszały

Hansa Castorpa, dodawały mu siły i pewnej dyscypliny wewnętrznej i nie pozwalały mu, jeżeli tak się

można wyrazić, "pożyczyć ołówka" od wąskookiej Rosjanki - do czego, jak pouczało doświadczenie, bez

trzymającego w karbach sąsiedztwa z pewnością byłby gotów.

Joachim nigdy nie wspominał o tej śmieszce Marusi, a więc i Hans Castorp nie mógł z nim mówić o Kławdii Chauchat.

Starał się powetować to sobie, prowadząc ukradkiem rozmowy z nauczycielką, siedzącą przy stole po

prawej stronie; przekomarzał się ze starą panną na temat jej słabości dla gibkiej chorej, tak że panna Engelhart oblewała się rumieńcem, a on tymczasem walczył z drzeniem szyi, naśladowując pełen godności

sposób, w jaki stary Castorp trzymał głowę.

Wyciągał też z nauczycielki ważne dla siebie wiadomości, dotyczące się osoby pani Chauchat, jej pochodzenia, męża, wieku, rodzaju jej choroby.

Chciał wiedzieć, czy ma dzieci...

Ależ nie, nie ma.

Cóż by taka kobieta jak ona miała robić z dziećmi?

Prawdopodobnie jest jej surowo zabronione mieć dzieci - a ponadto: cóż by to były za dzieci? Hans Castorp musiał się zgodzić z tym poglądem.

Poza tym, jak przypuszczał z wielką rzeczowością, było już na to za późno. Czasami, z profilu, rysy pani Chauchat wydawały mu się już trochę zaostrome.

Czy przekroczyli już trzydziestkę?

Panna Engelhart żywo zaprzeczyła: Kławdia, trzydzieści lat?

W najgorszym razie ma dwadzieścia osiem.

A co się tyczy profilu, to zabrania Hansowi Castorpowi mówić coś podobnego.

Kławdia ma profil młodzieńczy, miękki i słodki, chociaż naturalnie interesujący, nie jak profil pierwszej lepszej gęsi.

A za karę panna Engelhart dodała natychmiast, że wie, iż panią Chauchat często odwiedza pewien jej rodak, który przychodzi z Uzdrowiska: przyjmuje go po obiedzie w swoim pokoju.

To było dobrze wycelowane.

Hans Castorp zmienił się na twarzy, chociaż usiłował zapanować nad sobą, i zwroty, którymi starał się reagować na to odkrycie, zbudowane na modłę "Co też pani"...

albo "Patrzcie no", brzmiały nienaturalnie.

Nie umiając, jak to od razu pragnął, udawać, że lekko traktuje istnienie tego rodaka, drżącymi wargami powracał ciągle do tego tematu.

Czy to człowiek młody?

Nauczycielka odpowiedziała, że, o ile słyszała, jest młody i przystojny; bo sama go nie widziała.

Czy chory?

- Co najwyżej lekko chory!

- Hans Castorp powiedział szyderczo, że ma nadzieję, iż ma na sobie więcej bielizny niż jego ziomkowie należący do gorszego stołu rosyjskiego - za co panna Engelhart, wciąż jeszcze, żeby ukarać młodzieńca, gotowa była ręczyć.

Wtedy przyznał, że należy bliżej się sprawą tą zająć, i poważnie zlecił panie Engelhart, aby zbadała, co tu właściwie robi ten rodak składający wizyty.

Zamiast jednak zdobyć co do tego jakieś wiadomości, po kilku dniach wiedziała coś zupełnie nowego.

Wiedziała, że ktoś Kławdię Chauchat maluje, portretuje, i spytała Hansa Castorpa, czy także wie o tym.

Jeżeli nie wie, to może jednak być tego zupełnie pewien, bo ona ma tę wiadomość z najpewniejszego źródła.

Od dłuższego czasu pozuje tutaj w zakładzie komuś do portretu - a komu?

Behrensowi!

Panu radcy dworu, którego prawie co dziennie odwiedza w tym celu w jego prywatnym mieszkaniu.

Nowina ta wywarła na Hansie Castorpie wrażenie jeszcze większe niż poprzednia.

Nie przestawał z przekąsem dowcipkować na ten temat.

No cóż, przecież wiadomo, że pan radca maluje olejne obrazy - to przecież nie jest zabronione i wolno każdemu.

A więc w samotnym ustroniu pana radcy?

Miejmy nadzieję, że przynajmniej panna von Mylendonk jest obecna na tych seansach.

- O, ta na pewno nie ma czasu.

- Behrens nie powinien mieć więcej czasu niż starsza siostra - powiedział surowo Hans Castorp, Ale chociaż w ten sposób powiedział coś jakby definitywnego w tej kwestii, był daleki od porzucenia jej i wciąż wypytywał o bliższe i dalsze szczegóły: o obraz i jego format, czy to ma być tylko głowa, czy postać do kolan, i w jakiej porze odbywają się seanse; ale panna Engelhart i tutaj nie mogła służyć

wyczerpującymi odpowiedziami i musiała go pocieszać, że zasięgnie dalszych informacji.

Po otrzymaniu tej wiadomości Hans Castorp miał 37,7.

Bardziej niż wizyty, które pani Chauchat przyjmowała, bolały i niepokoiły go te, które składała.

Życie prywatne pani Chauchat, jako takie, samo w sobie i niezależnie od swojej treści, zaczęło już od pewnego czasu budzić w nim niepokój i ból, jak bardzo więc musiały się oba te uczucia pogłębić, kiedy do uszu jego doszły tak dwuznaczne słowa!

Wprawdzie na ogół było możliwe, że stosunki owego Rosjanina z panią Chauchat były zupełnie poprawne i niewinne, ale Hans Castorp był od pewnego czasu skłonny uważać poprawność i niewinność za bzdury.

Nie mógł też przewyciężyć się i wyzbyć się podejrzania, że poza portretowaniem wąskookiej młodej kobiety, o skradającym się kroku, przez rubasznie się wyrażającego wdowca, kryje się coś innego.

Dobry gust, który okazał radca dworu w wyborze modelu był zgodny z jego własnym gustem, by Hans Castorp mógł tu wierzyć w poprawność, a wyobrażenie Behrensa, jego silnych policzków i łzawiących oczu z czerwonymi żyłkami, nie przyczyniało się do umocnienia takiej wiary.

Pewne spostrzeżenie, które uczynił w tych dniach przypadkowo i na własną rękę, podziałało na niego inaczej, choć i ono było potwierdzeniem jego dobrego gustu.

Przy poprzecznym stole pani Salomon, obok żarłocznego ucznia w okularach, na lewo od stołu obu kuzynów, obok bocznych drzwi, siedział pewien chory z Mannheimu, jak słyszał Hans Castorp, człowiek może trzydziestoletni, z przerzedzonymi włosami i popsutymi zębami, mówiący powoli i jakby z wahaniem

- ten sam, który czasem wieczorami grywał na pianinie, a mianowicie najczęściej marsz weselny ze "Snu nocy letniej".

Mówiono, że jest bardzo ułożony, co nie było, jak to łatwo zrozumieć, rzadkim przypadkiem u tych w górze.

Podobno co niedziela chodził na mszę do kościoła w Uzdrowisku, a na werandzie czytywał nabożne książki, zdobne w rysunek kielicha albo gałązek palmowych na okładce.

Człowiek ten, jak zauważył pewnego razu Hans Castorp, kierował swój wzrok w to samo miejsce, które ścigało na siebie oczy Hansa Castorpa, kierował go i zatrzymywał na giętkiej postaci pani Chauchat, i to w sposób lękliwy i uporczywie jak pies.

Hans Castorp, dostrzegłszy to pewnego razu, musiał się wciąż na nowo o tym przekonywać.

Widział, jak stawał wieczorami w bawialni pośród gości i patrzył z posepnym zapamiętaniem na tę uroczą, choć przez chorobę zmęczoną kobietę, rozmawiającą tam w małym salonie, na kanapce, z Tamarą - tak nazywała się ta humorystyczna panna o wełnistych włosach - doktorem Blumenkohlem i z owym siedzącym przy jej Kolanach panem o zapadniętych piersiach i obwisłych ramionach; widział, jak się niekiedy odwracał, wałęsał wśród gości i znowu patrzył tam przez ramię, przesuwając w bok gałki oczu i żałośnie unosząc górną wargę.

Widział, jak bladł i nie podnosił głowy, w końcu jednak przecież ją podnosił i patrzył chciwie, kiedy trzaskały drzwi i pani Chauchat mknęła ku swemu miejscu.

I nieraz widział, jak "biedak" stawał po jedzeniu pomiędzy drzwiami wyjściowymi a lepszym stołem rosyjskim, ażeby pani Chauchat która nie zwracała na niego uwagi, musiała przejść tuż obok niego, i jak z bezpośredniej bliskości pożerał ją wtedy oczami bezdennie smutnymi.

I to więc odkrycie bardzo obeszło młodego Hansa Castorpa, chociaż pożałowania godne gapienie się mannheimczyka nie mogło zaniepokoić go w równej mierze, jak prywatne obcowanie Kławdii Chauchat z radcą Behrensem, człowiekiem tak znacznie przewyższającym go jako osobowość i pod

względem wieku, i pozycji życiowej.

Kławdia zupełnie nie troszczyła się o mannheimczyka.

Hans Castorp, uczulony wewnętrznie na tę sprawę, z pewnością byłby to zauważył, gdyby tak było, a więc nie cierń zazdrości ranił w tym wypadku tak okrutnie jego duszę.

Ale doświadczał wszystkich uczuć, których doświadcza upojenie i namiętność, kiedy spotyka w świecie zewnętrznym swe własne odbicie; jest to dziwna mieszanina wstrętu i poczucia solidarności.

Niemożliwością jest wszystko zgłębić i zanalizować, jeżeli chcemy ruszyć z miejsca.

Cokolwiek jednak obserwowanie mannheimczyka rodziło w duszy biednego Hansa Castorpa, w każdym razie było to ponad jego siły.

Tak minął tydzień, po którego upływie Hans Castorp miał być prześwietlony.

Nie wiedział sam, że już minął, a kiedy pewnego razu podczas pierwszego śniadania starsza siostra (znowu miała jęczmień na oku; w żaden sposób nie mógł to być ten sam, widocznie więc to niewinne, ale szpecące ją cierpienie było organiczne) poleciła mu udać się po obiedzie do laboratorium, zrozumiał, że tydzień się skończył.

Hans Castorp miał stawić się razem z kuzynem na pół godziny przed podwieczorkiem; bo i Joachimowi miano przy tej sposobności zrobić zdjęcie - poprzednie musiało już być przestarzałe, tak więc skrócili dzisiaj główne werandowanie o trzydzieści minut; punktualnie o wpół do czwartej szli po kamiennych schodach do rzekomych piwnic; usiedli w małej poczekalni, oddzielającej pokój przyjęć od laboratorium rentgenologicznego.

Joachim, którego nic nowego nie czekało, był zupełnie spokojny, a Hans Castorp w nastroju gorączkowego

oczekiwania, ponieważ nikt dotychczas nie przypatrywał się wewnętrznemu życiu jego organizmu.

Nie byli sami: kiedy weszli, siedziało tam już kilku pacjentów, z podartymi zeszytami ilustrowanych pism

na kolanach, i czekało swej kolei: olbrzymi młody fewed, który jadał przy stole Settembriniego i o którym

mówiono, że kiedy przyjechał w kwietniu, był tak chory, iż prawie nie chciano go przyjąć; ale teraz przybyło mu osiemdziesiąt funtów, i miał już jako zupełny ozdrowieniec opuścić sanatorium; następnie

pewna pani z gorszego stołu rosyjskiego, matka, niezmiernie wątła, z jeszcze wątlejszym, długonosym brzydkim chłopcem, któremu na imię było Sasza.

Te osoby czekały więc dłużej niż obaj kuzyni; widocznie miały wezwanie na wcześniejszą godzinę; ale

musiało coś opóźnić się obok w sąsiednim pokoju, gdzie prześwietlano; wróżyło to zimną herbatę. W laboratorium pracowano.

Słysząc było głos radcy dworu, wydającego polecenia.

O wpół do czwartej, a może jeszcze trochę później, drzwi otworzyły się - otworzył je asystent techniczny,

zatrudniony tutaj na dole, i wpuszczono najpierw olbrzymiego Szweda szczęściarza; poprzednik jego wyszedł, widać, innymi drzwiami.

Teraz wszystko potoczyło się różnie.

Już po dziesięciu minutach słysząc było na korytarzu oddalającego się skandynawskiego ozdrowieńca,

chodzącej reklamy sanatorium i uzdrowiska, a jednocześnie wpuszczono Rosjankę z jej synkiem Saszą.

Znowu, jak już wtedy, kiedy Szwed wchodził do laboratorium, Hans Castorp zauważył, że panuje tam półmrok, a właściwie sztuczne półświatło - zupełnie tak samo, jak po drugiej stronie w analitycznym gabinecie doktora Krokowskiego.

Okna były zasłonięte, światło dzienne nie dochodziło zupełnie, paliło się tylko kilka lamp elektrycznych.

Ale w chwili kiedy Sasza z matką, odprowadzeni spojrzeniem Hansa Castorpa, weszli do laboratorium,

otworzyły się drzwi od korytarza i do poczekalni weszła następna pacjentka - za wcześniej wobec istniejącego opóźnienia a była nią Madame Chauchat.

Tak, w małym pokoiku ukazała się nagle Kławdia Chauchat.

Kiedy Hans Castorp poznał ją, otworzył szeroko oczy i poczuł, że krew ucieka mu z twarzy, a dolna szczęka drętwieje, tak że zaledwie powstrzymał odruch rozchyłania się ust.

Wejście Kławdii było tak nieoczekiwane, takie jakieś ni stąd, ni zowąd - po prostu znalazła się nagle w

małym pokoju wraz z obydwoma kuzynami, chociaż przed chwilą zupełnie jej tam nie było.

Joachim szybko spojrzał na Hansa Castorpa i nie tylko spuścił w dół oczy, ale wziął nawet znowu ze stołu

pismo ilustrowane, które już przedtem tam odłożył, i ukrył za nim twarz.

Hans Castorp nie miał tyle siły, żeby pójść za jego przykładem.

Zbladł na chwilę, po czym znowu silnie się zaczerwienił, a serce biło mu jak młotem.

Pani Chauchat usiadła przy drzwiach do laboratorium w małym okrągłym foteliku z krótkimi, jakby szczątkowymi poręczami, oparła się głęboko, lekko założyła nogę na nogę i spoglądała w przestrzeń; świadomość tego, że jest obserwowana, sprawiła, iż jej oczy Przybysława, nerwowo odchyłone w bok od

kierunku patrzenia, cokolwiek zezowały.

Miała na sobie biały sweter i granatową spódniczkę; na kolanach trzymała książkę, prawdopodobnie wypożyczoną z biblioteki, i lekko postukiwała stopą opartą o podłogę.

Już po upływie półtorej minuty zmieniła pozycje.

obejrzała się dokoła, wstała z taką miną, jak gdyby nie wiedziała, co począć i dokąd się zwrócić - i zaczęła mówić.

Zapytała o coś, a pytanie swoje skierowała do Joachima, chociaż był na pozór zatopiony w czytaniu gazety,

a Hans Castorp siedział nic nie mówiąc; usta jej formowały słowa, a z białej szyi wydobywał się głos: był to

ów głos niezbyt głęboki, nieostry i przyjemnie zachrypnięty, który Hans Castorp już znał od dawna, a raz

już nawet słyszał z bezpośredniej bliskości: wówczas kiedy głos ten odezwał się wprost do niego: "Chętnie. Ale po lekcji musisz mi go koniecznie oddać".

Wtedy jednak słowa były płynniej wypowiedziane i jakieś pewniejsze; teraz wlokły się i urywały, jak gdyby osoba wymawiająca je nie miała do nich prawa i tylko je sobie wypożyczała; Hans Castorp nieraz już słyszał ją tak mówiącą i zawsze doznawał przy tym uczucia wyższości, ale jednocześnie i pokornego zachwyty.

Pani Chauchat spytała, jedną rękę trzymając w kieszeni wełnianego swetra, a drugą poprawiając sobie włosy na tyle głowy: - Przepraszam, na którą godzinę jest pan zamówiony?



A Joachim, rzuciwszy szybko okiem na swego kuzyna, odparł stuknąwszy obcasami w pozycji siedzącej: Na wpół do czwartej.

Mówiła dalej: - A ja na trzy kwadransy na czwartą.

Co to się stało?

Już dochodzi czwarta.

Przed chwilą wszedł tam ktoś jeszcze, prawda?

- Tak, dwie osoby - odrzekł Joachim.

- Czekały przed nami.

Widocznie jakieś spóźnienie.

Zdaje się, że wszystko zostało przesunięte o pół godziny.

- To przykre!

- powiedziała, nerwowo dotykając swych włosów.

Raczej tak - odpowiedział Joachim.

- My takczekamy już prawie pół godziny.

Tak rozmawiali z sobą, a Hans Castorp słyszał wszystko jak przez sen.

To, że Joachim rozmawiał z Panią Chauchat, było prawie tak, jak gdyby on sam z nią rozmawiał - chociaż, co prawda, było to coś zupełnie innego.

Słowa "raczej tak" obraziły Hansa Castorpa, wydawały mu się zuchwałe i co najmniej dziwnie obojętne, zważywszy, w jakich okolicznościach zostały wypowiedziane.

Ale Joachimowi wolno było ostatecznie tak mówić - w ogóle wolno mu było z nią mówić, a może nawet chełpił się przed Hansem Castorpem tym zuchwałym "raczej tak", podobnie jak on sam zgrywał się wówczas przed Joachimem i przed Settembrinim, kiedy na pytanie jak długo ma zamiar tu zostać, odpowiedział "trzy tygodnie".

Chociaż zasłaniała się gazetą, zwróciła się jednak do Joachima - zapewne dlatego, że był tu już od dawna i że lepiej znała go z widzenia - ale również i z tego powodu, że łączyły ich zwykłe ludzkie stosunki, że możliwy był między nimi artykułowany sposób wyrażania się, a nie było nic z dzikości, głębi, lęku i tajemnicy.

Gdyby czekał tutaj wraz z nimi ktoś z brązowymi oczami, z rubinowym pierścieniem i zapachem pomarańcz, wtedy jego, Hansa Castorpa, rzeczą byłoby prowadzić rozmowę i powiedzieć "raczej tak", bo w stosunku do tego kogoś był czysty i niezależny.

"Zapewne, raczej przykre, proszę pani!"

- tak powiedziałby jej, a może nawet energicznym ruchem wyciągnąłby z kieszeni chustkę, ażeby wytrzeć sobie nos.

"Proszę mieć trochę cierpliwości.

My jesteśmy w nie lepszym położeniu".

A Joachima dziwiłaby wtedy jego pewność siebie - chociaż zapewne nie życzyłby sobie być na jego miejscu.

Nie, w tym stanie rzeczy Hans Castorp także nie zazdrościł Joachimowi, chociaż to on rozmawiał z panią Chauchat.

Godził się na to, że się zwróciła do niego; w ten sposób dała do zrozumienia, że liczy się z okolicznościami i że jest ich zupełnie świadoma...

Serce waliło mu jak młotem.

Pani Chauchat, potraktowana w ten pełen umiaru sposób przez Joachima - w sposobie tym Hans Castorp dopatrzył się śladów wrogiego nastawienia kuzyna względem towarzyszki niedoli i nastawienie to, mimo całego wzburzenia, wydało mu się zabawne - spróbowała przejść się po

pokoju, ale ponieważ poczekalnia była na to za mała, wzięła także ze stołu numer jakiegoś ilustrowanego pisma i powróciła z nim na fotelik ze szczątkowymi poręczami.

Hans Castorp siedział na miejscu i wpatrywał się w nią naprężając wzorem dziadka mięśnie szyi, co go

istotnie w śmieszny sposób upodabniało do staruszka.

Ponieważ pani Chauchat znowu założyła nogę na nogę, kolano jej, a nawet cała linia wysmukłej nogi wyraźnie rysowała się pod granatowym materiałem spódnicy.

Była średniego tylko wzrostu, w oczach Hansa Castorpa bardzo miłego i odpowiedniego, ale nogi miała

stosunkowo długie i nie była szeroka w biodrach.

Nie opierała się głęboko, ale siedziała pochylona naprzód, skrzyżowane ręce oparła o udo przerzuconej

nogi; siedziała z pochylonymi plecami i opadającymi ramionami, tak że kręgi karku wyraźnie się odznaczały i pod przylegającym swetrem nawet kręgosłup był niemal widoczny; piersi, nie tak wysokie i

bujne jak u Marusi, lecz drobne i dziewczęce, z obu stron ściśnięte były ramionami.

Hans Castorp przypomniał sobie nagle, że i ona czeka tutaj na prześwietlenie.

Pan radca malował ją; za pomocą oleju i farb odtwarzał na płótnie jej zewnętrzny wygląd. Ale teraz, w półmroku, skieruje na nią promienie, które odsłonią przed nim wnętrze jej ciała.

Myśląc o tym Hans Castorp odwrócił w bok głowę z wyrazem godnego zaszewienia, dyskrecji i obyczajności: wydawało mu się, że sam przed sobą powinien przybrać ten wyraz twarzy wobec obrazu, jaki

nasunęła mu w tej chwili fantazja.

Niedługo pozostali w pokoju we troje.

Widocznie Prędko załatwiono się tam w środku z Saszą i jego matką i śpieszono się, by wyrównać stratę

czasu.

Technik w białym fartuchu otworzył znów drzwi, Joachim rzucił na stół ilustrowane czasopismo i powstał

z miejsca, a Hans Castorp, co prawda nie bez Wewnętrznego wahania, ruszył za nim ku drzwiom.

Budziły się w nim rycerskie wątpliwości, zastanawiał się, czy nie należałoby jednak w sposób ogólnie

przyjęty przemówić do pani Chauchat i zaofiarować jej pierwszeństwo, w miarę możliwości uczynić to może

nawet po francusku, i gorączkowo zaczął szukać od powiednich słów i układać zdania.

Ale nie wiedział czy takie rycerskie grzeczności są tutaj uświęcone zwyczajem, czy też raczej rzeczywista

kolejność nie jest dużo ważniejsza od rycerskości.

Joachim wiedział to zapewne, ale ponieważ nie miał zamiaru ustąpić czekającej damie, chociaż Hans Castorp spojrzał na niego niespokojnie i znacząco, więc i on podążył za nim, przechodząc koło pani Chauchat, która na chwilę tylko podniosła schyloną głowę, i wszedł przez drzwi do laboratorium.

Zanadto był oszołomiony tym, co pozostawił za sobą, tymi przeżyciami ostatnich dziesięciu minut, żeby

wszedłszy do laboratorium mógł od razu wewnątrznie się przestawić.

Nie widział nic, a właściwie tylko ogólne zarysy, wyłaniające się z półmroku.

Słyszał jeszcze przyjemnie matowy głos pani Chauchat, którym powiedziała: "Co to się stało... przed chwilą wszedł tam ktoś jeszcze..."

To przykre"...

i dźwięk tego głosu wywoływał rozkoszny dreszcz wzdłuż jego pleców.

Widział, jak pod wełnianą spódniczką rysowało się jej kolano, widział kręgi szyjne, występujące na pochylonym karku spod krótkich rudawo blond włosów, które w tym miejscu wymykały się swobodnie ze

splotów warkocza - i znów przebiegł go ów dreszcz.

Widział radcę Behrensa, stojącego tyłem do wchodzących, przed szafą czy jakimiś wmurowanymi półkami,

i oglądającego ciemną kliszę, którą w wyciągniętej ręce trzymał pod mdłe światło padające z sufitu.

Minęli go i przeszli w głąb pokoju, a po drodze wyprzedził ich technik, który już czynił przygotowania do

badania.

W powietrzu unosił się dziwny zapach, atmosferę wypełniał jakby zastarzały ozon.

Ścianka, wysuwająca się spomiędzy dwóch okien, zawieszonych czarnymi zasłonami, dzieliła pokój na

dwie nierówne części.

Można było odróżnić przyrządy fizykalne, szkła dęte, tablice rozdzielcze, sterczące w górę instrumenty

miernicze; dalej skrzynię podobną do kamery fotograficznej i umieszczoną na stojaku na kółkach, szereg

szklanych przezroczy, wpuszczonych w ścianę - trudno było rozstrzygnąć, czy jest się w pracowni fotografa, w ciemni, czy w warsztacie wynalazcy albo technicznym laboratorium czarnoksiężnika.

Joachim natychmiast zaczął rozbierać się do połowy.

Pomocnik, młody, krępy i rumiany tubylec, kazał Hansowi Castorpowi zrobić to samo.

To idzie prędko, zaraz będzie kolej na niego...

Podczas gdy Hans Castorp zdejmował kamizelkę, Behrens wyszedł z mniejszej części pokoju, w której stał dotychczas, i ukazał się w obszerniejszej.

- Halo!

- zawołał.

- Oto nasi Dioskurowie!

Castorp i Polluks.

Zwracam uwagę: jęczeć nie wolno!

Czekajcie, zaraz przejrzymy tu was obu.

Zdaje mi się, Castorp, że pan lęka się otworzyć przed nami swoje wnętrze?

Niech pan będzie spokojny; wygląda zupełnie estetycznie.

Czy widział pan już moją prywatną galerię?

- I pociągnął Hansa Castorpa za ramię przed rząd czarnych szkieł, poza którymi zapalił światło elektryczne.

Wówczas rozjaśniły się - wystąpiły na nich obrazy.

Hans Castorp ujrzał członki ludzkie: ręce, nogi, rzepki kolanowe, podudzia i uda, ramiona i części miednicy.

Ale okrągłe kształty tych ułamków żywego ciała ludzkiego były tylko schematyczne i miały niewyraźne kontury; jak mgła, jak błada poświata niepewnie otaczały swoje jasno, precyzyjnie i

ostro występujące jądro

- szkielet.

- Bardzo ciekawe - rzekł Hans Castorp.

- Ma się rozumieć, że ciekawe!

- odpowiedział radca dworu.

- Pożyteczna lekcja pogładowa dla młodych ludzi.

Anatomia świetlna, rozumie pan, triumf ostatniej doby.

To jest ramię kobiece, poznaje to po jego wdzięku.

Tym właśnie one obejmują w czasie miłosnej igraszki, rozumie pan.

- I zaczął śmiać się, wykrzywiając przy tym wargę z przystrzyżonym wąsikiem, która uniosła się niesymetrycznie w górę.

Obrazy zagasły.

Hans Castorp odwrócił się w tę stronę, gdzie przygotowywano prześwietlenie Joachima.

Działo się to przed ową ścianką, poza którą stał zrazu radca Behrens.

Joachim usiadł na czymś w rodzaju szewskiego zydlu, przed deską, do której przycisnął pierś i którą nadto objął obiema rękami; pomocnik poprawiał jego pozycję ugniatającymi ruchami, wysunął mu barki trochę bardziej naprzód i masował plecy.

Potem udał się poza kamerę, ażeby nachyliwszy się i rozkraczywszy nogi, jak pierwszy lepszy fotograf, dokładnie przyjrzeć się obiektowi; uznał, że wszystko w porządku, i odstąpiwszy w bok kazał Joachimowi głęboko wciągnąć powietrze i zatrzymać je w płucach do ukończenia zabiegu.

Zaokrąglone plecy Joachima wydeły się i tak pozostały.

W tym momencie pomocnik wykonał na tablicy rozdzielczej odpowiedni ruch.

Na przeciąg dwóch sekund rozpętały się straszliwe siły, potrzebne do tego, aby promienie mogły przeniknąć materię: prądy o napięciu tysięcy wolt - stu tysięcy, jak sobie przypomniał Hans Castorp.

Zaledwie opanowane dla spełnienia celu, usiłowały bocznymi drogami wyładować się wśród huku przypominającego wystrzały.

Przyrząd mierniczy otoczony był trzeszczącym błękitem.

Długie błyskawice z trzaskiem przelatywały wzdłuż ściany.

Ukazało się gdzieś czerwone światełko, jak oko groźnie i nieruchomo spoglądające w ciemność, a za plecami Joachima zielono zabłysła jakaś ampułka.

Potem wszystko ucichło; zjawiska świetlne znikły i Joachim z głębokim westchnieniem wypuścił z płuc powietrze.

Było po wszystkim.

- Następny delikwent!

- zawołał Behrens i trącił łokciem Hansa Castorpa.

- Tylko proszę nie zasłaniać się zmęczeniem!

Dostanie pan odbitkę.

Będzie pan mógł jeszcze swoim dzieciom i wnukom Pokazywać na ekranie tajemnice swego wnętrza!

I Joachim odszedł na bok; technik zmienił kliszę.

Radca Behrens osobiście pouczał nowicjusza, jak ma sięść i zachowywać się.

- Objąć!

- rzekł.

- Objąć deskę!

Może pan sobie zresztą wyobrazić co innego na jej miejscu!

A dobrze przyciskać piersi, jakby z tym były połączone rozkoszne wrażenia.

Tak, dobrze!

Wciągnąć powietrze!

Teraz spokojnie!

- komenderował.

- Proszę o miły wyraz twarzy!

- Hans Castorp czekał, mrugając oczami, z płucami pełnymi powietrza.

Z tyłu, za nim rozpętała się burza, trzeszczała, trzaskała, huczała i wreszcie się uciszyła. Obiektyw zajrzał mu do środka.

Hans Castorp podniósł się; był zmieszany i oszołomiony tym, co się z nim stało, chociaż przecież przeszycia promieniami nie odczuł zupełnie.

- Bardzo grzecznie - powiedział radca dworu.

- A teraz sami zajrzemy.

- Joachim, wyszkolony już, przeszedł do przedniej części pokoju, bliżej drzwi, zatrzymał się przy stojaku, mając za plecami imponujący rozmiarami przyrząd, opatrzony w połowie wysokości szklaną kulą, do połowy napełnioną wodą, i łączący się z rurą; przed nim, na wysokości piersi, wisiał na blokach ekran, wprawiony w ramę.

Po lewej ręce Joachima, na środku tablicy rozdzielczej, widniała czerwona lampka.

Radca dworu zapalił ją, siedząc okrakiem na stołku przed ekranem.

Górna lampa zgasła i scenę rozświetlały jedynie rubinowe promienie.

Wtedy mistrz szybkim ruchem ręki wyłączył i to ostatnie światło; głęboki mrok zapanował w laboratorium. Przede wszystkim oczy muszą przywyknąć - odezwał się w ciemności radca dworu.

- Najpierw muszą się nam rozszerzyć źrenice, jak kotom, żebyśmy mogli zobaczyć to, co chcemy. Pan chyba rozumie, że bez przygotowania, naszymi zwykłymi dziennymi oczami nie możemy tego dobrze zobaczyć.

Trzeba do tego zapomnieć o jasnym dniu i jego wesołych obrazach.

Naturalnie - odparł Hans Castorp, stojąc za plecami radcy Behrensa.

Zamknął oczy, bo dokoła panowała tak głęboka noc, że było wszystko jedno czy oczy miało się otwarte, czy zamknięte.

- W pierw trzeba sobie oczy przemyć ciemnością, żeby potem móc widzieć to wszystko - to jasne. Uważam to nawet za zupełnie słuszne, żebyśmy przedtem nieco się skupili, jakby w cichej modlitwie. Stoję sobie z zamkniętymi oczami i jest mi przyjemnie, senność mnie ogarnia.

Ale co tu tak pachnie?

- Tlen - odparł radca dworu.

- To, co pan czuje w powietrzu, jest oxygenium...

Rozumie pan, atmosferyczny produkt burzy w pokoju...

Oczy do góry!

- rzekł.

- Teraz rozpoczynamy zaklęcia.

Hans Castorp spiesznie usłuchał rozkazu.

Słyszał było, jak przełożono jakąś dźwignię.

Jakiś motor ruszył i rozpędzał się z coraz wyższym gwizdem, aż został za pomocą nowego chwytu zmuszony do jednostajnego tempa.

Podłoga drżała miarowo.

Pionowe, podłużne, czerwone światełko z cichą groźbą patrzyło w mrok.

Gdzieś zatrzeszczała jakaś błyskawica.

I z wolna, jak rozjaśniające się mleczną poświatą okno, wystąpił z ciemności bładny czworokąt fluoryzującego ekranu, przed którym na szewskim zydlu siedział okrakiem radca Behrens; rozstawił szeroko kolana, wsparł na nich pięści i przytknął swój zadarty nos prawie do samej szyby, ukazującej wewnątrz organizmu ludzkiego.

- Czy widzisz, młodzieńcze?

- zapytał.

Hans Castorp przechylił się przez jego ramię, ale jeszcze raz podniósł głowę i zwrócił się w stronę, gdzie należało domyślać się oczu Joachima, spoglądających zapewne łagodnie i smutno, jak wtedy, podczas badania.

- Pozwolisz chyba?

- zapytał.

- Ależ proszę - odpowiedział uprzejmie Joachim z ciemności.

I podczas gdy podłoga drżała, a rozpętane moce trzaskały i huczały, Hans Castorp podświetlony patrzył przez bladą szybę w pusty szkielet Joachima.

Mostek wraz z kręgosłupem dawał na ekranie chrząstkową kolumnę.

Rusztowanie przednich odcinków żeber poprzecinane było bledszymi liniami odcinków tylnych.

Po obu stronach widniały wygięte łuki obojczyków, a w otoczeniu miękkiego półcienia ciała ostro i wyraźnie rysowały się kości barkowe i początek przedramienia.

Obszar płuc był jasny, ale można było rozróżnić jakieś żyłkowanie, ciemne plamy i czarniawe zygzyki.

Jasny obraz - odezwał się radca dworu.

- I elegancka szczupłość, wojskowa młodzieńczość.

Miewałem tutaj tłuszczochów zgoła nieprzeniknionych; nic prawie nie można było rozpoznać.

Trzeba by dopiero odkryć promienie przechodzące przez taką warstwę tłuszczu...

Ale tu mamy czystą robotę.

Czy widzi pan przeponę?

- spytał i wskazał palcem na ciemny łuk, to wznoszący się, to opadający u dołu ekranu.

- Czy widzi pan te garby, te wzniesienia po lewej stronie?

To jest zapalenie opłucnej, które pański kuzyn miał w piętnastym roku życia.

Głęboko oddychać!

- komenderował.

- Głębiej!

Przecież mówię, głęboko!

- I przepona Joachima podniosła się drżąc, jak można najwyżej do góry, w górnej części płuc rozjaśniło się, ale radca Behrens jeszcze nie był zadowolony.

- Niedostatecznie!

- powiedział.

- Czy widzi pan gruczoły wewnętrzne?

Czy widzi pan zrosty?

Czy widzi pan tu te kawerny?

Stąd właśnie pochodzą jady, które go odurzają.

- Ale uwaga Hansa Castorpa pochłonięta była czymś w kształcie worka, czymś nieforemnym i zwierzęcym, widocznym jako ciemne miejsce poza środkową kolumną, znajdującym się z punktu widzenia obserwatora przeważnie po Prawej stronie - czymś, co się regularnie rozszerzało i znowu kurczyło, mniej więcej na podobieństwo płynącej meduzy.

- Czy widzi pan jego serce?

- spytał radca Behrens, podnosząc znowu olbrzymią rękę i wskazując nią na pulsujący twór... Wielki Boże, to, co widział Hans Castorp, było sercem, zycznym sercem Joachima!

- Widzę twoje serce!

- powiedział stłumionym głosem.

- Ależ proszę - odrzekł znowu Joachim, i nagle tam wyżej, w ciemności, uśmiechnął się miękko. Ale pan radca kazał im milczeć i nie uśmiechać się.

Studiował plamy i linie, czarne zygzaki we wnętrzu klatki piersiowej, a jego współobserwator również patrzył z napięciem na upiorną postać i kościotrup Joachima, na ten nagi szkielet i przerażające swą chudością memento.

W nabożnym skupieniu, opanowany uczuciem lęku, powtarzał kilkakrotnie: - Tak, tak, widzę. Mój Boże, ja widzę!

- Słyszał kiedyś o pewnej dawno zmarłej krewnej ze strony Tienapplów - była ona podobno obdarzona czy obarczona straszliwym darem, który znosiła z pokorą a który polegał na tym, że ludzi mających niebawem umrzeć widziała jako szkielety.

Tak teraz Hans Castorp widział pocziwego Joachima, co prawda z pomocą i dzięki całej aparaturze fizykalno optycznej; nie miało to więc żadnego znaczenia i wszystko było w zupełnym porządku, tym bardziej że wyraźnie poprosił Joachima o pozwolenie.

Jednakże pojął nagle całą melancholię losu owej ciotki wizjonerki.

Mocno poruszony tym, co widział - a właściwie tym, że to widział - czuł, jak sumienie jego poczęły niepokoić tajemne wątpliwości, czy to wszystko nie jest jakąś nieczystą sprawą - wątpliwości, czy wolno mu się temu tak przypatrywać w trzeszczącym i huczącym mroku i przeszła go przyjemność, towarzysząca zwykle niedyskrecji, mieszając się w jego piersi z rozczuleniem i uczuciem pietyzmu.

Ale po upływie kilku minut sam stał pod pręgierzem, a burza szalała dokoła niego!

Joachim, którego ciało już znowu było zamknięte, ubierał się tymczasem.

Radca dworu znowu patrzył przez mleczną Szybę, tym razem do wnętrza Hansa Castorpa, a z Jego półgłównych wynurzeń, urywanych przekleństw i niedomówień można było wnosić, że rezultat badania nie odpowiadał jego oczekiwaniom.

Potem był tak uprzejmie grzeczny że pozwolił pacjentowi, który bardzo o to prosił przeświecić sobie rękę. I Hans Castorp ujrzał widok, którego powinien był oczekiwać, który jednak nie jest właściwie człowiekowi sądzony; toteż nigdy dotychczas nie myślał, że kiedyś ujrzy to, na co patrzył: patrzył w swój własny grób. Działanie światła wyprzedziło późniejszy proces gnicia, ciało, które miał na sobie, zostało jakby rozpuszczone, zniszczone, rozwiane w leciutką mgiełkę, a ostał się tylko misternie utoczony szkielet jego prawej ręki; dokoła pierwszego członu serdecznego palca widniał otaczający go luźno czarny sygnet, odziedziczony po dziadku: jeden z twardych przedmiotów tej ziemi, którym się ozdobi ciało, przeznaczone do rozpląnięcia się pod nim, tak że, oswobodzony, dostaje się na inne ciało, które z kolei może go znowu przez chwilę ponosić.

Oglądał teraz dobrze sobie znaną część swego ciała oczami owej damy z rodziny Tienapplów, przeszywającymi na wskroś, jasnowidzącymi oczami, i po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że umrze. Zrobił przy tym minę jak przy słuchaniu muzyki - dość głupią, senną i nabożną, przechylił głowę na ramię i na wpół otworzył usta.

Upiorne, co?

Tak, nie da się zaprzeczyć, że jest w tym odcień upiorności - powiedział radca Behrens. Teraz zatrzymał szalejące moce.

Podłoga przestała drżeć, znikły świetlne zjawiska, magiczne okno spowiło się znowu ciemnością.

Zapłonęło górne światło.

Podczas gdy Hans Castorp ubierał się pośpiesznie, Behrens zdawał młodym ludziom sprawę z tego, co spostrzegł, licząc się naturalnie z tym, że, jako laicy, nie wszystko mogą zrozumieć.

W szczególności co się tyczy Hansa Castorpa, metoda optyczna potwierdziła wnioski badania akustycznego w stopniu, jakiego tylko mógł wymagać honor nauki.

Widać było zarówno stare miejsca, jak i nowe, a "pasma" ciągnęły się od gardzieli dosyć głęboko do płuc

"pasma z gruźlkami" Hans Castorp sam będzie mógł to zobaczyć na diapozytywie, który, jak już o tym

była mowa, wkrótce dostanie.

A teraz spokój, cierpliwość, postawa, mierzyć temperaturę, odżywiać się, werandować, czekać i popijać herbatę.

Behrens odwrócił się od nich.

Wyszli.

Hans Castorp, idąc za Joachimem spojrział przez ramię.

Technik otworzył drzwi i pani Chauchat weszła do laboratorium.

Wolność.

Jakże to właściwie przedstawiało się młodemu Hansowi Castorpowi?

Czyż tak, jak gdyby siedem tygodni, które istotnie i niewątpliwie spędził tu w górze, były zaledwie siedmioma dniami?

Czy też, przeciwnie, zdawało mu się, iż przebywa tu znacznie dłużej niżli było to w samej rzeczy?

Sam siebie zapytywał o to, zarówno w duchu, jak i zwracając się do Joachima, nie mógł jednak dojść do żadnego wniosku.

Zachodziło chyba jedno i drugie: kiedy spoglądał wstecz, spędzony tutaj czas wydawał mu się zarówno nienaturalnie krótki, jak i nienaturalnie długi; nie mógł tylko wyrobić sobie zdania, jak rzecz miała się na prawdę (zakłada się tu, iż czas jest w ogóle czymś liniejącym i że wolno łączyć z nim pojęcie rzeczywistości).

Tak czy owak, wrzesień dobiegał końca, każdego dnia mógł się zacząć październik.

Hansowi Castorpowi trudno było to wyliczyć, a poza tym naprowadzały go na to zasłyszane tu i ówdzie rozmowy półpacjentów.

- Wiecie, panowie, że za pięć dni już Znowu będzie pierwszy?

- słyszał, jak mówiła Nina Kleefeld do dwóch młodych panów ze swego towarzystwa, studenta Rasmussena i owego pacjenta o wywiniętych wargach, który nazywał się Ganser.

Mieszkańcy "Berghofu" stali wtedy po smacznym posiłku wśród zapachu potraw pomiędzy jodłami i gawędząc odwlekali chwilę udania się na leżaki.

- Pierwszy października, widziałam to w zarządzie na kalendarzu.

Już drugi raz spędzam taki dzień w naszym miejscu rozrywek.

Ślicznie, już po lecie, o ile ono w ogóle było; zawiedliśmy się na nim jak na całym życiu, całkowicie i zupełnie.

- Westchnienie wydobyło się z jej jedyne go płuca i potrząsając głową wzniosła do sufitu zamglone głupotą oczy.

- No, Rasmussen!

- powiedziała potem i uderzyła kolegę w obwisłe ramię.

- Niech pan zrobi jakiś kawał!



- Umiem tylko kilka - odparł Rasmussen i zwiesił ręce, jak pletwy, na wysokości piersi - ale nie udają mi się, jestem zawsze taki zmęczony!

- i Żaden pies nie chciałby - powiedział Ganser zacisnąwszy zęby - już dłużej żyć w ten lub w podobny sposób.

- I śmiali się, wzruszając ramionami.

Ale także Settembrini, z wykałaczką w ustach, stał w pobliżu i wychodząc powiedział do Hansa Castorpa: Niech pan im nie wierzy, inżynierze, niech pan im nie wierzy nigdy, kiedy narzekają! To czynią tu wszyscy bez wyjątku, aczkolwiek czują się aż nadto u siebie w domu. Prowadzą próżniacze życie i roszczą sobie jeszcze pretensje do współczucia, sądzą, że mają prawo do goryczy, do ironii, do cynizmu!

"W naszym miejscu rozrywek"!

Czy może nie jest to miejsce rozrywek?

Pozwalam sobie twierdzić, że jest, i to w najbardziej podejrzanym znaczeniu tego słowa!

Zawiodłam się - powiada ta kobieta - w tym miejscu rozrywek na życiu.

Ale niech no jej pan pozwoli odjechać na równinę, a jej tryb życia tam na dole nie pozostawi żadnej wątpliwości, że usiłuje jak najszybciej znów dostać się na górę.

Ach tak, ironia!

Niech Pan się wystrzega tutejszej ironii, inżynierze!

Niech Pan się w ogóle strzeże tej duchowej postawy!

Gdzie nie jest ona zwyczajnym i klasycznym środkiem retorycznym, każdej chwili zrozumiałym dla zdrowego rozsądku, tam staje się rozwiązłością, przeszkodą dla cywilizacji, zdrożnym kokietowaniem zastoju, bezdusności występku.

A że atmosfera, w której żyjemy widocznie bardzo sprzyja plenieniu się tej bagiennej rośliny, więc wolno mi żywić nadzieję lub raczej muszę obawiać się, że pan mnie rozumie.

Rzeczywiście słowa Włocha należały do rzędu tych, które jeszcze przed siedmioma tygodniami, na niziinie byłyby dla Hansa Castorpa jedynie pustym dźwiękiem; ale pobyt tu w górze uczynił jego umysł wrażliwym na ich znaczenie: wrażliwym w znaczeniu intelektualnego rozumienia, a także, nie bez zastrzeżeń znaczeniu sympatii, co, być może, jest jeszcze ważniejsze.

Gdyż chociaż w głębi swej duszy był rad, że Settembrini także i teraz, pomimo wszystko, co się wydarzyło, dalej przemawia do niego w ten sposób, nadal go poucza, ostrzega i usiłuje nań wpłynąć, jego zdolność rozumienia osiągnęła już taki stopień, że do słów Włocha odnosił się krytycznie i odmawiał im, poniekąd przynajmniej, swej aprobaty.

Patrzcie no - myślał - on mówi o ironii zupełnie tak jak o muzyce; tego tylko brakuje, by ją nazwał politycznie podejrzaną - mianowicie z chwilą kiedy przestaje być "zwyczajnym i klasycznym środkiem pedagogicznym".

Ale ironia taka, która "każdej chwili jest zrozumiała", cóż by to była za ironia, pytam się na miły Bóg, jeśli już i ja mam coś do powiedzenia?

Byłaby oschłością i bakalarstwem"!

- Oto niewdzięczność kształcącej się młodości!

Pozwala się obdarowywać, a potem przygania podarunkowi.

Wszelako ujmowanie sprzeciwu w słowa byłoby dlań czymś zbyt awanturnicznym.

Ograniczył swoje zarzuty do tego, co pan Settembrini powiedział o Herminie Kleefeld; wydawało mu się to niesprawiedliwym albo z pewnych określonych powodów pragnął, aby mu się takim wydawało.

Ależ ta panna jest chora!

- powiedział.

- Jest rzeczywiście i naprawdę ciężko chora i ma wszelki powód do rozpacz!

Czegóż pan właściwie chce od niej?

- Choroba i rozpacz - powiedział Settembrini są często także tylko formami rozwiązłości.

"A Leopardi - pomyślał Hans Castorp - który wyraźnie zwątpił nawet o wiedzy i postępie?

On sam, ów pan bakałarz?

On przecież jest także chory i wciąż na nowo przyjeżdża na górę, i Carducci niewielką miałby z niego pociechę".

- Głośno zaś powiedział: - Pan jest dobry sobie!

Ta dziewczyna może każdego dnia zacząć gryźć ziemię, i to nazywa pan rozwiązłością!

Tu już musi się pan jaśniej wypowiedzieć.

Gdyby mi pan powiedział: choroba bywa niekiedy skutkiem rozwiązłości, mogłoby to uchodzić za słuszne...

- Niewątpliwie mogłoby - wtrącił Settembrini.

-Na Boga, czy byłbyś pan zadowolony, gdybym ograniczył się do tego?

- Albo gdyby pan powiedział: choroba musi niekiedy służyć rozwiązłości za pretekst, z tym także mógłbym się zgodzić.

- Grazie tanto!

- Ale choroba jako forma rozwiązłości?

Znaczy to: taka, która nie wynika z rozwiązłości, ale sama nią jest?

To przecież jest paradoksalne!

- Och, proszę bardzo, inżynierze, proszę mi tylko czegoś podobnego nie imputować!

Ja gardzę paradoksami, nienawidzę ich!

To wszystko, co zauważyłem o ironii, odnosi się także do paradoksu, to wszystko i niejedno jeszcze ponadto!

Paradoks jest trującym kwiatem kwietyzmu, błyskotliwością gnijącego ducha, najgorszą ze wszystkich rozwiązłością!

Poza tym stwierdzam, że znowu pan bierze w obronę chorobę...

- Nie, to co pan mówi, zajmuje mnie.

To przypomina mi niejedno, co doktor Krokowski wywodzi w swoje poniedziałki.

On także głosi, że choroba organiczna jest objawem wtórnym.

To zupełnie czysty idealizm.

I Co pan ma przeciwko niemu?

Właśnie to.

Czy pan nie lubi analizy?

Nie zawsze.

Bardzo nie lubię i bardzo lubię, na przemian raz jedno, raz drugie, inżynierze.

Jak mam to rozumieć?

Analiza jest dobra jako narzędzie uświadomienia cywilizacji, dobra, o ile podważa głupie poglądy, rozprasza przyrodzone przesady i podkopuje autonomiczne dobra, innymi słowy, kiedy uwalnia, wysubtelnia, ucłowiecza i pozwala niewolnikom dojrzywać do wolności.

Jest zła, bardzo zła, ponieważ paraliżuje działanie, niezdolna do kształtowania życia, tłumi je już w zarodku.

Analiza może być wielce nieapetyczną jak śmierć, z którą jednakże - jak się zdaje - jest chyba właściwie związana - spokrewnioną z grobem i osławioną jego anatomią...

Dobrze ryknąłeś, Iwie.

(Jest to cytat ze "Snu nocy letniej" Szekspira).

- Hans Castorp nie mógł powstrzymać tej myśli, jak zazwyczaj, kiedy pan Settembrini wypowiadał poglądy pedagogiczne.

Ale powiedział tylko: - Uprawialiśmy niedawno anatomię świetlną w naszej parterowej piwnicy. Behrens tak to nazwał, kiedy nas prześwietlał.

Ach, także i ten etap ma pan już za sobą.

No i co?

Widziałem szkielet swojej ręki - powiedział Hans Castorp, usiłując odtworzyć wrażenia, jakich doznał w owej chwili.

- Czy pan także kazał sobie wtedy pokazać swój szkielet?

Nie, nie interesuję się nim zupełnie.

A rezultat lekarski?

Widział pasma, pasma z gruźelkami.

A to wcielony diabeł!

Tak nazwał pan już raz radcę Behrensa.

Co pan Przez to rozumie?

- Mogę pana zapewnić, rzekł po dojrzałym namyśle, że nazywam go Potworem.

- Nie, pan jest stanowczo niesprawiedliwy!

przyznaję, że ten człowiek ma swoje słabostki.

Jego sposób mówienia i mnie na dalszą metę razi; jest czasem trochę nieopanowany, ale przecież spotkał go tak ciężki cios, że stracił tutaj żonę.

Jaki to jednak zasłużony i, zważywszy wszystko, godny szacunku człowiek, dobroczyńca cierpiącej ludzkości!

Niedawno spotkałem go wracającego z operacji, resekcji żebra w której chodziło o śmierć i życie. Wywarło to na mnie wielkie wrażenie, gdym widział, jak wraca tak od swej ciężkiej, pożytecznej pracy, na której tak dobrze się zna.

Był jeszcze cały zgrzany i w nagrodę zapalił sobie cygaro.

Zazdrościłem mu.

- To było pięknie z pańskiej strony.

Ale wymiar pańskiej kary?

- Nie oznaczył dokładnie terminu.

- Także nieźle.

Położmy się zatem, inżynierze, zajmijmy nasze pozycje.

Pożegnali się przed numerem 34.

- A teraz wchodzi pan na swój dach, prawda?

Jest chyba weselej leżeć w towarzystwie niżli samemu.

Czy się pan dobrze bawi?

Czy to interesujący ludzie, z którymi odbywa pan kurację?

- Ach, to są sami Partowie i Scytowie.

- Pan ma na myśli Rosjan?

- I Rosjanki - powiedział Settembrini i kąciki ust ściągnęły mu się w uśmiechu.

- Do widzenia, inżynierze!

Te słowa miały ukryte znaczenie, z całą pewnością Hans Castorp wszedł zmieszany do swego pokoju.

Czyżby Settembrini wiedział, co się z nim dzieje.

Prawdopodobnie tropił go ze względów pedagogicznych i śledził drogi, którymi szły jego oczy.

Hans Castorp był zły na Włocha, a także na siebie samego, gdyż przez własne nieopanowanie sprowokował ten docinek.

Przygotowując przybory do pisania, musiał wziąć je z sobą na werandę - bo nie dało się dłużej zwlekać i trzeba było napisać list do domu.

Trzeci list - nie przestawał się irytować, mruzczał to i owo pod adresem tego fanfarona i rezonera, który miesza się do rzeczy nic go nie obchodzących, sam, nucąc, zaczepia dziewczęta na ulicy - i nie czuł się już wcale usposobiony do pisania, aluzje tego kataryniarza odebrały mu po prostu całą ochotę. Ale tak czy inaczej, musiał mieć odzież zimową, pieniądze, bieliznę, obuwie, krótko mówiąc, wszystko, co byłby zabrał z sobą, gdyby był wiedział, że przyjeżdża nie na trzy tygodnie w pełni lata, tylko... tylko na czas jeszcze nie oznaczony, który jednak w każdym razie zagarnie szmat zimy, a nawet, tak już tu na górze odnosimy się do kwestii czasu - zapewne całą zimę.

O tym właśnie należało, przynajmniej jako o jednej z możliwości, donieść do Hamburga. Chodziło o to, by tym razem powiedzieć całą prawdę, przed tamtymi na dole jasno sprawę postawić i ani przed sobą, ani przed nimi niczego dłużej nie ukrywać...

W tym sensie pisał zatem, stosując technikę, którą kilkakrotnie zaobserwował u Joachima: na leżaku, piórem wiecznym, z teczką podróżną na wysoko wzniesionych kolanach.

Pisał na zakładowym papierze listowym, którego zapas znajdował się w szufladzie stołu, do Jamesa Tienappla, najbliższego mu spomiędzy trzech wujów, i prosił go o powiadomienie konsula. Pisał o przykrym wydarzeniu, o obawach, które się sprawdziły, o stwierdzonej przez lekarzy konieczności spędzenia tutaj w górze części, a może Całej zimy - przypadki bowiem takie jak jego bywają często bardziej uporczywe od tych, które zapowiadają się groźniej, a należy przecież energicznie wziąć się do leczenia i raz na zawsze zapobiec złemu.

Z tego punktu widzenia sądzi, uważa to za szczęście, za pomyślny zbieg okoliczności, iż przypadkiem przyjechał na górę i że nakłoniono go do zasięgnięcia porady lekarskiej: gdyż inaczej zły stan jego zdrowia przez dłuższy jeszcze zapewne czas nie wyszedłby na jaw, a później, być może, dowiedziałby się o tym w sposób o wiele dotkliwszy.

Co się tyczy przypuszczalnego trwania kuracji, nie powinni się dziwić, że prawdopodobnie będzie musiał zmarnować zimę i chyba nie wcześniej uda mu się powrócić na równinę niż Joachimowi.

Pojęcia czasu są tutaj inne niż te, które obowiązują zwykle w kąpieliskach i miejscach kuracyjnych; miesiąc

jest, jeśli tak rzec wolno, najmniejszą jednostką czasu i sam przez sie nie odgrywa żadnej roli...

Chłodno było, pisał w palcie, owinięty kocem, z zaczerwienionymi rękami.

Niekiedy odrywał wzrok od papieru, który pokrywał rozsądnymi i przekonującymi zdaniem, i spoglądał

w głąb znanego, ledwie już dostrzegalnego krajobrazu, w tę podłużną dolinę ze szklitobladym dzisiaj

spiętrzeniem szczytów u ujścia, z jasnymi domkami na dnie; tu i ówdzie rozjaśniał ją promień słońca i

oświetlał częściowo zjeżone lasem, częściowo pokryte łąkami zbocza, z których dolatywały dzwonki trzód. Pisał ze wzrastającą swobodą i nie pojmował już, jak mógł się lękać tego listu.

Pisząc pojął sam, iż nie może być nic oczywistszego od jego argumentów i że w domu spotkają się one,

rzecz prosta, z najzupełniejszym zrozumieniem.

Młodzieniec z jego sfery i w jego położeniu materialnym czynił coś dla siebie, skoro to okazało się wskazane, korzystał z możliwości istniejących specjalnie dla takich jak on.

To było w porządku.

Gdyby wrócił do domu i zdał sprawę ze wszystkiego - odesłano by go z powrotem.

Prosił o przysłanie różnych potrzebnych mu rzeczy; także o regularne przekazywanie niezbędnej gotówki,

prosił pod koniec listu, że 800 markami miesięcznie uda się wszystko pokryć.

Podpisał.

To więc było załatwione.

Ten trzeci list do domu był obszerny, przygotowywał już z góry domowników - nie wedle tamtejszych

pojęć o czasie, lecz wedle tych, które panują tu na górze; umacniał wolność Hansa Castorpa.

To był wyraz, którego użył, nie wyraźnie, nie w ten sposób, by ukształtował chociażby w myśli jego zgłoski, ale wyczuwał jego najobszerniejszy sens, jak się był nauczył podczas pobytu tutaj, sens, który

niewiele miał wspólnego ze znaczeniem nadawanym owemu wyrazowi przez Settembriniego - i znana mu

już fala trwogi i podniecenia przeszła przez niego, wprawiając mu pierś w drzenie.

Przy pisaniu krew uderzała mu do głowy, a twarz pałała.

Wziął termometr ze stolika i zmierzył temperaturę, jak gdyby chodziło o to, aby skorzystać z jakiejś okazji. Rtęć podniosła się do 37,8.

"Otóż to"!

- pomyślał Hans Castorp.

I dodał postscriptum: "List jednakże mnie zmęczył.

Mam temperaturę 37,8.

Widzę, że będę musiał na razie zachowywać się bardzo spokojnie.

Musicie wybaczyć, jeśli będę rzadko pisywał".

Potem leżał i wznosił rękę ku niebu, wnętrzem dłoni na zewnątrz, tak jak ją trzymał za ekranem w gabinecie rentgenologicznym.

Ale światło nieba nie zmieniało żywego jej kształtu, nawet ciemniejszą jeszcze i mniej przejrzystą czyniła ją

ta jasność i tylko najbardziej zewnętrzne zarysy prześwietlone były na czerwono.

Była to żywa ręka, którą zwykł był oglądać, dbać o jej czystość i używać jej - nie owo obce rusztowanie,

które dojrzał był na ekranie - analityczna przestrzeń, którą oglądał wtedy otwartą, zamknęła się na nowo.

Kaprysy Merkuriusza.

Październik się rozpoczął, jak zwykły rozpoczynać się nowe miesiące - jest to sam przez się zupełnie skromny i bezszelestny początek, bez żadnych znaków ognistych; a więc właściwie zakrada się cicho, co z łatwością uchodzi uwagi, nie przestrzegającej należycie ładu.

Czas nie ma w rzeczywistości żadnej cenzury, łoskotu burz ani dźwięcznych fanfar na początku nowego miesiąca lub roku, a nawet na początku nowego stulecia; to my tylko, ludzie, strzelamy i dzwoniemy.

W przypadku Hansa Castorpa pierwszy dzień października ani na jotę nie różnił się od ostatniego dnia

września; był równie zimny i przykry jak tamten, podobnie zresztą jak dni następne. Podczas werandowania nie można się było obejść bez pałta zimowego i obu koców z wielbłądziej sierści, nie tylko wieczorem, ale i za dnia; ręce, w których trzymał książkę, były wilgotne i sztywne, chociaż policzki pałały suchym żarem, a Joachim miał już ochotę korzystać z worka na futrze; zrezygnował z tego dlatego tylko, aby się przedwcześnie nie wydelikacąć.

Ale po kilku dniach, już między początkiem a połową miesiąca, wszystko uległo zmianie i spóźnione lato wtargnęło w zdumiewającej wspaniałości.

Nie raz z tego powodu wychwalano tutejszy październik; z jakie dwa i pół tygodnia trwał przepych nieba

nad górami i doliną, każdy dzień przewyższał poprzedni czystością błękitu, a słońce grzało z tak bezpośrednią siłą, że skłaniało każdego kto żyw do ponownego wydobycia najlżejszej odzieży letniej,

poniechanych już sukien batystowych i płóciennych spodni; nawet wielki parasol z płótna żaglowego, bez

rączki, przytwierdzany do poręczy leżaka za pomocą specjalnego pomysłowego urządzenia, kółeczka z

dziurkami, dawał w godzinach południowych niedostateczną ochronę przed skwarem słonecznym.

- To świetnie, że jestem jeszcze tutaj - powiedział Hans Castorp do kuzyna.

- Taką straszną mieliśmy już pogodę - a jest całkiem tak, jak gdyby zima była już za nami, a teraz nadchodził piękny czas.

- Miał rację.

Niewiele oznak wskazywało na właściwy stan rzeczy, a i te nie rzucały się w oczy.

Jeśli pominąć kilka klonów, które, zasadzone na dole w Uzdrowisku, ledwo wegetowały i od dawna, zniechęcone, pozbyły się liści, nie było tu drzew liściastych, których stan wycisnęłoby na krajobrazie piętno

pory roku; jesienny wygląd miała tylko obojniacza olcha alpejska o miękkich igłach, które zmieniała jak

liście.

Poza tym szata drzewna okolicy była wiecznie zielonym lasem iglastym, czy to w górę wystrzelającym, czy

karłowatym, odpornym na zimę, która nie jest tu jak gdzie indziej ograniczona do pewnych miesięcy i rozkłada swe śnieżyce na cały rok; tylko rdzawo czerwony ton ponad lasem, o różnym stopniu nasycenia,

wskazywał, mimo letniego żaru nieba, na zbliżający się koniec roku.

Co prawda, były jeszcze polne kwiaty, które miały swoją wymowę.

Znikły już stOrczyki polne i orliki, które zdobiły jeszcze zbocza, gdy tu przybył, a dzikich gwoździków już

się nie witało.

Zostały tylko gencjany, zimowity o krótkich Pyżczkach, i one to świadczyły o niejkiej wewnętrznej świeżości powierzchni tylko nagrzanego powietrza, o chłodzie, który człowieka werandującego zewnętrznie niemal osmalonego, przeniknąć mógł nagle aż do szpiku kości, jak dreszcz podczas

gorączki.  
Hans Castorp zatem nie przestrzegał wewnętrznego owego porządku, który jest podstawą rachuby czasu i pozwala nadzorować jego upływ i jednostki jego oddzielać, liczyć i mianować.  
Nie zauważył cichego początku dziesiątego miesiąca, docierało doń tylko to, co spostrzegał zmysłowo - ów żar słońca i mroźną, ukrytą w nim świeżość, wrażenie, które w tym natężeniu było dlań nowe i pobudziło go do kulinarnego porównania: przypominało mu, zgodnie z wyrażeniem, którym posłużył się wobec Joachima, omelette en surprise, z lodami pod gorącą pianą z białka.  
Wypowiadał nieraz coś podobnego, wypowiadał szybko, płynnie i w podnieceniu, jak mówi człowiek, który, choć rozpalony, odczuwa jednak dreszcze.  
Często jednak bywał także milczący, aby nie rzec: zamknięty w sobie; gdyż uwaga jego zwrócona była wprawdzie na zewnątrz, ale na jeden tylko punkt; wszystko inne, ludzie jak i rzeczy, gubiło się we mgle powstałej w mózgu Hansa Castorpa, którą radca dworu Behrens i doktor Krokowski określiliby bez wątpienia jako wytwór rozpuszczalnych jądów; tak też określał to Hans Castorp sam wobec siebie, jakkolwiek zrozumienie tego faktu nie dało mu możliwości ani nawet w najślabszym choćby stopniu nie wzbudziło w nim chęci wyzbycia się tego upojenia.  
Jest to bowiem upojenie, któremu zależy na samym sobie i któremu nic nie wydaje się bardziej niepożądanym i odrażającym niżli otrzeźwienie; upojenie, które zwycięsko stawia czoło naporowi tłumiących je wrażeń i broni im dostępu pragnąc ostać się nienaruszonym.  
Hans Castorp wiedział i sam wypowiedział się przedtem na ten temat, że pani Chauchat nie wygląda korzystnie z profilu, nieco ostro, niezupełnie już młodo.  
Rezultat?  
Unikał oglądania jej z profilu, dosłownie zamykał oczy, gdy przypadkiem z daleka lub z bliska ukazywała mu się w ten sposób, bolało go to.  
Czemu?  
Jego rozsądek winien był radośnie powitać tę sposobność i okazać swe znaczenie, Ale czegoż można się domagać...  
Zbladł z zachwyty, gdy Kławdia w te jasne dni znów kiedyś przyszła na drugie śniadanie w białym koronkowym stroju porannym, który wkładała przy pięknej pogodzie i który czynił ją tak niezwykle ponętą - gdy pojawiła się w nim z opóźnieniem i trzaskając drzwiami, gdy uśmiechnięta, lekko wzniosłszy ramiona, odwróciła się ku sali, by się zaprezentować.  
Ale był zachwycony nie tylko tym, że wyglądała tak ładnie, ale i tym, że tak było w ogóle, gdyż wzmacniało to w jego głowie słodką mgłę, upojenie, co samo siebie pragnęło i chciało być usprawiedliwionym i podsycanym.  
Człowiek o sposobie myślenia Lodovica Settembriniego, mając wydać opinię o takim braku dobrej woli, mógłby mówić po prostu o rozwiązłości, o "jednej z form rozwiązłości".

Hans Castorp wspominał niekiedy te literackie poglądy, które Włoch wygłosił Był na temat "choroby i rozpacz", a które uważał za niezrozumiałe lub udawał, że je za takie uważa. Patrzył na Kławdię Chauchat, na pochylenie jej pleców, na jej naprzód wysuniętą głowę, dostrzegał, jak stale przychodzi do stołu z wielkim opóźnieniem, bez powodu i wytłumaczenia, jedynie przez brak porządnej dyscypliny wewnętrznej, widział, jak skutkiem tego samego właśnie zasadniczego braku wchodząc lub wychodząc zawsze trzaska drzwiami, jak kręci kulki z chleba, a niekiedy obgryza z boku paznokcie, zaświtało w nim bezsłowne przeczucie, że jeśli jest chora, a była zapewne beznadziejnie niemała chora, skoro tak długo już i często musiała przebywać tu w górze - to choroba jej całkowicie lub przynajmniej w znacznej mierze jest natury moralnej i jest rzeczywiście, jak orzekł Settembrini, najzupełniej całkowicie identyczna z jej nonszalancją, nie zaś przyczyną lub wynikiem tej nonszalancji. Przypominał sobie także wzgardliwy gest humanisty, kiedy mówił o "Partach i Scytach", z którymi musi werandować, gest naturalnego, nie wymagającego słów i bezpośredniego lekceważenia i pogardy. Hans Castorp doskonale rozumiał; to zrozumienie datowało się od czasów, kiedy, trzymając się sam bardzo prosto przy stole, z głębi serca nienawidził trzaskania drzwiami i kiedy nie odczuwał żadnej chęci obgryzania paznokci (już choćby dlatego, że zamiast tego miał swoją "Marię Mancini"), gorszył się wiele, brakiem wychowania pani Chauchat i nie potrafił wyzbyć się poczucia wyższości, kiedy słyszał, jak wąskooka cudzoziemka próbuje swych sił w jego mowie ojczystej. Takim to nastrojom oddał się niemal zupełnie Hans Castorp z racji swego wewnętrznego położenia i raczej Włoch go irytował, gdyż on to w swej pyszałkowatości mówił o "Partach i Scytach" - chociaż przecież nie przyjrzał się nawet osobom jadającym przy gorszym stole rosyjskim, gdzie zasiadali studenci o zbyt gęstym uwłosieniu i niewidocznej bieliźnie, bezustannie rozprawiający w swym zupełnie obcym języku, poza którym pewno żadnego innego nie znali, a którego bezkostny charakter przypominał klatkę piersiową pozbawioną żeber, o jakiej niedawno mówił radca Behrens. Było rzeczą naturalną, iż obyczaje tych ludzi mogły wywołać w humaniście żywe poczucie dystansu. Jedli nożem i w sposób nieopisany zanieczyszczali toaletę. Settembrini utrzymywał, że jeden z członków tego towarzystwa, pewien medyk z wyższych lat, wykazał całkowitą nieznajomość łaciny, nie wiedział na przykład, co to jest vacuum, a zgodnie z tym, czego Hans Castorp codziennie sam doświadczał, pani Stohr najprawdopodobniej nie kłamała twierdząc przy stole, że małżeństwo spod numeru 32, leżąc razem w łóżku, przyjmuje z rana kąpielowego, który przychodzi wykonać nacieranie.



Jeżeli to wszystko było prawdą, to właśnie rzucająca się w oczy różnica między "lepszym" a "gorszym" stołem rosyjskim była czymś istotnym i Hans Castorp zapewniał sam siebie, iż może co najwyżej wzruszyć ramionami na to, co mówi jakiś tam zapijaczony nos i trzeźwy - szczególnie trzeźwy, chociaż także odurzony gorączką - propagator republiki i pięknego stylu, który oba towarzystwa przy obu stołach obejmuje wspólną nazwą Partów i Scytów.

Co przez to należało rozumieć, młody Hans Castorp pojmował doskonale, przecież począł się także orientować w związkach zachodzących między chorobą pani Chauchat a jej "nonszalancją".

Ale rzecz miała się tak, jak on sam któregoś dnia wyraził się wobec Joachima: rozpoczyna się od irytacji i poczucia dystansu, ale nagle "coś innego wchodzi w paradę", co "nic nie ma wspólnego z krytyką", i surowość moralna idzie w odstawkę, a pedagogicznym wpływom o charakterze republikańskim i krasomówczym staje się człowiek raczej niedostępny.

Ale cóż to jest, zapytujemy pewnie także po myśli Lodovica Settembriniego, cóż to tak zagadkowego wchodzi tymczasem w paradę, paraliżuje i zawiesza sąd człowieka, ograbia go z prawa krytyki, albo raczej skłania go do zrzeczenia się tego prawa z bezsensownym zachwytem?

Nie zapytujemy o nazwę tej okoliczności (gdyż nazwę tę zna każdy), pytamy o jej istotę moralną - i nie oczekujemy, wyznając szczerze, zbyt dobrze uzasadnionej odpowiedzi.

W przypadku Hansa Castorpa istota owa do tego stopnia dowiodła swej wyższości, iż nie tylko odebrała mu zdolność sądenia, ale rozpoczął nawet ze swej strony eksperymenty nad tą formą życia, która go pozbawiła owej zdolności.

Próbował, jak to jest, kiedy przy stole siedzi się zgarbionym, z pochylonymi plecami, i przekonał się, że stanowi to znaczną ulgę dla mięśni miednicy.

Próbował następnie nie zadawać sobie trudu zamykania drzwi, przez które przechodził, ale zatrząskiwał je;

i to także okazało się zarówno wygodnym, jak właściwym: było wyrazem tego samego nastawienia co owo wzruszenie ramion, którym Joachim powitał go w swoim czasie zaraz na stacji kolejowej, a z którym odtąd tak często spotykał się u tych tu w górze.

Mówiąc po prostu, nasz podróżnik był tedy zakochany po uszy w Kławdii Chauchat; raz jeszcze używamy tego słowa w nadziei, iż w dostatecznej mierze zapobiegliśmy nieporozumieniu, jakie by ono mogło wywołać.

Uczucie, stanowiące istotę jego zakochania nie było podobne do serdecznej i rzewnej tęsknoty wyrażającej się w owej piosence.

Raczej była to dość ryzykowna i nieprzytulna odmiana tego omamienia przemieszana z dreszczem i żarem, jak samopoczucie człowieka gorączkującego albo jak dzień październikowy w górach; a tym, czego

brakowało, była właśnie owa miła część środkowa, która by spajała krańcowe składniki tego uczucia.

Z bezpośredniością, która kazała blednąć młodzieńcowi i wykrzywiała rysy jego twarzy, odnosiło się ono z

jednej strony do kolana pani Chauchat i do linii jej nogi, do jej pleców, do kręgów jej karku i górnej części

ramion, które ścisnęły drobny pierś - słowem do jej ciała, do tego niedbałego ciała, które choroba akcentowała, niesłuchanie podkreślała i raz jeszcze ciałem czyniła.

A z drugiej strony omamienie Hansa Castorpa było czymś nadzwyczaj lotnym i rozciąglonym, myślą, nie,

snem, pełnym lęku i bezgranicznie wabiącym snem młodzieńca, któremu na pewne określone, chociaż bezwiednie postawione pytania odpowiadało tylko głuche milczenie.

Podobnie jak każdy, rościmy sobie pretensje do żywienia pewnych prywatnych myśli w czasie rozwijającego się tu opowiadania i wyrażamy przypuszczenie, że Hans Castorp nie byłby przekroczył terminu, zakreślonego pierwotnie jego pobytowi u tych w górze, nawet nie do momentu osiągniętego obecnie, gdyby prosta jego dusza otrzymała choć w pewnej mierze zadowalające wyjaśnienie sensu i celu

życiowego mozołu.

Zresztą zakochanie przyprawiało go o wszystkie cierpienia i dawało mu wszystkie radości, jakie stan ten

wszędzie i we wszelkich okolicznościach pociąga za sobą.

Cierpienia - przeszywające na wskroś, zadające pierwiastek poniżenia, jak wszelki ból, stanowiące taki

wstrząs systemu nerwowego, iż tamują oddech i dorosłemu mężczyźnie wycisnąć potrafią z oczu gorzkie

łzy.

Aby oddać sprawiedliwość takim radościom - było ich niemało i choć powstawały z niepozornych przyczyn, nie mniej były przenikliwe od cierpień.

Niemal każda chwila dnia mogła je wywołać.

Na przykład: u wejścia do sali jadalnej Hans Castorp spostrzega za sobą przedmiot swych snów. Wynik jest z góry wiadomy i zupełnie pospolity, ale wewnętrznie zachwycający, znów aż do łez.

Oczy ich spotykają się z bliska, jego oczy z jej szarzielonymi, których z lekka azjatycki wykrój i oprawa

terrorują go do głębi.

Traci przytomność, ale i bez przytomności usuwa się na bok, aby przepuścić ją pierwszą przez drzwi. Z połowicznym uśmiechem i półgłównym merci, pani Chauchat korzysta z jego uprzejmości, nie

wykraczającej poza zwykłe dobre wychowanie, mija go i przechodzi przez drzwi; Hans Castorp stoi przez chwilę w powiewie jej przesuwającej się postaci, pijany szczęściem z powodu tego spotkania i dlatego, że jedno słowo z jej ust, mianowicie owo merci, skierowane było bezpośrednio i wyłącznie do niego.

Idzie za nią, zatacza się na prawo do swego stołu i kiedy opada na krzesło, spostrzega, że po tamtej stronie

"Kławdia", także zajmując miejsce, ogląda się za nim, z wyrazem zamyślenia nad spotkaniem u drzwi, jak

mu się wydaje.

O niewiarogodna przygodo!

O radości, triumfie, o bezgraniczne wesele!

Nie, tego fantastycznego upojenia nie dałoby Hansowi Castorpowi spojrzenie pierwszej lepszej zdrowej

gąski której tam na dole, na równinie, w sposób dozwolony, spokojny i pełen widoków na przyszłość,

"ofiarowałby serce swoje" w duchu owej piosenki.

Z gorączkowym ożywieniem wita nauczycielkę, która widziała wszystko i oblała się rumieńcem - następnie

przypuszcza szturm do miss Robinson za pomocą tak niedorzecznej konwersacji angielskiej, iż panna ta, nie

obeznana z ekstazą, cofa się nawet i mierzy go pełnym obawy spojrzeniem.

Innym razem promienie jasno zachodzącego słońca padają podczas kolacji na lepszy stół rosyjski.

Zaciągnięto zasłony u drzwi werandy i okien, ale w jakimś tam miejscu tworzy się szczelina, przedostaje się

przez nią czerwony promień, chłodny, ale oślepiający, i pada akurat na głowę pani Chauchat, która rozmawiając ze swym rodakiem o zapadłej piersi siedzącym na prawo od niej, musi się zasłaniać ręką.

Jest to przykrość, ale niezbyt wielka; nikt nie zwraca na to uwagi, sama dotknięta nią osoba nie zdaje sobie

zapewne sprawy z tej niedogodności.

Ale Hans Castorp spostrzega to poprzez salę - i przygląda się temu przez chwilę.

Sprawdza stan rzeczy, śledzi drogę promienia, stwierdza punkt jego wtargnięcia.

Jest to łukowe okno tam z tyłu po prawej stronie, w kącie pomiędzy drzwiami na werandę a gorszym stołem rosyjskim, daleko od miejsca pani Chauchat i niemal równie daleko od miejsca Hansa Castorpa. I oto powziął decyzję.

Wstaje bez słowa, przechodzi z serwetą w rękę na ukos między stołami przez salę, zaciąga starannie kremowe zasłony, przekonuje się spojrzeniem przez ramię, że blask wieczoru nie dociera już do pani Chauchat - i udaje się, przybierając wielce obojętną minę, w drogę powrotną.

Uprzejmy młodzieniec, który spełnia to, co trzeba, skoro nikomu innemu nie wpadło na myśl tego uczynić.

Nikt prawie nie zauważył jego interwencji, ale pani Chauchat natychmiast odczuła ulgę i obejrzała się;

pozostała w tej postawie, póki Hans Castorp nie dotarł z powrotem do swego miejsca i siadając nie spojrzał

w jej stronę, po czym z przyjaźnie zdziwionym uśmiechem podziękowała, to znaczy: głowę raczej wysunęła

nieco, niżeli nią skinęła.

Odpowiedział ukłonem.

Serce jego znieruchomiało, zdawało się w ogóle nie bić.

Dopiero później, kiedy wszystko minęło, poczęło tłuc jak młotem, i wtedy dopiero spostrzegł, że Joachim

nie odrywa oczu od swego bustwa; potem zaś uświadomił sobie, że pani Stohr szturchnęła w bok Blumenkohla i wszędzie, u własnego stołu jak i u innych, z tłumionym uśmiechem szukała porozumiewawczych spojrzeń...

Opisujemy rzeczy codzienne, ale codzienność staje się osobliwa, kiedy wyrasta na osobliwym podłożu.

Wydarzały się napięcia i dobroczynne odprężenia między nimi - albo, jeśli nie między nimi (gdyż w jakimś stopniu dotyczyło to pani Chauchat, wolimy pozostawić nie rozstrzygniętym), to w każdym razie

dla wyobraźni i uczuć Hansa Castorpa.

Po obiedzie w piękne te dni udawała się zwykle większość kuracjuszków na werandę, położoną przed salą

jadalną, by podzieliwszy się na grupy spędzić kwadransik na słońcu.

Odbywało się to i wyglądało tak, jak podczas odbywających się co dwa tygodnie niedzielnych koncertów

dętej orkiestry.

Młódzież, najzupełniej beczynna i nadmiernie nasycona potrawami mięsnymi oraz słodyczami - wszyscy

lekko gorączkujący - gawędziła, przekomarzała się, strzelała oczami.

Pani Salomon z Amsterdamu siadywała przy balustradzie - z jednej strony atakowana ostro kolanami Gansera o wywiniętych wargach, a z drugiej przez szwedzkiego olbrzyma, który, aczkolwiek zupełnie już zdrowy, przedłużał swój pobyt, aby nieco wypocząć po kuracji.

Pani Iltis zdawała się być wdową, gdyż od niedawna cieszyła się towarzystwem "narzeczonego" o wyglądzie zresztą zarówno melancholijnym, jak i niepozornym, którego obecność nie przeszkadzała jej przyjmować jednocześnie hołdów kapitana Miklosicha, mężczyzny o haczykowatym nosie, uczernionym wąsie, wyniosłej piersi i oczach miotających groźby.

Były tam damy rozmaitej narodowości, wśród nich kilka nowo przybyłych, które pojawiły się dopiero w październiku, a których nazwisk Hans Castorp jeszcze nie znał, przemieszane z kawalerami w rodzaju pana Albina.

Byli też siedemnastoletni chłopcy z monoklami; pewien młody Holender w okularach, o różowej twarzy, który z maniacką namiętnością zajmował się wymianą znaczków pocztowych; wypomadowani Grecy o oczach migdałowego kształtu skłonni do naruszania dobrych manier przy stole, dwaj nierozłączni strojnisi, zwani Maks i Moryc, którzy mieli opinię wielkich lampartów...

Garbaty Meksykanin, któremu nieznanostwo reprezentowanych tutaj języków nadawała pozory głuchego, nie przestawał dokonywać zdjęć fotograficznych, wlokąc swój statyw z pocieszającą żwawością z jednego punktu tarasu na drugi.

Także radca dworu pojawiał się niekiedy, aby popisać się sztuką ze sznurowadłami, a gdzieś tam przemykał się samotnie nabożny mannheimczyk; jego bezdennie smutne oczy skrycie błędziły pewnymi drogami, budząc odrazę Hansa Castorpa.

Aby tedy za pomocą tego lub innego przykładu nawiązać do owych "napięć i odprężeń", Hans Castorp w jednej z podobnych sytuacji siedział na lakierowanym fotelu ogrodowym pod ścianą domu, pochłonięty ożywioną rozmową z Joachimem, którego mimo jego oporu zmusił do wyjścia; przy balustradzie stała pani Chauchat, paląc papierosa z towarzyszącymi swymi z sali jadalnej.

Mówił umyślnie dla niej, aby go słyszała.

Była plecami odwrócona do niego...

Jak widać, mamy teraz na oku określony wypadek.

Rozmowa z kuzynem nie wystarczała jego afektowanemu gadulstwu; rozmyślnie tedy zawarł pewną znajomość - jaką to?

Znajomość z Herminą Kleefeld: jakby od niechcienia zwrócił się do niej, przedstawił się jej i,

przedstawiwszy także Joachima, przysunął jej lakierowane krzeselko, aby w większym towarzystwie lepiej móc zabłysnąć.

Czy wie, pytał, jak piekielnego napędziła mu strachu, kiedy się pierwszy raz spotkali, wówczas na porannej przechadzce?

Tak, to jego wówczas tak uprzejmie przywitała gwizdaniem!

A cel swój osiągnęła, to wyznaje dobrowolnie, dostał jakby pałką w łeb; niech zapyta kuzyna.

Cha, cha, pogwizdywać sztuczną odną i trwożyć tym Bogu ducha winnych przechodniów!

Uważa to za niecne i nie waha się określić tego otwarcie i w słusznym gniewie, jako grzeszne nadużycie...

I kiedy Joachim, świadomy swej roli statysty, siedział wlepiwszy wzrok w ziemię, a także samą pannę Kleefeld na widok nie widzących i umykających spojrzeń Hansa Castorpa stopniowo ogarniało upokarzające uczucie, które służy tylko jako środek do celu, Hans Castorp puszył się i mizdrzył, cyzelował zwroty i głosowi temu starał się nadać piękne brzmienie, aż istotnie uzyskał to, że pani Chauchat odwróciła się, by popatrzeć na osobnika, który w sposób tak jaskrawy zprawił, że spojrzała mu w oczy.

Trwało to jedną chwilę, gdyż wydarzyło się tak, że oczy jej, oczy Przybysława, szybko ześliznęły się z postaci Hansa Castorpa, siedzącego z założonymi nogami, i zatrzymały się na chwilę na jego żółtym trzewiku, z wyrazem tak rozmyślnej obojętności, iż robiło to wrzawienie pogardy, wyraźnej pogardy - po czym cofnęły się znów, flegmatycznie i może z uśmiechem na dnie.

Bardzo, bardzo nieszczęśliwy wypadek!

Hans Castorp przez chwilę jeszcze gadał dalej gorączkowo; po czym, gdy uświadomił sobie z całą wyrazistością to spojrzenie skierowane na jego trzewik, zamilkł niemal w połowie zdania i pogrążył się w rozpacz.

Panna Kleefeld, znudzona i dotknięta, odeszła.

JoaHiim rzekł głosem, nie pozbawionym rozdrażnienia, że teraz mogą już chyba iść werandować. I ktoś z ławki odpowiedział mu pobladłymi ustami, iż owszem, mogą.

Hans Castorp dwa dni cierpiał okrutnie z powodu tego wypadku, albowiem przez ten czas nie wydarzyło

się nic, co by było balsamem na jego palącą ranę.

Dlaczego takie spojrzenie?

Dlaczego na miłość Boską ona nim gardzi, dlaczego?

Czyżby uważała go za zdrowego dudka z dołu, którego umysł zdolny jest pojmować tylko rzeczy poprawne i obojętne?

Za niewiniątko z równiny, pospolitego - by tak rzec - młodzieńca, który chodzi sobie po bożym świecie i

śmieje się, brzuch sobie napycha, i robi pieniądze- za prymusa życiowego, który rozumie się jeno na nudnych korzyściach honoru?

Czyż był przelotnym hospitantem, przybyłym na trzy tygodnie, niegodnym jej sfery, czyż nie wyzwolił się

z terminu dzięki "wilgotnej plamce" - czyż nie był włączony w szeregi i przynależny do nich, nie był jednym

z "nas tu w górze", z przydziałem co najmniej na dwa miesiące, i czyż merkuriusz jego już wczoraj wieczór

nie podniósł się do 37,8?...

Ale to właśnie, to dopełniało czary jego cierpień!

Merkuriusz przestał się podnosić!

Straszliwe przygnębienie owych dni spowodowało ochłodzenie, otrzeźwienie i odprężenie w organizmie

Hansa Castorpa, które ku gorzkiemu jego wstydomu ujawniało się w bardzo niskich, ledwie ponadnormalnych wzniesieniach temperatury, i z rozpaczą stwierdzał, że jego zgryzota i udręka nie miały

innego skutku prócz tego, iż coraz bardziej oddalały go od właściwej istoty Kławdii.

Trzeci dzień przyniósł czułe wyzwolenie, przyniósł je z samego rana.

Był wspaniały jesienny poranek, słoneczny i świeży, powlekający łąki szarosrebrnym nalotem. Słońce i malejący księżyc stały jednocześnie prawie równie wysoko na czystym niebie.

Obaj kuzyni wstali wcześniej niż zazwyczaj, aby celem uczczenia pięknego dnia przedłużyć ranną przechadzkę nieco poza przepisane granice, trochę dalej zagłębić się ścieżką leśną, przy której stała ławka

obok rynny z wodą.

Joachim, którego wykres temperatury wykazywał właśnie także pomyślny spadek, oświadczył się za tym

odstępstwem od reguły, po którym spodziewał się odświeżenia, a Hans Castorp nie sprzeciwiał mu się.

- Jesteśmy przecież ozdowieńcami - powiedział - wolnymi od gorączki i jadów, jakby już dojrzałymi do

powrotu na równinę.

Czemuż nie mielibyśmy pobrykać jak żrebaki.

- Wędrowali zatem z gołymi głowami - Hans Castorp bowiem, od czasu kiedy wyzwolił się z terminu,

zastosował się bez szemrania do panującego tu zwyczaju chodzenia bez kapelusza, chociaż z początku zwalczał ten zwyczaj, Kierując się swą znajomością dobrych form i obowiązujących przepisów - i

podpierali

się laskami.

lecz nie przebyli jeszcze wznoszącego się w górę odcinka czerwonej drogi i dotarli dopiero do tego mniej

więcej punktu, w którym pneumatyczna czereda spotkała się wówczas z nowo przybyłym - kiedy w pewnej

odległości ujrzeli wolno wspinającą się panią Chauchat, panią Chauchat w bieli, w białym swetrze, w białej

flanelowej spódnicy, a nawet w białych bucikach, z rudawymi włosami, rozświetlonymi porannym słońcem.

Mówiąc ściślej: rozpoznał ją Hans Castorp; Joachim zwrócił na nią uwagę dopiero na skutek

niemiłego uczucia szarpania w boku - uczucia, wywołanego przez przyśpieszony krok, którym nagle zaczął go popędzać jego towarzysz, zwolniwszy uprzednio nagle tempa, a nawet prawie zatrzymawszy się w miejscu.

Takie gwałtowne poganianie wydało się Joachimowi wyjątkowo przykre, drażniło go; jego oddech stał się

szybki i urywany; zaczął pokaszliwać.

Ale świadomy celu Hans Castorp, którego narządy zdawały się pracować wspaniale, nie bardzo się

o to

troszczył; a gdy kuzyn jego zrozumiał, co się stało, zmarszczył tylko milcząco brwi i dotrzymał kroku Hansowi Castorpowi, który przecież nie mógł samotnie go wyprzedzać.

Piękny ranek ożywił młodego Hansa Castorpa.

Podczas okresu depresji wypoczęły niepostrzeżenie jego siły duchowe i żywił teraz niezbitą pewnością, iż nadeszła chwila, kiedy zdjęta zostanie zeń ciężąca na nim klątwa.

Przyśpieszał więc kroku, wlokąc za sobą dyszącego i także z innych powodów opierającego się Joachima, a przed zakrętem drogi, w miejscu gdzie przestała się wznosić i prowadziła dalej na prawo wzdłuż zalesionego wzgórza, prawie zrównali się z panią Chauchat.

Tu Hans Castorp znów zwolnił kroku, aby w chwili urzeczywistnienia swego zamiaru nie wyglądać niekorzystnie, na skutek dopiero co wykonanego wysiłku.

I oto za zakrętem drogi, pomiędzy przepaścią a ścianą góry, wśród rdzawo zabarwionych sosen, przez których gałęzie przezierало światło słoneczne, stała się i wydarzyła rzecz cudowna.

Hans Castorp, idący na lewo od Joachima męskim krokiem wyminął uroczą pacjentkę i, w chwili kiedy znajdował się po jej prawej ręce, powitał ją z uszanowaniem (dlaczego właśnie: z uszanowaniem) skłaniając głowę bez kapelusza i powiedział półgłosem "dzień dobry".

Na powitanie to uzyskał od niej odpowiedź: wcale nie zdziwiona, podziękowała przyjaznym skinieniem i powiedziała w jego języku i z uśmiechem w oczach "dzień dobry".

Wszystko to było czymś innym, czymś uszczęśliwiającym i zasadniczo innym niż spojrzenie na jego trzewik, był to traf szczęśliwy i obrót sprawy ku dobremu i najlepszemu, coś zupełnie bezprzykładnego i niemal przekraczającego zdolność pojmowania; było to wyzwolenie.

Oślepiiony nierozsądną radością, w posiadaniu ukłonu, słowa, uśmiechu, jak gdyby mu skrzydła u ramion wyrosły, śpieszył Hans Castorp naprzód u boku zlekceważonego Joachima, który milcząc odwrócił spojrzenie i spoglądał na urwisty stok.

Tak, w oczach Joachima był to pomysł dość swawolny, a może nawet coś w rodzaju zdrady i podstęp.

Hans Castorp wiedział o tym doskonale.

Nie było to tak, jak gdyby kogoś najzupełniej obcego poprosić o ołówek - byłoby raczej prawie nieokrzesianiem przejść sztywno i bez ukłonu, koło damy, z którą od miesiący żyło się pod jednym dachem; i czyż nawet niedawno w poczekalni Kławdia nie nawiązała z nimi rozmowy?

Oto dlaczego Joachim musiał milczeć.

Lecz Hans Castorp pojmował oczywiście, dlaczego jeszcze poza tym zacny Joachim milczał i szedł z odwróconą głową, podczas gdy on sam tak bez miary i łobuzersko był uszczęśliwiony tym, co zrobił. Nie mógłby być szczęśliwszym ktoś, kto na równinie w sposób dozwolony i z widokami na przyszłość i w gruncie rzeczy ku swemu zadowoleniu "ofiarował swe serce" jakiejś zdrowej gąsce, i to z wielkim powodzeniem - nie, nawet równie szczęśliwy nie mógłby być, jak był Hans Castorp z powodu tej drobnostki, którą w dobrej godzinie udało mu się zdobyć i sobie zapewnić...

Dla tego po chwili z całej siły trzepnął kuzyna w ramię i rzekł: - Halo, słuchaj no, co się z tobą dzieje?

Taka cudna pogoda!

Zejdziemy potem do Kurhauzu, tam będzie pewnie muzyka, pomyśl sobie!

Może zagrają "Dar twój, ta wiązka kwiatów mała, w więzieniu mnie nie opuszczała" z "Carmen".

Cóż to za mucha cię ukąsiła?

Nic podobnego - odparł Joachim.

- Ale jesteś tak rozpalony - obawiam się, że już po spadku twojej temperatury.

Istotnie było po nim.

Pod wpływem ukłonu, który Hans Castorp wymienił z Kławdią Chauchat, ustąpiło zawstydzające obniżenie napięcia w jego organizmie i, ściśle rzecz biorąc, świadomość tego właśnie sprawiała mu satysfakcję.

Tak jest, Joachim miał słuszność: merkuriusz podnosił się znów!

Gdy po przechadzce Hans Castorp zasięgnął jego zdania, słupek rtęci podniósł się do trzydziestu ośmiu stopni.

Encyklopedia.

Chociaż pewne aluzje pana Settembriniego złościły Hansa Castorpa, to jednak nie dziwił im się i nie miał prawa oskarżać humanisty o zbyt ni zapał do tropienia.

Nawet ślepy musiałby dostrzec, jak się z nim rzecz ma: on sam nie starał się wcale tego ukrywać, pewna

wielkoduszność i piękna prostota nie pozwalały mu tacić uczucia, czym bądź co bądź - i to na swoją korzyść,

jeśli ktoś chce - różnił się od łysawego, zakochanego i jakby skradającego się mannheimczyka. Przypominamy i powtarzamy, że psychicznemu stanowi, w jakim się znajdował, z reguły właściwy jest pęd

do uzewnętrzniania się, dążenie do zwierzeń i wynurzeń, ślepe wpatrzenie się w siebie samego i chęć zapełnienia sobą świata; nas, trzeźwych, uderza to tym bardziej, im mniej w takiej postawie jest sensu,

zdrowego rozsądku i szans powodzenia.

Trudno powiedzieć, w jaki właściwie sposób tacy ludzie zaczynają się zdradzać; cokolwiek robią, czegokolwiek zaniechają - wszystko ich zdradza.

szczególnie w towarzystwie ludzi, o których ktoś obiektywnie myślący wyraził się, że dwie tylko rzeczy

mają na uwadze, a mianowicie po pierwsze temperaturę, a po drugie - znowu temperaturę, to znaczy na

przykład pytanie, z kim pociesza się pani konsulowa Wurmbrand z Wiednia, opuszczona przez płochego

kapitana Miklosicha: czy wyleczonym już zupełnie szwedzkim drągalem, czy z prokuratorem Paravantem z

Dortmundu, czy wreszcie z obydwoma równocześnie.

Bo było rzeczą zupełnie pewną i ogólnie wiadomą, że więzy, łączące przedtem przez kilka miesięcy prokuratora z panią Salomon z Amsterdamu uległy rozluźnieniu za obopólną zgodą, i pani Salomon, idąc

za nakazem swojego wieku, zwróciła się w stronę młodszych roczników i wzięła pod swoje skrzydła opiekuńcze młodzieńca o wywiniętych wargach od stołu panny Kleefeld; o tym wypadku orzekła pani Stohr pewnego rodzaju kancelaryjnym stylem, ale i z pewną dozą obrazowości, że pani Salomon "załączyła

się" do młodego człowieka.

Tak więc prokurator mógł teraz postąpić, jak chciał: albo bić się ze Szwedem o panią konsulową, albo żyć z

nim w zgodzie.

Te więc wypadki, które między gośćmi "Berghofu", szczególnie między gorączkującą młodzieżą, były na



porządku dziennym i w których wielką rolę odgrywały przebiegające wzdłuż murów balkony (pomiędzy szklanymi przepierzeniami a balustradą), te właśnie wypadki zaprzętały tutaj umysły. One stanowiły zasadniczą część składową tutejszej atmosfery, chociaż, prawdę mówiąc, właściwy stan rzeczy należałoby wyrazić jeszcze inaczej.

Hans Castorp miał bowiem dziwne wrażenie, że na tych tak ważnych rzeczach, którym na całym świecie żartobliwie lub na serio przypisuje się wielkie znaczenie, spoczywał tutaj akcent tak mocny, a przez to tak nowy, że samo zjawisko ukazywało się skutkiem tego w świetle jeżeli nie wprost strasznym, to w każdym razie udeżającym swoją niezwykłością.

Wypowiadając te słowa zmieniamy wyraz twarzy i zwracamy uwagę, że jeżeli dotychczas mówiliśmy kiedyś o stosunkach tego rodzaju tonem żartobliwym i lekkim, działo się to z tych samych tajnych powodów, dla których czyni się tak zwykle; nie dowodzi to bynajmniej jeszcze, że rzeczy te w istocie swojej są lekkie lub zabawne, a w sferze, w której się znajdujemy byłoby to słuszne w mniejszym jeszcze stopniu niż gdzie indziej.

Hans Castorp sądził dawniej, że nie gorzej od innych rozumie się na tych zjawiskach, tak chętnie obieranych za cel dowcipów, i mógł nawet mieć rację.

Teraz przekonał się jednak, że tam na nizinie w zupełnie niedostatecznej mierze znał się na tych sprawach, a nawet że żył w naiwnej nieświadomości; tutaj natomiast jego osobiste doświadczenia których charakter próbowaliśmy już nieraz zaznaczyć przed czytelnikiem i które w pewnych chwilach wywoływały u niego okrzyk "O Boże"!

pomogły mu do spostrzeżenia oraz zrozumienia akcentu wzmocniającego ową siłę niesłychaną, awanturniczą i bezimienną - akcentu, który tu w górze kładli na tych sprawach wszyscy i każdy z osobna. Nie twierdzimy, że nie dowcipkowano tu również na te tematy.

Ale maniera ta miała wyraźniejszy niż na dole charakter czegoś nieodpowiedniego, czegoś, co każe zgrzytać zębami i zapiera oddech, co czyni z niej tylko przejrzysty płaszczyk dla ukrywającego się poza nią albo raczej nie dającego się ukryć tragizmu.

Hans Castorp przypomniał sobie, jak opalone policzki Joachima zbladły i pokryły się plamami, kiedy po raz pierwszy i jedyny wspomniał o fizycznej stronie osobowości Marusi, w niewinnie żartobliwy sposób znany mu z nizin.

Przypomniał sobie także zimną bladość, która pokryła jego własną twarz, kiedy uwolnił panią Chauchat od padającego na nią wieczornego światła i że często przedtem, i potem spostrzegał podobne zjawisko

na

wielu innych obliczach: zwykle na dwóch jednocześnie, na przykład na twarzy pani Salomon i młodego

Gansera, kiedy zaczynało się między nimi to, co pani Stohr określała w tak swoisty sposób.

Przypomniał sobie, powiedzmy, to wszystko i zrozumiał, że w tych warunkach nie tylko byłoby bardzo

trudno się nie "zdradzić", ale że nawet nie warto się o to starać.

Innymi słowy: jeśli Hans Castorp mało zadawał sobie trudu, żeby trzymać swoje uczucia na wodzy i ukrywać ich stan, nie płynęło to wyłącznie ze szczerości i otwartości jego charakteru, ale pochodziło również stąd, że zachęcała go do tego panująca w "Berghofie" atmosfera, niełatwo tu było zawierać znajomości.

Joachim uprzedził o tym Hansa Castorpa zaraz na początku; trudność ta wynikała przede wszystkim stąd,

że obaj kuzyni stanowili w towarzystwie kuracjuszków odrębną, że tak powiem, partię i miniaturową grupę,

a po za tym stąd, że żołnierskim duchem przepojony Joachim myślał tylko o szybkim wyzdrowieniu i zasadniczo nie był skłonny do bliższego kontaktu i współżycia z towarzyszami niedoli; gdyby jednak nie ta

trudność, Hans Castorp miałby i zdobyłby sobie znacznie więcej okazji do otwartego i niepochamowanego

manifestowania swoich uczuć.

Bądź co bądź Joachim złapał go raz wieczorem na tym, jak stojąc w towarzystwie czterech osób: Herminy

Kleefeld, jej obu sąsiadów od stołu, Gansera i Rasmussena, oraz owego młodzieńca z monoklem i paznokciem w kształcie szufelki i z nienaturalnie błyszczącymi oczami improwizował z ożywieniem na

temat oryginalnej dziwnej budowy twarzy pani Chauchat, podczas gdy jego słuchacze spoglądali na siebie

porozumiewawczo, trącali się i chichotali.

Dla Joachima było to bardzo przykre; ale sprawca tej wesołości nie wstydził się bynajmniej, że obnaża stan

swojej duszy, a nawet zdawało mu się, iż Odsłaniając w ten sposób swe uczucia i zwracając na nie uwagę,

zapewnia im należyte znaczenie.

Pewny powszechnego zrozumienia dla swego stanu, godził się przy tym na złośliwość towarzyszącą temu

zrozumieniu.

Nie tylko od jego stołu, ale powoli i od innych, sąsiednich stołów obserwowano z lubością, jak blednie i

czerwieni się, kiedy po rozpoczęciu posiłku oszklone drzwi zapadają się z trzaskiem, i sprawiało mu to

nawet przyjemność, bo sądził, że jego otumanienie, zwracając na siebie uwagę, znajduje z zewnątrz pewne

uznanie i potwierdzenie, które mogą jego sprawę pchnąć naprzód i które wzmagają jego nieokreślone i

nierozsądne nadzieje; czuł się w takich chwilach nawet szczęśliwy.

Doszło do tego, że ludzie jak gdyby wprost zbierali się, ażeby przypatrywać się zaślepiemu.

Zdarzało się to na przykład po jedzeniu na tarasie albo w niedzielę po południu przed lożą portiera, kiedy

kuracjusze odbierali tam swoją pocztę, której tego dnia nie roznoszono po pokojach.

Wiele osób wiedziało, że znajduje się tam srodze odurzony i oszołomiony młodzieniec, który daje wszystko

po sobie poznać, więc stawała tam na przykład pani Stohr, panna Engelhart, panna Kleefeld ze swoją przyjaciółką o twarzy tapira, nieuleczalny pan Albin, młody człowiek z paznokciem i jeszcze ten i ów spośród pacjentów - stali tam z sarkastycznie opuszczonymi kątami ust, prychnący przez nos, i przyglądali

się, jak z nieprzytomnym i namiętym uśmiechem, z wypiekami na twarzy, które poczuł zaraz pierwszego

wieczora po przybyciu tutaj, i z owym blaskiem w oczach, który wzniecił w nich jeszcze kaszel sportsmena,

uporczywie patrzył w wiadomym kierunku...

Właściwie było to bardzo ładnie ze strony pana Settembriniego, że wśród takich okoliczności podchodził

do Hansa Castorpa, aby wciągnąć go w rozmowę i zapytać o zdrowie; ale należy wątpić, czy Hans Castorp

umiał należycie ocenić to postępowanie, dowodzące życzliwości i braku przesądów.

Było to, na przykład, w niedzielne popołudnie w przedsionku.

Goście tłoczyli się przy loży portiera i wyciągali ręce po listy.

Także Joachim stał tam w pierwszym szeregu.

Jego kuzyn pozostał w tyle i, będąc w nastroju powyżej opisanym, starał się złowić spojrzenie Kławdii Chauchat, która w towarzystwie swych sąsiadów od stołu stała w pobliżu, czekając, aż zmniejszy się natłok przy loży.

Była to godzina, w której mieszkańcy sanatorium mieszały się z sobą, godzinna okazja ukochana i utęskniona z tego powodu przez młodego Hansa Castorpa.

Przed tygodniem zetknął się bardzo blisko z panią Chauchat przy okienku portiera, tak że nawet potrafiła go lekko i odwróciwszy przelotnie głowę, powiedziała pardon, na co on, dzięki jakiejś gorączkowej przytomności umysłu, zdołał ku swej Wielkiej radości odpowiedzieć: - Pas de quoi, madame!

(Pas de quoi, madame: z francuskiego - Nie ma za co, proszę pani).

Co za uśmiech losu, myślał, że w każde niedzielne popołudnie niechybnie odbywa się w przedsionku rozdzielanie poczty!

Można powiedzieć, że cały tydzień schodził mu na wyczekiwaniu tej godziny, czekać znaczy: wybiegać naprzód, znaczy: czas i terażniejszość odczuwać nie jako dar, lecz tylko jako przeszkodę, zaprzeczać ich wartości, niweczyć je w duchu, przeskakiwać.

Mówi się, że czekającemu czas się dłuży.

Ale zarazem, a nawet właściwie, rzecz ma się odwrotnie, bo czekanie pochłania całe okresy czasu, których się jako takich nie przeżywa i nie wyzyskuje.

Można powiedzieć, że ten, kto tylko czeka, podobny jest do żarłoka, którego narządy trawienia w olbrzymich ilościach przepuszczają potrawy, nie spożytkowując wcale ich wartości odżywczych, można by pójść jeszcze dalej i powiedzieć: jak nie trawiony pokarm nie wzmacnia człowieka, tak i

czas użyty na czekanie nie czyni go starszym.

Co prawda, czyste czekanie, bez żadnej domieszki, w praktyce się nie zdarza.

A więc tydzień znowu został pochłonięty i nadeszło popołudnie niedzielne z rozdziałem poczty - tak jak gdyby to było jeszcze to samo, sprzed siedmiu dni.

Stwarzało w sposób niezwykle podniecający jedną okazję po drugiej, co chwila kryło w sobie i dawało możliwość nawiązania z panią Chauchat stosunków towarzyskich - możliwość, która ścisła i popędzała serce Hansa Castorpa, nie przyoblekając jednak szat rzeczywistości.

Stały temu na przeszkodzie hamulce natury częściowo żołnierskiej, a częściowo cywilnej, były one mianowicie w związku bądź z obecnością zacnego Joachima, bądź z własnym honorem i obowiązkowością Hansa Castorpa, a wynikały również z poczucia, że stosunki towarzyskie z Kławdią Chauchat, które wymagają zachowywania przyjętych form mówienia "pani", ukłonów, a być może rozmawiania po francusku - były w ogóle niepotrzebne, niepożądane, i nie o to tutaj chodziło...

Stał i patrzył na nią jak śmiała się i rozmawiała, zupełnie tak samo jak niegdyś Przybysław Hippe śmiał się rozmawiając na dziedzińcu szkolnym: usta jej otwierały się przy tym dosyć szeroko, a jej skośne, szarzielone oczy zwięzały się w szparki ponad wystającymi kośćmi policzkowymi.

Nie było to bynajmniej "piękne", ale było takie, jakie było, a zakochani są niezdolni w równej mierze do rozumnej oceny estetycznej, jak i do wydawania sądów etycznych.

- Pan także czeka na jakieś papiery, inżynierze?

Tak mógł zagadnąć jeden tylko człowiek - ktoś, kto przeszkadza.

Hans Castorp wzdrygnął się i odwrócił do pana Settembriniego, który stał przed nim z uśmiechem.

Był to ten sam subtelny i humanistyczny uśmiech, którym kiedyś przy ławce nad strumieniem po raz pierwszy przywitał nowego przybysza, i jak wtedy tak i teraz Hans Castorp doznał na jego widok uczucia wstydu.

Ale chociaż we śnie nieraz starał się odpędzić "kataryniarza", bo "tutaj przeszkadza", to jednak na jawie człowiek jest lepszy niż we śnie, i Hans Castorp poczuł nie tylko wstyd i otrzeźwienie, ale jednocześnie i pewną wdzięczność, bo zrozumiał, że trzeba mu tego uśmiechu.

Odrzekł: - Mój Boże, gdzież by na papiery!

Nie jestem przecież żadnym ambasadorem!

Może przyszła jakaś pocztówka do którego z nas.

Mój kuzyn dowiaduje się właśnie.

- Mnie wręczył już ten kulawy diabeł, tam z przodu, moją skromną pocztę - powiedział Settembrini i wskazał na kieszeń swej nieodłącznej włochatej marynarki.

- Ciekawe rzeczy, nie przeczę, rzeczy o literackim i społecznym znaczeniu.

Chodzi o dzieło encyklopedyczne, wydawane przez pewną instytucję, która zaszczyliła mnie humanitarną propozycją współpracy...

Jednym słowem, o piękną pracę.

- Pan Settembrini zrobił pauzę.

- A jak pańskie sprawy?

- zapytał.

- Co słyhać u pana?

Jak dalece, na przykład, przystosował się pan już do tutejszego klimatu?

Bo ostatecznie nie jest pan u nas tak dawnym gościem, żeby to pytanie przestało być aktualne.

Dziękuję panu, ciągle jeszcze mam z tym trudności.

I możliwe, że będzie już tak aż do ostatniego dnia.

Kuzyn mój powiedział mi zaraz po moim przyjeździe, że niektórzy w ogóle nie mogą się tutaj

zaaklimatyzować.

Ale można się przyzwycząić do tego, że się nie można przyzwycząić.

Skomplikowany proces - żartował Włoch - oryginalny sposób wzięcia się.

Naturalnie, młodzież jest zdolna do wszystkiego.

Nie przyzwyczajają się, ale zapuszcza korzenie.

- Ostatecznie nie jesteśmy tutaj w syberyjskiej kopalni.

Nie.

O, pan preferuje wschodnie porównania.

To zupełnie zrozumiałe.

Azja pochłania nas.

Gdziekolwiek spojrzeć: tatarskie fizjonomie.

- I pan Settembrini dyskretnie obejrzał się za siebie.

- Dżingis chan - rzekł.

- Świecące ślepia wilka stepowego, śnieg i wódka, nahajka, Szlisselburg i chrześcijaństwo.

Należałoby tutaj w przedsionku ustawić ołtarz palas Ateny, jako symbol obrony.

Niech pan spojży, tam na przodzie stoi sobie taki Iwan Iwanowicz, bez bielizny, i kłóci się z prokuratorem Paravantem.

Każdy z nich chce wyprzedzić drugiego, aby odebrać listy.

Nie wiem, który z nich ma rację, ale na rozum, bogini chroni raczej prokuratora.

Wprawdzie jest osłem, ale zna przynajmniej łacinę.

Hans Castorp śmiał się - czego nigdy nie czynił Settembrini.

Nie można było wcale wyobrazić go sobie serdecznie się śmiejącego; nie posuwał się nigdy poza delikatne i suche ściągnięcie kącików ust.

patrzył na śmiejącego się młodzieńca, a potem zapytał: - Czy pan ma już swój diapozytyw?

- Owszem, mam już!

- odparł Hans Castorp z ważną miną.

- Od niedawna.

Oto on.

I sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- O, pan nosi go w portfelu jak jakąś legitymację, paszport albo kartę członkowską.

Doskonale.

Niech no pan pokaże!

- I pan Settembrini spojrział pod światło na małą szklaną płytkę w ramce z czarnego papieru, trzymając ją między wielkim i wskazującym palcem lewej ręki - ruchem często tutaj na górze używanym.

Twarz jego, z czarnymi migdałowymi oczami, skrzywiła się trochę w czasie oglądania ponurego zdjęcia nie wiadomo, czy tylko aby umożliwić mu dokładniejsze widzenie, czy też z jakiegoś innego powodu.

- Tak, tak - odezwał się po chwili.

- Ma pan tu swoją legitymację, dziękuję bardzo.

- I zwrócił płytkę jej właścicielowi, podając mu ją bokiem, przez ramię poniekąd, i nie patrząc na niego.

- Czy widział pan te pasma?

- zapytał Hans Castorp.

- A gruźelki?

- Pan wie - odpowiedział powoli Settembrini - co ja sędzę o wartości tych produktów.

Pan wie również, że te plamy i cienie tam wewnątrz są po największej części normalne. Widziałem już setki fotografii, wyglądających mniej więcej tak jak pańska, a które pozostawiały patrzącemu pewną swobodę osądzania, czy rzeczywiście stanowią "legitymację"!

Mówię jako laik, ale bądź co bądź laik długoletni.

- Czy pana własna legitymacja wygląda gorzej?

- Tak, trochę gorzej.

Zresztą wiem na pewno, że nasi panowie i władcy także nie opierają swojej diagnozy wyłącznie na tej zabawce.

A więc ma pan zamiar u nas przezimować?

- Ach, mój Boże...

Zaczynam przyzwyczajać się do myśli, że zjadę na dół dopiero z kuzynem.

HL.

To znaczy, że pan przyzwyczaja się do tego, że WL nie...

Pan sformułował to bardzo dowcipnie.

Przypuszczam, że pan już otrzymał swoje rzeczy, ciepłe ubranie, solidne obuwie?

- Wszystko.

Wszystko w najlepszym porządku, proszę pana.

Zawiadomiłem krewnych i nasza gospodyni przysłała mi wszystko pośpiesznym frachtem, jestem dobrze zaopatrzony.

To mnie uspokaja.

Ale, prawda, musi pan mieć worek, futrzany worek - jak mogliśmy o tym zapomnieć?!

To późne lato jest zdradliwe; lada godzina może przyjść ostra zima.

Pan spędzi tutaj najzimniejsze miesiące...

- Tak, tak, worek do werandowania - powiedział Hans Castorp - należy do tutejszego ekwipunku.

Przechodziło mi już przez myśl, że w najbliższych dniach będziemy musieli, mój kuzyn i ja, zejść do uzdrowiska i kupić taki worek.

Później nie będzie już nigdy w życiu potrzebny, ale ostatecznie na cztery do sześciu miesięcy warto go nabyć.

Warto, warto, inżynierze!

- powiedział cicho Settembrini podchodząc bliżej do młodego człowieka.

- A wie pan, że aż strach bierze, jak pan szafuje tymi miesiącami.

Strach, bo to jest nienaturalne jego naturze, a pochodzi jedynie z pojętności, właściwej pańskiemu wiekowi.

Ach, ta nadmierna pojętność młodości!

Ona jest rozpaczą wychowawców, bo przede wszystkim każe im chłonać to, co złe.

Młody człowieku, niech pan nie mówi rzeczy, które tu nietylko unoszą się w powietrzu, ale niech pan wygłasza zdania zgodne ze swymi europejskimi formami życia!

Tutaj jest przede wszystkim dużo Azji w powietrzu - nie darmo aż się roi od typów z moskiewskiej Mongolii!

Ci ludzie - i pan Settembrini wskazał ruchem brody przez ramię za siebie - niech się pan nie nastawia wewnątrznie według nich, niech pan się nie zaraża ich sposobem myślenia, ale niech Pan raczej przeciwstawi swoją własną, swoją wyższą istotę, i niech pan uważa za święte to, co dla pana, syna Zachodu, boskiego Zachodu - dla syna cywilizacji, z natury i z pochodzenia jest święte, na przykład czas!

Ta rozrzutność, ten barbarzyński szeroki gest w zużywaniu czasu jest w stylu azjatyckim - i to jest zapewne powodem, dlaczego tutaj tak się podoba dzieciom Wschodu.

Czy pan nigdy nie zauważył, że jeżeli Rosjanin mówi: "cztery godziny" - jest to nie więcej, niż jeżeli ktoś z

nas powie; "jedna"?

Nasuwa się myśl, że nonszalancja tych ludzi w stosunku do czasu pozostaje w związku z dzikim bezmiarem ich kraju.

Gdzie jest dużo przestrzeni jest też wiele czasu - mówi się przecież, że oni są narodem, który ma czas i

może czekać.

My, Europejczycy, nie możemy.

Mamy tak samo mało czasu, jak mało miejsca jest na naszym szlachetnym i misternie rozczłonkowanym

kontynencie; musimy ekonomicznie gospodarować jednym i drugim i umieć wysnuwać z nich korzyści,

korzyści, inżynierze!

Niech pan pomyśli, na przykład, o naszych wielkich miastach, tych ośrodkach i ogniskach cywilizacji, tych

kotłach, w których powstają i mieszają się idee!

W tym samym stosunku, w jakim drożeje tam ziemia i staje się niemożliwością trwonienie przestrzeni, w

tym samym stosunku, niech pan zwróci na to uwagę, także czas staje się tam droższy.

Carpe diem!

To słowa poety, który był mieszkańcem wielkiego miasta.

Czas jest darem bogów, danym człowiekowi, aby z niego korzystał - korzystał, inżynierze, służąc postępowi ludzkości.

Słowa te, jakkolwiek na pewno sprawiły trudności jego śródziemnomorskiemu językowi, wypowiedział

pan Settembrini wyraźnie, dźwięcznie i, rzecz można, plastycznie.

Hans Castorp odpowiedział krótkim, sztywnym i nieśmiałym ukłonem ucznia otrzymującego należną mu

reprimendę.

Bo cóż miał odpowiedzieć?

To *privatissimum*, wygłoszone dla niego powoli i prawie szeptem przez pana Settembriniego, odwróconego tyłem do pozostałych gości, miało charakter tak ściśle rzeczowy i mało towarzyski, tak bardzo

odbiegało od swobodnej rozmowy, że byłoby nietaktem reagować na nie, chociażby wyrażając Uznanie.

(*Privatissimum*: łacińskie - w nauczaniu uniwersytet, wykład lub ćwiczenia, przeznaczone dla ograniczonej liczby osób).

Nauczycielowi nie odpowiada się: "Pięknie pan to powiedział".

Hans Castorp czynił to wprawdzie przedtem kilkakrotnie, chcąc poniekąd utrzymać się na równym poziomie towarzyskim, ale też humanista nigdy dotychczas nie przemawiał doń tak zdecydowanie mentorskim tonem.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko przełknąć kaganiec - i Hans Castorp milczał, przytłoczony jak student

tym nawałem morałów.

I Zresztą widać było po panu Settembrinim, że chociaż już zamilkł, myśli swe snuje dalej.

Wciąż jeszcze stał tuż przed Hansem Castorpem, tak że ten musiał nawet przechylić się nieco w tył, a jego

czarne, głęboko zamyślane oczy uparcie wpatrywały się w twarz młodzieńca.

- Pan cierpi, inżynierze!

- mówił dalej.

- Pan cierpi jak człowiek zbłąkany - któż nie poznałby tego po panu?

Ale pana ustosunkowanie się do cierpienia powinno również mieć charakter europejski - nie zabarwienie

Wschodu, nieodpornego i skłonnego do chorób Wschodu, który tak wydatnie przyczynia się do wielkiej

frekwencji w tej miejscowości...

Współczucie i bezgraniczna cierpliwość - oto postawa Wschodu wobec cierpienia.

Ale nam, ale panu tak nie wolno!...

Mówiliśmy o mojej korespondencji...

Niechże pan spojrzy...

Albo jeszcze lepiej, niech pan pójdzie ze mną!

Tutaj nie można...

Chodźmy stąd i wejdźmy do środka.

Poczynię przed panem pewne zwierzenia, które...

Chodźmy!

- I odwróciwszy się, pociągnął za sobą Hansa Castorpa z przedsionka do najbliższego z salonów ogólnych, w tej chwili zupełnie pustego; była to czytelnia i pokój do pisania, o jasnym, sklepionym suficie i dębowej boazerii; pod ścianami szafy z książkami, pośrodku stał otoczony krzesłami stół, pokryty gazetami na kijach a pod łukami nisz okiennych biurczka z przyborami do pisania.

Pan Settembrini podszedł do jednego z okien, a Hans Castorp za nim, nie zamykając drzwi.

- Papiery te - odezwał się Włoch, wyciągając pośpiesznie z workowatej kieszeni swojej włochatej marynarki dużą, już otwartą kopertę i wydobywając przed oczami Hansa Castorpa zawarte w niej różne druki i pisma odręczne - papiery te mają francuski nagłówek: "Międzynarodowa Liga Organizacji Postępu".

Przysłano mi je z Lugano, gdzie znajduje się ekspozytura Ligi.

Pyta mnie pan, jakie są w niej punkty wyjścia i cele?

Odpowiem panu w paru słowach.

"Liga Organizacji Postępu" wyprowadza z teorii ewolucji Darwina pogląd filozoficzny, że najistotniejszym i naturalnym powołaniem człowieka jest jego doskonalenie się.

Wysnuwa stąd dalej wniosek, że jest obowiązkiem każdego, kto chce iść za swym naturalnym powołaniem, przyczyniać się swą współpracą do postępu ludzkości.

Wielu jest takich, co poszło za tym hasłem; Liga ma licznych członków we Francji, Włoszech, w Hiszpanii, Turcji, a nawet w Niemczech.

Ja także mam zaszczyt figurować w wykazie członków.

Opracowano program reformy w wielkim stylu, oparty na zasadach naukowych i obejmujący wszystkie możliwe dzisiaj sposoby doskonalenia organizmu ludzkiego.



Studiuje się zagadnienia zdrowia naszej rasy, bada się wszelkie metody zwalczania degeneracji, która jest bez wątpienia pożałowania godnym zjawiskiem towarzyszącym wzrostowi uprzemysłowienia. Liga zakłada dalej uniwersytety ludowe, pracuje nad przewyciężeniem walki klas za pomocą wszystkich zmierzających do tego celu ulepszeń społecznych, a wreszcie pragnie położyć kres walce narodów, wojnie, dzięki rozwojowi prawa międzynarodowego.

Pan widzi, że cele Ligi są szlachetne i rozległe.

O jej żywotności świadczy spora liczba czasopism międzynarodowych - miesięczników wychodzących w trzech lub czterech językach światowych i przynoszących ciekawe informacje o pochodzie postępu wśród ludów cywilizowanych.

W różnych państwach powstały oddziały miejscowe, które przez urządzenie wieczorów dyskusyjnych i niedzielach zebrań mają budzić zrozumienie dla ideału postępu ludzkości.

A przede wszystkim stara się Liga wspomagać postępowe partie polityczne wszystkich krajów przez dostarczanie im odpowiedniego materiału...

Pan słucha, inżynierze?

Ależ tak!

- odrzekł Hans Castorp pośpiesznie i skwapliwie.

Wymawiając te słowa miał uczucie człowieka, który się pośliznął, ale któremu udało się jeszcze szczęśliwie utrzymać na nogach.

Pan Settembrini wydawał się zadowolony: Przypuszczam, że to są dla pana rewelacje?

Tak, muszę przyznać, że po raz pierwszy słyszę...

o tych usiłowaniach.

Gdybyż pan był wcześniej - zawołał cicho Settembrini - gdybyż pan był wcześniej już o nich usłyszał!

Ale może jeszcze nie za późno dowiaduje się pan o tym.

A więc, te druki...

Pan chce wiedzieć, o czym w nich mowa...

Niech pan słucha dalej!

Na Wiosnę odbyło się w Barcelonie walne zgromadzenie ligi - pan wie, że to miasto może szczyścić się wyjątkowym stosunkiem do postępowych idei politycznych.

Kongres trwał przez tydzień, pełno było bankietów i uroczystości.

Mój Boże, chciałem pojechać, gorąco pragnąłem wziąć udział w obradach.

Ale ten cham radca dworu, zabronił mi i groził śmiercią - co pan powie, bałem się śmierci i nie pojechałem.

Może pan sobie wyobrazić, że byłem w rozpaczce z powodu figła, który mi wypłatało moje zdrowie. Nie ma nic bardziej bolesnego, niż kiedy fizyczna, zwierzęca część naszego organizmu nie pozwala nam mówić rozumowi.

Tym bardziej cieszę się tym pismem przysłanym mi przez biuro Ligi w Lugano...

Jest pan ciekawy treści?

Wierzę, wierzę!

Ale najpierw trochę króciutkich informacji...

"Liga Organizacji Postępu" - zważywszy, że zadanie jej polega na zapewnieniu szczęścia całej ludzkości, innymi słowy na stopniowym zwalczaniu i wreszcie na zupełnym wytępieniu ludzkiego cierpienia za pomocą celów pracy społecznej - zważywszy dalej, że to najszczytniejsze zadanie może być rozwiązane tylko za pomocą naukowej socjologii, której ostatecznym celem jest doskonałe państwo - zważywszy to wszystko, Liga uchwaliła w Barcelonie wydanie wielotomowego dzieła,

pod tytułem "Socjologia cierpienia"; będzie to wyczerpujące i systematyczne opracowanie cierpień ludzkich według wszystkich ich klas i rodzajów.

Pan mi zarzuci: na cóż zdadzą się klasy, rodzaje, systemy!

A ja panu odpowiem: uporządkowanie i rozejrzenie się w materiale jest początkiem jego opanowania, a prawdziwie strasznym wrogiem jest wróg nieznany.

Trzeba wywieść rodzaj ludzki z prymitywnego stadium lęku i biernej tępoty i wprowadzić go w fazę świadomego celu działania.

Trzeba go uświadomić, że można zapobiec skutkom, jeśli się dość wcześnie pozna i opanuje przyczyny, i że prawie wszystkie cierpienia jednostki są chorobami organizmu społecznego.

Dobrze!

To więc jest zamierzeniem "Patologii socjologicznej".

Dzieło to, składające się mniej więcej z dwudziestu tomów formatu encyklopedii, opisze i podda analizie wszystkie przypadki cierpień ludzkich, jakie tylko dadzą się pomyśleć, od najbardziej osobistych i intymnych aż do wielkich konfliktów zbiorowych, do cierpień wyrastających z walki klas i międzynarodowych zatargów; krótko mówiąc, dotrze do pierwiastków chemicznych, których związki i mieszaniny składają się na wszystkie cierpienia ludzkie; a ponieważ wytyczną całego dzieła ma być godność i szczęście ludzkości, przeto wskaże w każdym wypadku środki i sposoby usunięcia przyczyn cierpienia.

Powołani fachowcy ze świata nauki europejskiej, lekarze, socjologowie i psychologowie, podzielą między siebie opracowanie tej encyklopedii cierpienia, a główne biuro redakcyjne w Lugano będzie zbiornikiem, do którego spływać będą artykuły.

Pan pyta mnie wzrokiem, jaka rola ma mnie przy tym wszystkim przypaść w udziale?

Niech mi pan pozwoli dokończyć!

I literatura piękna będzie w tym dziele uwzględniona, o ile przedmiotem jej jest cierpienie ludzkie.

Dlatego też przewidziany jest osobny tom, który ku pokrzepieniu i pouczeniu cierpiących ma zawierać wykaz i krótką analizę wszystkich wybitnych utworów literatury powszechnej zajmującej się poszczególnymi konfliktami.

Oto zadanie, które mniejszy list powierza pańskiemu najniższemu słudze.

Co pan mówi, naprawdę?!

Niech mi wolno będzie serdecznie panu powinszować!

To przecież jest wspaniałe zadanie i, moim zdaniem, jakby stworzone dla pana.

Nie dziwię się bynajmniej, że Liga pomyślała o panu.

A jak musi pana cieszyć świadomość, że może pan być pomocny w tępieniu cierpienia ludzkiego!

To duża praca - rzekł pan Settembrini zamyślając się - wymagająca szerokich horyzontów wielkiego czytania.

Tym bardziej - ciągnął dalej, podczas gdy wzrok jego jak gdyby gubił się w gąszczach tej pracy - tym bardziej że literatura prawie z reguły obiera sobie za temat cierpienie, i nawet zgoła trzeciorzędne jej arcydzieła zajmują się poniekąd tym przedmiotem.

Mniejsza o to - albo może lepiej!

Jakkolwiek zadanie to jest olbrzymie, to jednak jest ono tego rodzaju, że od biedy nawet w tym przeklętym miejscu mogę nad nim pracować, chociaż mam nadzieję, że nie będę zmuszony doprowadzić go tutaj do końca.

Ale o obowiązkach - ciągnął Settembrini, znowu podchodząc bliżej do Hansa Castorpa i zniżając głos prawie do szeptu - o obowiązkach, które na pana, inżynierze, nałożyła natura, nie można tego samego powiedzieć.

Oto, dokąd zmierzałem, co chciałem panu uprzytomnić.

Pan wie, jak bardzo podziwiam jego zawód, ale ponieważ jest to zawód praktyczny, nie teoretyczny, to może pan go, w przeciwieństwie do mnie, wykonywać tylko pomiędzy ludźmi, tam na dole. Tylko na nizinie może pan być Europejczykiem, na swój sposób zwalczając czynnie cierpienie, pracować dla postępu, nie tracić czasu.

Opowiedziałem panu o powierzonej mi pracy tylko po to, ażeby mu przypomnieć, ażeby go przywołać do porządku, ażeby sprostować jego pojęcia, które prawdopodobnie pod wpływem warunków atmosferycznych zaczynają się mącić.

Żądam od pana: niech pan polega na sobie!

Niech pan będzie dumny i niech pan się nie zatraci w obcym sobie świecie!

Niech pan unika tego bagna, tej wyspy Kirke, na której nie może pan bezkarnie mieszkać, bo jest pan na to za mało Odyseuszem.

Pan będzie chodził na czworakach, pan już opuszcza się na przednie kończyny, a niezadługo zacznie pan chrząkać - niech pan się ma na baczności!

Te półgłosem wygłaszane napomnienia humanista podkreślał dobitnymi ruchami głowy.

Potem umilkł spuściwszy oczy i ściągnąwszy brwi.

Niepodobieństwem było odpowiedzieć mu żartobliwie i wymijająco, jak to przedtem zwykle czynił Hans Castorp i co teraz przez chwilę rozważał jako możliwość.

I on także stał ze spuszczonej powiekami.

Potem podniósł ramiona i zapytał równie cicho: - Więc co ja mam zrobić?

- To, co panu powiedziałem!

- To znaczy: odjechać?

Pan Settembrini milczał.

- Czy pan chce powiedzieć, że powinienem pojechać do domu?

- Radziłem to panu zaraz pierwszego wieczora, inżynierze.

- Tak, i wtedy mogłem to uczynić, choć uważałem, że nie ma sensu tak zaraz dawać za wygraną dlatego tylko, że tutejsze powietrze daje mi się trochę we znaki.

Ale przecież od tego czasu sytuacja uległa zmianie.

Poddałem się badaniu lekarskiemu po którym radca Behrens powiedział mi bez ogródek, że nie warto odjeżdżać, bo niezadługo musiałbym i tak tu powrócić, a gdybym tam na dole podjął dawny tryb życia, to mógłbym jak nic stracić cały płąt płuca.

- Wiem, teraz ma pan w kieszeni swoją legitymację.

- Pan mówi o tym z taką ironią...

naturalnie z właściwą ironią, która nie może być źle zrozumiana i jest tylko zwyczajnym i klasycznym środkiem krasomówczym - widzi pan, pamiętam jego słowa.

Ale czy może pan wziąć to na swoją odpowiedzialność, by mimo tej fotografii, mimo rezultatu prześwietlenia i diagnozy radcy Behrensa doradzać mi powrót do domu?

Pan Settembrini wahał się przez chwilę.

Potem wyprostował się, podniósł spuszczone powieki, mocne spojrzenie swoich czarnych oczu skierował na Hansa Castorpa i odparł z pewną teatralną i na efekt obliczoną intonacją: - Tak, inżynierze, gotów jestem wziąć to na swoją odpowiedzialność.

Ale i Hans Castorp wyprostował się teraz.

Zsunąwszy obcasy, patrzył prosto w twarz Settembriniemu.

Tym razem była to walka.

Hans Castorp był pewny siebie.

Wpływy, dosięgające go z pobliza, umacniały go.

Tu miał przed sobą pedagoga, a tam na dworze była owa wąskooka kobieta.

Nawet nie przeprosił za to co powiedział; nie dodał: "Niech mi pan tego nie Weźmie za złe". I

Odrzekł: - W takim razie jest pan ostrożniejszy w stosunku do siebie samego niż do innych ludzi!

Pan nie zlekceważył zakazu lekarza, nie pojechał pan na zjazd postępowców do Barcelony, pan bał się śmierci i pozostał tutaj.

Słowa te zachwiały do pewnego stopnia pozę pana Settembriniego.

Uśmiechnął się nie bez trudu i odezwał: - Umiem cenić ciętą odpowiedź, chociaż pańska logika trąci sofisteryą.

Mierzi mnie ten wstrętny, a tak częsty tutaj wyścig i nie chcę w nim brać udziału, inaczej odpowiedziałbym panu, że jestem o wiele bardziej chory niż pan - niestety, rzeczywiście tak bardzo chory, że niezupełnie szczerze i z pewną dozą oszukiwania siebie samego oddaję się nadziei, iż kiedykolwiek będę mógł opuścić tę miejscowość i powrócić do życia na dole.

Z chwilą kiedy żywienie tej nadziei okaże się czymś zgoła niewłaściwym, opuszczę ten zakład i na koniec moich dni poszukam sobie jakiegoś prywatnego mieszkania gdzieś w dolinie.

Smutne to będzie, ale ponieważ praca moja obraca się w najbardziej oderwanej i umysłowej sferze, nic mi nie przeszkodzi aż do ostatniego tchnienia służyć sprawie ludzkości i stawiać czoło duchowi choroby.

Zwróciłem już panu uwagę na różnicę zachodzącą pod tym względem między nami.

Pan nie jest człowiekiem, który potrafiłby zachować tutaj najlepszą część swej istoty, spostrzegłem to podczas naszego pierwszego spotkania.

Pan mi zarzuca, że nie pojechałem do Barcelony.

Usłuchałem zakazu, ażeby nie ulec przedwczesnej zagładzie.

Ale uczyniłem to ze stanowczym zastrzeżeniem, z najdumniejszym i najboleśniejszym protestem mego ducha przeciwko dyktatowi mego nędznego ciała.

Czy i w panu budzi się ten protest, kiedy pan poddaje się przepisom tutejszej władzy - czy nie jest pan raczej posłuszny, chętnie posłuszny swojemu ciału i jego złym skłonnościom...

- Cóż pan ma przeciwko ciału?

- przerwał porywczo Hans Castorp i spojrzał na Włocha szeroko otwartymi niebieskimi oczami, których białka poprzerzynane były czerwonymi żyłkami.

Jego szalona odwaga przyprawiała go o zawrót głowy, i można było to poznać po nim.

"O czymże ja mówię?

- Pomyślał.

- To się staje potworne.

Ale skoro podjąłem walkę z nim, nie zostawię mu, póki się da, ostatniego słowa.

Oczywiście, będzie je miał, ale to nic nie szkodzi, zawsze odniosę z tego jakąś korzyść.

Będę go miał".

- I uzupełnił swój zarzut: Pan przecież jest humanistą?

Więc jak pan może mówić źle o ciele?

Tym razem uśmiech Settembriniego był niewymuszony i pewny siebie.

- "Co pan ma przeciwko analizie"?

- zacytował, przechylając głowę.

- "Czy pan nie lubi analizy"?

- Zawsze pan znajdzie mnie gotowym do uzasadniania owych twierdzeń - rzekł z ukłonem i opuścił przy tym rękę ruchem jakby salutującym - szczególnie jeżeli pańskie zarzuty będą inteligentne.

Pan paruje atak nie bez elegancji.

Humanista - ma się rozumieć, że nim jestem.

Nigdy nie przyłapie mnie pan na skłonnościach do ascezy.

Uznaję, cenię i kocham cielesność tak samo, jak uznaję, cenię i kocham formę, piękno, wolność, radość i używanie - jak jestem obrońcą wiadomości, interesów życia przeciw sentymentalnej przed nim ucieczce obrońcą klasycyzmu przeciw romantyzmowi.

Sądzę, że moje stanowisko jest jednoznaczne.

Istnieje jednak pewna siła, pewna zasada, dla której żywię największe uznanie, najwyższy szacunek i najgłębszą miłość, a tą siłą, tą zasadą jest duch.

Jakkolwiek nie znoszę wygrywania przeciwko ciału owego podejrzanego, mdłego wytworu wyobraźni i księżycowego upióra, któremu nadaje się miano duszy, to jednak kiedy chodzi o antytezę ciała i ducha, ciało stanowi pierwiastek szatański, bo ciało jest naturą, a natura - powtarzam: w ramach swego przeciwieństwa do ducha, do rozumu, jest zła, mistyczna i zła.

"Pan jest humanistą"!

Owszem, jestem nim bezsprzecznie, bo jestem przyjacielem człowieka, jak nim był Prometeusz, miłośnik ludzkości i tego, co w niej szlachetne.

Ale ta szlachetność jest cechą ducha, rozumu, i dlatego całkiem daremnie będzie pan wysuwał zarzut chrześcijańskiego obskurantyzmu...

Hans Castorp zaprzeczył.

- ...Całkiem daremnie - obstawał przy swoim Settembrini - będzie pan podnosił ten zarzut, jeżeli kiedyś szlachetna duma humanizmu nauczy ludzi, że poniżeniem i urągowaniem jest uzależnianie ducha od strony cielesnej, od natury.

Czy wie pan, że wielki Platon miał się kiedyś wyrazić, iż wstydzi się, że posiada ciało?

- zapytał Settembrini i tak poważnie domagał się odpowiedzi, że Hans Castorp musiał wyznać, iż słyszy o tym po raz pierwszy.

- Porfiriusz przekazał nam te słowa.

Absurdalne jeżeli pan chce.

Ale absurdalność jest wyrazem szlachetności ducha i nie ma właściwie nic żałośniejszego niż zarzut absurdalności tam, gdzie duch wbrew naturze dąży do utrzymania swej godności i nie chce się jej wyrzec...

Czy słyszał pan o trzęsieniu ziemi w Lizbonie?

- Nie - trzęsienie ziemi?

Nie czytuję tu gazet...

- Pan mnie źle rozumie.

Nawiasem mówiąc, szkoda, że pan nie czytuje tu dzienników, ale to jest charakterystyczne dla tej miejscowości.

Otóż pan mnie źle rozumie; katastrofa, o której mówię, nie jest aktualna, zdarzyła się mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu...

- Ach tak!

Niech pan zaczeka - prawda!

Czytałem, że Goethe w Weimarze powiedział wtedy w nocy, w swojej sypialni, do służącego...

- Ach, nie o tym chciałem mówić - przerwał mu Settembrini, przymknąwszy oczy i machając w powietrzu swoją drobną, opaloną dłonią.

- Poza tym pomieszał pan kataklizmy.

Pan myśli o trzęsieniu ziemi w Mesynie, a ja mówię o trzęsieniu, które nawiedziło Lizbonę w 1755

roku.

- Przepraszam pana.

- Tak więc, Wolter oburzał się na to.

- To znaczy...

jak?

Oburzał się?

- Tak jest, powstawał przeciwko temu.

Nie godził się na ten brutalny fakt i na fatum, nie chciał przed nimi kapitulować.

W imię ducha i rozumu zaprotestował przeciwko temu skandalicznemu wybrykowi natury, który zburzył trzy ćwierci kwitnącego miasta i pociągnął za sobą tysiące ofiar w ludziach...

Pan jest zdumiony?

Pan się uśmiecha?

Niechże pan się dziwi, ale co się tyczy uśmiechu, to pozwalam sobie zabronić go panu!

Stanowisko Woltera było stanowiskiem prawdziwego potomka owych Galów, którzy wypuszczali strzały

przeciw niebu...

Widzi pan, inżynierze, że ma pan przykład wrogości ducha wobec natury, jego dumnej nieufności wobec

niej, tu widzi pan, jak się broni swego prawa do krytykowania natury i jej niszczącej, przeciwnej rozumowi

potęgi...

Bo ona jest potęgą, a trzeba być niewolnikiem, aby się poddawać potędze, godzić się na nią... chcę powiedzieć: wewnątrz na nią się godzić.

Ale ma pan tu też to stanowisko humanistyczne, które nie wikła się w żadne sprzeczności i nie popada z

powrotem w hipokryzję Chrześcijaństwa, kiedy ma odwagę widzieć w ciele element zły i antagonistyczny. Sprzeczność, jaką pan pozornie dostrzega, jest w gruncie rzeczy zawsze jedna i ta sama.

"Co pan ma przeciwko analizie"?

Nic...

Jeżeli ma służyć pouczeniu, wyzwalaniu i postępowi, fszystko...

jeżeli trąci wstrętnym, grobowym posmakiem rozkładu.

Z ciałem ma się rzecz nie inaczej, należy je szanować i bronić go, kiedy chodzi o jego emancypację i piękno,

o wolność zmysłów, o szczęście, o rozkosz.

Ale trzeba nim gardzić, jeżeli przeciwstawia się dążeniu do światła jako pierwiastek szybkości i bezwładności, odwracać się od niego ze wstrętem, jeżeli reprezentuje zasadę choroby i śmierci, jeżeli jest

przepojone duchem przewrotności, duchem zgnilizny, rozpusty i hańby...

Stojąc tuż obok Hansa Castorpa, Settembrini wypowiedział ostatnie słowa głosem prawie bezdźwięcznym i

bardzo szybko, śpieszył się, aby dokończyć, lecz odsiecz dla Hansa Castorpa zbliżała się: do czytelnika szedł

Joachim z dwiema kartkami pocztowymi w ręku; literat zamilkł, a zręczność, z jaką rysy jego twarzy przyjęły nagle wyraz towarzyskiej lekkości, nie Pozostała bez wrażenia na jego uczniu - jeżeli można

tak

nazwać Hansa Castorpa.

- A, jest pan, poruczniku!

Pan pewnie szuka kuzyna - niech mi pan wybaczy!

Wdaliśmy się tu w rozmowę, a zdaje mi się, że nawet trochę poróżniliśmy się.

Pański kuzyn nieźle rozumuje, umie być nawet niebezpiecznym przeciwnikiem w dyskusji o ile mu na tym

zależy.

Humaniora.

Hans Castorp i Joachim Ziemssen, w białych spodniach i granatowych marynarkach, siedzieli po obiedzie w ogrodzie.

Był to jeszcze jeden z tych wychwalanych dni październikowych, gorący i lekki, uroczysty i cierpki zarazem, z ciemnym jak na południu szafirem nieba nad doliną, w której głębi jaśniały jeszcze świeżą zielenią pastwiska, poprzerzynane drogami i usiane domkami.

Na zjeżonych lasem zboczach dzwięczały dzwonki pasących się krów.

Metaliczne, czyste, muzycznie naiwne tony unosiły się w cichym, rzadkim, przejrzystym powietrzu i pogłębiały uroczysty nastrój panujący na wyżynach.

Obaj kuzyni siedzieli na skraju ogrodu na ławce przed półkolem młodych jodeł.

Miejsce to leżało na północno zachodnim krańcu ogrodzonego, o pięćdziesiąt metrów nad doliną wznoszącego się płaskowzgórza, na którym stało sanatorium "Berghof".

Milczeli.

Hans Castorp palił.

W duchu złościł się na Joachima za to, że nie chciał po obiedzie zostać w towarzystwie na tarasie i pociągnął go wbrew jego woli i chęci w ciszę ogrodu, przed rozpoczęciem poobiedniego werandowania.

Joachim postąpił jak tyo.

Nie byli wszak braćmi syjamskimi, mogli rozchodzić i łączyć się, jeżeli skłonności ciągnęły ich w różne strony: przecież Hans Castorp nie siedział tutaj po to, by dotrzymywać towarzystwa Joachimowi, lecz sam był pacjentem.

Tak, dąsał się, ale mógł to wytrzymać dzięki swojej "Marii Mancini".

Z rękami w kieszeniach marynarki, wyciągnąwszy daleko przed siebie nogi w brązowych bucikach, palił długie, szare, matowe cygaro; trzymał je nie w kąciку ust, lecz w pośrodku warg, tak że nieco zwisało w dół; znajdowało się dopiero w pierwszym stadium palenia, to znaczy że ani razu nie strząsnął jeszcze popiołu z jego tępego końca.

Po sutym posiłku rozkoszował się aromatem który znów w całej pełni odczuwał.

Jeżeli skądinąd zaaklimatyzowanie się jego polegało na przyzwyczajeniu się do tego, że nie może się przyzwyczać - to jednak co się tyczy chemizmu jego żołądka oraz unerwienia jego zbyt suchych i skłonnych do krwawienia błon śluzowych - nastąpiło wreszcie zupełne przystosowanie: niepostrzeżenie, tak że nie mógł śledzić tego procesu, wróciło po upływie sześćdziesięciu pięciu czy siedemdziesięciu dni całkowite zadowolenie fizyczne, które znajdował w owym wysokiej jakości środka podniecającym i roślinnym narkotyku.

Cieszył się tą odzyskaną zdolnością, a moralna satysfakcja potęgowała rozkosz fizyczną.

Przez czas leżenia w łóżku obchodził się oszczędnie z zapasem dwustu sztuk, które przywiózł z sobą; pozostała mu więc jeszcze pewna ilość.

Mimo to napisał do panny Schalleen, prosząc o przysłanie mu wraz z bielizną i zimowymi rzeczami

pięciuset sztuk ulubionego bremeńskiego towaru, aby się zaopatrzyć na dłuższy czas. Były to pięknie lakierowane skrzyneczki, na których wśród bogatych złocen widniał globus, rozmaite medale i budynek wystawowy z powiewającymi na dachu chorągwiemi. Gdy tak siedzieli milcząc, nadszedł nagle z głębi ogrodu radca Behrens. Brał tego dnia udział w ogólnym obiedzie, i przy stole pani Salomon można było zobaczyć, jak spletał przed talerzem swe olbrzymie dłonie. Potem zapewne był na tarasie, nawiązywał rozmowy na tematy osobiste i prawdopodobnie pokazywał sztukę ze sznurowadłami od bucików komuś, kto jej jeszcze nie znał. Teraz wolnym krokiem zbliżał się wysypaną zwirem aleją, bez lekarskiego chałata, w zakiecie w drobną kratkę, w sztywnym kapeluszu zsuniętym na tył głowy; i on również trzymał w ustach cygaro, bardzo ciemne, i ciągnął z niego wielkie kłęby białawego dymu. Głowa Behrensa, jego twarz o sinych, pałających policzkach, perkatym nosie, wilgotnych niebieskich oczach i uniesionym w górę wąsiku, wydawała się drobna w stosunku do wysokiej, lekko pochylonej, jakby uginającej się postaci i do olbrzymich rozmiarów jego rąk i nóg. Był zdenerwowany i wyraźnie drgnął na widok obu młodych ludzi. Zdawało się nawet, że zmieszał się, gdy wypadło mu przystanąć. Jednakże przywitał się z nimi jak zwykle swobodnie i nie bez zwyczajnych krotocwilnych zwrotów, w rodzaju: "Patrz tam, patrz - Tymoteuszu"...

Życzył im pomyślnej przemiany materii i nie pozwolił wstać, gdy uprzejmie chcieli się zerwać z ławki.

Dajcie spokój, dajcie spokój, panowie!  
Tylko bez ceremonii względem mnie, prostego człowieka!  
Mnie się nic nie należy, zwłaszcza że obaj jesteście moimi pacjentami.  
Nie trzeba, nie trzeba!  
Dobrze jest tak, jak jest!  
- I stanął przed nimi z cygarem między wskazującym i środkowym palcem swej olbrzymiej prawicy. Jak panu smakuje ten zwitek ziela, Castorp?  
Proszę mi go pokazać, jestem znawcą i miłośnikiem cygar.  
Popiół jest piękny; cóż to za brunatna piękność?  
"Maria Mancini", Postre de Banquett z Bremy.  
Chyba jest bardzo droga.  
Nie, radco.  
Kosztuje bardzo niewiele, nic prawie, dziewiętnaście fenigów, ale ma aromat, jaki się rzadko zdarza u cygar w tej cenie.  
Sumatra-Havana, ma najdelikatniejsze listki, jak pan widzi.  
Przyzwyczyłaś się do niej bardzo.  
Jest to półpełna pikantna mieszanina, ale nie szczypie w język.  
Można długo zostawiać popiół, toteż strząsam go najwyżej dwa razy.  
Ma ona rozumie się, swoje humorki, ale kontrola przy fabrykacji musi być bardzo staranna, bo można w zupełności polegać na właściwościach "Marii"; spala sie bardzo równomiernie.  
Czy wolno pana poczęstować?  
- Dziękuję, możemy się raz zamienić?  
- I wyjęli swoje cygarnice.  
- Rasowe - powiedział radca dworu, podając cygaro swojej marki.  
- Posiada temperament, soczystość i moc - to "Sant Felix-Brasil"; wie pan?



Zawsze tylko takie mi smakowały.

Umie niezawodnie odpędzać troski, piecze jak wódka, zwłaszcza ku końcowi ma w sobie coś ognistego!

Zalecam jednak pewną wstrzemięźliwość w obcowaniu, nie można zapalać jednego od drugiego, bo to przechodzi siły mężczyzny.

Ale wolę raz dziennie taki porządny kąsek niż przez cały dzień tylko parę wodną...

Kręcili w palcach i oglądali ze znanstwem zamienione podarki, których wysmukłe ciała ze skośnymi, równo przebiegającymi żebrami zwiniętych, tu i ówdzie lekko odstających liści, z żyłkami, które zdawały się pulsować, z drobnymi nierównościami skóry, z grą światła na płaszczyznach i krawędziach, miały w sobie coś z żywej, organicznej istoty.

Hans Castorp dał wyraz tej myśli: - Takie cygaro żyje!

Po prostu oddycha!

Pewnego razu w domu wpadło mi na myśl schować "Marię Mancini" do szczelnie zamkniętego blaszanego pudełka, aby ją uchronić od wilgoci.

Czy pan uwierzy, że umarła!

Zginęła, umarła w przeciągu tygodnia.

Znalazłem w pudełku wyschnięte zwłoki.

I zaczęli obaj rozvodzić się nad tym, jak najlepiej przechowywać cygara, zwłaszcza importowane.

Doktor lubił importowane i byłby najchętniej palił mocne hawańskie.

Niestety, nie znosi ich, i kiedy w towarzystwie wypalił dwa małe "Henry Clays", mało go do grobu nie wpędziły.

- Palę je sobie beztrąsko przy czarnej kawie - opowiadał radca Behrens - jedno po drugim.

Ale gdy je skończyłem, poczułem nagle, że mi jest jakoś dziwnie!

Tak dziwnie, jak jeszcze nigdy w życiu!

Okazuje się, że dostać się do domu to niełatwa sprawa, a kiedy się tam znalazłem, to dopiero zdałem sobie sprawę, że coś niesamowitego się ze mną dzieje: nogi jak lód, wie pan, zimny pot na całym ciele, twarz biała jak chusta, serce - w stanie okropnym, puls, to nitkowaty, ledwie wyczuwalny, to znów pędzi na łeb, na szyję, na złamanie karku, rozumie pan, a w mózgu zamęt...

Byłem pewny, że galopuję na tamten świat...

Mówię "galopuję", bo wyraz ten nasunął mi się wówczas, że dobrze maluje mój ówczesny stan. Właściwie było mi wtedy i miło, i uroczyście zarazem, chociaż szalenie się bałem - właściwie zamieniłem się cały w strach...

Ale strach i uroczyście nastrój nie wyłączają się, o tym wie każdy smarkacz, który po raz pierwszy ma posiąść dziewczynę, także odczuwa strach, i ona również, a przy tym oboje rozplývają się z rozkoszy.

No!

i ja wówczas czułem, że się rozplývam, że z falującą piersią galopuję na tamten Świat.

Ale panna Mylendonk swymi zabiegami wyciągnęła mnie z tych oparów; kompresy z lodu, nacierania szczotką, zastrzyk z kamfory uratowały mnie dla ludzkości.

Hans Castorp, siedząc w charakterze pacjenta, z miną świadcząca o odbywającej się w nim pracy umysłowej, patrzył na Behrensa, którego niebieskie i wyPukłe oczy podczas opowiadania napelniły się łzami.

Nagle zapytał: - Wszak pan maluje czasem, panie radco?

doktor udał zdumienie, cofając się w tył.

No, no!

Młodzieńcze!

Co też pan wygaduje?

Przepraszam, ale coś takiego słyszałem kiedyś mimochodem i teraz sobie to przypominałem. No, to nie będę się zapierał.

Tak, tak, wszyscy mamy swoje słabości.

Coś takiego przytrafiło mi Sie Anchio sono pittore, jak mówił ów Hiszpan.

(Anchio sono pittore: włoskie - Ja także jestem malarzem - słowa malarza włoskiego Correggia /1534/ na widok Rafaelowskiej "Świętej Cecylii").

- Pejzaże?

- spytał Hans Castorp krótko i jakby protekcyjnie.

Okoliczności wywołały ten jego ton.

- Wszystko, co pan chce - odpowiedział radca z miną na poły zmieszaną, na poły dumną.

- Pejzaże, zwierzęta, martwe natury...

Prawdziwy mężczyzna niczego w ogóle się nie ulęknie.

- Ale nie portrety?

- Owszem i portret mi się nieraz przytrafił.

Czy pan chce u mnie swoją podobiznę zamówić?

- Cha!

Cha!

nie!

Ale byłby pan radca bardzo uprzejmy, gdyby zechciał nam przy sposobności pokazać swoje obrazy. Joachim, popatrzwszy ze zdumieniem na kuzyna, zapewnił spiesznie radcę Behrensa, że byłoby to nader uprzejmie z jego strony.

Behrens był zachwycony, prośba Castorpa schlebiała mu w najwyższym stopniu; zarumienił się nawet z radości i zdawało się, że łzy popłyną mu tym razem z oczu.

- Ależ z miłą chęcią!

- zawołał - ależ z największą przyjemnością!

Może zaraz, jeżeli panowie sobie życzą?

Proszę, proszę ze mną, zrobię panom kawę po turecku w mojej budzie!

- I wziął obu młodych ludzi pod ramiona, podniósł ich z ławki, i uwieszony między nimi poprowadził ich ścieżką wysypaną żwirem ku swemu mieszkaniu, które znajdowało się, jak o tym wiedzieli, w pobliskim, północno zachodnim skrzydle sanatorium.

- Ja sam dawniej od czasu do czasu próbowałem malarstwa - odezwał się Hans Castorp.

- Rzeczywiście?

i to poważnie?

olejnymi farbami?

- Ach, nie!

udało mi się co najwyżej namalować czasem akwarelkę...

jakiś okręcik, kawałek morza, takie sobie dzieciństwa.

Ale lubię bardzo oglądać obrazy i dlatego pozwoliłem sobie...

I To wyjaśnienie uspokoiło poniekąd Joachima i było dlań wyjaśnieniem zastanawiającej ciekawości kuzyna.

Bardziej też dla niego niżli dla radcy Behrensa wspomniął Hans Castorp o swoich artystycznych zabawach.

Stanęli u celu.

Nie było tu wspaniałego portalu z latarniami po obu stronach jak na froncie; kilka zaokrąglonych schodków wiodło do dębowych drzwi wejściowych, które radca Behrens otworzył kluczem, wybranym z pokaźnego pęku; ręka jego lekko drżała - był widocznie zdenerwowany.

Weszli do przedsionka urządzonego jak szatnia, gdzie pan radca powiesił na kołku swój sztywny kapelusz.

Wewnątrz, po obu stronach małego korytarza, odgradzonego od głównej części budynku za pomocą szklanych drzwi, znajdowały się drzwi prowadzące do niewielkiego prywatnego mieszkania.

Pan radca Behrens zawołał służącą, wydał jej polecenia, a potem wprowadził swych gości przez drzwi na prawo, zapraszając ich jowialnymi i uprzejmymi słowami.

Kilka pokoiów w amfiladzie, umeblowanych po mieszczańsku, banalnie, oddzielonych od siebie nie drzwiami, lecz portierami, znajdowało się od frontu; okna ich wychodziły na dolinę: "staroniemiecki" pokój stołowy, gabinet a zarazem bawialny, z miękkimi dywanami, biblioteką, kanapą i biurkiem, nad którym wisiała studencka czapka i para skrzyżowanych szpad, i wreszcie pokój do palenia, urządzonego po "turecku".

Wszędzie wisiały obrazy malowane przez radcę Behrensa, na które wnet skierowały się oczy wchodzących gości, gotowych do uprzejmego wyrażenia podziwu.

Widziało się tu przede wszystkim kilka olejnych portretów zmarłej małżonki doktora - i fotografię jej na biurku.

Była to powiewnie ubrana, nieco zagadkowa blondynka, z rękami lekko splecionymi na lewym ramieniu i to nie mocno splecionymi, lecz tylko tak, że palce lekko zachodziły na siebie; oczy jej spoglądały bądź w niebo, bądź kryły się też pod długimi i wywiniętymi rzęsami, nie patrzyły jednak nigdy wprost na widza.

Poza tym uwzględnione były przeważnie motywy górskie, góry w śniegu, i w zieleni świerków, góry w oparach wyżynnych i znowu góry, których twarde i ostre kontury pod wpływem Segantinięgo wrzynały się ostro w ciemnoniebieskie niebo.

Były tam dalej szalasy, krowy ze zwisającym podgardlem, stojące lub leżące na słonecznych łąkach, oskubane kurczę, którego wykręcona szyja zwieszała się pośród jarzyn ze stołu, kwiaty, chaty góralskie i inne jeszcze obrazy - wszystko malowane ze swobodnym dyletantyzmem, śmiałymi plamami farb, które często wyglądały jakby wyciśnięte bezpośrednio z tuby na płótno i które chyba długo musiały schnąć; mimo dużych błędów robiło to czasem wrażenie.

Oglądając obrazy, jak w jakiejś galerii, młodzieńcy szli wzdłuż ścian, a gospodarz postępował za nimi, objaśniając od czasu do czasu motyw obrazu, przeważnie jednak w milczeniu, z dumnym zakłopotaniem artysty wodził wraz z obcymi wzrokiem po swych dziełach.

Portret Kławdii Chauchat wisiał w bawialnym pokoju, na ścianie pomiędzy oknami.

Już wchodząc, odkrył go Hans Castorp szybkim spojrzeniem, aczkolwiek podobieństwo było bardzo nikłe.

Umyślnie omijał to miejsce: zatrzymywał swych towarzyszy w jadalni, gdzie udawał, że podziwia zielony pejzaż doliny Sertig z niebieskawymi lodowcami w głębi, skrzył potem z własnej inicjatywy do tureckiego gabinetu, który, rozwodząc się w pochwałach, również szczegółowo zwiedził, obejrzał następnie w pokoju bawialnym ścianę przy drzwiach wejściowych, wzywając od czasu do czasu Joachima, by dał wyraz swemu uznaniu; wreszcie obrócił się i rzekł ze zdziwieniem - z umiarkowanym zdziwieniem: - To przecież jakaś znajoma twarz?

- Poznaje ją pan?

- zainteresował się Behrens.

- Zdaje mi się, chyba się nie myłę.

To ta pani siedząca przy lepszym stole rosyjskim, o francuskim imieniu.

- W samej rzeczy, pani Chauchat.

Cieszę się, że pan dostrzega podobieństwo.

- Do złudzenia - kłamał Hans Castorp, a słowa te podyktowała mu nie tyle obłuda, ile raczej świadomość, że gdyby wszystko szło normalnym torem, nie powinien był właściwie wcale poznać, kto do obrazu pozował; tak właśnie rzecz się miała z Joachimem, który nigdy sam nie domyśliłby się tego, z tym poczciwym oszukany Joachimem, któremu nagle zabłysło światło prawdy, prawdziwe jej światło, po tym fałszywym, którego snop rzucił przedtem na sprawę jego kuzyn.

- Ach, tak - powiedział po cichu i zaczął również przypatrywać się obrazowi.

Hans Castorp umiał znaleźć sobie odszkodowanie za ich nieobecność pośród towarzystwa na werandzie! Był to portret trochę mniej niż naturalnej wielkości, ograniczony do popiersia.

Dama, widziana nie z profilu, była wydekoltowana, a piersi jej i ramiona spowijał gazowy woal. Obraz ujęty był w szeroką czarną ramę, skośnie opadającą ku wnętrzu i zdobioną od strony płótna złotą listwą.

Pani Chauchat wyglądała na portrecie o dziesięć lat starzej niż w rzeczywistości, jak to bywa na dyletanckich portretach, kiedy usiłują być charakterystyczne.

Twarz była zanadto czerwona, nos silnie zniekształcony, włosy zupełnie niepodobne, koloru Komy, usta skrzywione; szczególny urok tej twarzy nie był podpatrzony albo może nie był wydobyty ani uchwycony skutkiem zbytniego podkreślenia tych Momentów, z których płynął - całość po prostu faszerywana i w znikomym tylko stopniu podobna do modelu.

Ale Hans Castorp nie zaprzętał sobie zbytnio głowy podobieństwem; stosunek tego płótna do osoby pani Chauchat był dla niego wystarczająco bliski; portret miał wyobrażać panią Chauchat, a sama pozowała w tym mieszkaniu i to mu wystarczało.

Powtarzał wzruszony: - Jak żywa!

- Niech pan tego nie mówi!

- bronił się radca Behrens - to był niemały kawał roboty; nie wmawiam sobie wcale, że mi się udało, chociaż mieliśmy ze dwadzieścia seansów!

Jak to można dojść do ładu z tak cholerną twarzą?

Zdawałoby się, że jest łatwa do uchwycenia z tymi swoimi hiperborejskimi kośćmi policzkowymi i oczami jak szpary w pękającym cieście drożdżowym!

Tak, tak, jest coś w tym!

Jeżeli się zwraca uwagę na szczegóły, zatraca się całość.

Prawdziwy rebus!

Czy zna ją pan?

Może nie należałoby jej malować z natury, ale z pamięci.

Ale czy pan ją zna?

- Tak, nie, przelotnie, jak się tutaj zna ludzi...

- No, co do mnie, to znam ją raczej od strony wnętrza, podskórną, rozumie pan?

Znam jej ciśnienie krwi, napięcie tkanek i obieg limfy - to jest mi nieźle znane, z pewnych powodów. Jej zewnętrzna strona natomiast nastrocza większe trudności.

Czy pan widział już kiedy, jak ona chodzi?

Wyraz twarzy odpowiada jej skradającemu się krokowi.

Niech pan weźmie na przykład jej oczy - nie mówię o barwie, która też właściwie jest zdradliwa, ale mam na myśli oprawę, wykrój.

Pan powie, że powieki jej są skośne, ale to się tylko panu wydaje.

Pan się myli, bo chodzi tu o fałd nakątny, epicanthus, to znaczy pewną odmianę, jaką się u niektórych nie ras spotyka, a która polega na tym, że fałd skóry, przechodzący u tych ludzi z płaskiego siodełka nosowego na powiekę, opada na wewnętrzny kącik oka.

Pociągnij pan ten fałd w górę, ponad nasadę nosa, a będzie pan miał oko jak u każdego z nas.

Jest to pewnego rodzaju pikantna mistyfikacja, zresztą niezbyt zaszczytna, bo, prawdę powiedziawszy, wskazuje na pewne atawistyczne zahamowanie rozwojowe.

- Więc to tak się rzecz ma - powiedział Hans Castorp - nie wiedziałem o tym, a od dawna już zaciekawiało mnie, na czym polega charakterystyczny wyraz takich oczu.

Złudzenie!

Iluzja!

- podkreślił raz jeszcze radca Behrens.

- Jeżeli narysujesz je pan po prostu jako skośne szpary, to jesteś zgubiony.

Musi pan tę skośność uzyskać w ten sam sposób, w jaki ją natura tworzyła, musi pan uprawiać, że tak powiem, złudzenie w złudzeniu, a do tego trzeba, aby pan wiedział, co to jest fałd nakątny, czyli epicanthus.

Zresztą wiedzieć nigdy nie zawadzi.

Niech pan przypatrzy się tej skórze, tej cielesnej powłoce.

Czy to jest dostatecznie naoczne, czy też nie bardzo?

Jak pan sądzi?

Nadzwyczajnie - odparł Hans Castorp - jest z nadzwyczajną naocznością oddane.

Zdaje mi się, że jeszcze nigdy nie widziałem tak świetnie namalowanej skóry.

Widzi się wprost pory.

- I brzegiem ręki przesunął lekko po dekolcie, który intensywną białością odcinał się od przesadnie różowej twarzy, jak to bywa z częścią ciała nie wystawioną na działanie światła.

Podkreślało to, celowo czy przypadkiem, wrażenie nagości, co było w każdym razie dość płaskim efektem.

Mimo to pochwała Hansa Castorpa była uzasadniona.

Matowo połyskująca białosc tego delikatnego, ale nie chudego biustu, który ginął w draperii blado niebieskiej gazy, była bardzo prawdziwa; widocznie malowano ją z zapalem i, abstrahując od pewnego przesłodzenia, artysta potrafił jej nadać piętno jakby naukowej realności i drobiazgowej dokładności.

Posłużył się chropowatością płótna, ażeby spoza pokładu białej farby czyniła wrażenie rzeczywistej nierówności skóry, zwłaszcza w okolicach lekko wystających obojczyków.

Nie uszła jego uwagi plamka wątrobiana na lewo od miejsca, gdzie pierś się dzieli, a pomiędzy wypukłościami zdawała się przeświecać delikatna, bladoniebieska siatka naczyń krwionośnych. Miało się wrażenie, że pod spojrzeniem widza ledwie dostrzegalny zmysłowy dreszcz przebiega tę nagość, i - co jest może powiedzeniem nieco śmiałym - można sobie było wyobrażać, że czuje się perspirację, niewidoczny opar tego żyjącego organizmu, i że gdyby czyjeś usta do niego przywarły, nie poczułyby zapachu farby i pokostu, lecz zapach żywego ludzkiego ciała.

Mówiąc to wszystko, zdajemy tylko sprawę z wrażeń Hansa Castorpa.

Ale chociaż jego gotowość do odbierania tego rodzaju wrażeń była szczególnie silna, to jednak należy rzeczowo stwierdzić, że dekolt pani Chauchat był bezwzględnie najlepszym malarskim osiągnięciem pośród obrazów zebranych w tym pokoju.

Radca Behrens, z rękami w kieszeniach, wznosił się na palcach i opadał na pięty i kołysząc się w ten sposób przyglądał się wraz z gośćmi swojej robocie.

- Cieszy mnie, panie kolego - rzekł - cieszy mnie, że pan to uchwycił.

Dobrze to jest i wcale nie szkodzi, kiedy się wie coś więcej, niż widać na naskórku, i można namalować także i to, co niewidoczne dla oka.

Innymi słowy, dobrze jest, jeżeli się nie pozostaje do natury w stosunku li tylko lirycznym, powiedzmy, ale jest się ubocznie np.

lekarzem, fizjologiem, anatomem, i wie się coś niecoś o tym, co się znajduje pod spodem.

To może się przydać, niech pan mówi, co pan chce, to jest pewnym plusem.

Ta oto powłoka ciała dowodzi prawdziwej wiedzy, może to pan sprawdzić za pomocą mikroskopu.

Tu widzi pan nie tylko żywe i zrogowaciałe części naskórka, ale może się też pan domyślać skóry właściwej, z jej gruczołami łojowymi i potowymi, naczyniami krwionośnymi, brodawkami, a głębiej jeszcze warstwy tłuszczowej, podściółki...

rozumie pan, która za pomocą wielkiej ilości komórek tłuszczowych wytwarza owe rozkoszne formy kobiecego ciała.

To, co się wie i o czym się myśli, to wyraża się także, to spływa w palce, i to właśnie daje odpowiednią naoczność.

Hans Castorp zapalił się niesłuchanie do tej rozmowy; czoło jego zaróżowiło się, oczy błyszczały, nie wiedział, co ma odpowiedzieć, bo zbyt wiele miał do powiedzenia.

Przede wszystkim chciał zdjąć obraz z niedostatecznie oświetlonej ściany między oknami i przenieść go na lepsze miejsce, po wtóre pragnął nawiązać do wywodów radcy Behrensa o naturze skóry, które go niesłuchanie interesowały, wreszcie sam miał ochotę wypowiedzieć pewien swój Ciasny, ogólny i filozoficzny pogląd, który mu również w najwyższym stopniu leżał na sercu.

Zbliżając już ręce do portretu, by go zdjąć, zaczął spieszenie mówić: -Tak!

tak!

słusznie!

to bardzo ważne.

Chciałbym dowiedzieć się...

To znaczy, pan radca wyraził się: "nie w stosunku li tylko lirycznym"; byłoby dobrze, żeby oprócz lirycznego - tak pan, zdaje się, mówił - oprócz artystycznego stosunku do natury, zachodził jeszcze jakiś inny stosunek, by sprawę, krótko mówiąc ujmowano z innego jeszcze punktu widzenia, na przykład z lekarskiego?

To jest nadzwyczaj trafne!

Ale przepraszam, panie radco, ja sądzę, że jest to dlatego tak niezwykle słuszne, iż tu właściwie nie chodzi wcale o różne stosunki ani o rozmaite punkty widzenia, ale w gruncie rzeczy zawsze o jedno i to samo, tylko o różne odmiany, różne, że tak powiem, odcienie, więc różne, że tak powiem, warianty tego samego zainteresowania; artystyczne podejście jest tylko jego częścią albo jednym ze sposobów wyrażenia go, jeśli tak wolno powiedzieć.

Tak, przepraszam pana, postawię portret gdzie indziej, tu nie ma absolutnie żadnego światła, pan zobaczy, postawię go przy kanapie, czy też tu nie będzie zupełnie inaczej...

Cóż to chciałem powiedzieć?

Czymże to zajmuje się wiedza lekarska?

Oczywiście, nie rozumiem się na niej, ale wszak zajmuje się człowiekiem.

A prawo, prawodawstwo i sądownictwo?

Także człowiekiem.

I lingwistyka, z którą przecież przeważnie złączony jest zawód pedagogiczny?

A teologia i duszpasterstwo?

Wszystko to zajmuje się człowiekiem, wszystko to są tylko odmiany jednego i tego samego ważnego...

głównego zainteresowania: człowiekiem.

To są, jednym słowem, humanistyczne zawody, a jeżeli chce się je studiować, trzeba jako podstawy uczyć się przede wszystkim starożytnych języków, nieprawdaż?

Ze względu na formalne wykształcenie, jak się to utrzymuje.

Pan się zapewne dziwi, że tak mówię, ja jestem przecież tylko realistą, technikiem.

Ale w ostatnich czasach, leżąc w łóżku, myślałem znowu o tym wszystkim; to doskonałe, to doskonałe urządzenie świata, że każdej odmianie humanistycznego zawodu dajemy jako podstawę element formalny ideę formy, pięknej formy, rozumie pan...

to wprowadza do tych przedmiotów coś szlachetnego i zbytecznego, coś, co ma związek z uczuciem... z dwornością.

Zainteresowanie staje się czymś w rodzaju miłosnych zalotów...

To znaczy...

najprawdopodobniej wyrażam się niestosownie, ale widać tu, jak łączą się z sobą pierwiastek duchowy i piękno, które właściwie zawsze już stanowiły jedność - innymi słowy: nauka i sztuka, i dlatego zajęcie artysty należy bezsprzecznie do tej samej grupy - stanowi poniekąd piąty fakultet - jest niczym innym jak tylko zawodem humanistycznym, odmianą humanistycznego zainteresowania.

Bo jego najważniejszym tematem jest przecież znowu także człowiek, wszak pan temu nie przeczy?

Malowałem tylko okręty i wodę, gdy w młodości mej chwyciłem za pędzel i farby, ale najbardziej pociągającym rodzajem malarstwa jest stanowczo, moim zdaniem, portret, bo jego bezpośrednim przedmiotem jest człowiek, dlatego zaraz pytałem pana, panie radco, czy pan i w tym kierunku nie próbował swych sił?

Czy nie byłoby dużo lepiej powiesić go tutaj?...

Obaj, zarówno Behrens, jak i Joachim, patrzyli na niego, czy nie wstydzi się tego wszystkiego, co tu właśnie zaimprovizował.

Ale Hans Castorp za bardzo był przejęty, aby czuć się zmieszanym.

Trzymał obraz przy ścianie nad kanapą i czekał na odpowiedź, czy w tym miejscu światło nie jest daleko lepsze.

W tej samej chwili służąca przyniosła na tacy gorącą wodę, maszynkę spirytusową i filiżanki do czarnej kawy.

Radca Behrens skierował ją do gabinetu i Powiedział: - W takim razie powinien pan właściwie interesować

się nie tyle malarstwem, ile przede wszystkim rzeźbą...

Słusznie, tutaj ma, rozumie się, więcej światła.

Jeżeli pan sądzi, że zniesie go tyle...

Plastyką, myślę, bo ona w sposób najczystszy i najbardziej wyłączny zajmuje się na ogół człowiekiem. Ale, panowie, woda nam wykipi...

- Plastyka jest najprawdziwszą sztuką - rzekł Hans Castorp; przechodząc do sąsiedniego pokoju zapomniał

powiesić obraz albo go postawić, wziął go ze sobą i niósł przy sobie do drugiego pokoju.

- Zapewne, taka grecka Wenus lub taki atleta, tam pierwiastek humanistyczny występuje najwyraźniej, to

jest w gruncie rzeczy najprawdziwsza, najbardziej humanistyczna odmiana sztuki, jeśli się nad tym zastanowić.

- Hm, co się tyczy małej Chauchat - zauważył radca Behrens - to jest ona raczej tematem dla malarza; Fidiusz czy ten drugi, z żydowską końcówką nazwiska, kręciliby nosem nad rodzajem jej fizjonomii... (Mowa tu o Praksytelesie, rzeźbiarzu ateńskim, urodzonym około roku 390 przed naszą erą). Co pan robi, gdzie pan ciągnie ten kawał mięsa?

- Przepraszam, oprę to tymczasem tutaj o nogę tego krzesła, chwilowo stoi tu zupełnie dobrze. Greccy plastycy nie przywiązywali jednak wielkiej wagi do głowy, szło im głównie o ciało, może to było

dla nich najbardziej humanistycznym przedmiotem...

Więc kobieca plastyka to tłuszcz?

- Tak, to tłuszcz - powiedział kategorycznie radca Behrens, który otworzył tymczasem ścienną szafę. Wyjął z niej przyrządy do naparzania kawy: turecki młynek w kształcie walca, rondelk do gotowania o

długiej ręczce, podwójne naczynie na cukier i zmieszana kawę - wszystko z mosiądzu.

- Palmityna, fearyna, oleina - powiedział i wsypał trochę kawy z blaszanej puszki do młynka, którego korbką zaczął kręcić.

- Jak widzicie, moi panowie, robię wszystko sam, to smakuje o wiele lepiej.

A czy pan myślał że to ambrozja?

- Nie, sam o tym wiedziałem.

Tylko dziwnie, gdy się to tak słyszy - powiedział Hans Castorp.

Siedzieli w kącie pokoju pomiędzy drzwiami a oknem, przy bambusowym stoliku z mosiężnym blatem o

wschodnich ornamentach; na stoliku stały przyrządy do kawy i utensylia do palenia.

Joachim usiadł obok Behrensa na otomanie, suto wyłożonej jedwabnymi poduszkami, a Hans Castorp w

klubowym fotelu na kółkach, o który oparł portret pani Chauchat.

Pod stopami mieli barwny dywan.

Radca Behrens wsypał łyżeczką kawę i cukier do naczynia o długiej ręczce, nalał w nie wody i zagotował

na spirytusowym płomieniu.

Zapieniły się brunatno pękate filiżaneczki i kawa po skosztowaniu okazała się zarówno mocna, jak słodka.

- Pańska, zresztą, również - rzekł radca Behrens - pańska plastyka, jeżeli można się tak wyrazić, jest naturalnie również tłuszczem, aczkolwiek w mniejszym stopniu niż u kobiet.

Tłuszcz stanowi u nas przeciętnie tylko dwudziestą część wagi ciała, u kobiet szesnastą. Bez tej podskórnej tkanki bylibyśmy tylko pomarszczonymi grzybami.

Zanika ona z wiekiem, a wtedy powstają nieestetyczne zmarszczki.

Najgrubszy i najtłuszciejczy jest ten podkład na kobiecych piersiach i na brzuchu, na udach, słowem wszędzie tam, gdzie znajduje się coś niecoś dla serca i dla ręki.

Także na stopach jest tłusty i łaskotliwy.

Hans Castorp obracał w ręku młynek o kształcie walca.

Był on, zarówno jak i reszta zastawy, raczej indyjskiego albo perskiego niż tureckiego pochodzenia: wskazywał na to styl wyrytych w mosiądzu motywów, których powierzchnie błyszcząły na matowym tle. Hans Castorp przypatrywał się ornamentyce, ale nie natychmiast pojął jej treść.

Gdy zrozumiał, niespodzianie się zarumienił.

- Tak, to przyrząd odpowiedni dla samotnych panów - powiedział Behrens.



- Dlatego trzymam go w zamknięciu, wie pan, aby moja kuchta oczu sobie nie wypatrzyła. Panu to szkody nie przyniesie.

Otrzymałem go kiedyś od pacjentki, od pewnej egipskiej księżniczki, która tu roczek okrążyła bawiła. Widzi pan, ten wzór stale się powtarza.

Zabawne, co?

- Tak, to ciekawe!

- odpowiedział Hans Castorp.

- Nie, na mnie to, naturalnie, nie robi wrażenia.

Można tę rzecz wziąć nawet ze strony poważnej i uroczystej, jeśli się chce, chociaż w takim razie niezupełnie jest ona na miejscu na przyrządzie do gotowania kawy!

Podobno przecież starożytni umieszczali czasem tego rodzaju rysunki na trumnach.

Sprośność i świętość były dla nich poniekąd jednym i tym samym.

- No, co się tyczy egipskiej księżniczki, to, zdaje mi się - rzekł Behrens - że skłaniała się raczej ku pierwszej z nich.

Mam zresztą jeszcze, też od niej, doskonałe papierosy, coś specjalnie dobrego, z którymi wyjeżdżam tylko przy nadzwyczajnych okazjach.

- I wyjął ze ściennej szafy jaskrawo pomalowane pudełko, aby poczęstować gości.

Joachim podziękował stuknięciem obcasów.

Hans Castorp wziął i zapalił niezwykle dużego i grubego papierosa z wyciśniętym na wierzchu złotym sfinksem.

Był rzeczywiście wyśmienity.

Proszę, niech pan nam jeszcze opowie coś o skórze - poprosił - jeżeli chce pan być tak uprzejmy, panie radco!

- Znowu uniósł portret pani Chauchat, postawił go sobie na kolanie i rozparty na fotelu Przypatrywał mu się z papierosem w ustach.

- Niekoniecznie o tkance tłuszczowej, to już wiemy, ale ludzkiej skórze w ogólności, o tej skórze, którą pan tak świetnie umie malować.

O skórze?

Czyż pana zajmuje fizjologia?

Bardzo!

Zawsze mnie to w najwyższym stopniu zajmowało.

Interesowałem się zawsze żywo ludzkim ciałem i nieraz zapytywałem siebie, czy nie powinienem był zostać lekarzem.

Zdaje mi się, że w pewnym sensie nie byłbym zrobił źle!

Bo kogo zajmuje ciało, tego zajmuje również i choroba, nawet specjalnie go ona zajmuje; czyż nie tak?

Zresztą, co tam o tym mówić; mogłem i czym innym przecież zostać, na przykład duchownym!

- Czyżby?

- Ależ tak!

miałem już takie chwile, w których zdawało mi się, że jako duchowny byłbym naprawdę w swoim żywiole.

- Dlaczego więc został pan inżynierem?

- Przypadkiem.

Wpłynęły na to różne zewnętrzne okoliczności.

- A więc o skórze?

Cóż mam panu powiedzieć o tym narządzie zmysłowym.

To jest pański zewnętrzny mózg, rozumie pan?

Ontogenetycznie jest zupełnie tego samego pochodzenia, co ten aparat tu w pańskiej czaszce, przeznaczony dla tak zwanych organów zmysłowych wyższego rzędu.

Trzeba panu wiedzieć, że centralny układ nerwowy jest tylko lekkim przeobrażeniem zewnętrznej warstwy skóry, i u niższych zwierząt w ogóle jeszcze nie istnieje różnica pomiędzy centralnym a obwodowym układem nerwowym; zwierzęta te czują zapachy i smaki za pomocą skóry, niech pan sobie wyobrazi, jedynym ich narządem zmysłowym jest skóra.

To musi być całkiem przyjemne, jeśli się w to wczuć.

Natomiast u tak zróżnicowanych istot, jak pan i ja, ambicja skóry ogranicza się do łaskotliwości, jest ona już tylko narządem ochronnym i ostrzegawczym, ale piekielnie czujnym, jeżeli coś zagraża ciału.

Wysuwa w dodatku poza siebie jakby macki, mianowicie włosy, które porastają ciało; składają się one jedynie ze zrogowaciałych komórek skóry i ostrzegają o zbliżającym się niebezpieczeństwie, zanim jeszcze sama skóra zostanie dotknięta.

Między nami mówiąc, jest nawet możliwe, że ochronna i ostrzegawcza czynność skóry ogranicza się wyłącznie do zjawisk cielesnych.

Czy pan wie, w jaki sposób pan rumieni się i blednie?...

- Niedokładnie.

- No, zupełnie dokładnie, prawdę powiedziawszy, Imy nie wiemy, przynajmniej co się tyczy rumieńca wstydu.

Rzecz nie jest zupełnie wyjaśniona, bo dotąd nie zdołaliśmy przy naczyniach odkryć mięśni rozszerzających, wprawianych w ruch przez nerwy naczyniowo ruchowe.

W jaki sposób kogutowi nabrzmiewa grzebień albo skąd się biorą podobne przereklamowane zjawiska, które można by jeszcze przytoczyć, to jest dotychczas, że tak powiem, tajemnicą, zwłaszcza że chodzi tu o wpływy psychiczne.

Przypuszczamy, że w mózgu znajdują się jakieś połączenia kory mózgowej z ośrodkiem naczyniowym.

Przy pewnych bodźcach, na przykład gdy pan jest mocno zawstydzony, dzięki tym właśnie połączeniom nerwy naczyniowe na twarzy zaczynają swoją grę, naczynia krwionośne rozszerzają się i wypełniają, czerwieni się pan jak indyk, krew uderza panu do głowy i nie widzi pan na oczy.

W innych znowu przypadkach Kto wie, co panu grozi, może coś niebezpiecznie pięknego, naczynia krwionośne kurczą się, skóra staje się blada, zimna i zapada się, wzruszenie sprawia, że wygląda pan jak trup, ołowiane obwódki podkrążają pańskie oczy, nos pana bieleje i zaostrza się.

Serce za to, pod wpływem nerwu współczulnego bije jak młotem.

Bach!

więc to tak - rzekł Hans Castorp.

Mniej więcej.

To są reakcje, rozumie pan.

Ponieważ wszystkie reakcje i odruchy mają już z góry, od samego początku, jakiś cel, więc my, fizjologowie, skłonni jesteśmy przypuszczać, że i te objawy towarzyszące afektom są właściwie celowymi środkami ochronnymi, obronnymi odruchami ciała jak na przykład gęsia skórka.

Czy pan wie, w jaki sposób dostaje Pan gęsiej skórki?

- Także niezbyt dokładnie.

To znowu polega na działaniu gruczołów łojowych skóry, które wydzielają smar skórny, pewną ścierającą białko, tłustawą wydzielinę, wie pan, sbyt, co prawda, nie apetyczną, ale czyni ona skórę

bardziej elastyczną, zapobiega jej pękaniu i sprawia, że jest miła w dotknięciu. Trudno sobie wyobrazić, jaka w dotknięciu byłaby skóra ludzka bez tego cholesterynowego smaru. Te skórne gruczoły łojowe posiadają maleńkie organiczne mięśnie, dzięki którym się wyprostowują, a gdy to się dzieje, odczuwa pan to co ów chłopiec, na którego księżniczka wylała wiadro z kiełbami, i skóra pańska robi się jak tarka, a przy silnym podrażnieniu nawet torebki włosowe napinają się - włosy jeżą się panu na głowie i włoski na ciele, jak u jeźdźcy, kiedy się broni, i może pan śmiało powiedzieć, że poznał pan, co to jest dreszcz strachu.

- O!  
nieraz tego doświadczyłem - powiedział Hans Castorp.

- Nawet dość łatwo ulegam dreszczom przy najrozmaitszych okolicznościach. Dziwi mnie tylko, że owe gruczoły wyprostowują się z powodu tak różnorodnych przyczyn. Dostaje się gęziej skórki od zgrzytu żelaza po szkłe, dostaje się jej nagle także, gdy się słucha szczególnie pięknej muzyki, a nawet zdarzyło mi się dostawać raz po raz gęziej skórki podczas konfirmacji, gdy przyjmowałem komunię świętą, te sensacje nie chciały wtedy wcale ustać.

Przecież to bardzo dziwne, że tak rozmaite przyczyny wprawiają w ruch te drobniutkie mięśnie!  
- Tak - powiedział Behrens - podnieta jest podnieta, a rodzaj podniety absolutnie ciała nie obchodzi; gruczoły łojowe prostują się bez względu na to, czy bodźcem są kiełbie, czy też komunie święta.

- Panie radco - rzekł Hans Castorp, przypatrując się obrazowi na swych kolanach - chciałbym jeszcze powrócić do pewnej kwestii.

Mówił pan poprzednio o wewnętrznych procesach, o ruchu limfy i tym podobnych rzeczach... Jak ta sprawa wygląda: Chętnie bym posłuchał czegoś jeszcze o ruchu limfy na przykład, jeśli by pan radca chciał być tak uprzejmy.

Bardzo mnie to zaciekawia.  
- Wierzę, wierzę - odparł Behrens - bo limfa jest w całej kuchni organizmu substancją najsubtelniejszą, najbardziej intymną, najdelikatniejszą.

Pan się tego widocznie domyśla i dlatego pan pyta o to. Mówi się zawsze o krwi i jej tajemnicach, nazywa się ją szczególnym sokiem. Ale dopiero limfa to sok nad soki, to esencja, wie pan, to mleko krwi, najrozkoszniejsza ciecz, która zresztą po spożyciu tłustego pokarmu wygląda rzeczywiście jak mleko.

- Plastycznie i obrazowo zaczął opisywać, jak krew, ten sok odżywczy, purpurowy, powstający dzięki oddychaniu i trawieniu, nasycony gazami, obciążony produktami spalania, jak ta ciekła mieszanina tłuszczu, białka, żelaza, cukru i soli, o temperaturze trzydziestu ośmiu stopni, którą pompa sercowa pędzi przez naczynia krwionośne, podtrzymuje w całym ciele przemianę materii, ciepło zwierzęce, jednym słowem - to nasze kochane życie.

Krew jednak nie dociera bezpośrednio do komórek, lecz pod wpływem ciśnienia, pod jakim się znajduje, przesącza przez ścianki naczyń pewien ekstrakt, pewien sok mleczny, wtłacza go w tkanki, tak że dociera wszędzie, jako ciecz tkankowa wypełnia każdą szczelinę i rozciąga, napręża elastyczną tkankę komórkową.

Na tym polega napięcie tkanek, turgor, który sprawia, że limfa, obmywająca miłośnie komórkę, gdy już nastąpiła wzajemna wymiana materii, znowu zostaje wtłoczona do naczyń limfatycznych, vasa lymphatica, i spływa znowu do krwi.

Ilość limfy w ten sposób przepływającej wynosi półtora litra dziennie. Opisał następnie cały skomplikowany układ naczyń chłonnych, opowiedział o przewodach mlecznych w piersi, które zbierają limfę z nóg, brzucha, piersi, z jednej ręki i jednej połowy głowy, wyłożył nazwy subtelnych filtrów organizmu, tak zwanych gruczołów limfatycznych, znajdujących się w wielu

miejskach naczyń limfatycznych, a przeważnie w okolicach szyi, pod pachami, pod kolanami, w stawach łokciowych i innych podobnych intymnych a delikatnych miejscach ciała ludzkiego.

- Zdarza się, że owe gruczoły chłonne nabrzmiewają, to był właśnie nasz punkt wyjścia - wyjaśniał dalej Behrens - i tworzą się wówczas tu i ówdzie zgrubienia, na przykład pod kolanami i w stawach łokciowych, tu i ówdzie guzy jak przy puchlinie wodnej, a to ma zawsze swą przyczynę choć nie zawsze piękną.

W niektórych wypadkach musi się tu myśleć o tuberkulicznym zaczopowaniu naczyń limfatycznych.

Hans Castorp milczał.

- Tak - powiedział z cicha po chwili - tak, mogłem być z pewnością zostać lekarzem...

Przewody mleczne...

limfa nóg...

To mnie bardzo zajmuje.

Czymże jest ciało?

- wybuchnął nagle gwałtownie - czym jest organizm ludzki?

Z czego się składa?

Proszę, proszę nam to dziś po południu powiedzieć, panie radco!

Proszę nam to raz na zawsze i dokładnie powiedzieć, abyśmy wiedzieli!

- Z wody - odpowiedział Behrens.

- Więc i chemia organiczna pana zajmuje?

Ciało ludzkie składa się po największej części z wody, z niczego gorszego ani niczego lepszego; nie ma powodu się przejmować.

Substancja sucha stanowi zaledwie dwadzieścia pięć procent, a dwadzieścia procent z tego - to zwykle białko kurze, proteiny, jeżeli pragnie się pan wytworniej wyrazić, z małą właściwie tylko jeszcze domieszką tłuszczu i soli.

Oto wszystko!

- Ale białko kurze?

Cóż to jest takiego?

- Różnego rodzaju pierwiastki: węgiel, wodór, azot, tlen, siarka; zdarza się i fosfor.

Ależ pańska żądza wiedzy jest nienasycona!

Niektóre białka są również połączone z węglowodanami, to jest z cukrem gronowym i krochmalem.

Na starość mięso staje się łykowate, gdyż ilość kolagenu wzrasta w tkance łącznej, kleju, wie pan, który jest najważniejszą częścią składową kości i chrząstek.

Cóż panu mam jeszcze powiedzieć?

W plazmie mięśni znajduje się pewne białko, miozynogen, które ścina się we włóknik i wywołuje stężenie pośmiertne.

- Ach tak!

Stężenie pośmiertne - powiedział Hans Castorp z ożywieniem.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

A potem przychodzi ogólny rozkład, anatomia grobu.

No, tak!

Rozumie się.

Pięknie się pan zresztą wyraził.

W dalszym ciągu proces ten staje się przewlekły.

Człowiek rozplywa się, jeśli można tak powiedzieć.

Niech pan sobie wyobrazi!

Taka ilość wody!

A te inne składniki są po śmierci mało trwałe i wskutek gnicia rozkładają się na związki prostsze, nieorganiczne.

Gnicie, rozkład - powiedział Hans Castorp.

- Wszak to jest spalanie, łączenie się z tlenem, o ile Wiem.

- Najzupełniej słusznie.

Utlenianie.

A życie?

Także, także, młodzieńcze!

Także łączenie się z tlenem.

Życie to także po prostu spalanie się białka komórek - stąd pochodzi to miłe ciepło zwierzęce, którego ma się nieraz zbyt wiele.

Taak, taak...

życie to śmierć - nie ma co wiele upiększać - une de l'ruccion organique, jak to kiedyś pewien Francuz określił z wrodzoną sobie niefrasobliwością.

Życie także tym pachnie!

A jeżeli wydaje się nam inaczej, i sąd nasz nie jest bezstronny.

A jeżeli życie nas interesuje - powiedział Hans Castorp - to właściwie interesuje nas śmierć.

Czy nie tak?

No!

Pewna różnica zachodzi tu jednakże.

Życie polega na tym, że mimo ciągłej zmiany zostaje zachowana ta sama forma.

- A po co zachowywać formę?

- zapytał Hans Castorp.

Po co?

Ależ panie, to, co pan tu mówi, nie jest ani trochę humanistyczne.

Forma to bujda.

- Pan jest dzisiaj w niezwykle przedsiębiorczym usposobieniu, powiedziałbym: w awanturnicznym.

Ale muszę teraz przerwać, staję się melancholijny - dodał radca i zakrył oczy swą olbrzymią ręką.

- Widzicie, panowie, tak to mnie napada!

Dopiero co piłem z panami kawę i smakowała mi, i nagle nachodzi mnie coś takiego, że staję się melancholijny.

Panowie muszą mi to już wybaczyć.

Wizyta panów była dla mnie czymś wyjątkowym i sprawiła mi dużą przyjemność...

Obaj kuzyni zerwali się.

Mówili, że robią sobie wyrzuty, iż pana radcę tak długo...

Ale on zapewniał ich, że nic nie szkodzi.

Hans Castorp odniósł pośpiesznie portret pani Chauchat do sąsiedniego pokoju i powiesił go na dawnym miejscu.

Do swych pokojów dostali się tym razem nie przez ogród.

Behrens pokazał im drogę przez gmach, zaprowadziwszy ich do szklanych drzwi łączących obie części korytarza.

W tej chwili przygnębienia kark jego wydawał się jeszcze grubszy, i doktor mrugał wilgotnymi oczami a jego wąsik, krzywy wskutek jednostronnego uniesienia wargi, nabrał żalosego wyglądu.

Gdy szli przez korytarze i schody, Hans Castorp odezwał się: - Przyznaj, że miałem szczęśliwą myśl.

- W każdym razie było to pewne urozmaicenie - odpowiedział Joachim.  
- A przy tej okazji nagadaliście się obaj o różnych sprawach - to trzeba powiedzieć.  
Dla mnie było tego nawet trochę za dużo!  
Najwyższy czas, abyśmy przed herbatą odbyli jeszcze obowiązkowe werandowanie, chociażby tylko przez dwadzieścia minut.  
Jesteś dzisiaj w takim jakimś awanturnicznym nastroju, że moja gorliwość w werandowaniu może ci się wydawać bujną!  
Dla ciebie, ostatecznie, nie jest to takie ważne jak dla mnie.  
Dociekania.

I tak nadeszło to, co musiało nadejść, a czego niedawno jeszcze Hans Castorp nie spodziewał się tu zobaczyć: wtargnęła zima, o której Hans Castorp do niedawna nawet nie przypuszczał, że może jej tu dożyć.

Joachim znał ją już - poprzednia trwała jeszcze w całej pełni, kiedy przybył tutaj - ale Hans Castorp trochę się jej obawiał, chociaż czuł się na jej przyjście jak najstaranniej zaopatrzone. Kuzyn usiłował go uspokoić.

Nie powinieneś sobie wyobrażać, że będzie zbyt sroga - powiedział - wprost podbiegunowa. Z powodu suchości powietrza i braku wiatrów nie bardzo odczuwa się tu zimno...  
Jeżeli należycie się owinać, można pozostawać na balkonie aż do późnej nocy, nie marznąc zupełnie.

Sprawia to owa zmiana temperatury na granicy mgieł, powyżej tej granicy jest znowu cieplej; ta rzecz nie była dawniej tak dokładnie znana.

Zimno jest, raczej, kiedy pada deszcz.

Ale ty masz przecież worek do leżenia, a troszkę pałą tu w kaloryferze, kiedy mróz przycisnie.

- Nie mogło być mowy zresztą, o jakimś gwałtownym zaskoczeniu, zima zbliżała się łagodnie, na razie mało się różniła od jednego z dni, które zdarzały się już w pełni lata.

Przez parę dni dał południowy wiatr, słońce dopiekało, dolina wydawała się skrócona i zwężona, blisko i wyraziście występowały zamykające ją kulisy Alp.

Potem nadciągnęły chmury, przedarły się od Piz Michel i Tinzenhornu ku północnemu wschodowi, a dolina pociemniała.

Następnie spadł ulewny deszcz.

Później deszcz zmętniał, stał się białawo szary, domieszał się doń śnieg, wreszcie był to już tylko śnieg. Dolina wypełniała się zawieją, a ponieważ trwało to dostatecznie długo, a tymczasem także temperatura znacznie się obniżyła, przeto śnieg nie mógł całkowicie stopnieć; był mokry, ale utrzymywał się.

Od cienkiej, wilgotnej, przeświecającej miejscami białej szaty doliny ostro odcinała się czarna szorstkość igliwia na stokach; w sali jadalnej rury rozgrzały się leciutko.

Było to na początku listopada, koło Zaduszek, i nie było nowością.

Także w sierpniu bywało już podobnie, i z dawna odwykli mieszkańcy "Berghofu" od uważania śniegu za przywilej zimy.

Stale i w każdą pogodę, chociażby tylko z daleka, miano go przed oczami, gdyż zawsze resztki jego i ślady przebłyskiwały w szczelinach i żłebach skalistego łańcucha Ratikonu, który wyrastał jakby u wrót doliny, a najdalsze majestatyczne szczyty przesyłały zawsze śnieżne pozdrowienia z południa.

Ale teraz utrwaliło się jedno i drugie: opady śnieżne i obniżenie się temperatury.

Niebo, blade szare i niskie, wisiało nad doliną, rozsypywało się w płatki śniegu, które opadały bezszelestnie i nieustannie, w nadmiernej i lekko niepokojącej obfitości, i z godziny na godzinę stawało się zimniej.

Pewnego ranka Hans Castorp miał w swoim pokoju siedem stopni ciepła, a nazajutrz już tylko pięć. Chwylił mróz, umiarkowany, ale stały.

Przedtem bywały przymrozki tylko nocą, teraz mróz nie ustępował i za dnia, srożył się od rana do wieczora, a jednocześnie z krótkimi Przerwami trwała śnieżycą już czwarty, piąty, siódmy dzień. Śnieg gromadził się teraz w ogromnych ilościach, stawał się po prostu kłopotliwy.

Na przepisowej drodze do ławki koło strumienia, a także na szosie prowadzącej w dół, ku dolinie, przekopano ścieżki dla pieszych; lecz były tak wąskie, że niepodobna było wyminąć się na nich; spotkawszy się, trzeba było ustępować w bok na wał śnieżny, w który zapadało się aż po kolana.

Walec kamienny do Ugniatania śniegu, ciągniony przez konia, którego człowiek prowadził za uzdę, toczył się przez cały tydzień w dole po ulicach Uzdrowiska, a specjalny wehikuł na płozach, żółty i kształtem przypominający starofrankoński dyliżans, z pługiem śnieżnym, rozgarniał białe zwały na obie strony, kursując między dzielnicą Kurhauzu a Davos Wsią, północną częścią osady.

Mieszkańcy tego świata, zacieśnionego, wysokiego i odosobnionego świata tych tu w górze, pojawiali się teraz w grubych futrach i opatuleni.

Nie było tu ani jednego pala czy żerdzi bez białego czepca, zniknęły stopnie schodów wiodących ku pawilonowi "Berghofu" i przemieniły się w równię pochyłą; ciężkie poduszki o humorystycznych kształtach zwisały zewsząd z gałęzi sosen, tu i ówdzie cała ich masa ześlizgiwała się, rozpylała i przepływała między pniami, niby obłok czy biała mgła.

Dookoła spoczywały ośnieżone góry, szorstkie u podnóża, z miętko przykrytymi różnokształtnymi wierzchołkami, wystrzelającymi ponad strefę drzew.

Było ciemno, słońce wyzierało już tylko jako blady odbłask spoza zasnutych mgłami przestworzy. Ale śnieg lśnił odbitym i łagodnym światłem, mleczną jasnością, która pięknie uwydatniała świat i ludzi, chociaż spod białych i kolorowych czapek włóczkowych wyzierały czerwone nosy.

W sali jadalnej, przy siedmiu stołach, głównym przedmiotem rozmowy był początek zimy, najważniejszej w tych okolicach pory roku.

Przybyło jakoby wielu turystów i sportowców i zaludniło hotele Davos Wsi i Uzdrowiska.

Grubość śniegu oceniano na sześćdziesiąt centymetrów, a jego rodzaj był pono idealny dla narciarzy.

Robota wre na torze saneczkowym, który na północno zachodnim zboczu, po tamtej stronie, opada od Schatzalp ku dolinie; w najbliższych już dniach będzie go można oddać do użytku, o ile ciepły wiatr z południa nie pokrzyżuje planów.

Cieszono się na ruch i życie, które wniosą tu ludzie zdrowi, ci z dołu, na zabawy sportowe i wyścigi, którym zamierzano się przyglądać nawet wbrew zakazowi, zaniedbując się w kuracji i wymykając z werandowania.

Pojawiło się coś nowego, jak słyszał Hans Castorp, wynalazek z północy, skikjoring, wyścigi, w których uczestników stojących na nartach ciągnąć mają konie.

Będzie się wymykało z leżalni, aby to oglądać.

- Była już także mowa o Bożym Narodzeniu.

O Bożym Narodzeniu!

Nie, o tym Hans Castorp jeszcze nie myślał.

Mógł sobie mówić i pisać od niechcienia, iż na mocy lekarskiego orzeczenia będzie musiał tutaj spędzić zimę wraz z Joachimem.

Ale to pociągało za sobą, jak się teraz okazywało, konieczność spędzenia tutaj świąt Bożego Narodzenia, a było w tym bez wątpienia coś zatrważającego, już choćby dlatego, jakkolwiek nie wyłącznie dlatego, że świąt tych nigdy nie spędzał poza domem, lecz zawsze na łonie rodziny.

A więc, w imię Boże, trzeba się było teraz z tym pogodzić.

Przecież nie był już dzieckiem, także Joachim nie zdawał się tą okolicznością zbyt przejmować, raczej pogodził się z nią bez czułości - bo gdzież już i w jakich warunkach nie obchodzono na świecie Bożego Narodzenia!

Mimo wszystko mówienie o Bożym Narodzeniu przed pierwszą niedzielą adwentową wydawało mu się nieco przedwcześnie; dobre sześć tygodni trzeba było jeszcze czekać na te święta.

Przeskakiwał jednak przez ten czas i pochłaniano go w sali jadalnej - praktykowany tu sposób postępowania, który Hans Castorp na własną rękę nauczył się już przecież rozumieć, choć nie przywykł jeszcze do stosowania go w tak śmiałym stylu jak dawniejsi, bardziej od niego zasiedziali tu kuracjusze. Takie etapy jak Święta Bożego Narodzenia zdawały się im stosownymi punktami oparcia i jakby przyrządami gimnastycznymi, które pozwalały im przeskakiwać, jakby zwinną wołtyżerką, przez puste okresy czasu.

Wszyscy mieli gorączkę, ich przemiana materii była potęgowana, ich życie cielesne wzmożone i przyśpieszone - z tym może ostatecznie pozostawało w związku, iż tak prędko i masowo konsumowali czas.

Nie dziwiłby się, gdyby uważali, iż Boże Narodzenie mają już za sobą, i gdyby od razu mówili o Nowym roku i zapustach.

Ale tak lekkomyślnie i niestatecznie nie postępowano bynajmniej w sali jadalnej "Berghofu". Zatrzymywano się przy Bożym Narodzeniu, które dawało powód do niejednej troski i do łamania sobie głowy.

Naradzano się nad wspólnym prezentem, który zgodnie z istniejącą tradycją zakładu wręczyć miano w Wigilię naczelnemu lekarzowi, radcy dworu Behrensowi, i w tym celu zainicjowano wspólną składkę. Poprzedniego roku podarowano mu kufer podróżny, jak informowali ci, którzy byli tu już dłużej niż rok. Tym razem była mowa o nowym stole operacyjnym, o sztalugach malarskich, o płaszczu futrzanym, o bujającym fotelu, o stetoskopie z kości słoniowej jakoś specjalnie inkrustowanej, i Settembrini, gdy go zapytano, zalecił podarowanie dzieła o charakterze encyklopedycznym, przygotowanego rzekomo do druku, a noszącego tytuł "Socjologiczne cierpienia"; wszelako propozycję jego poparł tylko pewien księgarz, który od niedawna siedział przy stole panny Kleefeld.

Zgody nie udało się dotąd osiągnąć.

Porozumienie z rosyjskimi gośćmi nastęczało trudności.

Wśród gości podpisujących listę dadkową nastąpił rozłam.

Rosjanie oświadczyli, iż na własną rękę pragną obdarzyć Behrensa.

Pani Storph zdradzała całymi dniami najwyższy niepokój dotyczący pewnej kwoty, dziesięciu franków mianowicie, które w czasie zbiórki wyłożyła lekkomyślnie za Panią Iltis, a które ta "zapomniała" jej zwrócić. "Zapomniała" o tym - intonacje, jakie pani Stohr nadawała temu słowu, były wielokrotnie stopniowane i wszystkie miały świadczyć o najgłębszej niewierze w brak pamięci, urągający, jak się zdawało, wszelkim aluzjom i subtelnym sposobom przypominania których pani Stohr - jak zapewniała - nie szczędziła. Pani Stohr rezygnowała kilkakrotnie i oświadczała, iż dług ten daruje pani Iltis.

- Płacę więc za siebie i za nią - mówiła - dobrze, ale nie ja powinnam się wstydzić!

- Lecz wreszcie znalazła wyjście, o którym ku ogólnej wesołości poinformowała towarzystwo przy stole: tych dziesięć franków kazała wypłacić sobie przez Zarząd i wstawić do rachunku pani Iltis, dzięki czemu opieszala dłużniczka przecież została wywiedziona w pole i tę przynajmniej sprawę załatwiono. Śnieg przestał padać.

Niebo rozjaśniło się częściowo; spoza sinawych, rozstępujących się chmur wyzierało słońce nadając



krajobrazowi niebieskawy odcień.

Potem roz pogodziło się całkowicie.

Panował przezroczysty mróz, czysty, niewzruszony przepych zimy w połowie listopada, a panorama spod łuków balkonu - przyprószone lasy, miękko wypełnione wąwozy, biała, skąpana w słońcu dolina pod niebiesko połyskującą kopułą nieba - była wspaniała.

A pod wieczór, kiedy ukazywała się okrągła niemal tarcza księżyca, przedziwny czar spływał na świat.

Jak okiem sięgnąć drżały wokół krystalicznie skrzące się diamentowe błyski.

W ostrej bieli i czerni stały lasy.

Dalej od księżyca, na ciemniejszym firmamencie migotały gwiazdy.

Ostre, wyraźne i intensywne cienie, które zdawały się bardziej rzeczywiste niż rzeczy same, padały od domostw, drzew i słupów telegraficznych na połyskliwą płaszczyznę.

W kilka godzin po zachodzie słońca brał mróz siedmio lub ośmio stopniowy.

W lodową czystość zaklęty był świat, co dzienny jego brud znikł i zakrzepł, pogrążony we śnie w okowach fantastycznego czaru śmierci.

Hans Castorp aż do późnej nocy pozostawał na swym balkonie ponad zimową, urzeczoną doliną (znacznie dłużej od Joachima, który o dziesiątej lub w każdym razie niewiele później udawał się na spoczynek).

Doskonały jego leżak, przykryty trzema materacowymi poduszkami i zaopatrzony w wałek pod głowę, przysunięty był do drewnianej poręczy, na której leżała gruba warstwa śniegu; obok, na białym stoliczku płonęła elektryczna lampa, a koło stosu książek stała szklanka tłustego mleka wieczornego; koło dziewiętej jeszcze przynoszono je do pokoju wszystkim mieszkańcom "Berghofu", a Hans Castorp dodawał do niego łyk koniaku, by je uczynić smaczniejszym.

Zastosował już wszelkie, jakimi tylko rozporządzał, środki ochronne przeciwko zimnu, cały skomplikowany aparat.

Aż powyżej piersi tkwił w zapinanym na guziki worku futrzanym, który nabył zawczasu w odpowiednim magazynie Uzdrowiska, wokół worka owinał przepisowo oba koce z sierści wielbłąziej.

Ponadto wdział na zimowe ubranie swą kurtkę futrzaną, na głowę wełnianą czapkę, na nogach miał filcowe obuwie, a na rękach grubo watomane rękawiczki, które wszakże nie potrafiły zapobiec kostnieniu palców.

Do północy i dłużej (kiedy to para gorszych Rosjan dawno już opuściła sąsiedni balkon), zatrzymywał też poza pokojem niezawodnie czar nocy zimowej, zwłaszcza, iż do godziny jedenastej wplatała się weń muzyka dolatująca aż tu z doliny, z bliska i z daleka - głównie jednak bezwład i podniecenie, jedno i drugie równocześnie: mianowicie bezwład i wzdrygające się przed ruchem znużenie ciała oraz niezmordowana ruchliwość ducha, pochłoniętego pewnymi nowymi i wielce interesującymi studiami, jakie zaprzętały w tym okresie młodzieńca.

Zmiany pogody dawały mu się we znaki, mróz wyczerpywał i podkopywał jego organizm.

Jadał wiele, korzystał z obfitych posiłków "Berghofu", gdzie po garniowanym rostbefie następowały pieczone gęsi; spożywał to wszystko z tym nienormalnym apetytem, który był tutaj w ogóle, a w zimie, jak się okazywało, bardziej jeszcze niż w lecie, na porządku dziennym.

Jednocześnie odczuwał teraz silną potrzebę snu, tak iż za dnia i w księżycowe wieczory zasypiał często nad książkami, które wertował (a które wyszczególnimy poniżej), aby po krótkim wyłączeniu świadomości kontynuować swe dociekania.

Ożywione rozmowy - a skłaniał się tutaj bardziej niż niegdyś w dolinie do szybkiego,

niepohamowanego, a nawet ryzykownego gadania - ożywione rozmowy z Joachimem podczas ich służbowych przechadzek po śniegu wyczerpywały go wielce; nawiedzały go zawroty głowy i dreszcze, uczucia odurzenia i upojenia, a głowa jego płonęła.

Wykres jego temperatury wzniósł się od czasu nastania zimy, a radca dworu Behrens przebąkiwał coś o zastrzykach, które zwykł był stosować przy uporczywie trwającej podniesionej temperaturze, a którym dwie trzecie gości, nie wyłączając Joachima, regularnie musiało się poddawać.

W pewnym związku zaś ze wzmożonym wytwarzaniem się ciepła - myślał Hans Castorp - pozostawało z pewnością owo podniecenie i ruchliwość umysłowa, które ze swej strony przykuwały go do leżaka w roziskrzoną od mrozu noc.

Takie wyjaśnienie podsuwała mu pochłaniająca go lektura.

Niemało czytano w leżalniach i na oddzielnych balkonach Międzynarodowego Sanatorium "Berghof" uprawiali to zwłaszcza początkujący i krótkoterminowi; ci bowiem, co przebywali tu od wielu miesięcy lub tym bardziej lat, nauczyli się od dawna spędzać czas także bez pomocy rozrywek i zajęć umysłowych i umieli zabijać go mocą wewnętrznego wirtuozostwa, a uciekanie się w tym celu do książek nazywali nawet nieudolnością i partactwem.

Ostatecznie, niechby już jedna jakaś książka leżała na kolanach lub na stoliczku, pod ręką - wystarcza to całkowicie, aby czuć się zaopatrzonym.

Biblioteka zakładowa, wielojęzyczna i obfitująca w dzieła ilustrowane, rozszerzony zbiór lekkiej lektury, pochodzący z pewnej poczekalni dentystycznej, oddana była pacjentom do dyspozycji. Wypożyczano sobie nawzajem powieści z czytelni Uzdrowiska.

Od czasu do czasu pojawiała się książka lub broszura, którą sobie z rąk wyrywano, po którą także ci, którzy już nie czytali, wyciągali ręce z udanym tylko spokojem.

W chwili, do której doszliśmy, z ręki do ręki przechodziła nędznie wydana broszurka, którą dostarczył pan Albin, która nosiła tytuł Sztuka uwodzenia.

Była ona dosłownym tłumaczeniem z francuskiego, zachowała nawet składnię tego języka, dzięki czemu wykład zyskał wiele na dobrym tonie i pikantnej elegancji - a rozwijała filozofię miłości i rozkoszy cielesnej w duchu światowej i pogańskiej radości życia.

Pani Stohr przeczytała tę broszurę jedna z pierwszych i uznała jej lekturę za "upajającą". Pani Magnus, ta sama, która traciła białko, podzielała jej zdanie bez zastrzeżeń.

Jej małżonek, piwowar, niejedną, jak twierdził, wyniósł korzyść z tej książeczki, żałował jednak, że pani Magnus zapoznała się z nią, gdyż tego rodzaju rzeczy "rozpieszczają" kobiety i wpajają im nieskromne pojęcia.

Orzeczenie to nie miało wzmożło popyt na książkę.

Pomiędzy dwiema damami z ogrodowej leżalni, przybyłymi w październiku, panią Redisch, małżonką polskiego przemysłowca, a niejaką panią Hessenfeld, wdową z Berlina, z których każda utrzymywała, iż

ona pierwsza zastrzegła sobie lekturę Sztuki uwodzenia, doszło po obiedzie do bardziej niż niestosownej, a

nawet wręcz gwałtownej sceny, której Hans Castorp wysłuchać musiał ze swego balkonu; skończyło się na

histerycznych spazmach jednej z dwu dam - mogła nią być pani Redisch, ale równie dobrze pani Hessenfeld

- i odstawieniu rozjuszonych kuracjuszek do jej pokoju.

Młodzież wcześniej zawładnęła traktatem niż dojrzałe roczniki, niekiedy zagłębiała się weń wspólnie po

kolacji, po różnych pokojach.

Hans Castorp zauważył, jak chłopak z paznokciem o kształcie szufelki wręczył świeżo przybyłej, niezbyt

poważnie chorej jasnej blondynce, Franeczce Oberdank, młodziutkiej panience z dobrego domu, którą

matka dopiero co przywiozła była na górę.

Istniały, być może, wyjątki, może byli tacy, którzy godziny obowiązkowego leżenia wypełniali jakimś poważnym umysłowym zajęciem, jakimiś choć w pewnej mierze celowymi studiami, już choćby dlatego

aby w ten sposób zachować łączność z życiem na równinie lub aby przydać czasowi nieco wagi i głębi, iżby

nie był on tylko czystym czasem i niczym poza tym.

Być może, poza panem Settembrinim, z jego usiłowaniami wyplenienia cierpień, oraz poza zacnym Joachimem, z jego rosyjskimi podręcznikami, ten i ów starał się o to - jeśli nie spośród gości z sali jadalnej,

co w samej rzeczy było nieprawdopodobne, to może właśnie spośród obłożnie chorych i skazanych na

śmierć - Hans Castorp gotów był w to wierzyć.

Co się tyczy jego samego, ponieważ Ocean steamships przestała go interesować, polecił przesłać sobie z

domu tu na górę wraz z ekwipunkiem na zimę także kilka odnoszących się do jego zawodu książek naukowych z zakresu inżynierii oraz techniki budowania okrętów.

Dzieła te jednakże leżały zaniedbane, ustępując miejsca innym książkom, zupełnie odmiennego rodzaju i

charakteru, których tematem zainteresował się młody Hans Castorp.

Były to podręczniki anatomii, fizjologii i biologii, pisane w różnych językach, po niemiecku, francusku i angielsku; przesłał mu je pewnego dnia miejscowy księgarz, najwidoczniej dlatego, że je u niego zamówił, i to na własną rękę, w sekrecie, przy sposobności pewnej przechadzki, którą odbył na dół, do Uzdrowiska, bez kuzyna (Joachimowi wyznaczono właśnie zastrzyk czy też ważenie).

Nie bez zdziwienia książki te ujrzał Joachim w ręku Hansa Castorpa.

Były one drogie, jak bywają dzieła naukowe; ceny uwidocznione były jeszcze na zewnętrznej stronie okładek oraz na obwolutach.

Zapytał, czemu kuzyn, skoro już zależało mu na przeczytaniu czegoś podobnego, nie pożyczył ich sobie od radcy Behrensa, który literaturę tę posiada z pewnością w należyтым wyborze.

Lecz Hans Castorp odrzekł, iż pragnie je mieć na własność: całkiem inaczej bowiem się czyta, kiedy się książkę samemu posiada; lubi zresztą czytać z ołówkiem w rękę i zakreślać.

Całymi godzinami dochodził Joachima z sąsiedniego balkonu szelest rozcinanych kartek.

Tomy były ciężkie, nieporęczne; Hans Castorp leżąc opierał je dolnym brzegiem o pierś, o żołądek.

Gniotły go, ale nie zwracał na to uwagi; z na w pół otwartymi ustami, z góry do dołu wodził wzrokiem po uczonych stronicach, prawie niepotrzebnie oświetlonych czerwonym blaskiem lampki osłoniętej abazurem, gdyż i tak byłyby od biedy czytelne w silnym Świetle księżycy - wodził oczyma, aż podbródek opadał mu na piersi: pozycja, w której czytający, zanim wzniosł twarz ku następnej stronie, pozostawał przez chwilę zamyślony, drzemał lub pogrążał się w półśnie.

Wnikał głęboko, czytał, podczas gdy księżyc posuwał się swym odmierzoną szlakiem ponad krystalicznie iskrzącą się wysokogórską doliną - czytał o zorganizowanej materii, o właściwościach protoplazmy, o wrażliwej substancji trwającej w dziwnym zawieszeniu między stawaniem się a rozkładem oraz o kształtowaniu się jej z zaczątkowych, ale wciąż istniejących form zasadniczych, czytał z olbrzymim zainteresowaniem o życiu i jego świętej a nieczystej tajemnicy.

Czymże jest życie?

Tego nie wiadano.

Jest świadome siebie, niewątpliwie, skoro tylko staje się życiem, ale nie wie, czym jest.

Świadomość, jako wrażliwość na podniety, budzi się, z pewnością, w pewnej mierze już na najniższych, najbardziej zaczątkowych szczeblach pojawienia się życia; niepodobna jednak umiejscowić pierwszego wystąpienia świadomych procesów w jakimkolwiek punkcie jego ogólnych lub osobniczych dziejów, niepodobna uwarunkować świadomości obecnością systemu nerwowego.

Najniższe formy zwierzęce nie mają nie tylko mózgu, ale nawet systemu nerwowego, a jednak nikt nie ośmieliłby się odmówić im zdolności odczuwania bodźców.

Ponadto można znieczulić życie, samo życie, a nie tylko specjalne narządy pobudliwości, które ono wytwarza, nie tylko nerwy.

Można zawiesić na pewien czas pobudliwość każdej życiem obdarzonej substancji, zarówno w państwie roślinnym, jak w zwierzęcym, można usypiać jajniki i plemniki za pomocą chloroformu, wodnika chloralu lub morfiny.

Świadomość własnego istnienia jest więc po prostu funkcją materii zorganizowanej do życia, a spotęgowana nieco funkcja ta zwraca się przeciw własnemu swemu podmiotowi, staje się usiłowaniem zgłębienia i wyjaśnienia zjawiska, które sama wytwarza, pełnym nadziei a zarazem beznadziejnym dążeniem życia do poznania samego siebie, zatopieniem się natury w siebie samą - usiłowaniem i dążeniem ostatecznie przecież daremnym, gdyż natura nie zdoła rozpuścić się w poznaniu ani życie całkowicie samo siebie podpatrzeć.

Czymże więc jest życie?

Nikt tego nie wiedział.

Nikt nie znał tego punktu, w którym powstaje i rozpala się.

Nie ma nic nie zbadanego lub choćby źle zbadanego w dziedzinie życia, od tego punktu począwszy; ale życie samo wydaje się czymś nie do zbadania.

Jeżeli można o tym cokolwiek powiedzieć, to chyba to, że" struktura jego jest widocznie tak skomplikowana, iż w świecie nieożywionym nie napotyka się nic, co by ją w przybliżeniu choćby przypominało.

Różnica pomiędzy amebą a zwierzęciem kręgowym jest nieznaczna, nieistotna w porównaniu z

różnicą, jaka istnieje między najprostszym zjawiskiem życia a ową naturą, która nie zasługuje nawet na miano martwej, gdyż jest nieorganiczna.

Śmierć bowiem jest tylko logicznym zaprzeczeniem życia, między życiem natomiast a nieożywioną naturą zieje przepaść, ponad którą na próżno usiłuje się przerzucić pomost.

Mozolono się, aby zapełnić ją za pomocą teoryj, które pochłania, nie tracąc nic na głębi i na rozwartości.

Aby znaleźć ogniwo pośrednie, musiano sięgnąć do niedorzecznej supozycji, iż istnieje substancja życiowa pozbawiona struktury, iż istnieją niezorganizowane organizmy, które w roztworze białka same z siebie zawiązują się, jak kryształy w roztworze macierzystym - kiedy przecież w rzeczywistości zróżnicowanie organiczne jest zarówno wstępnym warunkiem, jak i objawem wszelkiego życia i kiedy niepodobna wymienić żadnego stworzenia, które by istnienia swego nie zawdzięczało spłodzeniu przez rodziców.

Wyłowienie go z największych głębin morza, powitane z fanfarami triumfu, zakończyło się fiaskiem.

Okazało się, że osady kredowe wzięto za protoplazmę.

Aby nie być jednak zmuszonym do zatrzymania się przed cudem - gdyż życie powstające spontanicznie z tych samych pierwiastków, w które się potem, analogicznie do procesów zachodzących w materii nieorganicznej, rozpada, byłoby cudem - było się niemniej zniewolonym do uwierzenia w prarództwo, to znaczy w powstanie świata organicznego z nieorganicznego, co zresztą także byłoby cudem.

I tak nie przestawano wynajdować stopni pośrednich i przejść, przyjmowano istnienie organizmów niżej stojących niżli wszystkie znane, których poprzednikami były z kolei jeszcze pierwotniejsze próby przyrody w dziedzinie życia, praorganizmy, których nikt nigdy nie ujrzy, gdyż znajdują się one poniżej progu mikroskopowej dostrzegalności, i przed których hipotetycznym powstaniem musiała się dokonać synteza związków białkowych.

Czymże tedy jest życie?

Jest ciepłem, wytworem ciepłym czegoś, co utrzymuje formę, choć samo jej nie ma, jest gorączką materii towarzyszącą procesowi bezustannego rozkładu i odradzania się drobin białka, tak skomplikowanych i tak kunsztownie skonstruowanych, że aż nietrwałych i nie dających się zatrzymać. Jest istnieniem tego, co właściwie nie może istnieć, co w słodkiej męce chwije się tylko między teorią, które pochłania, nie tracąc nic na głębi, ani bytem a niebytem podczas zawikłanej i gorączkowej rozwartości.

Aby znaleźć ogniwo pośrednie, tego procesu rozpadu i wiecznego stawania się.

Nie jest materialne, i nie jest z ducha.

Jest czymś pośrednim, jest zjawiskiem uwarunkowanym przez materię, niby tęcza na wodospadzie, niby płomień.

Ale choć niematerialne, jest zmysłowe, aż do rozkoszy i obrzydzenia, jest bezwstydem materii, która uzyskała wrażliwość na samą siebie i na bodźce z zewnątrz, jest wyuzdaną formą istnienia. Jest sekretnie wyczuwalną ruchliwością w dziewiczym chłodzie wszechbytu, lubieżnie skrytym niechlujstwem przyswajania i wydalania, tchnieniem wydzielającym na zewnątrz dwutlenek węgla i cuchnące substancje utajonego pochodzenia i nieznannej jakości.

Jest w przyrodzone prawa powstawania ujętym bujaniem, rozwojem i przyjmowaniem kształtów przez coś napęczniałego, co składa się z wody, białka, soli i tłuszczów; zwie się je mięsem, a staje się ono formą, pięknem - a przy tym samą istotą zmysłowości i żądy.

Gdyż forma i piękno nie są formą i pięknem ducha, jak w dziełach poezji i muzyki, ani formą i pięknem neutralnej materii, która przejęła się duchem i uzmysławia go w sposób niewinny w

dzielał sztuk plastycznych.

Są formą i pięknem zrodzonym i ukształtowanym przez substancję, w niewiadomy sposób do rozkoszy budzoną, organiczną substancję, gnijącą i trwającą materię, przez cuchnące mięso...

Młodemu Hansowi Castorpowi, który ponad skrzącą się doliną spoczywał w swym własnym ciepłe cielesnym, chronionym przez futro i wełnę, ukazywał się w mroźnej nocy, rozświetlonej blaskiem martwego ciała niebieskiego, obraz życia.

Zwidziało mu się, kędyś w przestrzeni, dalekie, a jednak zmysłom uchwytnie, mięsiste ciało, matowo białawe, parujące, kleiste, pokryte skórą w całej nieczystości i ułomności jej istoty, z plamami, brodawkami, zażółceniami, pęknięciami i miejscami ziarnistymi i łuszczącymi się, z delikatnymi smugami i skrętami szczątkowego meszku.

Odcinając się od zimnego nieożywionego świata, we mgle swych oparów, gnuśnie, z głową uwieńczoną

czymś chłodnym, zrogowaciałym, ubarwionym, co było wytworem jego skóry, splatało dłonie karku i spod

przymkniętych powiek spoglądało na niego oczami, którym pewna anomalia w ukształtowaniu skóry powiek nadawała pozór skośnych, z na wpół rozwartymi, nieco wywiniętymi wargami - spoczywając na

jednej nodze, tak iż kość biodrowa silnie się uwydatniała, podczas gdy stopa luźno ustawionej nogi opierała

się na koniuszkach palców, a jej kolano, lekko w bok wygięte, przywarło do wewnętrznej strony tamtej,

dźwigającej cały ciężar, nogi. Stało tak, obrócone powabnie w uśmiechu, z lśniącymi łokciami wysuniętymi

ku przodowi, w parzystej symetrii swych członków, swych znamion cielesnych.

Ostro woniejącej ciemności pach odpowiadał w mistycznym trójkacie mrok łona, podobnie jak oczom

odpowiadał czerwony nabłonek otwartych ust, czerwonemu kwiatowi piersi - prostopadle wzdłuż rozciągnięty pępek.

Pod wpływem impulsów ze strony narządu centralnego i wychodzących z rdzenia nerwów ruchowych poruszał się brzuch i klatka piersiowa, jama opłucnej i otrzewnej wydymała się i kurczyła, tchnienie ogrzane

i zwilżone przez błony śluzowe dróg oddechowych, nasycone wydaliniami, wypływało z pomiędzy warg

związawszy uprzednio w płucach swój tlen z hemoglobina krwi, aby umożliwić oddychanie wewnętrzne.

Hans Castorp pojmował bowiem, że to żywe ciało z tajemniczą harmonią swych członów, odżywianych

przez krew, oplecionych rozgałęzieniami nerwów, żył, tętnic - członków przepojonych limfą, z wewnętrznym rusztowaniem wydrążonych, tłustym szpikiem wypełnionych kości, kości płaskich kręgowych, w które substancja podporowa, tkanka galaretowata, zakrzepła dzięki solom wapniowym i

substancjom kleistym, aby dźwignąć owo ciało, ciało z torebkami i oślizłymi od smarów jej, więzadłami i

chrząstkami stawów, z więcej niż dwustu mięśniami, z centralnie umieszczonymi narządami odżywiania

się, oddychania, przejmowania i Wysyłania bodźców, z powłokami ochronnymi, jamami surowicznymi, z obficie wydzielającymi gruczołami, z aparatem rur i szczelin swego zawiłego otworami na zewnątrz uchodzącego wnętrza - pojmował, iż to "ja" jest jednostką życiową wysokiego rzędu, bynajmniej już nie z rodzaju owych najprostszycy tworów, które całą powierzchnią swego ciała oddychają, odżywiają się, a nawet myślą; iż składa się z niezliczonego mnóstwa takich maleńkich układów, które powstały z jednego jedyneęo, powieliły Się dzięki wciąż powtarzającemu się podziałowi, zorganizowały się w przeróżne związki, objęły różne funkcje, wykształciły się celowo i wydały z siebie formy, które były warunkiem oraz następstwem ich wzrastania.

Ciało, które mu się majaczyło, ta istota indywidualna i żywe "ja", jest zatem olbrzymią wielością oddychających i odżywiających się osobników, które, na skutek organicznego zaszeregowania i celowej specjalizacji, w tak znacznym stopniu utraciły byt indywidualny, swobodę i życiową bezpośredniość, tak bardzo przeobraziły się w elementy anatomiczne, iż działanie niektórych z nich ogranicza się wyłącznie do wrażliwości na światło, dźwięk, dotyk, ciepło, a inne mogą jeszcze tylko zmieniać swój kształt przez skurcz lub wytwarzać soki trawienne; inne znów wydoskonalone są jednostronnie i zdolne wyłącznie do obrony i ochrony, do przesyłania soków lub rozmnażania się.

Istnieją rozluźnienia tej wielkości organicznej zjednoczonej w skomplikowanym osobniku, wypadki, w których wielka liczba indywiduów niższego rzędu zespolona jest w jedność życiową wyższego rzędu w sposób luźny tylko i wątpliwy.

Studiujący zastanawiał się nad zjawiskiem kolonii komórek, dowiadywał się o istnieniu półorganizmów, glonów, których poszczególne komórki, otulone tylko powłoką galaretowatą, często znajdują się z dala od siebie, stanowiąc bądź co bądź twory wielokomórkowe, które jednak, zapytane o zdanie, nie potrafiłyby orzec, czy mają być uznane za kolonię jednokomórkowych osobników, czy też za jedną istotę złożoną, i w odpowiedzi tej wahałyby się dziwnie między słowami: "ja" i "my".

Przyroda ukazuje tutaj stan pośredni między społecznie wysoko rozwiniętym zespoleniem niezliczonej ilości pierwotnych osobników w tkanki i narządy podrzędnej indywidualności - a swobodną indywidualną egzystencją tych najprostszycy tworów: wielokomórkowy organizm jest tylko pewną formą

zewnątrzną

cyklicznie zamykającego się procesu, w którym rozgrywa się życie, a który przebiega od jednego aktu płodzenia do drugiego.

Akt zapłodnienia, zespolenie się płciowe dwóch komórek, jest początkiem każdego złożonego z wielości

osobnika, podobnie jak przed początkiem każdego łańcucha pokoleń indywidualnie żyjących istot elementarnych i prowadzi znowu do siebie samego.

Działanie bowiem tego aktu trwa przez wiele generacji, którym, dzięki wciąż powtarzającemu się podziałowi, nie jest on potrzebny do rozmnażania się, aż znowu nadchodzi chwila, kiedy Bezpłciowo spłodzeni potomkowie odczuwają potrzebę ponownej kopulacji, i krąg się zamyka.

Tu więc życie, wynikłe z zespolenia się jąder dwóch komórek rodzicielskich, jest współżyciem wielu

bezpłciowo powstałych pokoleń komórek; ich wzrastanie jest ich mnożeniem się, a krąg płodzenia jest

zamknięty, kiedy komórki płciowe, przeznaczone do specjalnego celu rozmnażania się, powstają w nim na

nowo i znajdują drogę do wzniecającego życie połączenia się.

Z wielkim tomem embriologii, wspartym na piersi, śledził nasz młody poszukiwacz przygód rozwój organizmu, począwszy od tej chwili, w której plemnik, jeden z wielu, i to ten najpierwszy, poganiający się

biczkowatymi ruchami swego odwłoku, koniuszkiem głowy uderza i wwierca się w galaretowatą powłokę

jaja, którą protoplazma otoczki jaja ku niemu uwypukla.

Niepodobna wymyślić takiego dziwolągu i cudactwa, którym natura wzgardziłaby w swej dążności do

urozmaicenia tego stałego procesu.

Istnieją zwierzęta, u których samczyk pasożytuje w trzewiach samiczki.

Istnieją inne, u których ramię zapładniającego sięga przez przełyk do wnętrza zapładnianej, by tam złożyć

nasienie, po czym, odgryzione i wyplute samodzielnie umyka na palcach, ku dezorientacji wiedzy, która

sądziła przez czas dłuższy, iż winna je poza uczoną greckołacińską nazwą uważać za samodzielną istotę.

Hans Castorp przysłuchiwał się kłótniom szkół uczonych: owulistów i animalkulistów; pierwsi z nich utrzymywali, że jajo jest skończoną w sobie małą żabą, psem albo człowiekiem, a nasienie tylko pobudza

jego wzrastanie, podczas gdy drudzy upatrywali w plemniku, posiadającym głowę, ramiona i nogi, uformowanego już przed właściwym istnieniem osobnika, któremu jajo służy tylko jako podłoże jego rozwoju; aż wreszcie zgodzono się na przyznanie jednakowo ważnej roli zarówno komórce jajowej, jak i

nasiennej, które obie powstały z nie dających się pierwotnie rozróżnić komórek rozrodczych.

Widział, jak jednokomórkowy organizm zapłodnionego jaja przeobraża się stopniowo w wielokomórkowy,

bruzdkując i dzieląc się; widział, jak ciała komórek spajają się w blaszkę przyszłej błony śluzowej, jak



pęcherz zarodkowy wpukła się do wnętrza i tworzy jakby kubek oraz pustą przestrzeń, które rozpoczynają funkcję przyjmowania pokarmu i trawienia.

To był zawiązek jelita, prazwierzę, gastrula, podstawowa forma wszelkiego zwierzęcego życia, praforma piękna tkwiącego w ciele.

Jej oba listki nabłonkowe, wewnętrzny i zewnętrzny, skórnomyślowy i jelitowo-gruczołowy, okazały się narządami pierwotnymi, z których przez wpuklanie i wypuklanie się powstają gruczoły, tkanki, narządy zmysłowe, kończyny.

Pasma zewnętrznego listka zarodkowego grubieje, fałduje się w rowek, zamyka się w cewę nerwową i staje się kręgosłupem, mózgiem.

I, podobnie jak galareta płodowa, przeobraża się w tkankę łączną, włóknistą, w chrząstki, dzięki temu, że galaretowate komórki zamiast mucyny wydzielać zaczynają kleistą substancję.

Widział też, jak gdzieniegdzie komórki tkanki łącznej poczynają z opływających je soków wysysać sole wapniowe oraz tłuszcze i przemieniać się w kość.

Embrion ludzki kulił się, zwinięty w sobie, ogoniasty, nie różniący się niczym od zarodka świni, z olbrzymią szypułą brzuszną i niekształtnymi kikutami kończyn, z maską twarzy pochyloną na wzdęty kałdun, a jego rozwój wydawał się nauce, operującej niepochlebny i posepnym pojęciem prawdy, pospiesznym powtórzeniem zoologicznych dziejów gatunku.

Przez czas jakiś posiadał ów embrion kieszonki skrzelowe, jak drapieżna ryba.

Sądono, że wolno lub trzeba wnosić z okresów rozwoju, przez które przechodzi, o mało ludzkim wyglądzie, jaki przedstawiał dojrzały człowiek w czasach przedhistorycznych.

Skóra jego wyposażona być miała w drgające mięśnie, w celu obrony przed owadami, i gęsto owłosione, rozmiary błony śluzowej nosa były potężne, a odstające uszy - ruchome; brały one żywy udział w mimice i posiadały większą zdolność chwytania głosu niżli obecnie.

W owym czasie oczy jego, chronione przez trzecią powiekę, znajdowały się po bokach głowy, z wyjątkiem trzeciego oka, którego szczątkiem jest gruczoł zwany szyszynką, a które mogło ogarniać górne przestwory.

Człowiek ten posiadał poza tym bardzo długi przewód pokarmowy, wielką ilość zębów trzonowych i szczególną konstrukcję krtani, umożliwiającą mu wycie; jego męskie gruczoły płciowe ukryte były we wnętrzu jamy brzusznej.

Anatomia odzierała ze skóry i preparowała dla naszego badacza członki ciała ludzkiego, ukazywała mu Jego powierzchowne oraz głęboko ukryte mięśnie, ścięgna i więzadła ud, stóp, a zwłaszcza ramion I przedramion, uczyła go ich łacińskich nazw, którymi medycyna, owa przepojona duchem humanistycznym

nauka, w sposób wytworny i elegancki ponazywała je i rozróżniła. W ten sposób przeniknął aż do szkieletu, a jego struktura odsłoniła nowe punkty widzenia, które ukazywały jedność wszystkiego, co ludzkie, i zespolenie wszystkich dyscyplin w tej jedności. Gdyż tutaj w najdziwniejszy sposób przypominał się Castorpowi jego właściwy - czy też rzecz trzeba: uprzedni zawód, ów stopień naukowy, który wymieniał, gdy przybywszy tu na górę, przedstawiał się nowym znajomym (panu doktorowi Krokowskiemu, panu Settembriniemu).

Aby wyuczyć się czegokolwiek - było właściwie dość obojętne, czego - nauczył się po rozmaitych wszechnicach tego i owego o statyce, o elastycznych podporach, o obciążeniu i o konstrukcji jako pożytecznym wyzyskaniu mechanicznego materiału.

Dziecinne byłoby zapewne mniemanie, iż nauki technologiczne, reguły mechaniki znajdują zastosowanie w przyrodzie organicznej, ale w równej mierze niepodobna było stwierdzić, iż zostały z niej wyprowadzone. Przyroda powtarzała je po prostu i potwierdzała. Zasada wydrążonego walca do tego stopnia panowała w budowie kości długich, iż minimum stałej substancji zaspokajało prawa statyki.

Ciało - jak wyuczył się Hans Castorp - które spojone jest wyłącznie z drążków i wiązań nadającego się do tego celu materiału, aby stawić opór ciągnięciu i ciśnieniu, może znieść to samo obciążenie co ciało masywne z tej samej substancji.

To samo zjawisko występuje przy powstawaniu pustych kości; w miarę zawiązywania się substancji litej na ich powierzchni, wewnętrzne części, stając się z punktu widzenia mechaniki bezużyteczne, przeobrażają się w tkankę tłuszczową, w żółty szpik.

Kość udowa jest dźwignią, a w jej konstrukcji przyroda organiczna wykonała - przez kierunek, jaki nadała beleczkom kostnym - z największą precyzją te same krzywe ciągnięć i ciśnień, które Hans Castorp musiałby wykreślić, gdyby miał w sposób poprawny przedstawić graficznie przyrząd spełniający tak trudne zadanie.

Stwierdzał to z zadowoleniem, bo czuł, iż do uda, czy też do organicznej przyrody w ogóle, pozostaje teraz już w trojakim stosunku: lirycznym, medycznym oraz technicznym - tak bardzo przejmował się tym Hans Castorp; a te trzy stosunki, jak sądził, są w człowieku zespolone w jedno, są odmianami jednej i tej samej dojmującej potrzeby, są fakultetami nauki o człowieku.

Mimo to wszystko, działanie protoplazmy pozostaje zupełnie niewytłumaczone, zrozumienie siebie samego jest czymś niedostępnym dla życia.

Większość biochemicznych procesów nie tylko jest nieznaną, lecz z samej ich istoty wynika, iż muszą pozostać nie zbadane.

O budowie, o składnikach jednostki życiowej, zwanej "komórką", nauka nie wie nic prawie. Na cóż się zda wyliczać składniki martwego mięśnia?

Mięśnia żyjącego niepodobna badać chemicznie; już te zmiany, które wywołuje stężenie pośmiertne, starczą, by wszelkie eksperymentowanie uczynić bezprzedmiotowym.

Nikt nie rozumie, na czym polega przemiana materii ani co jest istotą czynności nerwowych. Jakim to właściwościom zawdzięczają ciała spożywane swój smak?

Na czym polega różnorodność sposobów, w jakie substancje wonne pobudzają pewne narządy zmysłowe? Na czym w ogóle polega samo wydawanie woni?

Specyficzny odór zwierząt i ludzi powstaje dzięki parowaniu substancyj, których nikt nie potrafiłby nazwać.

Skład chemiczny wydaliny zwanej potem nie jest wyjaśniony w sposób wystarczający.

Gruczoły wydzielające go wytwarzają aromaty, które wśród ssaków odgrywają bez wątpienia poważną rolę, ale których znaczenie u człowieka jest nieznanne.

Fizjologiczna funkcja niezawodnie ważnych części ciała jest okryta ciemnością.

Można pominąć ślepą kışkę, która jest tajemnicą; u królika jest ona stale wypełniona papkowatą treścią, o której nie można orzec, w jaki sposób mogłaby wydostać się na zewnątrz lub odnowić się.

Ale jakże przedstawia się sprawa z białą i szarą substancją mózgu, jak ze wzgórkami wzrokowym, który łączy się z nerwem ocznym, i z szarymi jądrami "mostu"?

Substancja mózgu i rdzenia kręgowego ulega tak szybko rozkładowi, iż trzeba wyrzec się nadziei, by zdołano kiedykolwiek zgłębić jej budowę.

Co zawieszają czynności kory mózgowej podczas zasypiania?

Co staje na przeszkodzie samotrawieniu się żołądka, które w samej rzeczy następuje niekiedy po śmierci?

Odpowiadano: życie, specjalna odporność żyjącej protoplazmy - i udawano, jakoby się nie dostrzegano mistyczności tego wyjaśnienia.

Teoria tak codziennego zjawiska jak gorączka jest pełna sprzeczności.

WzmóŜona przemiana materii ma za sobą pociągającą zwiększoną produkcję ciepła.

Ale czemu nie wzmaga się wobec tego kompensacyjnie, jak w innych wypadkach, wydalanie ciepła?

Czy sparaliŜowanie sekrecji potu polega na stanach skurczowych skóry?

Ale dają się one stwierdzić tylko podczas dreszczy w gorączce, gdyż poza tym skóra jest raczej gorąca.

"Nakłucie ciepłne" każe szukać przyczyn zarówno wzmóŜonej przemiany, jak i właściwości skóry w centralnym układzie nerwowym, ale nie umiając określić, na czym one polegają, nauka zadawała się nadaniem im miana nienormalnych.

Cóż jednak znaczy cała ta niewiedza w porównaniu z bezradnością, z jaką staje się przed zjawiskami takimi jak pamięć lub owa głębiej sięgająca i bardziej zdumiewająca pamięć, która się nazywa dziedziczeniem cech nabytych.

Niepodobna sobie nawet wyobrazić mechanistycznego wyjaśnienia tego rodzaju czynności substancji komórkowej.

Komórka nasienna, która przenosi na jajo nieprzeliczone i skomplikowane właściwości gatunku i osobnicze cechy ojca, widoczna jest tylko pod mikroskopem, i nawet najsilniejsze powiększenie nie wystarcza, by ukazać ją inaczej niż jako ciało jednorodne i pozwolić stwierdzić jej pochodzenie; u wszystkich bowiem zwierząt wygląda tak samo.

Fakty te zmuszają do przypuszczenia, że nie inaczej ma się sprawa z komórką niż z ciałem wyższego rzędu przez nią kształtowanym; że więc i ona jest już wysoce złoŜonym organizmem, który z kolei sam znowu składa się z żywych ciał, z indywidualnych jednostek życiowych.

Postępuje się tedy od rzekomo najmniejszego ku jeszcze mniejszemu życiu, z konieczności rozkłada się to, co pierwotne, na jeszcze drobniejsze elementy.

Rzecz niewątpliwa, iż podobnie jak państwo zwierzęce składa się z różnych odmian zwierząt, a

organizm zwierzęcy i ludzki z całego zwierzęcego państwa odmian komórkowych, tak też społeczeństwo komórki składa się z nowego i różnorodnego państwa zwierzęcego pierwotnych jednostek życiowych, których wielkość leży głęboko poniżej progu widzialności mikroskopowej; wzrastają one samorzutnie - samorzutnie z punktu widzenia prawa, iż każda może zrodzić tylko podobną sobie.

- Rozmnażają się i, w myśl zasady podziału pracy, wspólnie służą wyższemu z kolei porządkowi życia.

Są to geny, bioblasty, biofory.

- Hans Castorp rad był w mroźną noc poznać je po imieniu.

Podniecenie Kazało mu tylko pytać, jak by też miała się sprawa z ich elementarnością pod jeszcze doskonalszym mikroskopem.

Skoro wytwarzają życie, muszą być zorganizowane, gdyż życie polega na organizacji; ale jeśli są zorganizowane, nie mogą być pierwotne, gdyż organizm nie jest pierwotny: jest złożony.

Są jednostkami życiowymi niższego rzędu aniżeli życiowa jednostka komórki, którą organicznie tworzą.

Ale jeśli istotnie tak się rzecz ma, muszą być same "zbudowane", chociaż są małe ponad wszelkie pojęcie, i rozbudowane organicznie, jako składniki pewnego układu życiowego; gdyż pojęcie jednostki życiowej jest identyczne z pojęciem składania się z jednostek życiowych mniejszych, niższego rzędu, to znaczy uporządkowanych dla celów wyższego życia.

Dopóki podział daje w wyniku organiczne jednostki, które popadają we właściwości życiowe, a mianowicie zdolność asymilowania, wzrastania i rozmnażania się, niepodobna ustanowić dlań granic.

Dopóki mowa o jednostkach życiowych, można tylko bezprawnie mówić o jednostkach pierwotnych, gdyż

pojęciu jednostki towarzyszy ad infinitum pojęcie kształtującej jednostki niższego rzędu, a życie pierwotne,

zatem coś, co jest już życiem, ale jest jeszcze pierwotne - nie istnieje.

Ale mimo logicznej niemożliwości istnienia coś podobnego musi ostatecznie w jakiś sposób być rzeczywiste, gdyż koncepcja pranarodzin, to znaczy: powstania życia z czegoś nieżyjącego, nie daje się

przecież odeprzeć, a owa przepaść, którą nadaremnie usiłowano zapełnić w zewnętrznej przyrodzie, mianowicie przepaść między przyrodą ożywioną a martwą, musi jednak pozwolić się w jakiś sposób zapełnić lub wyrównać w obrębie przyrody organicznej.

Kiedyś przecież podział doprowadzić musi do "jednostek", które złożone, ale jeszcze nie zorganizowane,

pośredniczyłyby między życiem a nieżyciem, do ugrupowania drobin tworzącego przejście między żywym

organizmem a czystą chemią.

Atoli dotarłszy do chemicznej drobiny znaleziono się oto w pobliżu otchłani, która rozwiera się o wiele

bardziej tajemniczo niż otchłań między przyrodą organiczną a nieorganiczną: w pobliżu przepaści między

tym, co materialne, a tym, co niematerialne.

Drobina bowiem złożona jest przecież z atomów, a rozmiary atomu w przybliżeniu nawet nie są dość duże,

by można go było nazwać choćby tylko niezmiernie małym.

Jest on do tego stopnia mały, jest tak drobnym, wczesnym i przejściowym skupieniem niematerialności,

tego, co jeszcze nie jest materią, ale jest już podobne do materii, słowem, do energii, iż winien być pomyślany jako ledwo już albo zaledwie jeszcze materialny, raczej jako środek i punkt graniczny między

tym, co materialne, a tym, co niematerialne.

Narzuca się tu zagadnienie innych pranarodzin, znacznie bardziej zagadkowych i fantastyczniejszych jeszcze od organicznych: pranarodzin materii z tego, co niematerialne.

W samej rzeczy przepaść między materią a niematerią domaga się równie gwałtownie, nawet gwałtowniej

jeszcze, wypełnienia aniżeli tamta między organiczną a nieorganiczną przyrodą.

Musi istnieć jakowaś chemia niematerialności, jakieś związki niematerialne, z których materia bierze swój

początek, podobnie jak organizmy powstają ze związków nieorganicznych; praorganizmami i monerami

materii są zapewne atomy - materialne z istoty swej, ale zarazem jeszcze niematerialne.

(Monery - istoty żyjące pozbawione jądra, pojęcie wprowadzone do biologii przez E.Haeckla 1834 - 1919).

Ale kiedy dociera się do tego, co "nawet nie jest już małe", wówczas miara wymyka się z rąk; "nawet już nie

małe" znaczy już tyleż, co "bezmierne wielkie"; a droga wiodąca ku atomowi okazała się bez przesady w

najwyższym stopniu niebezpieczną.

Gdyż w chwili, w której dokonuje się ostatecznego podziału i rozdrobnienia materii, odkrywa się nagle

przed oczyma wszechświat astronomiczny!

Atom jest układem kosmicznym naładowanym energią, w którym ciała planetarne wirują zaciekle wokół

jakiegoś ciała centralnego podobnego słońcu i przez którego przestrzeń, wypełnioną eterem, pędzą z szybkością lat świetlnych komety, wślaczone siłą ciała centralnego, w swe ekscentryczne orbity.

Nie jest to tylko porównaniem, podobnie jak nie jest nim nazwanie ciała tworów wielokomórkowych "państwem komórek".

Miasto, państwo, wedle zasady podziału pracy uporządkowana społeczność jest nie tylko czymś, co daje

się przyrównać do życia organicznego, lecz czymś, co je powtarza.

Tak to powtarza się w najgłębszym wnętrzu natury, w najdalszym odzwierciedleniu, makrokosmiczny świat gwiazd, których roje, gromady, grupy, figury, blade od poświaty księżycowej, unosiły się nad roziskrzoną mrozem doliną, nad głową owiniętego w koce adepta wiedzy.

Czyż nie wolno było myśleć, iż pewne planety słonecznego układu atomu - tych rojów i całych dróg mlecznych systemów słonecznych, tworzących materię - iż to lub owo ciało planetarne tego wewnętrznego

wszechświata znajduje się w stanie podobnym do tego, który uczynił ziemię siedliskiem życia? Dla młodego adepta wiedzy o nieco odurzonych ośrodkach nerwowych i o "nienormalnych" właściwościach skóry, któremu przecież nie brakło już pewnego doświadczenia na gruncie tego, co

niedozwolone, było to nie tylko sensownym, ale nawet aż do natarczywości narzucającym się, w najwyższej mierze przekonującym pomysłem, nie pozbawionym logicznego charakteru prawdziwości. "Małość" gwiazdzistych ciał wewnętrznego świata byłaby zarzutem wielce nierzeczowym, skoro przecież miara tego, co wielkie i małe, wymknęła się z rąk - jeśli nie wcześniej, to wtedy, kiedy objawił się kosmiczny charakter "najmniejszych" części materii, a pojęcia tego, co zewnętrzne i co wewnętrzne, utraciły z czasem również swe niewzruszone podstawy.

Świat atomu jest czymś zewnętrznym, podobnie jak najprawdopodobniej glob ziemski, który zamieszkujemy, rozpatrywany z punktu widzenia organicznego, jest czymś głęboko wewnętrznym. Czyż marzycielska śmiałość pewnego badacza nie mówiła o "zwierzętach Drogi Mlecznej" - o kosmicznych potworach, których ciało, kończyny i mózg składają się z systemów słonecznych?

Ale jeśli w istocie było tak, jak myślał Hans Castorp, wówczas w chwili kiedy przypuszczano, iż dotarło się do końca, wszystko rozpoczynało się od początku!

Wtedy, być może, we wnętrzu i na najgłębszym dnie swej istoty znajdował się jeszcze raz, jeszcze sto razy, on sam, młody Hans Castorp, ciepło otulony, leżący na balkonie z widokiem na rozjaśnioną księżycem, mroźną noc wysokogórską i, ze skostniałymi palcami i płonącymi policzkami, trawiony chęcią zgłębienia zagadnień medycyny i humanistyki, dociekał tajników życia cielesnego.

Anatomia patologiczna, której jeden z tomów trzymał nieco z boku w czerwonym blasku lampki stołowej, pouczała go za pomocą bogato ilustrowanego tekstu o istocie pasożytniczych zespołów komórkowych i guzów zakaźnych.

Są to rodzaje tkanek - i to niepoohamowane w rozwoju rodzaje tkanek - powstające przez wtargnięcie obcych komórek do organizmu który okazał się podatny do ich przyjęcia i rozwojowi ich zapewniał w jakiś sposób - raczej powiedzieć należy: w jakiś rozwiązły sposób - korzystne warunki.

Można pominąć to, iż pasożyt pozbawia pożywienia otaczającą go tkankę, ale wskutek przemiany materii, właściwej każdej komórce, wytwarza związki organiczne, które dla goszczących go komórek okazują się zadziwiająco jadowite, nieuchronnie niszczące.

Kiedy udało się z niektórych mikroorganizmów wydzielić toksyny i otrzymać je w stanie stężenia, okazało się, w jak zdumiewająco niewielkich dawkach substancje te, które należą po prostu do rzędu związków białkowych, wprowadzone w obieg krwi zwierzęcia wywołują najgroźniejsze objawy zatrucia i prowadzą do nieuniknionej zagłady.

Zewnętrzny objawem tego procesu jest bujanie tkanek, patologiczne obrzmienie, jako reakcja komórek na

podrażnienie wywołane przez zagnieżdżone wśród nich mikroby.

Tworzą się guzki wielkości ziarna prosa, złożone z komórek podobnych do komórek błony śluzowej, między którymi albo w których gnieźdzą się mikroby; niektóre z nich są wyjątkowo obficie zaopatrzone w

protoplazmę, a przy tym olbrzymie i wypełnione licznymi jądrami.

Ale ta zabawa bardzo szybko prowadzi do ruiny, gdyż oto jądra tych spotworniałych komórek poczynają

kurczyć się i rozpadać, a protoplazma ich zanikać wskutek krzepnięcia.

Podrażnienie ciałem obcym obejmuje stopniowo dalsze części okolicznych tkanek; procesy zapalne rozszerzają się na sąsiednie naczynia; zjawiają się białe ciała krwi, zwabione przez miejsce niedoli; zanikanie na skutek tężenia nie ustaje; a tymczasem rozpuszczalne jady bakteryjne od dawna już odurzyły

ośrodki nerwowe, wysoka gorączka trawi organizm, który niejako z falującą piersią zdąża ku swemu rozkładowi.

Tyle mówiła patologia, nauka o chorobie, o akcencie bólu postawionym nad ciałem, który wszakże, jako

podkreślenie, co cielesne, jest zarazem akcentem rozkoszy; choroba jest wyuzdaną formą życia. A życie ze Swej strony?

Czyż może jest tylko zakaźną chorobą materii - podobnie jak to, co wolno było nazwać pranarodzinami

materii, było może tylko chorobą pierwiastka niematerialnego, jego wybujaniem pod wpływem jakiejś

podniety?

Pierwszego kroku w stronę zła, ku rozkoszy i ku śmierci należy niezawodnie dopatrywać się tam, gdzie,

wywołane bodźcem nieznaną infiltracji, odbyło się owo pierwsze skupienie pierwiastka duchowego, owo patologicznie intensywne bujanie jego tkanki, które na wpół radośnie, na wpół się broniąc, stworzyło najwcześniejszy, przedwstępny szczebel substancjalności, przejście tego, co niematerialne, w coś materialnego.

To był grzech pierworodny.

Drugie pranarodziny, zrodzenie się organiczności z tego, co nieorganiczne, były już tylko fatalnym spotęgowaniem pierwiastka cielesnego do świadomości, podobnie jak odurzająca choroba organizmu jest spotęgowaniem i nieobyczajnym, nadmiernym zaakcentowaniem jego cielesności: życie jest tylko dalszym konsekwentnym krokiem na awanturycznym szlaku ducha, który się zbezczescił, jest odruchowym rumieńcem wstydu, jakiego doznaje materia, obudzona z niewrażliwości i gotowa na przyjęcie budzącego ją bodźca...

Stos książek piętrzył się na stoliku z lampką, jedna leżała na podłodze obok leżaka, na macie balkonu; a ta, którą Hans Castorp ostatnio studiował, spoczywała na jego brzuchu i przygniatała go utrudniając oddech; ale jego kora mózgowa nie wydała nakazu odpowiednim mięśniom, by ją usunęły.

Przeczytał stronicę aż do samego dołu, podbródek jego wsparł się o pierś, powieki opadły mu na prostoduszne niebieskie oczy.

Widział przed sobą obraz życia, kwitnącą budowę jego członków, jego piękność zaklętą w ciało.

Rozplotła ręce założone na karku, a jej rozwarte ramiona, na których wewnętrznej powierzchni,

zwłaszcza pod delikatną skórą stawu łokciowego, niebieskawo rysowały się naczynia, oba rozgałęzienia wielkich żył ramiona te pełne były niewysłowionej słodyczy.

Pochyliła się, pochyliła ku niemu, nad nim, czuł woń jej ciała, czuł krótkie uderzenia jej serca.

Gorąca tkliwość opłótła mu gardło, i gdy omdlewając z rozkoszy i lęku, kładł dłonie na jej ramiona, w miejsce gdzie skóra opinająca mięsień trójgłowy była upajająco chłodna - uczył na wargach wilgoć jej ssącego pocałunku.

Taniec szkieletów.

Wkrótce po świętach Bożego Narodzenia umarł sportsmen.

Ale przedtem były jeszcze właśnie te oba albo, wliczając Wigilię, te trzy uroczyste dni świąteczne, których Hans Castorp oczekiwał z pewnym lękiem i sceptycyzmem, jak też one tutaj będą wyglądały.

A nadeszły i minęły jako zwykłe dni powszednie, z rankiem, południem i wieczorem, i z pierwszą lepszą, przeciętną pogodą (była lekka odwilż); były to dni, jakich wiele, zewnątrz tylko nieco urozmaicone i wyróżniające się spośród innych; w ciągu odmierzonego im czasu poruszyły umysły i serca ludzkie i, pozostawiwszy za sobą osad niecodziennych wrażeń, stały się niedawną, a potem dalszą przeszłością...

Syn radcy dworu, imieniem Knut, przyjechał do ojca na wakacje i zamieszkał u niego w bocznym skrzydle budynku.

Był to przystojny młodzieniec, jednakże o grubawym już karku.

Wyczuwało się w atmosferze obecność młodego Behrensa: panie objawiały ochotę do śmiechu i strojenia się

i pewną drażliwość, w rozmowach wspominały o spotkaniach z nim w ogrodzie, w lesie albo w okolicy Kurhauzu.

Zresztą Knut sam miał gości: kilku jego kolegów uniwersyteckich, sześciu lub siedmiu studentów, przyjechało do Davos i zamieszkało w Uzdrowisku, ale jadali u radcy dworu i razem ze swym towarzyszem włączyli się gromadą po okolicy.

Hans Castorp unikał tych młodych ludzi i wraz z Joachimem schodził im z drogi, gdy groziło spotkanie.

Był jednym z tych, co mieszkają tu w górze, więc przepaść dzieliła go od tych rozśpiewanych włóczęgów wymachujących laskami - nie chciał o nich nic słyszeć ani wiedzieć.

Poza tym wydawało mu się, że większość z nich pochodzi z północnych Niemiec; mogli pomiędzy nimi

znajdować się jego ziomkowie, a Hans Castorp czuł trwogę przed swymi ziomkami i często z niechęcią

myślał o tym, że jacyś hamburczycy mogą zamieszkać w "Berghofie", tym bardziej że Behrens mówił, iż to

miasto dostarcza sanatorium licznego kontyngentu pacjentów.

Może byli tu jacyś wśród ciężko chorych i skazanych na śmierć, których się jednak nie widywało. Pojawił się tylko pewien kupiec z zapadniętymi policzkami, który siedział od kilku tygodni przy stole pani Iltis i podobno przybył z Cuxhaven.

Widząc go Hans Castorp cieszył się, że poza współbiednikami trudno tu było wejść z kimś w bliższy kontakt, a zarazem miła była mu świadomość, że jego ojczyste strony są tak rozległe i tak silnie towarzysko zróżnicowane.

Nieszkodliwa obecność tego kupca w znacznym stopniu łagodziła jego obawy związane z ewentualnym spotkaniem jakichś mieszkańców Hamburga tu w górze.

Zbliżała się więc Wigilia Bożego Narodzenia; pewnego dnia była już już za drzwiami, a następnego



stała się terażniejszością...

Kiedy Hans Castorp dziwił się, że już mówi się o świętach, brakowało do nich jeszcze więcej niż sześciu tygodni: więc, biorąc rzecz rachunkowo, jeszcze tyle czasu, ile Hans Castorp miał początkowo zamiar tutaj spędzić i ile spędził w łóżku będąc Chorym.

Wtedy był to olbrzymi przeciąg czasu, szczególnie, jak się Hansowi Castorpowi później wydawało, pierwsza jego połowa, podczas gdy rachunkowo równy okres miał teraz znaczenie niewielkie, prawie żadne; przyznawał więc rację swoim współbiednikom, którzy sobie ten okres tak lekceważyli. Sześć tygodni - a więc nawet nie tyle, ile jest dni w jednym tygodniu: ale czymże to było wobec dalszego pytania czym właściwie jest tydzień, taki mały cykl od poniedziałku do niedzieli i znowu poniedziałek?

Należało tylko zastanowić się nad wartością i znaczeniem kolejnych mniejszych jednostek czasu, aby zrozumieć że z sumowania ich niewiele wypadnie, że skutkiem tego właśnie działania będzie przecież poza tym także bardzo znaczne skrócenie, zatarcie, ściągnięcie się i zaniknięcie.

Czym jest jeden dzień, począwszy na przykład od chwili, kiedy zasiada się do obiadu, aż do powtórzenia się tego momentu po dwudziestu czterech godzinach?

Niczym - chociaż to jednak były całe dwadzieścia cztery godziny.

Ale czym z kolei jest jedna godzina, spędzona na przykład na werandowaniu, na spacerze albo przy jedzeniu - co już prawie w zupełności wyczerpuje możliwości spędzenia tej jednostki czasu?

Znowu niczym.

A sumowanie nicości z natury rzeczy nie jest czynnością poważną.

Najpoważniej przedstawia się sprawa, kiedy się schodzi do najniższych jednostek, i te siedem razy sześćdziesiąt sekund, w ciągu których trzeba trzymać termometr w ustach, aby potem wyrysować dalszy ciąg wykresu, są dziwnie nieustępliwe i pełne znaczenia; rozciągają się w małą nieskończoność, a w szybkim mknieniu wielkiego czasu stanowią okazałe skrzepy...

Święta nieznacznie tylko zdołały zamącić porządek dnia mieszkańców "Berghofu".

Wysmukłą choinkę ustawiono już na kilka dni przedtem pod prawą wąską ścianą jadalni, obok gorszego stołu rosyjskiego.

Jej woń, docierająca czasem poprzez ciepłe wyziewy obfitych dań do nozdrzy biesiadujących, wywoływała coś jakby zadumę w oczach niektórych osób siedzących przy siedmiu stołach.

Dwudziestego czwartego grudnia podczas kolacji drzewko ukazało się w ozdobnej szacie ze złotych i srebrnych włosów, szklanych kul, złożonych szyszek, jabłuszek zawieszonych w siatkach i z mnóstwa łakoci, a kolorowe świeczki woskowe paliły się w czasie jedzenia i później.

Mówiono, że i w pokojach obłożnie chorych jaśnieją drzewka; każdy ma swoje własne.

A już od kilku dni napływało bardzo wiele paczek pocztowych.

Joachim Ziemssen i Hans Castorp także otrzymali przesyłki z dalekiej i nizinnej ojczyzny, starannie owinięte podarunki, które rozłożyli sobie w pokojach: wymyślne części garderoby, krawaty, eleganckie przedmioty ze skóry i niklu, a również dużo świątecznego ciasta, orzechów, jabłek i marcypanu.

Wszystkie te zapasy obaj kuzyni oglądali pytającym wzrokiem, zastanawiając się nad tym, czy też znajdą tu kiedykolwiek odpowiednią porę na korzystanie z nich.

Hans Castorp wiedział, że panna Schalleen układała jego paczkę i że to ona, po uprzednim porozumieniu się z wujami, kupowała prezenty.

Do przesyłki dołączony był list od Bamesa Tienappla, pisany na grubym prywatnym papierze listowym, ale na maszynie.

Wuj przesyłał życzenia wesołych świąt i szybkiego powrotu do zdrowia, od siebie oraz w imieniu

swego

ojca, i przezornie dołączał jednocześnie aktualne już wkrótce powinszowania noworoczne, co zresztą uczynił i Hans Castorp, kiedy leżąc pisał zawczasu przed świętami do konsula Tienappla, składając mu

zarazem swój raport kliniczny.

Choinka w jadalni paliła się, trzeszczała, pachniała i podtrzymywała w umysłach i sercach poczucie uroczystości chwili.

Ubrano się odświętnie, panowie byli w strojach wizytowych, panie miały na sobie klejnoty, przysłane

zapewne przez kochających mężów z krajów leżących na równinie.

Także Kławdia Chauhat zamieniła swój codzienny wełniany sweterek na suknię wieczorową, która jednak

miała w sobie coś samowolnego albo raczej narodowego: był to jasny haftowany kostium z paskiem, o

ludowym charakterze rosyjskim czy też raczej bałkańskim, może Bułgarskim, upstrzony złotymi cekinami;

bogato opadające fałdy przydawały jej postaci niezwyklej pełni i miękkości, harmonizującej z tym, co

Settembrini nazwał jej "tatarską fizjonomią", a zwłaszcza "ślepiami wilka stepowego".

Przy lepszym stole rosyjskim było bardzo wesoło; tam wystrzeliła pierwsza butelka szampana, który pito

później przy wszystkich niemal stołach.

Przy stole obu kuzynów pierwszą butelkę zamówiła stara ciotka dla swej siostrzenicy i dla Marusi i częstowała wszystkich.

Menu było wyszukane; na zakończenie podano ciastka z serem i cukierki, potem zaś kawę i likiery; od czasu do czasu jakaś płonąca gałązka choinki wywoływała zanim ugaszono ogień, przesadną i

przeraźliwą

panikę.

Settembrini, ubrany jak zawsze, przysiadł się przy końcu świątecznej kolacji do stołu kuzynów, trzymając

w zębach jak zwykle wykałaczkę; przekomarzał się z panią Stohr, a potem powiedział coś niecoś o synu

cieśli i rabbim całej ludzkości, którego dzień narodzin właśnie symbolicznie obchodzono. Czy żył naprawdę - nie jest pewne.

Ale narodziła się wówczas i rozpoczęła swój zwycięski bieg, trwający do dnia dzisiejszego, idea wartości

każdej jednostkowej duszy a zarazem idea równości, jednym słowem indywidualistyczna demokracja. Na cześć tych idei wznosi kielich, który mu podsunęto.

Pani Stohr nazwała jego sposób wyrażania się "dwuznacznym i bez serca".

Na znak protestu wstała od stołu, a i reszta gości poszła za jej przykładem, bo właśnie zaczęto udawać się

do salonów.

Zebranie towarzyskie tego wieczora było bardzo ożywione i miało szczególną treść, ponieważ rozpoczęło

się od wręczenia podarunków panu radcy, który wraz z Knutem i panną Mylendonk przyszedł na pół

godzinki.

Rzecz rozegrała się w saloniku z optycznymi zabawkami.

Rosjanie ofiarowali, jako odrębny podarunek, wielki, srebrny, okrągły talerz z monogramem Behrensa

pośrodku: kompletna bezużyteczność tego prezentu rzucała się w oczy.

Na szeszlangu, ufundowanym przez pozostałych gości, można było przynajmniej leżeć, chociaż brakowało

jeszcze narzuty i poduszki i przykryty był zwyczajną chustką.

Ale oparcie pod głową można było przesuwając, i Behrens wyciągnął się na szeszlangu, aby wypróbować, czy

jest wygodny; trzymał przy tym pod pachą swój bezużyteczny talerz, zamknął oczy i zaczął chrapać i sapać

jak lokomotywa, utrzymując, że jest Fafnirem, który dzierży swój skarb.

(Fafnir - smok zabity wedle legend starogermańskich przez Siguarda - Zygfrida).

Radość była ogólna.

Również pani Chauchat śmiała się serdecznie z tego przedstawienia mrużąc oczy i otwierając usta; Hans

Castorp stwierdził, że i Przybysław Hippe, kiedy się śmiał, robił jedno i drugie zupełnie tak samo.

Natychmiast po odejściu naczelnego lekarza zajęto miejsca przy stołach do gry.

Rosjanie, jak zwykle, zajęli mały salonik.

Niektórzy stanęli przy choince, patrzyli, jak ogarki świeczek dogasają w metalowych oprawkach, i łasowali

zawieszane smakołyki.

Przy stołach, już nakrytych do pierwszego śniadania, siedziały poszczególne osoby, z dala od siebie, w różnych pozach, oddzielone od siebie milczeniem, i Pierwszy dzień Bożego Narodzenia był wilgotny i mglisty.

Behrens utrzymywał, że znajdują się w chmurach, bo mgły nie zdarzają się tu w górze.

Ale czy to chmury, czy mgły były jej przyczyną - w każdym razie wilgoć dawała się we znaki.

Śnieg pokrywający ziemię tajał na powierzchni, stawał się porowaty i lepki.

Twarz i ręce marzły podczas werandowania o wiele bardziej niż w czasie słonecznej mroźnej pogody.

Dzień ten wyróżnił się spośród innych wieczorną muzyką, prawdziwym koncertem, z rzędami krzeseł i drukowanymi programami.

Był to wieczór pieśni, Urządzony specjalnie dla mieszkańców "Berghofu".

Śpiewała pewna zawodowa śpiewaczka, osiadła tu i udzielająca lekcji w tej miejscowości.

Poniżej wycięcia jej sukni balowej widniały z boku dwa medale, ręce miała jak kije, a głos tak szczególnie bezdźwięczny, że przy słuchaniu nasuwały się smutne refleksje na temat przyczyn, dla których zamieszkała tu w górze.

Śpiewała: Miłość swą noszę wszędzie ze sobą.

Pianista, który jej akompaniował, był także tubylcem..

Pani Chauchat siedziała w pierwszym rzędzie, skorzystała jednak z pauzy, żeby się wymknąć, tak że Hans Castorp mógł od tej chwili spokojnie przysłuchiwać się muzyce (bądź co bądź to muzyka) odczytując sobie podczas słuchania śpiewu teksty wydrukowane w programie.

Przez chwilę siedział koło niego Settembrini, ale zniknął również, powiedziawszy coś bardzo dobitnego i plastycznego o przytłumionym bel canto miejscowej śpiewaczki oraz wyraziwszy z ironią

zadowolenie, że i dzisiaj wieczorem można spędzić czas tak po domowemu i w swoim kółeczku. Prawdę mówiąc, Hans Castorp odczuł ulgę, kiedy odeszło tych dwoje, wąskooka Rosjanka i pedagog, i mógł swobodnie słuchać śpiewu.

W ogóle uważał, że dobrze jest, iż na całym świecie, i nawet w najbardziej wyjątkowych warunkach, prawdopodobnie i w czasie wypraw polarnych, ludzie uprawiają muzykę.

Drugi dzień Bożego Narodzenia nie różnił się od zwykłej niedzieli, a nawet od dnia powszedniego niczym więcej poza leciutką świadomością jego obecności.

A kiedy minął, było już po świętach albo, można rzec z równą słusnością, przed nowymi świętami, które miały nadejść po upływie roku: dwunastu miesięcy brakowało do chwili, kiedy cykl znowu zostanie zamknięty - raptem o siedem miesięcy więcej, niż Hans Castorp już tutaj przesiedział.

Ale zaraz po tegorocznych świętach, jeszcze przed Nowym Rokiem, zmarł właśnie sportsmen.

Kuzyni dowiedzieli się o tym od Alfredy Schildknecht, zwanej siostrą Bertą, pielęgniarki biednego Fritza Rotina, która na korytarzu podzieliła się z nimi tą smutną wiadomością.

Hans Castorp wypadkiem tym bardzo się przejął, po części dlatego, że pewne przejawy życia sportsmena należały do najwcześniejszych jego wrażeń tu w górze - do tych wrażeń, które pierwsze, jak mu się zdawało, wywołały u niego wypieki na twarzy, utrzymujące się odtąd bez przerwy już do chwili obecnej - a po części z przyczyn natury moralnej albo lepiej: duchowej.

Długo zatrzymywał Joachima, kiedy rozmawiali z pielęgniarką, niezmiernie i aż krępująco wdzięczną, że raz wreszcie może wygadać się i z kimś podzielić myślami.

To cud prawdziwy, mówiła, że sportsmen doczekał jeszcze Świąt.

Od dawna jego wytrzymałość była zadziwiająca, ale jest zupełnie nie do pojęcia, czym właściwie pod koniec oddychał.

Prawda, że od wielu dni podtrzymywały go jedynie wielkie ilości tlenu: przez jeden tylko dzień wczorajszy skonsumował czterdzieści balonów, po sześć franków sztuka.

Panowie mogą sobie wyliczyć, ile to wszystko kosztowało, a trzeba wiedzieć, że jego żona, na której rękach wyzionął potem ducha, pozostała zupełnie bez środków do życia.

Joachimowi nie podobała się ta kosztowna metoda.

Po co w wypadku beznadziejnym męczyć jeszcze pacjenta i tak znacznym nakładem sztucznie utrzymywać go przy życiu?

Zmarłemu nie można brać za złe, że bez namysłu zużywał tyle drogiego życiodajnego gazu, bo działał pod przymusem.

Lekarze powinni byli jednak być rozsądniejsi i w imię Boże pozwolić mu iść jego nieuniknioną drogą, zupełnie niezależnie od jego warunków finansowych, a tym bardziej z ich uwzględnieniem. Żyjącym także coś się należy - i tak dalej.

Hans Castorp gorąco zaprotestował.

Zarzucał kuzynowi, że mówi już prawie tak jak Settembrini, bez szacunku i pietyzmu dla cierpienia.

Przecież sportsmen, ostatecznie, umarł, więc nie ma tu miejsca na żarty, to jedyny sposób dowiedzenia, że sprawę traktuje się poważnie, a zmarłemu należy się szacunek i wszelkie objawy czci, od tego Hans Castorp nie odstąpi.

Ma przy tym nadzieję, że Behrens w ostatniej chwili nie krzyczał na sportsmena i nie urągał mu bezceremonialnie.

Panna Schildknecht odrzekła, że nie było do tego powodu.  
Wprawdzie sportsmen uczynił jeszcze małą i bezsensowną próbę wymknięcia się i chciał wyskoczyć z  
łóżka, ale wystarczyło zwrócić mu delikatnie uwagę, na bezcelowość takiego postępowania, aby raz  
na  
zawsze dał spokój.  
Hans Castorp obejrzał zmarłego.  
Zrobił to umyślnie i na przekór panującemu tutaj systemowi zatajania, bo gardził egoistyczną, strusią  
polityką innych, i pragnął czynnie przeciwko niej zaprotestować.  
Przy stole chciał ogólną rozmowę sprowadzić na ten zgon, ale spotkał się z jednomyślnym i  
zapamiętałym  
oporem, który go zawstydził i wzburzył.  
Pani Stohr stała się po prostu grubiańska.  
Jak śmie poruszać taki temat, spytała, i w ogóle gdzie on się wychował?  
Tutejsze przepisy chronią starannie pacjentów od stykania się z podobnymi wypadkami, a tu nagle  
jakiś  
żółtodziób na cały głos o tym rozprawia, i to przy pieczeniu, a w dodatku w obecności doktora  
Blumenkohla,  
który też każdego dnia może spodziewać się śmierci.  
(To ostatnie powiedziała zasłaniając usta ręką).  
Jeżeli coś podobnego jeszcze raz się powtórzy, będzie musiała poskarżyć się.  
Wtedy właśnie złażany Hans Castorp powziął decyzję i oznajmił, że co się jego tyczy, to właśnie  
chce  
zmarłemu sąsiadowi oddać ostatnią posługę przez odwiedzenie zwłok i chwilę skupienia u łoża  
śmierci. Udało mu się nawet skłonić Joachima, aby uczynił to samo.  
Za pośrednictwem siostry Alfredy uzyskali wstęp do pokoju, w którym nastąpiła śmierć, położonego  
na  
pierwszym piętrze, pod ich pokojami.  
Przyjęła ich wdowa, niska, rozczochrana blondynka, na której znać było nieprzespane noce;  
przyciskała do  
ust chusteczkę, nos miała zaczerwieniony, a ponieważ w pokoju było zimno, podniosła kołnierz  
angielskiego palta, które miała na sobie.  
Radiator był zakrecony, a drzwi od balkonu otwarte.  
Młodzieńcy powiedzieli przytłumionym głosem co należało i, zaproszeni bolesnym skinieniem ręki,  
skierowali się ku łóżku.  
Szli pełnym trwożnej czci, podanym naprzód i kołyszącym się krokiem, nie stąpając na obcasach, a  
potem  
stanęli przy łóżku, patrząc na zmarłego, każdy po swojemu: Joachim sztywno, z wojskowym  
półukłonem, a  
Hans Castorp swobodnie, ze skrzyżowanymi w zamyśleniu rękami na piersiach i w bok przechyloną  
głową,  
z miną podobną do tej, z jaką zwykle słuchał muzyki.  
Głowa sportsmena leżała wysoko na poduszkach, a przez to całe ciało, poza lekkim wzniesieniem  
stóp w  
końcu łóżka pod kołdrą, ciało, ta wydłużona konstrukcja i wielokrotne źródło życia, sprawiało

wrażenie  
tym bardziej płaskiego, płaskiego niemal jak deska.  
Wiązanka kwiatów leżała w okolicy kolan, a wystająca z niej gałązka palmowa dotykała wielkich, żółtych, kościstych dłoni, splecionych na zapadniętej piersi.  
Żółta i koścista była również twarz wraz z łysą czaszką, garbatym nosem, ostrymi kośćmi policzkowymi i krzaczastymi rudo blond wąsami, których grubość zdawała się jeszcze pogłębiać szare i zarośnięte jamy policzków.  
Oczy były w sposób nienaturalnie szczelny zakryte powiekami - nie zamknęły się, lecz powieki ich ktoś zacisnął, pomyślał Hans Castorp: nazywa się to ostatnią posługą, chociaż czyni się to bardziej ze względu na pozostałych niż na umarłych.  
Powinno się to też robić zaraz, natychmiast po śmierci, bo kiedy proces powstawania miozyny postąpi już w mięśniach, będzie za późno, i nieboszczyk będzie leżał z szeroko otwartymi oczami; o złudzeniu snu nie będzie już wtedy mogło być mowy.  
Hans Castorp, pod wieloma względami w swoim żywiole, stał w skupieniu u wezglowia zmarłego, wykazując jednak znajomość rzeczy i otrzaskanie.  
"Wygląda, jakby spał" - rzekł z litości, chociaż dostrzegało się poważne różnice.  
Potem taktownie przyciszonym głosem rozpoczął rozmowę z wdową po sportsmenie, dowiadywał się o przebieg choroby jej męża, jego ostatnie dni i chwile oraz o mające nastąpić przewiezienie zwłok do Karyntii, okazując w ten sposób zarówno współczucie, jak znawstwo w dziedzinie lekarskiej i obyczaj mowy rytualnej.  
Wdowa, łkając od czasu do czasu, odpowiadała mu swym z austriacka przeciągającym zgłoski i nosowym akcentem i wyrażała zdziwienie, że młodzi ludzie skłonni są do takiego zainteresowania cudzym nieszczęściem.  
Hans Castorp tłumaczył, że przecież oni obaj także są chorzy i że on sam poza tym już we wczesnych latach dzieciństwa nieraz stał u łoża śmierci swoich najbliższych; powiedział, że jest sierotą bez ojca i matki i że od dawna już jest, jeśli można tak się wyrazić, za pan brat ze śmiercią.  
Wdowa spytała, jaki zawód obrał sobie Hans Castorp.  
Odparł, że "był" technikiem.  
- Był?  
- Był - w tym znaczeniu, że przecież teraz choroba i Bóg wie jak długi pobyt tutaj przeszkodziły mu w studiach; oznacza to poważną przerwę, a może nawet - któż to wie - punkt zwrotny w jego życiu.  
(Joachim spojrział na niego badawczo i z przerażeniem).  
- A pański kuzyn?

- Ten chce na dole zostać żołnierzem, jest kandydatem na oficera.

- O - rzekła wdowa - rzemiosło wojenne jest również zawodem wymagającym powagi; żołnierz musi być przygotowany na możliwość bliskiego kontaktu ze śmiercią i powinien zawnoczasu przyzwyczajając się do jej widoku.

- Żegnając młodzieńców wyrażała swą wdzięczność, pełną uprzejmego opanowania, które wobec jej ciężkiego położenia a zwłaszcza pozostawionego przez małżonka wysokiego rachunku za tlen, nie mogło nie wzbudzić szacunku.

Obaj kuzyni powrócili na drugie piętro.

Hans Castorp był bardzo zadowolony z wizyty, przeżyte wrażenia wzbudziły w nim zainteresowanie problemami duchowymi.

- Requiescat in pace - powiedział.

- Sit tibi terra levis.

Requiem aeternam dona ei, Domine.

(łacińskie - Niechaj ci ziemia lekka będzie. Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie).

Widzisz, kiedy chodzi o śmierć i kiedy mówi się do umarłych lub o nich, wtedy znowu łacina wstępuje w swoje prawa; to jest w takich wypadkach oficjalny język i zaraz widać, że śmierć jest czymś szczególnym i wyjątkowym.

Ale nie z humanistycznej kurtuazji mówi się na cześć śmierci po łacinie, to nie jest szkolna łacina, rozumiesz, ale język o zupełnie innym, można nawet powiedzieć, przeciwnym charakterze.

Jest to łacina rytualna, dialekt mnichów, średniowiecze, coś jakby głuchy, monotony, podziemny śpiew

Settembrini nie byłby nim zachwycony; to nie jest dla humanistów, republikanów i takich jak on pedagogów, to dobre dla innego kierunku duchowego, dla tego drugiego, który także istnieje.

Sądzę, że trzeba zdać sobie sprawę z różnych kierunków albo, jak słuszniej należałoby powiedzieć, nastrojów umysłu - istnieje kierunek pietyzmu i kierunek niezależny.

Oba mają swoje dobre strony, ale niezależnemu, który reprezentuje Settembrini, muszę zarzucić to, że jego przedstawiciele myślą, iż wzięli całkowicie godność ludzką w arendę, a to jest przesada.

W tym drugim kierunku jest również, choć w pewien specjalny sposób, wiele miejsca dla ludzkiej godności; a także dla wysokiej przyzwoitości, właściwej postawy i istotnie dobrych form; czyni on nawet pod tym względem więcej niż kierunek niezależny, chociaż ma głównie na oku słabość i ułomność człowieka, a myśl o śmierci i zagładzie odgrywa w nim nader ważną rolę.

Czyś był kiedy w teatrze na "Don Karlosie" i czy widziałeś, jak wygląda dwór hiszpański, kiedy wchodzi król Filip, cały czarno ubrany, z orderem Podwiązki i ze Złotym Runem, zdejmując kapelusz, wyglądający

już prawie tak samo jak nasze meloniki - właściwie podnosi go w górę i mówi: "Przykryjcie głowy, grandowie", czy coś w tym rodzaju?  
Jest w tym duża ceremonialność, nie ma mowy o jakimkolwiek zaniedbaniu lub rozluźnieniu obyczajów,  
przeciwnie, bo nawet królowa odzywa się: "W mojej Francji jednak Było inaczej"; ma się rozumieć, dla niej  
jest to zanadto wyrachowane i kłopotliwe, wolałaby więcej serdeczności, więcej ludzkiej prostoty.  
Ale co właściwie znaczy: "ludzki"?  
Ludzkie jest wszystko: hiszpańska bogobojność i uroczysta pokora, i surowe przestrzeganie dystansu są  
według mnie bardzo dostojną formą ludzkości, a z drugiej strony można słowem "ludzkie" określić  
każde  
opuszczenie się i zaniedbanie - chyba przyznajesz mi rację?  
- Co do tego zgadzam się z tobą - odrzekł Joachim.  
- Zaniedbywania i opuszczania się i ja naturalnie również nie znoszę.  
Musi być dyscyplina.  
- Tak, ty to mówisz jako wojskowy, i przyznaję, że w wojsku znają się na takich rzeczach.  
Ta wdowa miała rację mówiąc o waszym zawodzie, że ma w sobie dużo powagi, bo zawsze musicie  
być  
przygotowani na to, iż w razie czego zetkniecie się ze śmiercią.  
Macie obcisłe i schludne mundury ze sztywnymi kołnierzami, i to wam nadaje przyzwoity wygląd.  
A poza tym uznajecie hierarchię i subordynację i w ceremonialny sposób oddajecie sobie honory; to  
jest w  
duchu hiszpańskim, jest z ducha pietyzmu, i w gruncie rzeczy podoba mi się to.  
Wśród nas, cywilów, powinno by być więcej z tego ducha; powinien by się on objawiać w naszych  
obyczajach i w naszym sposobie zachowywania się; to bym wolał, uważałbym to za słuszne.  
Według mnie życie i świat są tego rodzaju, że wszyscy powinni by ubierać się czarno, mieć  
krochmalone  
kryzy zamiast waszych kołnierzy i, pamiętając o śmierci, nadawać wzajemnym swym stosunkom  
charakter  
poważny, dyskretny i formalny - to by mi odpowiadało, to uważałbym za słuszne.  
Widzisz, to także jest błędem ze strony Settembriniego i jeszcze jednym zarozumiałstwem - bardzo  
dobrze,  
że w toku rozmowy poruszyłem ten temat.  
On sądzi, że nie tylko godność ludzką ma w arendzie, ale i moralność - dzięki swojej "praktycznej  
pracy  
życiowej" i swemu niedzielnemu święceniu postępu (jak gdyby właśnie w niedzielę nie miało się o  
czym  
myśleć, tylko o postępie), a również dzięki owemu systematycznemu tępieniu cierpienia, o czym ty  
zresztą  
nic nie wiesz, ale mnie o tym opowiadał, by mnie pouczyć: pragnie systematycznie tępić cierpienie za  
pomocą pewnej encyklopedii.  
A jeśli to właśnie wydaje mi się niemoralnym - to co?  
Jemu, naturalnie, nie mówię tego, bo mnie przecież na śmierć zagada swoim plastycznym sposobem  
wyrażania się i powie: "Ostrzegam pana, inżynierze"!



Ale wolno mieć o tym wszystkim swoje własne zdanie: Sire, daj nam wolność myślenia. ( - w "Don Karlosie" SchiUera słowa markiza Pozy, zwrócone do króla Filipa).

Chcę ci coś powiedzieć - zakończył.

(Weszli właśnie do pokoju Joachima, i Joachim przygotowywał się do werandowania).

- Powiem ci, co sobie postanowiłem.

Mieszkamy tutaj tuż obok konających i największego cierpienia i męki, nie tylko jednak udajemy, że to nic

nikogo nie obchodzi, ale jeszcze w dodatku oszczędzają nas i chronią, abyśmy broń Boże z tym wszystkim

się nie zetknęli i nic z tego nie zobaczyli; sportsmena wyniosą teraz także znowu po kryjomu, podczas

gdy będziemy siedzieli przy podwieczorku albo przy śniadaniu.

Uważam to za niemoralne.

Ta pani Stohr była przecież wściekła, kiedy tylko wspomniałem o tym zgonie; to już jest zbyt głupie, ale

jeżeli nawet jest tak niewykształcona i mówi, że "Cichuteńko, ma piosenko, mknij ku niebu przez okienko",

jak się jej to niedawno wydarzyło przy stole, to jednak mogłaby mimo to być trochę moralniejszą w swoich

uczuciach, a inni także.

(Cichuteńko, ma piosenko...

- aria Agaty z "pery Webera "Wolny strzelec").

Owóż postanowiłem sobie, że będę w przyszłości trochę bardziej zajmował się tutejszymi ciężko

chorymi

skazanymi na śmierć, to mi dobrze robi - już ta nasza wizyta zrobiła mi poniekąd dobrze.

Ten biedny Reuter wówczas z numeru dwudziestego piątego, którego widziałem raz przez drzwi w

pierwszych dniach mojego pobytu, pewno już dawno odszedł ad fcnates i został po kryjomu

wyniesiony

już wtedy miał tak nienaturalnie wielkie oczy.

Ale są za to inni, zakład jest przepełniony, wciąż przybywają nowi, a siostra Alfreda albo panna von Mylendonk, albo i sam Behrens z pewnością pomogą nam w nawiązaniu tej lub owej znajomości; to się da

łatwo przeprowadzić.

Przypuścmy, że jakiś kandydat na tamten świat ma urodziny, i że my się o tym dowiadujemy - można

przecież uzyskać taką informację.

A więc posyłamy mu albo jej - jemu albo jej, zależnie od wypadku - doniczkę kwiatów do pokoju; uprzejmość ze strony dwóch kolegów, bez wymienienia nazwisk - i serdeczne życzenia powrotu do

zdrowia - wyrażenie "powrót do zdrowia" jest zawsze aktem grzeczności i na miejscu.

Naturalnie powiedzą temu pacjentowi, kto im to przysłał, i on albo ona każe nam, ze względu na swe osłabienie, grzecznie przez drzwi podziękować, a może zaprosi nas na chwileczkę do pokoju, a my zamienimy z nim jeszcze kilka serdecznych słów, zanim wyzionie ducha.

Tak sobie to wyobrażam.

Zgadzasz się?

Ja w każdym razie postanowiłem to sobie.

Joachim miał też niewiele do zarzucenia tym zamiarom.

- To jest sprzeczne z tutejszymi przepisami- rzekł - przekraczasz je poniekąd w ten sposób. Ale myślę, że wyjątkowo, kiedy sobie tego tak życzysz, Behrens da ci chyba pozwolenie. Możesz przecież powołać się przy tym na swoje medyczne zainteresowania.

- Tak, między innymi także na to - powiedział Hans Castorp, bo rzeczywiście motywy, z których zrodziło się jego pragnienie, były powikłane.

Protest przeciwko panoszącemu się tutaj egoizmowi był tylko jednym z nich, a w parze z nim szła głęboka potrzeba poważnego traktowania i uszanowania choroby i śmierci; Hans Castorp miał nadzieję, że przez zbliżenie się do ciężko chorych i umierających potrzeba ta dozna zaspokojenia i pogłębienia, co będzie przeciwwagą licznych urazów, na które co krok, każdego dnia i każdej chwili była wystawiona i które ku niemałemu jego zmartwieniu stanowiły potwierdzenie niektórych poglądów Settembriniego.

Przykładów było aż nadto wiele; gdyby zapytano o to Hansa Castorpa, wspomnieliby zapewne przede wszystkim o tych osobach, które, prawdę powiedziawszy, w ogóle nie były chore, ale przebywały w "Berghofie" zupełnie dobrowolnie, oficjalnie pod pretekstem lekkiego schorzenia, ale faktycznie dla przyjemności tylko i dlatego, że odpowiadał im sanatoryjny tryb życia; do tych osób należała wspomniana już przelotnie pani Hessenfeld, wdowa, kobieta o wielkim temperamencie, która namiętnie lubiła zakłady: zakładała się z panami, zakładała się przy każdej sposobności i o wszystko; zakładała się, jaka będzie pogoda, jakie potrawy podadzą, jak wypadnie generalne badanie lekarskie i ile komu przydadzą miesiące, kto zwycięży w zawodach sportowych na bobslejach, saneczkach, nartach albo na ślizgawce, jaki przebieg będą miały nawiązujące się flirty wśród gości - i przy stu fajnych, często niezmiernie błahych okazjach; zakładała się o czekoladki, szampana i kawior, którymi później raczono się w restauracji, o pieniądze, bilety do kina, nawet o to, że ktoś kogoś pocałuje lub będzie przez kogoś pocałowany; ta jej namiętność wniosła wiele napięcia i życia do sali jadalnej, tylko że Hans Castorp nie mógł brać tych spraw zbyt serio, a sama jej obecność uwłaczała, jak sądził, powadze tego przybytku cierpienia.

Bo wewnętrzne jego dążenia szły właśnie w kierunku zachowania i obrony tej powagi, jakkolwiek po półrocznym już prawie pobycie pośród tych tu w górze niełatwo mu to przychodziło.

Jego spostrzeżenia dotyczące ich sposobu życia, obyczajów i poglądów nie bardzo sprzyjały owym dążeniom.

Bo byli tam owi dwaj szczupli modnisie, jeden siedemnastoletni, a drugi o rok starszy, zwani "Maks i Moryc", których wymykanie się wieczorami na pokera albo na libacje w damskim towarzystwie dawało wiele tematu do plotek.

Niedawno, mniej więcej w tydzień po Nowym Roku (bo stwierdzić należy, że podczas naszego

opowiadania czas niepowstrzymanie płynie dalej swym cichym biegiem), rozeszła się podczas śniadania wiadomość, że kąpielowy znalazł ich rano leżących w łóżkach, w pogniecionych wieczorowych ubraniach.

Nawet Hans Castorp śmiał się; ale jeżeli fakt ten kazał mu się wstydzić jego dobrej woli, to jednak był niczym wobec sprawy adwokata Einhofa z Juterbogu, człowieka już czterdziestoletniego, ze spiczastą bródką i obrośniętymi czarnym włosom rękami, który od pewnego czasu zajmował miejsce uleczzonego Szweda przy stole Settembriniego.

Pan ten nie tylko co noc wracał pijany do domu, ale niedawno w ogóle nie wrócił, natomiast znaleziono go na łące.

Miał reputację niebezpiecznego uwodziciela, a pani Stohr mogłaby nawet palcem wskazać pewną młodą damę - na nizinie zresztą zaręczoną - którą widziano, jak o pewnej godzinie wychodziła z pokoju Einhofa, okryta tylko futrem, pod którym miała mieć tylko reformy.

Było to skandaliczne - nie tylko z punktu widzenia moralności w ogóle, ale skandaliczne dla Hansa Castorpa i osobiście go obrażające, wobec jego obecnych duchowych dążeń.

Ponadto nie mógł myśleć o osobie adwokata nie wspominając przy tym Franeczki Oberdank, tej gładko uczesanej panią, którą kilka tygodni temu przywiozła na górę jej matka, poważna prowincjonalna matrona.

Po swoim przyjeździe i po pierwszym zbadaniu dziewczyna uchodziła za lekko chorą.

Ale czy zachowywała się nie tak jak należało, czy właśnie w jej przypadku tutejsze powietrze na początku sprzyjało raczej rozwojowi choroby zamiast jej przeciwdziałać, czy może mała została wplątana w jakieś intrygi i narażono ją na zdenerwowanie, które jej zaszkodziło - dość że w cztery tygodnie po przyjeździe, wracając z ponownej wizyty lekarskiej, weszła rozpromieniona do jadalni i podrzucając w górę swą torebkę wykrzyknęła uradowanym głosem: "Hura, muszę tu zostać rok"!! co wywołało w całej sali wybuch homerycznego śmiechu.

Ale w dwa tygodnie później rozeszła się pogłoska, że adwokat Einhof zachował się wobec Franeczki Oberdank jak łajdak.

Musimy zaznaczyć, że za wyrażenie to my ponosimy odpowiedzialność lub co najwyżej Hans Castorp, bo tym, którzy rozpowszechniali tę wiadomość, incydent ów nie wydawał się bynajmniej czymś tak niezwykłym, żeby mógł wywołać tak mocne słowa.

Wzruszając ramionami dawali też do zrozumienia, że przecież do tych rzeczy trzeba zawsze dwóch osób i że prawdopodobnie nic się nie stało wbrew woli i życzeniu jednej ze stron.

Przynajmniej takie stanowisko i taką postawę moralną zajęła pani Stohr wobec całej tej sprawy.

Karolina Stohr była okropna.

Jeżeli coś przeszkadzało Hansowi Castorpowi w jego uczciwych zamierzeniach, to właśnie osoba pani Stohr i jej charakter.

Wystarczyłyby już same dowody ignorancji, jakie nieustannie składała.

Mówiła "agonija", nasłonecznienie nazywała "insolwencją" i wygadywała wierutne bzdury o zjawiskach astronomicznych wywołujących zaćmienie słońca.

Utrzymywała, że olbrzymie masy śniegu, utrudniające tu zimą egzystencję, to prawdziwa "katalepsja"; a pewnego dnia wprawiała pana Settembriniego w długotrwałe osłupienie, mówiąc, że właśnie pożyczyła sobie z biblioteki zakładowej pozycję, czyli obecnie książkę, która by go pewno interesowała, mianowicie: "Benedetto Cenelli w tłumaczeniu Schillera"!

(Chodzi o autobiografię Benvenuto Celliniego, złotnika i rzeźbiarza włoskiego 1500 - 1571, którą na język niemiecki przełożył Goethe).

Lubiła wyrażenia wytarte, niesmaczne i w złym guście modne, które działały na nerwy, jak i

przykład: "To inna para kaloszy", "Jeszcze raz, póki czas".

A ponieważ słowo "bycze", które w ustach młodych dowcipnisiów przez długi czas zastępowało określenia "świetne" lub "doskonałe", straciło już moc, sprostyowało się i przestarzało - rzuciła się w coś najnowszego, mianowicie na słówko "morowe".

Wszystko, serio lub ironicznie, nazywała "morowym": tor saneczkowy, leguminę i temperaturę własnego

ciała, co było już zupełnie obrzydliwe.

Należy dodać do tego i jej plotkarstwo, które nie miało żadnych granic.

Nie było jeszcze najgorsze, kiedy wtajemniczyła wszystkich, że pani Salomon włożyła dzisiaj najwytworniejszą koronkową bieliznę, bo jest zamówiona do badania i chce kokietować obu lekarzy eleganckim dessous; była w tym pewna doza słuszności: Hans Castorp już sam zauważył, że procedura

badania, niezależnie od wyników, sprawia paniom wielką przyjemność i że wybierając się do gabinetu

stroją się zalotnie.

Ale cóż powiedzieć o jej zapewnieniach, że pani Redisch z Poznania, u której podejrzewano gruźlicę kręgosłupa, musi co tydzień przez dziesięć minut maszerować nagusienka po pokoju, tam i z powrotem,

przed radcą Behrensem?

Twierdzenie to było niemal równie nieprawdopodobne jak gorszące, ale pani Stohr upierała się przy nim i

zaklinała się na wszystkie świętości, że tak jest w istocie - chociaż trudno było pojąć, jakim sposobem, jeśli

chodziło o podobne rzeczy, ta nieszczęśnica znajdowała tyle energii, zażartości i uporu, podczas gdy załatwianie własnych, najważniejszych spraw wydawało jej się trudnością nie do przewyciężenia.

Bo od czasu do czasu nawiedzały ją ataki tchórzliwego i płaczliwego niepokoju z powodu jej rzekomo

wzrastającego "okłapnięcia" albo wznoszenia się wykresu temperatury.

Zjawiała się wtedy z płaczem w jadalni, ze strumieniami łez płynącymi po chropowatych i czerwonych

policzkach, i skarżyła się w chusteczkę do nosa, że Behrens chce ją wpakować do łóżka, ale ona pragnęłaby

wiedzieć, co on powiedział poza jej plecami, co jej właściwie jest, jaki jest jej stan zdrowia i że w ogóle chce

prawdzie spojrzeć w oczy!

Ku swemu przerażeniu spostrzegła pewnego dnia, że leżąc w łóżku ma nogi skierowane w kierunku bramy

zakładu, i to odkrycie przyprawiło ją prawie o konwulsje.

Nie od razu zrozumiano jej wściekłość i przestach, szczególnie Hans Castorp nieprędko domyślił się, o co

tu chodzi.

No, więc?

Jak to?

Dlaczego łóżko nie ma stać tak, jak stoi?

- Ależ na miłość Boską, czy on naprawdę nie może pojąć!

"Nogami naprzód...!"

Narobiła rozpaczliwego hałasu i natychmiast musiano łóżko przestawić, chociaż odtąd leżąc, miała światło

w oczy, co przeszkadzało jej w spaniu.

To wszystko razem było niepoważne i nie odpowiadało duchowym potrzebom Hansa Castorpa.

Straszny wypadek, który wydarzył się w tych czasach przy stole, wywarł na młodzieńcu specjalnie silne

wrażenie.

Okazało się mianowicie, podczas gdy goście w najlepsze zajadali, że pan Popow, nauczyciel, pacjent jeszcze

dość nowy, chudy i cichy człowiek, któremu wyznaczono miejsce, podobnie jak jego również chudej i cichej

narzeczonej, przy lepszym stole rosyjskim, jest epileptykiem.

Dostał nagle silnego ataku, i z owym krzykiem, którego demoniczny i nieludzki charakter już nieraz był

opisywany, runął z krzesła na ziemię, wymachując dokoła siebie straszliwie pokurczonymi rękami i nogami.

Sytuację skomplikował jeszcze fakt, że podawano właśnie rybę, obawiano się więc, że Popow może udławić się ością.

Zamieszanie było nie do opisania.

Większość pań: panie Salomon, Redisch, Hessenfeld, Magnus, Iltis czy jak się tam nazywały, z panią Stohr

na czele, doznawały najrozmaitszych przypadłości, tak że niektóre z nich zachowywały się prawie tak samo

jak pan Popow.

Krzyki ich głośno rozbrzmiewały w sali.

Widziało się tylko zaciśnięte powieki, szeroko otwarte usta i powykręcane ciała.

Jedna tylko z nich dała pierwszeństwo cichutkiemu omdleniu.

Zaczęto się dławić, Bo wszystkich zaskoczył ten wypadek podczas żucia i połykania.

Część towarzystwa zaczęła uciekać, którądy tylko się dało, nawet przez drzwi prowadzące na werandę, chociaż na dworze było zimno i mokro.

Zajście to, poza całą swą okropnością, miało jeszcze w sobie coś szczególnie odpychającego, a to wskutek pewnych nasuwających się skojarzeń z ostatnim wykładem doktora Krokowskiego.

Ów analityk, wykładając o miłości jako potędze chorobotwórczej, mówił właśnie ostatnim razem o padaczce, i cierpienie to, które w czasach przedanalitycznych ludzkość uważała bądź na przemian za święte, a nawet prorocze nawiedzenie, bądź za diabelskie opętanie, w na pół poetyckich, na pół niemiłosiernie naukowych słowach przedstawił jako równoważnik miłości i spazm miłosny mózgu; jednym słowem, opisał epilepsję w tak podejrzany sposób, że scena, zaimprovizowana przez pana Popowa, ta żywa ilustracja wykładu, musiała na słuchaczach doktora zrobić wrażenie wyuzdanego objawienia i tajemniczego skandalu; ucieczka pań była więc poniekąd jednocześnie zamaskowanym wyrazem pewnej wstydlivości.

Sam radca był wtedy obecny na sali i przy pomocy panny Mylendonk oraz kilku młodych i silnych kuracjuszy wyniósł z sali sinego, zeszywniałego, pokręconego i nieprzytomnego epileptyka, któremu z ust lała się piana.

Długo jeszcze widziano, jak w hallu krzątała się starsza siostra i część personelu około

nieprzytomnego, którego następnie wyniesiono na noszach.

Ale wkrótce potem ujrzano, jak cichutki pan Popow, w dobrym humorze, w towarzystwie również cichej i zadowolonej narzeczonej kończył swój obiad przy lepszym stole rosyjskim jak gdyby nigdy nic! Hans Castorp był przy tym wypadku obecny i przez cały czas objawiał pełne szacunku przerażenie, ale w gruncie rzeczy nawet to wydawało mu się niepoważne.

- Bóg z nim!

Oczywiście, Popow mógł udławić się ością, ale przecież w rzeczywistości nie udławił się, musiał więc w czasie ataku bezprzytomnego szału i spazmu rozkoszy jednak po kryjomu troszeczkę uważać. A teraz siedział sobie wesoły, kończył posiłek i robił taką minę, jak gdyby nigdy nie był się zachował jak nieokiełznany żołdak albo rozwścieczony pijak, i z pewnością tego nawet nie pamiętał. Także jego wygląd zewnętrzny nie był wcale tego rodzaju, żeby wzmacniał pietyzm Hansa Castorpa dla cierpienia, lecz raczej pogłębiał wrażenie rozwiązłości i braku powagi, które Hans Castorp ku wielkiemu swemu niezadowoleniu odbierał tutaj na każdym kroku i przed którym chciał się bronić, interesując się, wbrew panującym tu zwyczajom, ciężko chorymi skazanymi na śmierć.

Na piętrze obu kuzynów, niedaleko od ich pokojów, leżała bardzo młoda dziewczyna, Leila Gerngross, która według relacji siostry Alfredy była bliska śmierci.

W ciągu dziesięciu dni miała cztery gwałtowne krwotoki i jej rodzice przyjechali do sanatorium, żeby ją o ile możliwości żywą jeszcze zabrać do domu.

Ale to okazało się niemożliwym.

Radca Behrens oświadczył, że biedna mała Leila nie znieśie drogi.

Miała szesnaście lub siedemnaście lat.

Hans Castorp sądził, że znalazł teraz dogodną okazję urzeczywistnienia swoich projektów i może przesłać chorej doniczkę kwiatów z życzeniami rychłego powrotu do zdrowia.

Wprawdzie Leila Gerngross nie obchodziła w tym czasie urodzin i, o ile można było przewidzieć, nigdy już ich nie miała obchodzić, ponieważ, jak się Hans Castorp dowiedział, przypadają dopiero na wiosnę; ale fakt ten, jego zdaniem, nie powinien być stanąć na przeszkodzie takiemu miłosiernemu aktowi hołdu. Podczas jednej z południowych przechadzek w okolicę Kurhauzu wstąpił z kuzynem do kwiaciarni, gdzie chciwie wciągał w płuca zapach wilgotnej ziemi, zmieszany z wonią kwiatów.

Kupił doniczkę z ładną hortensją i kazał ją posłać anonimowo młodziutkiej konającej, z biletem, na którym widniały tylko słowa: "Od dwóch sąsiadów, z najserdeczniejszymi życzeniami szybkiego wyzdrowienia".

Czynił to wszystko z radością, przyjemnie oszołomiony zapachem kwiatów i łagodnym ciepłem sklepu, które po wejściu z mrozu panującego na dworze wyciskało mu łzy z oczu.

Czuł przyspieszone bicie serca i zdawało mu się, że jego skromne przedsięwzięcie, któremu skrytości przypisywał symboliczne znaczenie, jest niezwykle śmiałe, awanturnicze i zarazem bardzo celowe.

Leila Gemgross nie miała prywatnej pielęgniarki, pozostawała więc pod bezpośrednią opieką panny von Mylendonk i lekarzy; ale siostra Alfreda często ją odwiedzała i ona to poinformowała młodzieńców o wrażeniu, jakie wywołała ich uprzejmość.

Młoda dziewczyna, której stan był beznadziejny, po dziecięcemu ucieszyła się tą uprzejmością obcych jej ludzi.

Kwiat stał przy jej łóżku, pieściła go spojrzeniem i rękami, pilnowała, żeby go podlewać, a nawet podczas najgorszych ataków kaszlu nie spuszczała zeń umęczonego wzroku.

Rodzice jej, pan Gerngross, major w stanie spoczynku, i jego żona, byli również wzruszeni i uradowani, a ponieważ nikogo tutaj nie znali i nie mogli domyślić się, kim byli ofiarodawcy, więc panna Schildknecht, jak sama wyznała, nie mogła powstrzymać się od zdradzenia tajemnicy i

wymieniła nazwiska obu kuzynów.

Powiedziała im, że cała rodzina pragnie ich poznać i osobiście im podziękować; tak więc na trzeci dzień Hans Castorp i Joachim, wprowadzeni przez pielęgniarkę, weszli na palcach do pokoju chorej Leili.

Konająca była prześlicznym jasnowłosym stworzeniem, z oczami koloru niezapominajek; mimo znacznego upływu krwi i mimo to, że oddychała już tylko za pomocą znikomych resztek czynnej jeszcze tkanki płucnej, wyglądała właściwie nieźle, choć bardzo delikatnie.

Podziękowała im i rozmawiała trochę bezdźwięcznym, ale miłym głosem.

Lekki rumieniec wystąpił na jej twarzy i już z niej nie schodził.

Hans Castorp objaśniając jej i rodzicom motywy swego uczynku tak, jak tego oczekiwano, i poniekąd się usprawiedliwiając, był wzruszony, mówił cicho i okazywał pełen delikatności szacunek.

Niewiele brakowało - w każdym razie nie brakło mu wewnętrznego impulsu do tego - a byłby ukląkł przed łóżkiem na jedno kolano; długo trzymał w swej dłoni rączkę Leili, chociaż ta rozpalona rączka była nie tylko wilgotna, ale zupełnie mokra, bo dziewczyna pociała się nadmiernie.

Organizm jej wydzielał wciąż tyle wody, że już dawno musiałby był wyschnąć i ściągnąć się, gdyby chciwe pochłanianie wielkiej ilości lemoniady, która stała w karafce na nocnym stoliku, nie równoważyło poniekąd tej straty.

Rodzice, chociaż głęboko strapieni, uprzejmie podtrzymywali tę krótką rozmowę za pomocą różnych konwencjonalnych sposobów i rozpytywali obu kuzynów o ich prywatne stosunki.

Major był barczystym mężczyzną, olbrzymem, o niskim czole i sterczących wąsach; jego organiczny brak winy w odniesieniu do chorobliwej konstytucji córeczki - uderzał na pierwszy rzut oka.

Winę ponosiła tutaj najwidoczniej jego żona, drobna osóbką o typie wybitnie tuberkulicznym, której sumienie zdawało się też być obciążone z powodu tego posagu.

Mianowicie kiedy po dziesięciu minutach Leila zaczęła okazywać zmęczenie albo raczej nadmierne podniecenie (rumieńce na twarzy stały się żywsze, a oczy barwy niezapominajek błyszcząły niepokojąco), i obaj kuzyni, przynaglani spojrzeniami siostry Alfredy, zaczęli się żegnać, pani Gerngross odprowadziła ich na korytarz i poczęła się gwałtownie oskarżać, co dziwnie głęboko poruszyło Hansa Castorpa.

To przez nią, wszystko przez nią - zapewniała skruszona - biedne dziecko mogło to odziedziczyć tylko po niej, jej mąż nie ponosi tu żadnej winy, w najmniejszej mierze nie przyczynił się do tego.

Ale i ona, może Stwierdzić to z całą pewnością, tylko przelotnie cierpiała na tę chorobę, w słabym tylko stopniu, i to bardzo krótko, jako młoda dziewczyna.

Potem przeszło to zupełnie, bez śladu, jak ją zapewniano, kiedy chciała wyjść za mąż; a tak bardzo tego pragnęła - i wyjść za mąż i żyć!

Zupełnie wyleczona i zdrowa wstąpiła w związek małżeński ze swym mężem, zdrowym i silnym mężczyzną, który nigdy nic wspólnego nie miał z tego rodzaju chorobą.

Ale pomimo całej swojej mocy i czystości nie zdołał przeszkodzić nieszczęściu.

Bo u dziecka te straszne, pogrzebane i zapomniane rzeczy wyszły znowu na jaw, zabijają ją, biedactwo nie może się z nimi uporać, ona natomiast, matka, przeżyła to bez szwanku i dożyła wieku, w którym już choroba ta nie jest niebezpieczna; nieszczęśliwe, kochane maleństwo umiera, lekarze nie robią już żadnej nadziei, a ona sama, mając taką przeszłość, jest wszystkiemu winna.

Obaj młodzieńcy starali się ją pocieszyć i przebąkiwali coś o szczęśliwym zwrocie w chorobie.

Ale pani majorowa tylko załkała i jeszcze raz im podziękowała za wszystko, za hortensję i za to, że ich wizyta ucieszyła i trochę rozerwała dziecko.

Ta nieszczęsna istota leży tam sama wśród cierpień, podczas gdy inne młode dziewczęta cieszą się

życiem i tańczą z ładnymi młodymi panami; a choroba przecież nie zabija ochoty do tego. Wnieśli w jej życie trochę słońca, mój Boże, może to już ostatnie jego promienie. Ta hortensja zastąpiła jej powodzenie na balu, a rozmowa z dwoma przystojnymi kawalerami - mały niewinny flircik.

Nie uszło to uwagi matki.

Te ostatnie słowa przykro dotknęły Hansa Castorpa, tym bardziej że słowo "flirt" wymówiła pani majorowa błędnie, to znaczy nie z angielska, ale z wyraźnym "i", co go niezmiernie zirytowało. Nie był też wcale przystojnym kawalerem, ale odwiedził małą Leilę w zamiarach lekarsko duchowych i aby zaprotestować przeciwko panoszącemu się tu w górze egoizmowi. Słowem, zakończenie całej sprawy zepsuło mu humor, przynajmniej to, co się tyczy wynurzeń pani majorowej.

Poza tym jednak był bardzo ożywiony i pod wrażeniem realizacji swego przedsięwzięcia. Dwa momenty zwłaszcza utkwiły mu w duszy i w zmysłach: ciepły zapach ziemi w kwiaciarni i wilgotne dotknięcie rączki Leili.

A ponieważ początek był już zrobiony, więc tego samego dnia umówił się z siostrą Alfredą, że odwiedzi pozostającego pod jej opieką Fritza Rotbeina; chory ten nudził się straszliwie, podobnie jak jego prywatna pielęgniarka, chociaż jeśli wszelkie oznaki nie myliły, niewiele już chwil pozostawało mu do życia.

Nic nie pomogło pocziwemu Joachimowi: i w tym musiał brać udział.

Rozpęd Hansa Castorpa i jego samarytańska przedsiębiorczość były silniejsze niż niechęć kuzyna; toteż Joachim mógł tylko milczeć i spuszczać oczy, bo nie potrafiłby uzasadnić tej niechęci nie okazując braku uczuć chrześcijańskich.

Hans Castorp wyraźnie to widział i wyzyskiwał dla swych celów.

Rozumiał też doskonale żołnierskie podłoże tej niechęci.

Ale cóż, kiedy sam czuł się ożywiony i uszczęśliwiony tego rodzaju przedsięwzięciami i wydawały mu się one pożyteczne.

Nie mógł więc zwracać uwagi na cichy opór Joachima.

Zastanawiał się wraz z nim nad pytaniem, czy i młodemu Fritzowi Rotbeinowi można przysłać lub przynieść kwiaty, pomimo że ten kandydat na tamten świat jest płci męskiej.

Miał wielką ochotę to zrobić, uważał, że kwiaty są w tej sytuacji na miejscu; poprzedni pomysł z hortensją, liliową i nadzwyczaj kształtną, bardzo mu się spodobał; zdecydował wreszcie, że płeć Fritza Rotbeina została zniwelowana przez to, iż jest już u kresu życia, i że wcale nie jest konieczne, by otrzymywał kwiaty tylko w dniu swych urodzin, bo konający i tak powinni być stale traktowani jak solenizanci.

Tak sobie obmyśliwszy, po raz drugi wstąpił z kuzynem w ciepłą atmosferę kwiaciarni, w której unosił się zapach ziemi, i wszedł do pokoju pana Rotbeina ze świeżo zroszoną i pachnącą wiązanką róż, goździków i lewkonii, wprowadzony przez Alfredę Schildknecht, która zameldowała gości.

Ciężko chory młodzieniec, zaledwie dwudziestoletni, ale już trochę łysy i siwawy, woskowo blade i zupełnie wyniszczony, z wielkimi rękami, wielkim nosem i wielkimi uszami, był do łez wzruszony słowami pociechy i rozrywką, którą zawdzięczał obu kuzynom.

Witając się i biorąc do ręki wiązankę kwiatów, zapłakał z wycieńczenia, ale zaraz nawiązał do bukietu i zaczął mówić szeptem prawie o europejskim handlu kwiatami i jego wciąż jeszcze wzrastającym tempie rozwoju, o wielkim eksporcie produktów ogrodowych z Nizy i z Cannes, o wagonowych ładunkach i przesyłkach pocztowych, rozchodzących się z tych miejscowości codziennie we wszystkie strony świata, na rynki zbytu en gros w Paryżu i Berlinie, i o zaopatrywaniu



Rosji.

Był bowiem kupcem, i w tym kierunku zdążyły jego zainteresowania, póki był jeszcze zdolny do życia.

Ojciec jego, fabrykant lalek w Koburgu, wysłał go na studia do Anglii i tam młodzieniec, jak opowiadał szeptem, zachorował.

Jego gorączkę jednak uważano początkowo za tyfoidalną i stosownie do tego leczono: trzymano go na diecie składającej się wyłącznie z wodnistych zupek, wskutek czego doszedł do stanu, w jakim znajduje się obecnie.

Tu w górze wolno mu było jeść, więc korzystał z tego: siedział w łóżku i w pocie czoła próbował się posilać.

Było jednak za późno, bo kiszki były niestety także zaatakowane; na próżno przesyłano mu z domu ozór i wędzonego węgorka: niczego już nie znosił.

Właśnie ojciec jego został telegraficznie wezwany przez Behrensa i jest już w drodze.

Bo mają teraz dokonać na nim decydującego zabiegu resekcji żeber; chcą na wszelki wypadek spróbować tej metody, chociaż nadzieje są znikome.

Rotbein szeptem mówił o tym bardzo rzeczowo, traktując nawet sprawę operacji wyłącznie jako interes póki żyć będzie, pod innym kątem widzenia nie będzie patrzył na rzeczy.

Koszty, szeptał dalej, wliczając znieczulenie rdzeniowe, mają wynosić tysiąc franków, bo chodzi prawie o całą klatkę piersiową, o sześć do ośmiu żeber, i wyłania się pytanie, czy ta inwestycja może się jakoś opłacić.

Behrens namawia do tego, ale jego interes jest przecież niewątpliwy, podczas gdy interes chorego wydaje się bardzo wątpliwy, i wcale nie wiadomo, czy nie mądrzej byłoby spokojnie umrzeć, nie myśląc o wycięciu żeber.

Trudno mu było radzić.

Kuzyni wyrazili przekonanie, że przy tej kalkulacji należałoby uwzględnić wybitne chirurgiczne zdolności radcy Behrensa.

Zgodzono się na to, żeby decyzję pozostawić staremu Rotbeinowi.

Przy pożegnaniu młody Fritz znowu trochę popłakał, a chociaż było to skutkiem jego wyczerpania, to jednak łzy, które wylał, stanowiły dziwny kontrast z suchą rzeczowością jego sposobu myślenia i wyrażania się.

Prosił, żeby go jeszcze kiedyś odwiedzili, a oni skwapliwie mu to przyrzekli, ale już nie zdołali dotrzymać obietnicy.

Fabrykant lalek przyjechał bowiem tego samego dnia wieczorem, i zaraz nazajutrz przystąpiono do operacji, po której młody Fritz Rotbein nie mógł już przyjmować gości.

A w dwa dni później Hans Castorp i Joachim ujrzeni przechodząc przez korytarz, jak robiono generalne porządki w jego pokoju.

Siostra Alfreda zapakowała swój kuferek i opuściła sanatorium "Berghof", bo została pilnie wezwana do innego zakładu, do jakiegoś kandydata na tamten świat; wzdychając, ze swym nieodłącznym sznureczkiem od binokli za uchem, udała się do niego: była to jedyna perspektywa, jaką życie przed nią otwierało.

"Opuszczony", zwolniony pokój, w którym wszystkie meble spiętrzone były w stosy i w którym przy otwartych podwójnych drzwiach robiono gruntowne porządki, przedstawiał, kiedy się go mijało, idąc do sali jadalnej lub udając się na przechadzkę, widok wiele mówiący, ale zarazem tak zwykły, że mało kto już się nad nim zastanawiał, szczególnie jeżeli samemu zajęło się w swoim czasie w podobny sposób "zwolniony" i posprzątały pokój i urządziło w nim po domowemu.

Czasami było rzeczą wiadomą, kto mieszkał przedtem w takim numerze, a wtedy nastęczał się temat do rozmyślań: tak było teraz, tak było i w tydzień później, kiedy Hans Castorp przechodząc zauważył, że i pokój małej Gerngross znajduje się w podobnym stanie.

W tym ostatnim przypadku umysł jego nie mógł na pierwszy rzut oka zrozumieć panującej wewnątrz krzątaniny.

Stał zamyślony i zaskoczony i przyglądał jej się, gdy nagle na korytarzu ukazał się radca Behrens.

- Stoję tu i widzę, że robi się gruntowne porządki - odezwał się Hans Castorp.

- Dzień dobry panu radcy.

Mała Leila...

Taak - odpowiedział Behrens i wzruszył ramionami.

Po chwili, potrzebnej do podkreślenia wymowy tego gestu, ciągnął dalej: - Pan zdążył przecież jeszcze przed trzecim dzwonkiem umizgać się do niej według wszelkich prawideł?

Podoba mi się, że pan, będąc sam jeszcze względnie rzeński, opiekuje się nieco moimi ptaszkami, które siedzą w klatkach i świstają płucami.

To pięknie świadczy o panu - no, no, niech pan pozwoli oddać sobie tę sprawiedliwość, że to bardzo pięknie świadczy o pańskim charakterze.

Czy chce pan, żebym czasami tu i ówdzie pana wprowadził?

Mam tutaj wiele takich zamkniętych czyżyków - więc jeżeli pana interesują...

Teraz na przykład wpadam na chwileczkę do mojej "przepełnionej"!

Chce pan iść ze mną?

Przedstawię pana po prostu jako współczującego towarzysza niedoli.

Hans Castorp odparł, że pan radca wyjął mu to z ust i że zaproponował mu to właśnie, o co sam chciał prosić.

Z wdzięcznością skorzysta z pozwolenia i będzie panu radcy towarzyszył.

Ale kto jest ta "przepełniona" i jak należy rozumieć to przezwisko?

- Dosłownie - powiedział Behrens.

- Zupełnie dosłownie i nie metaforycznie.

Niech ona sama panu to objaśni.

- Po chwili byli już na progu pokoju "przepełnionej".

Radca dworu natychmiast wtargnął do środka przez podwójne drzwi, a swemu towarzyszowi kazał zaczekać.

Trochę zduszony i przerywany, ale serdeczny i wesoły śmiech i głos doszedł z pokoju do uszu Hansa Castorpa, gdy wszedł tam Behrens.

Ale i współczującego towarzysza niedoli powitał ten sam śmiech, kiedy po kilku minutach pozwolono mu wejść i Behrens przedstawił go leżącej w łóżku blondynce, która niebieskimi oczami ciekawie przypatrywała się gościowi.

Leżała, na pół siedząc, wysoko wsparta na poduszkach, niespokojnie poruszając się i wciąż śmiejąc się wysokim, srebrzystym śmiechem, co chwila tracąc oddech, podniecona i podrażniona, jak się zdawało, dusznościami.

Śmiała się też ze sposobu, w jaki radca przedstawił jej gościa, a potem kilka razy wołała za odchodzącym doktorem "adieu", "bardzo dziękuję" i "do widzenia", wyciągała doń rękę, wzdychała, śmiała się perlistymi pasażami, przyciskała rękami pierś wznoszącą się pod batystową koszulą, i nie mogła nóg utrzymać w spokoju.

Nazywała się pani Zimmermann.

Hans Castorp znał ją trochę z widzenia.

Przez kilka tygodni siedziała przy stole pani Salomon i ucznia-obżartucha i zawsze dużo się śmiała. Potem nagle znikła i Hans Castorp nie myślał już o niej.

Sądził, że wyjechała, o ile w ogóle zastanawiał się nad jej nieobecnością.

A teraz odnalazł ją tutaj, jako "przepełnioną", i oczekiwał wyjaśnień.

- Cha, cha, cha - śmiała się cieniutko, a pierś jej falowała.

- Strasznie śmieszny człowiek ten Behrens, bajecznie śmieszny i zabawny człowiek. Można się śmiać do rozpuku.

Niechże pan siada, panie Kasten, panie Karsten, czy jak się pan tam nazywa, pan ma takie śmieszne nazwisko, cha, cha, hi hi, niech się pan nie gniewa!

Niech pan usiądzie na krześle, tam, w moich nogach, ale pan pozwoli, że będę nimi wierzgała, nie mogę cha...

- westchnęła pełną pierśią i śmiała się dalej - nie mogę się powstrzymać.

Była prawie ładna, miała regularne, trochę zbyt uwydatnione, choć miłe rysy twarzy i mały podwójny podbródek.

Ale wargi były sine, a i koniuszek nosa miał tę samą barwę, prawdopodobnie z braku powietrza.

Sympatycznie szczupłe ręce, które korzystnie wyglądały w koronkowych mankietach nocnej koszuli, nie mogły, podobnie jak i nogi, uleżeć spokojnie.

Szyję miała dziewczęcą, a po obu jej stronach, nad cieniutkimi obojczykami, widniały "solniczki"; również i piersi, które skutkiem śmiechu i braku tchu wznosiły się szybko i z wysiłkiem pod koszulą.

Wydawały się delikatne i młode.

Hans Castorp postanowił, że i jej przyśle albo przyniesie piękne kwiaty, pochodzące z eksportowych zakładów ogrodniczych Nizy i Cannes, zroszone wodą i pachnące.

Z lekkim zakłopotaniem starał się przystosować do niespokojnej i wymuszonej wesołości pani Zimmermann.

- A więc odwiedza pan tutaj ciężko chorych?

- spytała.

- Jak to zabawnie i miło z pańskiej strony, cha, cha, cha, cha!

Ale wie pan, ja wcale nie jestem ciężko chora, a właściwie do niedawna nie byłam, wcale nie...

Dopiero niedawno ta historia...

Niech pan sam powie, czy coś komiczniejszego już się panu w życiu...

- Iz trudem łapiąc oddech, pośród ciągłych chichotów i trel, opowiedziała, co jej się wydarzyło.

Przyjechała tutaj jako lekko chora - ale bądź co bądź chora, bo inaczej nie byłaby w ogóle przyjeżdżała, może nawet nie tak zupełnie lekko, ale raczej lekko niż ciężko.

Sztuczna odma, ta nowa jeszcze, ale już bardzo chętnie stosowana zdobycz techniki chirurgicznej, i w jej wypadku okazała się nadzwyczaj skuteczna.

Zabieg udał się znakomicie, stan zdrowia i samopoczucie chorej poprawiały się wyraźnie, a mąż jej - bo była zamężna, chociaż bezdzietna - miał już za trzy, cztery miesiące oczekiwać jej powrotu.

Wówczas przyszło jej na myśl pojechać raz dla rozrywki do Zurychu - innego powodu nie było, chciała się tylko zabawić.

Bawiła się też świetnie, ale w czasie pobytu w mieście spostrzegła, że musi na nowo dać się nadać, poszła więc do jednego z tamtejszych lekarzy.

Bardzo miły, śmieszny, młody człowiek, cha, cha, cha - cha, cha, cha, - ale co się zdarzyło?

Ten pan przepełnił ją!

Trudno o inne określenie, to słowo najlepiej odpowiada rzeczywistości.

Chciał za dobrze, a widocznie nie znał się na tym dostatecznie, dość że powróciła do sanatorium

przepelniona, to jest z przypadłosciami sercowymi i brakiem tchu.

A Behrens - cha, cha, hi, hi - grzmiał strasznie i natychmiast wpakował ją do łózka.

Bo teraz jest już ciężko chora, chociaż właściwie nie tak poważnie, ale sfuszerowano ją z kretesem, spaskudzano - cha, cha, cha - co za mina, dlaczego pan robi taką komiczną minę?

I wskazując palcem na Hansa Castorpa, tak bardzo śmiała się z jego miny, że nawet czoło jej posiniało.

Najkomicniejszy, jak zapewniała, był Behrens z całą swoją wściekłością i gburowatością, i na samą myśl o tym już z góry, gdy tylko zauważyła, że jest przepelniona, pękała ze śmiechu.

"Pani znajduje się w bezwzględny niebezpieczeństwie życia" - ryknął na nią bez ogródek i owijania w bawełnę, niedźwiedź taki, cha, cha, cha, hi, hi, hi - niech pan się nie gniewa.

Nie wiadomo było, dlaczego śmiała się tak serdecznie z oświadczenia radcy Behrensa - czy wskutek jego "gburowatości" i dlatego, że mu nie wierzyła, czy też mimo to, że mu wierzyła; bo przecież musiała mu wierzyć, a tylko sama treść sprawy, to jest niebezpieczeństwo zagrażające jej życiu, wydawała jej się tak strasznie śmieszna.

Hans Castorp sądził, że to drugie przypuszczenie jest słuszne i że pani Zimmermann śmieje się tak perliście i serdecznie tylko wskutek swej dziecięcej lekkomyślności i ograniczoności swego ptasiego mózgu.

Bardzo mu się to też nie podobało; mimo to posłał tej śmieszce kwiaty, ale również i jej nie zobaczył już nigdy.

Przez kilka następnych dni żyła tylko tlenem, a potem rzeczywiście skoła na rękach telegraficznie wezwanego małżonka.

Skończona gęś - jak się wyraził radca Behrens, który poinformował Hansa Castorpa o tym wypadku. Już przedtem jednak pełen przedsiębiorczości i współczucia Hans Castorp nawiązał przy pomocy radcy dworu i pielęgniarek stosunki z innymi ciężko chorymi, a Joachim musiał w tym uczestniczyć.

Kuzyn zaciągnął go do syna pani Touslesdeux, tego drugiego, który był jeszcze przy życiu, bo po pierwszym już dawno posprzątano i wykadzono za pomocą H<sub>2</sub>CO.

Następnie do małego Teddy, który przyjechał tu niedawno z zakładu wychowawczego pod nazwą "Pridericianum", skąd go odesłano, bo przypadek jego był zbyt ciężki.

I jeszcze do pewnego niemiecko rosyjskiego urzędnika ubezpieczeniowego, dobrodusznego cierpiętnika, który nazywał się Anton Karłowicz Ferge.

I do nieszczęsnej, a przy tym tak zalotnej pani von Mallinckrodt, która także, jak wszyscy wyżej wymienieni, dostała kwiaty i którą nawet w obecności Joachima Hans Castorp nieraz karmił kleikiem..

Wkrótce poczęli obaj kuzyni uchodzić za samarytan i braci miłosierdzia.

Settembrini zagadnął też raz Hansa Castorpa w tym duchu: - Do licha, inżynierze!

Dziwne rzeczy opowiadają o panu.

Przerzucił się pan na miłosierdzie?

Szuka pan usprawiedliwienia w dobrych uczynkach?

- Nie ma o czym mówić, proszę pana.

Nie warto nawet o tym wspominać.

Kuzyn i ja...

- Ale niechże pan nie miesza w to kuzyna!

Mówią o was obu, chodzi tu jednak tylko o pana, to jest pewne.

Porucznik to natura wprawdzie godna szacunku, ale prosta i nie obciążona żadnymi myślowymi komplikacjami, które mogłyby w kłopot wprawić wychowawcę.

Nie w mówi mi pan, że inicjatywa od kuzyna wychodzi.

Pan jest wybitniejszy, ale i bardziej zagrożony od niego.

Pan jest, że się tak wyrażę, wiecznym dla życia strapieniem, bezustannie trzeba się o pana troszczyć.

Zresztą pozwolił mi pan opiekować się sobą.

- Zapewne.

Raz na zawsze.

To bardzo uprzejmie z pańskiej strony.

A "wieczne strapienie" bardzo mi się podoba!

Co za różne pomysły przychodzą zaraz literatowi do głowy!

Nie wiem, czy mam być dumny z tego tytułu, ale muszę przyznać, że brzmi pięknie.

Tak, a więc ja troszczę się trochę o "dzieci śmierci", pan pewnie to miał na myśli.

Od czasu do czasu, gdy mam wolną chwilę, tak mimochodem - kuracji przez to przecież nie zaniedbuję odwiedzam ciężko chorych, rozumie pan, takich, co nie siedzą tu dla przyjemności prowadząc rozwiązły tryb życia, takich, co umierają.

- Ale wszak jest napisane.

- "Niechaj umarli grzebią umarłe swoje" - rzekł Włoch.

Hans Castorp podniósł ramiona: jego wyraz twarzy dawał do zrozumienia, że napisane jest niejedno, bądź to, bądź owo, tak że trudno jest wybrać to, co jest słuszne, i stosować się do tego.

Naturalnie, można się było spodziewać po kataryniarzu, że wynajdzie jakiś niepożądany punkt widzenia.

Ale chociaż Hans Castorp był zawsze gotów wysłuchać Settembriniego, w sposób nie wiążący uznawać jego nauki za godne uwagi i dla próby poddawać się jego pedagogicznym wpływom, to jednak był daleki od tego, żeby dla jakichś wychowawczych punktów widzenia zrezygnować z zamiarów, które mu wciąż w jakiś nieokreślony sposób wydawały się pożyteczne i bardzo doniosłe.

I nie przeszkadzała mu w tym ani pani Gerngross, ze swoim "małym niewinnym flircikiem", ani trzeźwość biednego Rotbeina, ani głupawy chichot przepełnionej pani Zimmermann.

Syn pani Touslesdeux nazywał się Lauro.

Otrzymał "od dwóch współczujących sąsiadów, z serdecznymi życzeniami wyzdrowienia", kwiaty, fiołki nicejskie o zapachu ziemi, a ponieważ anonimowość była już czystą formą i każdy wiedział, od kogo pochodzą te upominki, więc pani Touslesdeux, czarna i blada matrona meksykańska, sama zagadnęła na korytarzu obu kuzynów, dziękując im w swej charczącej wymowie.

Pełnym smutku gestem zaprosiła ich do pokoju, aby syn jej son seul et dernier fils qui allait mourir aussi mógł im osobiście podziękować.

(son seul et dernier fils...

Z francuskiego: - jej Jedyny i ostatni syn, który również miał umrzeć).

Natychmiast poszli za nią.

Okazało się, że Lauro jest niezwykle pięknym młodzieńcem z pałającymi oczami, orlim nosem o drgających nozdrzach i prześlicznymi wargami, ocienionymi czarnym wąsikiem - ale zachowywał się tak pretensjonalnie i dramatycznie, że goście, Hans Castorp rzeczywiście nie mniej od Joachima, byli radzi, kiedy drzwi od pokoju chorego znowu się za nimi zamknęły.

Touslesdeux, z wielkimi workami pod oczami, czarnymi jak z dżetu, w czarnym kaszmirowym szalu i z

czarnym węzłem woalu pod brodą, z żałośnie opuszczonym jednym kątem swych ogromnych ust, chodziła

wzdłuż i wszerz po pokoju, uginając się w kolanach i marszcząc swe niskie czoło; od czasu do czasu

zbliżała się do siedzących koło łóżka młodych ludzi, aby powtórzyć jak papuga swoje tragiczne: "Tous les de, vous comprenez, messie s... Premierement lun et maintenant autre". (Tous les de... w nie wolnej od błędów francuszczyźnie - Obaj, panowie rozumieją... Naprzód Jeden, a teraz drugi). Piękny Lauro deklamował, również po francusku, zgrzytliwie, hałaśliwie, nieznośnie patetyczne słowa. Zapewniał, że pragnie umrzeć jak bohater, comme heros, a lespagnol, za przykładem swego brata, de meme que son fier jeune frere. (comme heros, a lespagnol: francuskie - jak bohater, po hiszpańsku). (de meme que... francuskie - tak samo jak jego dumny młodszy brat). Fernando, który umarł również jak hiszpański bohater; gestykulował, rozrywał na szyi koszulę, aby wystawić żółtą pierś na dotknięcie śmierci, i zakłamywał się dopóty, aż atak kaszlu, który wywołał mu na usta rzadką, różową pianę, zdławił jego rodomontady i sprawił, że goście na palcach opuścili pokój. Nie rozmawiali potem o wizycie u Laura, a także po cichu, każdy dla siebie, wstrzymywali się od sądu o jego zachowaniu. Lepiej podobało im się u pana Antona Karłowicza Fergego z Petersburga. Chory ten, o długich, dobrodusznym wąsach i wystającej grdyce, mającej w sobie również coś dobrodusznego, leżał w łóżku i z trudem, powoli przychodził do siebie po nieudanej próbie odmy sztucznej, która o mały włos nie przyprawiła go o natychmiastową śmierć. Doznał przy tym gwałtownego wstrząsu opłucnowego, który zdarza się czasami przy tym modnym zabiegu. Ale u niego wstrząs ten przybrał wyjątkowo niebezpieczną formę, z zupełnie wyraźną zapaścią i długotrwałym omdleniem - słowem, stan był tak ciężki, że musiano przerwać operację i na razie ją odłożyć. Dobroduszne szare oczy pana Fergego rozszerzały się, a policzki okrywały bladością, ilekroć zaczynał opowiadać o tym przejściu, które musiało zrobić na nim straszne wrażenie. - Bez narkozy, proszę panów. No dobrze, my podobno nie możemy jej wytrzymać, jest w tym wypadku niedozwolona, pojmujemy to i godzimy się z tym, jako rozsądni ludzie. Ale miejscowe znieczulenie nie sięga głęboko, moi panowie, znieczula tylko zewnętrzną warstwę ciała, i czuje się, kiedy człowieka otwierają, właściwie tylko ucisk i jakieś jakby miażdżenie. Leżę sobie z zasłoniętą twarzą, żeby nic nie widzieć, asystent trzyma mnie za prawą rękę, a starsza siostra za lewą. Jest mi tak, jak gdyby mnie ściskano i miażdżono; mnie, to znaczy ciało, rozcięte i przytrzymane za

pomocą  
klamerek.

Ale nagle słyszę, jak radca Behrens mówi: "Taak"!

i w tej samej chwili, proszę panów, zaczyna jakimś tępych narzędziem - ono musi być tępe, żeby nie za

prędko przekłuło - obmacywać mi opłucną: szuka odpowiedniego miejsca do przekłucia i wpuszczenia

gazu.

I podczas kiedy tak jeździ narzędziem po mojej opłucnej - moi panowie, moi panowie! nagle przestałem istnieć, już było po mnie, stało się coś takiego, czego nie potrafię opisać.

Opłucnej, proszę panów, nie należy, nie powinno się dotykać, ona nie chce i nie znosi żadnego dotknięcia,

opłucna to tabu; osłania ją ciało, izoluje i czyni niedostępną raz na zawsze.

A teraz radca Behrens ją odsłonił i obmacywał.

Wtedy, proszę panów, zrobiło mi się słabo.

Straszne, straszne, proszę panów, nigdy bym nie pomyślał, że takie po stokroć wstrętne i podłe uczucie może się komuś przytrafić na ziemi i w ogóle gdziekolwiek oprócz piekła!

Zapadłem w omdlenie, w trzy omdlenia naraz, jedno zielone, drugie brązowe, trzecie fioletowe. Poza tym śmierdziało mi coś w tym omdleniu, ten wstrząs rzucił mi się na nos, proszę panów, okropnie śmierdziało siarkowodorem, tak chyba musi śmierdzieć w piekle, a przy tym wszystkim, przychodząc do siebie, słyszałem, jak się śmieję; śmiałem się, ale nie po ludzku, tylko najnieprzyzwoitszym i najwstrętniejszym śmiechem, jaki w ogóle w życiu zdarzyło mi się słyszeć.

Bo obmacywanie opłucnej, proszę panów, robi wrażenie, jak gdyby ktoś łechtął w najpaskudniejszy, najwyuzdańszy i najbardziej nieludzki sposób.

Tak, nie inaczej, wygląda to przekłute cierpienie i ta hańba, i to jest właśnie ów wstrząs opłucnowy, od którego was Boże broń!

Często i nie inaczej jak z bladym strachem powracał pan Anton Karłowicz Ferge do tego "łajdackiego" przeżycia i nie mało się obawiał, że ono się raz jeszcze powtórzy.

Zresztą od samego początku robił wrażenie człowieka prostego, dla którego wszelkie "wyżyny" są niedostępne i od którego umysłowości i uczucia nie należy wiele oczekiwać, jak też i on sam od nikogo wiele nie wymagał.

Po obustronnym zaakceptowaniu takiego stanowiska, opowiadał dość interesująco o swym dawnym życiu, z którego choroba wytrąciła go, życiu agenta pewnego towarzystwa ubezpieczeń od ognia; z Petersburga odbywał dalekie podróże wzdłuż i wszerz całej Rosji, zwiedzał ubezpieczone fabryki i starał się stwierdzić, które z nich popadły w trudności finansowe, bo statystyka wykazuje, że najwięcej pożarów zdarza się właśnie w słabo prosperujących przedsiębiorstwach.

Dlatego też wysyłano go, aby pod tym lub innym pozorem wysondował miejscowe stosunki i zdał swemu bankowi relację; w ten sposób można było zawczasu zapobiec dotkliwym stratom, przez wzmożoną reasekurację albo podział premii.

Mówił o podróżach w zimie po rozległym państwie, opowiadał, jak jechał nocą w trzaskający mróz, leżąc w sankach okryty baranicą, i jak nieraz, budząc się, spostrzegał oczy wilków błyszczące ponad śniegiem jak gwiazdy.

Woził z sobą w skrzyni zamrożone prowianty, kapuśniak i bułkę, a na stacjach, gdzie zmieniano konie, stawiał je przed zjedzeniem na ogniu, żeby odtajały; bułka przy tym nabierała tej samej świeżości, jaką miała pierwszego dnia.

Gorzej było z nastaniem odwilży; wtedy zupa którą w stanie stałym wziął z sobą, rozpląwała się i wyciekała.

Tak opowiadał pan Ferge, a od czasu do czasu wzdychał i mówił, że to wszystko jest bardzo piękne, ale żeby tylko nie musiano powtórnie próbować u niego sztucznej odmy.

Nie było to nic wyższego, o czym rozprawiał, ale realne życie, i można go było słuchać z zainteresowaniem. Zwłaszcza Hans Castorp uważał za korzystne dowiedzieć się czegoś o państwie rosyjskim i o tamtejszym trybie życia, o samowarach, pierogach, Kozakach i drewnianych cerkwiach z taką ilością cebulastych kopuł, że wyglądały jak kolonie grzybów.

Prosił, żeby mu pan Ferge opowiadał również o tamtejszych ludziach, o ich północnej, a więc w oczach Hansa Castorpa tym niezwyklejszej egzotyce, o azjatyckich domieszkach w ich krwi, o wystających kościach policzkowych, fińskomongolskiej oprawie oczu - i słuchał z wielkim antropologicznym zainteresowaniem. Kazał powiedzieć sobie kilka zdań po rosyjsku - szybko, niewyraźnie, niezwykle obco i jakby bezkrotnie brzmiał ten wschodni język pod dobrodusznym wąsem pana Fergego, wydobywając się z jego dobroduszenie wystającej grdyki - i Hansa Castorpa cieszyło to (taka już jest młodzież), tym bardziej że przecież obracał się w dziedzinie zabronionej mu ze względów pedagogicznych.

Kuzyni wpadali często na kwadransik do Antona Karłowicza Fergego.

Odwiedzali też małego Teddy "Fridericianum", eleganckiego, jasnowłosego, czternastoletniego chłopca, wymuskanego, ubranego w białą, jedwabną, szamerowaną pidżamę; siedziała przy nim prywatna pielęgniarka.

Był bogatym sierotą, jak im opowiadał.

Czekając na poważną operację, a mianowicie na usunięcie nadpsutych miejsc, czego miano próbować, podnosił się czasami na godzinkę z łóżka, jeżeli właśnie czuł się trochę lepiej, i w swym ładnym, sportowym ubraniu schodził do towarzystwa.

Panie chętnie z nim żartowały, a on przysłuchiwał się ich rozmowom, na przykład kiedy mówiono o adwokacie Einhofie, o pannie w reformach lub o Franeczce Oberdank.

Potem kładł się znowu.

Tak żył sobie wytwornie mały Teddy i robił wrażenie, że niczego innego nie oczekuje od życia, jak właśnie zawsze tylko tego.

Ale pod numerem pięćdziesiątym leżała pani von Mallinckrodt, imieniem Natalia, z czarnymi oczami i złotymi koleczykami w kształcie kół w uszach, kokietka, strojnisia, a zarazem kobiecy Łazarz i Hiob; Bóg zesłał na nią wszelkiego rodzaju dolegliwości.

Organizm jej zdawał się być przepełniony truciznami, tak że nawiedzały ją na przemian i jednocześnie wszystkie możliwe choroby.

Bardzo zaatakowana była jej skóra, w dużej części pokryta okropnie swędzącą, tu i ówdzie mokrą egzemą, występującą również przy samych ustach, co sprawiało trudności przy karmieniu jej.

Jedno po drugim trapiły panią von Mallinckrodt wewnętrzne zapalenia: opłucnej, nerek, płuc, okostnych, a nawet mózgu, tak że traciła przytomność; osłabienie zaś serca, spowodowane gorączką i bólami, wywoływało stany lęku i sprawiało, że nie mogła swobodnie przełknąć jedzenia, które zatrzymywało się jej w przełyku.

Słowem, kobieta ta była w okropnym stanie, a w dodatku zupełnie sama na świecie.

Porzuciła męża i dzieci dla innego mężczyzny, zupełnego jeszcze młodzika, a potem opuszczona została przez kochanka, jak sama opowiedziała Hansowi Castorpowi i Joachimowi.

Teraz jest bezdomna, chociaż nie bez środków do życia, bo mąż przysyła jej pieniądze.

Korzysta bez dumy, która byłaby tu nie na miejscu, z jego przyzwoitości czy też jego wciąż jeszcze



trwającej miłości; nie traktuje samej siebie zbyt poważnie, uważa się za lekkomyślną i grzeszną kobietkę i z tego założenia wychodząc znosi swoje hiobowe męki zadziwiająco cierpliwie i wytrwale; żywiołowa odporność jej rasowej kobiecości triumfowała nad niedolą jej smagłego ciała i nawet z białego gazowego bandażu, który z jakiegoś niemiłego powodu opasywał jej głowę, potrafiła uczynić coś w rodzaju ozdoby.

Wciąż zmieniała klejnoty, rozpoczynając dzień od koralu, a kończąc go perłami.

Bardzo uradowana kwiatami otrzymanymi od Hansa Castorpa, któremu przypisywała raczej rycerskie niż miłosierne pobudki, poprosiła obu młodych ludzi do Siebie na herbatę.

Piła ją leżąc w łóżku, z filiżanki z dzióbkiem, a wszystkie jej palce, nie wyłączając wielkich, pokryte były aż do stawów opalami, ametystami i szmaragdami.

Potrząsając złotymi kolczykami opowiedziała im zaraz, jakie były jej dzieje: mówiła o porządnym, ale nudnym mężu, o również , porządnym i nudnym dzieciach, bardzo podobnych do ojca, których nigdy nie umiała naprawdę pokochać, i o tym młodym chłopcu, z którym uciekła, i nad którego poetyczną miłością się unosiła.

Krewni jego oderwali go jednak od niej podstępem i przemocą, a ponadto mały brzydził się zapewne jej chorobą, której różne formy wtedy właśnie wybuchły z wielką gwałtownością.

Czy może i panowie się brzydzą, spytała z kokieterią, i jej rasowa kobiecość zatriumfowała nad egzemą, pokrywającą połowę jej twarzy.

Hans Castorp myślał z lekceważeniem o małym, który brzydził się, i dał temu wyraz wzruszając ramionami.

Dla niego samego zniewieściałość poetycznego młodzika była bodźcem przeciwnym, toteż składając często wizyty pani von Mallinckrodt, wykonywał przy niej różne drobne posługi, nie wymagające fachowego wykształcenia; karmił ją ostrożnie kleikiem, gdy go jej właśnie przynoszono na obiad, przytykał jej do ust filiżankę z dzióbkiem, kiedy kęs jakiś utknął jej w gardle, albo pomagał jej zmieniać pozycję w łóżku; bo do wszystkich jej cierpień dołączała się jeszcze rana po operacji, utrudniająca leżenie.

Wprawiał się w tych zabiegach, wpadając do niej na chwilę, kiedy wracał z sali jadalnej albo ze spaceru;

mówił wtedy Joachimowi, żeby sobie nie przeszkadzał, że chce tylko szybko wpaść na małą kontrolę do

numeru pięćdziesiątego.

Czuł przy tym szczęście wyrastania ponad siebie samego, radość wynikającą z poczucia pożyteczności i

ukrytego doniosłego znaczenia swoich poczynań.

Równocześnie cieszył się po szelmowsku z czysto chrześcijańskiego charakteru tych uczynków, w istocie

tak pełnych pietyzmu, dobroczynnych i godnych pochwały, że nic nie można im było zarzucić ani z żołnierskiego, ani z humanistyczno pedagogicznego punktu widzenia.

O Karen Karstedt nie było jeszcze mowy, a jednak Hans Castorp i Joachim nawet specjalnie się nią zajmowali.

Należała do prywatnych pacjentów radcy Behrensa, nie mieszkających w sanatorium "Berghof", i doktor

polecił ją miłosierdziu kuzynów.

Przebywała tu od czterech lat, nie miała majątku i była zależna od krewnych, ludzi bez serca, którzy już

raz, ponieważ i tak była stracona, zabrali ją stąd i tylko na skutek interwencji radcy Behrensa znowu tutaj

wysłali.

Mieszkała we Wsi, w tanim pensjonacie.

Była to wątła dziewczyna, lat dziewiętnastu, miała gładkie, wysmarowane pomadą włosy, a oczy jej starały

się nieśmiało ukryć jakiś blask, odpowiadający hektycznym wypiekom na twarzy.

Głos jej był charakterystycznie ochrypły, ale przyjemny.

Kaszlała prawie bez przerwy, a końce wszystkich jej palców były pozaklejane plastrami, bo potworzyły się

na nich ranki na skutek zakażenia.

Tej więc dziewczynie poświęcali obaj młodzieńcy wyjątkową uwagę; prosił ich o to Behrens, jako że już

mieli tak dobre serca.

Zaczął się od kwiatów, potem nastąpiła wizyta, w czasie której siedzieli wszyscy razem na małym balkoniku biednej Karen w Davos Wsi, a potem we troje przedsięwzięli to i owo: poszli na zawody łyżwiarskie, przyglądali się wyścigom na bobslejach.

Bo sezon sportów zimowych w Davos był już u zenitu, rozpoczął się tydzień uroczystości, widowiska następowały jedno po drugim, owe zabawy i przedstawienia, którymi obaj kuzyni interesowali się dotychczas tylko przelotnie i okolicznościowo.

Joachim był wrogiem wszelkich rozrywek tu w górze.

Wszak nie po to tu siedział - w ogóle nie siedział tutaj po to, by żyć i być zadowolonym z pobytu, urozmaicając go sobie i uprzyjemniając, ale jedynie i wyłącznie w tym celu, ażeby możliwie szybko pozbyć

się toczącego go robaka i móc powrócić na dół do służby, prawdziwej służby, a nie służby "kuracyjnej",

która jest tylko surogatem, ale której mimo to nie chciał w niczym uchybić.

Nie wolno mu było brać czynnego udziału w zabawach zimowych, a nie miał też ochoty być gapiem.

Co się zaś tyczy Hansa Castorpa, to zbyt ściśle, w znaczeniu zbyt ciasnym i intymnym, związany był z tymi

tu w górze, aby interesować się poczynaniami ludzi, którzy w dolinie tutejszej widzą boisko sportowe.

Miłosierne współczucie dla biednej panny Karstedt spowodowało jednak wyłom w tych zapatrywaniach, a

Joachim nie mógł się temu przeciwstawić, nie narażając się jednocześnie na zarzut braku chrześcijańskich uczuć.

Kiedyś wstąpili po chorą do jej ubogiego mieszkania we Wsi i zaprowadzili ją w mroźny, słoneczny dzień

zimowy do dzielnicy angielskiej, tak nazwanej od wznoszącego się w niej Hotel d Angleterre.

Szli pomiędzy luksusowymi sklepami głównej ulicy, po której z brzękiem dzwonek sunęły sanki i spacerowali bogaci próżniacy i darmożjadzi, zebrani z całego świata, a zamieszkali w Kurhauzie i innych

wielkich hotelach; szli z odkrytymi głowami, w modnych ubraniach sportowych uszytych z wytwornych i

drogich materiałów, z twarzami opalonymi przez zimowe słońce i promieniowanie śniegu. Zdąжали w dół, ku położonej w głębi doliny w pobliżu Kurhauzu ślizgawce, która latem, przemieniona w łąkę, służyła jako boisko do gry w piłkę nożną. Słychać było muzykę: na estradzie drewnianego pawilonu u wejścia na czworoboczną ślizgawkę grała orkiestra; z oddali wyzierały śnieżne góry na ciemnoniebieskim tle. Kupili bilety, przedarli się przez tłum publiczności otaczającej powierzchnię lodu z trzech stron, wzdłuż których amfiteatralnie wznosiły się ławki, znaleźli sobie wygodne miejsca i zaczęli się przyglądać. Zawodnicy, kuso odziani, w czarnych trykotach i szamerowanych kurtkach obszytych futrem, kołysali się na lodzie, unosili się w powietrzu, wykonywali skomplikowane figury, skakali i wirowali. Para wirtuozów, pani i pan, zawodowcy nie uczestniczący w zawodach, wykonywali jakąś figurę, którą tylko oni na całym świecie wykonać umieli; rozpętali burzę oklasków i tusze orkiestry. Sześciu młodzieńców różnej narodowości ubiegało się o nagrodę za najszybszy bieg; pędzili pochyleni, z rękami założonymi na plecach, niektórzy z chusteczką przy ustach. Przebiegli tak sześć razy dokoła toru. Muzyka mieszała się z dźwiękiem dzwonka. Od czasu do czasu tłum wznosił okrzyki i klaskał. Zbiorowisko ludzkie, w którym znaleźli się nasi chorzy, obaj kuzynowie i ich protegowana, było wielce różnorodne. Anglicy z białymi zębami i w szkockich czapkach rozmawiali po francusku z silnie wyperfumowanymi paniami, od stóp do głów ubranymi w kolorową wełnę, a niekiedy i w spodnie. Amerykanie o małych głowach z przylegającymi włosami, i z fajkami w ustach, odziani byli w futra, wywrócone włosem do góry. Wszędzie widać było brodatych i eleganckich Rosjan, których wygląd trącił barbarzyńskim bogactwem, Holendrów o typie malajskich mieszańców, Niemców i Szwajcarów, a również mnóstwo osób nieokreślonego pochodzenia, mówiących po francusku, przybyłych z Bałkanów czy też ze Wschodu - tłum ludzi dość podejrzanych, dla których Hans Castorp miał pewną słabość, ale którzy, jako indywidualia dwuznaczne i bez określonego charakteru, nie wzbudzali sympatii w Joachimie. Dzieci stawały tu i tam do różnych zabawnych konkursów: podskakiwały na lodzie mając na jednej nodze nartę a na drugiej łyżwę albo też chłopcy popychali przed sobą wielkie szufle, w których sadowiły się dziewczynki. Inne dzieci biegały z płonącymi świecami, przy czym zwycięzcą zostawał ten, kto z nie zgaszonym płomieniem dotarł do celu, albo musiały w biegu brać przeszkody czy też za pomocą cynowych łyżek wrzucać kartofle do ustawionych polewaczek.

Świat elegancki pokładał się ze śmiechu.

Pokazywano sobie najbogatsze, najszlachetniejsze i najładniejsze dzieci, córeczkę jakiegoś holenderskiego

multimilionera, syna jakiegoś pruskiego księcia oraz dwunastoletniego chłopca, nazywającego się jak jedno

ze znanych win szampańskich.

Biedna panna Karen cieszyła się również nie przestając przy tym kaszleć.

Z radości klaskała w ręce z popękanymi palcami.

Tak bardzo była wdzięczna.

Zaprowadzili ją także na wyścigi bobslejowe: było to niedaleko zarówno od "Berghofu", jak i od

mieszkania panny Karen Karstedt, bo tor, idący z Schatzalp, kończył się we Wsi pomiędzy domami, położonymi na

zachodnim zboczu doliny.

W tym miejscu znajdował się posterunek sędziego, którego zawiadamiano telefonicznie o starcie każdego z

płaskich pojazdów pędzących po metalicznie lśniących krzywiznach toru, pomiędzy śnieżnymi barierami,

ściętymi w lód.

Na bobslejach siedzieli panowie i panie w białych wełnianych kostiumach, przyozdobieni szarfami o barwach wszystkich narodowości.

Saneczki zjeżdżały jedne po drugich w dużych odstępach czasu.

Widać było czerwone, pełne napięcia twarze, smagane śniegiem.

Upadki, koziółkujące sanki, z których załoga wypadała, doznawały utrwalenia dzięki aparatom fotograficznym widzów.

I tutaj grała orkiestra.

Publiczność siedziała na małych trybunach albo tłoczyła się na ścieżce dla pieszych wzdłuż toru, oczyszczonej ze śniegu.

Na drewnianych mostkach przerzuconych nad torem, spod których od czasu do czasu wypadał rozpędzony bobslej biorący udział w zawodach, było również pełno ludzi.

Zwłoki z sanatorium na górze odbywały tę samą drogę, w pędzie przesuwały się pod mostkami, brały wszystkie zakręty i dążyły w dolinę, w dolinę - pomyślał Hans Castorp i nawet coś o tym napomknął.

Nawet do bioskopu w Uzdrowisku zaprowadzili młodzi ludzie pewnego popołudnia pannę Karen Karstedt, bo tak bardzo lubiła rozrywki.

W dusznej atmosferze, która ich wszystkich troje bardzo niemile uderzyła (bo byli przyzwyczajeni tylko do powietrza najczystszego), która utrudniała oddychanie i przyprawiała ich o lekki zawrót głowy, skrzyło się szybkie, urywane, drobno posiekane życie, skaczące, drgające i niespokojne; wtórowała mu niewielka muzyczka, ilustrująca słyszalnymi aktualnie taktami bieg minionych zjawisk, przesuwających się na ekranie przed ich zmęczonymi oczami.

Mimo bardzo ograniczonych środków przebiegała wszystkie rejestry uroczystej powagi i pompy, namiętności, dzikości i lubieżnej zmysłowości.

Wyświetlano jakiś wstrząsający film erotyczny i kryminalny, rozgrywający się w milczeniu na dworze wschodniego despoty; przed oczyma ich przelatywały sceny pełne przepychu i nagich ciał, pełne rozpasanych chuci tyrana i religijnego szału służalczości, pełne okrucieństwa, żądzy, śmiertelnej rozkoszy i niezapomnianej naoczności, kiedy na przykład pokazywano na ekranie

muskulaturę ramion kata.

Jednym słowem, film zrodzony był z intuicyjnego wyczucia skrytych pragnień widowni, złożonej z przedstawicieli międzynarodowej cywilizacji.

Settembrini, jako człowiek o wytrawnym sądzie, zapewne ostro skrytykowałby ten film, nie zgadzający się z humanistycznymi dążeniami; umiałby z klasyczną ironią potępić nadużywanie techniki w celu tworzenia obrazów poniewierających godność człowieka; tak myślał sobie Hans Castorp i szepnął też coś o tym Joachimowi.

Pani Stohr natomiast, która również była obecna i siedziała niedaleko od naszej trójki, zdawała się rozplęwać z zachwytu, jej czerwoną, nieinteligentną twarz wykrzywił grymas rozkoszy.

Zresztą, podobne uczucia malowały się na wszystkich twarzach.

Kiedy jednak zniknął ostatni drgający obraz jakiegoś aktu, kiedy jaśniało znów światło, a tło dopiero co oglądanych wydarzeń ukazywało się publiczności jako pusty ekran, nie mogły nawet zrywać się oklaski.

Nie było nikogo, komu można by dziękować aplauzem, kogo można by wywołać w nagrodę za jego artystyczną kreację.

Aktorzy, zebrani kiedyś dla realizacji filmu, dawno już rozproszyli się na cztery strony świata; oglądano tylko cienie ich, miliony poszczególnych zdjęć i króciutkich utrwałeń, na które fotografując je, rozbito ich ruchy, ażeby później dowolnie często rozwijać je w szybkim tempie przed oczami ludzi, nadając im na nowo cechę czasowości.

Niemile było wrażenie, które wywierał tłum, milczący po przeżytym złudzeniu i jakby pozbawiony nerwów.

Ręce widzów spoczywały beczynnie przed nicością.

Przecierano oczy, patrzono tępo przed siebie, wstydzono się światła - wszyscy pragnęli powrotu ciemności, aby znowu patrzeć, aby rzeczy, które odbyły się w swoim czasie, oglądać przeniesione w nowy czas i ożywione przez dźwięki muzyki.

Despota ginął pod nożem, jego otwarte usta wydały ryk, którego się nie słyszało.

Potem wyświetlano obrazy z całego świata: prezydenta Republiki Francuskiej, w cylindrze i z wielką wstęgą Legii Honorowej, siedzącego w powozie i odpowiadającego na jakąś mowę powitalną; wicekróla Indii na weselu pewnego radży; niemieckiego następcę tronu na dziedzińcu koszar w Poczdamie.

Można było też przyjrzeć się życiu i zajęciom krajowców w jakiejś wsi w Nowej Meklemburgii, walce kogutów na Borneo, nagim dzikusom grającym na piszczalkach, polowaniu na dzikie słonie, jakiejś ceremonii na syjamskim dworze królewskim, ulicy domów publicznych w Japonii, gdzie za drewnianymi kratami siedziały gejsze.

Oglądano okutanych Samojedów, powożących saniami zaprzężonymi w renifery i mknących przez śnieżne pustynie północnej Azji; rosyjskich pielgrzymów modlących się w Hebronie; karę chłosty wykonywaną na jakimś perskim delikwencie.

Było się świadkiem tych scen; przestrzeń była unicestwiona, czas cofnięty, a przeszłość i dal - zamienione w mknącą, zwodniczą, owianą dźwiękami muzyki teraźniejszość i bliskość.

Na ekranie zjawiała się nagle naturalnej wielkości młoda kobieta marokańska z na wpół odkrytą, pełną piersią, w jedwabnej pasiastej szacie, obwieszona łańcuchami, klamrami i pierścieniami.

Miała szerokie nozdrza, oczy pełne zwierzęcego życia, całą twarz w ruchu; śmiała się ukazując białe zęby; jedną ręką, której paznokcie połyskiwały jaśniej niż ciało, przysłaśniała oczy, a drugą przesyłała ukłony publiczności.

Z pewnym zmieszeniem wlepiano oczy w pełne czaru zjawisko, które zdawało się widzieć, a nie

widziało, które nie czuło na sobie spojrzeń i którego śmiech oraz ruchy nie odnosiły się do terażniejszości, lecz do czegoś, co było kędyś daleko i dawno, tak że nie miałyby sensu na nie odpowiadać.

To zabarwiało, jak zaznaczyliśmy, uczucie zadowolenia pewną przymieszką bezsilności.

Potem zjawisko znikło.

Jasność zalała pusty ekran, na którym ukazał się wyraz "koniec", cykl obrazów był zamknięty i publiczność w milczeniu opuszczała teatr, podczas gdy z zewnątrz napływały świeże tłumy, pragnące przypatrywać się ponownemu wyświetlaniu filmu.

Pani Stohr, która się do nich przyłączyła, namówiła ich, aby wstąpili jeszcze do kawiarni w Kurhauzie.

Biedna Karen bardzo się ucieszyła i aż ręce złożyła z wdzięczności.

I tu grała muzyka.

Nieliczną, w czerwone fraki ubraną orkiestrą dyrygował jakiś Czech czy też Węgier, który w pewnej od niej odległości stał pośród tańczących par i, ogniście podrygując, wygrywał z temperamentem swą partię pierwszego skrzypka.

Przy stolikach tętniło światowe życie.

Podawano wyszukane napoje.

Obaj kuzyni zamówili dla siebie i swej pupilki oranżadę, pragnęli się ochłodzić, bo było gorąco i duszno, pani Stohr zaś kazała sobie przynieść słodką wódkę.

O tej godzinie, mówiła, ruch jest jeszcze niewielki.

Dopiero w późniejszych, wieczornych godzinach tańce bardzo się ożywiają; biorą w nich tłumny udział pacjenci z różnych sanatoriów, a także swobodnie żyjący mieszkańcy hoteli i Kurhauzu.

Niejedna ciężko chora przestąpiła tu, tańcząc, próg wieczności i po wychyleniu ostatniego kielicha rozkoszy uległa ostatniemu krwotokowi in dulci júbilo.

Ignorancja pani Stohr zniekształciła niewiarogodnie te wyrazy: pierwszy z nich, który wymawiała dolce, zaczerpnęła zapewne z włoskiego słownika muzycznego swego małżonka, drugi zaś brzmiał jak "jubileusz" czy coś podobnego, tak że obaj kuzyni, usłyszawszy tę łacinę, równocześnie schylili się nad szklankami i chwycili za słomki.

Pani Stohr jednak nie wyprowadziło to zupełnie z równowagi.

Przeciwnie, wyszczerzając swoje zajęcze zęby, starała się za pomocą aluzji i przycinków dowiedzieć się, jaki zachodzi stosunek pomiędzy trojgiem młodych ludzi; w stosunku tym jasna była dla niej tylko rola biednej Karen, której przy jej lekkim - jak mówiła pani Stohr - trybie życia dogadza to zapewne, że opiekują się nią dwaj tak wytworni kawalerowie.

Mniej jasną wydała jej się ta sprawa ze względu na obu kuzynów.

Pomimo swej głupoty i prostactwa doszła jednak dzięki kobiecej intuicji do pewnego wniosku, co prawda połowicznego i pospolitego.

Zrozumiała mianowicie i dawała temu wyraz za pomocą przycinków, że właściwym kawalerem był w tym wypadku Hans Castorp, Joachim zaś asystował mu tylko, i że Hans Castorp, którego skłonność do pani Chauchat była jej znana, zajmuje się niepozorną panną Karstedt tylko z braku tamtej - do pani Chauchat widocznie nie umiał się zbliżyć.

Wniosek ten, godny pani Stohr, płytki i niedostatecznie umotywowany, świadczył o intuicji bardzo pospolitej, toteż Hans Castorp odpowiadał na jej płaskie i żartobliwe przytyki znużonym i pogardliwym spojrzeniem.

Bez wątpienia, towarzystwo biednej Karen było dla niego czymś w rodzaju zastępczego środka pomocniczego o nieokreślonej skuteczności, podobnie jak w ogóle wszystkie jego miłosierne

poczynania.

Ale zarazem były one przecież także celem same w sobie, owe cnotliwe poczynania i zadowolenie, które

odczuwał, kiedy karmił kleikiem schorowaną panią Mallinckrodt, kiedy słuchał opowiadań pana Fergego o

piekielnym wstrząsie opłucnowym albo widział biedną Karen, jak klaszcze z radości i wdzięczności w ręce

o palcach pokrytych plastrami - choć było zadowoleniem tylko w znaczeniu przenośnym i względnym,

miało w sobie jednak coś z bezpośredniości i czystości.

Owiane było duchem kultury wręcz przeciwnej duchowi, który reprezentował z pedagogicznych motywów pan Settembrini, ale zasługiwało, jak sądził młody Hans Castorp, na to, by zastosować do niego

maksymę placet experiri.

Domek, w którym mieszkała Karen Karstedt, leżał niedaleko od strumyka i od toru kolejowego, przy drodze prowadzącej do Davos Wsi, tak że obaj kuzyni pragnąc, by im towarzyszyła na ich służbowym

spacerze po śniadaniu, łatwo mogli po nią wstąpić.

Idąc tak w kierunku Wsi, aby dostać się na główną promenadę, mieli przed sobą mały Schiahorn, potem na

prawo trzy turnie zwane Zielonymi Wieżami, obecnie jednak również okryte oślepiająco białym śniegiem, a

jeszcze bardziej na prawo kopułę góry Dorfberg.

Mniej więcej na czwartej części wysokości jej ściany znajdował się cmentarz, cmentarz Wsi, okolony

murem, skąd roztaczał się zapewne piękny widok, przypuszczalnie na jezioro, i z tego powodu mógł kiedyś

stanowić cel spaceru.

Toteż udali się tam wszyscy troje pewnego pięknego przedpołudnia - a wszystkie dni były teraz piękne:

bezwietrzne i słoneczne, z ciemnym błękitem nieba, gorące i mroźne zarazem, i lśniące od białości.

Obaj kuzyni, jeden z twarzą koloru cegły, drugi opalony na brązowo, szli w samych ubraniach, bo pod

palącymi promieniami słońca płaszcze obciążałyby ich zbyt; młody Ziemssen w ubraniu sportowym, w

śniegowcach, Hans Castorp również w śniegowcach, ale w długich spodniach - nie przywiązywał bowiem

dość wielkiej wagi do spraw ciała, aby włożyć krótkie.

Była to pierwsza połowa lutego nowego roku.

Tak, cyfra roku zmieniła się od czasu, gdy Hans Castorp tu przybył; pisano obecnie cyfrę inną, następną.

Olbrzymia wskazówka wszechświatowego zegara posunęła się o jedno miejsce; co prawda, nie jedna z

największych wskazówek, pozwalających odczytać np. tysiąclecia - nieliczni spomiędzy żyjących doczekają

jeszcze tej zmiany - nie była to też wskazówka odmierzająca stulecia albo tylko dziesiątki lat. Bynajmniej.

Posunęła się tylko wskazówka rejestrująca lata, chociaż od przybycia tutaj Hansa Castorpa nie minął jeszcze rok, lecz dopiero niewiele więcej niż pół roku.

Teraz wskazówka ta stoi w miejscu i stać będzie tak - jak wskazówki pewnych wielkich zegarów, posuwających się tylko co pięć minut - aż do chwili, gdy drgnie na nowo.

Zanim jednak ten moment nastąpi, wskazówka miesięcy musi posunąć się jeszcze dziesięć razy, to jest kilka

razy więcej, niż posunęła się od chwili przybycia Hansa Castorpa tu na górę - lutego Hans Castorp już nie

liczył, bo miesiąc rozpoczęty uważał za miniony, podobnie jak banknot rozmieniony na drobne - za już

wydany.

A więc poszli także raz wszyscy troje na cmentarz leżący na górze Dorfberg - musimy jeszcze i ten spacer

opisać dla ścisłości opowiadania.

Inicjatywa wyszła od Hansa Castorpa; Joachim, który początkowo miał pewne skrupuły ze względu na

stan biednej Karen, zgodził się wreszcie i przyznał, że byłoby bezcelowe bawić się z nią w chowanego i

zgodnie z poglądami tchórzliwej pani Stohr chronić ją trwożnie od wszystkiego, co by przypominało exitus.

Karen Karstedt nie była jeszcze w tym ostatnim stadium, kiedy chory się łudzi; wiedziała doskonale, jaki

jest jej stan i co oznacza martwica na końcach jej palców.

Wiedziała również, że jej nieczuli krewni nie zechcą nawet słyszeć o luksusie transportowania jej do ojczyzny; rozumiała więc, że po swym zgonie będzie musiała tam na górze zająć małe, skromne miejsce.

Krótko mówiąc, można było uważać, że ten cel wycieczki jest dla niej bardziej stosowny pod względem

moralnym niż niejeden inny, na przykład tor saneczkowy lub kino; było to zresztą nic innego jak tylko akt

koleżeńskości, wizyta złożona tym tam na wzniesieniu - jeżeli naturalnie nie uważało się cmentarza za osobliwość i za obojętny cel spaceru.

Szli powoli gęsiego, bo oczyszczona ze śniegu ścieżka inaczej iść nie pozwalała, pozostawili za sobą i pod

sobą ostatnie, najwyżej na stoku położone wille, i wspinając się ku górze, mieli przed oczami dobrze im

znany krajobraz w przepysznej zimowej szacie, w perspektywie nieco przesunięty i nieco rozszerzony:

otwierał się na północny wschód, ku wejściu do doliny.

Oczom ich ukazał się oczekiwany widok na ocienione lasami, zamarznięte i pokryte śniegiem jezioro; poza

nim, w miejscu, gdzie jak gdyby stykały się skośne zbocza gór, piętrzyły się na tle błękitnego nieba nowe



zaśnieżone wierzchołki.

Patrzyli na roztaczający się widok stojąc w śniegu u kamiennej bramy prowadzącej na cmentarz, po czym

przeszli przez żelazną furtkę, wprawioną w bramę i tylko z lekka przymkniętą.

I tu ścieżki były oczyszczone ze śniegu; mijali groby otoczone żelaznymi kratami i przykryte grubą warstwą śniegu, te pięknie i równo usypane mogiły i widniejące na nich krzyże z kamienia lub metalu oraz

małe pomniki, ozdobione medalionami i napisami.

Nie było tu jednak żywej duszy.

Niczym nie zakłócony spokój tego pustkowiecia uderzył ich swą głębią i nieokreśloną tajemniczością; mały,

kamienny aniołek czy jakaś figurka dziecka, z nieco przekrzywioną czapą śnieżną na główce i palcem na

ustach, stała między krzakami i była jakby geniuszem tego zakątka, duchem milczenia - milczenia, które się

odczuwało jako wyraźne przeciwieństwo głośnej rozmowy, a więc jako zamilknięcie, nie pozbawione

jednak treści ani znaczenia.

Dla obu mężczyzn byłaby to okazja do zdjęcia kapeluszy, gdyby je mieli; ale szli przecież z gołymi głowami

- Hans Castorp także - więc tylko pełni trwożnej czci, z lekka się pochylając, postępowali gęsiego, jakby

skłaniając się na prawo i na lewo, za Karen Karstedt, która ich prowadziła.

Cmentarz miał kształt nieregularny, ciągnął się najpierw w kształcie wąskiego prostokąta ku południowi, a

potem dzielił się na dwie części, również prostokątne.

Najwidoczniej kilkakrotnie trzeba go było powiększać i przyłączać doń nowe tereny.

Pomimo to cała przestrzeń ogrodzona była już znowu zajęta, zarówno jej partie wzdłuż muru położone, jak

i mniej uprzywilejowane, leżące pośrodku - tak że trudno było sobie wyobrazić, gdzie by się tu jeszcze dla

kogoś znalazło pomieszczenie.

Obcy przybysze przez dłuższy czas stąpali dyskretnie po wąskich ścieżkach i przejściach pomiędzy pomnikami, przystając od czasu do czasu, aby przeczytać nazwisko oraz datę urodzenia i śmierci.

Pomniki i krzyże były bez pretensji - nie świadczyły o zbytnich staraniach.

Co do napisów, to były to nazwiska ze wszystkich krańców świata - angielskie, rosyjskie lub w ogóle słowiańskie, także niemieckie, portugalskie i różne inne jeszcze; daty zaś miały jedną subtelny cechę:

rozpiętość ich była uderzająco mała, różnica między rokiem urodzenia a rokiem śmierci wynosiła przeważnie niewiele więcej nad dwadzieścia lat - leżała tu więc sama młodzież, która nigdzie

jeszcze nie

zapuściła korzeni i z różnych stron świata zjechała tutaj, aby ostatecznie przybrać poziomą pozycję.

Mniej więcej w środku cmentarza, w miejscu gdzie najgęściej stłoczyły się mogiły, było małe, płaskie

miejsce, długości ludzkiego ciała - było równe i puste, a po obu jego stronach znajdowały się dwa groby z

zawieszonymi na pomnikach metalowymi wieńcami.

Troje wędrowców mimo woli przystanęło.

Stali tak, panna Karen trochę przed swymi towarzyszami, i czytali czułe napisy na kamieniach: Hans Castorp niedbale, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z na w pół otwartymi ustami i sennymi oczyma,

młody Ziemssen nie tylko wyprostowany, ale nawet nieco w tył przechylony.

Obaj równocześnie, w przystępie ciekawości, spojrzeli z boku ukradkiem na wyraz twarzy panny Karen

Karstedt.

Poczuła to jednak i stała zawstydzona i skromna, z głową nieco przechyloną ku przodowi, i uśmiechała się

wymuszonym uśmiechem, ściągnąwszy usta i szybko mrugając oczami.

Noc Walpurgi. (Noc Walpurgi - tak lud niemiecki nazywa noc z 30 kwietnia na 1 maja, poprzedzającą dzień świętej

Walpurgi, opatki klasztoru w Heidenheim, zmarłej w roku 779.

Według podań ludowych nocy tej odbywa się na górze Blocksberg - podobnie jak w polskich legendach na

Łysej Górze - sabat czarownic i złych duchów.

"Noc Walpurgi" to tytuł Jednej z części "Fausta" Goethego).

Siedem miesięcy upływało w najbliższych dniach od przyjazdu młodego Hansa Castorpa; pięć dźwigał na grzbiecie Joachim w chwili przybycia kuzyna, dwanaście zatem się skończyło, a więc roczek - okrągły rok okrągły w znaczeniu astronomicznym, od chwili gdy go tu odstawiła mała, mocna lokomotywa; w tym czasie ziemia obróciła się dokoła słońca i znalazła się w tym samym punkcie co wówczas.

Był to czas karnawału.

Ostatki zbliżały się i Hans Castorp dowiadywał się u Joachima, który siedział tu od roku, jak się to tutaj odbywa.

- Wspaniale - odpowiedział Settembrini, którego obaj kuzyni znowu spotkali podczas przedobiedniego spaceru.

Przepięknie - odpowiedział.

- Wesoło tu jakby w Praterze, zobaczy pan, inżynierze!

(Wesoło tu Jakby w Praterze - cytat z "Fausta", podobnie jak wszystkie dalsze cytaty zawarte w tym rozdziale, wyodrębnione w tekście, w przekładzie Władysława Kościelskiego).

Tu kręcim się w taneczny zwrot, świetni kawalerowie - wydymając policzki kpił złośliwie i szydęrczo,

zgrabnie gestykułując rękami, głową i ramionami.

- Czego pan chce?

Przecież i w maison de sante odbywają się czasem bale wariatów i idiotów, jak czytałem - dlaczegoż by

więc tutaj nie miały się odbywać?

Program obejmuje najróżniejsze danses macabres, jak się pan zapewne domyśla.

Niestety, pewna część zeszłorocznych uczestników zabawy tym razem nie będzie mogła się ukazać, bo

zabawa kończy się już o dziewiątej 30...

- Jak to...

Ach, to doskonałe!

- śmiał się Hans Castorp.

- Ależ figlarz z pana!

O wpół do dziesiątej!

Słyszałeś, Joachimie?

Za wcześnie mianowicie, aby "pewna część" zeszłorocznych uczestników mogła wziąć udział w zabawie,

choćby przez godzinę.

Cha!

cha!

to niesamowite.

To ta część właśnie, która tymczasem pożegnała się z "mięsem" raz na zawsze.

Czy rozumiesz tę grę słów?

W każdym razie jestem ciekaw!

- powiedział.

- Uważam za słuszne, że tak tu święta obchodzimy i w powszechnie przyjęty sposób zaznaczamy etapy

naszego pobytu, a więc jakby karby, aby uniknąć monotonii niczym nie różniących się od siebie dni, która

byłaby zbyt dziwna.

Przeżyliśmy w pełni świadomości Boże Narodzenie, potem był Nowy Rok, a teraz nadchodzą zapusty. Później będzie Palmowa Niedziela (a czy można tu dostać obarzanki)?

Wielki Tydzień, Wielkanoc i w sześć tygodni później Zielone Świątki, a zaraz potem najdłuższy dzień w

roku - przesilenie letnie - rozumie pan, i znów zbliżać się zaczniemy ku jesieni...

- Dość!

Dość!

Dość!

- zawołał Settembrini, wznosząc twarz ku niebu i przyciskając dłońmi skronie.

- Niech pan zamilknie!

Zabraniam panu w ten sposób popuszczać sobie cugli!

- Ależ przepraszam, mówię właśnie przeciwnie...

Zresztą Behrens w końcu zdecyduje się zapewne na te zastrzyki, które mają dla mnie być odtrutką, bo mam wciąż trzydzieści siedem i cztery - pięć - sześć, a nawet siedem.

To nie chce się zmienić!

Jestem i pozostanę widocznie "wiecznym strapieniem"!

Zresztą nie jestem skazany na długi pobyt tutaj; Radamantys nigdy mi nic określonego nie zamruczał, ale mówi, że nie miałoby sensu przerywać przedwcześnie leczenia, skoro przecież już tak długo jestem tu w górze i, że tak powiem, tyle czasu zainwestowałem.

I na co zdałoby się, gdyby mi nawet jakiś termin wymienił?

Nie miałoby to wielkiego znaczenia, bo gdyby powiedział na przykład pół roczku, byłoby to na pewno za krótko i trzeba by się przygotować na dłużej.

Tak było z moim kuzynem: miał być gotów z początkiem tego miesiąca - gotów, to znaczy wyleczony, a tymczasem ostatnim razem Behrens dołożył mu jeszcze cztery miesiące aż do zupełnego wyleczenia

- więc co się ma z tego?

Wtedy więc będziemy właśnie mieli przesilenie letnie, jak to już powiedziałem bez żadnego zamiaru rozniewania pana, i znowu zbliżać się będziemy ku zimie.

Ale na razie mamy oczywiście dopiero ostatki; słyszy pan przecież, iż, zdaniem moim, jest to bardzo dobrze, że odrabiamy wszystko kolejno, jak należy, tak jak jest w kalendarzu.

Pani Stohr powiedziała, że w łoży portiera można kupić trąbki dzieciinne?

Było tak rzeczywiście: w ostatni wtorek już od samego rana, przy pierwszym śniadaniu, słychać było w sali jadalnej dźwięki różnych zabawnych instrumentów muzycznych, to grzechocące, to dęte: podczas obiadu od stołu Gansera, Rasmussena i panny Kleefeld fruwały serpentyny, a kilka osób na przykład Marusia z okrągłymi oczyma, włożyło na głowę papierowe czapki, które również można było nabyć u kulawego portiera.

Wieczorem zaś rozwinęła się w salonie i pokojach ogólnych zabawa świąteczna, której przebieg...

Na razie tylko nam wiadomo, do czego doprowadziła ta zabawa karnawałowa dzięki przedsiębiorczości Hansa Castorpa.

Ale nie damy się bynajmniej porwać ani wyprowadzić ze stanu rozwagi przez nasze wiadomości, nie przyśpieszymy ani na jotę biegu wypadków, oddając czasowi należne mu honory, a nawet będziemy bieg ten powściągali, bo podzielamy cnotliwą nieśmiałość młodego Hansa Castorpa, która tak długo wstrzymywała rozwój owych wydarzeń.

Całe towarzystwo udało się po południu do Uzdrowiska, aby przypatrzeć się zapustnemu ruchowi ulicznemu.

Spotykano po drodze maski, pierrotów i arlekinów z grzechotkami; wywiązywała się walka na confetti pomiędzy pieszą publicznością a zamaskowanymi również pasażerami udekorowanych i rozbrzmiewających dzwoneczkami sanek.

Wieczorem w wielkiej sali jadalnej wokół siedmiu stołów zebrano się na kolację w nastroju już bardzo karnawałowym, z zamiarem podtrzymywania nastroju ulicy w zamkniętym gronie.

Papierowe czapki, grzechotki i gwizdawki portiera miały wielkie powodzenie, a prokurator Paravant dał początek dalszemu przebieraniu się: włożył na siebie damskie kimono, przypiął do głowy fałszywy warkocz (który - jak powszechnie i głośno zapewniano - był własnością pani konsulowej Wurmbrand) i zakręcił żelazkiem swe wąsy ku dołowi - co nadało mu wygląd prawdziwego Chińczyka.

Zarząd sanatorium nie pozostał w tyle.

Każdy z siedmiu stołów ozdobiony był barwnym papierowym lampionem w kształcie księżyca, oświetlonym od wnętrza świecą; na widok tej iluminacji Settembrini wszedłszy do sali i mijając stół Hansa Castorpa zacytował słowa poety: Czy widzisz ogień ten wspaniały?

Tam klub wesoły zawiązali.

Wypowiedział to z lekkim i subtelnym uśmiechem i zdążał dalej do swego stołu, gdzie przywitano go gradem małych pocisków napełnionych pachnącym płynem.

Kuleczki te, o cieniutkich ściankach, dochodząc do celu pękały i oblewały ofiarę perfumami.

Słowem, świąteczny humor był od początku bardzo wyraźny.

Rozlegały się wybuchy śmiechu, serpentyny zwieszające się z żyrandoli powiewały w powietrzu, w sosie pieczeni pływało confetti, a wkrótce ukazała się karlica z pierwszą butelką szampana w kubelku z lodem; zaczęto mieszać burgunda z szampanem, do czego sygnał dał adwokat Einhof, a kiedy ku końcowi kolacji pogaszono nawet światła u sufitu i sala oświetlona tylko barwnymi lampionami pograżyła się w półmroku przypominającym "włoskie noce", karnawałowy nastrój dosięgnął szczytu.

Przy stole Hansa Castorpa podobała się bardzo napisana przez Settembriniego kartka, którą przesłał za pośrednictwem najbliższej niego siedzącej Marusi, przystrojonej w dżokejską czapkę z zielonej bibułki.

Na kartce napisał ołówkiem: Lecz zważcie!

szał dziś górą rządzi,

A gdy wraz z błędnym ognikiem się błądzi,

Niejedno czasem się przydarza.

doktor Blumenkohl, który miał się znowu bardzo źle, wymamrotał coś ze swym zwyczajnym dziwnym grymasem twarzy czy też raczej ust; ze słów tych można było wywnioskować, co to są za wiersze.

Hans Castorp ze swej strony uważał, że powinien na wiersz odpowiedzieć, znaleźć jakąś żartobliwą replikę, która oczywiście mogła tylko dość nieciekawie wypaść; szukał więc ołówka po swych kieszeniach, ale go nie znalazł; nie mógł mu go też dać Joachim ani nauczycielka.

Wówczas oczy jego z siecią czerwonych żyłek zwróciły się o pomoc ku Wschodowi, ku lewemu tylnemu kątowni sali, i widać było, jak przelotna jego chęć wyrodziła się nagle w tak daleko idące asocjacje, że zbladł i zapomniał zupełnie o swym pierwotnym zamiarze.

Zresztą były ku temu i inne powody.

Pani Chauchat, siedząca tam w głębi, ubrała się specjalnie na tę noc karnawałową; miała na sobie nową suknię; w każdym razie taką, w jakiej Hans Castorp jeszcze jej nie widział.

Była to suknia z lekkiego, ciemnego, prawie czarnego jedwabiu, mieniąca się nieco odcieniem złotobrazowym, z okrągłym, małym jak dla młodej dziewczyny wycięciem, które odsłaniało tylko szyję i część obojczyków, a z tyłu, przy lekkim pochyleniu głowy, kręgi karku pod luźno opadającymi włosami.

Ramiona jednak były zupełnie obnażone: były to ramiona delikatne, chociaż dość pełne, chłodne w dotknięciu, jak przynajmniej można było domyślać się, a tak niezwykle białe, tak wstrząsająco odcinały się od ciemnego jedwabiu sukni, że Hans Castorp przymknąwszy oczy wyszeptał "Mój Boże"!

Tego fasonu sukni jeszcze nigdy nie widział.

Znał balowe toalety, strojne i uroczyste, o znacznie większych dekoltach, ale były to wycięcia przepisowe i w przybliżeniu nawet nie wywierały tak sensacyjnego wrażenia.

Przede wszystkim błędnym okazało się poprzednie przypuszczenie biednego Hansa Castorpa, że kuszący powab, bezrozumny powab tych ramion, które poznał był już poprzez cieką gazę, z chwilą kiedy nie będą już, jak to nazywał "opromienione" gazą, okaże się może mniej silny.

Omyłka!

Nieszczęsne złudzenie!

Pełna, jaskrawa, oślepiająca nagość tych wspaniałych członków zatrutego chorobą organizmu była o wiele silniej wstrząsającym niż tamto opromienienie zjawiskiem, na które nie było innej odpowiedzi, jak tylko pochylenie głowy i bezgłośnie powtarzane słowa "Mój Boże"!

Nieco później pojawiła się inna jeszcze kartka z następującym wierszem: Wokoło towarzystwa kwiat!

Z panienek każda różą,

A z kawalerów każdy chwiat!

Najlepszą przyszłość wróżą.

- Brawo!

Brawo!

- wołano.

Siedziano już przy czarnej kawie, którą podawano w brunatnych kamiennych dzbanuszkach, ewentualnie

też przy likierach, które chętnie spijała na przykład pani Stohr, kochająca się w słodkich napojach wysokowych.

Towarzystwo zaczęło się rozpraszać, krążyć.

Odwiedzano się wzajemnie, zmieniano miejsca przy stołach.

Część towarzystwa przeniosła się już do salonów, inni pozostali w jadalni przy kieliszku mieszanego wina.

Settembrini, z filiżaneczką czarnej kawy w ręce i wykałaczką w ustach, zjawił się teraz osobiście u stołu

Hansa Castorpa i zajął miejsce na rogu, w charakterze hospitanta, pomiędzy nim a nauczycielką.

- Góry Harc - powiedział.

- Okolica Schierke i Elend.

(Góry Harc...

- umiejscowienie "Nocy Walpurgi" w "Fauście").

Czy za wiele panu obiecywałem, inżynierze?

Ot, co się zowie targowisko!

Ale niech pan zaczeka, nasza pomysłowość nie wyczerpuje się jeszcze tak szybko, nie jesteśmy jeszcze u

szczytu, nie mówiąc o tym, że do końca daleko!

Będzie jeszcze więcej masek, jak słycać.

Niektóre osoby znikły, co daje pole do różnych domysłów, zobaczy pan.

Rzeczywiście ukazały się nowe kostiumy: panie po męsku, operetkowe i nieprawdopodobne z powodu

obfitych kształtów, z brodami namalowanymi osmalonym korkiem; panowie, przeciwnie, w damskich toaletach, potykający się o długie spódnice, jak na przykład student Rasmussen, który w czarnej

dżetowej sukni, z dekoltem pełnym pryszczycy, zawzięcie wachlował sobie papierowym wachlarzem twarz, a nawet

plecy.

Ukazał się też kulawy żebrak, wsparty na kuli.

Ktoś znowu sporządził sobie z białych kalessonów i damskiego filcowego kapelusza strój pierrota, przypudrował mocno twarz, tak że oczy patrzyły nienaturalnie, a usta jaskrawo pomalował czerwoną kredką do warg.

Był to ów chłopiec o paznokciu jak szufelka.

Grek od gorszego stołu rosyjskiego, odznaczający się pięknymi nogami, przebrał się za granda hiszpańskiego czy też za księcia z bajki i dumnie kroczył w trykotowych kalessonach koloru lila, krótkim

płaszczku, papierowej kryzie i ze szpadą u pasa.

Kostiumy te zaimprovizowano widać w pośpiechu, zaraz po kolacji.

Pani Stohr nie mogła już dłużej wytrzymać na swoim miejscu.

Znikła nagle, a wkrótce ukazała się jako posługaczka, z zakasaną spódnicą, z podwiniętymi rękawami, z

zawiazanymi pod brodą wstążkami papierowego czepka, z wiadrem w ręce, i zbrojna w szczotkę; nie zważając na siedzących gości wzięła się do szorowania podłogi pod stołami.

Stara Baubo też, jak może, wyrecytował na jej widok Settembrini i dodał jeszcze rymujący się wiersz wyraźnie i plastycznie: "Jedzie sobie na maciorze".

(Baubo - według mitologii greckiej rozpustna piastunka bogini Demeter).

Usłyszała to, nazwała go "włoskim kogutem", krzyknęła, aby swoje "sprośne kawałki" zachował dla siebie,

mówiła mu przy tym "ty", korzystając ze swobody maskaradowej, która już podczas kolacji wszechwładnie

zapanowała.

Właśnie chciał jej odpowiedzieć, gdy przeszkodził mu nowy wybuch śmiechu i hałas, który dochodził z

hallu i zwrócił powszechną uwagę.

Na czele tłumu gości wychodzących z salonów pojawiły się dwie cudaczne figury, które widocznie teraz

dopiero ukończyły swoje kostiumy.

Jedna z nich miała na sobie czarny habit pielęgniarki, od góry do dołu obszyty poprzecznymi białymi plisami: krótsze ułożone były gęsto jedna pod drugą, między dłuższymi odstępami były rzadsze; wszystko to

razem przypominało podziałkę termometru.

Maska ta trzymała wskazujący palec na swych białych ustach, a w drugiej ręce tabelkę z wykresem gorączki.

Druga maska była cała ubrana na niebiesko: usta i brwi pomalowane na niebiesko, twarz i nawet szyję miała również niebieską, a niebieską wełnianą czapkę nasuniętą na ucho.

Figura ta miała na sobie ubranie czy też pokrowiec z jednej sztuki lśniącego płótna - w kostkach ściągnięty był tasiemkami, a w środku wypchany tak, że tworzył okrągły brzuch.

Poznano panią Iltis i pana Albina.

Oboje mieli na piersiach tablice z napisami: "Niemowa" i "Niebieski Henryk".

Chwiejnym krokiem przesuwali się oboje dokoła sali.

Widowisko to wywołało huczne oklaski, rozległy się okrzyki.

Pani Stohr, ze szczytką pod pachą, z rękami na kolanach, śmiała się ordynarnie i ponad wszelką miarę, wpadając w rolę posługaczki.

Tylko Settembrini pozostał obojętny.

Usta jego pod pięknym łukiem wąsa zacisnęły się, gdy spojrzał przelotnie na obie przyjęte z takim entuzjazmem maski.

Pomiędzy gośćmi, którzy postępując w orszaku "Niemowy" i "Niebieskiego Henryka" wyszli znowu z salonów, znajdowała się też Kławdia Chauchat.

Przesunęła się w swej nowej sukni obok stołu Hansa Castorpa i szła na ukos do stołu młodego Gansera i panny Kleefeld, w towarzystwie kędzierzawej Tamary i Bułygina, swego sąsiada o zapadniętej klatce piersiowej, ubranego we фрак.

Przystanąwszy przy stole, założyła ręce na plecy i śmiejąc się wąskimi szparami oczu rozmawiała z ożywieniem, podczas gdy jej towarzysze poszli dalej za alegorycznymi upiorami i wraz z nimi opuścili salę.

Pani Chauchat przystroiła się także w karnawałową czapkę; nie była to nawet kupiona czapka, ale sporządzona ze zwykłego białego papieru złożonego w trójkąt, jak to się robi dla dzieci.

Włożyła ją w poprzek i było jej w tym prześlicznie.

Ciemnobrązowa suknia jedwabna o złotawym połysku sięgała jej tylko do kostek, spódnica miała

fason nieco bufiasty.

O ramionach nic tu już nie powiemy.

Były nagie aż po barki.

- Miarkuj dokładnie, kto ona...

- usłyszał Hans Castorp, jak gdyby z daleka, głos Settembriniego.

Wiódł za nią oczami, gdy w chwilę później szła ku szklanym drzwiom i wreszcie znikła w sali.

- To Lilith.

- Kto?

- zapytał Hans Castorp.

Literat ucieszył się i rzekł: - Adama pierwsza żona, miej się na straży...

Oprócz nich obu siedział jeszcze przy stole tylko doktor Blumenkohl, na jednym z dalszych miejsc.

Joachim i reszta współbiesiadników przeniosła się już do salonów ogólnych.

Hans Castorp powiedział: - Jesteś dziś pełen poezji i cytatów.

Cóż to znów za Lilii?

Czyżby Adam był dwa razy żonaty?

Nie miałem pojęcia...

- Tak chce hebrajska legenda.

Ta Lilith stała się nocnym upiorem niebezpiecznym dla młodzieńców, zwłaszcza wskutek swych pięknych włosów.

- Ej, do diabła!

Upiór z pięknymi włosami!

Nie lubisz takich rzeczy, prawda?

Więc przychodzisz i załączasz, że tak powiem, elektryczne światło, aby młodzieńców sprowadzić z błędnej drogi.

Czyż nie?

- rzekł jakby fantazjując Hans Castorp.

Wypił tego wieczora dużo mieszanego wina.

- Inżynierze, proszę dać temu spokój!

- zawołał Settembrini rozkazującym tonem i ściągnąwszy brwi.

- Proszę, niech się pan zwraca do mnie w zwykłej formie, przyjętej w cywilizowanych krajach Zachodu, to

znaczy przez "pan".

Wcale nie jest panu do twarzy z tym, w czym pan tu próbuje swych sił.

- Ależ jak to!

Wszak mamy karnawał.

Dzisiaj wieczorem jest to powszechnie przyjęte...

- Tak, bo tkwi w tym pewien nieprzystojny powab.

Mówienie "ty" do ludzi obcych, a więc takich, do których należy mówić "pan", jest objawem wstrętnej

dzikości, igraniem ze stosunkami pierwotnymi, obrzydliwym igraniem, którego nie znoszę, bo zwraca się w

gruncie rzeczy przeciwko cywilizacji i dojrzałemu człowieczeństwu - zwraca się bezczelnie i bezwstydnie!

Ja panu także nie powiedziałem "ty" - proszę sobie tego nie wmawiać!

Cytowałem tylko fragment jednego z arcydzieł pańskiej literatury narodowej.



Mówiłem więc w sposób poetycki...

- Ja również!

Ja też mówię poniekąd w sposób poetycki - bo chwila wydaje mi się po temu odpowiednia, dlatego tak mówię.

Wcale nie utrzymuję, że wydaje mi się rzeczą całkiem naturalną i łatwą mówić "ty", przeciwnie, to wymaga

pewnego wysiłku, przewyciężenia się z mej strony, muszę się do pewnego stopnia zmusić, aby to zrobić,

ale czynię to chętnie, z radością i z serca...

- Z serca?

- Tak, z serca, możesz mi wierzyć.

Już od tak dawna jesteśmy tu razem - siedem miesięcy, jeżeli policzysz.

Może to niewiele w naszych warunkach, tu w górze, ale przecież jest to szmat czasu w pojęciach panujących na dole, o ile sobie przypominam.

Otóż przeżyliśmy ten czas wspólnie, bo życie obu nas tu przywiodło; widywaliśmy się prawie codziennie i

prowadziliśmy często rozmowy na różne tematy, częściowo o rzeczach, których na dole nie byłbym w ogóle

zrozumiał.

Tu natomiast dobrze je rozumiem.

Tutaj wydały mi się bardzo ważne i bliskie, tak że zawsze gdyśmy dyskutowali, zajmowały mnie w najwyższym stopniu.

Albo raczej, gdy ty wyjaśniałeś mi te sprawy, jako homo humanus; gdyż ja, przy swym dotychczasowym

braku doświadczenia, nie miałem, naturalnie, wiele do powiedzenia i zawsze mogłem tylko uważać za

niezwykle godne słyszenia to, co mówiłeś.

Dzięki tobie tylu rzeczy się dowiedziałem, tyle zrozumiałem...

To, coś mówił o Carduccim, to jeszcze najmniej ważne, ale na przykład to, w jaki sposób republika jest

związana z pięknym stylem albo czas z postępowaniem ludzkości, to, że gdyby czas nie istniał, nie byłoby postępu, a świat wyglądałby jak stojąca woda lub cuchnąca kałuża...

Cóż wiedziałbym o tym wszystkim, gdyby nie ty?

Nazywam cię po prostu "ty" i poza tym nie tytułuję cię, wybacz, ponieważ nie wiedziałbym - jak; nie potrafię tego.

Siedzisz tu oto przede mną, a ja mówię ci po prostu "ty", i to wystarcza.

Nie jesteś dla mnie jakimś tam człowiekiem o pewnym nazwisku, ale jesteś dla mnie samym bólem, panie

Settembrini, przedstawicielem czegoś - tutaj i u mojego boku, tym jesteś - podkreślił Hans Castorp i uderzył

dłonią w obrus.

- I dlatego chcę ci wreszcie podziękować - mówił dalej i przysunął swój kieliszek z mieszaniną szampana i

burgunda do filizanczki pana Settembriniego, by trącić się z nim.

- Chcę ci podziękować, żeś przez te siedem miesięcy tak uprzejmie się mną zajmował, mną, niedowarżonym smarkaczem, na którego zważyło się tyle wrażeń; żeś był mi pomocą w ćwiczeniach i eksperymentach, że starałeś się wpływać na mnie, pouczać mnie zupełnie sine pecunia to opowiadaniem, to wykładami o formie abstrakcyjnej.

Czuję wyraźnie, że nadeszła odpowiednia chwila, aby ci za to wszystko podziękować i prosić o przebaczenie, jeżeli byłem złym uczniem, "wiecznym dla życia strapieniem", jak mnie nazwałeś.

Ta nazwa mnie bardzo wzruszyła i ile razy ją sobie przypomnę, wzrusza mnie na nowo.

Wiecznym strapieniem byłem także dla ciebie, i dla twej żyłki pedagogicznej, o której mówiłeś ze mną zaraz pierwszego dnia.

Naturalnie - to jeszcze jeden związek, który przede mną odsłoniłeś, związek między humanizmem a pedagogiką.

Na pewno przypomnę sobie z czasem i inne.

Przebac mi więc i nie myśl o mnie źle!

Piję na twoją intencję, za twoje zdrowie!

Wychyłam kielich na cześć twoich literackich wysiłków skierowanych ku wytępieniu ludzkiego cierpienia!

- zakończył i pochyliwszy się w tył, wypił kilkoma wielkimi chaustami mieszane wino.

Potem wstał.

- A teraz chodźmy do reszty towarzystwa.

- Słuchaj pan, inżynierze, co panu do głowy strzeliło?

- spytał Włoch, z oczami pełnymi zdumienia, i wstał również od stołu.

- To brzmi jak pożegnanie...

- Ależ nie, dlaczego pożegnanie?

- powiedział Hans Castorp wymijająco; wymijający - dosłownie, w znaczeniu fizycznym - był również ruch kolisty, który wykonał górną część swego ciała, tak że musiał chwycić się nauczycielki, panny Engelhart, która właśnie po nich przyszła.

Zawiadomiła ich, że w pokoju muzycznym radca Behrens własnoręcznie rozdziela karnawałowy poncz, zafundowany przez zarząd sanatorium, jeżeli panowie chcą jeszcze zdobyć po szklaneczce, mówiła, niech się spieszą!

Poszli więc.

Rzeczywiście, otoczony gośćmi, którzy wyciągali do niego małe szklanki z uszkami, stał radca Behrens przy okrągłym biało nakrytym stole w środku pokoju i chochlą czerpał z wazy buchający parą napój. I on z powodu karnawału ożywił nieco swój zwykły strój: miał na sobie jak co dzień lekarski kitel, bo praca w zakładzie nigdy nie ustawała, ale na głowę włożył szkarłatny, prawdziwy turecki fez z czarnym hwestem, który mu dyndał nad uchem; to połączenie stanowiło dla niego dostateczny kostium i wystarczyło, aby jego i skądinąd charakterystyczną postać uczynić bardziej jeszcze niezwykłą i zabawną. Długi biały kitel wydłużał jeszcze figurę pana radcy, a gdyby abstrahować w myśli od pochylenia głowy i całą postać wyprostować, to wydałby się po prostu nadnaturalnej wielkości olbrzymem o małej, jaskrawo przybranej i niezwykłej głowie.

Przynajmniej młodemu Hansowi Castorpowi twarz ta nigdy jeszcze nie wydała się tak dziwaczną jak dziś, w tej błazeńskiej czapce: ta płaska twarz z zadartym nosem i z sinymi, rozpalonymi policzkami, w której pod jasnymi brwiami wzbierały łzami niebieskie oczy, a nad łukowato zakreślonymi, wykrzywionymi ustami sterczały uniesione z jednej strony w górę blond wąsiki.

Odwracając się od kłębów pary buchającej z wazy, nalewał w nadstawione łukiem szklanki brązowy, rumem przyprawiony słodki poncz, bez przerwy przy tym perorując swoim zabawnym

żargonem, tak że raz po raz wybuchały wokoło stołu salwy śmiechu.

- Pan Urian nam przoduje - wyjaśnił po cichu Settembrini, z lekkim ruchem ręki w kierunku radcy dworu, po czym pociągnięto go w stronę Hansa Castorpa.

(Pan Urian - ludowa nazwa diabła).

doktor Krokowski był także obecny.

Niski, krępy i jędrny w zarzuconym na ramiona czarnym satynowym kitlu, który wyglądał jak domino, trzymał swoją szklankę na wysokości oczu i wesoło rozmawiał z grupą masek poprzebieranych w stroje odmiennych płci.

Zabrzmiała muzyka.

Pacjentka z twarzą tapira grała na skrzypcach, przy akompaniamencie mannheimczyka, Largo Handla, a

potem sonatę Griega, o charakterze narodowym i salonowym.

Oklaskiwano ich życzliwie, nawet przy dwóch rozstawionych stolikach, gdzie w maskach i bez masek

grano w bridża.

Obok grających stały butelki w kubelkach napełnionych lodem.

Wszystkie drzwi były otwarte, w hallu również było pełno gości.

Dokoła stołu z wazą ponczu stała grupa osób i przypatrywała się radcy Behrensowi, który pokazywał jakąś sztukę.

Polegała ona na tym, że stojąc, zamknawszy oczy, pochylony nad stołem, z podniesioną w górę głową, aby

wszyscy mogli widzieć, że oczy ma naprawdę zamknięte, rysował ołówkiem na odwrotnej stronie biletu

wizytowego jakąś figurę.

Były to kontury świnki, którą jego olbrzymia ręka narysowała z profilu, bez współudziału oczu.

Rysunek był nieco uproszczony, raczej idealny niż realistyczny, ale bądź co bądź były to niewątpliwie

kontury świnki z profilu, narysowane w tak niezwykle utrudnionych warunkach.

Była to naprawdę nie byle jaka sztuka i udała mu się doskonale.

Szpara oczka znajdowała się mniej więcej tam, gdzie być powinna, trochę za blisko ryjka, ale mniej więcej

na swoim miejscu; podobnie było ze spiczastym uchem na głowie, z nóżkami zwisającymi u okrągłego

brzucha; a przedłużona linia grzbietu pięknie, jako ogonek, zakręcała się w kółko.

Wołano z różnych stron "ach"!

i wiele osób porwanych ambicją cisnęło się do stołu, aby naśladować mistrza.

Ale niewiele było takich, które by potrafiły z otwartymi oczami narysować świnkę, a cóż dopiero z zamkniętymi!

Co za potworki wychodziły spod ich ołówków!

Pomiędzy członkami nie było najmniejszego związku.

Oczko wypadło poza głowę, nóżki znajdowały się w brzuchu, którego kontury były linią krzywą nie zamkniętą, a ogonek zwijał się w kółko gdzieś na boku, tworząc samoistną arabeskę, nie związaną organicznie ze zniekształconym zarysem reszty ciała.

Pękano ze śmiechu.

Przybywali nowi ochotnicy.

Nawet przy stolikach bridżowych zainteresowano się tą zabawą, i grający, z kartami w rękę ułożonymi w

wachlarz, zbliżali się ciekawie do stołu.

Widzowie kołem stojący patrzyli pilnie na oczy tego, który właśnie próbował swych sił, czy przypadkiem

nie mruga, czego się niektórzy w poczuciu swej nieudolności dopuszczali; chichotano i parszano na widok

błędów, jakie popełniał rysujący na oślepie, i podnoszono radosne krzyki, gdy otworzywszy oczy spoglądał

w końcu na swe absurdalne dzieło.

Zbytek ufności we własne siły pobudzał każdego do próby.

Bilet wizytowy, chociaż dość duży, szybko pokrył się z obydwu stron rysunkami, tak że nieudane figury

zachodziły jedna na drugą.

Radca Behrens poświęcił więc jeszcze jeden bilet, wydobywszy go ze swego portfela, a prokurator Paravant

po dłuższym namyśle postanowił narysować świnkę jedną nieprzerwaną linią, ale skutek był taki, że jego

niepowodzenie przewyższyło wszystkie poprzednie: ornament stworzony przez niego nie tylko nie przedstawiał świnki, ale nie wykazywał najmniejszego podobieństwa do niczego na świecie. Wśród ogólnego poruszenia posypały się powinszowania i burzliwe wybuchy śmiechu!

Przyniesiono z sali jadalnej karty ze spisem potraw, tak że więcej osób, pań i panów, mogło jednocześnie

rysować; wszyscy współzawodnicy mieli swoich widzów i kontrolerów, a każdy z nich był znowu pretendentem do ołówka, którym się właśnie posługiwano.

Ołówków było tylko trzy - wrywano je sobie z rąk.

Były one własnością gości.

Radca Behrens, zainicjowawszy tę zabawę i widząc, że jest w pełnym toku, znikł wraz ze swym towarzyszem.

Hans Castorp, stojąc w tłumie za Joachimem, przypatrywał się rysującemu, oparł łokieć na ramieniu kuzyna, podparł podbródek wszystkimi pięcioma palcami, a drugą ręką wziął się pod bok.

Dużo mówił i śmiał się.

Chciał także rysować, wyrażał głośno to życzenie i dostał wreszcie ołówek, króciutki i prawie zupełnie wypisany; zaledwie można go było ująć pomiędzy wielki a wskazujący palec.

Wymyślał z tego powodu, wznosząc do góry twarz z zamkniętymi oczami, wymyślał głośno i kłął niezdatność ołówka, rysując jednocześnie nieopanowanymi ruchami jakieś idiotyczne straszdyło, z którym w zapędzie zjechał z kartonu na obrus.

- To się nie liczy - wołał wśród wybuchów śmiechu, na który zasłużył - jakżesz można czymś takim... do diabła z tym!

- i wrzucił ołówek, który był sprawcą złego, do wazy z ponczem.

- Kto ma porządny ołówek?

Kto mi pożyczczy?

Muszę jeszcze raz spróbować!

Ołówka!

Ołówka!  
Kto ma jeszcze ołówek?  
- wołał na wszystkie strony, z lewym łokciem jeszcze opartym o stół, potrząsając drugą ręką podniesioną do góry.  
Nie dostał.  
Wtedy obrócił się i wszedł do sąsiedniego pokoju nie przestając wołać.  
Szedł prosto ku Kławdii Chauchat, która, jak wiedział, stała niedaleko portiery u drzwi prowadzących do małego salonu, skąd z uśmiechem na ustach obserwowała zabawę przy stole z ponczem.  
Usłyszał za sobą wołanie, dźwięczne cudzoziemskie wyrazy: - Eh!  
Ingegnere!  
Aspetti!  
Che cosa fa!  
Ingegnere!  
Un po di ragione, sa!  
Ma e matto questo ragazzo!  
(włoskie - Ech!  
Inżynierze!  
Proszę zaczekać!  
Co pan robi!  
Inżynierze!  
Trochę rozsądku!  
Ależ ten chłopiec to szaleniec!).  
- Ale zagłuszył te okrzyki swoim własnym głosem, wobec czego pan Settembrini, z ręką wzniesioną nad głowę, ruchem ogólnie w jego ojczyźnie przyjętym, który niełatwo na słowa przetłumaczyć i któremu towarzyszyło przeciągłe "Ech"! opuścił karnawałowe towarzystwo.  
A Hans Castorp stał już na podwórzu wyłożonym klinkierem i patrząc z bliska w niebiesko szaro zielone skośne oczy z fałdami nakątnymi, spoglądające sponad wystających kości policzkowych powiedział: - Czy ty przypadkiem nie masz ołówka?  
Był śmiertelnie błądy; tak błądy jak wtedy, kiedy krwią zbroczony przyszedł na odczyt ze swego samotnego spaceru.  
Nerwy naczyniowe jego twarzy zostały wprawione w ruch, krew odpłynęła z tego młodego oblicza, a skóra na nim, blada i zimna zapadła się, nos się zaostrzył, obwódki wokoło oczu nabrały barwy ołowianej jak u trupa.  
Serce Hansa Castorpa pod działaniem nerwu sympatycznego biło jak młotem, tak że o regularnym oddychaniu mowy być nie mogło, ciałem zaś młodzieńca wstrząsały dreszcze, pod wpływem czynności gruczołów łojowych skóry, które się wyprężyły wraz z torebkami włosowymi.  
Kobieta w papierowym kapeluszu mierzyła go wzrokiem od stóp do głowy, z uśmiechem, w którym nie było ani cienia litości lub zaniepokojenia na widok okropnej zmiany w jego wyglądzie.  
Płeć ta nie zna w ogóle takiej litości ani takiego niepokoju wobec grozy namiętności - żywiołu, najwidoczniej lepiej jej znanego niż mężczyźnie, dla którego z natury jest on obcy.  
Spotykając mężczyznę na terenie tego żywiołu, nie wita go kobieta nigdy bez szyderstwa i złośliwej radości.  
Zresztą Hans Castorp podziękowałby zapewne pięknie za litość i troskliwość.

- Ja?

- zapytała pacjentka o nagich ramionach, w odpowiedzi na wyraz "ty" ...

- Być może.

- W jej uśmiechu i głosie było jednakże coś z podniecenia, jakie się zjawia, gdy po długiej milczącej znajomości padają pierwsze słowa - z chytrego podniecenia obejmującego skrycie w tej chwili wszystko, co było już dawniej.

- Jesteś bardzo ambitny...  
bardzo...

gorliwy - drwiła dalej egzotycznym akcentem, wymawiając z cudzoziemską literę "r" swym miłym, zawoalowanym, lekko zachrypniętym głosem, i błędnie akcentując słowa, co brzmiało już całkiem obco.

Mówiąc to, grzebała w swej skórzanej torebce i wyciągnęła spod chusteczki do nosa, którą najpierw wyjęła, małeńki, srebrny crayon, cienki i kruchy, taki sobie drobiazg galanteryjny, niezbyt zdalny do poważniejszego użytku.

Tamten, poprzedni ołówek, był daleko solidniejszy.

- Wła la - rzekła i pokazała mu go, trzymając za ostry koniec wielkim i wskazującym palcem, i z lekka nim wywijając.

Podawała mu go, a jednocześnie przytrzymywała, tak że brał go nie odbierając, to znaczy: trzymał rękę na wysokości ołówka, tuż przy nim, z palcami gotowymi do ujęcia go, ale nie chwycił go, lecz patrzył ze swych ołowianych oczodołów na przemian na przedmiot i na tatarską twarz Kławdii.

Jego bezkrwiste wargi były otwarte, i tak zostały; nie posługując się nimi przy mówieniu, rzekł: -  
Widzisz, wiedziałem przecież, że będziesz miała ołówek.

- No Prenez garde, ii est un peu fragile - rzekła.

- Cest a visser, tu sais.

(francuskie - Proszę uważać, jest dość delikatny.  
Można go wykręcać, wiesz).

Głowy ich pochyliły się ku sobie, a ona pokazywała mu nieskomplikowany mechanizm ołówka, polegający na tym, że po odkręceniu śrubki wypadał cieniutki jak igła, zapewne bardzo twardy i nie nadający się do pisania sztyfcik grafitowy.

Stali blisko siebie.

Ponieważ był w ubraniu wizytowym, miał tego wieczora sztywny kołnierzyk i mógł na nim oprzeć swój podbródek.

- Mały, ale za to twój - powiedział patrząc na ołówek, z czołem przy jej czole; usta jego były przy tym nieruchome, tak że opuścił głoskę "m".

- O!

jesteś także dowcipny - odpowiedziała zaśmiawszy się krótko.

Wyprostowała się i oddała mu wreszcie ołówek.

(Zresztą, czyż mogła być mowa o jakimkolwiek dowcipie, gdy przecież najwidoczniej nie było ani jednej kropli krwi w jego głowie).

więc idź, spiesz się, rysuj, rysuj dobrze, pokaż, co umiesz - mówiła żartobliwie, jak gdyby odpędzając go od siebie.

- Nie, ty jeszcze nie rysowałaś, więc ty musisz teraz rysować - powiedział, opuszczając "m" w słowie "musisz" i odstał krok w tył, jak gdyby ją chciał pociągnąć za sobą.

- Ja?

- powiedziała po raz drugi, ze zdziwieniem, którego źródłem było coś innego jeszcze oprócz jego

wezwania.

Lekko zmieszana i uśmiechnięta stała jeszcze w miejscu, ale po chwili uległa jego magnetyzującemu ruchowi wstecz i zrobiła kilka kroków w kierunku stołu z ponczem.

Okazało się jednak, że zabawa tam była już na ukończeniu.

Ktoś jeszcze rysował, ale nie było już wokół niego ciekawych.

Porozrzucone kartki pokryte były niezdarnymi rysunkami; każdy dowiódł swej nieudolności i stół niemal opustoszał, zwłaszcza że rozpoczął się już ruch w innym kierunku.

Gdy się przekonano, że lekarze odeszli, zaczęto nagle domagać się tańców.

Już odsuwano stół i stawiano warty u drzwi gabinetu do pisania i pokoju muzycznego, z poleceniem, aby dały znak ostrzegawczy w razie, gdyby ukazał się ponownie "stary", Krokowski albo starsza siostra.

Pewien młody Słowianin uderzył z przejściem w klawisze małego pianina z orzechowego drzewa, i pierwsze pary poczęły wirować pośrodku nieregularnego koła, utworzonego przez fotele i krzesła, które zajęli widzowie.

Hans Castorp ruchem ręki pożegnał odsuwany stół, jak gdyby mówił "Bądź zdrow"!

, a podbródkiem wskazał na wolne miejsca, które zauważył w saloniku w ustronnym kącie przy portierze.

Nie mówił nic, może dlatego, że muzyka była zbyt głośna.

Przysunął dla pani Chauchat pluszowy fotel, z oparciem ujętym w drewnianą ramę, na miejsce, które przedtem pantomimicznie wskazał, a dla siebie trzeszczący i skrzypiący trzciny fotel z zaokrąglonymi poręczami.

Usiadł na nim, pochylony ku niej, z ramionami opartymi na poręczach, z ołówkiem w ręku, z nogami daleko wsuniętymi pod fotel.

Ona zaś przybrała pozycję niemal leżącą w pluszowym fotelu, wskutek czego kolana jej były nieco za wysoko wzniesione; ale pomimo to założyła jedno na drugie i bujała w powietrzu nogą, której kostka ponad brzegiem czarnego lakierowanego pantofelka obciążona była również czarnym jedwabiem pończochy.

Przed nimi siedzieli inni ludzie; wstawali, aby tańczyć, a ich miejsca zajmowali ci, co już byli zmęczeni.

Zmieniali się bezustannie.

- Masz nową suknię - rzekł Hans Castorp, aby móc się jej przyglądać; i usłyszał odpowiedź: - Nową?

Znasz moje toalety?

- Czy nie mam racji?

- Owszem.

Dałam ją sobie niedawno zrobić u Lukačka we Wsi.

On szyje dla wielu pań tutaj na górze.

Podoba ci się?

- Bardzo - odpowiedział obejmując ją raz jeszcze spojrzeniem i spuścił oczy.

- Czy chciałabyś zatańczyć?

- dodał.

- A ty, czy chciałbyś?

- odpowiedziała z uśmiechem podniósłszy brwi.

- Chciałbym, gdybyś miała ochotę.

- Spodziewałam się po tobie więcej rozsądku - odpowiedziała, a ponieważ zaśmiał się lekceważąco, dodała:

- Twój kuzyn już poszedł.  
- Tak, to mój kuzyn - powiedział niepotrzebnie - ja też przedtem widziałem, że odszedł; zapewne już się położył.  
- Cest un jeune homme tres etroit, tres honnete, tres allemand.  
Rozmowa toczyła się po francusku.  
- To młodzieniec bardzo skrupulatny, bardzo uczciwy, prawdziwy Niemiec.  
- Skrupulatny?  
Uczciwy?  
- powtórzył.  
- Lepiej rozumiem po francusku, niż mówię.  
Chcesz powiedzieć, że jest pedantem.  
Czy uważasz nas Niemców za pedantów - nas Niemców?  
- Mówimy o pańskim kuzynie.  
Ale to prawda, jesteście trochę mieszczańscy.  
Kochacie porządek bardziej niż wolność, cała Europa wie o tym.  
- Kochać...  
kochać...  
Co to znaczy?  
Nie ma definicji tego słowa.  
Co jeden kocha, to drugi ma, jak mówi nasze przysłowie - twierdził Hans Castorp.  
- Nieraz w ostatnich czasach - ciągnął dalej - myślałem o wolności.  
To znaczy, często słyszałem ten wyraz, więc później zastanawiałem się nad nim.  
Powie ci po francusku, co myślałem.  
To, co cała Europa nazywa wolnością, jest może rzeczą dość pedantyczną i dość mieszczańską w porównaniu z naszą potrzebą porządku - tak!  
- Proszę!  
To zabawne.  
Czy myślisz o swoim kuzynie mówiąc takie dziwne rzeczy?  
- Nie, to naprawdę dobra dusza, prosta, nie obciążona niczym natura, wiesz.  
Ale on nie jest mieszczański, to duch wojskowy.  
- Nie obciążona niczym?  
- powtórzyła z trudem...  
- Chcesz powiedzieć: natura niezłomna, pewna siebie?  
Ale ten twój biedny kuzyn jest poważnie chory.  
- Kto to powiedział?  
- Tutaj wiemy wszystko o sobie.  
- Czy powiedział ci to radca Behrens?  
- Być może - kiedy pokazywał mi swoje obrazy.  
- To znaczy, kiedy cię portretował!  
- Czemu nie.  
Uważasz, że mój portret jest udany?  
- Ależ owszem, niezwykle.  
Behrens odtworzył twoją skórę z wielką dokładnością, tak, naprawdę bardzo wiernie.  
Chciałbym bardzo być również portrecistą, aby mieć sposobność studiowania twojej skóry tak jak on.



- Proszę, niech pan mówi po niemiecku.

- Och!

czynię to nawet wtedy, gdy mówię po francusku.

Jest to rodzaj studium z dziedziny sztuki i medycyny - słowem, chodzi tu o nauki humanistyczne, rozumiesz.

A teraz, czy nie chciałabyś zatańczyć?

- Ależ nie, to dzieciństwo.

W tajemnicy przed lekarzami.

Gdy tylko Behrens wróci, wszyscy prędko usiądą na krzesłach.

To będzie bardzo komiczne.

- Taki masz przed nim respekt?

- Przed kim?

- zapytała krótko z cudzoziemskim akcentem.

- Przed Behrensem.

- Dajże spokój z tym twoim Behrensem!

Zresztą za ciasno tu do tańca.

A ponadto na dywanie...

Popatrzmy lepiej, jak inni tańczą.

- Owszem, dobrze - zgodził się blady, zamyślony, niebieskimi oczami swego dziadka patrzył siedząc przy niej na podrygujących zamaskowanych pacjentów w salonie i dalej w czytelnicy.

Podskakiwała tu "Niemowa" z "Niebieskim Henrykiem", a pani Salomon przebrana za mężczyznę, we fraku i białej kamizelce, z silnie zaokrąglonym sztywnym gorsem koszuli, z monoklem i wymalowanym wąsikiem, tańczyła w małych lakierkach z wysokimi obcasami, nienaturalnie wyzieraających spod męskich czarnych spodni - tańczyła z pierrottem, którego krwiste wargi jaskrawo odbijały od białej upudrowanej twarzy, a oczy podobne były do oczu królika albinosa.

Greki o pięknych nogach, w lila trykotach i krótkim płaszczku, trzymał w objęciach wydekoltowanego i połyskującego ciemnym blaskiem Rasmussena; pan prokurator w kimonie, pani konsulowa Wurmbrand i młody Ganser tańczyli nawet we trójkę, objawiając się ramionami; a co się tyczy pani Stohr, to tańczyła ze swoją szczotką, którą przyciskała do serca i głaskała po szczecinie, jak gdyby to były włosy sterczące na ludzkiej głowie.

- Owszem, popatrzmy - powtórzył machinalnie Hans Castorp.

Rozmawiali po cichu, wśród dźwięków fortepianu.

- Będziemy tu siedzieli i patrzyli jak we śnie.

Bo dla mnie, musisz wiedzieć, jest jak sen, że tu razem siedzimy - jak sen niezwykle głęboki, bo trzeba bardzo głęboko spać, aby tak śnić...

A właściwie: jest to sen dobrze mi znany, który śnię od niepamiętnych czasów, dawny, odwieczny, tak siedzieć przy tobie tak jak teraz, oto wieczność.

- Poeto!

- powiedziała.

- Mieszczanin, humanista i poeta - oto cały Niemiec, jak należy!

- Obawiam się, że wcale a wcale nie jesteśmy jak należy - odpowiedział.

- Pod żadnym względem.

Jesteśmy może po prostu wieczne strapienia.

- To ładnie powiedziane.

Powiedzże mi...

Można było bez wielkich trudności śnić ten sen wcześniej.

Nieco późno łaskawy pan decyduje się przemówić do swej uniozonej służki.

- Przemówić, po co?

- powiedział.

- Po co mówić?

Mówić, rozprawiać - to rzecz bardzo republikańska, przyznaję.

Ale wątpię, czy równie poetyczna.

Jeden z bawiących tu gości, z którym się nieco zaprzyjaźniłem, pan Settembrini...

- Przed chwilą wołał coś za tobą.

- Otóż ten człowiek umie niewątpliwie pięknie mówić, lubi nawet bardzo recytować piękne wiersze

- ale czyż jest poetą?

- Żałuję niezmiernie, że nigdy nie miałam przyjemności poznać tego kawalera.

- Wierzę ci.

- Ach!

Wierzysz.

- Co?

To, co teraz powiedziałem, nie ma żadnego znaczenia.

Jak widzisz, w ogóle nie umiem po francusku.

Ale w rozmowie z tobą przenoszę ten język nad swój ojczysty, gdyż dla mnie mówić po francusku to poniekąd mówić nie mówiąc - bez odpowiedzialności lub też tak, jak mówimy we śnie. Rozumiesz?

- Prawie.

- To wystarczy...

Mówić - ciągnął dalej Hans Castorp - to żalosna sprawa!

W wieczności wcale się nie mówi.

W wieczności, wiesz, robi się to samo, co przy rysowaniu świnki: odchyła się głowę w tył i przymyka się oczy.

- To wcale nieźle!

Czujesz się w wieczności, jak u siebie w domu, niewątpliwie, znasz ją do głębi.

Trzeba przyznać, że jesteś dość interesującym małym marzycielem.

- A zresztą - powiedział Hans Castorp - gdybym był z tobą wcześniej rozmawiał, musiałbym mówić ci "pani"!

- Jak to, czyżbyś miał zamiar mówić mi już zawsze "ty"?

- Ależ tak.

Zawsze mówiłem ci "ty" i będę tak mówił po wszystkie czasy.

- No, tego to już trochę za dużo.

W każdym razie nie będziesz miał zbyt długo sposobności mówienia mi "ty".

Wyjeżdżam.

Trzeba było pewnego czasu, aby słowo to dotarło do jego świadomości.

Potem drgnął i powiódł dokoła siebie nieprzytomnymi oczyma, jak człowiek nagle zbudzony z głębokiego snu.

Rozmowa ich toczyła się powoli, ponieważ Hans Castorp z pewnym wysiłkiem i jakby z wahaniem mówił po francusku.

Dźwięki fortepianu, na krótko zamarłe, zabrzmiały na nowo, tym razem pod palcami mannheimczyka, który zastąpił młodego Słowianina i rozłożył nuty na pulpicie.

Panna Engelhart siedziała przy nim i obracała kartki.

Towarzystwo przerzedziło się.

Większa ilość uczestników przybrała już widocznie pozycję poziomą.

Przed nimi nie było nikogo.

W czytelnicy grano w karty.

- Co robisz?

- zapytał osłupiały Hans Castorp.

- Wyjeżdżam - powtórzyła z uśmiechem, udając, że ją dziwi jego osłupienie.

- To niemożliwe - powiedział - to tylko żart.

- Wcale nie; mówię zupełnie poważnie.

Jadę.

- Kiedy?

- Ależ jutro.

Po obiedzie.

Coś w nim nagle gwałtownie runęło.

Zapytał: - Dokąd?

- Bardzo daleko.

- Do Dagestanu?

- Jesteś nieźle poinformowany.

Może, na razie...

- Czyż jesteś wyleczona?

- Co to, to nie.

Ale Behrens jest zdania, że na razie pobyt tutaj już mi dużo nie da.

Dlatego odważę się na małą zmianę powietrza.

- A więc powrócisz!

- To jeszcze pytanie.

A przede wszystkim nie wiadomo, kiedy.

Co do mnie, widzisz, kocham wolność ponad wszystko w świecie, a zwłaszcza swobodę wybierania sobie miejsca pobytu.

Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy być opętanym pragnieniem niezależności.

Jest to może właściwością mojej rasy.

- A twój mąż w Dagestanie pozwala ci na tę wolność?

- Moja choroba mi ją zwraca.

Jestem tu już po raz trzeci.

Tym razem spędziłam tu cały rok.

Możliwe, że wrócę.

Ale ciebie wtedy już dawno tu nie będzie.

- Tak sądzisz, Kławdio?

- Także moje imię!

Doprawdy - bierzesz zwyczajnie karnawałowe bardzo na serio!

- Czyżbyś wiedziała, jaki jest właściwie stan mojego zdrowia?

- Tak i nie - tak jak się te rzeczy tutaj wie.

Masz małą wilgotną plamkę w środku i trochę gorączki, prawda?

- Trzydzieści siedem i osiem lub dziewięć po południu - powiedział Hans Castorp.

- A ty?

- Ach, mój przypadek, widzisz, jest trochę bardziej skomplikowany...

nie całkiem prosty.

- Istnieje coś takiego w tej gałęzi nauk humanistycznych, która się zwie medycyną - powiedział Hans Castorp - co nosi nazwę gruźliczego zaczopowania naczyń limfatycznych.

- Ach, najwyraźniej zabawiełeś się w szpiega, mój drogi.

- A ty...

Przepraszam!

Pozwól mi zadać sobie teraz po niemiecku jedno ważne pytanie: kiedy wstałem wtedy od stołu i udałem się na badanie, sześć miesięcy temu...

Wtedy odwróciłaś się, by na mnie spojrzeć, pamiętasz?

- Co za pytanie!

Sześć miesięcy temu!

- Czy wiedziałaś, dokąd idę?

- Czy powiedział ci to radca Behrens?

- Owszem, całkiem przypadkowo...

- Wiedziałaś o tym od Behrensa?

- Wciąż ten Behrens!

- Ach!

On odtworzył twoją skórę w sposób tak ścisły...

Zresztą jest to wdowiec o pałających policzkach i posiada niezwykły serwis do kawy...

Jestem przekonany, że zna twoje ciało nie tylko jako lekarz, lecz także jako adept innej gałęzi nauk humanistycznych.

- Masz stanowczo słuszość twierdząc, że mówisz we śnie, mój przyjacielu.

- Dobrze...

Pozwól mi znowu śnić, zbudziwszy mnie tak okrutnie alarmującą wieścią o twoim wyjeździe.

Siedem miesięcy w pobliżu ciebie...

a teraz, kiedy rzeczywiście cię poznałem, mówisz mi o wyjeździe!

- Powtarzam ci, że mogliśmy rozmawiać z sobą wcześniej.

- Czy chciałaś tego?

- Ja?

Nie wykręcisz się sianem, mój mały.

Chodzi o twoje sprawy.

Czy byłeś zbyt nieśmiały, aby zbliżyć się do kobiety, do której mówisz teraz we śnie, czy też ktoś ci w tym

przeszkadzał?

- Powiedziałem ci już.

Nie chciałem do ciebie mówić "pani".

- Wolne żarty.

Powiedzże, co ten pan, który tak pięknie mówi, ten Włoch, który opuścił zabawę, co on takiego wołał za

tobą przed chwilą?

- Nie słyszałem ani słowa.

Nie dbam o tego pana, kiedy oczy moje widzą ciebie.

Ale zapominasz...

nie byłoby rzeczą wcale tak łatwą nawiązać z tobą stosunki towarzyskie.

Był przecież mój kuzyn, z którym byłem wciąż razem i który niewielką ma ochotę bawić się tutaj:

myśli

tylko o powrocie na równinę, aby wstąpić do wojska.

- Biedaczek.

Jest w rzeczywistości bardziej chory, niż przypuszcza.

Zresztą twój włoski przyjaciel jest też w nie najlepszym stanie.

- Sam o tym mówi.

Ale mój kuzyn...

Czy naprawdę?

Przerażasz mnie.

- Może nawet umrzeć, jeśli spróbuje wstąpić do wojska tam na dole.

- Może umrzeć.

Śmierć.

To straszne słowo, prawda?

Ale dziwna rzecz, to słowo nie robi na mnie dzisiaj takiego wrażenia.

Było to czysto konwencjonalne powiedzenie, te moje słowa: "Przerażasz mnie".

Myśl o śmierci mnie nie przeraża.

Myślę o niej ze spokojem.

Nie lituję się ani nad poczciwym Joachimem, ani nad sobą samym, słysząc, że może umrzeć.

Jeśli tak jest istotnie, stan jego jest bardzo podobny do mojego i nie widzę w nim nic szczególnie imponującego.

On jest skazany na śmierć, a ja jestem zakochany, no cóż!

- Rozmawiałaś z moim kuzynem w gabinecie rentgenologicznym, w poczekalni, pamiętasz.

- Przypominam sobie coś niecoś.

- A więc tego dnia Behrens sporządził twój przezroczysty portret!

- No tak.

- Boże!

Czy masz go przy sobie?

- Nie, mam go w swoim pokoju.

- Ach, w twoim pokoju.

Ja mam swoje zdjęcie zawsze w portfelu.

Czy mam ci je pokazać?

- Bardzo dziękuję.

Ciekawość moja nie jest niepoohamowana.

Będzie to widok bardzo niewinny.

- Co do mnie, widziałem twój portret zewnętrzny.

Wolałbym zobaczyć twój portret wewnętrzny, który jest w twoim pokoju...

Ale pozwól, że cię o coś innego zapytam!

Przychodzi do ciebie czasem pewien Rosjanin, który mieszka w mieście.

Kto to jest?

W jakim celu ten człowiek przychodzi?

- Masz wybitny talent szpiegowski, przyznaję.

A więc, odpowiadam.

Tak jest, to chory rodak, mój bliski znajomy.

Poznałam go w innym uzdrowisku, już przed kilku laty.

Nasze stosunki?

Otóż pijemy razem herbatę, wypalamy dwa lub trzy papierosy i gawędzimy, filozofujemy, mówimy o człowieku, o Bogu, o życiu, o moralności - o tysiącu sprawach.

Oto moje sprawozdanie.

Czy ci to wystarcza?

- Także o moralności!

A do jakich wniosków doszliście w dziedzinie moralności, na przykład?

- Moralność?

To cię interesuje?

Otóż zdaje nam się, że należałoby szukać moralności nie w cnocie, to znaczy nie w rozumie, w dyscyplinie, obyczajności, w uczciwości, lecz raczej w ich przeciwieństwie, to znaczy: w grzechu, nie stroniąc od niebezpieczeństwa, od tego, co szkodliwe, co nas trawi.

Wydaje nam się, że jest rzeczą moralniejszą zgubić się samemu, a nawet dopuścić do zupełnej swej zagłady, niż zbytnio troszczyć się o siebie.

Wielcy moralisci nie byli wcale ludźmi cnotliwymi, lecz śmiałkami, którzy nie cofali się przed złem, ludźmi występniymi, wielkimi grzesznikami, którzy nas uczą chrześcijańskiej pokory wobec zła.

To wszystko bardzo ci się pewnie nie podoba, prawda?

Milczał.

Siedział wciąż tak jak z początku, z nogami skrzyżowanymi pod trzeszczącym fotelem, z ołówkiem w ręku i pochylony ku leżącej pani Chauchat w papierowym, spiczastym kapeluszu na głowie, niebieskimi oczami Hansa Lorenza Castorpa patrzył spod oka na pokój, który już opustoszał.

Goście rozpierzchli się.

Fortepian stojący w przeciwległym kącie dźwięczał jeszcze z cicha urywanymi tonami, które wydobywał jedną ręką chory mannheimczyk; obok niego siedziała nauczycielka i przerzucała kartki nut leżących na jej kolanach.

Kiedy zamilkła rozmowa między Hansem Castorpem i Kławdią Chauchat, pianista przestał zupełnie grać i opuścił na kolana rękę, którą uderzał w klawisze, a panna Engelhart nadal patrzyła w nuty.

Cztery ostatnie osoby spośród uczestników nocy karnawałowej siedziały nieruchomo.

Cisza trwała przez kilka minut.

Głowy siedzącej przy pianinie pary powoli schylały się pod jej działaniem coraz niżej: głowa mannheimczyka ku klawiaturze, a panny Engelhart ku nutom na kolanach.

Wreszcie oboje jednocześnie, jak gdyby za tajnym porozumieniem, podnieśli się ostrożnie i cicho, na palcach, umyślnie starając się nie patrzeć na nie opuszczony jeszcze tamten kąt pokoju, z głowami wtulonymi w ramiona i sztywnie opuszczonymi rękami, oddalili się przez czytelnię.

- Wszyscy odchodzą - powiedziała pani Chauchat.

- Ci państwo byli ostatni; późno się robi.

A zatem, zabawa karnawałowa się skończyła.

- I podniosła obie ręce, aby zdjęć papierowy kapelusz ze swych rudawych włosów, które, splecione w warkocz, na kształt wieńca otaczały jej głowę.

- Następstwa są panu znane.

Ale Hans Castorp przecząco potrząsnął głową, nie otwierając oczu i nie zmieniając pozycji.

Odpowiedział: - Nigdy, Kławdio.

Nigdy nie powiem ci "pani", nigdy w życiu i nigdy w śmierci, jeśli można się tak wyrazić - a powinno się móc.

- Ten sposób zwracania się do innych osób, sposób przyjęty przez kulturalny Zachód i cywilizowaną ludzkość, wydaje mi się bardzo mieszczański i pedantyczny.

Po co, w gruncie rzeczy, jest forma?

Forma to tylko pedanteria!

Czyż wszystko, do czegoście doszli w dziedzinie moralności, ty i twój chory rodak, naprawdę miało mnie zaskoczyć?

Czy uważasz mnie za głupca?

Powiedz, co właściwie myślisz o mnie?

- Jest to temat, który niewiele daje do myślenia.

Jesteś sobie poczciwym, dobrze ułożonym młodym człowiekiem z dobrej rodziny, o ujmującej powierzchowności, jesteś pojętym uczniem swoich nauczycieli, który niebawem wróci na równinę, gdzie zupełnie zapomni, że kiedykolwiek mówił tutaj we śnie, i gdzie uczciwą pracą w stoczni będzie się przyczyniał do wielkości i potęgi swojej ojczyzny.

Oto twoja wewnętrzna fotografia, zrobiona bez aparatu.

Mam nadzieję, że uważasz ją za wierną?

- Brak w niej kilku szczegółów, które znalazł Behrens.

- Ach, lekarze zawsze je znajdują, znajdują się na tym...

- Mówisz jak pan Settembrini.

A moja gorączka?

Skąd ona pochodzi?

- Dajże spokój z tym twoim Behrensem!

Zresztą za szybko minie.

- Nie, Kławdio, wiesz dobrze, że to, co tu mówisz" nie jest prawdą, i mówisz to bez przekonania, jestem tego pewien.

Gorączka mego ciała i bicie mego znękanego serca, i drzenie moich członków - wszystko to jest przeciwieństwem incydentu, bo jest niczym innym - i blada jego twarz z drżącymi ustami pochyliła się bardziej ku jej twarzy - niczym innym tylko moją miłością do ciebie, tak, tą miłością, która mnie ogarnęła w chwili, kiedy me oczy ciebie ujrzały, a raczej miłością, którą w sobie odnalazłem, kiedy odnalazłem ciebie - i ona to niewątpliwie zawiodła mnie tutaj...

- Co za szaleństwo!

- Ach, miłość jest niczym, jeśli nie jest szaleństwem, jeśli nie jest absurdem, zakazanym owocem i przygodą w krainie zła.

W przeciwnym razie jest czymś przyjemnym i banalnym, jest odpowiednim tematem do spokojnych piosenek na równinie.

Ale co się tyczy tego, że cię odnalazłem i że odnalazłem swoją miłość do ciebie - tak, to prawda, znałem cię już przedtem, dawno, ciebie i twoje oczy, przedziwnie skośne, i twoje usta, i głos, którym mówisz - już kiedyś przedtem, byłem jeszcze w gimnazjum, poprosiłem cię o ołówek, aby wreszcie nawiązać z tobą stosunki towarzyskie, bo kochałem cię bezrozumną miłością, i po tym, niewątpliwie, po mojej dawnej miłości do ciebie, zostały mi te ślady, które Behrens odkrył w moim ciele i które dowodzą, że i ongi byłem chory...

Zęby mu szczękały.

Majacząc tak, wyciągnął jedną nogę spod trzeszczącego fotela i, posunawszy ją naprzód, drugim kolanem dotknął podłogi, tak że klęczał obok niej z głową schyloną i drząc na całym ciele.

- Kocham cię - bełkotał - kochałem cię od samego początku, boś ty jest owym "Ty" mojego życia, moim snem, moim przeznaczeniem, moim pragnieniem, moją nigdy nie sytą żądzą...

- Dajże spokój!

- powiedziała.

- Gdyby twoi nauczyciele cię widzieli...

Ale on z wyrazem rozpaczy potrząsnął głową i, pochyliwszy twarz nad dywanem, odpowiedział: Gwizdałbym na nich, gwizdę na wszystkich tych Carduccich i na wymowną Republikę, i na postęp ludzkości w czasie, bo cię kocham!

Lekko pogładziła jego włosy krótko ostrzyżone nad karkiem.

- Ty mieszczkańskie dziecko!

- powiedziała.

- Ładniutki mieszczaninie z wilgotną plamką.

Czy rzeczywiście tak bardzo mnie kochasz?

Uszczęśliwiony jej dotknięciem, klęcząc już teraz na obu kolanach, mówił dalej, z głową w tył odrzuconą i zamkniętymi oczami: - Ach, miłość, widzisz...

ciało, miłość, śmierć - te trzy rzeczy stanowią jedno.

Bo ciało to choroba i rozkosz i ono jest źródłem śmierci, tak, i miłość, i śmierć, jedna i druga, są natury cielesnej, i stąd ich groza i wielka ich magia!

Ale śmierć, rozumiesz, jest z jednej strony czymś, co ma złą reputację, czymś bezwstydnym co każe rumienić się ze wstydu; a z drugiej strony to potęga bardzo uroczysta i bardzo majestatyczna - dużo wyższa aniżeli życie, które się śmieje, robi pieniądze i napycha sobie brzuch - o wiele bardziej czcigodna niż wiecznie rozgadany postęp - ponieważ jest ona historią i wiecznością, jest czymś szlachetnym i złożonym, czymś świętym, co każe nam zdejmować kapelusz i chodzić na palcach...

Otóż tak samo ciało, ono także, i miłość ciała są rzeczą nieprzyzwoitą i przykrą i ciało rumieni się i blednie ze strachu, ze wstydu przed sobą samym.

Ale jest ono też czymś chlubnym i godnym uwielbienia, jest cudownym obrazem życia organicznego, jest i świętym cudem formy i piękności, a miłość ku niemu, ku ciału ludzkiemu, jest również czymś niezmiernie ważnym dla spraw ludzkich i potęgą o większym znaczeniu wychowawczym aniżeli cała pedagogia świata!...

Ach, zachwycające piękno organiczne, którego tworzywem nie jest farba olejna ani kamień, ale żywa istota podlegająca zniszczeniu, podlegająca tajemnicy życia i rozkładu!

Patrz na cudowną symetrię w konstrukcji ciała ludzkiego, na barki i biodra, na pierś zakwitającą z obu stron sutkami, na żebra, parami ułożone, i na pępek pośrodku, w miękkości brzucha, na płeć ukrytą w cieniu ud!

Patrz na ruchy łopatek pod jedwabistą skórą pleców, na kość pacierzową, zstępującą ku chłodnej wybujałości obu pośladków, i na wielkie konary naczyń i nerwów, które od pnia ku rozgałęzieniom swym biegną przez pachy, i jak budowa ramion odpowiada budowie nóg.

Ach, urocza okolica wewnętrznego zgięcia łokcia i kolana, pełna subtelności organicznych, okrytych miękkością ciała!

Co za rozkosz niewymowna pieścić te czarowne miejsca ciała ludzkiego!

Rozkosz, której raz doznać - i umrzeć bez skargi!

Tak, na Boga, pozwól mi wchłaniać woń skóry pod twoimi kolanami, gdzie kunsztowna torebka stawowa wydziela swą śliską maź!

Pozwól, by usta moje dotknęły ze czcią na przedniej części uda twej Arteria femoralis, która dzieli się niżej na dwie tętnice goleni.

Pozwól mi upajać się wyziewami twoich porów i dotykać twego meszku, istoto ludzka z wody i białka, której przeznaczeniem jest anatomia grobu, i pozwól mi zginąć z ustami na twoich ustach.

Nie otworzył oczu, kiedy przestał mówić; pozostał, jak był, z odrzuconą głową, z rękami wyciągniętymi przed siebie, trzymając wciąż srebrny ołówek, drżąc i chwiejąc się na kolanach.



Ona odezwała się: - Rzeczywiście, twoje oświadczenia miłosne są gruntowne, iście niemieckie. I włożyła mu na głowę papierowy kapelusz.

- Żegnaj, mój książę Karnawału!

Będzie pan miał dziś wieczór zły wykres gorączki, przepowiadam to panu.

To mówiąc, ześliznęła się z krzesła, przesunęła się po dywanie w kierunku drzwi, ale zawahała się w progu; na wpół odwrócona w tył, Wzniósła jedno z obnażonych ramion i wsparła rękę na zawiasie.

Powiedziała cicho: - A proszę nie zapomnieć o zwrocie mego ołówka.

I wyszła.

Koniec Tomu Pierwszego.

Spis treści. Rozdział 1.

Przyjazd.

Numer 34.

W restauracji.

Rozdział 2.

O chrzcielnicy i o dziadku w dwojakiej postaci.

O pobycie u Tienapplów i obliczu duchowym Hansa Castorpa.

Rozdział 3.

Godne zasępienie się.

Śniadanie.

Przekomarzanie się. Wiatyk. Zmącona wesołość. Satana.

Bystrość umysłu.

O jedno słowo za wiele.

Naturalnie, kobieta!.

Pan Albin.

Szatan robi niegodne propozycje.

Rozdział 4.

Niezbędne zakupy.

Dygresja o zmyśle czasu.

Hans Castorp próbuje swych sił we francuskiej konwersacji.

Politycznie podejrzany.

Hippe.

Analiza.

Wątpliwości i rozwiązania.

Rozmowy przy stole.

Rosnący lęk. O obu dziadkach oraz o przejażdżce łódką na przełomie dnia i nocy. Termometr.

Rozdział 5.

Zupa wieczności i nagła jasność. Mój Boże ja widzę.

Wolność.

Kaprysy Merkuriusza.

Encyklopedia.

Humaniora.

Dociekania.

Taniec szkieletów.

Noc Walpurgi.